

Herman Wouk
Wojna i pamięć (
Byron i Natalia
Agencja Praw Autorskich
i Wydawnictwo "Interart"
Warszawa 1994

PWZN
Print 6
Lublin 1999
Tytuł oryginału:
"War and Remembrance"

Przekład:
Robert Stiller

Agencja Praw Autorskich
i Wydawnictwo "Interart"
Warszawa 1994

`tc
Część trzecia
Byron i Natalia
33

W połowie lipca, wciąż jeszcze przychodząc do siebie po tej straszliwej wiadomości, Rhoda wyjechała pociągiem z Washingtonu na Zachodnie Wybrzeże. Madeline przebywała w Hollywood, a Byron przechodził w San Diego szkolenie w atakowaniu podwodnym, więc ilekroć miał wolne, mogli przynajmniej być razem. Podróż pociągiem, choćby i w czasie wojny, to coś wesołego, więc już samo pakowanie się przyniosło jej nieco ulgi w cierpieniu. Pierwszy posiłek w wagonie restauracyjnym sprawił, że w jej zmartwiałych żyłach zatętniła odrobina życia. Miała świadomość, że wygląda elegancko w płóciennym czarnym kostiumie, ciemnym kapeluszu i ciemnych pończochach. Po kolacji mężczyźni w salonce zwracali na nią uwagę. Jakiś pułkownik lotnictwa, wąsaty i z baretkami odznaczeń, usiłował postawić jej drinka. Jakież to niesmaczne! Czy nie widzi, że ona jest w żałobie? Zgasiła go jednym zasmuconym spojrzeniem.

Ułożywszy się w szeleszczącej, sztywnej pościeli wagonu sypialnego, długo nie mogła zasnąć. Turkot kół, rytmiczne kołysanie się łóżka, sapanie i wycie lokomotywy, zapachy pociągu przesycające tapicerkę i zielone zasłony, rozdygotane toczenie się w noc, wszystko to pogrążyło ją w nostalgii. Tak właśnie leżała po swych zaręczynach, jako dziewiętnastoletnia dziewczyna, drżąca z miłości i od erotycznych fantazji, jadąc do Charlestonu, aby zobaczyć się z Pugiem; tak leżeli we dwoje na dolnym łóżku w czasie krótkiego i pełnego namiętności miodowego miesiąca; tak leżała, będąc już matką jednego dziecka, potem dwóch, a potem już trojga, kiedy rodzina

przeprowadzała się z jednego miejsca zakwaterowania na drugie. Teraz znowu leżała sama, w drodze do dwójga pozostałych jej, dorosłych dzieci.

Ach, ten dzień ślubu Warrena, te śpiewy i szampan w wagonie jadącym na lotnisko w Pensacola! Ach, to ostatnie, przelotne widzenie się z nim i ostatnie, już na wieki, spotkanie jej całej niedużej rodziny. Był taki przystojny, kiedy prowadził wielkiego Cadillaca i też wtórował, gdy cała ta rodzina, stłoczona w samochodzie wraz z jego złotowłosą oblubienicą i ciemną, żydowską dziewczyną Byrona, śpiewała na głosy:

Kiedy spotkamy się, kiedy spotkamy się, Ę Kiedy spotkamy się u stóp Jezusa... Ę

Rhoda odebrała śmierć syna jako wymierzoną jej osobiście karę. Całymi tygodniami dręczyły ją rozdzierające i oczyszczające wyrzuty sumienia. Postanowiła wyciąć swój występki, jak raka, ze swego życia. Decyzja ta przeobraziła śmierć pierworodnego w rodzaj przeżycia, niosącego zadośćuczynienie; spędziła wiele czasu i wiele łez wylała w kościele. Jak większość wojskowych żon i matek, Rhoda uważała się za uodpornioną na złe wiadomości, jednakże przestraszyła się, usłyszawszy dzwonek do drzwi, który się rozległ w kilka dni po bitwie pod Midway, a słowa na złotym blankiecie telegraficznym rozdarły jej duszę. Warren! Ten najlepszy, zawsze zwycięski, zbierający najwyższe oceny i wyróżnienia, on, który poszedł do najlepszej ze szkół, ożenił się z najlepszą dziewczyną, awansował we flocie szybciej niż ojciec - Warren - nie żyje! Zginął! Jej pierworodny, straciła go, leży gdzieś na dnie Pacyfiku, w przepastnej głębi, w szczątkach samolotu! Czy pogrzeb i ostatnie spojrzenie na niego w trumnie byłyby lepsze, czy gorsze niż to suche zawiadomienie, że jej syn, którego nie widziała od dwóch lat, zginął? Sama nie była pewna. Pogrzeby jej matki, ojca, starszego brata nie zraniły jej do tego stopnia. Pogrzeb to jakaś ulga, jakieś ujście dla smutku. Dla niej stał się jedyną ulgą szalony, nie kończący się płacz nad listem od Puga.

Zamierzała się zatrzymać na noc w Chicago, ażeby zerwać z Kirbym, ale jego nie było w biurze, więc będzie musiała uczynić to w drodze powrotnej. W majestatycznym cieniu śmierci jej syna ten ich romans, ludzi w średnim wieku, wydawał się już nie tyle brudny i zły, co śmieszny. Był potrzebny obojgu, albo tak im się wydawało, więc dogodzili sobie wzajemnie. Taka jest prawda! A reszta to romantyczne złudzenie. Koniec z tym. Będzie do śmierci należała do Puga. Może być dla niej za dobry, a jego wielkoduszność przytłaczająca, spodziewała się jednak, że potrafi w latach, które im pozostały, stać się godniejszą takiego męża.

Lecz pod tą jak najszczerszą skruchą kryło się też przecucie, że sprawa z Kirbym osiągnęła swój szczyt. Na zakazanym owocu nie brakowało zbrązowiałych plam, ale w przyćmionym blasku pożądania nie rzucały się w oczy; trzeba dopiero ugryźć i posmakować tej niemiłej stęchlizny. Jej cywilny kochanek nie okazał się aż tak różny od wojskowego męża. Nie miał tak wielu pretekstów, aby ją zaniedbywać, mimo to wyłączał ją ze swego życia i zniknął na całe tygodnie, jak Pug. W odpowiedzi na jej nieszczęsny list rozwodowy Pug ostrzegł ją, że Fred Kirby jest zbyt podobny do niego samego, aby to się powiodło. Mądry, stary Pug! W gruncie rzeczy Palmer ją raczej lekceważył. Wiedziała o tym, choć dopiero po śmierci Warrena spojrzawszy tej prawdzie w oczy. Gdyby nastawała na to, mógłby się z nią ożenić, byłoby to jednak czyste usidlenie. Koniec końców jest po prostu idiotką, której stuknęła czterdziestka. Zdarza się to wielu kobietom i jej też się zdarzyło. Teraz już pragnęła tylko zakończyć tę sprawę i ocalić swoje małżeństwo. Myśli jej krążyły bez końca wokół tej centralnej decyzji, goniąc jedna za drugą, aż usnęła w kołyszącym się łóżku, przy smętnym pohukiwaniu sygnału z lokomotywy i w rytmicznym turkocie kół.

Młodzi ludzie w mundurach białych i khaki, w trzy dni później, roili się w hałaśliwej ciżbie na skwarnym dworcu w Los Angeles. Rhoda błąkała się w

tłumie, wypatrując rudej brody, a za nią spocony tragarz z jej walizkami.

- Tu jestem, mamó.

Kiedy odwróciła się i ujrzała go, szok tak pozbawił ją sił, że osunęła się bezwładnie w ramiona swego gładko wygolonego syna. Ubrany był w biały, galowy mundur, zbryzgany kolorami baretek frontowych, jego złote delfiny wyglądały jak złote skrzydełka, przytył na twarzy, a zwisający ukośnie z warg papieros dopełniał przerażającego podobieństwa do Warrena. Nigdy nie wydawali się jej zbyt podobni, ale ta ogorzała zjawa o surowym obliczu była niesamowitym stopem ich obu. Schowała twarz w jego wykrochmalony mundur i rozplakała się. Kiedy wreszcie odzyskała panowanie nad sobą, wykrztusiła, ocierając łzy z oczu: - Dostałam przepiękny list od ojca. Miałeś od niego wieści?

- Nie. Chodźmy. Mam tu samochód Madeline.

Za kierownicą osunął się niedbale, po swojemu, i uśmiechnął się ustami, których kształt nie zmienił się od dzieciństwa. - Schudłaś. Prześlicznie wyglądasz, mamó.

- Och, cóż to ma za znaczenie, jak wyglądam? - W jej oczach znowu wezbrały łzy i położyła dłoń na jego dłoni. - Tak tu gorąco, Byron, że ociekam potem. Od trzech dni tak naprawdę się nie kapałam. Śmierdę jak czarnuch.

Jego uśmiech stał się szerszy niż dotąd, nachylił się i ucałował ją. - Zawsze ta sama. - I wjechał na rozjarzoną od słońca aleję, wzdłuż której stały palmy i wysokie budynki; i w największy korek uliczny, jaki widziała w życiu.

- Co słyhać u Natalii? - Rhoda siliła się na serdeczne i naturalne brzmienie głosu. Imię żydowskiej synowej niełatwo jej przechodziło przez usta.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki i podał jej długą, wymiętą kopertę poczty lotniczej, na wpół pokrytą fioletowymi stemplami. - Od tego Sloté'a. Może będę musiał wybrać się do Szwajcarii.

- Co też ty, Byron! Do Szwajcarii? Jak to możliwe? W czasie wojny... a ty jesteś na służbie!

- Możliwe. Trudne, ale możliwe. Mogę przejechać pociągiem przez nie okupowaną część Francji albo polecieć z Lizbony do Zurychu. Kiedy skończy się ten kurs torpedowy, będę miał trzydzieści dni wolnego.

- Ale mimo wszystko, Byron! A gdybyś nawet się tam dostał, co wtedy?

Twarz Byrona stężała w wyraz uporu. - Nikt nie troszczy się o Natalię i dziecko jak ja. Mogę tam pojechać i sprawdzić. - Ilekroć tak wyglądał, należało zamilknąć; choć jego matka pomyślała sobie, że zwariował. List od Sloté'a zawierał jakiś galimatias na temat wizjazdowych i Brazylii, z czego i tak nic nie mogła zrozumieć.

Rhoda nigdy jeszcze nie była w Hollywood. Idąc przez bujną zieleń ogrodu hotelowego, zbryzganą kolorami rozkwitłych czerwono hibiskusów i fioletowej bugenwilii, zobaczyła prawdziwego gwiazdora filmowego, Errola Flynna, który w kąpielówkach siedział nad basenem z piękną, młodą dziewczyną, na pewno jakąś gwiazdką. Nie mogła powstrzymać podniecenia. - Zanim cokolwiek zrobię - odezwała się, kiedy Byron niósł jej walizki do przestronnej willi, którą Madeline dla nich wynajęła - muszę wziąć prysznic. Ale to w tej sekundzie.

- Gdzie masz list od ojca?

- Chcesz go już zaraz przeczytać?

- Tak.

Koperta była wyświechtana, arkusze urzędowego papieru z nagłówkiem U.S.S. Northampton przecierały się na zgięciach. Byron przysiadł w fotelu i pochylił się nad stronicami, zapisanymi znanym sobie, mocnym, marynarskim pismem ojcowskim, z energicznie przekreślonymi t i dużymi literami bez ozdobników.

Najdroższa Rhodo,

Z pewnością już dostałaś oficjalne zawiadomienie. Kilka razy próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale chyba lepiej, że mi się nie udało. Byłoby to bolesne dla nas obojga.

Nasz syn przetrwał bez szwanku najcięższy okres bitwy. Wracając z bojowych zadań przelatywał nad moim okrętem i kiwał do mnie skrzydłami. Warren zaliczył bezpośrednio trafienie bombą w japoński lotniskowiec. Zdaje się, że będzie odznaczony pośmiertnie Krzyżem Floty. Mówił mi o tym kontradmirał Spruance. To człowiek bardzo opanowany, ale kiedy mówił o Warrenie, miał łzy w oczach. Powiedział, że Warren "sprawił się wspaniale, po bohatersku", a Raymond Spruance rzadko używa takich słów.

Warren zginął ostatniego dnia, w czasie rutynowego lotu, mającego na celu dobijanie uszkodzonych okrętów wroga. Pocisk artylerii przeciwlotniczej trafił w jego samolot. Trzej koledzy z eskadry widzieli, jak spadał w korkociągu, w płomieniach, więc nie ma żadnej nadziei, żeby wodował i gdzieś pływał na tratwie albo że go wyrzuciło na jakiś atol. Warren nie żyje i już nigdy go nie zobaczymy. Został nam Byron, została Madeline, ale Warrena już nie ma i takiego jak on nigdy nie będzie.

Przyszedł mnie odwiedzić tuż przed bitwą i dał mi kopertę. Kiedy się dowiedziałem, że go zabito (a dowiedziałem się o tym dopiero wróciwszy do portu), otworzyłem ją. Zawierała przegląd jego finansów. Janice i tak nie potrzebuje martwić się o pieniądze, ale on nie chciał liczyć na bogatego teścia. Załatwił to w ten sposób, że przeniósł na nią fundusz powierniczy po twojej matce, jest również polisa ubezpieczeniowa, zapewniająca jego synowi wykształcenie. Jak ci się to podoba? Przed bitwą tchnął pewnością siebie i wesołością. Wiem, że spodziewał się przeżyć. A jednak pozałatwiał to. Do tej pory widzę, jak stoi we drzwiach mojej kabiny, z jedną dłonią na górnej framudze, ze stopą na progu, i mówi szczerząc zęby w tym beztroskim uśmiechu: "Jeżeli nie masz dla mnie czasu, to powiedz". Nie mam czasu! Niech mi Bóg przebaczy, jeśli kiedykolwiek dałem mu powód, żeby tak pomyślał. Nic w życiu nie sprawiało mi tyle radości, co rozmowa z Warrenem, a choćby patrzyenie na niego.

Upłynęło już sporo czasu, odkąd miałem od ciebie wiadomość, a prawie sześć miesięcy od ostatniego listu Madeline. Czuję się więc jakby odcięty od was i nie wiem, co ci doradzić. Gdybyś mogła zatrzymać się na jakiś czas u niej w New Yorku, może byłoby to nie najgorsze. Ta dziewczyna potrzebuje kogoś, a dla ciebie to nie jest odpowiedni moment, żebyś przebywała sama na Foxhall Road. Janice trzyma się dobrze, ale jest jakby zdruzgotana. Byron pewnie będzie ukrywał swe uczucia, jak zwykle, ale martwię się o niego. On ubóstwiał Warrena.

Właśnie napisałem raport bojowy z działań mego okrętu. Mieści się na jednej stronie. Nie oddaliśmy ani jednego strzału. Nawet nie widzieliśmy żadnej nieprzyjacielskiej jednostki. Warren w ciągu trzech dni wykonał chyba z tuzin lotów rozpoznawczych i bojowych. On i paruset takich młodych ludzi jak on wzięli na siebie cały ciężar wielkiej, zwycięskiej bitwy. Ja nie zrobiłem po prostu nic.

Jakaś postać mówi gdzieś u Szekspira: "Winniśmy Bogu śmierć". Rhoda, choćbyśmy nawet mogli cofnąć czas, do tego deszczowego wieczora w marcu 1939 roku, kiedy Warren miał wolne z Monaghana i powiedział nam, że się zgłosił na przeszkolenie lotnicze - jak to on, po prostu, nie robiąc z tego historii, tylko informując nas o fakcie dokonanym - i choćbyśmy nawet widzieli, co nas czeka w przyszłości, cóż innego mogliśmy zrobić? Miał ojca w wojsku. Chłopcy skłonni są iść w ślady swych ojców. Wybrał to, co najlepsze we flocie, jeśli chodzi o skuteczność działania przeciwko nieprzyjacielowi; udowodnił to! Mało który z mężczyzn w dowolnej armii, na dowolnym froncie, walcząc za swój kraj, zada wrogowi dotkliwszy cios, niż on to uczynił. Tak chciał. Osiągnął w życiu sukces i całkowite spełnienie. Chcę w to wierzyć i w pewnym sensie naprawdę wierzę.

A jednak, och, kim Warren mógłby się stać! Ja to wartość znana i skończona. Takich jak ja, oficerów z czterema galonami, jest tysiąc i jeden mniej czy więcej niedużo znaczy. Zyskałem rodzinę; można powiedzieć, że przeżyłem swe życie. Jakże mi się porównywać do tego, czym mógłby się stać Warren?

Tak, Warren nie żyje. Już nie czeka go sława. Kiedy wojna się skończy, nikt nie będzie pamiętał o tych, którzy znajdowali się w ogniu walki. W zapomnienie pójdą nazwiska admirałów, a nawet i nazwy bitw, które ocaliły nasz kraj. Teraz czuję, że mimo wszystkich przygnębiających wiadomości w końcu wygramy tę wojnę. Japończycy już nie otrzásną się z łomotu, jaki dostali od nas pod Midway, a sam Hitler nie poradzi sobie ze światem. Nasz syn pomógł odwrócić bieg wydarzeń. Znalazł się wtedy, kiedy trzeba, i tam, gdzie trzeba. Wziął swe życie we własne ręce, włączył się do walki i spełnił w niej swój obowiązek jako bojownik. Jestem z niego dumny. Ta duma nigdy mnie nie opuści. Będzie obecna w moich ostatnich myślach.

Inne sprawy muszę odłożyć do całkiem innego listu. Niechaj Bóg cię zachowa w zdrowiu.

Twój kochający Pug

Wynurzając się ze swego pokoju w jedwabnym szlafroku, Rhoda powiedziała: - Czyż to nie piękny list?

Byron nie odpowiedział. Siedział i palił cygaro, wpatrzony w pustkę, z twarzą bez wyrazu i z listem na kolanach. Zbita z tropu jego milczeniem i wyglądem, zagadała wesoło, czesząc się przed wielkim lustrem: - Przechowuję go. Wszystko to przechowuję: telegram, list od sekretarza Floty, wszystkie inne listy, nawet zaproszenie od Matek Złotej Gwiazdy i artykuł z Washington Herald. Ładnie napisany. Powiedz mi jeszcze coś o tym przyjęciu, Byron! Czy ona już nie pracuje u Hugh Clevelanda? Nie mogę się w tym połapać i... och, do diabła z tymi włosami! Nie ma światła i za mało czasu, poza tym nie mam ochoty.

- Owszem, pracuje u niego. Ale ta impreza to coś innego, tu robi się na ochotnika. - Byron podniósł się, wziął czerwono-żółty okólnik ze stosu, leżącego na stoliku do kawy, i wręczył jej. - Przyjęcie z bufetem, zanim się rozpocznie ten jubel.

Amerykański komitet na rzecz utworzenia natychmiast drugiego frontu Oddział w Hollywood

wiec gigant w czaszy hollywoodzkiej

Pod tym widniała ogromna, alfabetycznie ułożona lista uczestników: gwiazdy filmowe, producenci, reżyserowie, pisarze.

- Miły Boże! Cóż za obsada. O! jest nawet Alistair Tudsbury! Ależ to same znakomitości, nieprawdaż, Byron? "Koordynator programu: Madeline Henry!" Jak Boga mego jedyne! Ta mała naprawdę robi karierę w wielkim świecie.

W tym momencie wpadła Madeline. - Och, mam! - Gwałtowny okrzyk i towarzyszący mu mocny uścisk połączyły je we wspólnej zgryzocie. Madeline miała na sobie ciemną suknię, szeroką w ramionach, włosy elegancko ułożone, a mowa jej przypominała huragan. - Tak się cieszę, że przyjechałaś! Prędko! Myślałam, że będziesz gotowa, to ja chyba pojedę i powiem, żeby Hugh przysłał po ciebie limuzynę. Och, Boże, mamy tyle do pomówienia, prawda, mamusi? Całe to wariactwo skończy się tej nocy, dzięki Bogu, i nareszcie będę mogła odetchnąć.

- Kochanie, ależ ja tam nikogo nie znam, jestem zmęczona, nie mam w co się ubrać...

- Mam, przychodźcie oboje. Tudsbury z córką będą siedzieli w waszej łoży. Dlatego zostali, chcą cię zobaczyć. Na przyjęciu ich nie będzie, ale spotkasz tam wszystkie gwiazdy filmowe. Urządza to Harry Tomlin w swoim domu na Górze Widokowej, bajeczne miejsce, największy agent w branży filmowej. Ubierz się w byle co! Na pewno masz czarny kostium.

- No cóż, znosiłam go na śmierć w pociągu, ale... - Rhoda wyszła.

Byron wskazał na stos okólników.

- Mad, czy to nie jakaś banda komunistów?

- Nigdy w świecie, kochanie. Po prostu cały Hollywood. Ten ruch jest bardzo popularny. Rosja sowiecka to jedyny kraj, który naprawdę walczy z Hitlerem i umiera, więc natychmiast potrzebujemy drugiego frontu i musimy w tym celu rozpętać piekło. Wszyscy wiedzą, że Churchill nienawidzi bolszewików i nie chce się w nic mieszać, żeby Sowiety się całkiem wykrwawiły, w pojedynkę walcząc z Niemcami.

- Wszyscy to wiedzą? Ja nie wiem. A ty skąd to wiesz?

- Och, jak Boga kocham, Byron, czytaj gazety. Zresztą nie kłóćmy się o to, kochanie, bo nie warto. Ja się w to włączyłam, bo pomyślałam, że będzie nielicha zabawa, i rzeczywiście! chociaż trochę krew w żyłach mrożąca. Nawiązałam różne fantastyczne kontakty. Nie mam zamiaru wiecznie pozostać tą, co biega dla Hugh Clevelanda po kanapki.

- Miło mi to słyszeć.

Madeline odbywała długą i krzykliwą rozmowę przez telefon, na temat wiecu, z jakimś mężczyzną, do którego zwracała się: "Lenny, kochanie!", kiedy wkroczyła Rhoda, zapinając guziki u żakietu. - Chodźmy. I tak nikt nie zwróci na mnie uwagi. Będę uchodziła za czyjaś ubogą ciotkę z Dubuque.

Dom Harry'ego Tomlina okazał się rozległą, zamożną rezydencją z drzewa sekwojowego i szkła, otaczającą wielki taras z kamiennych płyt w kształcie prostokąta, z olbrzymim basenem, wykładanym niebieską glazurą. Z tego domostwa, usadowionego na szczycie przerażająco stromej betonowej drogi wiodącej w górę kanionu, roztaczał się wspaniały widok na Los Angeles, które teraz wyglądało jak zatopione miasto, migocące na dnie brązowego jeziora. Madeline przepadła w rozgadany tłum gości, przedstawivszy u wejścia matkę i brata mężczyźnie, który miał prowadzić wiec i nazywał się Leonard Spreregen, a który - jak wyjaśniła - zdobył dwie Nagrody Akademii Filmu za scenariusze. Rhoda stwierdziła, że jej obawy co do stroju były nieuzasadnione; nawet i Spreregen nie miał krawata, a kołnierzyk jego pomarańczowej koszuli wyłożony był na marynarkę w czarno-biały deseń w kurze łapki. Znow zawirowała im przed oczami Madeline, aby przedstawiać swą matkę i brata gwiazdom obojga płci, jednej za drugą, a wszyscy byli nadzwyczaj serdeczni. Rhoda dziwiła się, że wyglądają na dziwnie pomniejszonych, kiedy się ich ogląda jako istoty ludzkie, a nie jako poruszające się, wyolbrzymione cienie na płótnie.

- Jakim cudem ty poznałaś ich wszystkich, kochanie? - wykrzyknęła, przychodząc do siebie po miłym słówku i uśmiechu Ronalda Colmana.

- Och, poznaje się, mam, kiedy ma się z tym do czynienia. Zwyczajnie poznaje się. Na tym polega zabawa. Oho, idziemy.

Lokaje w białych kurtkach rozsuwali wysokie, chińskie kasetony, chowając je w ścianach, i ukazała się długa jadalnia z obficie zastawionym bufetem, przy którym dwaj kucharze ostrzyli noże nad parującymi szynkami oraz indykami. Kiedy goście ruszyli do jadła, za Madeline ustawiło się w kolejce kilku mężczyzn w doskonale uszytych mundurach armii. Szepnęła Byronowi, że są to faceci z Hollywood, produkujący filmy szkoleniowe. Wyjaśniła, że Hugh Cleveland ma to na oku. Dostał wezwanie do wojska; chce mieć furtkę w razie, gdyby mu się dobrali do skóry. Wystrzeliła z tym bez ogródek i dopiero potem spostrzegła wyraz twarzy swojego brata. - No cóż, rozumiem, jakie to na tobie musi sprawiać wrażenie ale...

- A na tobie jakie to sprawia wrażenie, Madeline?

- Briny, Hugh ma do mechaniki antytalent. Ołówka nie potrafi zaostrzyć. Z bronią w ręku byłaby to całkowita oferta.

Przeszli z jedzeniem do stolika na tarasie, gdzie przysiadł się do nich Leonard Spreregen i wszczął z Madeline rozmowę na temat wiecu, coś przy tym notując na bloczku. Zachowywał się nerwowo i z ożywieniem, a wymowę miał czysto nowojorską. Madeline zerwała się z okrzykiem: - O mój Boże, trębacze

do zbiorowego śpiewu, no tak! Przepraszam cię, Lenny. Wiedziałam, że o czymś zapomniałam. Zaraz wrócę.

- Cóż to za uroczne przyjęcie - odezwała się Rhoda do Spreregena, spoglądając na ściany pokryte obrazami francuskich impresjonistów - i jaki wspaniały dom!

Odpowiedział jej miłym uśmiechem. Był niski, chudy, miał gęste i kręcone, jasne włosy i jastrzębi profil, a głos niski, prawie basowy. - Cóż, pani Henry, jest w tym dziesięć procent mojej krwawicy, ale nie mam o to pretensji, Harry to nadzwyczajny agent. A pan, poruczniku, co sądzi o drugim froncie?

- No, niezbyt rozumiem - rzekł Byron, pałaszując kopiastą zawartość swego talerza - przecież mamy już cztery czy pięć frontów, nie?

- Ach, przemówił wojskowy pedant! - kiwnął głową Spreregen, obrzucając Byrona przenikliwym spojrzeniem, rejestrującym baretki i delfiny. - Może ściślejsze byłoby określenie: "Komitet na rzecz Natychmiastowego Utworzenia we Francji Drugiego Frontu przeciwko Niemcom". Ale wiadomo, co mamy na myśli. Chyba za tym pan by się opowiedział?

- Nie wiem, czy teraz jest to wykonalne.

- Przecież domaga się tego mnóstwo autorytetów wojskowych. - Ale tym autorytetem, który się liczy, są szefowie sztabu sił alianckich.

- Otóż to - przemówił Spreregen, jak gdyby do bystrego ucznia - a szefowie sztabu nie mogą podskoczyć swoim politycznym mocodawcom. Z motywów ekonomicznych i politycznych mogą wynikać głupie decyzje militarne, poruczniku. A płacicie za to wy, którzy walczyacie. Reakjoniści chcą, ażeby Hitler zniszczył Związek Radziecki, zanim oni jego wykończą. Reakjoniści mają mocny głos, ale głos ludu jest mocniejszy. Dlatego właśnie tak istotną rolę odgrywają wiecie, takie jak ten.

Byron potrząsnął głową i rzekł łagodnie: - Wątpię, aby mogły one wpłynąć na strategię. Dlaczego nie urządzenie wiecu na rzecz Żydów europejskich? Takie wielkie imprezy propagandowe mogłyby im naprawdę pomóc.

Rhoda zamrugła na syna. Spojrzenie Leonarda Spreregena, gdy padło słowo "Żydów", spochmurniało, jego wargi się zacisnęły i usiadł prosto, odkładając nóż i widelec na gorący płat szynki. - Jeżeli pan mówi poważnie...

- Jak najpoważniej.

Spreregen zagadał prędko i terkotliwie: - Nie jestem pewien, przyjacielu, co tam u nich się naprawdę dzieje i nie sądzę, żeby ktoś to naprawdę wiedział, ale właściwy sposób na to, aby położyć kres całemu temu nieszczęściu, to zdruzgotać Hitlera przez natychmiastowe utworzenie drugiego frontu.

- Aha - rzekł Byron.

- Przepraszam. Miło mi było panią poznać - rzekł Spreregen do Rhody i oddalił się, porzucając swój talerz.

Niebawem zjawiała się Madeline i spojrzała ze zmarszczonym czołem na Byrona. - Wiesz co, Briny, jadąc na wiec podrzucimy cię do hotelu.

- Co u licha! - wykrzyknęła Rhoda. - Skąd taki pomysł?

- Lenny Spreregen mówi, że Briny wyskoczył do niego z czymś antysemitycznym.

Rhoda zamrugła w zaskoczeniu. - Co takiego? Ależ to zupełny idiota! On tylko powiedział...

- Mniejsza o to, mamusi - rzekł Byron. - Wybiorę się z wami.

`cp2

Nad głównym wejściem do Czaszy Hollywoodzkiej kołysał się olbrzymi żółty transparent z czerwonym napisem:

Jankesi nie spóźnią się

Wpływała tam rzeka samochodów, a z pobliskich ulic gromady ludzi ciągnęły pieszo w kierunku Czaszy. Ale jakkolwiek wejście zdawało się zatłoczone, w

wielkim amfiteatrze raczej skąpe audytorium skupiało się w pobliżu scenicznej muszli, pod kondygnacją łóż. Na górnej pochyłości słońce, padające z ukosa, barwiło czerwienią całe rzędy pustych miejsc. Ponad muszlą, przybraną trzema wielkimi sztandarami - brytyjskim, amerykańskim w gwiazdy i pasy oraz czerwonym z żółtym sierpem i młotem - wyginały się w łuk olbrzymie, wycięte litery:

Drugi front już

Alistair Tudsbury, w opinającym tłuste ciało garniturze z krepy i z przepaską na oku, niezgrabnie dźwignął się i pocałował Rhodę, kiedy weszła do łoży. Pamela uśmiechnęła się sympatycznie, ale oczy miała podpuchnięte, twarz obrzmiała i nie umalowana, była prawie nie uczesana; z jej wyglądu można by sądzić, pomyślała Rhoda, że niezbyt jej zależy na życiu. Do łoży wpadła Madeline. Panika za kulisami! Dwie gwiazdy wycofały się z występów, trzecia dostała zapalenia krtani, więc gorączkowe przesunięcia w programie sprawiły, że Tudsbury znalazł się w roli zamykającego imprezę, już po zbiorowym śpiewie. Czy nic nie ma przeciwko temu? Tudsbury się zgodził, zauważwszy tylko, że jego wystąpienie z pewnością nie będzie zbyt podniosłe.

- Ależ będzie, będzie. Pan ma autorytet! - zapewniła Madeline. - Szkoda, że nie ściągnęliśmy większego audytorium. Pobieranie opłaty za wstęp było dużym błędem. - Wybiegła.

Program okazał się nudny i od sasa do lasa, trochę śpiewu i tańca przy dwóch fortepianach, trochę przemówień, z domieszką wymuszonych chwytów komediowych. Gwoździem wieczoru była pieśń, zatytułowana Reakcyjna Szmata, w której aktorzy, przebrani za brzuchatych bogaczy w cylindrach i zakietach, ze znakiem dolara na przepasanych biało brzuszyskach, wyglupiali się, głośno wyrażając sympatię do Związku Radzieckiego, ale wyszukując groteskowe powody, aby nie udzielić mu pomocy militarnej. Zbiorowy śpiew opierał się na wielu głosach, odzywających się w różnych miejscach amfiteatru - robotnik z huty stalowej, nauczycielka, robotnik rolny, pielęgniarka, Murzyn i tak dalej - z których każdy domagał się utworzenia natychmiast drugiego frontu; te solowe deklamacje przetykane były uroczystym, jednogłośnym odczytywaniem przez całe audytorium, z kartek odbitych na powielaczu, cytatów z Peryklesa, Szekspira, Lincolna, Bookera T. Washingtona, Toma Paine, Lenina, Stalina i Carla Sandburga, podczas gdy orkiestra z cicha wtórowała im grając Hymn bojowy Republiki. Punktem kulminacyjnym był wściekle synkopowany krzyk widowni, powtarzany crescendo przy akompaniamencie trąb:

Utworzyć ten drugi front

Utworzyć ten drugi front

Utworzyć ten drugi front

Już! Już! Już! Natychmiast!

Wszystko to zakończyło się wielkim aplauzem i głośnymi okrzykami entuzjazmu.

Owacja na stojąco powitała Tudsbury'ego, gdy zapowiedziany przez Leonarda Spreregena wykuszykał na scenę.

- 22 czerwca 1941 roku, co na pewno wszyscy tu pamiętają - głos jego zagrzmiał przez megafon po całym ogromnym, na wpół pustym amfiteatrze, spoczywającym teraz w półmroku pod bladym księżycem - Niemcy hitlerowskie napadły na Związek Radziecki. 23 czerwca 1941 roku London Observer wydrukował moją rubrykę z nagłówkiem: Natychmiast utworzyć drugi front.

Po tych słowach tłum znów zerwał się na równe nogi. Ale gdy mówił dalej, w Czaszy zapadła absolutna cisza. Realia sytuacji wojskowej, podjął, trudno było wówczas pojąć i sprostać im. Dopiero gdy spędził kilka miesięcy w Moskwie podczas najcięższej ofensywy niemieckiej, miesiąc w upadającym Singapurze i tydzień na Hawajach, przed bitwą i po bitwie o atol Midway, zrozumiał tę wojnę, toczącą się w skali globalnej.

Teraz już wie, że jakikolwiek poważny atak na wybrzeża Francji w 1942 roku w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jak dotąd zaledwie szczypta lądowych wojsk amerykańskich przybyła do Anglii. Niemieckie U-Booty nadal są zabójczą i bezlitosną barierą, która uniemożliwia szybkie pomnożenie tych sił. Aby opanować to zagrożenie, konieczna jest długotrwała walka. Natarcie przez Kanał La Manche w chwili obecnej musiałyby polegać w całości na siłach brytyjskich. Tymczasem siły Wielkiej Brytanii są już rozproszone o wiele za skąpo i za szeroko. Dowiódł tego upadek Singapuru! Jakiegokolwiek działania brytyjskie we Francji osłabiłyby do tego stopnia front w Chinach, Indiach i Birmie, że obronę ich musiałyby przejąć Stany Zjednoczone - natychmiast i na ogromną skalę - z pomocą wszystkich sił, jakie zdołałyby się przedostać przez flotę japońską. Bo gdyby Indie albo Australia dostały się w ręce Japończyków, to nawet klęska Niemiec hitlerowskich nie przyniosłaby zwycięstwa w tej wojnie, ani też nie zapewniłaby, że Związek Radziecki się uratuje.

- W tej wojnie, moi przyjaciele - oświadczył Tudsbury tonem znużonym, ale stanowczym - środek ciężkości znajduje się w Azji Wschodniej. Druga wojna światowa tam się zaczęła, na trasie Marco Polo, a nie w Polsce. Chiny toczą tę wojnę już bez porównania dłużej, niż ktokolwiek inny. Jeżeli tam Japonia zwycięży, Rosję czeka zagłada. Japonia zmobilizuje przeciw Związkowi Radzieckiemu niewiarygodne zasoby Indii, Chin oraz Indii Wschodnich. Na granice Syberii zwali się nowa Złota Orda, uzbrojona w czołgi, myśliwce Zero, z siłami ludzkimi i zasobami naturalnymi, górującymi nad Zachodem w stosunku jak dziesięć do jednego. Prawdziwy drugi front, o którym nie pamiętamy, znajduje się w Chinach, Indiach i Birmie. Ten front musimy utrzymać, jeżeli cywilizacja ma przetrwać.

Tu na widowni zerwało się kilka gwizdów.

- Perspektywy na dalszą przyszłość są dobre - wyzywająco zagrział Tudsbury. - Nasi żołnierze, którzy zginęli w Singapurze, i wasi, którzy zginęli na Filipinach, nie umarli na darmo. Swoją śmiercią uniemożliwili Japończykom zdobycie w przewidzianym czasie Indii i Australii. Teraz wojna toczy się przede wszystkim o to, żeby zyskać na czasie. Potęga przemysłowa waszego kraju jest kolosalna, ale trzeba czasu, żeby ją uruchomić. Zdumiewa mnie, jak niewiele was tu interesuje własne zwycięstwo pod Midway. Gdyby wasza flota przegrała tę bitwę, może już dzisiejszego wieczora uciekalibyście z Kalifornii. Wasi lotnicy i marynarze, którzy tam polegli, oddali życie za całą ludzkość.

W amfiteatrze narastało pokasywanie, ludzie manifestacyjnie ziewali i spoglądali na zegarki.

- Drugi front we Francji? Owszem, ja też jestem gorącym zwolennikiem utworzenia takiego frontu. Związek Radziecki jest w coraz to cięższych tarapatkach. Ale Rosjanie są mocni. Wytrzymają. Przyjemnie sobie wyobrazić, jak to miliony męźnych żołnierzy anglo-amerykańskich natychmiast ruszają do natarcia przez Kanał La Manche. Ale to marzenie senne i tyle. We właściwym czasie zgnieciemy państwa Osi nawałą wojska i siły ogniowej. Ale na razie walczymy o to, żeby zyskać na czasie i żeby dokonać przełomu na wielu frontach; w tym również na froncie wewnętrznym. Ostatnia rzecz, jaką chciałbym powiedzieć wam, tutaj, na froncie wewnętrznym, brzmi następująco: Polegajcie na honorze swoich przywódców i zaufajcie im. Są to wielcy ludzie; i prowadzą wielką wojnę.

Kiedy utykając schodził ze sceny, pożegnały go watale oklaski oraz mieszające się z nimi gwizdy i kocie wrzaski. Tłum zaczął się rozchodzić szemrając.

Jakiś łysy mężczyzna w krzykliwej marynarce mówił krzykliwym głosem do ślicznej dziewczyny, kiedy wychodzili z łoża przyległej do łoża Byrona: - Ciągłe próbuje trzymać się swojego Imperium, co? To po prostu żałosne.

Wracający w towarzystwie Madeline do ich łoża Tudsbury powiedział wesoło:

- Ale huczna kłapa, no nie?

- Dobra robota - rzekł Byron.

Rhoda zerwała się, ucałowała Tudsbury'ego i przemówiła rozdygotanym głosem: - Nigdy panu nie zapomnę tego, co pan powiedział o Midway. Nigdy w życiu.

- To było naprawdę przekonujące - ze wściekłością w głosie odezwała się Madeline. - Ale ten motłoch się nie zmienia i nigdy nie zmieni. Może gdzieś tam coś dotarło do zakutego łba. Muszę iść i ratować sytuację.

Kiedy Madeline znów wybiegła; Pamela wstała. - Dobrze się bawiłeś, Gaduło?

- I owszem, zwłaszcza obserwując, jak do nich stopniowo dociera, że nie jestem jednym z nich, tylko znów jakiś Angol wkręcił się tu jak żmija. To było coś pięknego.

- Co za odwaga - rzekła Rhoda. - Pug właśnie tak by powiedział jak pan... oczywiście nie umiałyby się tak pięknie wyrażać.

- Pug nie mieszałby się w to, i ja też nie powinienem - odparł Tudsbury. - Ale chcieliśmy się z panią zobaczyć, pani Henry, więc może byśmy wstąpili teraz na drinka do naszego hotelu? Pamela i ja odlatujemy jutro do Nowego Jorku.

Gdy wychodzili, Rhoda w ścisku znalazła się tuż obok Pameli, która odezwała się do niej cicho i pośpiesznie: - Pani Henry, czy mogłybyśmy jutro rano zjeść razem śniadanie, tylko we dwie?

`cp2

Nazajutrz siedziały naprzeciw siebie przy stoliku na kółkach, nakrytym obrusem, na trawniku przy basenie, jedząc śniadanie złożone z melonów, tostów i kawy. Był cudowny kalifornijski dzień: upalne słońce, nieskazitelnie błękitne niebo, zapach trawy i palm, odświeżający wietrzyk poruszał jaskrawo czerwone kwiaty na żywopłotach z hibikusu. W basenie nurkowali, pływali, śmiali się dwaj młodzieńcy i trzy dziewczęta, błyskając burzową skórą, a ich żarty były radosne i proste jak okrzyki ptactwa w zalotach. Pamela wyglądała dziś dużo lepiej, twarz miała starannie zrobioną, włosy jej opadały za uszy w długich, połyskliwych falach. Szara sukienka bez rękawów ukazywała przedziałek między jej białymi piersiami. Rhoda zapamiętała, jak ta dziwna, młoda kobieta, trzepocąca się w ślad za swym ojcem jak mewa za płynącym transatlantykiem, zwykła się przeobrażać od myszowatości do uwodzicielskiego powabu i na powrót. Może akurat dzisiejszego ranka, pomyślała Rhoda, ma się spotkać z mężczyzną. Sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej.

Kiedy gawędziły sobie o niczym, Rhoda wspomniała, że zależałoby jej na kopii przemówienia, które wygłosił Tudsbury, bo chciałyby je posłać mężowi.

- Nic prostszego. Dostarczę ją pani - odpowiedziała natychmiast Pamela tym kulturalnym akcentem brytyjskim, który czynił takie wrażenie na Rhodzie i tak ją zachwycał. - Sama to napisałam.

- Ależ to jego styl jak żywy!

- Och, tak, ja go nieźle podrabiam, kiedy ojciec jest niedysponowany albo ma przyływ lenistwa.

- A co z tą przepaską na oku, Pamelu?

- Wrzód na oku. Czeka go operacja. Bylibyśmy już teraz w Londynie, ale Madeline wspomniała o pani przyjeździe, więc jeszcze zostaliśmy. Strasznie mi zależało na rozmowie z panią.

- Doprawdy? O czym?

- O pani mężu. Kocham go.

Rhoda zerwała sobie ciemne okulary z oczu i wlepiła je w tę angielską dziewczynę, która siedziała przed nią wyprostowana, z podniesioną głową i z wojowniczym błyskiem w szeroko rozwartych oczach. Pierwsze, co Rhoda sobie przytomnie pomyślała, jeszcze przez mgłę zaskoczenia, to że Pamela jest

naprawdę groźną rywalką, jeśli Pug rzeczywiście na nią leci. Niech powie swoje, pomyślała, niech ujawni, co chce ujawnić. Rhoda tylko się jej przyglądała, bawiąc się okularami i popijając kawę.

- Wiem, że pani zażądała rozwodu - rzekła Pamela - i że on poprosił, aby pani to jeszcze przemyślała.

- Przemyślałam! - Rhoda skorzystała czym prędzej z okazji. - Już dawno temu. Ta sprawa jest nieaktualna. Zdaje się, że on się pani zwierzał.

- Och, tak, pani Henry - odrzekła posępnie Pamela. - Zwierzał mi się.

- Czy pani miała romans z moim mężem?

- Nie. - Spojrzenia ich zetknęły się badawczo. - Nie, pani Henry.

Niestety pozostał pani wierny.

Rhoda dostrzegła w oczach Pameli szczerłość. - Naprawdę? Pani jest po prostu śliczna.

- Taki już z niego osioł. - Pamela zbyła komplement wzruszeniem ramion. - A byłoby nam cudownie. Poza tym zaszczyt przypadłby po równi wam obojgu.

Jej ton i słowa uraziły Rhodę. Odpowiedziała zjadliwie: - Czy aby mój mąż nie jest dla pani za stary?

- Pani mąż jest najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu, pani Henry, i to pod każdym względem, nie wyłączając lojalności, którą wykazał się w stosunku do pani, a z której wynikła moja przegrana.

W jej głosie zabrzmiała namiętność, dla Rhody aż niepokojąca. Dostrzegła różnicę między młodą skórą Pameli a swoją własną, podziwiała uroczą szczupłość jej ramion - Rhoda teraz już musiała swoje ramiona ukrywać, bo zaczęły się robić coraz to obrzydliwiej obwisłe - i mogła też pozazdrościć tych piersi. Cichy głos w jej myślach wyszeptał, że Pug rzeczywiście był osłem, chociaż błogosławiła go za to. - Czy widzieliście się jeszcze po... po Midway?

- Owszem, widywaliśmy się dużo i często. W całej swojej udręce wciąż martwił się o panią, jak pani to znosi, co mógłby uczynić, żeby panią pocieszyć. Nawet się zastanawiał, czy nie mógłby wystąpić o urlop okolicznościowy. I wyprawił mnie stamtąd, choć próbowałam zostać. To człowiek rodzinny do szpiku kości. Jeśli pani może przedostać się na Hawaje, proszę to zrobić. Jest mu pani potrzebna. Jeżeli kiedykolwiek miałam u niego szansę, śmierć waszego syna zniszczyła je.

Przytykając chusteczkę do oczu, Rhoda ledwie zdołała wykrztusić: - Biedny Pug.

- Było z pani strony głupotą ryzykować, że go pani utraci. Nie rozumiem pani zupełnie i myślę, że postąpiła pani jak zupełna idiotka, ale proszę tego więcej nie robić. - Pamela sięgnęła po torebkę. - Mówi pani, że to już minęło.

- Tak, tak. Absolutnie i raz na zawsze.

- W porządku. Otóż ma pani życzliwą osobę, która napisała do pani męża kilka anonimowych listów o pani i jej kochanku. Jeżeli brakuje pani powodu, aby z tym skończyć, niech przynajmniej to będzie powodem.

- Ach, Boże! - jęknęła Rhoda. - I co było w tych listach?

- Proszę zgadnąć! - ucięła kaśliwie Pamela. Już łagodniej przemówiła: - Przykro mi ranić panią w tym nieszczęściu, ale nie chcę, żeby pani jego raniła jeszcze bardziej. I dlatego zależało mi na tej rozmowie. Tekst przemówienia wyślę do pani przez posłańca. Nasz samolot odlatuje za parę godzin.

- Czy obieca mi pani więcej nie spotykać się z moim mężem?

Twarz Pameli stężała. Przyjrzała się dłoni, którą do niej wyciągnęła Rhoda - szczupłej, długiej, pomarszczonej, o mocnych palcach - i wpatrzyła się gniewnie w jej oczy. - To niemożliwe! Nad przyszłością nie mamy władzy. Ale teraz nie stoję pani na drodze, proszę być tego pewną. - Obejrzała się na młodych, jak wycierają się i chichoczą na krawędzi basenu, i złagodniała. - Dziwna to była rozmowa, prawda? Taka wojenna rozmowa.

- Jestem oszołomiona - rzekła Rhoda. Obydwie wstały.

- Jeszcze jedno - rzekła Pamela. - Pani syna Warrena spotkałam tylko raz, na Hawajach, tuż przed bitwą. Bił z niego jakiś dziwny blask, pani Henry. To nie jest moja wyobraźnia; mój ojciec również to wyczuł. Coś niemalże boskiego. Ponieśliście okropną stratę. Ale macie jeszcze dwoje wspaniałych dzieci. Mam nadzieję, że pani i mąż zdołacie się wzajemnie pocieszyć i kiedyś znowu będziecie szczęśliwi. - Szybkim, kocim ruchem pocałowała Rhodę w policzek i śpiesznie wyszła z ogrodu.

Rhoda podeszła do stojącego w słońcu szezlonga i osunęła się na niego, zaskoczona aż do osłupienia. Kiedy to Pug w swoich listach wspominał o Pameli Tudsbury? Z Londynu latem 1940 roku; z Moskwy pod koniec 1941; i ostatnio z Hawajów. Oczywiście poza tym ojciec i córka to wpadali również do Washingtonu, to z niego wyjeżdżali. W liście opisującym uroczystą kolację w Moanie przed bitwą Pug napomknął o "małej Tudsbury" i jej schorowanym wyglądzie na skutek dezynтерии.

Biedny Pug! Taki kamuflaż? Czy próba zduszenia romantycznych drgnięć we własnym sercu, pełnym zahamowań?

Jakby w kryształowej kuli, Rhodie ukazywały się w iskrzącej, niebieskiej czaszy opustoszałego basenu obrazki: Pug i Pamela spotykający się w tych odległych miejscach, nie kochając się, może i nie całując, tylko po prostu razem, dzień po dniu, co wieczór, tysiące mil od domu. W bolesnym, znaczącym uśmiechu na twarzy tej kobiety kryła się Ewa, znająca jakiś sekret Adama. Rhoda pomyślała sobie, że Pamela opowiedziała jej niezłą historię, ale stary Pug nie mógł być aż takim czystym Józefem, na jakiego wyszedł w jej wersji. Rhoda wiedziała o tym coś niecoś. Ten rodzaj namiętności, jaki rozgorzał w Pameli Tudsbury, nie wybucha sam z siebie. Jakoś tam, wprost albo nie wprost, Pug zalecał się do tej dziewczyny. Może i poprzestał na stosunku platonicznym, żeby i zachować swoje szlachetne ciastko, i zarazem je skonsumować; ale mogli też sypiać ze sobą. Trudno powiedzieć. A co do wyrazu szczerości w oczach Pameli, to Rhoda wiedziała o tym coś niecoś.

Okropna była myśl o tych anonimowych listach. Co za wredna pinda to uczyniła? Jednakże między nią wraz z jej własnym poczuciem winy a jej małżonkiem, okazuje się, nie było aż takiej różnicy! Była zazdrosna o Pamelę i bała się jej; a Pug stał się bardziej atrakcyjny niż dotąd. Poczwała raptem dla starego milczka jakiś ciepły, niezwykle dreszcz erotycznej pożądlivosti. Wyrzeczenie się go ze strony Pameli, oczywiście, nie miało większego znaczenia. Pug odprawił Pamelę, tak jak ona zamierzała odprawić Palmera Kirby. Może nigdy się nie dowie, do czego między nimi naprawdę doszło. Czy zadać mu kiedyś to pytanie? Otóż i ciekawy problem taktyczny.

Wzdrygnąwszy się na swym szezlongu Rhoda Henry uświadomiła sobie, że na chwilę zapomniała o śmierci Warrena.

`ty

34

`ty

Louis w łóżeczku przestępował z nogi na nogę, hałaśliwie szarpiąc za boczne poręcze. Siena w lecie była jak rozżarzony piec i dziecko źle znosiło ten upał, kapryśne i drażliwe jak wysypka, która upstrzyła je od stóp do głów. Na biurku leżały w pogotowiu pieluszka i cienka, biała koszulka. Pewnie rozryczy się, kiedy Natalia zacznie go ubierać do podróży autobusem, więc odkładała to na ostatnią chwilę. Właśnie dociągała rzemienie na walizkach, pocąc się z wysiłku, gdy zajrzał Aaron. - Samochód będzie tu za pół godziny, kochana.

- Wiem. Jestem gotowa.

W starym granatowym berecie i wyświechtanym szarym ubraniu wyglądał jak

pierwszy lepszy Włoch z autobusu. Natalia zastanawiała się, czy go przestrzec, aby zrezygnował ze swoich zwykłych, efektownych strojów podróżnych. Na szczęście sam, szykując się do tego wyjazdu, potrafił okazać rozsądek. Teraz podniósł oczy na zapleśniały sufit z łuszczącym się freskiem w cherubinki. - Ależ tu wszystko niszczeje. Dotychczas nie zwracałem na to uwagi. - Z gestem w stronę otwartego okna i odległej katedry dodał, wychodząc: - Ale nieprędko będziesz miała ze swojej sypialni taki widok, jak tutaj, prawda?

Dla Natalli wyjazd ciągle był jakby nierealny. Ileż to razy opuszczała już na dobre tę zakazaną willę w Toskanii; ileż to razy oglądała na powrót, ze ściśniętym sercem, tę starą bramę z pawiem wykutym z żelaza, ten spēkany, żółty, stiukowy mur ogrodu, tę wieżę z czerwoną dachówką na szczycie, gdzie sypiał Byron! Jak beztrąsko się czuła, kiedy przybyła tu po raz pierwszy w 1939 roku, zamierzając pozostać co najwyżej parę miesięcy, dopóki nie odzyska Lesliego Slotę; i okazało się, że to ruchome piaski! Prześladowały ją wspomnienia pierwszej nocy, spędzonej w tym pokoju: stęchła woń łoża z satynowym baldachimem na czterech słupach, szczur głośno chroboczący w ścianie, grzmot burzy z piorunami, niesamowicie oświetlona błyskawicami Siena w ramach otwartego okna, jak pejzaż Toledo u El Greca.

Nękały ją w ostatniej chwili wątpliwości. Czy dobrze robią? Wreszcie przystosowali się jakoś do znośnej egzystencji w areszcie domowym. Nie nachodził ich tu nikt oprócz Wernera Becka. Dziecku nie brakowało mleka - wprawdzie koziego, ale Louis kwitł na tym pokarmie - i jedzenia też mieli dosyć. Dom bankierski Monte di Paschi, wiedząc o bogactwie, jakim Aaron rozporządza w New Yorku, zawsze ich zaopatrzył w pieniądze. Wszystko to prawda. Poszła jednak za głosem instynktu, po ostatnim spotkaniu z Beckiem, i teraz kości zostały rzucone. Od tamtej pory Aaron obchodził się z Beckiem jak z jajkiem, przysyłając mu szkice audycji, aż nareszcie wyłudził oficjalne zezwolenie na wyjazd z upalnej Sieny i spędzenie tygodnia czy dwóch nad morzem, u państwa Sacerdote, w ich domu na plaży Follonica.

Rzemienie na obu walizkach już były dopięte. Jedna z nich zawierała wszystko, co potrzebne Louisowi, a druga to, bez czego ona sama nie mogła się obejść. Instrukcje od Rabinowicza były wyraźne: "żadnego bagażu poza tym, co sami zdołacie unieść, idąc 30-7|km pieszo i z dzieckiem". Od chwili otrzymania tej wiadomości Natalia codziennie robiła pieszo dziesięć kilometrów. Na stopach jej najpierw powyskakiwały pęcherze, potem zamieniły się w zgrubiałą skórę; i poczuła się w formie. Cóż to był za szok, gdy Castelnuovo wręczył jej zwiniętą bibułkę do papierosów i szkło powiększające! - Jak na filmie, co? - powiedział. Teraz trzeba się było pozbyć tej bibułki. Wyjęła ją z portmonetki i rozwinęła, położywszy sobie na dłoni.

"droga Natalio ciesz się z twego przyjazdu powiedz stryjowi że nie możecie mieć żadnego bagażu poza tym co sami zdołacie unieść idąc 30-7|km pieszo i z dzieckiem zależy mi na twoim dziecku i na tobie wszystko będzie dobrze całuję"

Wciąż jeszcze poruszały ją te drobniutkie słówka, ledwie dostrzegalne gołym okiem. Od Byrona nie dostała listu już od wielu miesięcy. Te kilka, które w ogóle dostała, zaczytała niemal na strzępy. Jej wspomnienia o Byronie były wiecznie takie same, jak stare filmiki rodzinne, które wyświetla się w domu. Jej życie i jego przez ostatnie dwa lata rozchodziły się, każde w swoją stronę i już nawet nie była pewna, czy on żyje. Z jego ostatnich listów, dostarczanych przez Czerwony Krzyż - pisanych w Albany, malutkim miasteczku w południowo-zachodniej Australii, wiele miesięcy temu - wynikało, że wojna go przeobraża; nie wydawał się już ani trochę podobny do lekkomyślnego, eleganckiego młodzieńca, który ją oczarował. Wiadomość, że doktor Castelnuovo pozostaje w kontakcie z Rabinowiczem, i króciutki list na bibułce wprawiły ją w zamęt, który nie ustępował, chociaż zdrowy

rozsadek mówił jej, że w słowach Palestyńczyka nie kryje się nic oprócz żydowskiej serdeczności.

Trudno jej było pozbyć się tego papierka, jednak zwinęła go w malutką kulkę i splukała przez odpływ wanny. Ubrała dziecko; potem rozejrzała się ostatni raz po sypialni, przypominającej ogromne, ufryzowane pudło słodocy, i zapatrzyła się na wielkie łoże, w którym już od lat nie zaznała objąć mężczyzny, tylko jałowych, drażniących snów i fantazji.

- Chodź, Louis - odezwała się. - Wracamy do domu.

Nie było żadnych pożegnań ze służbą. Aaron zostawił szafy pełne odzieży, nietkniętą bibliotekę i na biurku poukładane w stos teczki z brudnopisami swej książki o Lutrze. Natalia wydała służącej i ogrodnikom polecenia, jakie roboty mają być wykonane, kiedy wróci tu za dwa tygodnie. Ale służba ma swój rozum, szczególnie Włosi. Kucharka, służąca i dwaj ogrodnicy stali w szeregu przy żelaznej bramie. Ich pożegnania zabrzmiały wesoło, ale oczy mieli poważne i zachowywali się jakoś niezręcznie. Kucharka dała dziecku długiego cukierka i płakała, gdy odjeżdżali.

Za kierownicą samochodu państwa Sacerdote siedział markotny syn, mający pozostać w Sienie, który - jak podejrzewano w rodzinie - pobierał nauki wiary katolickiej ze względu na swoją chrześcijańską dziewczynę. Antysemitki prawo zabraniało konwersji, ale w Sienie faszystowskie rozporządzenia często były ignorowane. W jasnej, rozchełstanej pod szyją koszuli, z gęstą i rozczochraną czupryną, z papierosem zwisającym z jednego z opuszczonych kącików ust, młody człowiek, nie odzywając się ani słowem, odwiózł ich na niemalże bezludny Piazza del Campo i tam ich zostawił.

Siena nigdy nie tętniła życiem; teraz wydawała się prawie nie zamieszkana. Nieliczne stragany na rozległym placu świeciły pustkami i nikt ich nie pilnował. Później, jeżeli z wybrzeża przyjedzie jakaś ciężarówka z jarzynami albo z rybami, może będzie się trochę kupować i sprzedawać, ale niedużo; system kartkowy obejmował wszystko, aż do czosnku i cebuli włącznie. Długi cień wieży Palazzo Publico przelewał się po rozgrzanym bruku i kilku plotkujących gadułów mechanicznie przesuwało się razem z nim jak figurki na olbrzymim zegarze słonecznym. Natalia i Aaron siedzieli przed jedyną czynną kawiarnią, popijając namiastkę oranżady o metalicznym posmaku. Przypominała sobie ryczący tłum, jaki w czasie Palio wypełniał ten amfiteatr renesansowych pałaców, tęczową paradę różnych contrade, szaleństwo wyścigów konnych: wszystko zamarło, przeszło! Lata jej życia upływały jałowo w tym mieście, które ominęła historia. Dziwactwem było, że Aaron właśnie tu się postanowił osiedlić; ale że ona podzieliła jego wygnanie, to już było niezrozumiałe zboczenie.

Samochód wrócił i młodzieniec burknął, że autobus zaraz odjedzie. Ze względu na policję woleli nie czekać na przystanku. Przepustka na wyjazd do Follonica była niezwykłym dokumentem, wystawionym w Rzymie; im mniej będą go pokazywać, tym lepiej. Na przystanku kierowca autobusu, niecierpliwie gestykulując, zagonił ich do środka i odjechali, a ziewający policjant tylko się przyglądał.

Autobus dychawicznie wyjechał z wysokich murów miejskich i podskakując na wąskiej drodze polnej ruszył na zachód. Państwo Sacerdote, chociaż skromnie ubrani, siedzieli z godnością bogatych posiadaczy, z nieobecny i smutnym wyrazem twarzy, całkiem podobnym, jak to bywa u starych małżeństw. Louis usnął na kolanach Natalii. Przez otwarte okna autobusu dolatywały słodkie zapachy wsi, pomieszane z dziwnie przyjemnymi wyziewami z kotła na węgiel drzewny, wydzielającego woń jakby ogniska. Miriam gawędziła beztrudno z matką, jej ojciec siedział zapatrzonej w uchodzący krajobraz. Przepyszna panorama wiosek na szczytach gór, zielonych pól na zboczach i winnic na tarasach roztaczały się z każdego zakrętu. Pnąc się po coraz bardziej stromej pochyłości autobus minął Volterre i zakończył swój kurs w malutkim, starym, położonym na szczycie wzgórze i cichym jak Siena miasteczku Massa

Marittima, którego sędziwe, szare głązy mieniły się w skwarze południa.

Tu na małym placyku, przez kontrast krzykliwych i triumfalnie nadętych plakatów z jednej strony, a z drugiej zwietrzałych fasad kościoła i ratusza, Natalia znów uświadomiła sobie dobitnie, jak nic nie znaczy reżim Mussoliniego. Włochy są zbyt znużone, zbyt mądre, zbyt urocze, aby zabawiać się w zbrojnego zbira. Wszystko to udawanie na pokaz i marnotrawstwo, nic poza tym. Tylko całe nieszczęście, że Niemcy ze zwalista, teutońską powagą wzięli się do naśladowania tej krwiożerczej szarady i dostali na jej tle amoku; takie były rozmyślenia zmęczonej Natalii, kiedy wlokła się na stację kolejową, trzymając bezwładne dziecko i jedną walizkę; Aaron dźwigał drugą i jeszcze własną.

Kolejka wąskotorowa zajechała z piskiem na stację i konduktor wziął się do dziurkowania biletów, prawie że nie patrząc na twarze pasażerów. Ich dokumentów nikt nie sprawdzał ani na stacji, ani też w pociągu. W całej Massa Marittima wypatrzyli tylko jednego policjanta, który drzemał, oparłszy się o swój rower. Znów rozbudzony Louis popatrywał, trochę zaciekawiony, na chłopów pracujących na skłonach, pasące się bydło i owce, na brzydkie wyrwy odkrywkowych kopalni na zboczach wzgórz, gdzie piętrzyły się wielkie brązowe wysypiska, wysoko biegnące taśmy przenośników, podpory i wieże z surowego drewna. Pociąg objechał zakręt w skałach i głęboko w dole zaiskrzyło się Morze Śródziemne. Natalia aż się zachłysnęła. Daleko na mglistym horyzoncie widniały kropki i bryły wysp: ich droga ucieczki do Lizbony.

Letni dom państwa Sacerdote w Follonica wyglądał jak stiukowe pudło, ustawione wprost na plaży i pomalowane na niebiesko. Po drugiej stronie drogi park publiczny, pełen wysokich, starych, cienistych drzew i rozłożystych palm, zapewniał rzadko spotykane odosobnienie. W zabitym deskami domu panowała dusząca, upalna ciemność i wilgotna woń stęchlizny, dopóki Castelnuovo i jego małżonka nie pozdejmowali okiennic, rozwierając okna na wiatr od morza. Natalia ułożyła Louisa do snu w kołysce, niegdyś służącej Miriam, po czym Sacerdote zaprowadził ją i Aarona na mały posterunek karabinierów. Zaspany naczelnik policji, na którym przepustka z Rzymu najwidoczniej uczyniła duże wrażenie, umieścił niezbędne pieczętki i adnotacje, wstał i pożegnał ich uściskiem dłoni. Powiedział, że ma brata w Newark, właściciela kwiaciarni, który zarabia tam wielkie pieniądze. Włochy nie mają nic przeciwko Ameryce. To tylko Niemcy. Co począć z tymi przeklętymi Niemcami?

Upłynął tydzień. Od Rabinowicza nie było wiadomości. Natalia oddała się rozkoszom plażowania, traktując to jako środek uśmierzający jej coraz większy niepokój. Natomiast Louis, całymi dniami bawiący się w piasku z Miriam i zanurzany od czasu do czasu w morzu, nabrał zdrowego koloru, pozbył się wysypki i przestał kwękać. W wieczór szabatowy, kiedy usiedli do stołu przy świecach, rozległ się dzwonek do drzwi i wszedł usmolony mężczyzna z granatowym, trzydniowym zarostem. Powiedział, że nazywa się Frankenthal i przybywa od Rabinowicza. Był rzeczowy, zmęczony i oschły, aż państwo Sacerdote zaprosili go, żeby został na wieczerzy. Zdjął wtedy podartą czapkę i nabrał miłszego wyglądu, jakby onieśmiałony. Pokazując świece na stole rzekł: - Sabato? Nie widziałem tego, odkąd babcia umarła.

Jedząc powiedział im, że pracuje jako doker w Piombino, porcie na północ od Follonica, skąd wywozi się drogą morską rudę żelazną. Jego ojciec też pracował tam jako doker. Dziadek był hebrajskim uczonym, ale rodzina z tym zerwała. On sam wiedział, że jest Żydem, i nic ponadto. Kiedy dzieci ułożono do snu, przeszedł do rzeczy. Wiadomości były niedobre. Turecki frachtowiec, który nielegalnie przewoził uciekinierów z Korsyki do Lizbony, stracił brytyjski certyfikat okrętowy i razem z nim prawo tranzytu przez Gibraltar. Ta droga była zamknięta.

Mimo to mieli się udać przez Elbę na Korsykę, zgodnie z planem.

Rabinowicz załatwiał dla nich przejazd z Korsyki do Marsylii, gdzie działała większość organizacji zajmujących się przerzutem uciekinierów. Z Marsylii prowadziło kilka szlaków do Palestyny i Lizbony. To przekazał im Rabinowicz. Ale Frankenthal powiedział im o prostszej drodze do Marsylii. Mniej więcej co tydzień odpływały z Piombino statki z rudą żelazną z kopalni na Elbie i w Massa Marittima, zmierzającą do Zagłębia Ruhry. Flota brytyjska pozostawiała je w spokoju. Znał kapitana, który za pięćset dolarów od osoby zawiózłby ich wprost do Marsylii.

Siedzieli jeszcze przy stole, pijąc kawę z cykorii przy blasku dopalających się świec. Jastrow powiedział oschle: - Za pięćset dolarów podróżowałem pierwszą klasą z Nowego Jorku do Paryża.

- Professore, to było w czasach pokoju. Tamtą drogą Bóg raczy wiedzieć, na jak długo utkniecie na Elbie albo na Korsyce. Na statku będziecie spali w kojach, bezpośredni przejazd do celu, tylko trzy dni, dzieci będą bezpieczne.

Wyszedł, aby złapać ostatni autobus do Piombino, obiecując, że za dzień czy dwa zatelefonuje, żeby dowiedzieć się, co postanowili. - Zabierzcie się statkiem z rudą - powiedział na pożegnanie.

Kiedy wyszedł, pierwszy odezwał się Jastrow, z kaśliwym rozbawieniem: - Gdybyśmy popłynęli statkiem z rudą, ten facet zgarnąłby niezłą dolę z naszych pieniędzy.

- Czy pan mu ufa? - spytała Natalia doktora Castelnuovo.

- No cóż, wiem, że przysłał go Rabinowicz.

- Jak się pan kontaktuje z Awramem?

- Depeszami o niewinnej treści. Albo przez posłańców, takich jak ten.

Dlaczego?

- Bo zastanawiam się, czy nie wrócić do Sieny.

Sacerdote odezwał się do zięcia, obejmując żonę, która wyglądała na przestraszoną: - Ona ma rację. Mówiłeś, że pojedziemy do Lizbony i w ogóle nie zahaczymy o Francję.

- Owszem, papo, ale teraz się zmieniło - odparł Castelnuovo z manifestacyjną cierpliwością - więc rozmawiamy sobie.

Natalia zwróciła się do Jastrowa. - Kiedy jechałam na spotkanie z Byronem do Lizbony, policja z Vichy wyprowadziła mnie z pociągu, żeby sprawdzić moje dokumenty. Na szczęście były w porządku. Zimno mi się zrobiło, kiedy zapytali, czy jestem Żydówką. - Zwróciła się do Castelnuovo. - A jaką szansę mielibyśmy teraz we Francji jako Żydzi, nielegalnie podróżujący? A jeżeli wsadzą nas do więzienia? Nawet mogliby mi odebrać Louisa!

- Awram załatwi dla nas wizy tranzytowe - odparł Castelnuovo. - Dokumenty zawsze można dostać.

- Masz na myśli fałszywe dokumenty - rzekł Sacerdote. - Takie, które przejdą.

Jastrow rzekł: - Nie bądźmy małego serca. Już wyruszyliśmy. Przyznam, że nigdy nie podobał mi się ten plan przeskakiwania z wyspy na wyspę. Ale skoro jedziemy do Marsylii, to jestem za tym, żebyśmy popłynęli z rudą. Jedna duża łapówka, jedna podróż, wolę już takie wyjście.

Castelnuovo machnął niecierpliwie rękami. - Ależ ja od dawna wiem o tych statkach z rudą. One w Marsylii zawijają do najbardziej strzeżonej części portu, ogrodzonej wysokim parkanem, patrolowanej przez francuską żandarmerię i niemieckich inspektorów z Komisji Rozjemczej. Kapitan ma was gdzieś. Interesują go tylko wasze pieniądze. W razie najmniejszego zagrożenia - puf! - liczy się jego własny kark i nic więcej. A na wyspach będziemy w rękach ludzi, których Rabinowicz już poznał.

- My z żoną chyba wrócimy - bardzo uroczyście odezwał się do Jastrowa Sacerdote. - Oczywiście musimy to jeszcze omówić. Ale widzi pan, nasz syn tam został. - Starsza pani pochlipywała w chusteczkę.

Jastrow odpowiedział z pośpiechem: - To naturalne. Jesteście tam u

siebie. Ale dla nas bezpieczniej będzie wyjechać.

Staruszkowie poszli na górę. Jastrow i Castelnuovo jeszcze dyskutowali o statku z rudą. Castelnuovo powiedział, że nie myśli powierzać życia swej rodziny przekupnemu Włochowi. Cena może w drodze podskoczyć; facet może wziąć pieniądze i nie wywiązać się; może ich nawet sprzedać. Ludziom z ruchu oporu chodzi o coś więcej niż o to, że dłoń ich świerzbi.

W końcu Jastrow powiedział: - Doktorze, czy jesteśmy tu zorganizowani na zasadzie demokratycznej, czy autorytarnej? Jeżeli to drugie, decyzja należy do pana.

Castelnuovo kwaśno się roześmiał i machnął ręką, odzegnując się od tej sugestii.

- W takim razie ja głosuję za statkiem z rudą.

Anna Castelnuovo przyłączyła się: - Też jestem za tym.

- Jesteś uparta jak muł - w głosie jej męża był sprzeciw, ale i serdeczność. Zwrócił się do Natalii. - Pani?

- Statek z rudą.

Castelnuovo wydał usta, lekko uderzył w stół i podniósł się z krzesła. - Załatwione.

`cp2

W chłodny, szary poranek, wróciwszy z przechadzki liczącej kilkanaście kilometrów, Natalia z daleka spostrzegła zaparkowany koło ich domu samochód. W Follonica było niewiele prywatnych samochodów. Przyśpieszyła kroku i przez myśl jej przebiegło coś jakby modlitwa: "Tylko nie jakiś kłopot". Kiedy podeszła bliżej, poznała tego Mercedesa. W domu Jastrow i Werner Beck siedzieli przy stole nad herbatą i talerzem ciasteczek. Po gołym stole rozrzucone były żółte maszynopisy z audycjami Jastrowa.

Werner Beck wstał z uśmiechem i ukłonił się. - Co za miłe spotkanie! Nie widzieliśmy się tyle czasu. - Ledwie zdołała wydusić z siebie uprzejmą odpowiedź. Beck zaśmiał się z lekka, przepraszając, spoglądając w dół na swój mundur SS. - No tak. Proszę mi darować to groźne przebranie. Przeprowadzam inspekcję w portach zachodniego wybrzeża, pani Henry, dla wyjaśnienia, gdzie podziewa się olej napędowy, którego w stu procentach dostarcza Włochom nasz kraj. Jesteśmy pewni, że znika on na czarnym rynku. Widok tego munduru skłania Włochów do większej prawdomówności. Moja przynależność do SS ma charakter wyłącznie honorowy, ale oni tego nie wiedzą. Widzę, że to morskie powietrze świetnie pani zrobiło! A dziecko? Jak się czuje? Czy mógłbym je zobaczyć?

Natalia odezwała się tonem tak normalnym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć: - Mam go przynieść? Jak długo pan może u nas pozostać?

- Niestety krótko. Mam coś do załatwienia w Piombino, a Follonica jest tak niedaleko od szosy, więc pomyślałem, że wpadnę się przywitać.

- Zaraz go tu przyniosę.

W sypialni na piętrze, przy otwartych drzwiach, siedzieli państwo Castelnuovo, bladzi i w napięciu. Doktor przywołał ją kiwnięciem palca i wyszeptał: - To on?

- Tak.

- Słyszałem, że wspomniał o Piombino.

- Przeprowadza inspekcję.

W drugim pokoju Miriam zabawiła Louisa podartym misiem. Spojrzała zatroskanym wzrokiem dorosłej kobiety, kiedy Natalia go wyjęła z kołyski. - Gdzie go pani zabiera?

- Na dół. Tylko na chwilę.

- Ale tam jest Niemiec.

Natalia przyłożyła palec do ust i wyniosła ziewającego Louisa.

Przystanęła na schodach, usłyszawszy podniesiony głos Becka. - Ależ doktorze Jastrow, wszystkie cztery audycje są już w obecnej postaci bez

zarzutu. Każda z nich to prawdziwy klejnot. Nie zmieniałbym ani słowa. Dlaczego nie nagrać ich od razu? Przynajmniej dwóch pierwszych?

Cichy i spokojny głos Jastrowa: - Werner, pewien wydawca raz namawiał poetę A.E. Housmana, żeby oddał do druku kilka esejów, które ten chciał wyrzucić. Housman osadził go mówiąc: "Ja nie powiedziałem, że nie są dobre. Powiedziałem, że nie są wystarczająco dobre jak na mnie".

- Wszystko to pięknie, ale nam zależy na czasie. Jeśli pan nie doszlifuje tych esejów przed końcem wojny, to wszystko raczej minie się z celem, nieprawdaż?

Rozweselony Jastrow z uznaniem czmychnął śmiechem: - Ładnie to powiedziałeś, Werner.

- Ależ ja mówię całkiem serio! Osłaniam pana przed poważnymi nieprzyjemnościami. Zapewnił mnie pan, że brakuje panu tylko paru tygodni nad morzem. Jeżeli ta sprawa, doktorze Jastrow, przejdzie z moich rąk w inne ręce, pożałuje pan tego.

Milczenie. Natalia zbiegła po schodach i weszła do jadalni. Beck podniósł się i promiennie uśmiechnął do dziecka. - Słowo daję, ależ on urósł! - Wsunawszy okulary do kieszeni na piersi, wyciągnął ręce. - Czy mógłbym go potrzymać? Gdyby pani wiedziała, jak mi brakuje Klause, mojego najmłodszego!

Przemagając się z największym trudem, Natalia podała synka temu człowiekowi w mundurze, ale doktor Beck potrafił się obchodzić z niemowlęciem łagodnie i umiejętnie. Louis pięknie się do niego uśmiechnął. Oczy doktora Becka zwilgotniały i przemówił sztucznie ściszone głosem: - No, jak się mamy! Co słyhać, mały szczęściarzu? Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Między nami nie ma żadnej polityki? Aha! Podobają ci się moje okulary, tak? - Delikatnie wyłuskał ich oprawkę z zaciśniętej piastki Louisa. - Miejmy nadzieję, że tobie okulary nie będą potrzebne. No, twoja mamusia patrzy i niepokoi się, więc idź już do niej. Powiedz jej, że nigdy jeszcze nie upuściłem dziecka.

Natalia z ulgą pochwyciła Louisa i usiadła. Wracając na swoje krzesło, Beck włożył znowu okulary i twarz jego nabrała surowego wyrazu. - A więc. Za pięć dni wracam z inspekcji. Chciałbym wtedy zabrać państwa do Rzymu. Doktorze Jastrow, musi pan być gotów do nagrania tych audycji. Zamówiłem już hotel i będę w tej sprawie bardzo stanowczy.

Czyniąc zrezygnowany gest, niby to pokorny, garbiąc się i rozkładając ręce, Jastrow zawołał: - Pięć dni! Trudno, spróbuję. Ale te następne dwa nie wchodzi w grę, Werner. To kupa notatek i tyle. Może uda mi się sklecić to pierwsze, mój drogi, albo dwa, nie wiem, postaram się, ale jeśli będziesz się upierał przy wszystkich czterech, to położę się na drodze, jak przeciążone konisko, i nie ruszysz mnie z miejsca.

Beck poklepał starego człowieka po kolanie. - Żeby tylko dwa pierwsze były gotowe, kiedy wrócę. A potem zobaczymy.

- Czy ja też muszę jechać do Rzymu? - spytała Natalia.

- Tak.

- A potem wrócimy do Sieny?

- Jak państwo zechcą - odpowiedział z roztargnieniem Beck, spoglądając na zegarek i wstając. Aaron wyszedł, żeby go odprowadzić.

Po schodach zeszli państwo Castelnuovo z Miriam, która dreptała z tyłu, trzymając się matczynej spódnicy. Wytknęła główkę do Natalii i spytała ją scenicznym szeptem: - Czy Niemiec już poszedł?

- Tak, już poszedł.

- Nie zrobił nic złego Louisowi?

- Nie, nie, Louisowi nic się nie stało. - Natalia ścisnęła dziecko, jakby je złapała, spadające z wysoka. - Może zaprowadzę was dwoje na werandę?

- A możemy dostać ciasteczko?

- Proszę bardzo.

Czwórka dorosłych zasiadła w jadalni do pośpiesznej narady. Dla wszystkich było oczywiste, że to moment krytyczny, że Jastrow musi zaraz wyjeżdżać. Ustalono, że Castelnuovo porozumie się z Frankenthalem, ale nie przez telefon. Za pół godziny odchodził popołudniowy autobus. Doktor nacisnął kapelusz i wyszedł. Nastąpił ponury wieczór. Wrócił nazajutrz rano, ku ogromnej uldze swej żony, która nie mogła zasnąć. Frankenthal poradził, żeby jednak ruszyli drogą przez wyspy, bo statek z rudą odpłynął dopiero w zeszłym tygodniu. Najbliższy prom na Elbę ma być pojutrze.

- Więc na Korsykę - rzekła Natalia, z wymuszoną wesołością przycisnąwszy tłukące się serce.

- Na Elbę - sprostował doktor. - Tam musimy poczekać. Przerzut nie jest jeszcze załatwiony.

- Trudno - powiedział Jastrow. - Napoleon wyruszył z Elby, więc i my zrobimy to samo.

`cp2

Lał deszcz i dęła wichura, gdy rankiem ruszyli w drogę. Fale rozbryzgiwały się wysoko nad kamiennym nabrzeżem w Piombino, kiedy pasażerowie z trudem wchodzili na pokład małego promu, miotającego się w przystani. Daleko, pod okapem szopy, trzej strażnicy usadowili się w przytulnym i suchym miejscu, kurząc fajki i popijając wino. Frankenthal trzymał w pogotowiu przepustki na wycieczkę i bilety; przepustek wymagano ze względu na znajdujące się na Elbie więzienie. Ale nikt nie sprawdzał papierów. Kryjąc się pod parasolami, wśród innych pasażerów, uciekinierzy weszli na prom; łańcuchy zagrzecotały, diesel zachłysnął się cuchnącym dymem i prom chwiejnie odbił od przystani; Frankenthal od niechcenia pomachał i krzyknął coś na pożegnanie; i wreszcie zostawili ten kraj za sobą!

Oglądając się na ład, przesłonięty ulewą i dymem z pieców hutniczych w Piombino, Natalia przypomniała sobie, jak poprzedniej nocy czerwone, ogniste paszcze tych pieców za oknami pociągu przestraszyły Louisa, aż dostał spazmów i sprowadził na nich inspektora, sprawdzającego dokumenty pasażerów. Miriam odwróciła uwagę tak Louisa, jak i urzędnika, papląc po dziecięcemu swoją czystą jak dzwoneczek toskańską wymową, aż się roześmiał i odszedł, nie sprawiając im kłopotu. Mimo wszystkich prześladowających ją lęków i koszmarów, był to jedyny niebezpieczny moment podczas całego ich wyjazdu z Włoch.

Powolny i przyprawiający o mdłości przejazd po wzburzonym morzu; i oto w mżawce zamajaczyła Elba, rozległy i we mgłę spowity zielony garb. Wysiedli na omiatane wiatrem nabrzeże w kształcie U, okolone starymi domami pod starą, długą, posępną fortecą. Zgodnie z tym, jak ich pouczył Frankenthal, Anna ubrana była w biały szal, a Natalia w niebieski, Aaron zaś trzymał fajkę w ustach. Podjechał wóz zaprzężony w muły, którym powoził sękaty starzec. Gestem kazał im wsiadać i opuścił nadzwyczaj brudną plandekę, żeby ich osłonić od deszczu. Długo, długo jechali pod górę, podskakując i obsuwając się na boki. Oglądane przez szybki z karuku, winnice i obejścia na wzgórzach ukazywały się jak zielone plamy we mgle. Powietrze pod budą było duszne i stęchłe, od woni mułów aż dławiono w gardle. Woźnica ani razu się nie odezwał. Louis całą tę drogę przespał. Wreszcie wóz się zatrzymał, woźnica odsunął plandekę i Natalia sztywno zeszła w kałużę, chłonąc słodkie, wilgotne powietrze wiejskie. Znajdowali się na kamiennym placu w górskiej wiosce na zboczu. Nie było widać nikogo; nawet i psa. Zapadał zmrok, deszcz ustał, mokra kamienna fasada starego kościoła miała barwę fiołkową i cisza była niemalże oszałamiająca.

- Co to za miejscowość? - zapytała Natalia woźnicę po włosku. Jej zwyczajny głos zabrzmiał prawie jak wystrzał.

Odezwał się po raz pierwszy: - Marciana.

`ty

35

`ty

Stajenni w Szkole Jeździeckiej Bel Air Canyon oporzadzali wiele rżących, tupiących koni, ale nie było widać innych jeźdźców oprócz Madeline i Byrona. Strój Madeline wyglądał jak z igły: płowe bryczesy, miękko połyskujące brązowe buty, męski kapelusz z piórkiem. Byron miał na sobie wiatrówkę Warrena z Annapolis, wypłowiałe džinsy i trampki. Pomarszczony grum w nadzwyczaj brudnym ubraniu, oceniwszy go od jednego spojrzenia, wyprowadził wielkiego, czarnego jak węgiel ogiera, nazwanego Jack Frost. Byron dopasaował strzemiona i dosiadł go; na co Jack Frost, kładąc po sobie uszy i czerwono przewracając ślepiami, jak szalony pognał w górę kanionu. Było to potężne zwierzę, gładko niosące w galopie, i Byron dał mu swobodę. Przelatując koło białej szmaty, leżącej na drodze, Jack Frost nagle stanął dęba, wierzgnął, zarżał i zachrapał, jakby odgrywając w Hollywood scenę okropnego popłochu. Byron musiał włożyć trochę wysiłku, ażeby utrzymać się w siodle. Wtedy koń, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że siedzący na nim umie jeździć, złagodniał i obejrzał się na niego badawczo. Byron zobaczył, że Madeline podąża za nim truchtem, daleko z tyłu, przez kurzawę osiadającą po przejściu Jacka Frosta. - W porządku, sam tego chciałeś, koniu - powiedział, kopiąc go w bok. - Teraz się nie zatrzymuj.

Jack Frost pognał dalej, wpadł na zawracający, stromy i wąski szlak i wgalopował po nim na zbocze kanionu, pędem, od którego włos się jeżył na głowie, aż na szczyt, gdzie stanął jak wryty z opuszczonym łbem, sapiąc jak wieloryb. Wytrzęsiony i rozbawiony Byron zsiadł, przywiązał go do drzewa i usiadł na skale. Po jakimś czasie usłyszał z dołu człapanie kopyt i ukazała się Madeline, cała zakurzona.

- Co z twoim koniem? - zawołała.

- Myślę, że potrzebował trochę ruchu.

Zachichotała, gdy pomagał jej zsiąść. - A ja myślałam, że umówił się na śniadanie w San Francisco.

Usiedli obok siebie na płaskim, szerokim głazie, patrząc przez szerokość kanionu na dzikie, słoneczne wzgórza. Na skałach szeleściły jaszczurki, a w powietrzu nad nimi krążyły ze skwirem sępy. Konie tupotały i prychały, podzwaniając uprzężą. Te odgłosy tylko potęgowały panującą ciszę.

Byron czekał, żeby się odezwała. To ona uprosiła go, żeby wybrał się na przejażdżkę, nie podając powodu. Po jakimś czasie odezwał się: - Wszystko w porządku, Maddy?

- Och, Briny, siedzę po uszy w kłopotach. Ależ nie! nie! - wybuchnęła śmiechem. - Kochanie, przecież ty masz na twarzy istny dalekopis! Jezu, ależ tym razem fatalnie zaczęłam! Nie, Briny, nie jestem w ciąży. Odłóż tę dubeltówkę.

Poskrobał się w głowę z wymuszonym uśmiechem.

Po łobuzersku pogroziła mu palcem. - Tak źle myśleć o własnej siostrze! Nie, chodzi po prostu o zmianę pracy i - szybko zapaliła papierosa złotą zapalniczką - o tym nie mogę rozmawiać przy mamie.

- Czy tutaj wolno palić? Widziałem tabliczkę, że w tym kanionie grozi pożar.

Wzruszyła ramionami, głęboko się zaciągnawszy. - Pamiętasz Lenny'ego Spreregena?

- No pewnie.

- Universal angażuje go jako producenta. Chce zatrudnić mnie w roli asystentki.

- Co na to Cleveland?

- Wścikły! Chodzi po ścianach. - Uśmiechnęła się do Byrona. Jej twarz się zarumieniła, a oczy zaiskrzyły. - Ale muszę to rozważyć, prawda? Bo

wiesz, że stu pięćdziesięciu dolarów tygodniowo na dwieście to niezły skok.

- Ależ to ładny grosz, Maddy. A uwolnić się od Clevelanda też byłoby znakomicie.

Jej twarz pozostała słodka i miła, jednak dał się słyszeć twardy ton Henrych. - Och, ty nigdy nie doceniałaś Clevelanda, co? Publiczność go uwielbia. Pewnie, że lepiej kręcić filmy niż reklamować mydło i środki przeczyszczające, ale tu, gdzie jestem, stoję na pewnym gruncie. Hugh dał mi nawet trochę udziałów w swojej firmie. To jest naprawdę trudny wybór.

- Madeline, bierz tę pracę w Universalu.

- Powiedz mi jedno. Czy Hugh cię kiedykolwiek czymś uraził? Jeśli tak, to na pewno niechcący. On uważa, że jesteś po prostu nadzwyczajny.

- Nie zna mnie.

- Wiesz co? Założę się, że chodzi o to, jak pocałował mnie w domu Janice. Mam rację? - Ukazała zęby w łobuzerskim uśmiechu. - Na pewno ci to wciąż jeszcze doskwiera. Boże, kiedy powiedziałaś mi, że nas podpatrzyłaś, w oczach miałaś morderstwo.

Byron do tej pory starał się zdusić w sobie to wspomnienie: jak ten tłusty, żonaty mięczak przyciska do siebie Madeline, a jej zadarta z tyłu spódnica odsłania różowe uda i białe podwiązki. - Słuchaj, prosiłaś mnie o radę. Udzieliłem jej.

- Briny - głos jej zmiękł - Hugh Cleveland chce się ze mną ożenić. - Twarz Byrona pozostała bez wyrazu. Ona, rumieniąc się, z pośpiechem mówiła dalej: - Na tym polega cała komplikacja. I dlatego muszę z kimś porozmawiać. Mama jest taka pruderyjna, że padłaby trupem na myśl o tym. Zresztą ma dość własnych problemów i... cóż to za ponure milczenie, braciszku! Ależ ty go nie znasz. Hughie jest jednym z nas, kochanie. To człowiek naprawdę inteligentny, wrażliwy i bardzo samotny.

- Żona i trójka dzieciaków to za mało, żeby nie być samotnym, prawda?

Madeline roześmiała się z goryczą. - Bez tego chyba nie mogło się obejść.

- Oświadczył ci się?

- Och, Briny, kto się dzisiaj oświadcza? - Pogardliwie machnęła ręką. - Czy ty się oświadczyłaś Natalii?

- Oświadczyłem się, jak najdosłowniej.

- No, ty jesteś staroświeckie dziwadło. Jak my wszyscy w rodzinie Henrych. Hugh załatwia już rozwód.

- Ach tak? - Byron podniósł się i z głośnym chrzęstem zaczął chodzić po zwirowatym gruncie. - Powinnaś o tym porozmawiać z ojcem.

- Z ojcem? Za żadne skarby. Poszedłby do Hugh'a ze szpicrutą.

- Czy on się rozwodzi przez ciebie?

- Och, przecież ta Claire, jego żona, to czysta zgroza, kompletna psychopatka, idiotka, z którą się ożenił mając dwadzieścia jeden lat. Chorobliwie boi się go utracić, a traktuje go jak kawałek gówna. Ciągłe biega do psychoanalityków. Wyrzuca pieniądze jak księżna. Już rok temu urządziła histerie na mój temat, grożąc nie wiadomo czym. Musiał ją ułagodzić, kupując jej sobolowe futro. To zgaga nie z tej ziemi, Briny, słowo honoru. I oczywiście nastawia dzieci przeciwko niemu.

- Posłuchaj mnie. Zadzwoń od razu dzisiaj do Universalu. - Przystanął nad nią. - Powiedz temu facetowi, że od poniedziałku zaczynasz u niego pracę.

- Myślałam, że tak powiesz. - Podniosła na niego poważne oczy i głos jej się zachwiał. - Tyłko nie jestem pewna, czy mogę tak zrobić.

W przybliżeniu mdłącego, dotkliwego współczucia dla siostry Byron odezwał się: - Więc to poważna sprawa.

- Tak.

- Jak dalece poważna? - spytał ściszym głosem.

- Już ci mówiłam. - W głosie jej zabrzmiała irytacja. - Nie taka, żeby aż z biczem i z dubeltówką. Ale poważna.

Przyjrzał się jej twarzy i ciężko westchnął. Łagodny i szczery wyraz

twarzą dziewczęcej był nieprzenikniony jak skórzana maska. - Ile on ma lat?
- Trzydzieści cztery. - Spojrzała na zegarek. - Kochanie, musisz odebrać mamę i o dwunastej spotkać się z nami w kantine Warner Brothers. Skończmy tę przejażdżkę.

- Może porozmawiam z nim w studio.

Piękna skórzana maska przybrała ledwie dostrzegalny wyraz rzewnej ulgi. - Ty? A niby o czym?

- O tej sprawie.

Wydęła usta. - Z dubeltówką w dłoni, kochasiu?

- Nie. Jeżeli on chce się z tobą ożenić, to powinien się ucieszyć, że może ze mną porozmawiać.

- Nie mogę ci w tym przeszkodzić. Rób, jak uważasz. - Włożyła stopę w strzemień. - Podsadź mnie, Briny, zrobiło się późno.

`cp2

W wielkiej, zatłoczonej, słonecznej kawiarni na terenie wytwórni Warner Brothers Rhoda wytrzeszczała oczy na wszystkie strony, prawie nie jedząc, z odzywkami w rodzaju: - Ależ Maddy, kochanie, czyż to nie Humphrey Bogart? Na miły Bóg, przecież to Bette Davis! Jak ona młodo wygląda!

Hugh Cleveland wyjaśnił, że chociaż gwiazdy mają swoje własne, eleganckie jadalnie, lubią wpadać od czasu do czasu na kanapkę i szklankę mleka do tej kantyny. Jak gwiazdy, tak i Hugh Cleveland jadł obiad w szlafroku, z twarzą uszmiękaną do zdjęć. Na sam widok w Byronie znowu wezbrała niechęć, ale Rhodie najwyraźniej podobały się jego figlarne poburkiwania i stłumione podśmiewania się, a otaczająca go aura sukcesu robiła na niej wrażenie. Dwie audycje radiowe - stara Godzina amatorska i wojskowa Godzina szczęścia - nadal cieszyły się dużym powodzeniem, a krótkometrażowe filmy zapowiadały jeszcze większy dochód. Sto pięćdziesiąt dolarów na tydzień, jakie otrzymywała Madeline, stanowiło mniej więcej dwa razy tyle, co podwodniacka pensja Byrona; a gdyby przyjęła ofertę Universalu, zarabiałaby więcej niż jej własny ojciec jako dowódca ciężkiego krążownika.

I to za co? Przyglądając się, jak po obiedzie nakręcają kolejny odcinek Godziny szczęścia, Byron odczuwał niesmak. Żołnierze i marynarze pojawiali się wyłącznie jako cel dla żarcików Clevelanda, niby to improwizowanych, a naprawdę wypisanych drukiem na wielkich tablicach, wystawianych poza polem widzenia kamery. Nikt ich nie słuchał. Madeline wyjaśniła, że później wmontuje się w to ujęcie przysłuchującego się audytorium, które śmieje się albo klaszcze. Byron nie wyobrażał sobie, aby te filmiki mogły kogoś rozbawić, choćby to oszustwo się nawet udało. Nie było w tym nic więcej, tylko radiowy prezenter, który w stylu sztucznie cwaniackim i protekcyjnym pokpiwał sobie z jakichś niemrawych pętałów w mundurach. Te odgłosy i widoki przemysłu rozrywkowego, jakkolwiek lichej jakości, wprawiały jego matkę w widoczny zachwyt, więc cieszył się, że ją to rozwesela w żalobie; on sam natomiast nic, tylko ziewał i ziewał, aż do bólu w szczękach, w udręce nudy zmieszanej z irytacją.

Nastąpiła przerwa w zdjęciach i Cleveland podszedł do nich, szczerząc zęby, z dwoma papierowymi kubkami kawy. - Zdaje się, admirał, że pan tego bardziej potrzebuje niż ja.

Madeline podeszła w pośpiechu. - Mamo, Byron! Humphrey Bogart kręci na sąsiednim planie dźwiękowym. Chcecie zobaczyć?

- A można? - zapytała skwapliwie Rhoda.

- Oczywiście.

- To wprost nie do wiary - rzekła Rhoda, idąc za córką.

Cleveland zagadnął Byrona, który się nie ruszył: - Pana to nie interesuje?

- Panie Cleveland, czy moglibyśmy porozmawiać?

- Co się stało?

- Madeline powiedziała mi o propozycji z Universalu.

- Och, nie. W takim razie chodźmy. - Byron poszedł z nim do garderoby, zbudowanej z dykty, i usiedli obaj na krzesłach pod lustrem obramowanym żarówkami. - Byron, niech ona nie bierze tej roboty.

- Dlaczego? To większy zarobek.

- Lenny Spreregen to niezły scenarzysta, ale żaden administrator. Wygadał sobie tę robotę i tyle. Jest komunistą, i w dodatku znanym z tego. Lenny nie zagrzeje miejsca w Universalu: a jak on poleci, to Madeline też się nie utrzyma: i cześć! samotna i spalona w Hollywood.

- Mówiła, że pan się z nią chce ożenić.

- A niech mnie kule biją! - Z ciepłym, czarującym uśmiechem Cleveland poczochnął się po czuprynie na potylicy. - A propos, mów mi Hugh, dobrze? - Popatrzył na tani budzik na toaletce, przełknął kawę i wstając żartobliwie zagrzmiął. - Ale nie otwierajmy tej puszki groszku w przerwie na wypicie kawy, co, admirał? Jak długo pan zamierza tu zostać?

- Mój urlop kończy się dziś wieczór. - Byron wstał i zastawił mu ciasne wyjście. Zrobił to jakby od niechcienia, ale Hugh Cleveland nie mógł się wydostać. - Powiedziała mi, że pan się rozwodzi.

Cleveland wykonał ruch w kierunku drzwi, czyniąc mały, uprzejmy gest, który Byron zignorował. Ażeby wyjść, musiałby tego oficera z floty podwodnej odsunąć na bok. Jego pulchna twarz spochmurniała, a potem znów uniósł brwi i wyszczerzył zęby w czarującym uśmiechu. Przysiadł na toaletce i potarł sobie podbródek, spoglądając figlarnie w poważną twarz Byrona. - No dobrze, Byron, bez żartów. Rzecz ma się następująco. Claire, czyli moja żona, to kobieta bardzo nieszczęśliwa i pechowa. Nie powiem nic więcej na jej niekorzyść. Mamy trójkę wspaniałych dzieci i poza tym nic nas nie łączy. Pociąg seksualny nie istnieje: z jej strony, nie z mojej. Jest to prawdziwe piekło i nie życzę ci, żebyś tego sam doświadczył. Oboje zwracaliśmy się do adwokatów, ale takie sprawy ciągną się długo i paskudnie. W małżeństwo łatwo się wpakować, mój chłopcze, ale wydostać się z niego - Jezusie na kółkach! - to coś bardzo trudnego.

- Czy pan kocha moją siostrę?

- Twoja siostra jest po prostu cudowna. Powiedziała ci prawdę. Myślę, że potrafię to załatwić, ale rzecz jest cholernie zagmatwana. Tak to jest, Byron. - Cleveland zaśmiał się najmielszym ze swych radiowych czmychnień, wstał i klepnął go lekko po ramieniu. - Wracamy do naszej katongi. Może później wybierzemy się we troje na drinka. Powiedz jej, Byron, żeby nie brała tej pracy u Spreregena. To się źle skończy.

Na zewnątrz Madeline miotła się ze skryptem, wciąż coś mówiąc do różnych ludzi to przez jedno ramię, to przez drugie. Podbiegła do Byrona, który stanął oparty o ścianę w kłębowisku reflektorów i kabli.

- I co? - zagadnęła tonem niby konspiracyjnym.

- I co z czym? Gdzie mama?

- Och, nic jej nie ruszy z miejsca. Reżyser ją zaprosił, żeby została trochę i poznała Bogarta. I co Hugh? Rozmawiałeś z nim?

- Och, tak.

- No gadaj. Co się stało? - Jej wzrok był niespokojny, podniecony, badawczy. - Wściekał się?

- Nie.

Uśmiechnęła się. - Więc obeszło się bez dubeltówki. Bo zobaczyłbyś atak furii.

- Madeline, powiedz mu, że odchodzisz. Zrób to dzisiaj. Zwal wszystko na mnie. Powiedz, że mam niepoczytalny charakter. W ogóle powiedz mu, co tylko zechcesz.

Jej twarz zgasła. - Czy powiedział, że nie zamierza się ze mną ożenić?

- Wymigiwał się. Mówię ci, odejdz. Jeżeli ci na nim zależy, może to go pobudzi.

- Ależ, mój Byronie! - Zmrużyła chytrze oczy. - Tak właśnie myśla dziewczęta. Przynajmniej powinny.

- A jeżeli cię zwodzi, też się dowiesz.

Żachnęła się i odeszła z szelestem, poruszając gibkimi biodrami w plisowanej żółtej spódnicy.

`cp2

W kilka godzin później Byron drzemał, wróciwszy do willi, kiedy zbudziło go delikatnie pukanie do drzwi. - Briny! - Głos Madeline był cichy i podekscytowany. - Jesteś przyzwoicie ubrany?

Ukośne promienie słońca kładły się wielkimi plamami na zaciągniętych, czerwonych zasłonach: czas na podwieczorek. Usiadł, przeciągnął się, nagi, tylko w szortach.

- Och, od biedy ujdzie.

Wpadła i stanęła, plecami wsparta o zamknięte drzwi. - Jak Boga kocham, zrobiłam to!

- Wspaniale. Gdzie mama?

- Nie wiem. Tu jej nie ma. Briny, nie wyobrażam sobie, że potrafię to zrobić. To wprost nie do wiary. Czuję się, jakbym się wydostała z więzienia na Alcatrazie i przepłynęła na brzeg. - Czerwony blask od zasłon podkreślał dzikie ożywienie na jej twarzy. - A jak to przyjął! W życiu bym się nie domyśliła. On był słodki jak miód, Byron! Do rany przyłóż! Ani jednego ostrzejszego słowa! Jestem tym oszołomiona. Dasz mi drinka?

Byron nałożył szlafrok i zeszli do bywalni. On rozłożył się na kanapie i palił, a ona chodziła i usta jej się nie zamykały, z wysokim kieliszkiem w rękę, aż trzepotały plisy żółtej spódnicy. Zrobiła to w garderobie, może z godzinę temu, po sprawdzeniu skryptu na następny dzień. Cleveland zachowywał się łagodnie, wyrozumiale, ani trochę nie zaskoczony. - Och, co to za spryciarz! Wiesz, jakie były jego pierwsze słowa? "No, dziecinko, skoro się poradziłaś brata, to znaczy, że już było po sprawie. Że chciałaś odejść". I wiesz, Byron - padniesz, jak to usłyszysz - przyznał ci rację. Powiedział, że dużo lepiej będzie, jeśli ja się wyłącze, podczas kiedy on załatwia rozwód. W przeciwnym razie Claire mogłaby naprawdę rozrabiać na mój temat. Chwała Bogu, że przyjechałeś.

- Więc już po wszystkim? Stanowczo? Wymówiłaś?

- Absolutnie. Czy to nie wspaniale?

- Kiedy zaczniesz pracować u tego Sparagusa, czy jak mu tam?

Madeline starała się nie okazać urazy, jednak wargi jej się zacisnęły, a potem wybuchła śmiechem: - Sparagus! Byron, ty to jesteś! Co za trudność sprawia ci Spreregen?

- Przepraszam. Kiedy zaczniesz?

Wciąż jeszcze chichocząc, odpowiedziała: - W przyszłym miesiącu. Zadzwoniłam i Lenny się zgadza i...

- Czekaj no! W przyszłym miesiącu? - Byron usiadł prosto i gwałtownym ruchem opuścił swe włochate nogi na podłogę.

- Oczywiście, kochanie. Przecież obowiązuje mnie miesięczne wymówienie. Nie mogę wyjść tak sobie, z dnia na dzień, to byłoby dziecinne. - Byron grzmotnął pięścią w stół do kawy, aż podskoczyły książki i popielniczki. Madeline, przestraszona, podniosła głos: - Och, jesteś nieznośny! Jak możesz zachowywać się tak niemądrze? Czy ty albo tato moglibyście po prostu zejść z okrętu, nie czekając na zmiennika?

Byron zerwał się na równe nogi. - Niech cię diabli, Madeline! Ty śmiesz porównywać to gównu, jakie wyrabia Cleveland, do tego, co ja robię? Co robi tato? I co robił Warren? Pójdę jeszcze raz do tego faceta.

- Nie! Nie życzę sobie! - Madeline rozplakała się. - Och, jaki ty potrafisz być wstrętny i okrutny! Czy ja powiedziałam coś o Warrenie?

- Nie, do diabła! Ani słowa, odkąd tu jestem!

- Bo nie mogę! - wrzasnęła Madeline, potrzęsając ku niemu pięścią. Z oczu jej wydarła się powódź łez. - I ty tak samo! Och, Boże, dlaczego tak powiedziałeś? Dlaczego?

Zbity z tropu tym jej wybuchem, Byron wymamrotał: - Przepraszam - i próbował ją objąć.

Wyrwała mu się, ocierając sobie łzy trzęsącą się dłonią. Jej głos był drżący, ale twardy: - Moja praca jest ważna dla mnie i dla milionów ludzi. Dla milionów! To uczciwe zajęcie. Ty na mnie po prostu wrzeszczysz, a nie masz prawa. Nie jesteś tata. A nawet i jemu już nie wolno. Nie mam szesnastu lat.

Drzwi się otworzyły i weszła Rhoda, balansując z wielkimi paczkami. - Hej, dzieci, wykupiłam całe Beverly Hills! Przeszłam po Wilshire Boulevard jak tajfun! Będą naprawiali te spustoszenia przez kilka tygodni! Byron, upiekę się żywcem, zrób mi wspaniały, duży džin z tonikiem, dobrze, kochanie? - Ruszyła do swojej sypialni.

- Och, Boże - wymamrotała Madeline, ocierając oczy. Przy wejściu matki odwróciła się do niej plecami.

- Idź opłucz sobie twarz, Maddy.

- Dobrze. Mnie także zrób jeszcze drinka. Mocnego.

W nowej sukience w wesołe wzorki, Rhoda zajrzała niebawem do kuchenki, gdzie Byron mieszał napoje. - Kochanie, czy naprawdę już dzisiaj wieczór musisz wracać do tej szkoły podwodnej? To okropne. Prawie cię nie widziałam.

- Zostanę u was jeszcze na noc i wyjadę stąd wczesnym rankiem. I przyjadę na następną niedzielę.

- Och, cudownie! Ty i Maddy przywróciliście mnie do życia z martwych, naprawdę. W Washingtonie czułam się niczym w grobowcu. Kupiłam całą szalupę ubrań, są takie eleganckie i lekkie, takie inne. To zadziwiające, jaki oni tu mają towar, niezależnie od wojny. Wszystko, co mi było potrzebne na Hawaje. Postaram się, żeby tacie oczy wylazły na wierzch.

- Sądziś, że się tam przedostaniesz?

- Och, na pewno. Na pewno. Są na to sposoby, kochanie, a ja jestem absolutnie zdecydowana... och, dziękuję, kochasiu. Może tylko się opłuczę w basenie, zanim to wypiję.

Kiedy zostali znów sami i popijali swoje drinki, Madeline odezwała się pojednawczo: - Byron, czy po skończeniu szkoły podwodnej ty naprawdę chcesz jechać do Szwajcarii? Czy flota ci na to pozwoli?

- Nie wiem. Zależy, czego dowiem się w Departamencie Stanu i od poselstwa w Rzymie. Do floty w ogóle się z tym nie będę zwracał, jeśli nie będę musiał.

Podeszła do jego fotela, usiadła na poręczu i pogładziła go po twarzy. - Słuchaj, nie bądź dla mnie taki surowy.

- Czy nie możesz odejść za dwa tygodnie?

- Byron, zaufaj mi. Ogromnie mi pomogłeś. Obiecuję, że wszystko się dobrze potoczy. - Głos Madeline przybrał ton głośnej wesołości, kiedy jej matka wyszła w kostiumie kąpielowym, niosąc ręcznik. - Hej, mammo, wielka nowina! Zgadnij, co się stało? Idę do pracy w wytwórni Universal Pictures!

`ty

36

`ty

W początkach sierpnia zakipiało raptem w poselstwie Stanów Zjednoczonych w Bernie, szło zaś o sprawę Jastrow-Henry.

Doktor Hesse, przyjaciel Slotte'a w szwajcarskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wrócił z Rzymu z szokującą wieścią, że Jastrow i jego bratanica, otrzymawszy w drodze wyjątku zezwolenie na wakacyjny wyjazd nad morze, nadużyli tego przywileju i znikli. Zamieszany w to był pewien

żydowski lekarz ze Sieny, zamaskowany syjonista. Władze włoskie wściekały się i doktora Hessego wezwano do ambasady niemieckiej, aby spytać, co mu o tym wiadomo. Pulchny, mały, różowy dyplomata opowiadał to Lesliemu Slotce w kawiarni na chodniku, a połówka czekoladowego eklera drżała mu na widelczyku, gdy opisywał, jak to powiedział pierwszemu sekretarzowi ambasady niemieckiej, wrednemu twarzielowi nazwiskiem doktor Werner Beck, żeby poszedł do diabła. Hesse uważał, że położenie Jastrowa i jego bratanicy stało się teraz beznadziejne. Jeżeli ukrywają się, to ich znajdują; jeżeli spróbują się wydostać z Włoch, to ich złapią. Po czym trafiają prościutko do włoskiego obozu koncentracyjnego. Władze skonfiskowały wille Jastrowa, jego rachunek w banku i zawartość jego sejfów.

Och, Boże, pomyślał Slotce, słuchając tej wstrząsającej historii; wciąż ta sama Natalia, na łeb na szyję rzucająca się na nieobliczalne ryzyko, tym razem z dzieckiem i ze wszystkim! Postanowił nie przekazywać tej złowróżbnej wiadomości jej matce ani Byronowi - od którego dostawał list po liście - dopóki nie dowie się czegoś więcej; i w tym celu postanowił się wybrać do Genewy. Tam wielkie organizacje żydowskie, nie wyłączając syjonistów, miały swoje filie szwajcarskie. Konsulat amerykański ciągle miał z nimi do czynienia; miał też kontakty z żydowskim podziemiem. Może nie dowie się niczego o ich ucieczce. Z drugiej strony jednak od Żydów w Genewie zdarzało się usłyszeć rzeczy zdumiewające i wiadomości były na ogół ścisłe.

Przez te właśnie kontakty przesączały się koszmarnie relacje o niemieckich obozach zagłady. Slotce nie przyjmował ich do wiadomości. Od czasu, jak nie udało mu się zweryfikować Protokołu z Wannsee i od dziwnej śmierci ojca Martina, czuł się bezradny, a nawet zagrożony. Przede wszystkim musiał zachować życie i trzeźwość umysłu. Zresztą kimże jest, aby miał wpłynąć na bieg historii? Za pocztówkową urodą śnieżnych Alp toczyła się nie tylko wielka wojna, lecz także - był tego niemalże pewien - potajemna rzeź na ogromną skalę. Tymczasem codziennie wschodziło słońce, człowiek jadł i pił, a na biurku piętrzyły się sprawy do załatwienia. Odbывały się dyplomatyczne koktajle i wieczorne przyjęcia. Życie czasu wojny w Bernie było, jak na te okoliczności, wcale nie najgorsze, a samo miasto jakże czyste, spokojne i urocze! Na wieży Zytglogge mały błazen wybrzdakiwał godziny, złoty olbrzym walił w dzwon młotem, lalki wykonywały swój taniec; obłaskawione niedźwiedzie w swych ogrodzeniach smętnie człapały w rytmie walca za marchewkę. W dniach, kiedy wiejący Föhn rozganiał mgły alpejskie, śnieżna grań Oberland rzucała się w oczy, biała, różowa i błękitna, jak droga do nieba. Jedyłą więz z koszmarem, dziejącym się za tymi ślicznymi wierzchołkami, stanowiła wieczna kolejka uciekinierów, którzy ze strachem w oczach wystawali pod wejściem do amerykańskiego poselstwa.

Slotce w ponurym nastroju wsiadł do pociągu, odjeżdżającego do Genewy. Kiedy w trzy dni później wrócił do Berna, w jego biurze znów nagromadziły się zaległości. Przekopał się przez nie razem ze swoją sekretarką, rad, że może zająć umysł czymś konkretnym. Pod koniec dnia wykręcił się od kolacji, urządzonej przez dwóch innych kawalerów z poselstwa, którzy umówili się z bawiaczami tu przejazdem francuskimi baletnicami. Kiedy do jego mieszkania zatelefonowała szwajcarska mężatka, z którą dyskretnie sypiał od czasu do czasu, też się wymówił. Po tym, czego się dowiedział w Genewie, płocze igraszki zmysłowe wydawały mu się czymś brudnym. Zjadł tylko chleba z serem, a następnie zagłębił się w fotelu z butelką szkockiej whisky.

Wszystko, co udało mu się dowiedzieć w sprawie Jastrowa i Natalii, to mgliste wiadomości z trzeciej ręki; brzmiało to jednak prawdopodobnie i pocieszająco. Niestety, niechcący dowiedział się także dużo więcej o zagładzie Żydów. Chodziła mu po głowie myśl o rezygnacji ze służby dyplomatycznej, zapalając się raz po raz jak hasło na znaku świetlnym. Tuż za nim migotała czerwona przestroga, że zostałby natychmiast powołany do

wojska.

Leslie Slote przyłapał się na tym, że roztrząsa i rewiduje swoje ambicje, początki, wartości moralne i nadzieje w udręce obnażania samego siebie, jak gdyby miał podjąć decyzję o zmianie kariery lub o tym, żeby wyrzec się kobiety albo poślubić ją. Żydzi nic go nie obchodzili. Wyrósł w podmiejskim osiedlu w Connecticut, gdzie Żydom raczej nie sprzedano by domu. Jego ojciec, spokojny, filozofujący adwokat z Wall Street, nie miał bliskich znajomych wśród Żydów. Na Yale Slote trzymał się na dystans od żydowskich studentów, a jego tajne bractwo nie dopuściło żadnego z nich. Żydowskie pochodzenie Natalii Jastrow wydawało mu się niegdyś jej skazą może w połowie tak poważną, jak gdyby była Murzynką.

I właściwie nie zmienił się. Jak zawsze, tak i teraz dbał głównie o własny interes, tylko że przypadkiem trafił mu do rąk ten dokument z Wannsee. Znał się na kulturze i historii Niemiec, więc to, co na kimś innym zrobiłoby wrażenie dzikiej fantazji, uznał za prawdę. Mając za sobą z jednej strony sprawę dokumentów z Mińska, a z drugiej swą natarczywość w kwestii Protokołu z Wannsee, był już podejrzany. Gdyby teraz wystąpił z nowymi dowodami, zostałby w Departamencie Stanu już na dobre napiętnowany jako "filosemita". Tak sobie dumiał Slote, pogrążony w fotelu, w miarę jak w butelce ubywało whisky.

Ale i te świeże dowody z Genewy, jakkolwiek wstrząsające i ohydne, nie były nie do zbiccia. A jakże? Gdzie są ci martwi Żydzi? Nic nie jest pewnym dowodem morderstwa z wyjątkiem corpus delicti: co w tym wypadku oznaczałoby wielkie góry trupów albo wypełnione nimi groby masowe. Jak dotrzeć do takich dowodów? Fotografie można sfałszować. Niezbitych dowodów na to nie będzie, aż wojna się skończy; i to jedynie w razie zwycięstwa Aliantów. Świadczenia z Genewy, tak jak Protokół z Wannsee, to słowa i nic więcej: słowa wypowiedane, słowa napisane, pomieszane ze słowami będącymi tylko historyczną brednią i jeszcze inne słowa, takie jak opowieści o fabrykach przerabiających trupy na mydło, będące po prostu starą, zwietrzałą propagandą grozy z poprzedniej wojny.

Slole nie mógł mieć do nikogo pretensji o to, że waha się, czy uwierzyć w upiorną, gigantyczną masakrę. Pogromy to stara historia, ale w pogromach zginęło niedużo ludzi. Naziści nawet nie próbowali ukrywać swych prześladowań i grabieży, popełnianych na Żydach; ale mnożące się pogłoski o potajemnych rzeziach, idących w setki tysięcy, zbywali jako propagandę Aliantów albo bredzenie Żydów. Jednak to mordowanie odbywało się rzeczywiście, a przynajmniej Slole był o tym przekonany. Po prostu wykonywano plan zawarty w Protokole z Wannsee, w koszmarnym świecie morderców i ofiar, tak niedostępnym, jak niewidzialna strona Księżyca.

Rozwodniona whisky spływała mu w głąb przełyku, szklanka za szklanką, pozostawiając ciepły i rozgrzewający ślad, rozluźniając go i pocieszając, unosząc ponad samym sobą. Niemalże widział z góry, jako wyzwolony duch, samego siebie, chudego i w okularach, wyciągniętego w fotelu z podnóżkiem i żałował tego bystrego faceta, który tylko patrzeć, jak poświęci swą przyszłość dla tych przeklętych Żydów. Ale co robić? Jest przecież istota ludzką i zdrów na umyśle. Gdyby człowiek zdrowy na umyśle, dowiedziawszy się o tym szaleństwie, nie walczył z nim, cóż za przyszłość miałby przed sobą gatunek ludzki? Czyż to wiadomo, czego może dokonać choćby i jeden człowiek, jeśli potrafi znaleźć właściwe słowo i wygłosić je, wykrzyczeć do świata? Czyż nie dokonał tego Karol Marks? A choćby i Chrystus?

Kiedy to samotne pijaństwo doprowadziło go do Karola Marksa i Chrystusa, Slole zrozumiał, że już goni w piętke i pora zatoczyć się do łóżka. Co też uczynił.

Nazajutrz rano siedział w koszuli, wystukując do Byrona Henry list o tym, czego dowiedział się o Natalii, kiedy weszła jego sekretarka, bujna, seksowna blondynka imieniem Heidi. Heidi uparcie flirtowała ze Slotem, dla

niego jednak znaczyła tyle, co ptyś w spódnicy. - Pan Wayne Beall z konsulatu w Genewie mówi, że był z panem umówiony.

- Och, tak. Niech wejdzie.

Schował list do szuflady i włożył marynarkę. Kiedy wszedł Wayne Beall, Heidi zrobiła cielece oczy do przystojnego, młodego Amerykanina, zastępcy konsula; był to niski mężczyzna, mocno łysiejący nad czołem, ale tak prosty w barach, bez odrobiny brzucha i z błyskiem w oku, że łysinka nie miała znaczenia. Usunięto go z akademii West Point, kiedy stwierdzono u niego szmery w sercu, ale w wieku trzydziestu lat wciąż jeszcze trzymał się dziarsko jak kadet i wciąż usiłował się dostać z powrotem do wojska. Kiedy Heidi wychodziła kręcąc tyłkiem, Beall przyjrzał się bacznie jej siedzeniu.

- Nie przywiozłeś tych dokumentów? - Slotę zamknął drzwi.

- A skądże, cholera, włos mi się zjeżył na myśl o tym, że mógłbym je zgubić w pociągu. Jeżeli poseł zdecyduje się działać, przyślę mu wszystko, czym rozporządzam.

- Jesteś umówiony z nim na dziesiątą.

- Czy on wie, o co chodzi?

- Oczywiście.

Łyse czoło Bealla zmarszczyło się w zakłopotaniu. - Bardzo się wychyłam w tej sprawie, Les. Wziąłbyś udział w rozmowie?

- Nie ma mowy. Uważają mnie za stukniętego w tej kwestii.

- Co u diabła, Leslie, kto uważa cię za stukniętego? Czytałeś te materiały. Wiesz, od kogo pochodzą informacje. Jesteś znany z bystrości. Mnie o to nigdy nie podejrzewano. Les, nie wykręcaj się, do ciężkiej cholery.

Z rezygnacją i pełen złych przeczuć, Slotę powiedział: - Ale ty będziesz gadał.

Poseł ubrany był w letni garnitur i olśniewająco białe półbuty. Oświadczył, że wybiera się na proszony obiad w ogrodzie, więc rozmowa musi być krótka. Usiadł na kręconym fotelu i swoim zdrowym okiem bacznie obserwował dwóch mężczyzn, siedzących obok siebie na kanapce.

- Bardzo dziękuję, panie pośle, że mimo tylu zajęć zechciał mi pan poświęcić trochę czasu - odezwał się Beall, odrobinę przerysowując dziarskość słów i gestu.

Poseł ze znużeniem, błagalnie pomachał ręką. - Jakie ma pan nowe informacje?

Wayne Beall zreferował je. Od bardzo wysoko postawionych osób dotarły do jego biura, niezależnie od siebie, dwa stanowcze potwierdzenia na temat masowych mordów. Z trzeciego źródła otrzymał zaprzysiężone przez naocznych świadków oświadczenia, jak odbywają się te masowe morderstwa. Wypowiadał się o tym obszernie, nie szczędząc wzmianek o katastrofalnej skali zjawiska, o humanitaryzmie amerykańskim i o mądrości posła.

Podpierając sobie twarz dłonią, jak znudzony sędzia, poseł zapytał: - Co to za wysoko postawione osoby?

Beall wyjaśnił, że jedna z nich to znany przemysłowiec niemiecki, a druga to najwyższej rangi szwajcarski funkcjonariusz Czerwonego Krzyża. Jeżeli pan poseł chce znać ich nazwiska, on się postara uzyskać zgodę tych panów na ujawnienie ich.

- Pan z nimi osobiście rozmawiał?

- Och, nie! Żaden z nich nie rozmawiałby z amerykańskim urzędnikiem. Chyba że znałby go bardzo, bardzo dobrze.

- Więc jaką drogą pan otrzymał ich zeznania? I skąd pan wie, że są autentyczne?

Nie bez zakłopotania Beall przyznał, że otrzymał te raporty ze źródeł żydowskich: od Światowego Kongresu Żydów i z Agencji Żydowskiej do spraw Palestyny. Slotę zobaczył, że zainteresowanie posła od razu przygasło: widzące oko zaczęło się błąkać, ramiona obwisły. - Znowu wiadomości z

drugiej ręki - powiedział Tuttle.

- Panie pośle - odezwał się Slotte - a jakież inne mogą być wiadomości o tajnych poczynaniach Hitlera? - Nie udało mu się powstrzymać brzmiającej w głosie irytacji. - A jeśli chodzi o tego niemieckiego przemysłowca, rozmawiałem z przedstawicielem WŚjŚc i powiedział mi...

- Co to jest WŚjŚc?

- Światowy Kongres Żydów. I powiedział mi wszystko oprócz nazwiska. Ale wiem, kogo miał na myśli. Ten człowiek jest bardzo ważną figurą w niemieckim przemyśle. Czytałem także potwierdzone zeznania świadków. Są rzeczowe i wstrząsające.

- A to jeszcze nie koniec, panie pośle - rzekł Beall.

- No, co jeszcze? - Poseł wziął kościany nóż do papieru i klepał się nim po wnętrzu dłoni.

Beall opowiedział, jak on i konsul brytyjski w Genewie wysłali do swoich ministerstw identyczne, zaszyfrowane depesze w sprawie nowych dowodów, w celu poufnego przekazania ich przywódcom żydowskim. Brytyjski Urząd Spraw Zagranicznych natychmiast przekazał sprawę odpowiednio desygnowanym Żydom w Wielkiej Brytanii, natomiast amerykański Departament Stanu ukrył istnienie tej depeszy. I teraz wśród przywódców społeczności żydowskich w obu krajach rośnie wzbурzenie już nie tylko z powodu ujawnionych faktów, ale i przeciw poczynaniom Departamentu Stanu, które w ten sposób wyszły na jaw.

- Tym na pewno się zajmę - oświadczył poseł, rzucając nóż na biurko. - Odezwę się do pana, Wayne, a teraz chciałbym zamienić słówko z Leslieem.

- Oczywiście.

- Poczekaj w moim gabinecie, Wayne - powiedział Slotte.

Kiedy drzwi za Beallem zamknęły się, poseł rzekł do Leslieego, zerkając na zegarek i trąc sobie zdrowe oko: - Muszę iść. Ale powiem ci, Les, że nie podoba mi się takie ukrywanie depesz. W tym Wydziale Spraw Europejskich dzieje się coś dziwnego. Zignorowali już dwa moje listy, jeden dotyczący przepisów wizowych, a drugi w sprawie twoich fotokopii.

- Pan do nich napisał o fotokopiach? - wybuchnął Slotte. - Kiedy?

- Kiedy pojawiły się te materiały emigracyjnego Rządu Polskiego. Dało mi to znów do myślenia. Jak oni, u licha, mogliby to sfałszować? Statystyki, nazwy miejscowości, ciężarówki do trucia tlenkiem węgla, nocne łapanki w gettach? Ta historia z grzebaniem w odbytnicach i pochwach, na litość Boską, martwych kobiet w poszukiwaniu biżuterii? Czy ktoś mógłby to wszystko wymyślić? - Slotte z osłupieniem wpatrywał się w posła. - No, ale przypuśćmy, że na Polakach nie można polegać. Przypuśćmy, że oczerniają Niemców, żeby zatuszować własne podłości. A co z tymi historiami w Paryżu? Jak policja z Vichy odłącza tysiące Żydów obcej narodowości od ich dzieci i wysyła rodziców Bóg wie dokąd! A to działo się pod obiektywami reporterów. Niczego nie ukrywali. Dostałem raport z YMCA ze szczegółami. Po prostu serce się kraje. Właśnie wtedy napisałem do Wydziału o twoich fotokopiach, no i wpadło jak w studnię. Poza tym ta historia z wizami, Les, tego już trochę za wiele.

- Na miły Bóg, spodziewam się, że ma pan na myśli świadectwa niekaralności! - wykrzyknął Slotte. - Walczę z tym idiotyzmem od wielu miesięcy.

- Otóż to. Nie mogę już spojrzeć w oczy tym szwajcarskim urzędnikom, Leslie. Nawet oszukać ich nie jesteśmy w stanie, po prostu hańbimy nasz kraj i tyle! Niby jak żydowski uciekinier ma okazać świadectwo niekaralności, wydane przez policję w jego miejscu zamieszkania w Niemczech? Przecież to jawny kant, służący temu, aby Żydzi gromadzili się tutaj. Będziemy musieli z tego wymagania zrezygnować.

Blady na twarzy Slotte, wpatrując się w posła, odchrząknął. - Dzięki panu poczułem się znowu jak człowiek, Sir.

Tuttle wstał, przycesał się w lustrze umieszczonym na szafie i nałożył

słomkowy kapelusz z szerokim rondem. - Poza tym wywiad kolejowy donosi o czymś cholernie dziwnym. Te olbrzymie, nabite ludźmi pociągi rzeczywiście zwożą cywilów z całej Europy do Polski, a potem puste jadą z powrotem; tymczasem armia niemiecka dusi się z braku wagonów i lokomotyw. Wiem to z całą pewnością. Dzieje się coś dziwnego, Leslie. Powiem ci coś entre nous. Napisałem w tej sprawie osobisty list do prezydenta, a później go podarłem. Przegrywamy tę przeklętą wojnę, więc nie można go zajmować czymś innym. Jeżeli ci Niemcy zwyciężą, cały świat zamieni się w jeden obóz zagłady; i to nie tylko dla Żydów.

- Nie wątpię o tym, Sir, mimo to...

- Dobrze. Niech Wayne Beall zgromadzi te materiały, powiedz mu to. Jedź do Genewy i pomóż mu. Niech ten waśniak z Czerwonego Krzyża, jeśli zdołasz go do tego zmusić, napisze wszystko, co mu wiadomo.

- Mogę spróbować, Sir, ale oni wszyscy drętwią ze strachu przed Niemcami.

- No, zrób, co potrafisz. Tym razem prześlę te materiały wprost do Sumnera Wellesa. Może nawet ty pojedziesz z nimi jako kurier. - Zdrowe oko błysnęło badawczo w stronę Slotę'a. - Co ty na to? Malutki urlop w Stanach?

Slotę natychmiast uświadomił sobie, że taka misja oznaczałaby definitywny kres jego kariery dyplomatycznej. - Czy do tej misji, Sir, nie nadawałby się lepiej Wayne Beall? On to zgromadził.

- Nie ma tego ciężaru gatunkowego. I nie opanował przedmiotu tak dobrze jak ty.

- Panie Tuttle, samochód czeka - zachrypiał głośnik na biurku. Tuttle wyszedł. Wracając do swego biura Slotę otworzył drzwi i usłyszał wesoły śmiech. Wayne Beall i Heidi stali z wyrazem zakłopotania na twarzach i Heidi zaraz wybiegła. Slotę przekazał Beallowi polecenie od posła. - Im szybciej się do tego zabierzemy, tym lepiej, Wayne. Tuttle wreszcie się zapalił do sprawy, więc kujmy żelazo, póki gorące. Może byśmy się zabrali do Genewy pociągiem o drugiej?

- Właśnie umówiłem się na lunch z twoją sekretarką.

- Ach tak.

- Właściwie to pomyślałem sobie, że zostanę tu na noc i - wyszczerzył do niego zęby w męskim, porozumiewawczym uśmiechu. - Masz coś przeciwko temu?

- Ale gdzie tam, smacznego! Możemy pojechać jutro.

Po chwili Slotę znów usłyszał śmiechy z sąsiedniego pokoju. Jedna ładna dziewczyna w garści liczyła się bardziej niż milion bliżej nieznanych ludzi, cierpiących gdzieś daleko; natury nie da się zmienić.

W porannej poczcie na biurku znalazł oficjalny raport od doktora Hessego z podsumowaniem sprawy Henry-Jastrow. Slotę umieścił go w przegródce z napisem Natalia i podarł rozpoczęty list do Byrona. A nuż wkrótce nadejdą dobre wieści z jakiegoś konsulatu nad Morzem Śródziemnym, albo nawet z Lizbony? Ze złymi wiadomościami zawsze można zaczekać.

`ty

37

`ty

Palmer Frederick Kirby siedział w koszuli przy starym, wynajętym biurku w brudnym biurówcu opodal kampusu Uniwersytetu w Chicago, starając się skończyć raport, zanim Rhoda przyjedzie pociągiem. Znajdował się w nieszczęśliwym nastroju; po części bojąc się tego spotkania, a po części dlatego, że Vannevar Bush domagał się w raportach faktów i nie znosił ponuractwa, natomiast wszystkie fakty, jeśli chodzi o osiągalność czystego grafitu do reaktora uranowego, były ponure. I pogoda również. W to duszne, szare, sierpniowe popołudnie wystarczyło otworzyć okno, aby wdarła się wichura znad jeziora Michigan, gorąca jak burza piaskowa z pustyni i - ze względu na lecący w powietrzu kurz i odpadki miasta Chicago - może w

połowie tak zgrzytliwa; po zamknięciu zaś okna miał dławiające wrażenie, jakby w ubraniu wybrał się do łaźni parowej.

Problem grafitu był typowy dla groteskowego przedsięwzięcia, nad którym doktor Kirby obecnie spędzał dni.

Ospale sączące się wysiłki w sprawie uranu zamieniły się, od czasu Pearl Harbor, w wezbraną rzekę pomysłów, pieniędzy, ludzi i problemów kłębiących się w mroku skrytości. Kirby pracował dla Sekcji "S-1" w Urzędzie Badań Naukowych i Rozwoju, którym kierował Vannevar Bush. Dla wtajemniczonych "S-1" znaczyło tyle co uran, ale - i na tym polegał kłopot - dla nikogo innego nie znaczyło to nic. W swoim poszukiwaniu materiałów i lokalizacji nie mógł przeskoczyć twardych zaopatrzeniowców z olbrzymich korporacji oraz sił zbrojnych. Naukowcy w Chicago uskarżali się na ciągle awarie swego reaktora uranowego z powodu grafitu, domagając się jego lepszej jakości; lecz takiego nie sposób było dostać, a wielkie przedsiębiorstwa chemiczne, które mogłyby go wyprodukować, były zavalone wojennymi zamówieniami od mocniejszych nabywców. Takie było sedno raportu, jaki Kirby szykował dla Busha, osłodziwszy tę gorzką pigułkę watał domieszką bez przekonania wtraconych sugestii bardziej optymistycznych.

Przerwał mu telefon od Arthura Comptona z Wydziału Fizyki. Bracia Compton byli parą druzgocąco błyskotliwych ludzi: ten miał nagrodę Nobla, a drugi stał na czele Massachusetts Institute of Technology. Kirby znał ich obydwu. Znał większość tych olśniewających fizyków i chemików, którzy starali się, grzęznąc w złowróbnym marnotrawstwie i braku zrozumienia, wyprodukować bombę atomową wcześniej od Niemców. Z niektórymi chodził do szkoły. Nie wydawali się dużo lepsi od niego na wieczorach kawalerskich i tańcach, a nawet w laboratorium; ambitni i pracowici młodzieńcy, tak samo jak on lubiący dziewczęta, piwo i sprośne żarty. Ale w osiągnięciach przeganiali go tak piorunująco jak wyścigowe konie perszerona od furgonu z mlekiem. Będąc z nimi po imieniu, nie ulegał jednak złudzeniu, że jest im równy. Wprost przeciwnie: jego miłość własna przechodziła z tego powodu chroniczne udreki.

- Fred, jest tu niejaki pułkownik Peters. - Compton, jak zwykle, mówił oschle i bezpośrednio. - Chciałby przyjść do ciebie i porozmawiać.

- Pułkownik Harrison Peters? Wojska Inżynieryjne?

- Ten sam.

- Właśnie posłałem mu do Washingtonu stos raportów.

- Dostał je.

Kirby spojrział na zegar na biurku; Rhoda przyjeżdża za dwie godziny. W sprawie uranu wszystko działo się właśnie tak. - Niech przyjdzie.

Niebawem zjawił się Peters, rozczochrany i spocony. Kirby rzadko spotykał mężczyzn wyższych od siebie, ale pułkownik Harrison Peters był jednym z nich. Szczupły, z podłużną czaszką i bujną szpakowatą czupryną, szeroki w barach, bardzo prosto się trzymający; miał twardy uścisk dłoni i tak samo twarde błękitne oczy. Kirby wskazał mu gestem ogromny fotel z podnóżkiem. Z westchnieniem pełnym wdzięczności Peters osunął się nań, wyciągnął nogi, otrząpał swój mundur khaki, obciągnął go i splótł swe długie, muskularne dłonie na tyle głowy. - Dziękuję. Co za rozkosz! Jestem na nogach od świtu. Mnóstwo widziałem, ale taki ze mnie ignorant, że niewiele mogę zrozumieć. Pan jest fizykiem, prawda?

- Owszem, zrobiłem na Politechnice Kalifornijskiej doktorat z fizyki. Ale jestem inżynierem od elektroniki. A teraz właściwie fabrykantem.

- Elektronika? To przynajmniej ma coś wspólnego z fizyką. Moja specjalność to inżynieria lądowa, studiowałem na West Point i na Iowa State. - Peters ziewnął; istny gawędziarz na luzie. - Najlepiej potrafię budować mosty, ale zajmowałem się też sporo zwyczajnym budownictwem. I trochę konstrukcjami wodnymi, przecież porty i rzeki też należą do wojsk inżynieryjnych. Ale ta wielka fizyka przerasta moje możliwości. Sam nie

wiem, co ja u diabła robię w tej misji. W przeciągu najbliższych sześciu miesięcy będziemy zdobywać Europę, Afrykę lub Azory. Spodziewałem się, że dadzą mi jakieś dowództwo na froncie. Tymczasem - zamachnął się szeroko długimi rękoma - Befehl ist Befehl, jak mawiają Szkopy.

Kirby odpowiedział krótkim kiwnięciem głowy. - Umie pan po niemiecku! To może się przydać.

- A co, czy po niemiecku tyle napisano na temat uranu? Ja i po angielsku to niezbyt rozumiem. Jestem panu bardzo wdzięczny za przesłane mi materiały. Kiedy czytałem, to jakby mi wycieraczka jeździła po zaparowanej szybie. Zacząłem się trochę orientować, o co tu chodzi.

- Cieszę się, że to coś pomogło.

- Otóż ja nadal uważam, Kirby, że ktoś tu chyba zgłupiał i bawi się materiałami priorytetowej kategorii A do trzeciej potęgi, w środku wojny, próbując rozwiązać naukową zagadkę, na którą może w ogóle nie być odpowiedzi. Osobiście nie spodziewam się po tym nic oprócz guzów na łbie od walenia nim o kamienne ściany. A jak miewa się pańska czaszka?

- Cała w guzach. - Wybuchnęli obaj śmiechem i Kirby dodał, rozkładając dłonie: - Jestem do usług.

Odsunawszy do przodu podnóżek, pułkownik Peters usiadł prosto z założonymi długimi nogami, łokcie wspierając na poręczach fotela i splatając palce. Kirby, z nogami w skarpetkach na biurku, poczuł się trochę niechlujnie pod baczynym spojrzeniem tego draęala. - Dobrze, Kirby. Pan i ja mamy ze sobą coś wspólnego. - Mowa jego stała się sucha i zwięzła. - Jesteśmy obaj profanami w dziedzinie inżynierii chemicznej i fizyki jądrowej. Obaj zostaliśmy w to wciągnięci. Zdaje się, że obydwaj mamy w istocie to samo zadanie, ja dla armii, pan dla tego zespołu S-1 Vannevara Busha. Siedzi pan w tym od dawna. Chciałbym, żeby mnie pan trochę wprowadził, zanim się w to pograżę z głową.

- Proszę pytać, o co pan tylko zechce.

- No więc objechałem już kawał kraju, rzucając okiem na całe to przedsięwzięcie. Po pierwsze, ci naukowcy są jedni na drugich zawzięci jak wszyscy diabli. Compton i jego ludzie tu w Chicago są przekopani, że najkrótsza droga do bomby to ten nowy pierwiastek 94, który wytwarza się w reaktorze. Tylko że ich reaktor nie działa; grzeje się i zaraz wyłącza. Tymczasem grupa doktora Lawrence'a w Berkeley idzie na elektromagnetyczne wyodrębnienie U-235, tylko że nie produkują żadnego U-235 mimo całego mnóstwa tej wielkiej maszynierii. A znów ci z uniwersytetu Columbia - i bodajże Brytyjczycy również - uważają, że właściwym rozwiązaniem jest dyfuzja...

- Dyfuzja gazowa, nie termiczna - przerwał mu Kirby, podkreślając te słowa, jakby uciał je dłonią na płask. - Proszę ich nie pomylić. To dwie różne rzeczy.

- W porządku. Jest również to urządzenie Westinghouse'a, centryfuga jonowa. Ona do mnie najbardziej przemawia, jako do ignoranta. Mamy dwie zmieszane substancje: naturalny uran U-238 i rzadki izotop wybuchowy U-235. Prawda? Jeden z nich jest cięższy, więc poddajemy je wirowaniu i wydobywamy ten cięższy za pomocą siły odśrodkowej. Jak w wirówce do oddzielania śmietanki.

- To nie takie proste, pułkowniku. Wystarczy przejść do mechaniki na dużą skalę i pojawiają się ogromne komplikacje. Najonizowane cząsteczki gazu nie zachowują się jak tłuszcz w mleku. - Pułkownik się z lekka uśmiechnął i skinął głową ze zrozumieniem. - Ja też stawiam na dyfuzję gazową - podjął Kirby. - Po prostu dlatego, że zasada jest ustalona. Praca z korozyjnym gazem, takim jak sześćiofluorek uranu, nastęrcza rozmaite niemiłe trudności w projektowaniu, ale nie ma w tym żadnej nowej koncepcji do sprawdzenia. Jeżeli zbudujemy wystarczająco dużo stopni i wykonamy je w należytej jakości - całe hektary poprzegradzanych komór, to fakt! - do tego tysiące

kilometrów przewodów i bardzo trudne do zachowania tolerancje - to w końcu na pewno otrzymamy U-235. Ten magnetyczny separator Lawrence'a jest świetnym pomysłem na skrócenie tej procedury. Jestem zwolennikiem Lawrence'a, czy wręcz jego wyznawcą, i moja firma dostarcza mu wyposażenia o najwyższej sprawności; ale i tak jego pomysł może po prostu nie wypalić. Nikt tego nie wie. To nowa zasada. Jesteśmy w lesie. Tak samo jak z reaktorem Comptona. Nikt pod słońcem jeszcze tego nie robił, chyba że ci cholerni Niemcy już zdołali się z tym uporać.

- Spędziłem dzisiaj - rzekł Peters - dwie godziny przy tym reaktorze, niby pod trybunami na boisku piłkarskim. Obrzydliwe, ponure cholerstwo, ten czarny kolos, piętrzący się aż pod strop, stoi sobie i tyle. Usmoleni technicy krzątają się wokół niego jak diabły w piekle, zafrasowane wokół ognia, który się nie chce rozpaść.

- Nieźle pan to ujął! - rzekł Kirby z kwaśnym uśmiechem. - I znowu wspaniałały pomysł. Szturchasz uran za pomocą źródła neutronów i zmuszasz go, żeby bryztał tym większą liczbą neutronów i rozszczepił się. Teoretycznie rzecz biorąc, jeśli dobrze to zaprojektujesz, powinieneś otrzymać reakcję łańcuchową i wysadzić w powietrze całe Chicago: ale system kontroli wydaje się niezawodny, więc w rezultacie otrzymujesz tylko mnóstwo gorąca i promieniowania i wytwarzasz ten nowy pierwiastek, pluton, który też potrafi eksplodować z piekielnym hukiem, jak U-235. Tak wywodzą ci panowie ołówkiem na papierze. Tymczasem cała historia tylko psyknie i zdycha. Dlaczego? Nikt nie jest pewien. Mam poniekąd nadzieję, że natknęliśmy się na jakieś zjawisko natury, jakąś fizyczną niemożliwość, której nikt jeszcze nie rozpoznał. I przez ten ślepy mur Niemcy też się nie przedrą. Ale czy to jest mur? Czy też my partaczymy, a oni już przechodzą na drugą stronę? Otóż i diabelne pytanie.

- Pan umieszcza dyfuzję gazową na pierwszym miejscu. - Sztywny palec Harrisona Petersa uderzył w poręcz fotela, jakby przygważdżał opinię Palmera.

- Owszem, ale ja też jestem ignorantem. Musimy zakładać, że Niemcy idą po każdym z tych tropów, więc nie możemy sobie pozwolić na pominięcie któregośkolwiek. Tak sądzi Urząd Badań Naukowych i Rozwoju, więc i ja również. Ja też się zawniłem.

- Kirby, pan ciągle spogląda na zegarek. Może w czymś panu przeszkadzam?

- Muszę o szóstej odebrać kogoś z dworca Union Station. Ona nie cierpi stać i czekać.

- Ach! dziewczyna - stwierdził pułkownik Peters. Uśmiech jego zamienił się w lubieżny uśmiech kozła; przeciągnął dłonią po pięknej siwej czuprynie; w jego zachowaniu pojawiła się figlarna pożądlivość. Generał brygady, który upoważnił Kirby'ego do przesłania Petersowi tajnych raportów, napomknął mimochodem, że "Wielki Pete" to dziki kawaler, który zaliczył, jak na swoje lata, imponującą liczbę ślicznych dziewcząt.

- No, pewna dama - powiedział Kirby.

- Przyjaciółka?

- Żona starego, dobrego przyjaciela. Ich syn, pilot z floty, właśnie zginął w bitwie o Midway.

Lubieżne spojrzenie pułkownika znikło, jak gdyby mokra gąbka starła pismo z tablicy. Twarz mu zesztyniała i spoważniała, wzrok spochmurniał i potrząsnął głową. - To bolesne.

- Cała rodzina jest związana z Marynarką Wojenną. Ojciec dowodzi krażownikami, drugi syn służy na okrętach podwodnych. A ona była na zachodnim wybrzeżu, gdzie odwiedzała tego podwodniaka i córkę.

- Słuchaj, w takim razie nie zatrzymuję cię.

- Jeszcze nie muszę iść.

- Czy mogę cię wypytać jeszcze o jedno?

- Proszę.

- Jak rozumiem, armia włączyła się w to ze względu na wielkie przedsięwzięcia produkcyjne. S-1 będzie prowadzić badania eksperymentalne, zakłady doświadczalne i tak dalej.

- Na tym to mniej więcej polega - rzekł Kirby. - Armia już dawno powinna się w to włączyć. Tego się nauczyłem, starając się uzyskać priorytety dla S-1. Żadna korporacja nie będzie poważnie traktować jakiejś tam bandy zwariowanych naukowców z ich tajną bronią z komiksów międzyplanetarnych, kiedy prezydent zamawia po sześćdziesiąt tysięcy samolotów rocznie, osiem milionów ton budownictwa okrętowego, czterdzieści pięć tysięcy czołgów i Bóg raczy wiedzieć ile dział przeciwlotniczych i amunicji. Jednak ten projekt zaczyna wyglądać, pułkowniku, na tak kolosalne obciążenie zasobów przemysłowych naszego kraju, że już tylko armia potrafi sobie z tym poradzić.

Pułkownikowi oczy zabłysły.

- Może i tak, ale czy S-1 i armia nie będą sobie wzajemnie podstawiać nóg? Będziemy się ubiegać o te same materiały kategorii priorytetowej trzy A, prawda? Czy nie skończy się to między tobą a mną na zawodach we wbijaniu sobie noża w plecy, które ja wygram, paraliżując tym samym twoje wysiłki, mogące się okazać kluczowymi dla rozstrzygających postępów?

- To trafne pytanie - odparł Kirby - ale wydział do spraw uranu Vannevara Busha i tak długo już nie pociągnie. Armia i tak przejmie niebawem całość. Mówię jak zdrajca, bo Compton i Lawrence i spółka wspaniale się czują, trzymając to wszystko w rękę. Nigdy jeszcze naukowcom nie dano grać tak wysokimi stawkami. Ale na tym etapie problem polega już tylko w dwudziestu procentach na wiedzy teoretycznej, a w osiemdziesięciu na wysiłku przemysłowym i wytężonej produkcji, pułkowniku, na gigantyczną skalę, w najszybszym tempie i w całkowitym sekrecie. - Kirby wstał, podniecając się własnymi słowami, i począł się dłonią uderzył w biurko. - Jeśli chodzi o potężne kopniaki, jakimi trzeba wymusić te osiągnięcia z amerykańskiego przemysłu, może się na nie zdobyć wyłącznie Armia Stanów Zjednoczonych. Za sześć miesięcy mnie już tu nie będzie: i chwała Bogu. Chyba powinienem już jechać na dworzec.

Peters także wstał i przeciągnął swe ogromne ramiona. - Czy zrobimy tę bombę?

- Spytaj mnie o to kiedy indziej - odpowiedział mu Kirby, wkładając krawat i marynarkę. - Dziś jestem przygnębiony. Ta wielka czarna stodoła, którą widziałeś: oni wciąż nie mogą jej uruchomić. Dzieje się to już od miesięcy. Próbowali wszystkiego po kolei, a teraz uważają, że to wina grafitu. Że zanieczyszczający go bor pochłania zbyt wiele neutronów, więc wszystko im wygasa. Będziesz w kółko słuchał o neutronach i...

- Już teraz mi się od nich kręci w głowie. Szybkie neutrony, powolne neutrony... a tak między nami kretynami: co to jest, u diabła, ten neutron?

- Mówisz poważnie?

- No chyba. Jestem w tych sprawach ciemny jak tabaka w rogu. - To cząsteczka pozbawiona ładunku, znajdująca się w jądrze atomu. Odkrył ją w 1932 roku Anglik nazwiskiem Chadwick. Substancja radioaktywna wydziela właśnie neutrony. Są w stanie przeniknąć w inne jądro i rozbić je na dwie inne, lżejsze substancje. Po raz pierwszy zrobiło to paru Niemców w 1939 roku. Na tym polega rozbitcie atomu, połączone z utratą masy i tym samym z wydzieleniem kolosalnej ilości energii.

- Prawo Einsteina - rzekł Peters i wyrecytował uroczyście, jakby wygłaszał lekcję: - E równa się mc kwadrat. Tyle to wiem.

- W porządku. Oczywiście ty nie będziesz się zajmował neutronami. Będziesz tylko patrzeć sobie na takie rzeczy, jak ta brudna czarna stodoła i olbrzymi elektromagnes Lawrence'a, całe w zegarach i zaworach. Rozmaici doktorzy fizyki i do tego paru laureatów Nobla będą na ciebie wrzeszczeć, abyś im dostarczył czystszy grafitu albo jeszcze większych magnesów, albo

innych nieosiągalnych rzeczy. Aż pewnego dnia - prawdopodobnie - coś zrobionego z uranu albo z pierwiastka 94 wybuchnie z największym hukiem, jaki słyszano kiedykolwiek na kuli ziemskiej. Tak twierdzą ci ludzie, najbardziej inteligentni z żyjących. Czy stanie się to za naszego życia i czy zdążymy pierwsi - to są właśnie te kluczowe pytania. Jeżeli Niemcy nas wyprzedzą, to Hitler dość brutalnie przerwie nasze wysiłki. A jeśli nas nie wyprzedzą i mimo to nie wyprodukujemy bomby na czas, żeby się nią posłużyć w tej wojnie - a zapewniam cię, że jest to możliwość jak najbardziej realna - wówczas proszę sobie wyobrazić, pułkowniku, że nastał pokój i Kongres dowiaduje się, jak to armia przetupała miliardy dolarów na gigantyczne urządzenia, które wyprodukowały szczyptę końskiego łajna: i proszę się już z góry przygotować do składania zeznań.

`cp2

Rhoda przeżyła dwie ciężkie godziny w rozkołysanym przedziale pociągu, szykując się do ostatniego spotkania z jedyną w swoim życiu nieślubną miłością. Kostium z surowego jedwabiu w kolorze sadzy, nabyty w Beverly Hills, subtelnie i czarująco podkreślał jej zgrabną figurę; fioletowy kapelusz był melancholijnym a wdzięcznym akcentem kolorystycznym; rękawiczki i pantofle wciąż czarne. Strój odpowiedni tak na okres żałoby, jak i dla pięknej wdowy, już gotowej znowu się rozejrzeć po świecie. Dwa tygodnie kalifornijskiego słońca i pływania dały jej opaleniznę w różnym odcieniu i czyste spojrzenie; a przykrywająca nos woalka na tyle złagodziła rysy, że ktoś obcy mógłby wziąć ją za kobietę około trzydziestki.

Gdy kobieta ma porzucić mężczyznę - lub też zostać przez niego porzucona - nieraz dokłada starań, aby wyglądać jak najlepiej; upiększa się (rzec by można) na ostatnie spojrzenie w trumnę zmarłej miłości. A mówiąc prozaicznie: po prostu woli, jeśli ją na to stać, żeby on tracąc ją poczuł żal, a nie ulgę. Wyraz twarzy Palmera Kirby, gdy wypatrzył ją u wyjścia z peronów, szczerze wynagrodził jej wysiłki. W taksówce rozmawiali tylko o jej rodzinie. Nad pracą Madeline w wytwórni filmowej górowała obecnie wieść o skierowaniu Byrona do Gibraltaru. Przedzwonił do niej mówiąc jej o tym w podnieceniu z San Diego. Domyślała się, że to skierowanie wiąże się jakoś z tajnymi działaniami floty podwodnej na Morzu Śródziemnym. Byron w dalszym ciągu zamierza polecieć do Szwajcarii i starać się o uwolnienie swej żony i dziecka; może z Lizbony to się da zrobić, jakkolwiek Rhoda uważała to za donkiszoterię i nie traciła nadziei, że oni się wydostaną z Włoch, nim on zdąży się porwać na coś takiego. W każdym razie - stwierdziła - Byron po raz pierwszy od śmierci Warrena mówił jak człowiek szczęśliwy. Wymknęły jej się te słowa. Po czym ona i Kirby popatrzyli na siebie ze smutkiem i Rhoda odwróciła się, a oczy jej zwilgotniały.

W sławnej Pompowni o tym, że jest wojna, świadczyła tylko liczba gości w mundurach, przeważnie łysych albo siwych pułkowników i kapitanów. Wytrawni kelnerzy krzatali się, podgrzewane dania wybuchały płomieniem, tu i ówdzie przesuwały się ruszty na kółkach, piękne kobiety w biżuterii pożerały ogromne homary, a szef od win, pobrzękując mosiężnymi insygniami, pośpieszał od jednego stolika do drugiego z butelkami sterczącymi z kubełków z lodem.

- Chyba napijemy się wina - rzekł do niej Kirby, gdy kelner zapytał, co będą pili. - Czy chciałabyś najpierw drinka?

- Niech to będzie wieczór bez wina - odrzekła Rhoda z powściągliwą wesołością. - Proszę o bardzo wytrawne martini.

Zaległo pomiędzy nimi przeciągłe milczenie, ale zgiełk restauracji sprawił, że nie było niezręczne. Pojawiły się drinki. Przepili do siebie. Kirby potrząsnął głową i odezwał się zająkliwie: - Rho, ciągle mi chodzi po głowie lotnisko w Berlinie, kiedy mnie tam odwozłaś. Sam nie wiem dlaczego. Bóg mi świadkiem, że nic w otoczeniu tego nie przypomina.

Popatrzyła na niego zza woalki, popijając martini. Delikatnie odstawiła wielki kieliszek. - To było pożegnanie.

- Tak myśleliśmy.

- A przynajmniej ja - westchnęła Rhoda.

- Czy to jest pożegnanie?

Rhoda z wolna i bez ogródek skinęła głową. Jej spojrzenie obieгло restaurację i rozgadała się. - Wiesz, że jadłam tu kiedyś z Pugiem? Jechaliśmy z San Francisco do Annapolis. Odkomenderowano go na Mare Island do pracy nad projektami wież artyleryjskich dla pancerników i wybraliśmy się znowu na wschód, na promocję Warrena w Severn School. Chyba dziesięć lat temu. Czy jedenaście? Już mi się myli. - Mieszkała w kółko i w kółko swoje martini. - Człowiek nigdy sobie nie uświadamia, że jest szczęśliwy, prawda? Wyobraź sobie, Palmer, mnie się wtedy wydawało, że przeżywam kłopoty! Byronowi nie wiodło się w szkole. Madeline była za gruba i miała krzywe zęby. Wielkie tragedie! Nasz dom w San Francisco był za mały i położony przy hałaśliwej ulicy. Pug miał ze mną ciężkie życie z tych wszystkich powodów, masz pojęcie! Ale jacy byliśmy dumni z Warrena! Uzyskał kordzik szkolny i medal sportowy, i wyróżnienie z historii... och, do diabła. - Jej głos się załamał. Dopijała drinka. - Zamów mi jeszcze jednego... i pamiętaj, żeby to był ostatni.

Dał znak kelnerowi, żeby powtórzyć zamówienie, i przemówił do niej z wolna i szorstko: - Rhoda, powiem swój kawałek i na tym koniec. Nie będę cię wprawiał w zakłopotanie jakimś rozmamłanym wylewem uczuć. Muszę się pogodzić z twoją decyzją, więc godzę się. I to wszystko.

Rhoda uśmiechnęła się smutno i łagodnie. - Nie cieszysz się, Palmer, że masz mnie z głowy?

- Nie mogę się z tego cieszyć, kiedy tu jesteś.

Jego namiętny ton i wyraz twarzy sprawiły, że oczy jej zabłysły. - Ładnie pan to powiedział. - Wyciągnęła do niego rękę i uścisnęli sobie dłonie, jak gdyby dobili targu. - No! A teraz chyba już możemy się rozkoszować kolacją - drżenie dało się słyszeć w jej śmiechu. - Gdzie jak gdzie, ale w Pompowni jednak szkoda byłoby z tego nie skorzystać, prawda?

- Tak jest. Nie zmieniłaś zdania co do wina?

- Och, to zamów dla nas pół butelki.

- Hallo, Kirby.

`nv

37 (cd.)

To pułkownik Peters minął ich stół, idąc za kierownikiem sali z wysoką dziewczyną w zielonej sukni. Kirby znał ją trochę z widzenia: duża, bezbarwna kobieta, zatrudniona w biurze Comptona. Teraz oczy jej błyszczały z podniecenia, ciemne włosy miała upięte we fryzurę z salonu piękności, a makijaż był dość krzykliwy. Zielona suknia odrobinę za bardzo obciskała jej bujną figurę. Usiedli w pobliżu, tak iż Kirby i Rhoda słyszeli, jak Peters ją zabawia. Ich śmiech rozlegał się po gwarnej restauracji.

Przy kolacji i połowie butelki Chablis Rhoda opowiedziała Palmerowi, że wybiera się na Hawaje i jakich to rozmaitych rad udzielali różni admirałowie na Zachodnim Wybrzeżu, i że zamierza zamknąć, a może nawet i sprzedać dom na Foxhall Road. Kirby tego prawie nie komentował i temat wygasł. Spędzili jakiś czas obserwując, z rozbawieniem i kpiącymi uwagami, szybkie postępy pułkownika Petersa z dziewczyną w zieleni. Robił to najwidoczniej podług wypróbowanej recepty, stosując podstawowe reguły i sprawdzone w użyciu materiały: wędzony łosoś, szampan, susz kebab na płonących roznach, crepes Suzette i brandy. Oboje prawie nie przestawali żartować i śmiać się, a dziewczyna aż promieniała z rozkosznego podniecenia. Peters umie wypatrzeć zdobycz, pomyślał Kirby, i usidlić ją. Kirby też nie odmawiał sobie poderwania jakiejś sekretarki, jeżeli się

poczuł samotny, ale na tę dużą pannę Chaney w sekretariacie profesora Comptona nigdy by nie zwrócił uwagi.

Rhoda miała pociąg dopiero o północy. Do dziesiątej skończyli posiłek i wyglądało na to, że już nie mają co robić. Dawniej mogliby się udać do jego mieszkania, ale teraz było to nie do pomyślenia. Ich stosunek dobiegł końca jak płyta gramofonowa; ich pogawędka była jak ostatnie skrobnięcie igły. Rhoda zachowywała się przyjaźnie i nawet swobodnie żartowała z taktyki erotycznej pułkownika Petersa; ale w aspekcie damsko-męskim stała się niedostępna jak siostra. Siedziała tak, w jakiś nieuchwytny sposób bardziej niż kiedykolwiek upragniona w upływie czasu i w otaczającym ją smutku; elegancka, spokojna dama, tak nienaganna i pogodna, że prześladowające go wyobrażenia jej nagiej, w konwulsjach namiętności, zakrawały na jakiś nieprzyzwoity fałsz albo żenujące podglądanie w sypialni.

Pułkownik schylał się nad panną Chaney i coś szeptał, pomagając jej wstać od stołu, i oboje zaśmiewali się. Ci nie mają problemu, co dalej robić, pomyślał Kirby; przed nim natomiast pojawił się problem, co począć z trzymającą się na dystans kobietą jeszcze przez dwie długie godziny.

- Zapropionowałabym coś dziwnego, kochanie - odezwała się Rhoda - i będzie mi przykro, jeśli mi to weźmiesz za złe.

- Tak?

- Czy zauważyłeś to małe kino dworcowe na Union Station, gdzie pokazują tylko wiadomości i kreskówki? Wybierzmy się tam. A jeżeli jesteś strasznie zajęty, to ja pójdę, a ty wracaj do swoich zajęć. Czy wciąż jeszcze przesiadujesz po nocach, pisząc raporty o tej okropności, nad którą pracujesz, cokolwiek to jest?

- Nie, nie, nic teraz nie mam do roboty. - Jej propozycja pozwoli mu przynajmniej zabić czas do północy. - To będzie w sam raz. Strasznie się najadłem tej kaczki z dzikim ryżem.

We foyer restauracji stał samotnie pułkownik Peters, wyglądający na zadowolonego z siebie. Kiedy weszli Kirby i Rhoda, wyprężył się na ich widok, a twarz jego przybrała wyraz zakłopotany i uroczystry. Rhoda wyszła do garderoby.

- Kirby, czy ta właśnie dama straciła syna?

- Tak.

Na twarzy Petersa pojawił się grymas niedowierzania. - Gdybyś powiedział, że ów lotnik był jej mężem, też bym uwierzył.

- To przystojna kobieta - rzekł Kirby. - Zaskoczyła mnie twoja panna Chaney. Nigdy bym nie pomyślał, że potrafi się tak wystafirować.

- Och, Joan jest niczego sobie. Kupa śmiechu. A wiesz, Kirby, mój bratanek Bob wstąpił do RAFu w 1939-tym. Od niedawna w armii, dwadzieścia jeden lat, nie mógł się już doczekać. Zginął w bitwie o Brytanię. Jedyne dziecko mojego brata. To koniec rodu, bo ja się nie ożeniłem. Fajny był ten Bob, wspaniały chłopak. Omal nie zabiło to jego matki, od tej pory wciąż przebywa po sanatoriach. Twoja przyjaciółka lepiej sobie z tym radzi.

- No cóż, ma jeszcze inne dzieci. I fakt, że to bardzo mocna kobieta.

Z garderoby wynurzyła się panna Chaney, kołysząc biodrami, z biustem podrygującym pod zielonym, połyskliwym jedwabiem. Z wilczym uśmiechem Peters wyciągnął dłoń do Palmera. - Udała nam się dzisiejsza wizyta.

- Jestem zawsze do usług, pułkowniku.

Panna Chaney pomigała do Palmera palcami i przewróciła oczyma. - Kogo ja widzę, doktor Kirby, więc spotykamy się w Pompowni! Przyjemniej tu niż na Wydziale Fizyki, prawda?

- Pod każdym względem, jaki mi przychodzi do głowy - odparł Kirby. Panna Chaney uznała to za sprośny komplement i odeszła, cała rozchichotana, pod ramię z pułkownikiem.

Niebawem pojawiła się Rhoda. Jakże różnią się kobiety jedna od drugiej! pomyślał Kirby; jak to widać choćby w sposobie, w jaki Rhoda stąpa i trzyma

głowę. Mając tyle lat na swoją niekorzyść, o ileż bardziej pociągająca jest, mimo wszystko, niż biedna panna Chaney! Niewymuszone kołysanie się jej szczupłego ciała pociągało go jak niegdyś, albo i mocniej. Gwałtownie zachciało mu się przeciwstawić odprawie, jakiej mu udzieliła. Miał przed sobą jeszcze z dziesięć albo piętnaście lat. Ich perspektywa bez Rhody ukazała mu się jałowa jak krajobraz podbiegunowy.

Ale poszli do kina i siedzieli tam obok siebie, patrząc na Głupie symfonie. Palmer Kirby, który tyle razy brał tę kobietę nagą w objęcia, dzieląc z nią uniesienia miłosne, teraz wahał się, czy wziąć ją za rękę. Wreszcie zrobił to. Rhoda nie cofnęła dłoni ani też nie trzymała jej sztywno czy bezwładnie. Ale w uścisku tym nie było seksu; Kirby trzymał tylko przyjazną dłoń. Po jakimś czasie poczuł się głupio i odłożył ją z powrotem na kolana swej towarzyszki. Trzy małe różowe świnki dokazywały na ekranie wyśpiewując: "Kto by się tam wilka bał?", a Palmer Kirby wiedział, że Rhoda Henry jest dla niego stracona na zawsze.

Tylko raz pocałowała go, stojąc na stopniach wagonu sypialnego. Był to chłodny pocałunek, nie całkiem pozbawiony seksu. Odchyliła głowę do tyłu, uniosła woalkę i popatrzyła mu głęboko w oczy. Jej oczy były suche i dość mocno błyszczące. Poczuł, że ona rozkoszuje się jego żalem, odkuwając się za te wszystkie miesiące, kiedy ją zaniedbywał i za to, jak się wahał, czy ożenić się z nią. Sprawa wciąż ważyła się tam i na powrót, ale w końcu nie wyszło; zawsze było coś niegodziwego w przyprawianiu rogów drugiemu mężczyźnie, a szczególnie już walczącemu na wojnie. Kirby pomyślał, że zasłużył sobie na to i będzie musiał stawić czoło swym podbiegunowym krajobrazom.

- Żegnaj, Palmer, kochanie.

- Żegnaj, Rhoda.

Ułożywszy swoje rzeczy w przedziale, Rhoda poszła do wagonu klubowego napić się do poduszki. Tam spotkała pułkownika Harrisona Petersa.

`ty

38

`ty

W Hollywood Pamela zwierzyła się Rhodzie ze swej miłości do Victora Henry, ponieważ uznała, że spalenie za sobą mostów będzie najlepszą rzeczą, jaką może uczynić dla tych dwojga pogrążonych w żałobie ludzi. A teraz, siedząc przy swojej starej, przenośnej maszynie do pisania, próbowała zacząć list do Victora Henry i zupełnie jej to nie wychodziło.

Victor, najdroższy,

Czyżbym słyszała, jak wołasz: Co ona robi w Kairze? Opowiem ci o wszystkim, jeśli najpierw nie wykończy mnie znużenie upałem i atak podzwrotnikowego rozwolnienia.

Zgarbiona nad maszyną w kusym, niezgrabnym, drukowanym w kwiaty hawajskim wdzianku, pod którym ociekała potem, Pamela utknęła na tych kilku żartobliwych linijkach. Upał i wilgoćomal nie roztapiały jej kości. Dopiero co skończyła artykuł, pisany na murzyna w imieniu ojca, i czuła się jak wyżęta. Długo wpatrywała się w żółtą kartkę, po czym wyszarpnęła ją z maszyny, wkręciła następną i zaczęła od nowa, starając się jak najdokładniej odizolować swe zmysły od nieznośnego zawodzenia ulicznych sprzedawców i korzenno-jełkich zapachów, wdzierających się przez otwarte drzwi balkonu. Z początku wystukiwała z wahaniem, później rozkręciła się do prędkiego klekotu.

Victor, najdroższy,

Prawie miesiąc temu spotkaliśmy w Gibraltarze twego syna Byrona. Zamierzałam ci o tym napisać. Właściwie sam mnie o to poprosił. Na jego okręcie działa surowa cenzura, więc nie chciał jakiemuś pozbawionemu twarzy wścibskiemu powierzać wiadomości o swojej żonie i synku.

Może się już tymczasem zdażył do ciebie odezwać, ale jeśli zdał się tylko na mnie, to bardzo przepraszam. Od chwili przybycia do Egiptu byliśmy w biegu bez chwili wytchnienia. Tutejszy klimat jest wyczerpujący, a kiedy mój ojciec, biedny tłuścioch, opada z sił - w upale nigdy nie bywa w najlepszej formie - ja muszę brać na siebie coraz więcej. Nawet ostatnio już podał mnie parokrotnie jako współautorkę.

Zakładam, że nie miałaś wieści od Byrona.

Został on tymczasowo odkomenderowany do floty brytyjskiej i służy na pływającej bazie okrętów podwodnych Maidstone - mówi się o nich "tender" - która obsługuje flotyllę obejmującą kilka waszych starych łodzi z Lend-Lease. Wraz z innymi Amerykanami pomaga w ich konserwacji. Mówi, że załoga Maidstone doskonale by sobie z tym poradziła i że trafił do służby tak przyjemnej i lekkiej, aż grzech, nie wyłączając towarzyskich wypadów na hiszpańską stronę Skały. Jedzenie i spanie na pływającej bazie oczywiście zaliczają się do najlepszych. Ponieważ zaś misji amerykańskiej w Gibraltarze chronicznie brakuje ludzi, wykonał kilka miłych wypadów drogą powietrzną, w roli kuriera, do nie okupowanej południowej Francji. Z wyglądu jest opalony i zdrowy, tylko nie może się doczekać "prawdziwej wojny", jak nazywa działania na Pacyfiku, gdzie też zamierza wrócić, skoro tylko wyjaśni się sytuacja z Natalią.

Teraz o tym. Byron ma informacje od Lesliego Slote, który jest obecnie sekretarzem politycznym waszego poselstwa w Szwajcarii. Jakiś czas temu Natalia i jej stryj znikli z nadmorskiego uzdrowiska o nazwie Follonica, ku niezmiernemu strapieniu władz włoskich, które obdarzyły ich wręcz niezwykłymi przywilejami. Przez kontakty z organizacjami żydowskimi w Genewie Leslie ustalił, że oni mogą teraz być w drodze do Lizbony albo Marsylii, w czym pomagają im grupy ruchu oporu. Wszystko to powstrzymało Byrona od próby wyjazdu do Berna, gdzie nic by nie wskórał, jako że ptaszki z Włoch prawie na pewno wyfrunęły. Możliwe, że tymczasem wszystko się już dobrze skończyło. W każdym razie takie wiadomości miał Byron miesiąc temu.

A nawiasem mówiąc, zawsze wydawało mi się nadzwyczaj dziwne, że twój syn ożenił się z tą dziewczyną, którą znałam na długo przedtem, zanim dowiedziałam się o twoim istnieniu. Byron się bardzo postarzał od naszego spotkania na Hawajach. Przyczyniło się do tego zgolenie brody, bo jego usta i podbródek zrobiły się wręcz surowe. Śmierć brata sprawiła, że substancja, z jakiej ten młody człowiek jest uczyniony, stała się twardsza i grubsza. Można by powiedzieć, że jest w nim teraz mniej żywego srebra, a więcej żelaza.

Powinam ci też powiedzieć, że w Hollywood spotkaliśmy się z twoją rodziną. Twoja żona mówiła, że spróbuje przedostać się do ciebie na Hawaje. Mam nadzieję, że jej się udało i muszę przyjąć, że opowiedziała ci o naszej rozmowie. Może się na mnie o to gniewasz. Wydało mi się, że powinna wiedzieć, jakie było ryzyko, że cię straci. Zapytała mnie wprost, czy mieliśmy romans, więc jej powiedziałam. Czy zasłużyła sobie na twoją wierność, o to za późno pytać, ale pamiętaj, że dla niej wybuch wojny musiał być czymś takim, jakby wszystko się zawaliło.

Ja tak czułam się w Singapurze. Nic się już nie liczyło, w ogóle nic, tylko że zbliżają się te wściekłe żółtki. Był to najgorszy okres wojny i mojego życia, aż ty wróciłeś z Midway; i zobaczyłam w twoich oczach, co się stało, i poczułam, że teraz już będę dla ciebie bezużyteczna i że wszystko skończone. To było jeszcze gorsze.

Tu w Kairze ludzie wciąż są roztrzęsieni z powodu bliskości Rommla, ale podtrzymują ich na duchu wasze samoloty, czołgi i ciężarówki napływające do naszej Ósmej Armii przez Przylądek Dobrej Nadziei i bezpośrednimi konwojami koło Malty. Gaduła dowiedział się wprost od Churchilla - Willie śmignął tu dwa razy w ciągu ostatniego miesiąca, ciągnąc za sobą wielką chmurę jakichś pieprzonych, absurdalnych kłopotów - że wszystko to kropla w morzu, jeśli

porównać z istną Niagarą ekwipunku, jakim zalewacie obecnie Rosjan. Kiedy i jak twoi rodacy wszystko to wytwarzają, nie mam pojęcia. Wasz kraj mnie zdumiewa: zbyt kowna i nietknięta kraina próżniaczego życia, gdzie olbrzymie gromady przystojnych i energicznych ludzi albo pogrążają się w bezdennej rozpacz, albo zabawiają się jak rozbrykana dziatwa, albo rzucają się do roboty jak wszyscy diabli, podczas gdy prasa ciągle trąbi o pogardzie dla rządu i beznadziejności systemu. Nie rozumiem, jak funkcjonuje Ameryka, i tak samo nie rozumieli tego Trollope i Dickens, ale jest to pewnego rodzaju nieustający cud.

W Londynie źle się dzieje. Naprawianie szkód po Blitzkriegu wlecze się niemrawo. Ludzie snują się po gruzach w oślizgłej pogodzie, na zmniejszających się racjach żywności. Zorientowanych mrozi strach przed U-Bootami. Z pewnością nie zdradzą ci żadnych tajemnic; Victor, oni już zatopili ponad trzy miliony ton od czasu, kiedy wy przyłączyliście się do wojny. Tylko w czerwcu zatopili prawie milion ton. W tym tempie nie zdołacie ruszyć do ataku na Europę, a my długo już nie wytrzymamy. Atlantyk staje się nie do przebycia. Co za dziwaczny rodzaj zagrożenia, ten niewidzialnie dławiący chwyt, dający się zauważyć w coraz chudszych postaciach Brytyjczyków, malejącej liczbie pojazdów, coraz bardziej niezdrowych twarzach, w ogólnym posmaku i smrodzie rozkładu, i w defetyzmie, rozpełzający się po Whitehallu. Przebąkuje się o pertraktacjach. Kiedy padł Tobruk, Churchill przeżył głosowanie nad votum nieufności, ale było to czerwone światło ostrzegawcze. Przemówieniami w stylu Macauleya długo już nie utrzyma się na powierzchni.

Ale jakkolwiek ciężko Londyn odczuł kapitulację Tobruku, było to niczym w porównaniu z tym, co działo się tutaj w Egipcie. Ominęło nas, co najgorsze, ale dyszeliśmy, że wyglądało to jak upadek Francji. Rommel nadciągał z rykiem wzdłuż wybrzeża, świetnie zaopatrzonego w paliwo i znów uzbrojony po zęby z ogromnych zapasów, które zdobył w Tobruku. Kiedy utknął pod El Alamein, o dwie godziny jazdy samochodem od Aleksandrii, urzędy, sztaby i bogaci ważniacy, wszystko to masowo przyskało na wschód do Palestyny i Syrii każdym dostępnym pociągiem i samochodem. Tłumy ludzi mniej uprzywilejowanych zapełniały szosy, idąc pieszo. W miastach była surowo egzekwowana godzina policyjna, opustoszałe hotele, wyludnione ulice i porzucone urzędy, rabusie, strzelające bez uprzedzenia patrole i tak dalej. Niewiele z tego wydostało się na zewnątrz przez surową cenzurę.

Teraz już trwoga zmaląa. Niektórzy z wiejących zakłopotani ściągają na powrót, ale ci ostrożniejsi nadal pozostają tam, dokąd uciekli. Rommel najwidoczniej uzupełnia wyposażenie i paliwo do następnego zrywu. Nie ma wielkiej nadziei na dłuższe wytchnienie, jakie zyskali Rosjanie, kiedy Niemcy ugrzęźli pod Moskwą. Bo w Egipcie nie pada śnieg.

Jeszcze coś o mnie i przestanę cię nudzić. Do Kairu przybył Duncan Burne-Wilke, ażeby zająć się logistyką działań powietrznych przeciwko Rommlowi. Jeżeli nie dam mu dyskretnie do zrozumienia, żeby dał spokój, to pewnie mi się oświadczy. Sporo widywaliśmy się w Londynie. Lady Caroline umarła przed kilkoma miesiącami na raka. Nie wiem, czy ją kiedyś poznałeś. Była po prostu świetna, nadzwyczaj elegancka, trochę apodyktyczna i szorstka, córka lorda hrabiego. Duncan ożenił się, że tak powiem, nieco powyżej własnej sfery, bo jest "zaledwie" wicehrabią, a jego ojciec, produkujący samochody, kupił ten tytuł.

W ich małżeństwie prędko się przestało układać. Prawdę mówiąc, Duncan pewnego razu bardzo mile zaproponował mi to, co my, cywilizowani Europejczycy, określamy wyrazem "układ". No cóż, nie jestem znów taka moralna, ale zawsze miałam jakieś zasady. We wszystkich moich niefortunnych przygodach (nie mówi o Singapurze) byłam namiętnie zakochana, albo tak mi się wydawało. A wtedy byłam straszliwie zakochana w tobie, stary człowieku z żelaza, i zgodzić się na Duncana byłoby nieprzyzwoitością. Dziewczęta

wokół stołu operacyjnego w Biggin Hill wszystkie wzdychały i tęskniły do Duncana jak chór żeński u Gilberta i Sullivana, ale, faktem jest, że ja do niego nic takiego nie czułam i nadal nie czuję.

Chyba jednak muszę wreszcie pomyśleć, co począć ze swoim życiem. Nie mogę tak ciągle i ciągle być z Gadułą; tym bardziej, że on już podupada. Duncan jest na pewno poczciwy. Ale jakoś nie mogę teraz pakować się w taki związek, chociaż byłby to dla mnie bardzo wytworny awans. Nasza rodzina jest dosyć szacowna, a po stronie mojej od dawna nie żyjącej matki nawet ziemiańska, cóż, kiedy ja sama jestem po prostu w miarę wykształconą parwienuszką, a los mój zależy, niestety, od mojej mizernej twarzy. Wszystko to świetnie, ale wciąż jestem potrzebna Gadule. Zostaniemy tutaj do ofensywy Rommla, a dalej nie patrzę. Tu wzrasta pewność siebie, oparta częściowo na dzielności angielskiego żołnierzyka, częściowo zaś na tych cieszących serce rzędach, rzędach i rzędach oliwkowej barwy amerykańskich ciężarówek i czołgów, stojących na nabrzeżach portu w Aleksandrii.

Gaduła drzemie pochrapując w sąsiednim pokoju po zażyciu kapsułki na sen. Drugie pojawienie się Churchilla, który przeszedł jak trąba powietrzna, spięło i wymęczyło wszystkich. Ja też muszę się przespać. Jutro przed świtem ruszamy pociągami do Aleksandrii, a stamtąd na konferencję prasową, którą urządza Montgomery w swojej kwaterze polowej. Od niedawna objął dowództwa i zdania na jego temat są tutaj podzielone. Szemrania w barze Sheppard's Hotel wypadają mniej więcej pół na pół za i przeciw; geniusz taktyczny, nadęty i popisujący się ekscentryk.

Naprawdę cieszę się, że znowu pojedę na pustynię. Robiono trudności z powodu mojej płci, jako że w warunkach polowych mężczyźni biegają nago, czy to kąpać się w morzu, czy myć się, czy po prostu dla ochłody i potrzeby naturalne też załatwiają, jak popadnie. Więc nie dopuszczono mnie do pierwszego wyjazdu, ale Gaduła odczuwał ten brak i zrobił takie piekło, że tym razem jadę. Kiedy będę się zbliżać, wzdłuż całego wybrzeża zapewne pójda sygnały: "Kobieta, kryj się!" Niewątpliwie sprawię im wiele kłopotu, ale tam jest tak pięknie, aż dech zapiera - roziskrzone niebieskozielone morze, długie, białe piaszczyste wybrzeże, oślepiające jak śnieg, a potem szare jak łupek płaszczyzny solne, słonawe jeziora, żółte i czerwone piaski pustyni upstrzone krzakami - i te zachody słońca, te przejrzyste i gwiazdne noce, ach! Znakomite oddziały australijskie, żołnierze rozebrani do szortów, ogorzali jak Indianie! Jednym z najpodlejszych aspektów wojny jest, w gruncie rzeczy, jej piękność. Pamiętasz płonący Londyn? Albo ta bitwa czołgów na śniegu, którą oglądaliśmy z daleka pod Moskwą, te płomienie palących się czołgów, purpurowe i pomarańczowe, odbite od liliowego śniegu?

Gdyby nie wojna, co robiłabym przez te wszystkie lata? Coś nudnego w jakimś nudnym londyńskim biurówcu albo coś swojskiego w domku podmiejskim, a może, gdybym miała szczęście, w mieszkaniu w Londynie. I nigdy bym nie spotkała ciebie! doświadczenia, które we wszystkich jego światłocieniach, mimo wszystko, chowam w sobie jak skarb i najważniejszą rzecz w mojej biografii.

Oddam ten list znajomemu z United Press, który wraca do New Yorku. On go stamtąd wyśle pod twój adres w Urzędzie Pocztowym Floty, więc go wkrótce otrzymasz. Victor! Jeżeli nie za dużo wymagam, to przyślij chociaż słówko, że mam twoje błogosławieństwo w sprawie Duncana. Ja ze swojej strony uważałam, że nie odzywać się to najlepszy sposób, aby zakończyć nasz piękny, chociaż zgilotynowany stosunek, ale musiałam ci napisać o Byronie i poczułam tyle olbrzymiego szczęścia i ulgi. Może i ty lepiej się poczujesz, kiedy napiszesz do mnie, choćby najkrócej. Myślę, że rozumiemy się, mimo że przyszło się nam rozstać, nim zdążyliśmy się poznać do głębi.

Z miłością Pamela

Dziennikarz z United Press rzeczywiście przywiózł ten list do New Yorku i

dostał się on w zawiły system Marynarki Wojennej, dostarczający pocztę na okręty, rozrzucone po dalekich morzach. Szare worki dla krążownika Northampton podążały za okrętem po wszystkich obszarach Środkowego i Południowego Pacyfiku; jednak list nie zdołał go dogonić do czasu, kiedy krążownik poszedł na dno w pobliżu wyspy Guadalcanal.

`ty

39

`ty

`ty

Globalne Waterloo 1: Guadalcanal

(z Całopalenia świata Armina von Roon)

`ty

Listopad 1942! Nigdy i żaden już Niemiec, usłyszawszy o tym miesiącu, nie zdoła powstrzymać dreszczu.

W tym jednym złowróżbnym miesiącu cztery klęski ugodziły w nasze krótkotrwałe imperium: dwie w Afryce Północnej, jedna w Rosji i jedna na Południowym Pacyfiku. 2 listopada brytyjska ofensywa pod El Alamein, rozpoczęta pod koniec października, wypędziła ledwie trzymający się Afrika-Korps marszałka Rommla z Egiptu, gdzie nigdy już nie zdołał powrócić. 8 listopada siły anglo-amerykańskie wylądowały w Maroku i w Algierii. Między 13 a 16 listopada odwróciły się losy w walkach o Guadalcanal. Wreszcie 19 listopada hordy sowieckie przełamały front pod Stalingradem i przystąpiły do odcinania naszej Szóstej Armii.

Historycy skłonni są nie zauważać przeraźliwej równoczesności tego poczwórnego ciosu. U naszych niemieckich autorów gada się bez ustanku o Stalingradzie, widowia śródziemnomorska traktowana jest pobieżnie, a Pacyfik w ogóle przemilczany. U pseudohistoryków sowieckich mówi się wyłącznie o Stalingradzie, jakby nic innego się wtedy nie działo. Winston Churchill rozvodzi się nad El Alamein, pomniejszą bitwą typu podręcznikowego, rozstrzygniętą dzięki zawrotnej przewadze brytyjskiej w wyposażeniu pochodzącym z Lend-Lease. Pisarze amerykańscy podkreślają, jak to Amerykanie zwyciężyli walkowerem we francuskiej Afryce Północnej i dziwnie lekceważą Guadalcanal, jedną z najświetniejszych kampanii amerykańskich.

Globalne Waterloo stanowiło w gruncie rzeczy nagły, huczny, płomienny zwrot, na skalę całego globu, w dziejach naszego wysiłku wojennego, największego w historii: na morzach, w piaskach pustyni, na wybrzeżach, w dżunglach, na ulicach miast, na wyspach tropikalnych, w zamieciach śnieżnych. W listopadzie 1942 światowy awanturnik Hitler, któremu my Niemcy powierzyliśmy swoje dusze, raz na zawsze stracił inicjatywę. Od tej chwili napierali na niego kaci i walczył już nie o panowanie nad światem, tylko o to, by uratować swą szyję.

Z wojskowego punktu widzenia nawet i wtedy sytuacja była do uratowania przy wykorzystaniu zdrowej taktyki militarnej, a wielkich taktyków nam nie brakowało. Klasyczny odwrót w walce z Kaukazu po Stalingradzie, wykonany przez Mansteina, aby przytoczyć tylko jeden przykład, znajdzie się kiedyś na kartach historii obok marszu Ksenofonta nad Morze Czarne. Ale Hitler jako wódz potrafił tylko dalej obstawać przy swych głupich błędach. Ponieważ nikt nie był w stanie rozewrzeć przeraźliwego chwytu, w jakim trzymał nasze siły zbrojne, pociągnął za sobą w przepaść naród niemiecki.

`ty

Zasięg Trzeciej Rzeszy

`ty

Ażeby zrozumieć pychę rozpierającą Hitlera przed jego upadkiem, trzeba wyobrazić sobie sytuację Niemiec do listopada 1942 roku.

Dla współczesnego czytelnika niemieckiego nie jest to łatwe. Jesteśmy narodem zastraszoną, wstydzącym się swej potężnej, choć faustowskiej przeszłości. Nasza pokonana i skurczona ojczyzna jest rozbita. Bolszewizm usadowił się na jednej połowie; druga połowa płaszczy się przed dolarem. Wprawdzie odżył nasz rozmach gospodarczy, lecz nasza pozycja w sprawach międzynarodowych pozostaje wątpliwa. Dwanaście krótkich lat błędów i zbrodni nazistowskich zatarło dumny rejestr stuleci.

Jednakże w lecie 1942 byliśmy jeszcze górą. Na froncie wschodnim Wehrmacht brał rozmach do natarcia. Po zdobyciu Sewastopola i oczyszczeniu półwyspu Kercz wdarliśmy się Sowietaom we flaki od południa dwoma ogromnymi, zbrojnymi uderzeniami: jednym przez Don ku Wołdze, drugim na południe w kierunku pól naftowych Kaukazu. Armie Stalina wszędzie ustępowały przed nami, ponosząc wielkie straty. Olśniewające zdobycie twierdzy w Tobruku przez Rommla otworzyło drogę do Kanału Sueskiego i omal nie doprowadziło do upadku Churchilla.

Sprzymierzona z nami Japonia zdobyła Azję Południowo-Wschodnią i w Birmie podchodziła do granic Indii. Mocno trzymała w rękę nadmorskie prowincje powalonych przez siebie Chin. Jej klęska pod Midway kryła się we mgłach wojny. Jej armie ciągle jeszcze odnosiły triumfy, gdziekolwiek się pojawiły. Cała Azja zatrzęsła się od tego przesunięcia sił w skali globalnej. Indie były rozdarte przez zamieszki. Ich Kongres głosował za natychmiastowym wycofaniem się Brytyjczyków i tworzył się już indyjski rząd na emigracji, chcący walczyć po stronie japońskiej.

Na wodach Arktyki, po słynnym rozgromieniu przez nas konwoju PQ-17 pod koniec czerwca, odcięliśmy linię dostaw Lend-Lease do Murmańska, zadając cios w żołądek już chwiejącej się Armii Czerwonej. W tym pogromie wyrażał się schyłek brytyjskiej potęgi morskiej. Na samo ostrzeżenie, że zbliżają się nasze ciężkie okręty, eskorta konwoju poleciała mu się rozproszyć i zmykać z powrotem do Anglii! Cienie Drake'a i Nelsona musiały się popłakać w Walhalli. W następującej po tym masakrze nasze samoloty i okręty podwodne strzelały do nich jak do kaczek. Zimna toń morska pochłonęła 23 statki handlowe z 37 i sto tysięcy ton zaopatrzenia wojennego, z ciężkimi stratami w ludziach. Wściekły ryk słowiański rozległ się, kiedy Churchill ze wstydem powiadomił Stalina o rezygnacji z dostaw do Murmańska. Groteskowy sojusz kapitalizmu z bolszewizmem zawisł na włosku.

Wszystko to jawnie wskazuje, że latem i jesienią 1942 roku wbrew wszystkiemu wciąż triumfowaliśmy, mimo że wystąpiły przeciwko nam Stany Zjednoczone i mimo wszystkich przeliczeń się ze strony Hitlera.

Przypisek tłumacza: Konwoje na Murmańsk zostały wstrzymane w letnich miesiącach długiego dnia podbiegunowego, a później znowu podjęte. W grudniu brytyjskie niszczyciele, eskortujące inny konwój, pokonały niemieckie siły operacyjne, w których skład wchodziły mały pancernik i ciężki krążownik. Ta klęska tak rozwścieczyła Hitlera, że kazał oddać całą flotę na złom, a jej artylerię wykorzystać na lądzie. Admirał Raeder podał się do dymisji. Dönitz przejął po nim dowództwo, ale niemiecka flota nawodna nigdy już nie pozbierała się po tym ataku furii u Hitlera.

W następującej teraz ocenie bitwy o Guadalcanal Roon jest obiektywny i wiarygodny. Niemcy tam nie walczyli.

(V.H.)

`ty

Sytuacja na Pacyfiku

`ty

Cała Europa, od Zatoki Biskajskiej po Ural, dałaby się utopić bez śladu pomiędzy Honolulu a Manilą, ale walki na Pacyfiku odbywały się na jeszcze większych odległościach. Niesłychana rozległość toczących się walk, nieznane dotąd formy połączonych działań na lądzie, morzu i w powietrzu:

oto fascynujące rysy wojny na Pacyfiku. Okres historyczny, w którym możliwe były takie operacje, prędko nadszedł i tak samo przeminał. Jego punktem kulminacyjnym były sześciomiesięczne zmagania, szalejące w powietrzu, na wodzie, pod wodą i w dżungli, o posiadanie małego lotniska, mieszczącego 60 samolotów: Henderson Field na wyspie Guadalcanal.

Guadalcanal to kampania, która przeszła nie zauważona, taki mały Stalingrad na Pacyfiku, kłębiący się wokół tego lotniska. Gdyby to było zwycięstwo brytyjskie, Churchill napisałby o tym cały tom. Lecz Amerykanie obojętnie podchodzą do swojej historii wojskowej. Brakuje im europejskiego wyczulenia na przeszłość, jak również autorów o rozległej kulturze.

W moich ograniczonych (Generał von Roon pisał to w więzieniu. V.H.) badaniach dojdę jeszcze do wyczerpującego opisu walk o Stalingrad i Guadalcanal, można jednak powiedzieć, że były to dwa bieguny, wokół których obracały się dzieje II wojny światowej. W sierpniu doszliśmy do Wołgi, trochę na północ od Stalingradu. Także w sierpniu Amerykanie wylądowali na Guadalcanalu. Generał Paulus poddał się w Stalingradzie 2 lutego 1943; Amerykanie 9 lutego opanowali Guadalcanal. Obie te bitwy polegały na rozpaczliwej i skutecznej obronie przyczółka nadwodnego: nad rzeką przez Rosjan, mających za plecami Wołgę i na plaży przez Amerykanów, za plecami mających ocean. Obydwie polegały na czołowym zderzeniu woli dwóch narodów. Rezultaty obydwu stały się punktem zwrotnym na widowni wojennej w oczach całego świata.

Niemiecki czytelnik musi ciągle pamiętać, że wojna ta miała wymiary globalne. Na nas ciąży obsesja Europy i tak samo jest u historyków bolszewickich. Tymczasem pod niesprawnym lecz dynamicznym przywództwem Adolfa Hitlera naród nasz przełamał lody systemu imperialnego na całym świecie. Przez sześć lat szalała burza na skalę światową i wszystko było płynne. Gra toczyła się o kontynentalne obszary naszej planety, 150 milionów km kw. posiadłości ziemskiej. Azjatycki samuraj ruszył do boju i zawarł przymierze z wojownikiem nordyckim, aby po nowemu i sprawiedliwie podzielić się mieszkalną powierzchnią globu. Leżało zatem w naturze tych konwulsji, które wstrząsnęły światem, iż po dwóch stronach globu równocześnie wybuchły dwie konfrontacje zbrojne. Osłupiające powstrzymanie japońskiego naporu pod Midway podobne było do naszego utknięcia w grudniu 1941 pod Moskwą. Były to dreszczem przejmujące zapowiedzi. Ale na śmierć zdruzgotały nas dopiero później i równolegle Stalingrad i Guadalcanal.

Oczywiście były też istotne różnice. Gdybyśmy pobili Armię Czerwoną pod Stalingradem, historia nie istniałaby w swej obecnej formie; gdyby natomiast Amerykanów wyparto z Guadalcanalu, wróciliby zapewne nieco później z nowymi jednostkami floty, sił powietrznych i oddziałami czołgów, ażeby pobić Japończyków gdzie indziej. Bitwa o Stalingrad toczyła się na nieporównanie większą skalę i była dużo bardziej rozstrzygająca. Jednakże paralele między nimi warto mieć na uwadze.

`ty

Admirał King

`ty

Po flocie amerykańskiej krążyło powiedzonko, że admirał Ernest King "goli się lampą lutowniczą". Lotnik morski o długim rejestrze zasług, aż do podniesienia zatopionego okrętu podwodnego na pełnym morzu włącznie, King wysłany został na zieloną trawkę do Komisji Generalnej, będącej ciałem doradczym w sprawach oceny taktycznej nowych okrętów, gdzie kierowano starych admirałów, nie mających już dokąd pójść. Jego zimna i agresywna osobowość sprawiała, iż nie kochano go. Urażał ambicje i łamał kariery. Wkrótce po Pearl Harbor prezydent Roosevelt mianował go głównodowodzącym floty amerykańskiej. Na wieść o tym King miał się odezwać: "Jak robi się ciężko, to posyłają po sukinsynów". Ale w Wehrmachcie, niestety! "jak

robiło się ciężko", to Führer posyłał po swoich pochlebców.

King musiał uporać się nie tylko z rozszalałymi Japończykami, ale także z ustaloną polityką Roosevelta-Churchilla: "Najpierw Niemcy". Rada Szefów Sztabu zaniedbywała "jego" wojnę na rzecz większego konfliktu. King z zimną krwią poradził sobie w ten sposób, że zaatakował Tulagi, z czego wynikła bitwa o Guadalcanal.

`ty

Japoński cel wojny

`ty

Niezależnie od butnej retoryki Japończycy nie dążyli do militarnego zdruzgotania Stanów Zjednoczonych. Ich cel był ograniczony. Z ich punktu widzenia Ameryka nie miała nic do roboty w Azji Południowo-Wschodniej. Ponieważ myśmy podbili Europę, przyszedł czas, aby wyrzucić imperialistycznych wyzyskiwaczy i stworzyć pokojową Wielką Azję Wschodnią dla Azjatów, obejmującą też spacyfikowane Chiny: tak zwaną Strefę Wspólnego Dobrobytu pod przewodnictwem Japonii, przyjaźnie nastawioną do Niemiec, mających zapanować nad światem.

Ich cel militarny polegał na szybkim podboju obszarów, które chcieli zagarnąć, a potem na zajadłej obronie swoich zdobyczy na ich obwodzie. Spodziewano się, że odległa i świetnie prosperująca Ameryka będzie miała dosyć kosztownej wojny, którą jest niezbyt zainteresowana, i zawrze pokój dla zachowania twarzy. Mogłoby się to udać, gdyby nie atak na Pearl Harbor, który obudził w dumnych Jankesach, a zwłaszcza w ich wyborczej flocie, irracjonalnie pograniczną i kowbojską żądzę odwetu.

Przypisek tłumacza do III wydania, październik 1973: Sprawa wietnamska skłania mnie do zastanowienia się, czy przypadkiem Roon w tym punkcie nie miał całkowitej racji.

(V.H.)

`ty

Amerykański cel wojny

`ty

Z drugiej strony amerykańska Marynarka Wojenna już od dwudziestu lat szykowała się do zniszczenia Japonii w przypadku, gdyby "żółte niebezpieczeństwo" miało kiedykolwiek zagrozić hegemonii Stanów Zjednoczonych. Przy założeniu, że Japończycy dadzą się wmanewrować w to, aby pierwsi zaatakowali, w grach wojennych Amerykanie od dawna mieli gotowy plan kontrataku. Jak wspomniano, po wojnie Chester von Nimitz twierdził, że Stany Zjednoczone wygrały tę wojnę ściśle podług wytycznych, zaplanowanych w Akademii Wojennej Floty. Plan był następujący:

1. Utrzymać łączność z wysuniętymi do przodu głównymi bazami w Australii i Nowej Zelandii za pomocą instalacji rozmieszczonych wzdłuż wygiętej linii wysp poza zasięgiem japońskiego lotnictwa.

2. Uderzyć po archipelagach południowo-zachodniego Pacyfiku na północ i atakować z flanki.

3. Główny atak skierować na zachód przez atole Środkowego Pacyfiku, przeskakując z wyspy na wyspę w kierunku na Luzon i Japonię.

Jednakże Kingowi trudno było zgromadzić na tym obszarze dostateczne siły, aby przeprowadzić ów plan. Szef sztabu Armii Stanów Zjednoczonych, generał George Marshall, sprawny planista i organizator, był nieugięty w kwestii zasady "najpierw Niemcy" i tego, że w 1943 roku ma nastąpić pełna inwazja na Francję. Chciał się skoncentrować na niezwłocznym gromadzeniu w Anglii amerykańskich sił ludzkich i wyposażenia.

Na szczęście dla Kinga wszyscy brytyjscy przywódcy, począwszy od Churchilla, zwlekali z inwazją. Za bardzo im utkwiły w pamięci Somme i Dunkierka. Toteż w lipcu 1942 roku Marshall z największym niesmakiem

zalecił Rooseveltowi, żeby Amerykanie skierowali swe siły na konflikt z Japonią. King wykorzystał ten sprzyjający moment i przeforsował szybkie, skromne, zaczepne posunięcie na Pacyfiku: zdobycie japońskiej bazy wodnopłatowców na Salomonach, małej wysepki Tulagi. Mimo że już postanowiona, operacja w Tulagi dotychczas grzęzła w kłótniach między armią a flotą, o to kto ma dowodzić. Teraz ruszyła z miejsca, po zawitych uzgodnieniach w kwestii głównego dowództwa, co chwilowo pozwoliło wybrnąć z impasu. Niebawem amerykańskie i brytyjskie planowanie wojenne skupiło się na desancie w Afryce Północnej, zwanym "Pochodnia", ale tymczasem operacja Kinga już była w toku. Określono ją kryptonimem "Strażnica". Lecz siły jej były tak wątkie, że w toku operacji przezywano ją "Sznurwadło".

Przypisek tłumacza: Pomijam tu długą analizę, jaką Roon poświęca konfliktowi pomiędzy armii i flotą na temat dowództwa na Pacyfiku i pomysłu z bazą Tulagi. MacArthur chciał się porwać na bardziej ambitne przedsięwzięcie, zdobycie wielkiej japońskiej bazy lotniczej Rabaul Roon komentuje: Próżność dowódców może "zmieniać tory kampanii lub unicestwiać je. Problem dowództwa podzielonego między MacArthura i Nimitza prześladował wojnę na Pacyfiku i doprowadził do niebywałego partactwa w zatoce Leyte". W dalszym rozdziale zaliczam kontrowersyjny esej Roono o bitwie w zatoce Leyte.

(V.H.)

`ty

Pierwsza krew

`ty

Przygotowania bojowe do zdobycia Tulagi były już mocno zaawansowane, gdy raport od wywiadowców z wybrzeża sprawił, że stawki w tej rozgrywce gwałtownie wzrosły. Okazało się, że zaledwie o parę dziesiątków mil od Tulagi Japończycy budują lotnisko na dużej wyspie Guadalcanal.

Była to sensacyjna wiadomość. Walki na Pacyfiku obracały się wokół lokalnej przewagi w powietrzu, a siły powietrzne to albo lotniskowce, albo lotniska w strefie działań bojowych. Lotniskowce mogły się przemieszczać, dostarczając siłę tam, gdzie była potrzebna; mogły też uciekać w razie poważnego zagrożenia. Z drugiej strony lotniska są niezatapialne, a samoloty z baz lądowych mają większy zasięg niż te z lotniskowców i cięższe bomby. Lotnisko taktyczne było najmocniejszą figurą tej gry w szachy na Pacyfiku.

Przeszło tysiąc kilometrów na północny wschód od Guadalcanalu baza powietrzna Rabaul zagrażała połączeniu z Australią i blokowała dostęp do Japonii. Stąd wziął się zuchwały plan MacArthura, żeby uderzyć na Rabaul, któremu King się sprzeciwił. Jednak lotnisko wysunięte tak daleko na południe, jak Guadalcanal, stanowiło groźbę, z którą King już nie mógł się pogodzić. Nie dając go wrogowi, zyskałby lokalną przewagę w powietrzu na całych Salomonach, na dalszy zaś dystans lotnictwo amerykańskie mogłoby się boksować z tym z Rabaul. Już zaokrętowane siły "Sznurwadła" otrzymały dodatkowe rozkazy: Zdobyć i utrzymać lotnisko na Guadalcanalu.

Tak oto Ameryka wdała się, jakby mimochodem, w najcięższą z kampanii na Pacyfiku.

Nie chodziło wcale o sam Guadalcanal, wyspę w kształcie kartofla, mającą jakieś 150-7|km długości i połowę tego na szerokość. Miesiącami szalejące walki lądowe toczyły się jedynie o wąski pas plantacji na północnym wybrzeżu koło lotniska. Resztę górzystej wyspy zostawiono moskitom, dzikim zwierzętom z dżungli i tubylcom, którym hałaśliwe fajerwerki wzdłuż północnego wybrzeża niosły zapewne tyle samo strachu, co i rozrywki.

Mała, licho wyposażona ekspedycja "Sznurwadło" bez większego trudu zdobyła Tulagi i lotnisko na Guadalcanalu, ale wściekły kontratak z pobliskich baz japońskich nie dał na siebie czekać. W nocnej akcji, zwanej

bitwą o wyspę Savo, japońskie okręty zatopiły całe amerykańskie wsparcie ogniowe, cztery ciężkie krążowniki, i wycofały się bez uszczerbku. Mogłyby dokończyć roboty i zlikwidować "Sznurwadło" zatapiając bezbronne, na wół rozładowane transportowce, musiały jednak zakładać, iż amerykańskie lotniskowce nadciągają po nocy i o świcie zaatakują. Odpłynęły więc, dając Amerykanom krótką chwilę wytchnienia, dzięki której kampania została uratowana. Na wojnie, ilekroć silny wróg upadł, roztropność każe poderżnąć mu gardło. W rzeczy samej wiceadmirał Fletcher ze swymi lotniskowcami był poza zasięgiem bitwy, szykując się do nabrania paliwa. Bojąc się ataku z Rabaul odpłynął, gdy rozładowywano dopiero transportowce.

Już we wcześniejszej fazie wojny zganiony przez Kinga za brak agresywności, marnując swe szanse na Morzu Koralowym, nie zdoławszy wyprawić wszystkich naraz samolotów pod Midway, Fletcher w karierze swej miał chyba jeden udany moment: kiedy nadał do Spruance'a pod Midway sygnał: "Będę się stosował do pańskich posunięć". Kiedy porzucił transportowce na Guadalcanalu, omal nie przegrał na wstępie całej kampanii. Gdziekolwiek pojawiała się niebezpieczeństwo, ten admirał jakby ulegał nieodpartej skłonności, aby odpłynąć o paręset mil i tankować paliwo. Po bitwie o Guadalcanal znikł z oczu.

Przypisek tłumacza: Roon w dalszym ciągu robi tu ofiarę z Franka Jacka Fletchera. Mój krążownik Northampton nie uczestniczył w bitwie o wyspę Savo, ale wiem, że japońskie dowództwo, artyleria i torpedy spisywały się tam wybornie, a nasze wręcz żałośnie. I dlatego straciliśmy cztery krążowniki. To prawda, że Fletcher mógłby zadać przeciwuderzenie i że jego wycofanie się było nader konserwatywne.

(V.H.)

`tc

Operacje lądowe od sierpnia 1942 do lutego 1943

`tc

Jak flota japońska, tak i armia zdawała się być dotknięta plagą zbytnej pewności siebie; wygląda na to, że Midway zbyli jako zwykły przejaw nieudolności floty. Jak dotąd biali, bądź co bądź, nie pokonali jeszcze Japończyków na lądzie. Zajęta planami zdobycia Nowej Gwinei i zagrożenia Australii, armia tylko po trochu wyprawiała swe oddziały na Guadalcanal, w niedostatecznej liczbie i bez należytego wsparcia; Amerykanie zaś utworzyli pierścień wokół lotniska, nieraz poszczerbiony, lecz nigdy nie przełamany we wściekłych i krwawych atakach banzai.

Niemniej przez długi czas Amerykanie trzymali się tylko na włosku. Byli tam w gruncie rzeczy porzuceni. Bombardowanie z powietrza, ostrzał z morza, nocne ataki nieprzyjacielskie od lądu - nade wszystko zaś malaria i inne choroby tropikalne - dziesiątkowały ich. Osłabiona flota mogła dla nich przemycać tylko skąpe zapasy i posiłki. Głodni, spragnieni, w poczuciu, że ich zapomniano i porzucono, żyli zdobytym na Japończykach ryżem i spalali japońską benzynę. Nieliczne świeże samoloty i piloci, którzy się do nich przemknęli, ulegali zużyciu lub zestrzeleniu. Zdarzył się taki ponury dzień, jak twierdzi admirał Halsey, że na Henderson Field był jeden czynny samolot. Prezydent Roosevelt zaczął publicznie nazywać Guadalcanal "drobną operacją", co stanowiło znak równie złowrózny jak małoduszny. Jednakże oblężeni żołnierze piechoty morskiej i zmordowani lotnicy nie ustępowali z obronnego pierścienia, aż sytuacja się odwróciła.

W porównaniu z marnymi osiągnięciami żołnierzy amerykańskich w innych miejscach, ta epicka obrona Henderson Field jest czymś uderzającym. Ci obrońcy to byli marines, elitarny, ziemnowodny korpus bojowy floty. Może wyjaśniają to słowa, które napisał Samuel Eliot Morison, amerykański historyk floty: "To wielkie szczęście dla Ameryki, że w tym miejscu i okolicznościach była ona zależna nie od chłopców, wziętych z poboru albo

nakłonionych do walki pochlebstwami, lecz od twardzieli, którzy poszli walczyć na ochotnika i niczego nie pragnęli ponad to, aby wziąć się za łby z podstępny wrogiem, który budził w nich pierwotne instynkty".

Przypisek tłumacza: Nieznośne są te obelżywości Roona pod adresem naszej armii. Na przestrzeni dwóch wojen Niemcy ani razu nie odnieśli nad nami zwycięstwa, jeśli nie liczyć potyczki na przełęcz Kasserin. Wygraliśmy nawet Bitwę o Wyłom w Ardenach. Doszliśmy do Łaby. Mogliśmy zdobyć Berlin, gdyby Alianci już wcześniej nie uzgodnili, że będzie on należał do sowieckiej strefy okupacyjnej.

Jeśli wziąć pod uwagę nasze zaplecze społeczne i polityczne, jak również tradycyjna niechęć Amerykanów do wojny, żołnierze nasi okazali się pierwszorzędni. Nie znający respektu i pomysłowi, pełni inicjatywy, potrafili walczyć zajadle a bez nienawiści. Dla mentalności Roona niezrozumiałe jest amerykańskie podejście do walki, bardzo proste i całkiem nieeuropejskie: jak najmniej ginąć, lecz wygrywać bitwy i wojny.

Morisona rzeczywiście urzekła Guadalcanal, gdzie amerykańscy marines naprawdę popisali się jak wszyscy diabli.

(V.H.)

`tc

Bitwa na morzu

`tc

Na morzu wojna przybrała dziwaczną formę. Obie strony miały na celu wsparcie oddziałów walczących o Henderson Field. Panujący nad lotniskiem Amerykanie sprawowali kontrolę za dnia, kiedy ich statki z zaopatrzeniem mogły się poruszać pod watałą osłoną z powietrza. Lecz Japończycy, mający dużo większe siły nawodne, w nocy pływali po Wyspach Salomona tak regularnie, że Amerykanie nadali im nazwę Tokyo Express. Jakkolwiek omijano się w tych manewrach na przemian dziennych i nocnych, między dwiema flotami zdarzały się niezliczone potyczki, w których Japończycy na ogół bywali górą. Lecz Amerykanie wygrali to jedno liczące się starcie na całość, bitwę o Guadalcanal.

Przybrało ono formę przewlekłej, czterodniowej rzezi na morzu, trwającej dzień i noc. Obie strony rzuciły do walki prawie wszystko, czym rozporządzały: Japończycy po to, by nareszcie wysadzić na brzeg obfite posiłki wojskowe, Amerykanie zaś, ażeby temu zapobiec. Relacje naocznych świadków ukazują niesamowicie malownicze nocne walki na morzu: ulewy czerwonych pocisków smugowych w ciemności, błękitnawe słupy reflektorów prujących mrok na odległość kilometrów, eksplozje magazynów okrętowych, robiące dzień z nocy, okręty, które płonąć dryfują po rozległej przestrzeni czarnych wód. Straty po obu stronach były wysokie. W końcu liczyło się tylko jedno: amerykańskie samoloty, startujące z lotniskowców i z lądu, zatopiły siedem z jedenastu japońskich transportowców z wojskiem, a pozostałe zapędzono na brzeg i bombardowano, aż zostały z nich wypalone kadłuby. Tak zakończyła się ostatnia japońska próba odbicia wyspy.

Odtąd amerykańskie siły rosły, a porzuconymi stały się oddziały mikada. W końcu Tokyo Express zabrał tych udręczonych niedobitków z tropikalnej Dunkierki. Ale Japonia nie miała po swojej stronie bogatego i bezczynnego mocarstwa, które by jej przyszło na ratunek, jak Anglia. Po Guadalcanalu nigdy już się nie podźwignęła.

Admirał King osiągnął swój cel. Żołnierze piechoty morskiej, zionący przekleństwami i pocący się pod japońskim ostrzałem w tropikalne noce, lotnicy spadający w korkociągu na śmierć, oficerowie floty i marynarze, których kośćmi jest usiane dno morskie koło Guadalcanalu, bez wątpienia umierali przeklinając tych waśniaków, którzy ich wysłali w takie zakazane miejsce do tak nierównej walki. W wulgarnym żargonie walczących Amerykanów Guadalcanal był i pozostał "that fucking island". Jednakże pola bitwy mają

skłonność do samorzutnego mnożenia się i skoro już King na Guadalcanalu wrobił Franklina Roosevelta w Pacyfik, miał odtąd zapewnione okręty i ludzi w dostatecznej ilości, żeby walczyć z Japończykami, podczas gdy nasza oblężona Trzecia Rzesza zmierzała do upadku; a nie później, kiedy Japończycy zdażyliby się okopać, Alianci zaś byliby znużeni tą wojną. Możliwe, że w ten sposób King pozbawił Japonię wynegocjowanej ugody, która dla niej była celem tej wojny.

Przypisek tłumacza: Roon przytoczył to wulgarne określenie w cudzysłowie po angielsku. Biorąc pod uwagę, co za język przeważa w obecnej literaturze, spodziewam się, że czytelnik tej książki nie będzie zbyt oburzony. Nawiasem mówiąc, moja własna opinia o Guadalcanalu jest właśnie taka.

W kontekście zjadliwej krytyki, jaką w późniejszym rozdziale o zatoce Leyte potraktowany został admirał Halsey, chciałbym, ażeby Roon tu przynajmniej oddał mu sprawiedliwość. Zwrot w walkach o Guadalcanal nastąpił wówczas, gdy Halsey zajął miejsce wiceadmirała Ghormleya jako głównodowodzący na Południowym Pacyfiku. Zmęczenie sprawiło, że Ghormley stał się defetystą, a MacArthur też podupadł na duchu. Wojownicze i porywające dowództwo Halseya znowu wszystkich wprowadziło w ruch.

(V.H.)

`ty

40

`ty

Natalia wyobrażała sobie ucieczkę "koleją podziemną" jako rodzaj wyprawy, która będzie szybka, dobrze zorganizowana, potajemna, zapierająca dech i romantyczna. Tymczasem w Marcianie wyczekiwało się i tyle, nie kontaktując się z nikim, nawet z wieśniakami. Otoczona kamiennym murem wioszczyna, złożona z kamiennych domków, rozrzuconych na skalnym występie w pół drogi do najwyższego szczytu na Elbie, była malownicza i całkiem przyjemna. Uciekinierzy byliby tu jak na wiejskich wakacjach, z tą różnicą, że nic nie płacili.

Zwłoka ciągnęła się i ciągnęła. Castelnuovo jak gdyby się tym nie przejmował. Bardzo niewiele powiedział Natalii i jej stryjowi o planie ucieczki i o tym, kto im pomaga, co było zrozumiałe. Im mniej wie, tym lepiej, gdyby ich przypadkiem złapano. Pewnego razu, kiedy zostali sami - upłynął już prawie miesiąc - napomknął: - Posłuchaj, Natalio, wszystko jest na najlepszej drodze. Nic się nie martw. - Usiłowała się nie martwić.

Mieszkali w wałacej się chacie z kamienia i spękanego gipsu na końcu stromej dróżki, która za domem zamieniała się w oślą perć, wspinającą się ku tarasom pól warzywnych i winnic; pracowali tam od świtu do nocy przy zbiorach małymówni wieśniacy, ładując to, co zebrali, na osiołki i czasem jeżdżąc na nich. Widoki były wspaniałe, chociaż wieśniacy nie zwracali na nie uwagi, tak samo, jak na przybyszów: na zachodzie sterczały z morza urwiska Korsyki, na wschodzie przymglona linia grzbietów górskich na lądzie, na północ i na południe zieleń się inne wysepki archipelagu, takie jak Capraia i Montecristo, każda w niedużym wieńcu chmur; a w dole z boczna niebieskie morze rozbijało się o leśne wybrzeża, usiane rybackimi wioskami. Natalia spędzała wiele czasu na wspinaczce wśród ogrodów i sadów, zachwycając się krajobrazami, śpiewem ptaków, widokiem i wonią wrześniejących owoców i kwiatów.

Przez pierwszy tydzień gruba i wyjątkowo brzydka dziewczucha, wyróżniająca się raczej obfitością kurzajek niż słów, przynosiła im siatki warzyw i owoców, razowy chleb, kozie mleko i ser, a niekiedy ryby, zawinięte w mokre wodorosty. Potem już zaopatrywała ich Anna Castelnuovo, robiąc zakupy na małym ryneczku. Jeśli na Elbie też racjonowano żywność, w Marcianie to się nie dało poznać; jeśli byli tam karabinierzy, to nieciekawi górskich miejscowości. Natalia odzyskiwała spokój. W chacie były tylko dwie ciemne,

stęchliwą pachnącą izbę - jedna dla państwa Castelnuovo, druga dla niej i stryja - z wygodką na dworze i piecem na drewno, pokrytym czarną sadzą. Wodę musiała nosić w wiadrach ze wspólnej pompy, wystając niekiedy w kolejce z bosymi dziećmi, a spała na słomianym sienniku. Ale Werner Beck już nie zagrażał jej i dziecku w tej odległej, cichej kryjówce. Na razie to wystarczało.

Aaron Jastrow traktował ten przestój z filozoficzną pogodą ducha. Stary Sacerdote podarował mu na pożegnanie zapleśniałą Biblię po hebrajsku i włosku, którą miał w nadmorskim domu w Follonica. Teraz przesiadywał całymi dniami na ławce pod jabłonią z tą Biblią i swoim Montaignem o pozawijanych rogach. Wraz z napiętą dyscypliną pracy jak gdyby uleciały gdzieś jego irytujące nawyki. Był spokojny, niewymagający, wesoły. Zapuścił brodę i wyglądał coraz bardziej jak stary wieśniak. Kiedy w pewien słoneczny ranek pod koniec września Natalia dała wyraz swojemu rozdrażnieniu, że nic się nie dzieje, Aaron wzruszył ramionami i rzekł: - Miałabyś coś przeciwko temu, żeby całą wojnę przeczekać na Elbie? Bo ja nie. W przeciwieństwie do Napoleona nie łudzę się, że tak bardzo mnie brak światu.

Na jego kolanach leżała otwarta Biblia. Zerknęła na strony, pokryte grubym pismem hebrajskim i staroświecką czcionką włoską, poplamione i upstrzone od starości i nadmorskiej wilgoci. - Właściwie dlaczego to czytasz?

- Arystoteles powiedział - Aaron uśmiechnął się z lekka - że w podeszłym wieku coraz bardziej interesowały go mity. Nie masz ochoty się do mnie przyłączyć?

- Nie tknęłam hebrajskiego, odkąd w wieku jedenastu lat rzuciłam szkółkę niedzielną w synagodze.

Zrobił jej miejsce na ławce. Usiadła ze słowami: - Och, co u diabła, czemu nie?

Przewrócił kartki do pierwszej strony. - Czy coś jeszcze pamiętasz? Czytaj.

- Spróbujmy. To jest B. Beżreższit. Dobrze?

- Summa cum laude! "Na początku". Co dalej?

- Och, Aaron, nie mam do tego głowy i właściwie mnie to nie interesuje.

- No, Natalio. Może ty nie lubisz się uczyć, ale za to ja lubię uczyć.

`cp2

Dwa mocne puknięcia w drewniane drzwi.

Młody człowiek uśmiechnął się w przejściu do Natalii, gładząc sobie obwisłego, czarnego wąsa. Puciołowata, oliwkowa twarz była bezczelna i prostacka; brązowe oczy przesunęły się po niej z lubieżnym błyskiem; workowate spodnie z welwetu i krótka czerwona kurtka wyglądały jak teatralne przebranie. - Bonjour, de la part de Monsieur Rabinovitz. Prets a partir? - Obcy i chropowaty akcent.

Odkryty wóz z sianem zagradzał dróżkę, zaprzęgnięty w chudego muła, strzygącego długimi uszami.

- Eh? Partir? Tout de suite? Je crois que oui, mais... entrez?

Potrząsnął głową, szczerząc do niej zęby. - Vite, vite, je vous prie. Castelnuovo siedział z innymi przy stole w tylnej izbie, jedząc monotony, jak co dzień, obiad składający się z chleba i zupy jarzynowej. - Dobrze! - Otarł usta i wstał. - Spodziewałem się go już od tygodnia. Pakujmy się.

Aaron zapytał: - Kto to jest?

- Korsykanin - rzekł doktor z nieokreślonym gestem. - Proszę się pośpieszyć.

Przez kilka godzin uciekinierzy trzęśli się, jadąc z góry wlokącym się wozem, w kierunku zachodnim. Miriam i Louis baraszkowali na sianie. Zatrzymali się i wysiedli w wiosce rybackiej, złożonej z kilku chat na kamienistej plaży. Nie było widać żywej duszy, ale zgrzebna odzież susząca

się na sznurach i mokre sieci, rozwieszane na wyciągniętych łodziach wiosłowych, świadczyły, że ktoś tu mieszka. Korsykanin wprowadził ich na żaglową łódź pełną rybackiego sprzętu, uwiązaną do rozchwierutanego, drewnianego pomostu. Dwaj nie ogoleni mężczyźni w podartych swetrach wyszli z pomalowanej na niebiesko nadbudówki i postawili brudny, szary żagiel. Łódź przechyliła się i pomknęła w morze, a dwaj mężczyźni wykrzykiwali coś do siebie w szorstkiej, niezrozumiałej gwarze. Uwiązany do drzewa muł pozostał sam, wpatrzony w umykającą łódź jak porzucone dziecko.

Natalia oparła się o nadbudówkę i patrzyła, jak Miriam i jej synek bawia się na kupie suchych sieci. Młody Korsykanin, którego gardłowy żargon przestawała chwilami rozumieć, oznajmił, że najgorsze już mają za sobą. Nie spotkali policji, a straż przybrzeżna rzadko się tu zapuszcza, więc są już wolni od faszystów. Kiedy znajdują się na Korsyce, ona i jej przyjaciele będą bezpieczni i mogą zostać, jak długo zechcą. Korsyka ma niezłomne tradycje, co się tyczy uciekinierów, les gens qui prenneut le maquis. On mieszka w Corte, to stara górská twierdza buntowników: Niemieckich i włoskich inspektorów z Komisji Rozjemczej w Corte się nie widuje, unikają go dla własnego dobra. On się nazywa Pascal Gaffori. Jego starszy brat Orlanduccio, mieszkający w Marsylii, w czasach pokoju często pływał z panem Rabinowiczem na francuskich frachtowcach. Teraz Orlanduccio pracuje w kapitanacie portu. Nabrzeża Marsylii są pełne Korsykanów, a ruch oporu w porcie jest silnie rozwinięty.

Wiatr przylepiał starą, brązową, wełnianą suknię Natalii do jej ciała i Korsykanin, gadając, przyglądał się lubieżnie okrągłościom jej ud i piersi. Natalia była przyzwyczajona do męskich spojrzeń, ale to bezwstydne gapienie się krępowało ją. W jego wzroku jednak nie było zagrożenia, tylko wyrazisty, romański podziw... jak na razie.

Próbując odwrócić jego uwagę zapytała, czy wie, jakie są dalsze plany? Nie wiedział. Będą mieszkać u jego rodziny, dopóki nie nadejdą wieści od pana Rabinowicza. Czy rozmawiał z Rabinowiczem? Nie, pana Rabinowicza nigdy nie spotkał, wszystko to załatwia jego brat. Czy ci dwaj na łodzi także są jego braćmi? Prychnął. To rybacy z Bastii, robią to za pieniądze. Czasy są ciężkie, a Komisja Rozjemcza kazała powyciągać łodzie rybackie na brzeg. Kadłuby się rozsychają, szwy rozchodzą; ci ludzie przez dwa dni w tajemnicy uszczelniali dno. To twardzi faceci, ale ona się ich nie musi obawiać.

Natalia zaczęła się zastanawiać, na ile się musi obawiać Pascala. Wypłynęła na morze z trzema zbirami i są na wodach międzynarodowych, nikt nie wie, że wypłynęli. A co z pasem Aarona, wypchanym pieniędzmi? Co z wypełnioną dolarami przegródką, zamkniętą na suwak, w jej walizce? Łódź biegnie z sykiem po falach ku słońcu, kryjącemu się za górskimi szczytami Korsyki, żagiel szumi i łopoce, a wszystko to dzieje się naprawdę, ale jak gdyby we śnie, nagły wyjazd na morze po długotrwałym przestoju w Marcianie! Ten nieznajomy o wyglądzie bandyty może ją bez trudu zgwałcić, jeżeli zechce. Kto go powstrzyma? Nieszczęsny Aaron? Czy dystyngowany doktor? Czy te dwa rozrechetane po chamsku potwory w kajucie, co teraz popijają na przemian z dzbanka? Jeszcze by go zachęcali, prawdopodobnie czekając swojej kolejki. Bujna i trwożna wyobraźnia Natalii podsuwała jej cały scenariusz: jak ten facet ją zwala na sieci, zadziera spódnice, rozpycha jej obnażone uda tymi łapskami...

Przelatujące nad pokładem bryzgi wzbierających na sile fal zapiekły Louisa w oczy i zapłakał. Rzuciła się go pocieszać; i Pascal dał jej spokój.

Słońce skryło się w połodze za Korsyką. Wiatr powiał mocniej. Łódź jeszcze bardziej się przechyliła i nabrała szybkości. Fale zaczęły bryzgać nad krawędzią burt. Anna dostała mdłości i wymiotowała za burtę, a Castelnuovo ją klepał po plecach, Miriam zaś przyglądała się temu z niepokojem. Aaron zataczając się podszedł do Natalii, kryjącej się od

wiatru za nadbudówką, usiadł koło niej i nawiązując do pięknego widoku Elby za rufą zaczął filozofować na temat Napoleona. Powiedział, że Napoleon porzucił Korsykę, aby grasować po Europie, obalając dawne rządy, siejąc zniszczenie i śmierć, przeobrażając Rewolucję Francuską w reakcyjną operetkę ubranego w świecidełka cesarstwa, tylko po to, aby zatoczyć pełny krąg i skończyć na Elbie, z widokiem na swoją rodzinną wyspę. Coś podobnego zdarzy się Hitlerowi; ci monstrualni parweniusze sami wytwarzają przeciwdziałające im nieuniknione siły, które w końcu ich miażdżą.

Natalii trudno było skupić na tym uwagę w hałasie wichru i wody, ale większość i tak już słyszała w przerwach, kiedy czytali po hebrajsku, wystarczyło więc, że od czasu do czasu kiwnęła głową. Żeby ta okropna przeprawa już dobiegła końca! Linia brzegowa Korsyki ciągle kryła się pod horyzontem i robiło się ciemno. Louis popłakiwał w jej ramionach. Tuliła go, żeby, mu było ciepłej, z wyrzutami sumienia, że go naraziła na przejazd wiatrą łódeczką, miotającą się na pełnym morzu; ale ci rybacy z pewnością pływali tu sto razy w gorszą pogodę. Pascal, czepiając się na oślep, przyszedł do nich z butelką. Pociągnęła łyk ostrego winiaku i w jego rozgrzewającym ciepłe wybaczyła mu, że złapał ją niby to przypadkiem za piersi.

Otępiała od winiaku, od kołysania i nudy, Natalia sennie przeczekiwała powolny upływ czasu, wilgoć ogarniająca jej stopy i nogi, miotanie się łodzi, sama już nie wiedziała, jak długo. Wreszcie łódź wpłynęła na spokojniejsze wody. Rozróżniała już przed sobą na mrocznym wybrzeżu oświetlone księżycem drzewa i głązy. Jeszcze z pół godziny i łódź dobiła do brzegu. Jeden z rybaków zrzucił żagiel; drugi wyskoczył z konopną liną na płaski, ogromny głaz. Pascal pomógł wysiadać pasażerom z ich niewielkim bagażem. Łódź natychmiast podniosła żagiel i umknęła w noc.

- No, to jesteście już na Korsyce, czyli we Francji - odezwał się do Natalii, biorąc od niej walizki - i mamy do przejścia jakieś trzy kilometry.

Dotrzymywała mu bez trudu kroku, idąc z Louistem na rękach ścieżką przez pola o bagnistym zapachu, ale musieli zwalniać ze względu na innych. Po długiej żegludze ziemia kołysała się jej pod nogami. Szli tak prawie godzinę. Pojawiła się ciemna chata i Pascal zaprowadził ich do stojącej za nią szopy. - Tutaj będziecie spali. W domu czeka na was kolacja.

Do jedzenia była zupa i chleb, którymi Pascal ich obdzielił. Nikt inny się nie pojawił. W blasku świec na stole z surowych desek Natalia dostrzegła w wazie macki ośmiornicy; obrzydlistwo, ale wyjadła ze swej miski do czysta. Louisowi Pascal podawał chleb maczany w kozim mleku, a ten go pożerał jak psiak; i ułożyli się wszyscy, w ogóle się nie rozbierając, w szopie na słomie.

Nazajutrz rano ledwie mignęły im wąskie uliczki i stare domy Bastii, bardzo podobnej do jakiegoś miasta w Toskanii, gdy Pascal wiózł ich tamtędy w starej ciężarówce. Kolejka złożona z trzech małych wagoników powiozła ich w górę ku przełęczy, tak stromo, aż włos się jeżył. Pasażerowie, niektórzy ubrani jak Pascal, inni zaś w lichej odzieży miejskiej, z rozbawieniem patrzyli, jak Louis w wesołym porannym nastroju gaworzy coś bez sensu na kolanach u matki i klaszcze w rączki, roztropnie rozglądając się wokół siebie. Pascal żartował z konduktorem, podając mu bilety, a ten nie zwracał uwagi na uciekinierów. Natalia odczuwała nerwowe podniecenie. Spała jak kamień i zjadła śniadanie, złożone z chleba, sera i wina. Wspaniałe widoki górskie roztaczały się za otwartym oknem i ciągnęło z niego rozkosznym, cierpko kwiatowym zapachem. Pascal powiedział jej, że to woń maquis, ten słynny aromat, do którego Napoleon tęsknił na Wyspie św. Heleny, pragnąc nim znowu odetchnąć.

- Rozumiem go - powiedziała. - Pachnie jak w raj.

Pascal przesłał jej gorące spojrzenie spod przymkniętych oczu. Ledwie się

powstrzymała od śmiechu, tak bardzo przypominał Rudolfa Valentino, emocjonalnie przeżywającego coś w niemy filmie. Mimo to budził w niej lęk.

Ojciec Pascala był kopią swego syna, tylko o trzydzieści lat starszy; bardziej zażywny, też ubrany w welwetowe spodnie, z białym wąsem i czupryną, z tak samo owalną twarzą i tak samo prostackim wyrazem brązowych oczu w starczych, skórzanych worach. Zachowywał się kurtuazyjnie, a jego dom, położony na trzech poziomach stromej uliczki pod stojącą na szczycie fortecą Corte, miał wygląd i umeblowanie świadczące o zamożności. W trakcie uroczystego obiadu, spożywanego w posępnej jadalni przy długim, błyszczącym, dębowym stole, powitał uciekinierów. Jego małżonka, bezkształtna postać w czerni, i dwie poruszające się w milczeniu córki, także w czerni, podawały jedzenie i napoje: Pascal identyfikował je ze swoistą prowincjonalną dumą jako pasztet z kosów, potrawkę z koziego mięsa, ciasto z mąki kasztanowej i wino korsykańskie.

Nad pierwszym kieliszkiem wina Monsieur Gaffori wygłosił małe przemówienie, siedząc wyprostowany w swoim ciężkim, rzeźbionym fotelu. Dowiedział się, że le docteur Jastrow jest sławnym pisarzem amerykańskim, uciekającym od niegodziwych faszystów. Przyjdzie czas, że Ameryka wybawi Korsykę od jej ciemiężycieli. Naród korsykański powstanie i zrobi swoje, podrzynając gardła wielu Niemcom i Włochom; tak jak niegdyś jego przodkowie w Corte podrzynali gardła Genuńczyków, gardła Hiszpanów, gardła Turków, gardła Saracenów oraz gardła Rzymian i Greków. Natalii dreszcz przeszedł po krzyżu, kiedy starszy pan zawzięcie powtarzał te swoje gorges: "des gorges espagnoles, des gorges romaines, des gorges grecques..." A na razie, powiedział stary Gaffori, zaszczytem jest udzielić pomocy sławnemu pisarzowi i jego przyjacielom. Niechaj uważają dom Gafforich za własny.

Pascal zaprowadził ich tylnymi schodami do osobnego apartamentu. - Ja mam pokój dokładnie pod tym - odezwał się do Natalii, znowu patrząc jak Rudolf Valentino i wprowadzając ją do pokoju, w którym stała kołyska. Ale pod ojcowskim dachem przestał być groźny; zwykły sobie tłustawy młodzieniec, cierpiący na zwykłą śródziemnomorską przypadłość nadpobudliwości seksualnej, a poza tym, bądź co bądź, jej wybawca. Istotny jest fakt, że znalazła się na ziemi francuskiej. Poczwała wobec Pascala odruch wdzięczności.

- Vous etes tres aimable, monsieur. - Uścisnęła mu dłoń, trzymając Louisa na jednym ręku, i ucałowała go przelotnie w policzek. - Merci mille fois.

Oczy rozbliły mu jak żarzące się węgle, na które ktoś dmuchnął - Serviteur, madame.

`cp2

Awram Rabinowicz wjechał na Corte kolejką z trzema wagonikami z drugiej strony, od portu Ajaccio. Ta jednotorowa kolejka słynęła jako atrakcja turystyczna, ale on siedział skulony z zamkniętymi oczyma przy oknie, kopiąc jednego za drugim podłże francuskie papierosy, kiedy obok przesuwały się wspaniałe doliny i urwiska. Odgradzenie się od blasku słońca i ruchomej scenerii przynosiło mu trochę ulgi w migrenie, która rozsadzała mu czaszkę w rytmie stukających kół. Niektóre z najpiękniejszych krajobrazów na świecie były stracone dla Awrama Rabinowicza: Pireneje, Tyrol, Dolomity, Alpy, dolina Dunaju, wybrzeża Turcji, prowincjonalne rejony Portugalii i góry Syrii. Wszystkie te urzekające widoki jemu kojarzyły się tylko z jednym: ze staraniami o zdobycie dostatecznej ilości jedzenia i wody, ażeby utrzymać przy życiu i w ruchu żydowskich uciekinierów.

Wygasała w nim nie tylko zdolność rozkoszowania się piękną scenerią; całkiem osobliwe stały się też poglądy Rabinowicza na geografie i narodowość. Państwa, granice, paszporty, wizy, języki, prawa i waluty były dla niego tylko nierzeczywistymi elementami prostackiej, ryzykownej gry, toczącej się na kontynencie europejskim. Jego podejście do tych spraw było

kryminalne. Uznawał prawo do ratunku i żadnego innego. Nie zawsze był takim korsarzem; zgoła na odwrót. Jego rodzice przybyli do Marsylii z Polski po I wojnie światowej. Ojciec jego, krawiec, zajął się szyciem mundurów dla floty wojennej i handlowej. Toteż Awram wyrastał w szkole francuskiej i z francuskimi przyjaciółmi, po czym jako chłopiec okrętowy znalazł się we francuskiej flocie handlowej i awansował aż do patentu pierwszego mechanika. Mając już dobrze po dwudziestce, nadal był regularnym Francuzem, zaledwie mgliście sobie uświadamiającym swoje żydowskie pochodzenie.

Gdy nastał Hitler i antysemityzm pojawił się w Marsylii jak smrodliwy gaz, przesączający się z kanalizacji, w Rabinowiczu ocknęła się niechętna świadomość żydostwa. Pewien bogaty syjonista szwajcarski zwerbował go do nielegalnego przewożenia Żydów do Palestyny. Zaczął od przewiezienia trzystu osób na podobnym pudle jak Izmir po Dunaju i przez Morze Czarne do Turcji, a stamtąd przez zapadłe rejony Turcji i Syrii do Ziemi Świętej. Ten wyczyn przeobraził jego życie.

Odtąd już nie robił nic innego.

Osiedliwszy się w Palestynie, nauczył się trochę po hebrajsku i ożenił się z dziewczyną z Haify. Zmienił swoje przerobione z francuska imię Andre z powrotem na Awram. Próbował się przyłączyć do syjonistów, ale właśnie partyjne nudziły go i wreszcie zniechęciły. W głębi serca był ciągle francuskim Żydem, zdumionym, że w Europie tak błyskawicznie szerzy się nienawiść do Żydów i zdecydowanym coś zrobić w tej sprawie. Chodziło mu tylko o ratowanie życia. Zdarzało mu się w tych czasach słyszeć w wielu językach powiedzonko, którym uspakajali się rozmawiając na temat Hitlera: Zawsze goręcej się gotuje niż je, ale w jego przekonaniu naziści nie żartowali. Przestał dyskutować z syjonistami na temat doktryny i polityki, tylko wykorzystywał ich pieniądze i kontakty dla ratowania Żydów, tak samo, jak robił to z Herbertem Rose i z państwem Sacerdote.

Po upadku Francji wrócił tam i wstąpił do ruchu oporu w Marsylii, uznawszy ją za najlepszą bazę do kontynuowania tej działalności. W rezultacie już od lat należał do ruchu oporu: Stał się biegły jako fałszerz, przemytnik, szpieg, kłamca, naciągacz i złodziej. Pewnego razu, ażeby ocalić ponad czterdzieści osób, zabił w Rumunii donosiciela, który próbował szantażem wyłudzić od niego okup za milczenie; uderzył go kawałkiem żelaza mocniej, niż zamierzał, i porzucił w zaułku rżęzącego, ze szklistymi, krzepnącymi oczyma. W niedobrych chwilach przypominał mu się ten incydent - jak kość pęka od uderzenia żelazem, krew bluzga z bujnej czupryny powalonego szmalcownika - ale świadomie nie czuł wyrzutów sumienia.

Migreny zwykle dopadały Rabinowicza, kiedy był przemęczony, sfrustrowany albo świadomie robił coś głupiego. Nie miał konkretnego powodu, aby jechać tą korsykańską kolejką. Po prostu chciało mu się zobaczyć panią Henry. Chociaż zaledwie kilka razy rozmawiał z nią na Izmirze, przetrwała w nim jako świetliste wspomnienie. Dla Rabinowicza, jak dla wielu Europejczyków, Amerykanki były czymś olśniewającym. Natalia Henry fascynowała go; Żydówka, niewątpliwa i mrocznie płomienna Żydówka, mimo to równie amerykańska jak Franklin D. Roosevelt, bratanica sławnego pisarza, żona amerykańskiego oficera z łodzi podwodnych! Za czasów pokoju w Marsylii wizytujące okręty wojenne Stanów Zjednoczonych niosły ze sobą aurę odległej potęgi. Młodzi oficerowie ubrani w biel i złoto, przechadzający się po dwóch i trzech po bulwarze, wydawali się Rabinowiczowi jakby tym rodzajem nadludzi, za jakich uważali się tylko Niemcy. Byron Henry, postać z migawkowego zdjęcia, w oczach Rabinowicza wiele się przyczyniał do magii, jaką miała dla niego Natalia.

Nie miał wobec niej żadnych zamiarów; wydawała się wzorową żoną i matką. Po prostu był spragniony jej widoku. Na Izmirze robił, co tylko mógł, aby stłumić swoje niewczesne uczucia, chociaż odnosił wrażenie, że jej się

podoba. Sytuacja w Neapolu była i tak dostatecznie skomplikowana, żeby jeszcze na próżno tracić głowę. Mimo to było dla niego ciosem, kiedy opuściła ich statek.

Wiadomości, które w czerwcu doszły ze Sieny - najpierw, że pani Henry ze stryjem ciągle jeszcze tam przebywają, a potem, że mają przyjechać z rodziną Castelnuovo - poruszyły go do głębi. Przez tydzień od czasu, jak dowiedział się, że pani Henry jest już na Korsyce, opierał się pragnieniu, żeby ją ujrzeć. A potem się poddał. Migrena dopadła go w nocy na statku; i gdy kolejka ze zgrzytem pokonywała ciasne zakręty i strome podejścia, wiodące do Corte, z zamętem w sercu i bólem rozsadzającym głowę, nie mógł się opędzić myśli, co za głupota go poniosła. Jednak czuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek od śmierci swej żony.

`cp2

Kiedy przyjechał do Gafforich, przedmiot jego uwielbienia znajdował się w mieszkanku na piętrze, owinięty w stary, szary, wełniany szlafrok, kapiąc dziecko w kuchennym zlewie. Dopiero co umyła włosy i miała je podpięte szpilkami. Cała zbryzgana mydlinami przez rozfiglowane dziecko, akurat w tym momencie nie była postacią z erotycznych marzeń.

Pukanie. Za drzwiami głos Aarona. - Natalio, mamy gościa.

- Kto to jest?

- Awram Rabinowicz.

- Jezu Chryste!

Dobiegł ją śmiech Jastrowa. - Takich znów ambicji on nie ma, kochana, jakkolwiek jest pewnego rodzaju zbawcą.

- No, chciałam powiedzieć, jak długo tu będzie? Louis jest cały w mydle. Ja też. Wyglądam jak strach na wróble. Coś nowego? Czy wyjeżdżamy?

- Nie sądzę. Zostanie na obiad.

- No to... o, cholera, za kwadrans będę na dole.

Ubrała się pośpiesznie w białą wełnianą sukienkę ze szkarłatnym paskiem z mosiężną klamrą, kupioną w Lizbonie na spotkanie z Byronem. Przez długi czas po urodzeniu Louisa była zbyt gruba, żeby w nią wejść. Kiedy się pakowała w Sienie, jakiś impuls w ostatniej chwili kazał jej wrzucić tę sukienkę do walizki; a nuż kiedyś w tej wędrownicy zechce jej się dobrze wyglądać? Louisa ubrała w welwetowe ubranko, które dała jej pani Gaffori, i niosąc go wyszła do ogrodu. Rabinowicz podniósł się z ławki w altanie, oplecionej winoroślą, gdzie siedział razem z innymi. Wyglądał nieco inaczej, niż go zapamiętała: młodszy, nie taki pewny siebie w sobie, mniej wychudzony.

- Witam, pani Henry.

Jej ciemne włosy, wciąż wilgotne mimo zajadłego wycierania ręcznikiem, zaczesane były do góry. Zapamiętał te bujne, piękne włosy i skośne, ogromne oczy, teraz mrużące się do niego jak najprzyjaźniej, i kształt jej uśmiechniętych, wydatnych warg i linię policzków. Urzekło go dotknięcie jej dłoni w przelotnym, chłodnym uściśnięciu.

- Mam dla pana niespodziankę - rzekła, stawiając Louisa na zbrazowiałej trawie. - Proszę wyciągnąć do niego ręce.

Rabinowicz posłuchał. Puściła go i Louis, z wyrazem gorliwości na puciołowatej twarzy, postąpił kilka niepewnych kroczków i padł w ramiona Palestyńczyka, zaśmiewając się i pokrzykując. Rabinowicz chwycił go i podniósł.

- Zaczyna też mówić - wykrzyknęła Natalia. - Wyobraź sobie, wszystko to stało się w jeden tydzień! Może to wpływ korsykańskiego powietrza. A już się bałam, że hoduję przygłupka.

- Nigdy tego nie myślałaś - oburzył się Jastrow.

- Powiedz coś - zwrócił się Rabinowicz do Louisa, który bystro mu się przypatrywał.

Louis wskazał paluszkami na szeroki nos Rabinowicza. - Tata.

Natalia spąsowiała. Nawet i państwo Castelnuovo, siedzący w posępnym milczeniu, wybuchnęli śmiechem. Natalię aż zatkało: - O Boże! Pokazywałam mu zdjęcie ojca.

Zachwycony wrażeniem, jakie wywołał, Louis wykrzyknął: - Ta...ta! Ta...ta! - wskazując na doktora Castelnuovo i na Jastrowa.

- Już wystarczy, ty mały potworze!

Pan domu i Pascal spożywali posiłek w wiejskim ubraniu. Pascal, brudny i rozczochrany w starym kożuszkach z koziej skóry, znowu rzucał Natalii swoje spojrzenia w typie Rudolfa Valentino. W obecności ojca, jak dotąd, bardziej się pilnował. Skrępowana tym pomyślała sobie, że to sukienka go podbechtała, i spoglądała wciąż na Rabinowicza, który jakby nic nie zauważał. Rozmowa przy stole dotyczyła wiadomości z wojny. Na Korsyce mówi się ostatnio, powiedział stary Gaffori że wszystkie te pogłoski na temat Afryki Północnej to nabieranie. Alianci uderzą na Norwegię, przez kraje skandynawskie i Finlandię i połączą się z Rosjanami. W ten sposób oswobodzą Leningrad, otworzą porządną linię dostaw Lend-Lease dla Armii Czerwonej i doprowadzą alianckie bombowce w pobliże Berlina. A co sądzi Monsieur Rabinovitz?

- Ja nie wierzę w tę Norwegię. Za blisko zimy. Pański syn i ja służyliśmy kiedyś na frachtowcu, który w listopadzie zawiął do Trondheim. Utknęliśmy w lodzie na całe tygodnie.

- Orlanduccio nam o tym opowiadał - rzekł Gaffori, sięgając po kamienny dzbanek i napełniając kieliszki Rabinowicza i swój. - Mówił nam też o innych sprawach, monsieur, takich jak ta historia w Istambule. - Przepił do Rabinowicza. - Jest pan do końca życia mile widziany w tym domu. Dzięki za przysłanie do nas wielkiego pisarza amerykańskiego i jego przyjaciół.

Jastrow powiedział: - Jesteśmy dla was ciężarem.

- Nie. Możecie tu zostać, monsieur, dopóki nas wszystkich razem nie wywoła. A teraz Pascal i ja musimy wracać do roboty.

Gdy wstawali od stołu, Natalia odezwała się po cichu do Rabinowicza: - Muszę z panem pogadać. Ma pan trochę czasu?

- Owszem.

Ruszył z nią po stromych, wybrukowanych stopniach uliczki, wiodącej spod ich domu w górę, ku otwartej bramie zrujnowanej fortecy. - Wdrapiemy się tam? - spytała. - Ze szczytu roztacza się cudowny widok.

- Dobrze.

- Co to było w Istambule? - zagadnęła, gdy wspinali się po wąskich kamiennych schodach, biegnących przy wewnętrznym murze.

- Nic wielkiego.

- Chciałabym wiedzieć.

- Och, no dobrze, więc ten Orlanduccio upijał się i urządzał awantury, kiedy staliśmy w porcie. Tak było, zanim się ożenił i ustatkował. Akurat pracowałem na pokładzie przy zepsutej windzie i zobaczyłem go, jak idzie zataczając się po nabrzeżu, gdzieś o północy. I rzuciło się na niego kilku zbirów. Te szczury portowe to same tchórze, napadają tylko pijaków, więc zbiegłem po prostu z łomem i rozpędziłem ich.

- Ach, to znaczy, że mu pan uratował życie.

- Może tylko pieniądze.

- I teraz ci Gaffori pomagają nam ze względu na pana.

- Nie, nie. Cała rodzina jest w ruchu oporu.

Na poziomym tarasie, zarosłym brązową trawą i chwastami, kozy łąziły tam i z powrotem przez wyłomy w ścianach stiukowej budowli bez dachu, o zakratowanych oknach.

- Strażnica - rzekł Rabinowicz. - Teraz już do niczego.

- Proszę mi opowiedzieć o Izmirze - poprosiła, prowadząc go przez taras do innych schodów, wiodących jeszcze wyżej.

- Izmir? To stara historia. - Potrząsnął głową z wyrazem smutku i zakłopotania. - Kiedy wypłynęliśmy, nie było tak źle, ale pogoda się bardzo popsowała, zanim dotarliśmy do Haify. Musieliśmy ludzi wysadzać po nocy, w sztormie, przewożąc ich w łodziach. Ten przeklęty szyper turecki sprawiał nam wiele kłopotu, grożąc, że odpłynie. Kilka osób się utopiło, nie wiem ile, niedużo. Na brzegu ludzie zaraz się rozproszyli. Nigdy nie udało się nam ich dokładnie policzyć.

Natalia spytała trzeźwo: - Więc jednak dobrze zrobiłam, wysiadając?

- Któż to wie? Teraz jesteście na Korsyce.

- Owszem, i co dalej?

Górne schody, ze stopniami głęboko wydeptanymi przez zwiedzających, okazały się bardzo strome. Odpowiadał jej powoli, ciężko dysząc: - Amerykański konsul generalny w Marsylii wie, że tu jesteście. To porządny facet, James Gaither. Od dawna załatwiam z nim różne sprawy. Jest bez zarzutu. Waszą sprawą zajął się osobiście, w sposób jak najściślej poufny. Kiedy wasze dokumenty będą w porządku, przyjedziecie do Marsylii i tego samego dnia wyruszyście pociągiem do Lizbony. To pomysł Gaithera.

- Kiedy to będzie?

- No, są trudności z wizą wyjazdową. Jakiś miesiąc temu jeszcze moglibyście odjechać do Lizbony pociągiem, jak każdy turysta. Ale teraz Francuzi przestali wydawać wizy na wyjazd. Pod naciskiem niemieckim. Wasza ambasada ma chody w Vichy, więc dostaniecie te wizy, ale trochę to potrwa.

- Tyle pan już załatwił!

- To nie moja zasługa. - Odpowiedź zabrzmiała ostro i kwaśno. - Gaither dostał telegram z waszego poselstwa w Bernie, żeby się za wami rozglądał. Kiedy mu powiedziałem, że jesteście na Korsyce, zawołał: "Hurra!" Tak po prostu. - Znaleźli się już na szczycie. Z omiatanych przez wiatr blanków spojrzeli w głąb doliny, pokrytej gospodarstwami i winnicami, otoczonej dzikimi górami, porośniętymi lasem. - No, teraz widzę, co pani miała na myśli. Wspaniały widok.

- A co z Castelnuovo?

Oślonił papierosa dłońmi, zapalając go. - Z nimi jest dużo trudniej. We wrześniu niemiecka Komisja Rozjemcza dokonała nalotu na Bastię, bo uchodźcy przedostawali się tamtędy do Algierii. Pokrzyżowało mi to szyki, dlatego utknęliście w Marcianie. Ale i tak szczęście, że wyjechali ze Sieny. W lipcu OVRA zaczęła zgarniać włoskich syjonistów. Byliby już w obozie koncentracyjnym. Coś dla nich załatwiam, więc proszę się postarać, żeby doktor powściągnął swą niecierpliwość. W najgorszym razie Gaffori zawsze się nimi zajmą. - Pociągnął kilka razy papierosa i spojrzął na zegarek. - Lepiej wracajmy. Pani chciała ze mną porozmawiać? Mniej więcej za godzinę odchodzi kolejka do Ajaccio.

- Tak, owszem. Ten młody, Pascal - zawahała się, przygryzła sobie kostki u palców.

- Słucham, co z nim?

- Och, do diabła, muszę się panu zwierzyć. A w domu nie mogłabym o tym mówić. Przedostatniej nocy zbudziłam się i on był w moim pokoju, siedział na moim łóżku. Z ręką na kołdrze. Na mojej nodze. - Słowa popłynęły z niej jak rwący potok, kiedy schodzili po omiatanych wiatrem stopniach. - Po prostu siedział! A kołyska mojego dziecka stała o pół metra od nas. Nie wiedziałam, czy mi się śni, czy co? Wyszeptalam: "O co chodzi? Co pan tu robi?" A on wyszeptał: "Je t'aime. Tu veux?" - Rabinowicz stanął jak wryty na schodach. Ku jej zdumieniu zaczerwienił się. - Och, proszę się nie martwić, nie zgwałcił mnie i nic takiego, po prostu pozbyłam się go. - Szarpnęła Rabinowicza za łokieć. Ze zmarszczoną brwią zaczął znów schodzić. - Może to moja wina. Już na Elbie robił do mnie oczy, a na łodzi stał się namolny. Zrobiłam jedno głupstwo, kiedy przyjechaliśmy do tego domu. Przeprawa była już za nami, nic mi się nie stało i byłam mu wdzięczna. Więc

pocałowałam go . No, a on spojrział na mnie, jakbym zdjęła spódnicę. I odtąd jest tak, jakbym w ogóle jej nie miała na sobie. I teraz ten incydent poprzedniej nocy...

- Jak się go pani pozbyła?

- No, nie było to znów takie łatwe. Najpierw wyszeptałam: "To niemożliwe, dziecko się obudzi". - Natalia zerknęła kątem oka na Rabinowicza. - Może powinnam była potraktować go z góry i po prostu wyrzucić za drzwi, krzyczeć i wzywać jego ojca, i tym podobne. Ale byłam zaspana i zaskoczona, i nie chciałam budzić Louisa, i czułam się poniekąd na łasce tych ludzi. Więc on wtędy wyszeptał: "Och, nie, będziemy cichutko jak dwa gołąbki". - Natalia zachichotała nerwowo. - Byłam przestraszona, jak wszyscy diabli, ale zabrzmiało to śmiesznie do niemożliwości: deux petites colombes...

Rabinowicz uśmiechnął się, ale całkiem niemile. - I na czym się to skończyło?

- Och, szeptał ciągle to samo, tak, nie, w kółko i w kółko. Nie chciał wyjść. Pomyślałam, żeby odwołać się do jego korsykańskiego honoru, który nie pozwala wyrządzać krzywdy zbiegowi pod własnym dachem. Albo zagrozić, że poskarżę się jego ojcu. Wszystko to zapowiadało się tak długo i zawile. Więc powiedziałam: "Słuchaj, nie mogę, jestem chora". Cofnął rękę jak oparzony i zeskoczył z mojego łóżka, jak gdybym powiedziała mu, że cierpię na trąd.

Jak na marynarza, pomyślała, Rabinowicz jest dziwnie pruderyjny. Wyglądał na bardzo skrępowanego.

- Potem stanął nade mną i wyszeptał: "Czy mówisz prawdę?" Odparłam: "Oczywiście". "Madame, jeżeli pani mi po prostu odmawia, jest to poważny błąd. Mogę ci przyobiecać ekstazę". - Udała, że mówi barytonem. - "Je peux te promettre l'extase." Tak dosłownie powiedział. I to mówiąc, dzięki Bogu, wyszedł na paluszkach. Obawiam się, że znów będzie próbował. Co mam robić? Czy porozmawiać z jego ojcem? Ten stary jest taki groźny.

Rabinowicz pocierał się dłonią po nadzwyczaj zmartwionym obliczu. - Zastanawiam się, gdzie mógłbym was umieścić w Marsylii. Chyba, że chce pani zakosztować tej ekstazy. - Nic na to nie odpowiedziała i jego podpuchniętą twarz znów oblał rumieniec. - Przepraszam, nie powinienem żartować, z pewnością to dla pani bardzo nieprzyjemne.

Odpowiedziała mu troszkę po szelmowsku: - Och, no cóż, poczułam się zaraz taka młoda i w ogóle. Ale nie, wyrzeknę się tej korsykańskiej ekstazy.

Uśmiechnął się do niej dziwnie, z wyraźnym odcieniem smutku.

- Dobrze. To nie dla porządnych żydowskich dziewcząt.

- Och, pan mnie nie zna - odparła Natalia, chociaż, ku własnemu zdziwieniu, określenie takie wcale jej nie zirytowało. W ustach Rabinowicza słowa te zabrzmiały niemal pieszczotliwie. - Zawsze robiłam to, na co miałam ochotę, inaczej, Bóg mi świadkiem, nie wyszłabym za Byrona Henry. Ani też nie dałabym się przekręcać przez inne wyżymaczkę, których porządne dziewczęta żydowskie zwykły unikać. W każdym razie pan sądzi, że uda się przewieźć nas do Marsylii?

- Tak. Nie chcę mieć kłopotów z rodziną Gaffori. Są dla mnie bardzo ważni, zwłaszcza Orlanduccio. A obecnie to jedyne miejsce, gdzie mogę bezpiecznie umieścić państwa Castelnuovo. Orlanduccio mówił mi o tym Pascalu, to łobuz. Tak czy owak Marsylia może być dla was lepsza. Kiedy przyjdą wasze dokumenty, będziecie mogli raz dwa trzy wyjechać. To duża korzyść.

- A państwo Castelnuovo?

- Zostaną tutaj.

- Ale ja nie chcę ich tak porzucać.

- Porzucać? - Głos Rabinowicza stał się szorstki, kiedy szli po tarasie koło zrujnowanej strażnicy. - Cóż to za głupie wyrażenie. Amerykański konsul generalny ujmie się za wami, jeśli by coś nie wyszło, oni zaś nie

mają żadnej osłony, żadnej. Marsylia roi się od policjantów i szmalcowników. Nie mogę ich tam zabrać. Proszę nie podsuwać doktorowi takich pomysłów. I tak mam już z nim dosyć kłopotów.

- W porządku. Proszę się nie gniewać. Louis i Miriam są teraz jak rodzeństwo.

- Wiem. Proszę posłuchać, ten nalot na Bastię był naprawdę pechowy. Jeżeli doktor zachowa rozsądek, jemu i jego rodzinie nic się nie stanie.

- A w Marsylii będziemy pana czasem widywać?

- Oczywiście.

- Bardzo się z tego cieszę.

Zawahał się i powiedział burkliwie: - Poczułem się bardzo rozczarowany, kiedy pani opuściła Izmir.

Natalia raptem pocałowała go w policzek. Był drapiący i chłodny w dotyku.

- Pani Henry, właśnie to wpędziło panią w kłopoty.

- Mam nadzieję, że zbudziwszy się nie zastanę pana w mojej sypialni.

- Dla Francuza to nie jest komplement.

Uśmiechnęli się do siebie niepewnie i zeszli do miasta.

Tego wieczora na Natalię wypadła kolej gotowania posiłku. Gdy podała w małej kuchence na górze ratatouille z resztek, według przepisu z dni paryskich, wiele nie rozmawiano. Nawet Miriam była poważna. Poszła do łóżka, a dorośli zasiedzieli się jeszcze w kuchni, popijając namiastkę kawy z przypalonego zboża, po prostu kwaskowaty brązowy płyn. Castelnuovo powiedział: - No, dzieciom będzie z tym ciężko, prawda? - Była to pierwsza otwarta wzmianka o nadchodzącym rozstaniu.

Z upływem dni przestała zauważać jego wygląd, ale teraz uderzyło ją, jak zmienił się od czasów pobytu w Sienie. Wówczas był to pewny siebie, uroczy, przystojny lekarz włoski. Jego uroda zbladła, oczy się zapadły, powieki obwisły.

- Mnie też będzie ciężko, wiem o tym - powiedziała.

Aaron Jastrow rzekł: - Czy nie moglibyśmy się tam znowu spotkać i razem wyjechać?

Castelnuovo potrząsnął głową powoli, dobitnie i ze znużeniem.

- Co on planuje dla was? - nie ustępował Jastrow. - Czy nie możemy być ze sobą szczerzy?

- W Marcianie mieliśmy jeszcze nadzieję zabrać się statkiem do Algieru - rzekł doktor - i stamtąd przedostać się na wschód do Palestyny. Ale ta droga jest zamknięta. Wygląda na to, że możemy się nielegalnie dostać jedynie do Hiszpanii albo do Szwajcarii. Ludzie ruszają w grupach, z przewodnikami, którzy ich przemycają przez lasy. Sądzę, że lepiej byłoby do Hiszpanii. To przynajmniej po drodze do Lizbony.

- Trudność polega na tym - dodała Anna ze zdawkowym uśmiechem - że aby dostać się do Hiszpanii, trzeba przejść piechotą przez Pireneje. W listopadzie. Nie ma innej drogi. Wiele kilometrów pieszo przez dzikie okolice, w śniegu i lodzie, kryjąc się przed patrolami pogranicznymi.

- A co ze Szwajcarią? - spytała Natalia.

- Jeżeli cię złapią, wracasz do Francji - odrzekła Anna. - W ręce policji francuskiej.

- Niekoniecznie! - gniewnie zareplikował jej mąż. - Nie przesadzaj. Każda z grup ma inne doświadczenia. Poza tym w Szwajcarii są agencje ratunkowe, które mogą ci pomóc. Rabinowicz woli Hiszpanię, tylko że Anna nie wyobraża sobie, jak Miriam mogłaby iść przez góry.

- Ale te statki płynące do Ameryki Południowej - odezwał się Jastrow - te łodzie rybackie do Maroka... wszystkie te inne możliwości, o których mówiliśmy?

Bezradne wzruszenie ramion i puste, mroczne spojrzenie, jakim odpowiedział Castelnuovo, sprawiły, że Natalia sama poczuła się schwytna w pułapkę, jak nigdy przedtem. - Uda się wam - przemówiła jak najradośniej. -

Ja mu ufam.

- Ja też - powiedział doktor. - On mówi prawdę. Wie, co robi. To ja postanowiłem, że wyjedziemy z Włoch, i miałem rację. Nie jesteśmy w obozie koncentracyjnym. Jeżeli Miriam będzie musiała przejść po śniegu przez Pireneje, no, to przejdzie przez te Pireneje. To silna i zdrowa dziewczynka. - Wstał i z pośpiechem wyszedł.

Natalia powiedziała do Anny Castelnuovo, której oczy zwilgotniały: - Anno, czy mogłabym na tę noc zabrać Miriam do swego łóżka? Anna kiwnęła głową. Zaspana dziewczynka sama przyszła później do Natalii, do łóżka, nic nie mówiąc, i po chwili zasnęła. Natalia strasznie lubiła czuć przy sobie to ciepłe, tulące się ciało. Kiedy nazajutrz rano słońce zbudziło Natalię, Miriam już nie było. Dziewczynka wpełzła do kołyski i spała w niej, trzymając w ramionach Louisa.

`ty

41

`ty

Potężna armada znajdowała się teraz na pełnym morzu, płynąc po zbieżnych kursach w kierunku Afryki Północnej. Oceany ziemskie nigdy jeszcze nie dźwigały na sobie takiej potęgi od czasu, gdy japońska Flota Cesarska ruszyła na Midway, a przedtem ani razu w dziejach ludzkości. Lotniskowce, okręty liniowe, krążowniki, transportowce wojska i nowomodne okręty desantowe pełne mniejszych pojazdów, czołgów, ciężarówek i dział samobieżnych; a także niszczyciele, trałowce, okręty podwodne i statki z wszelkiego rodzaju zaopatrzeniem; z kilku stron, w szeroko rozrzuconych formacjach, pełzły te okręty wojenne o złowróżbnych kształtach i wielu rozmiarach, pomalowane na szaro albo w pstrokatych barwach ochronnych, po wodnej krzywiźnie planety. Parły na południe od Wysp Brytyjskich i w oceanicznym natarciu o nie znanej dotąd skali i zasięgu pruły także na wschód z Ameryki Północnej. Wywiad państw Osi nic o tym nie wiedział. Domysły, krążące przy obiedzie u pewnego stołu na Korsyce, odzywały się jak echo w sztabowym pociągu Hitlera, pędzącym na zlot Partii w Monachium. Jakkolwiek przygotowane w gadatliwych demokracjach, to wielkie natarcie utrzymane było w takiej samej tajemnicy jak atak japoński na Pearl Harbor.

Winston Churchill zakończył swoje prowokujące przemówienie po Dunkierce zapowiedzią, że będzie toczył walkę, "aż w czasie, gdy spodoba się Panu Bogu, Nowy Świat z całą swoją mocą i potęgą przyjdzie na ratunek i przyniesie wyzwolenie Staremu Światu". Teraz, gdy właśnie to działo się w dwa i pół roku później, dytyramb Churchilla majestatycznie ożył: zaroila się nowa potęga morską, wsparta przybierającym na sile grzmotem amerykańskiej technologii, niosąc dywizje brytyjskich weteranów i pierwszą falę świeżego zaciągu wojsk amerykańskich. Jeśli w uprzemysłowionej wojnie może jeszcze być coś romantycznego, to właśnie była godzina romantyzmu, zbliżająca się godzina "Pochodni".

Lecz amerykańscy zdobywcy, mimo że znalazł się tu i ówdzie jakiś Patton, czuliby się zażenowani dytyrambem Churchilla o tym, czego mają dokonać. Szanse kariery i ryzyko techniczne mogły interesować zawodowych żołnierzy; poza tym, od generała do szeregowca, wszyscy traktowali operację "Pochodnia" i całą wojnę jako brudną robotę, z którą się należy uporać. George Marshall w ogóle był przeciwny "Pochodni", uważając, że odwieka ona wielkie lądowanie we Francji, a sam głównodowodzący wyprawą, nowy przybysz na widowni światowej, nazwiskiem Dwight Eisenhower, wyrażał obawę, że decyzja o przeprowadzeniu tej operacji "może okazać się najczarniejszym dniem w historii". Ale skoro dostali taki rozkaz, on i jego sztab metodycznie wzięli się do roboty.

Pożądane było, jakkolwiek nie brzmi to romantycznie, zapewnienie sobie nierównych szans na swoją korzyść; a gdyby udało się w ogóle uniknąć walki,

tym lepiej. Zrodziła się więc myśl, aby w charakterze dekoracji wprowadzić do połączonego sztabu anglo-amerykańskiego któregoś ze sławnych generałów francuskich i tym sposobem skłonić wojska Vichy w Afryce Północnej do zaniechania walki, cokolwiek by im rozkazał ich kierowany przez Niemców rząd. Tak się rozpoczęła komedia, godna - gdyby nie to, o jak wielkie stawki toczyła się gra - pióra jakiegoś autora paryskich fars bulwarowych.

W to żartobliwe interludium, wplecione w ciężki marsz wojny, dostał się Byron Henry. Czytelnik musi więc być zwięźle poinformowany, na czym polegało całe błazeństwo.

Jako ten wysokiej rangi figurant był w Londynie osiągalny Charles de Gaulle, ciągle odzywający się stamtąd jako głos "Wolnej Francji", nawołujący swych rodaków do przeciwstawienia się okupantom. Ale z de Gaullem był ten kłopot, że generałowie i admirałowie rządu Vichy brzydzili się nim, jak jeden mąż. Nie za bardzo kochał go także ruch oporu. Dźwięczne wyzwania, rozlegające się z apartamentów hotelowych w Londynie, wtedy akurat niezbyt przypadają Francuzom do serca. Zamiast niego Alianci postawili na niejakiego generała Henri Giraud. Giraud dzielnie walczył z Niemcami w 1940 roku, trafił do niewoli i uciekł z niemieckiego więzienia. Teraz krył się we Francji, tak iż postanowiono znaleźć go, przemyścić z jego kryjówki na wybrzeże śródziemnomorskie, wziąć na pokład alianckiej łodzi podwodnej i dostarczyć na Gibraltar, gdzie przyłączyłby się do Eisenhowera.

Było to skomplikowane przedsięwzięcie, a Giraud, gdy się do niego w sekrecie zgłoszono, jeszcze bardziej je skomplikował. Okazało się, że generał Giraud jest przeczulony na punkcie honoru. W początkach wojny brytyjskie okręty wojenne ostrzelały flotę francuską, ażeby nie wpadła w ręce niemieckie. Wobec tego Henri Giraud nie zgadzał się, aby uratował go brytyjski okręt podwodny. Tymczasem na jedynych aktualnie dostępnych łodziach podwodnych powiewała flaga brytyjska. Trzeba było oddać jeden z brytyjskich okrętów podwodnych pod nominalne dowództwo kapitana amerykańskiego i gwoli prawdopodobieństwa dodać mu jeszcze paru amerykańskich oficerów, żeby przywieźć Francuza. Brytyjski szyper i załoga oczywiście prowadzili okręt, jak i przedtem; Amerykanie byli tylko pasażerami i udawali, że mają coś do roboty. Ten "amerykański" okręt podwodny zabrał, jak należy, generała Giraud z wybrzeża w pobliżu Tulonu i zawiózł go na Gibraltar.

Tutaj - aby dopełnić epopei o generale Giraud, zanim przejdziemy do opowieści o niewielkiej roli, jaką miał odegrać w niej Byron Henry - znalazłszy się w obliczu Eisenhowera w jaskini, gdzie miał on swój posterunek dowodzenia, Giraud najspokojniej podziękował amerykańskiemu generalissimusowi za oddane do tej chwili usługi i poinformował go, że teraz on, Henri Giraud, zwalnia go z roli głównodowodzącego i sam poprowadzi inwazję w Afryce Północnej. Stało się to niecałe czterdzieści osiem godzin przed rozpoczęciem ataku, gdy około czterystu pięćdziesięciu okrętów już zbliżało się do plaż, mających być miejscem desantu. Nie znamy szczegółów tej osobliwej pogawędki, wiemy jednak, iż Giraud okazał się głuchy na wszelkie argumenty. Upierał się, że objęcie naczelnego dowództwa jest dla niego sprawą honoru. Jednak nieczuły na to Eisenhower odmówił złożenia swej dymisji. Wobec tego Francuz się głęboko naburmuszył i nie odegrał już żadnej roli w inwazji.

Sprawy się tak ułożyły, że nie był potrzebny. We wczesnych godzinach w dniu lądowania dostał się w ręce sił desantowych niejaki admirał Darlan, najbardziej wpływowy człowiek Vichy w całej Afryce Północno-Zachodniej, słynący głównie ze skrajnej nienawiści do Anglii, Ameryki oraz Żydów. Przystawiono mu nóż do gardła i zmuszono, aby wszedł w rolę Giraud. Wykonał on świetną robotę, pacyfikując wojska francuskie, ucinając sporadyczne próby oporu i zaprowadzając porządek wśród Aliantów. Chcąc nie chcąc, Darlan uchronił od śmierci mnóstwo żołnierzy amerykańskich i brytyjskich,

dużo lepiej, niż mógłby to zrobić Giraud.

W prasie alianckiej natychmiast rozległ się głośny, przeciągły wrzask oburzenia, że cynicznie posłużono się tak złym człowiekiem. Wynikły z tego kłopoty polityczne. Generał Eisenhower myślał o podaniu się do dymisji, prezydent Roosevelt zaś znalazł się pod długotrwałym ostrzałem ze strony gazet, bardziej zajadłym niż zwykle. Aż kolejny szczęśliwy przypadek w tej wojnie wszystko uładził. Pewien francuski student, idealista, zastrzelił Darlana. W jakiś czas po tym, na Konferencji w Casablance, generał Giraud uległ intensywnemu braniu pod włos i zgodził się niechętnie pozować do zdjęć z Churchillem, Rooseveltem i de Gaullem. Dzięki temu wiadomo już teraz, jak wyglądał człowiek honoru. Był wysoki i chudy, jakkolwiek nie aż tak wysoki i chudy jak de Gaulle. Za to miał większe wąsy.

`cp2

Stało się to w nawale gorączkowego porozumiewania się, tam i z powrotem, na temat honoru generała Giraud, że sprawa ta wessała Byrona Henry. Co dziwniejsze, jego doświadczenia podwodniackie nie miały z tym nic wspólnego. Poniosło go jak korek na kłębiącym się nurcie, od Gibraltaru do Marsylii, w kółko i w kółko, nawet nie domyślającego się, jaka siła napędza to wszystko, po prostu dlatego, że miał w amerykańskiej służbie bezpieczeństwa wysoką kategorię zaufania. Gibraltar cierpiał na chroniczny niedobór amerykańskich kurierów; a tym bardziej w przeddzień inwazji. Od czasu, gdy spotkał Tudsburych, Byron już kilkakrotnie wysyłany był z takimi zleceniami, ale nigdy jeszcze do Marsylii, mimo że listownie i telefonicznie kontaktował się z tamtejszym konsulem, zasięgając wieści o Natalii.

Jak wszyscy na Skale, tak i on wiedział, że jakaś wielka operacja wisi w powietrzu. Jakby coraz głośniejsza wibracja maszynierii, napędzającej tę bazę, gromadzenie się okrętów wojennych i samolotów, najazd wysokich szarż i zabieganych waśniaków z ich sztabów, wszystko to przywodziło mu na myśl Pearl Harbor przed Midway. Ale nie wiedział, czy celem ma być Afryka, Sardynia, południe Francji, czy choćby i Włochy. W życiu nie słyszał o generale Giraud. Teraz też nie padło jego nazwisko. Jeszcze o ósmej rano, czarny od smaru, znajdował się na zdezelowanej łodzi podwodnej, przycumowanej burcie do Maidstone, próbując uruchomić martwy kompresor powietrza; a w południe, pośpiesznie umyty i po cywilnemu, ze skórzaną torbą kurierską znowu przykutą do przegubu i paszportem dyplomatycznym w kieszeni, był w drodze do Marsylii.

Przeszło dwa miesiące już nie miał wiadomości od Lesliego Slote. Jego ciągle dopytywania się w konsulacie w Marsylii okazały się bezowocne. Ale skoro tam jedzie, zamierzał co nieco sprawdzić. Polecono mu wręczyć zamkniętą na klucz torbę z dokumentami pewnemu wicekonsulowi, poczekać na zakodowaną odpowiedź i czym prędzej przywieźć ją z powrotem. Spodziewał się, że zostanie mu trochę czasu na wyciągnięcie paru informacji. I tak oto rzeczywiście znalazł Natalię, choć ostatecznie z ogniw zamknęło się przypadkowo. Gdyby nie wyjechała z Włoch i gdyby on nie trafił na Gibraltar, oczywiście nie mogłoby się to zdarzyć, ale szczęśliwy zbieg okoliczności wypełnił tę lukę.

Dotarł w zimnej ulewie do konsulatu, odpiął z łańcucha torbę i wręczył ją wicekonsulowi nazwiskiem Sam Jones, człowiekowi o nijakiej twarzy i w tak samo nijakim ubraniu; ten rodzaj niepozorności sprzyja tajnej służbie wywiadowczej. Zdejmując swój ociekający wodą płaszcz Byron zapytał Jonesa:

- Czy stacjonuje tu jeszcze Lucius Babbage?

- Luke Babbage? Oczywiście. A dlaczego?

- Chcę z nim porozmawiać. Ile mam na to czasu?

Bezbarwna twarz Jonesa przybrała nie pasujący do niej wyraz chytryści; agent wywiadu wyrzwał spod nijakiego wicekonsula. - Jest trochę czasu. Luke

ma biuro w głębi holu. Drzwi z szybą z matowego szkła.

Za drzwiami z matową szybą kobieta ze ściągniętą twarzą i w siatce obciskającej przetykane siwizną włosy tłukła w maszynę przy biurku, zawalonym stosami formularzy. Poczekalnię wypełniał tłum uchodźców, przeważnie tak wyglądających, jakby przesiadywali tu od wielu dni. Zimny wzrok sekretarki rozplynał się w czarującym uśmiechu, kiedy ujrzała jego twarz, sportową marynarkę i spodnie w amerykańskim stylu, w które ubierał się w roli kuriera. Bez trudu wpuściła go do Babbage'a.

Blade, wodniste światło z szerokich okien gabinetu oświetlało naturalnej wielkości zdjęcie prezydenta Roosevelta i Cordella Hulla, jak również wielką, kiepską reprodukcję przedstawiającą, jak George Washington przeprowadza się przez Delaware. Zza biurka podniósł się tłusty, łysy, różowy człowieczek i uściśnął dłoń Byronowi, mrugając błękitnymi oczyma za okularami w złotej oprawce. - Porucznik Henry, tak? Pamiętam pański list, poruczniku. Jak również pańskie telefony. Połączenie z Gibraltarem jest bardzo złe. Dobrze, stare, amerykańskie nazwisko: Henry. Nie jest pan krewnym Patricka? Ha ha! Podwodniak, prawda? Mój syn chciał wstąpić do floty, ale nie przeszedł. Z powodu oczu. Jest w kwatermistrzostwie Sił Powietrznych. Jak się przedstawia wojna oglądana z Gibraltaru? Domyślam się, że te kurierskie podróże są ciekawe, ale chyba wolałby pan walczyć na Pacyfiku. Ależ proszę siadać, proszę bardzo.

Lucius Babbage chciał wiedzieć, kiedy Byron po raz ostatni był w Stanach i czy oglądał jakieś ważniejsze rozgrywki ligowe w baseballu. Kołysząc się tam i z powrotem w skrzypiącym fotelu obrotowym Babbage oświadczył, że cały ten raban, żeby powoływać do wojska takie gwiazdy jak DiMaggio albo Feller, jest nakręcany przez ludzi o podejrzanym motywacji. Jeżeli kilku wielkich graczy może zapewnić rozrywkę milionom robotników, wyrabiających samoloty i czołgi, co za sens gonić ich z karabinem po błocie, a wielkie ligi zostawiać jakimś niedołączom, odrzuconym z poboru? W trakcie tych bezcelowych kpin jego wyłupiaste oczy wypatrywały spoza złotej oprawki, grzbietem dłoni zaś pocierał się po obwisłych policzkach, wygolonych gładko jak u księdza.

- No dobrze! - Babbage zmienił ton, jakby przekręcił wyłącznik. - Jeśli dobrze pamiętam, chodzi o pańską żonę. Jeśli zechce mi pan to powtórzyć, zaoszczędzę sobie wyciągania pańskiego listu. Był też jakiś stryj, prawda?

- Tak. Nazywa się Aaron Jastrow. Ten pisarz - powiedział Byron. - Ona ma na imię Natalia. Byronowa Henry. I mój syn Louis, jeszcze na ręku. Zgubiłem ich ślad, ale mam powody przypuszczać, że są w Marsylii albo gdzieś w pobliżu.

Babbage przez cały czas kiwał głową ze zdawkowym uśmiechem. - Amerykanie?

- Oczywiście.

- Paszporty w porządku?

- Tak.

- Cóż więc mieliby do roboty w wolnej strefie? Już dawno wyprawiliśmy stąd wszystkich do kraju.

- To znaczy, że się nie pojawili?

Babbage wy dobył z szuflady złoty blok i wziął pióro do lewej ręki. Skinał do Byrona głową z życzliwym uśmiechem, mrużąc oczy, tak że niemal je zamknął. - Skoro już pan tu jest, proszę podać mi wszystkie szczegóły, dobrze? Kiedy i gdzie ostatnio przebywali, według pańskich wiadomości, no i tak dalej. Im więcej się dowiem, tym dokładniej będę mógł to zbadać.

Jakiś instynkt nakazał Byronowi ostrożność. - Doktor Jastrow, emerytowany wykładowca historii z Yale, mieszkał w Sienie, pisząc tam swoje książki. Natalia pracowała u niego jako sekretarka. Tam zastało ich wypowiedzenie przez nas wojny. Więc...

- Pozwoli pan, poruczniku, że przerwę. Wymieniliśmy w maju wszystkich Amerykanów, internowanych we Włoszech. - Mówiąc to Babbage uśmiechał się i

coś bazgrał, trzymając pióro w zgiętych palcach lewej dłoni. - Więc powinni już teraz być w kraju, bez żadnego problemu.

- No, ja wtedy byłem na Pacyfiku. Nie wiem, co się stało, ale nie wymieniono ich.

- To dziwne.

- I kiedy ostatni raz o nich słyszano, zamierzali się przedostać do Francji.

- To znaczy... nielegalnie?

- Naprawdę nie znam żadnych innych szczegółów.

- Proszę powtórzyć nazwisko jej stryja.

- Jastrow.

- Proszę przeliterować.

- J-a-s-t-r-o-w.

- Czy to znany pisarz?

- Jedna z jego książek trafiła do Klubu Książki Miesiąca.

- Nieźle. Jaka to książka?

- Żydowski Jezus.

Na to wreszcie Babbage zareagował. Uśmiech jego rozjarzył się szeroko, brwi się uniosły, oczy mu zabłysły. - O? Więc jest Żydem?

- Nie praktykującym.

- Mało który z nich praktykuje; to kwestia narodowości, prawda? - Krótka pauza i radosny uśmieszek. - Pańska żona też jest Żydówką?

- Owszem, jest.

- Ale pan nie jest Żydem.

- Nie.

Lewa dłoń nabazgrała coś i zatrzymała się. Z jowialnym skinieniem i mrugnięciem Babbage wstał i wyszedł do poczekalni, rzuciwszy: - Jedną sekundę. - Nie było go jakieś pięć minut, a Byron w tym czasie gapił się na George'a Washingtona, na Roosevelta, na Hulla i na brudne, ociekające deszczem budynki po drugiej stronie ulicy. Babbage wrócił, usiadł za swoim biurkiem i splótł przed sobą dłonie. - Nie, w Marsylii ich nie ma. I nie zarejestrowano ich obecności nigdzie w strefie nie okupowanej. Czy sprawdzał pan w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu? Ponieważ są Żydami, a on pisze tego rodzaju książki, mogli równie dobrze wylądować we włoskim obozie koncentracyjnym.

- A jeżeli przedostali się do Tulonu lub Algieru? Czy pan by o tym wiedział?

- Gdyby się zgłosili do władz amerykańskich, to bym wiedział. Za rejestr wszystkich Amerykanów w tym rejonie ja odpowiadam. Ale jeśli próbowali nielegalnego tranzytu przez Francję - no - miejmy nadzieję, że tego nie zrobili, poruczniku. Policja francuska cholernie surowo traktuje uciekających Żydów. - Uśmiechnął się radośnie. - Ale nie rozumiem, dlaczego mieliby zrobić coś tak głupiego, jeśli mają papiery w porządku. Słusznie?

- Słusznie. - Byron raptownie wstał.

- Cóż, to dosyć niezwykła sprawa. - Babbage grzbietem dłoni pocierał sobie obwisłe policzki. - Pan służy we flocie podwodnej, pańska żona pracuje dla krewnego, który pisze te lewicowe książki, i przy tym...

- Co takiego? Nie ma ani śladu lewicowości w Żydowskim Jezusie. - Byron pozwolił sobie, aby w głosie jego zabrzmiała ostra irytacja. - To dzieło historyczne; i przy tym wyjątkowej wartości.

- Ach tak? No cóż, muszę je przeczytać. Pomyślałem sobie, że może to być jedna z tych bredni, robiących z Jezusa Chrystusa rewolucjonistę. Stary lewicowy chwyt, prawda?

- Kłaniam się. - Byron sztywno wyszedł, rozgoryczony tym frustrującym finałem długiej podróży aż z Australii: głuchy mur biurokracji, oślizgły od pleśni zjadliwego antysemityzmu, w konsulacie w Marsylii. Miał jeszcze adresy agencji kwakerskiej i komitetu żydowskiego, więc postanowił przejść

się tam pieszo dla stłumienia irytacji, chociaż nadal padało. Ostatni raz był w Marsylii w 1939 roku, kiedy włóczył się, skreślony ze szkoły pomaturalnej we Florencji, i zachował w miłej pamięci bulwar Canebiere z jego bogatymi wystawami i restauracjami, słynącymi z potraw morskich, i hałaśliwych, wesołych ludzi, jakże niepodobnych do pochmurnych Francuzów z innych rejonów. W słońcu czy w deszczu, Marsylia była rozkoszna.

Teraz się wiele zmieniło. Ludzie czynili wrażenie mizernych, zmęczonych i zabiedzonych. Długa, szeroka, cicha Canebiere, prawie bez samochodów, wyglądała jak spustoszona od zarazy. Na przyćmionych od deszczu wystawach prezentowano trochę zakurzonej lichoty w rodzaju tandetnych ubrań, propagandowych broszurek rządu Vichy, tekturowych walizek. Słynne targi spożywcze żałośnie zmarniały. Na straganach rzeźniczych, nie zamkniętych jeszcze na sztabę, sprzedawano jakieś okropne resztki, pokryte czarną, zakrzepłą krwią: ogony, uszy, kiszki, płuca. Nieliczne wystawione na sprzedaż warzywa były liche, przywiędłe i wyglądały na robaczywe. Żadnych owoców. I co dziwniejsze, żadnych ryb. Sławne stragany, gdzie niegdyś piętrzyły się połyskliwe ryby o jaskrawych oczach, jeszcze wilgotne od morza, oraz wszelkiego rodzaju małże i skorupiaki na podłożu z wodorostów, pozamykano na głucho. Widać było, jak Marsylię pożera rak niemieckiego podboju.

Pod agencją kwakerską Byron ujrzał zbity tłum dzieci, tłoczący się na zalanych deszczem chodnikach, tarasujący wejście; tuziny i tuziny dzieci, od małych pędraków po nastolatków, skulone pod ociekającymi parasolami. W środku klekotały maszyny do pisania w zgiełku przenikliwej, francuskiej gadaniny. Tłusta Amerykanka, zaganiająca dzieci do kolejki, oznajmiła, że nie ma dla niego czasu; Kongres podjął specjalną rezolucję, zezwalającą na wjazd pięciu tysięcy żydowskich dzieci do Stanów Zjednoczonych: bez rodziców, tylko same dzieci, więc kwakrowie czym prędzej zgarniali je, zanim Vichy się rozmyśli i przestanie wypuszczać albo Niemcy zgarną je i wyprawiają na wschód, albo Departament Stanu rzuci nową kłodę pod nogi. Byron stracił nadzieję, że cokolwiek tutaj uzyska, i odszedł.

Agencja żydowska, tak zwany Joint, znajdowała się w innej części miasta. Musiał pytać o drogę. Pierwsi dwaj Francuzi, których zagadnął, umknęli nie odpowiadając. Byron zawział się i trafił na miejsce. Po drodze minął budynek, w którym Rabinowicz ukrył jego żonę i dziecko; po prostu mokra, szara, czteropiętrowa kamienica marsyjska, jak całe kwartały podobnych. Przeszedł koło niej, kuląc się od deszczu, ślepym przypadkiem rozminawszy się z nimi z bliska, jak dwa okręty podwodne, cicho płynące, mogą się w ciemnościach podmorskich minąć o centymetry i nawet się o tym nie dowiedzieć.

W małej, zatłoczonej poczekalni Jointu, przy jedynym biurku, młoda kobieta o zapadniętych oczach waliła zajadle w maszynę do pisania, ale Byron nie mógł do niej podejść; przed biurkiem czekała długa kolejka, wijąc się po całym pokoju i przeciskając między ludźmi siedzącymi na krzesłach albo przykucniętymi na piętach, niektórzy z obdartymi walizkami, a wszyscy gadający w każdym znanym języku (przynajmniej tak się zdawało Byronowi) z wyjątkiem angielskiego. Przenikające ten tłum żałość i trwogę widać było na twarzach i słychać w głosach. Byron oparł się o ścianę i zachodził w głowę, co dalej robić. Tęgi, ciemny, młody mężczyzna w trenczu wyszedł z drzwi za biurkiem, bacznie rozejrzał się wokół i przepchał się do wyjścia. Przechodząc koło Byrona przystanął i odezwał się: - Hi.

Amerykańska monosylaba rozległa się wyraźnie jak dzwonek. Byron odpowiedział mu: - Hi.

- Jakiś problem?
- Tak jakby.
- Jestem Joe Schwartz.
- Jestem porucznik Byron Henry.

Tamten uniósł czarne, krzaczaste brwi. - Czy jadł pan już lunch?

- Nie.

- A zna pan kuskus?

- Nie.

- Kuskus to dobra rzecz.

- W porządku.

Schwartz zaprowadził go o przecznicę dalej do czegoś, co wyglądało jak pracownia krawiecka; w każdym razie nagi manekin bez głowy sterczał w wąskim, ponurym oknie i siedział w nim ziewający kot. Przeszli do pokoju na tyłach, gdzie ludzie jedli przy małych, nakrytych ceratą stolikach. Kuskus, podawany przez nie ogolonego mężczyznę w jarmułce, okazał się czymś w rodzaju kaszy z jarzynami i ostrym, korzennym sosem mięsnym. Byron znów posłuchał instynktu i opowiedział nieznanemu swoją historię, ze wszystkim, czego nie powiedział amerykańskiemu konsulowi. Schwartz nie przestawał jeść z apetytem, kiwając głową. - Leslie Slotte. Bern. Chudy blondyn - powiedział. - Znam go. Bardzo inteligentny. Nerwowy, cały rozdygotany, ale porządny facet. A ten Babbage to łobuz. Oni tu w Marsylii bywają różni. To sprawa indywidualna, niektórzy bywają przyzwoici, a ten, z którym powinien pan tutaj porozmawiać, nazywa się Zim Gaither. Jeżeli ktokolwiek coś wie o pańskiej żonie, to Gaither.

- Kim jest Gaither?

- Konsul generalny. Ale teraz go tutaj nie ma. Musiał pojechać do Vichy.

- Dzisiaj muszę wracać na Gibraltar.

- No, może pan do niego zadzwonić albo napisać.

- A pan czym się zajmuje?

- W tej chwili organizuję trzydzieści maszyn do pisania. Jedyne, co Niemcy mają, to te maszyny, więc je sprzedają Francuzom.

- Po co panu trzydzieści maszyn?

- Dla biura Jointu w Lizbonie. Ja tam pracuję. Konsulat amerykański w Lizbonie ma łącznie trzy maszyny do pisania. To nie do wiary. Więc będziemy od tej pory mieli mnóstwo tych maszyn i dużo pracujących na ochotnika maszynistek, które będą wypełniać dokumenty. Nie powtórzy się to, aby Żydzi utknęli w Lizbonie, jak uda się zorganizować statek, przez brak maszyn do pisania.

- Gdyby moja żona przejeżdżała przez Lizbonę, czy pan wiedziałby o tym?

- Wiedziałbym o jej stryju. - Schwartz się zadumał. - Żydowski Jezus. Kto by tego nie czytał? Pan mnie posłucha, poruczniku. Jacyś przyzwoici Włosi albo Francuzi mogą ich ukrywać. Proszę być dobrej myśli.

- Czy sytuacja jest bardzo zła?

- Pan mówi o Żydach?

- Tak.

Głos Schwartza zgrubiał, twarz mu skamieniała. - Bardzo zła. Na wschodzie Żydów się morduje, co do tego nie ma wątpliwości, a Francuzi oddają ich Niemcom. Jednakże - zachowanie jego znów stało się dobroniuszne, pojawił się nawet uśmiech - jest wielu przyzwoitych chrześcijan, gotowych narazić własne życie, aby nam pomóc. Można coś niecoś zrobić. Sprawa przedstawia się bardzo zawile, a my robimy, co tylko możemy. Smakował panu kuskus? Napije się pan herbaty?

- Z chęcią. Dziękuję. Kuskus był znakomity.

- Jaki jest Aaron Jastrow?

Byron się zawahał. - Przyzwyczajony bardzo regularnie pracować. Prawdziwy naukowiec.

- To widać w jego książkach. Bardzo pouczające. Ale Żydowski Jezus to bestseller dla chrześcijan. Pan wie? Ugrzeczniony. Taki doprawiony wanilią. To miłe. Chrześcijaństwo źle traktowało Żydów. Wyprawy krzyżowe, inkwizycja, a teraz to. Niemcy są niby to chrześcijanami.

- Ja też. Albo raczej staram się być - rzekł Byron.

- Nie chciałem pana urazić.

- Nie uraził mnie pan, ale w naukach Jezusa nie ma nic takiego, co prowadziłyby do Hitlera.

- Szczerą prawdą. Ale gdyby nie było na świecie Jezusa, czy doszłoby do tych rzeczy? Europa to kontynent chrześcijański, nieprawda? No i co się dzieje? Gdzie jest papież? Zaznaczam, że tu w Marsylii akurat jest taki jeden ksiądz katolicki, święty człowiek, całe podziemie w jednej osobie. Mam nadzieję, że Gestapo go nie zamorduje. - Spojrzawszy na zegarek, Joe Schwartz potrząsnął głową. - Jak myśmy do tego doszli? Aha, Żydowski Jezus. No, tak czy owak to dobra książka. Sprowadza ona Jezusa z tych witraży, z ogromnych i sławnych malowideł, z olbrzymich krzyżów, gdzie nic tylko umiera albo już umarł. Pokazuje go chodzącego wśród Żydów jako biednego a uczzonego w Talmudzie, cudowne dziecko, jako żyjącego naprawdę Żyda. To ważne. Może tego nawet i dosyć. Jeszcze herbaty?

- Muszę wracać do konsulatu.

Na dworze deszcz chlastał ukośnymi warstwami. Przystanęli we drzwiach, żeby podnieść kołnierze. Schwartz powiedział: - Wiem, gdzie może pan złapać taksówkę.

- Przejdę się pieszo. Dziękuję za lunch. Niech mi pan jeszcze powie - rzekł Byron, wpatrując się w Schwartza - co może zrobić ktoś taki jak ja?

- Pan się pyta, co zrobić dla Żydów?

- Tak.

Na twarzy Schwartza pokazały się znów głębokie bruzdy. - Wygrać tę wojnę. Byron wyciągnął dłoń i Joe Schwartz ją uściśnął. Rozeszli się w deszczu.

`cp2

Wróciwszy na Gibraltar, Byron wszedł na Maidstone z mordowany jak pies, oddawszy uprzednio torbę w sztabie alianckim. Chciał nie rozbierając się runąć na kolę, lecz poderwał go i otrzeźwił leżący na biurku komunikat:

Od: Biuro personalne do: DCA HMS Maidstone

Przez: Dctwo wojsk lądowych

Porucznik (mł) Byron (brak) Henry USN czasowo oficer łącznik Royal Navy x udać się do Sanfran zameldować się Dca USS Moray nawias SS 345 nawias x Zatw pierwszeństwo przelotu II KL

Aster!

W jednym z ostatnich biuletynów Floty Stanów Zjednoczonych Byron zobaczył rejestr okrętów podwodnych dalekiego zasięgu o nowej konstrukcji oraz ich dowódców, gdzie widniało: USS Moray (SS 345), Carter i Aster, kpt. USN. To było coś w stylu Astera: poprosić Biuro Personalne o tych oficerów, których sobie zażyczył, zamiast wziąć, kogo mu przydzielą. Byron zwałił się na kolę nie po to, żeby zasnąć, tylko żeby się zastanowić. Jakaż to radosna, elektryzująca i niespodziewana perspektywa: wprowadzić do służby jeden z tych nowych okrętów podwodnych i znów popłynąć z Lady Asterem na Japończyków!

Wiedział, że może opuścić Maidstone, kiedy mu się spodoba. Kapitan bazy nie prosił o amerykańskich techników, w gruncie rzeczy wcale ich nie potrzebował do obsługi okrętów podwodnych i podchodził do tej sytuacji z pewną niechęcią. Gdyby to pismo nadeszło kilka dni wcześniej, Byron spakowałby się i wyruszył zaraz o świcie. Ale przewidziana była jeszcze jedna podróż kurierska do Marsylii, więc postanowił tam jeszcze raz pojechać w nadziei, że spotka się z konsulem generalnym Gaitherem. Ten Joe Schwartz chyba wiedział, co mówi.

`ty

42

`ty

Mistrz hydraulik Jicchok Mendelson był właścicielem budynku i mieszkania,

w którym zadekowana została Natalia z dzieckiem i stryjem. Żyd z Polski, Mendelson przybył do Marsylii w latach 1920-tych i wiodło mu się tu znakomicie. Jego firma obsługiwała budynki zarządu miasta; doskonale mówił po francusku; do jego znajomych należeli sędziowie, naczelnicy policji, bankierzy i co ważniejsi przestępcy. Rabinowicz uświadomił więc Natalii, że Mendelson nie należy do ruchu oporu i że nocujący u niego Żydzi, którzy śpią w salonie albo byle jak na podłodze, to nie działacze podziemia, których by poszukiwało Gestapo lub francuska policja; tylko godni współczucia, nieszkodliwi zbiegowie, tacy jak Jastrow i Natalia, nie mający właściwych dokumentów, aby móc legalnie zamieszkać w Marsylii albo wyjechać z Francji.

Mieszkanie było olbrzymie, gdyż Mendelson powyburzał ściany i połączył kilka lokali, aby utworzyć ten labirynt nor, gdzie Louis co chwila gubił się w mrocznych korytarzach z rozbrykanymi dziećmi, przekrzykującymi się po żydowsku. Mieszkały tam jeszcze dwie młode rodziny, uciekinierzy będący krewnymi Mendelsona. Natalia z trudem odróżniała, kto tu mieszka przejściowo, a kto na stałe, ale właściwie to nie odgrywało roli. Wspólnym językiem w tym mieszkaniu był polski jidysz; zresztą sam hydraulik szczycił się powieścią historyczną, którą napisał był w jidysz za czasów swej młodości, spędzonej w Warszawie, a której bohaterem był fałszywy mesjasz Szabtaj Cwi. Najwidoczniej zapłacił za jej przetłumaczenie na francuski, bo żółto oprawne egzemplarze *Le Faux Messie* pokrywały ściany pokoiku, gdzie mieszkali obecnie Jastrow, Natalia i Louis. Kartkując ten przekład, Natalia stwierdziła, że to zupełna brednia, chociaż nie najgorsza jak na hydraulika. Aaron, ze swoją nienaganną znajomością jidysz, oczywiście czuł się u Mendelsonów jak w domu; a jako *der grojser schriftszfeler* cieszył się z miejsca szacunkiem. Louis miał istny tłum dzieci do zabaw, Natalia jakoś radziła sobie ze swoim zardzewiałym jidysz i w sumie było to serdeczne, hałaśliwe i swojskie środowisko. Była wdzięczna Pascalowi Gaffori, że to on, kiedy się nad tym zastanowić, wypędził ją do tej małej żydowskiej oazy w Marsylii, aby tam czekała na odzyskanie wolności.

Z początku nie miała tego poczucia. Trzeciej nocy po ich sprowadzeniu się policja przeczesiała sąsiedztwo, aby wyłapać obcych Żydów. Ostrzeżony przez wysoko postawionych przyjaciół Mendelson uprzedził tylu Żydów, ilu tylko mógł; i zapewnił Natalię i Aarona, że do jego domu nikt nie wejdzie. Kiedy o północy usłyszała podekscytowany gwar w pokojach od frontu, zerwała się z łóżka i wyszła popatrzeć. Zerkając razem z innymi przez firanki, zobaczyła dwa policyjne wozy w otoczeniu posłusznego tłumu, całkiem jakby gapiów przy wypadku, z tą różnicą, że nieśli walizki i znajdowały się wśród nich małe dzieci. Pod okiem kilku żandarmów wszyscy najspokojniej załadowali się do samochodów. Dziwnym szczegółem były tylko wyglądające niektórym spod płaszców tu falbanki koszuli nocnej, tam nogawki piżamy albo i gołe stopy. Mendelson miał rację, policja w ogóle nie weszła do jego domu. Samochody odjechały, zostawiając za sobą pustą, niebiesko oświetloną ulicę i wystraszoną Natalię.

Ożywiła się nazajutrz, kiedy przyszedł Rabinowicz z wieścią, że za dzień czy dwa można się spodziewać powrotu amerykańskiego konsula generalnego z Vichy. Jim Gaither był człowiekiem słownym, zapewnił Palestyńczyk, przyzwoitym, oficerem kontraktowym, zaopatrzoną w pieniądze i upoważnienie do porozumiewania się z ruchem oporu. Od czasu, gdy objął konsulat, udzielono wiz setkom ludzi, którym inaczej nie pozwolono by wyjechać. Pełen podziwu dla Żydowskiego Jezusa, Gaither osobiście zajmował się dokumentacją sprawy Jastrow-Henry, aby nie ryzykować przecieku. Nikt inny w konsulacie w ogóle o tym nie wiedział. Gdy tylko Gaither powróci, mogą liczyć na rychły wyjazd.

Mniej optymistycznie wypowiadał się Rabinowicz w sprawie rodziny Castelnuovo. Uparty doktor pertraktował o przejazd do Algieru bezpośrednio

z tymi zbirami z Bastii, którzy ich przeprawili z Elby. Rabinowicz uważał, że typki te nie zasługują na zaufanie, nawet mogą być niebezpieczni, chyba że mają do czynienia ze starym Gafforim. Chciał, żeby państwo Castelnuovo zostali, gdzie są, póki nie otworzy się jakaś pewniejsza droga. Korsyka to dobre schronienie, nie brakuje tam jedzenia i picia. Niestety Castelnuovo popadł już w obsesję wyjazdu. - Całe szczęście, że na razie te łotry chcą za przejazd więcej pieniędzy, niż on posiada - rzekł Rabinowicz. - Więc może się stamtąd nie ruszy. Mam nadzieję.

`cp2

Kiedy Byron przybył do Marsylii z kolejną torbą dla Sama Jonesa, wicekonsul powiedział mu, że Gaither wrócił; i że usłyszawszy nazwisko i stopień oficera mającego przyjechać kuriera z Gibraltaru krzyknął: - Hurra!

- Ma się pan natychmiast do niego zgłosić. Pierwsze piętro. Zobacz pan wywieszkę - rzekł Jones. - Użył zwrotu: koniecznie. Czy to stary przyjaciel waszej rodziny, czy co?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekł Byron z dezynwolturą tak sztuczną, jaka mu się w życiu nie przydarzyła. - Proszę go zawiadomić, że już idę. - Wbiegł skacząc po schodach na pierwsze piętro.

- No! - zawołał konsul generalny, wstając i wyciągając do niego dłoń przez biurko. - Otóż i d'Artagnan! - W żółtym swetrze i szarych spodniach wyglądał na starego, zawodowego tenisistę: szczupły, żylasty, ogorzały, o prostych i krótko ostrzyżonych białych włosach.

Byron wyrzucił z siebie: - Gdzie oni są?

- Co? Siadaj pan. - Konsul roześmiał się, słysząc to porywcze pytanie. - Są na Korsyce. A przynajmniej byli tam ostatnim razem, kiedy o nich słyszałem. Cała trójka czuje się wyśmienicie. Jak pan to zrobił, u diabła?

- Na Korsyce! - Byrona aż zatkało. - Na Korsyce! Boże wszechmogący, tak blisko! Jak mogę się tam przedostać? Czy chodzi jakiś statek? Samolot?

Gaither znów się bardzo sympatycznie roześmiał. - Spokojnie, młody człowieku.

- Czują się wyśmienicie? Pan ich widział?

- Kontaktowałem się. U nich wszystko w porządku. Żaden samolot nie lata na Korsykę. Statek kursuje trzy razy na tydzień, a przejazd trwa jedenaście godzin. Wyjeżdżają za kilka dni do Lizbony, poruczniku, i...

- Wyjeżdżają? Ależ to cudownie, Sir. Jest pan pewien? Mam rozkaz powrotu do Stanów. Czeka mnie tam priorytetowe zajęcie, więc może będę mógł ich zabrać ze sobą.

- Może. - Gaither z uśmiechem potrząsnął głową. - Z pana jest energiczny facet. Pan służy na okrętach podwodnych? A skąd się pan wzięł w Gibraltarze?

- Czy mógłbym do nich zadzwonić? Czy z Korsyki jest połączenie telefoniczne?

- Nie radziłbym. - Gaither odchylił się na oparcie fotela, uszczypnął się w dolną wargę. - Słuchaj pan, Sam Jones ma dla pana pilną robotę. Jeszcze dzisiejszej nocy musi pan wracać na Gibraltar. Sam przywiezie pana do mnie na kolację około szóstej. Zgoda? Utniemy sobie dłuższą rozmowę. Powtarzam, czują się dobrze, po prostu świetnie, i za kilka dni wydostaną się stąd. Nawiasem mówiąc, Sam Jones nic o tym nie wie. I nikt inny. Niech tak pozostanie.

Byron złapał go impulsywnie za dłoń. - Dziękuję.

- W porządku. Tylko spokojnie. Proszę zachować cierpliwość.

Jones dał Byronowi dwie zapieczętowane koperty, które miał osobiście doręczyć pod jakiś adres. Milczący, blady jak duch młodzieniec w podartym swetrze powiózł go wzdłuż wybrzeża starą taksówką, ciągle spoglądając w tylne lustro. Jazda trwała przeszło godzinę i zakończyła się

podskakiwaniem na wyboistej drodze, prowadzącej do małej willi z widokiem na spokojne, błękitne morze, prawie ukrytej w rozrośniętych krzakach i pnączach. Jakaś kobieta ostrożnie uchyliła drzwi, kiedy Byron zapukał. Za nią dojrzał wysokiego, wąsatego mężczyznę, który bacznie wpatrywał się w drzwi, trzymając ręce w kieszeniach czerwonego szlafroka. Więc dokładnie obejrzał sobie generała Henri Giraud; choć dopiero po długim czasie trafił w starym numerze tygodnika Life na ilustrowaną relację z Konferencji w Casablance i uświadomił sobie, czego dotyczyła jego kurierska misja i kim był ten człowiek. Minęła piąta, kiedy wrócił do konsulatu. Sam Jones powiedział, trąc sobie oczy i ziewając: - Jest pan gotów jechać do szefa? On już czeka, żeby poczęstować pana kolacją.

`cp2

Natalia do piątkowej kolacji ubrała się w białą sukienkę, Louisa zaś wystroiła w najczystsze z jego koszul i sweterków. Zapowiedział się na nią Rabinowicz, a potem mieli udać się do jego mieszkania na Starym Mieście. Sama to jak najbardziej niewinnie zaproponowała podczas ich ostatniej pogawędki w hałaśliwym salonie. Chciała побыć z nim sam na sam, porozmawiać spokojnie i bez pośpiechu. Jednak ostatnim razem, kiedy wprosiła się do mieszkania mężczyzny, wynikł z tego jej romans ze Slotem: i ta spóźniona myśl ją trochę dręczyła. W nagłym odruchu przypięła sobie do sukienki broszkę z fioletowych kamieni, którą Byron jej podarował w Warszawie.

Tego wieczora zrobiła coś, czego nie uczyniła przedtem nigdy w życiu: zapaliła świece szabatowe. Wydało jej się grzeczniejsze uczynić to niż odmówić, kiedy pani Mendelsonowa, zażywna, bez ustanku zajęta, bez ustanku wesola, rumiana jejmość przyszła powiedzieć jej, że świece są gotowe. Umyte i wystrojone dzieci zgromadziły się wokół swych matek przy długim stole, gdzie na świeżym białym obrusie stało osiem lichtarzy. Przykrywszy sobie głowę chustą, przytykając zapałkę do dwóch tanich, pryskających świeczek i jakając hebrajskie błogosławieństwo, podczas gdy Louis przyglądał się jej wielkimi oczyma, Natalia poczuła się całkiem osobliwie. Mendelsonowa szturchnęła ją łokciem i dobrodusznie a żartobliwie powiedziała do innych: - Zejt, zi wert baj undz a gance rebicin. - (Patrzcie, robi się z niej u nas cała rabinowa.) Natalia zakłopotana roześmiała się razem z innymi.

Kiedy karmiono dzieci, przyszedł Rabinowicz. Przekrzykując piskliwy zgiełek powiedział:

- Wrócił Jim Gaither. Rozminęliśmy się w konsulacie, ale jutro do niego pójdę. Jaka ładna broszka.

Gdy dzieci wyroiły się z jadalni, dorośli zebrali się przy ponownie nakrytym stole. Rabinowicz właśnie sadowił się obok Natalii, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Mendelson poszedł otworzyć. Wróciwszy klepnął Rabinowicza po ramieniu i Rabinowicz bez słowa wstał i wyszedł. Miał zwyczaj pojawiać się i znikać jak duch, czego nikt nie komentował. Krzesło obok Natalii zostało puste. Dwanaście osób, w tym kilkoro wygłodniałych, nowych przybyszów, rzuciło się na posiłek. Cała żywność najwyraźniej pochodziła z czarnego rynku: pieczona ryba, zupa rybna i gotowane kurczęta, których kości tylko trzaskały w zębach przejezdnych. Krażyły brązowe butelki ognistej wódki z ziemniaków i Aaron Jastrow wypił jej ponad swoją miarę.

Od chwili przybycia Aaron zwykł rozprawiać przy stole, zaćmiewając nawet Mendelsona. Dzisiaj był w dobrej formie. Pojawił się temat ofiary Izaaka, gdyż o tym było czytanie Tory na ten szabat. Mendelson miał wyzywająco bezbożnego zięcia imieniem Welwet, swego współnika w przedsiębiorstwie hydraulicznym, który wyróżniał się bujną, rudą czupryną i apodyktycznymi przekonaniem. Welwet stwierdził, że ta opowieść demaskuje żydowskiego Boga jako fikcyjnego, azjatyckiego despotę, autora zaś jako dzikusa z epoki brązu. Aaron chłodno osadził Welwla. - Czy nie rozumiesz, Welwet, że to

jest opowieść o Abrahamie, nie o Bogu? Potrafił to zrozumieć nawet taki goj jak Kierkegaard. Przeczytaj sobie kiedyś Strach i drżenie. Za czasów praojca Abrahama ludzie palili dzieci na ofiarę swym bogom. Archeologia to potwierdza. Owszem, Abraham sięgnął po nóż. A dlaczego? Żeby raz na zawsze pokazać, że nie mniej poważa Boga niż poganie swoich krwawych bożków. Zaufał Bogu, że każe mu się wyrzec noża, zanim by skrzywdził chłopca. Oto cały morał z tej opowieści.

- Coś pięknego - rzekł Mendelson, poprawiając sobie dużą czarną jarmułkę na białych włosach. - To piękna wykładnia. Muszę przeczytać Kierkegarda.

- A przypuścimy - odburknał Welwet - że Bóg nie kazałby staremu fanatykowi rzucić noża?

- Wtedy Biblia skończyłaby się na dwudziestym drugim rozdziale Księgi Rodzaju - odparł z uśmiechem Aaron. - Nie byłoby narodu żydowskiego ani chrześcijaństwa, ani współczesnego nam świata. Całopalenie dziatwy mogłoby trwać do dzisiaj. Ale widzisz: on kazał mu rzucić nóż. Cywilizacja zachodnia obraca się wokół tego prostego faktu. Bóg chce naszej miłości, a nie popiołów naszych dzieci.

- Cóż to za przygnębiająca rozmowa - odezwała się pani Mendelsonowa, zrywając się, aby uprzątnąć ze stołu. - Palenie dzieci, zarzynanie chłopca! Fe! Welwet, zagraj coś radosnego.

Welwet sięgnął po gitarę i zagrał szabatowy hymn Jah ribon, i wszyscy go zaśpiewali. Nawet i Natalia wiedziała, że gra na tym instrumencie narusza zasady ortodoksji. W domu Mendelsona wszystko było niezwykle. Kobiety sprzątnęły ze stołu i podały herbatę z niewyszukanym ciastem, śpiewający rozbawili się przy piosence o rabinie, który całkiem jak stary Król Cole posyłał po skrzypków, doboszy, flecistów i tak dalej. Natalia przyłączyła się w kuchni do kobiet, żeby pozmywać talerze i garnki, zanim wyłącza elektryczność. W jadalni Welwet zaczął grać starą kołysankę Rożinkes mit mandlen: Rodzynki z migdałami. Przyszedł czas na solo Aarona; szczylił się on tym, że pamięta wszystkie jej zwrotki po żydowsku. Przy cichym wtórze gitary Aaron zaśpiewał czepiający się pamięci zabawny refren, który odezwał w sercu Natalii przemożnym echem z lat dziecięcych:

Pod kołyską twą, Żydziatko me, Ď Biała kózka stoi, sianko je, Ď Handlować wybrała się z nami. Ď To twój fach, z tego żyj: Ď Rodzynki z migdałami! Ď Śpij, Żydziatko me, śpij. Ď

Usłyszała, jak drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Awram Rabinowicz stanął we drzwiach kuchni, blady i uśmiechnięty. - Natalio? - podeszła do drzwi, wycierając sobie dłonie w fartuch. W przedpokoju, gdzie snuły się rozkoszne zapachy potraw szabatowych, przyćmione światło z kinkietu na ścianie padało z ukosa na Byrona w szarym deszczowcu, stojącego z dużą walizką w jednej ręce i ze skórzaną torbą w drugiej. Pod Natalią omal nogi się nie ugięły. Z wyglądu był bardzo zmieniony, ale na pewno on.

- Hi, kochanie - rzekł Byron.

`nv

`ty

43

`ty

`ty

Globalne Waterloo

2: Pochodnia

(z Całopalenia świata Armina von Roon)

`ty

Operacja "Pochodnia" w Afryce Południowej była ze strony anglo-amerykańskiej gestem, mającym udobroczyć Stalina. Od chwili, gdy zaatakowaliśmy Związek Radziecki, dopominał się on u Brytyjczyków, aby "utworzyli natychmiast drugi front w Europie". Żądanie to było pustym dźwiękiem i Stalin wiedział o tym. Brytyjczycy byli na to za słabi.

Ale skoro już Japończycy dali się wciągnąć w atak na Pearl Harbor, umożliwiając Rooseveltowi ochocze rzucenie się w wojnę światową, Stalin zaczął się tego głośno domagać. Nietknięta federacja amerykańska, usadowiona w dobrobycie i szczęściu poza zasięgiem bombowców, mogła wystawić dziesięć milionów żołnierzy. Jej możliwości przemysłowe, co się tyczy produkcji wyposażenia wojennego, były kolosalne, a Związek Radziecki znajdował się w ciężkiej sytuacji.

Jednakże wojowniczy prezydent miał dopiero na wpół wyszkoloną i rosnącą armię zielonych rekrutów pod dowództwem jeszcze nie ostrzelanej kadry oficerskiej. Morale cywilnej ludności było chwiejne. Łagodne rozporządzenia o racjonowaniu już wywołały jęki protestu; ograniczenia, które my Niemcy od lat uważaliśmy za naturalne, rozpieszczonym Amerykanom wydawały się końcem świata. Co gorsza - a była to rzecz podstawowa i Roosevelt o tym wiedział - jak Włosi, tak i Amerykanie nie byli w stanie pogodzić się z poważniejszymi stratami w bitwie. Ten fakt decydował o wszystkich decyzjach wojennych Franklina Roosevelta, nie wyłączając lądowania w Afryce Północnej.

Roosevelt rozwiązywał swe problemy w sposób, który da się ująć bardzo prosto. Stany Zjednoczone zdobyły panowanie nad światem trzymając się podwójnej formuły:

1. Najpierw Niemcy.
2. Przelewać krew Niemców przelewając cudzą krew zamiast własnej.

W jaki sposób Roosevelt to robił, będzie przedmiotem długich badań historyków od polityki i wojskowości.

`ty

Roosevelt w kłopotach

`ty

Naród Roosevelta nie podzielał jego zasady "Najpierw Niemcy". Amerykanie chcieli pomścić Pearl Harbor. Kiedy żołci napastnicy zdobyli wyspę Wake na Filipinach, wściekłość narodowa Amerykanów sięgnęła szczytu. Wsadzono do obozów koncentracyjnych tysiące Amerykanów pochodzenia japońskiego, tak samo jak Niemcy robili to z Żydami i dokładnie z tych samych przyczyn: bo stanowili oni zagrożenie w czasach wojny. Płaczliwe oburzenie, z jakim Roosevelt piętnował nasze środki bezpieczeństwa w stosunku do Żydów, w tej kwestii nie dało się zauważyć.

Przypisek tłumacza: Histeria wojenna sprawiła, że Nisei zostali ohydnie potraktowani. Nie byli jednak masowo mordowani, wszyscy przeżyli wojnę i odzyskali swe własność. Nie sposób tego usprawiedliwić; ale różnicy między jednym a drugim generał von Roon jakby nie zauważa!.

(V.H.)

`cp2

Co więcej, prezydent niebawem przekonał się, że wojna to nie zabawa (Po niemiecku: Krieg ist kein Honiglecken). Nasze U-Booty siały spustoszenie u jego atlantyckich wybrzeży i na Karaibach, a cele im wskazywały rżęsiście oświetlone miasta przybrzeżne. Przerażliwe wołania o broń i działanie waliły się na Roosevelta zewsząd: od wycofujących się obrońców na Filipinach, od wojsk na Hawajach, od przyciśniętych do muru Chińczyków, z walczącej Anglii, od sił brytyjskich w Afryce, Birmie, Australii, Indiach tudzież - najgłośniej i najbardziej nieprzyjemnie - ze Związku Radzieckiego. Tymczasem amerykańska produkcja wojenna jeszcze się nie rozkręciła, a Roosevelt miał do wyposażenia własną armię i flotę. Znalazł się więc w kłopotach.

Mimo to anglo-amerykańskie planowanie musiało zająć się sprawą drugiego frontu. Oficerowie amerykańskiego Sztabu Generalnego, którzy jeszcze nie powąchali prochu, myśleli w kategoriach podręcznikowych: jak najszybciej sforsować wybrzeża Kanału La Manche i ruszyć po równinach północnej Europy

na Berlin. Ale Brytyjczykom ten pomysł nie odpowiadał. Proponowali oni działania w Norwegii, w Afryce Północnej, na Bliskim Wschodzie; czyli wszędzie, tylko nie tam, gdzie byliśmy silni. Niechaj Armia Czerwona wykrusza Wehrmacht; a jeżeli z tego wyniknie słabość Rosji powojennej, to tym lepiej!

Wyniki tego "transatlantyckiego konkursu na wypracowanie" między dwoma sztabami, jak go później nazwano, wahały się tam i z powrotem. Roosevelt pozwalał, aby wymiana listów, memoriałów, wizyty i konferencje ciągnęły się bez końca. Nigdy stanowczo nie poparł amerykańskich propozycji generała Marshalla:

1. Zgromadzenie dużych sił zbrojnych i wyposażenia w Wielkiej Brytanii.
2. Warunkowy plan interwencyjnego lądowania we Francji w 1942 roku, gdyby zapowiadał się upadek Rosji.

3. W przeciwnym razie inwazja na wielką skalę przez Kanał w 1943 roku.

Roosevelt nie dążył do tego, ponieważ coś zupełnie innego mu chodziło po głowie.

`ty

Podstawowy plan wojenny Roosevelta

`ty

Bitwa pod Midway otworzyła mu drogę do zniszczenia Niemiec na swój własny sposób.

Przedtem, gdy odnosząca wszędzie triumfy Japonia zagrażała mu na tyłach, nie mógł uczynić przeciw nam większego posunięcia. Gdyby pod Midway wygrał Yamamoto - jak powinien był wedle wszelkich reguł - opinia publiczna zmusiłaby Roosevelta do pójścia na całość na Pacyfiku. Ale mając już w ręku wielkie zwycięstwo Nimitza i Spruance'a mógł poświęcić swój "puszczański umysł" sprawie zdobycia panowania nad światem kosztem krwi innych narodów. Sprowadzało się to do tego, aby za wszelką cenę utrzymać Związek Radziecki w stanie wojny.

Podstawowy plan Franklina Roosevelta, jak wygrać II wojnę światową, polegał na tym, aby zdobyć Niemcy od tyłu miażdżącą przewagą wojsk rosyjskich. Wszystko inne było rzeczą wtórną. Swoją główną szansę oceniał zimno i prosto. W aspekcie militarnym był to plan jasny i wyborczy; i niestety wybornie się powiódł.

Tym się tłumaczy jego wyprane z sentymentów dysponowanie amerykańskim zaopatrzeniem. Tak skąpił go własnym siłom na Pacyfiku, że ledwie przetrwały zajadłe walki o Guadalcanal, zasypując równocześnie wyposażeniem niewdzięcznych i nigdy nie nasyconych Rosjan przez Zatokę Perską i po szlaku północnym. Obficie też zaopatrywał Brytyjczyków w Egipcie wokół Przylądka Dobrej Nadziei i przez Morze Czerwone, podczas gdy armia Rommla utknęła i sypała się, zaniedbywana przez Hitlera. W ten sposób Roosevelt upewnił się, że gdy jego surowe jeszcze oddziały wylądują we francuskiej Afryce Północnej przy niewielkim oporze sił Vichy, nasz zaprawiony w bojach i brawurowy Afrika-Korps znajdzie się w niekorzystnej sytuacji o trzy tysiące kilometrów stamtąd pod El Alamein.

`ty

Rooseveltowskie intrygi

`ty

W dodatku zręcznie zwał na Brytyjczyków odpowiedzialność za uchylanie się od drugiego frontu we Francji.

Pozwolił odwlekać "transatlantycki konkurs na wypracowanie" tak długo, aż Marshall z Londynu dał mu znać, że obydwie sztaby utknęły w martwym punkcie. Admirał Ernest King już od dawna parł do skierowania wysiłku na Pacyfik; a sfrustrowany i rozwścieczony Marshall, zajadły autokrata w stylu Washingtona, doradzał prezydentowi, że całkowite przestawienie się na

Pacyfik to jedyna możliwa odpowiedź na brytyjski upór.

To właśnie był moment, na który stawiał Roosevelt. W typowy dla siebie wielkopański sposób, ustami swej szarej eminencji Harry'ego Hopkinsa, upomniał swych Szefów Połączonego Sztabu, że niesłuszne byłoby "zabrać swoje szmatki i odejść". Roosevelt lubił maskować swe subtelne machinacje prostymi frazesami. Alianci zachodni w 1942 roku musieli gdzieś powalczyć z Niemcami, aby zachować wiarygodność u Rosjan. Skoro Brytyjczycy naprawdę są tacy ostrożni i nadszarpnięci walką, cóż, w takim razie on łaskawie ustąpi i przyjmie jedną z ich propozycji: dla niego może to być francuska Afryka Północna.

Marshall ostrzegał, że otwarcie frontu na Morzu Śródziemnym oznacza rezygnację z ataku przez Kanał w 1943 roku; ale po żołniersku spełnił polecenie Roosevelta. Tak oto "Pochodnia" weszła w życie jako ustępstwo Roosevelta na rzecz Brytyjczyków, chociaż w istocie on właśnie do tego dążył.

Przypisek tłumacza: Generał von Roon puszcza się tu na czytanie w myślach. Pan Roosevelt, na ile go mogłem obserwować - czasami z bliska - był zręcznym improwizatorem, rozwiązującym problemy z dnia na dzień w oparciu o zdrowy rozsądek, a także o dobre pojmowanie wydarzeń historycznych i granic logistyki. Na dalszą metę był dostatecznie bystry, aby polegać na dalekosiężnych umysłach, takich jak Marshall i King, co było wystarczające.

(V.H.)

`cp2

Churchill wziął na siebie odpowiedzialność za przekazanie Stalinowi złych wiadomości, jako że Roosevelt na pozór "ustąpił" mu, kierując armię amerykańską do operacji, która nie mogła się nie powieść. Francuska Afryka Północna była miejscem najbardziej podatnym. Inwazji nie stawił czoła ani jeden żołnierz niemiecki. Była ona poza zasięgiem Luftwaffe. Roosevelt nie musiał liczyć się z niczym groźniejszym niż francuski honneur (który zdołał unieszkodliwić przy pomocy tego arcykolaboranta Darlana) i jakiś kaprys pogody albo przypływu, mogące utopić niektórych z jego żołnierzyków albo przemoczyć im nogi i narazić na zapalenie płuc, kiedy pobrną do brzegu. Inna sprawa, że logistyczne zaplecze floty desantowej było imponujące. Produkcja masowa i organizacja zawsze były i pozostają nadal mocną stroną Amerykanów.

W Moskwie Stalin urządził Churchillowi pokaz furii; ale tak naprawdę wcale się, rzecz jasna, nie wściekał. Wszystko to była polityczna gra na pokaz. Stalin zawsze miał skłonność jowialnie ustępować Rooseveltowi; może dlatego, że jako największy morderca masowy na świecie chylił czoło przed tym mistrzem polityki, który potrafił sprawić, ażeby w rzeziach ktoś inny go wyręczał.

W uroczym fragmencie swej historii Churchill opisał, jak to Stalin, potraktowawszy go z barbarzyńskim chamstwem w czasie długiej konferencji na Kremlu, poprosił go do swego prywatnego apartamentu, kazał przynieść wino i wódki, zaprosił też Mołotowa jako cel żartów i wesoło spożył o północy na przekąskę upieczone w całości prosię; od którego Churchill się wymówił, bo mu głowa pękała z bólu. Ta scena pozostaje w pamięci: jak arcybolszewik raczy się prosięciem, a wiekowego arcyimperialistę mdli z przemęczenia.

Brytyjczycy mądrze zrobili, wykręcając się wtedy od lądowania we Francji. Desant na Dieppe w sierpniu, kiedy to zabiliśmy albo wzięli do niewoli większość kanadyjskich desantowców, daje pojęcie o tym, z jak gorącym powitaniem spotkaliby się Anglo-Amerykanie, a zwłaszcza świeżo upieczeni G.I. Joes, przy próbie lądowania we Francji w 1942, a nawet 1943 roku. Natomiast w Afryce Północnej lądowanie było taką właśnie herbatką, jakiej spodziewał się Roosevelt; przynajmniej do czasu, gdy Rommel po El Alamein

przebył rozległe pustynie i po raz pierwszy dał im posmakować cierpkiego smaku prawdziwej wojny.

Przypisek tłumacza: Roon umyślnie bagatelizuje największy, najtrudniejszy, najbardziej udany dalekosiężny desant morski w historii. Jeżeli wyglądał na tak łatwy, to właśnie dlatego, że go dobrze zaplanowano i dobrze wykonano. A mogła to być gigantyczna klęska jak pod Gallipoli.

(V.H.)

`ty

44

`ty

Rzuciła mu się w ramiona. Dyndająca torba uderzyła ją w biodro. Uderzenie, potężny uścisk, gorący i namiętny pocałunek w usta, wszystko przeszło ledwie zauważone, tak była wstrząśnięta i oszołomiona.

- Gdzie chłopiec? - zapytał Byron.

Wczepiona w jego dłoń, nie mogąc wydobyć głosu, usiłując przelać całą swoją niepojętą miłość w ten uścisk, pociągnęła go obok jadalni w mroczne przedpokoje. W głębi mieszkania odchodziło zbyt kowanie: śmiejący się i krzyżący chłopcy gonili po wielkiej sypialni piszczące dziewczynki. Jedna z dziewczynek siedziała na łóżku, trzymając niemowlę w czystym niebieskim sweterku.

- Tam. To twój syn.

W jadalni wiele głosów połączyło się w chór:

Handlować wybrała się z nami. Ď To twój fach, z tego żyj: Ď Rodzynki z migdałami! Ď Śpij, Żydziatko me, śpij. Ď

Byron stanął wpatrzony w dziecko. Na jego widok dzieci przestały biegać i hałas się uciszył. Zebrawszy całą siłę woli, aby się nie rozplakać, Natalia przemówiła: - No, i co o tym myślisz?

- Chyba podobny do mnie.

- Boże, jeszcze by nie! Cały ty w miniaturze.

- Czy przestraszy się, jeśli go wezmę na ręce?

- Spróbuj!

Wśród milczących teraz dzieci Byron podszedł do niemowlęcia i podniósł je. - Hej, chłopie. Jestem twój tata.

Dziewczynka, która oddała mu dziecko, zmarszczyła się, słysząc angielskie słowa. Louis popatrzył na matkę i na ojca, po czym wziął drobnymi rączkami Byrona za policzki.

- Ciężki dzieciak - powiedział Byron. - Czym go karmiłaś?

- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci opowiedziała. Ośmiornicami. Mięsem kosów. Czym popadło! - Nie uświadamiała sobie, że łyzy jej tryskają z oczu, aż on musnął jej policzki kostkami palców i poczuła wilgotną śliskość. - Bo widzisz, to człowiek wędrowny. Żyje głównie na kozim mleku i serze. Byron, czy on ci się podoba?

- Jest w porządku - powiedział Byron.

Inne dzieci przyglądały się i słuchały prawie bez szeptu czy uśmiechu, z twarzami zamarzniętymi w wyrazie uroczystej ciekawości. A Natalia widziała Byrona jakby ich poważnymi, szeroko rozwartymi oczyma: wysoki, ogorzały goj o twardym obliczu, ubrany po cudzoziemsku, ze skórzaną torbą przykutą do nadgarstka; z wyglądu i mowy nie należący do ich plemienia, ale traktujący jedno z nich po ojcowsku.

- Chodź, musisz się przywitać z Aaronem! A potem pójdziemy do mojego pokoju porozmawiać, o Boże, ile my musimy obgadać! Musisz mi powiedzieć, jak to zrobiłeś, do tej pory tchu nie mogę złapać. - Kiedy brała od niego dziecko, skórzana torba kołysała się między nimi. - Byron, co to takiego?

- O tym ci też opowiem.

Odwiedziny Byrona w jadalni były długotrwałym i burzliwym przeżyciem. Zdumienie lekko pijanego Aarona, jego podekscytowane wyjaśnienia w jidysz:

- Nataljes man fun Amerike, fun amerikaner fłot! - ogólny gwar, ściskanie się za ręce, miejsce przy stole koło Rabinowicza, istna defilada stawianych przed nimi potraw i napojów, gromka pieśń powitalna w jidysz, podczas gdy Byron wmuszał w siebie parę kęsów, na które nie miał ochoty: wszystko to pochłonęło wiele czasu, ale nie ma silnych na żydowską gościnność.

Natalia stała jak ogłuszona we drzwiach, trzymając Louisa. Oto siedzi tam z domownikami Mendelsonów on, Byron Henry, przy stole, gdzie płonie osiem świec szabatowych, z których dwie ona sama zapaliła: najdziwniejszy widok w jej życiu! Chociaż tak nie pasujący do tego miejsca, odpowiada serdecznie na pozdrowienia ze wszystkich stron, które Jastrow mu tłumaczy, a ci ludzie go tak wylewnie akceptują. Ponieważ to jej mąż. Nic więcej nie trzeba. Jest także oficerem floty amerykańskiej. Nieważne, że konsul amerykański odrzucił niektórym podania o wizę. Jak Francuzi, jak większa część Europy, czekają na amerykański kontrakt przeciw Hitlerowi, jak ich wierzący przodkowie czekali na Mesjasza. Nie wyglądali też na zdziwionych, że Byron tak pojawił się, jak grom z jasnego nieba. Amerykanie to nadludzie. I zresztą niezwykle wypadki były dla nich sprawą codzienną; życie pograżyło się w chaosie i żadne wydarzenie dla tych ludzi nie było znów o tyle dziwniejsze od innych.

Głęboko ją przejął kontrast między Rabinowiczem a Byronem, kiedy tak siedzieli jeden przy drugim w blasku świec, bo wyłączono już elektryczność. Krępy i blade Palestyńczyk, zgarbiony, którego twarz była mieszaniną zmęczenia, smutku i stanowczości, należał do innego plemienia niż Byron. Jej mąż miał tę jasno patrzącą, naiwną pewność siebie Amerykanina. Co prawda na jego twarzy widniały nowe piętna doświadczeń, o których przyjdzie się jej dowiadywać, ale i tak Byron Henry, choćby dożył dziewięćdziesięciu lat i choćby wszystkie te lata były ciężkie, nigdy nie będzie wyglądał jak Awram Rabinowicz.

- Przepraszam, już pójdę. - Byron wstał. Dali mu odejść, hałaśliwie życząc dobrej nocy. Z Louisem na rękę poprowadziła go do pokoiku, wyłożonego żółtymi książkami. Tam pani Mendelsonowa, przy świetle wysokiej świecy palącej się na toaletce, zabierała z szafy piżamę i szlafrok Aarona. Podwójne łóżko, w którym Aaron zwykł sypiać, zostało świeżo posłane. Składane łóżko Natalii usunięto. - Twój stryj będzie spał gdzie indziej, spokojnego szabat, dobranoc - zagadała w jidysz i wyszła, nie zostawiając Natalii czasu na uśmiech, rumieniec ani podziękowanie.

- Nie zrozumiałem ani słowa - rzekł Byron - ale to zacna kobieta. Jak się zabezpiecza te drzwi?

- Na dwie zasuwki - niepewnie rzekła Natalia, układając ziewającego Louisa w kołysce.

- Dobrze, to je zamknij. - Odpiął sobie kluczem łańcuch z nadgarstka i położył torbę na krześle. - Na razie jestem kurierem dyplomatycznym, Natalio. To moja przesyłka i tak się tutaj dostałem. Mam kwaterę na pływającej bazie okrętów podwodnych w Gibraltarze. Przebywam tam od sierpnia.

- Ale jak to załatwiłeś? I jak mnie znalazłeś? I... och, kochanie... - Będzie i na to czas. - Zgarnął ją w objęcia.

Poddała się jego potężnemu uściskowi, jego pocałunkom, starając się mu przypodobać, jakkolwiek oszołomiona. Pomyślała o wstrętnej bieliźnie, którą mógłby dojrzeć, gdyby teraz się w pośpiechu zaczęli kochać; gruba szara bawełna, zdatna dla jakiejś maciory, nic lepszego nie było w Sienie. Ciągle przechowywała swoją śliczną bieliznę z Lizbony, ale jakże go powstrzyma, żeby się przebrać? Natalia położyłaby się nago, z miejsca, na wytartym dywanie, zalewały ją podziw i wdzięczność, tylko nie była w stanie czuć podniecenia. Wpadł z powrotem w jej życie jak pocisk armatni.

Jego pocałunki raptem ustały, uścisk się rozluźnił. - Natalio, dziecko się nam przygląda.

Louis rzeczywiście wstał i trzymał się za poręcz kołyski, przypatrując się im z ożywieniem.

- Och, nie szkodzi, on ma tylko roczek - wymamrotała. - Jest po prostu ciekawski jak myszka.

- Myszka, diabła tam. Wygląda, jakby robił notatki.

Natalia nie mogła się powstrzymać od chichotu. - Może i robi, skarbie. Wiesz, kiedyś przyjdzie i na niego kolej.

- Słowo daję, że mnie to krępuje - rzekł Byron i puścił ją. - To śmieszne, ale tak jest. Ten dzieciak ma oczy całkiem jak dorosły.

- A właściwie, kochany - powiedziała Natalia starając się, żeby w jej głosie nie dała się słyszeć głęboka ulga - może bym go umyła do snu? Nie miałbyś nic przeciwko temu? Porozmawialibyśmy, a ja troszkę bym do ciebie przywykła.

- Owszem, możesz to zrobić. To lepsze niż mój pomysł, który był taki, żeby przykryć tę kołyskę, niby klatkę z papugą.

- Powinno cię to upewnić, najdroższy - zachichotała. - Żarty Byrona ja zawsze bawiły, a nerwy miała teraz napięte jak struny. - Jak widzisz, ta sytuacja jest dla niego zupełną nowością.

- Domyślam się. Czy to prawda, że umie chodzić i mówić?

Wyjęła go z kołyski i postawiła na podłodze. Louis podreptał kilka kroków, patrząc na Byrona, czy go za to pochwali; widać rozsmakował się w pochwałach.

- Dobra robota, pędraku. A teraz coś powiedz.

- Och, nie zrozumiałbyś go. - Chwyliła Louisa na ręce i rozebrawszy zaczęła go myć nad zlewem w kącie pokoju. - On paple mieszaniną jidysz, włoskiego i francuskiego.

- Chciałbym to usłyszeć.

Odezwała się, zerknąwszy na niego z ukosa: - Widać, że jesteś w doskonałej kondycji.

- A ty ogromnie wypiękniałaś.

Słodkie ciepło rozeszło się jej po ciele. - A twój ojciec, a Warren? Czy masz od nich wiadomości? Czy z nimi wszystko w porządku?

- Warren? Jak to? Więc Czerwony Krzyż nie przekazywał ci moich listów? Słote wie o Warrenie, bo go zawiadomiłem.

Jego szorstki ton sprawił, że spojrzała na niego z przestrawieniem. - Ostatni list od ciebie dostałam w maju.

- Warren nie żyje. Zginał w bitwie o Midway.

- Och! Och, kochanie...

- Został odznaczony pośmiertnie Krzyżem Floty. - Spojrzawszy na zegarek, Byron zaczął chodzić tam i z powrotem po ciasnym pokoiku. - Słuchaj, Natalio, pociąg do Barcelony odchodzi o północy. Za cztery i pół godziny. Może lepiej zacznij się pakować. Nie musisz ze sobą dużo zabierać. W Lizbonie ciągle jeszcze można zrobić dobre zakupy.

Odparła w oszołomieniu: - Pakować się?

- Aaron będzie musiał poczekać, aż konsul generalny mu wszystko załatwi, ale ciebie i dziecko zabieram ze sobą.

- Co takiego? Czy konsul powiedział, że możesz to zrobić?

- Pójdziemy do niego.

`cp2

Jak mieszkańców państwa Mendelson, tak i Gaithera trudno było zaskoczyć. Marsylia w czasie wojny była takim bulgoczącym kotłem politycznych gier na dwa fronty, korupcji, krzyżówek rasowych i narodowych, cierpień i tragedii uchodźców oraz śródziemnomorskich szwindlów, datujących się od czasu Fenicjan, że w zestawieniu z codzienną robotą Jamesa Gatheira bladły wszelkie melodramaty i powieści szpiegowskie. A to były tylko jego legalne zajęcia. W zakresie potajemnych kontaktów z grupami oporu doświadczenia

jego pasowałyby do tandetnego filmu; i to niezbyt efektownego, ponieważ do akcji nigdy nie wkraczały uwodzicielskie piękności. W sumie przez te dwa lata, które spędził w Marsylii, napatrzył się - jak zwykł mawiać - mniej więcej wszystkiego.

Ale i tak dzieje Byrona Henry były czymś nowym, więc spisywał je w swym dzienniku, ubrany w piżamę i szlafrok, kiedy zapukano do drzwi. Stał w nich porucznik Henry z torbą pod pachą.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, Sir.

- Znowu pan?

- Sir, moja żona i dziecko są na dole.

- Co takiego! W nocy, bez dokumentów?

- Jest z nimi Rabinowicz. - Spojrzawszy na nogawki piżamy, wystające konsulowi spod szlafroka, Byron powiedział: - Proszę mi wybaczyć to najście, Sir.

- Mniejsza o to. Niech wszyscy tu wejdą, prędko.

Pani Henry weszła z dzieckiem na rękę, przesyłając mu słodki, lękliwy uśmiech. Chociaż nędznie ubrana i z byle jak uczesаныmi włosami, cała w nerwach i zaniedbana, jedno spojrzenie na nią pozwoliło mu łatwiej zrozumieć romantyczny wyczyn podwodniaka. Dla takiej człowiek rzeczywiście może objechać świat w kółko! W jej ramionach śliczne niemowlę jak dziecięca kopia porucznika. Awram Rabinowicz wczłapał za panią Henry, z wyglądu niezwykle przybity i zatroskany.

Byron jeszcze wyjaśniał swój plan, kiedy Gaither zaczął się zastanawiać, jak najskuteczniej go utracić. Był to straszliwy pomysł, pochopny i nadzwyczaj niebezpieczny. Ale kiedy Natalia Henry siedziała tu z dzieckiem w ramionach, mógł zrozumieć porywczosć młodego męża. Tylko spokojnie, pomyślał. - Poruczniku, charge-d'affaires w Vichy już ma wizy wyjazdowe. Właśnie dzisiaj dostałem teleks, który to potwierdza. Dostaniemy je lada dzień. Może nawet jutro.

- Owszem, Sir, mówił mi to pan przy kolacji. Ale zastanowiłem się i nie widzę powodu, dla którego nie miałbym już teraz wziąć żony i dziecka ze sobą. Chodzi o to, że chyba mógłbym je zabrać samolotem do Stanów.

Małżonka odchrząknęła i odezwała się czarującym, matowym głosem: - On jest dobry w tych sprawach.

- Nie wątpię, pani Henry, ale i tak pozostaje problem z przekroczeniem granicy.

Byron siedział obok żony na kanapie, spięty, wyprężony, lecz opanowany. - Sir, wystarczy, że mignę swoim dyplomatycznym paszportem. On przez czerwoną wstążkę imigracji przechodzi jak gorący nóż przez masło. Sam pan o tym wie.

- Nie zawsze. A jeżeli traficie na wrednego inspektora francuskiej straży pogranicznej albo na niemieckiego agenta? Mnie się to zdarzyło. Jednych i drugich nie brakuje na tej linii kolejowej. Pan ma swoją wizę tranzytową. Pańska żona i dziecko nie mają niczego.

- Będę miał wytłumaczenie.

- Co za wytłumaczenie?

- Dziecko pochorowało się ciężko w Gibraltarze. Czym prędzej przywieźliśmy je nocą do Marsylii. Nie troszczyliśmy się o wizy. Będę mówił łamaną francuszczyzną. Będę wrzeszczał. Jak to zwykle tępy, rozgniewany urzędnik amerykański. Postaram się, żeby to przeszło, zaręczam panu.

- Przecież oni nie mają w paszporcie stempli z Gibraltaru ani francuskich stempli, tylko włoskie sprzed miesiąca.

- Sir, wszystkie te bzdury nie będą miały znaczenia, obiecuję to panu. Poradzę sobie.

- Poza tym na nieszczęście dla pańskiego wytłumaczenia, poruczniku, w życiu nie widziałem zdrowszego dziecka. Po prostu kwitnie.

Na kolanach Natalii Louis ziewnął jak aligator. Rzeczywiście miał wspaniałą cerę, a jego mrugające oczy były czyste i pełne blasku.

- Mogła to być ślepa kiszka czy coś w tym rodzaju, po prostu fałszywy alarm.

Gaither zwrócił się do Natalii: - Czy pani byłaby gotowa obstawać przy tego rodzaju wyjaśnieniach?

Byron czym prędzej włączył się, kiedy ona się zawahała: - Zanim dojedziemy do Perpignan, będziemy to wszystko mieli przerobione i wkuće na pamięć. Proszę się o to nie martwić, Sir.

Gaither podszedł do telefonu i wezwał samochód konsularny z kierowcą. - Może dla wszystkich po drinku? - zapytał. - Noc jest zimna.

Byron odpowiedział: - Dziękuję, ale powinniśmy zachować pełną jasność myślenia.

- Ja się napiję - powiedziała Natalia. - Dziękuję.

- Ja też - włączył się Rabinowicz.

Gaither przyrządził trunki, wciąż się zastanawiając. Tylko spokojnie. Chodząc tam i z powrotem po pokoju ze szklanką whisky w dłoni, z potargana białą czupryną, zawijając połami szlafroka, odezwał się: - Poruczniku, chciałbym powiedzieć coś bez ogródek pańskiej małżonce.

- Proszę bardzo, Sir.

- Pani Henry, jak już powiedziałem, w pociągach i na granicy są agenci Gestapo. Kiedy się znajdują w pociągu, robią, co tylko zechcą. Nie dbają o żadne przepisy. Rabinowicz wie o tym. Całkiem możliwe, że małżonek potrafi was przewieźć. Oczywiście jest, że to człowiek zaradny. Ale z drugiej strony Gestapo ma wyczulony węch na nielegalnie podróżujących Żydów. Ci agenci to ludzie twardzi i okrutni. Mogą zdjąć was z pociągu.

- Nie zdejma - przerwał mu Byron - a gdyby tak się stało, ja pójdę z nimi.

- W tym wypadku - Gaither dalej przemawiał do Natalii, jak gdyby Byron w ogóle się nie odezwał - kiedy pani będzie przesłuchiwana, mogą pani odebrać dziecko. Niemcy tak właśnie robią. - Widząc, że po twarzy jej przebiegł wyraz przerażenia, Gaither dodał: - Nie mówię, że tak będzie. Ale może się zdarzyć. Tego nie można wykluczyć. Jeżeli to zrobią, czy potrafi pani obstawać przy zmyślonej historii? - Siedziała w milczeniu i oczy jej poczerwieniały. Ciągnął: - A kiedy pani i dziecko traficie do aresztu, ja nie będę mógł was obronić. Mamy całą kartotekę spraw tego rodzaju: ludzi zatrzymanych z wątpliwymi dokumentami amerykańskimi. Niektórzy dotąd przebywają w policyjnym areszcie. A kilkoro już - niestety - w Rivesaltes.

- Rivesaltes? - Natalia wykrztusiła to słowo w stronę Rabinowicza.

- Francuski obóz koncentracyjny - powiedział.

Byron podniósł się i stanął twarzą w twarz z Gaitherem. - Pan stara się ją zastraszyć.

- Staram się być z nią uczciwy. A pan, młody człowieku? Przewozi pan tajne dokumenty. Kiedy przyłapią pana na tym blefie, Gestapo może stanąć na stanowisku, że jest pan oszustem, skonfiskować torbę i rozpruć ją.

Byronowi twarz zbladła i ściągnęła się. - To całkiem znikome ryzyko - odpowiedział po chwili milczenia. - Jestem gotów je podjąć.

- Pan o tym nie decyduje.

Byron zmienił styl na spokojniejszy, niemal błagalny. - Panie Gaither, pan tylko panikuje. Zapewniam pana, że wszystko pójdzie jak po maśle. Kiedy przekroczy granicę i wydostaniemy się, nikt nie będzie o tym pamiętał. Sam pan będzie śmiać się ze swoich obaw. Podejmiemy to ryzyko.

- Nie podejmie go pan. Jako najwyższy rangą amerykański urzędnik na tym obszarze zmuszony jestem wydać rozkaz, aby pan tego nie robił. Bardzo mi przykro.

- Byron - powiedziała Natalia łamiącym się głosem, z oczyma rozszerzonymi z lęku - to potrwa najwyżej kilka dni. Jedź. Zaczekasz na nas w Lizbonie.

Obrócił się do niej gwałtownie. - Niech to diabli, Natalio, na Morzu Śródziemnym zaraz wybuchnie piekło. Na Gibraltarze już czekają setki

samolotów, skrzydło przy skrzydle. Przy pierwszym objawie, że coś się kroi, oni zamkną granice. - Natalia patrzyła na niego z rozpaczą, jakby w nadziei, że usłyszy coś przekonującego i nic takiego nie słysząc. - Kochanie, na miły Bóg, przejechaliśmy z Krakowa do Warszawy, kiedy wszędzie wokół nas wybuchała wojna, i wtedy ani mrugnąłeś.

- Teraz mamy Louisa.

Byron zwrócił się do Awrama Rabinowicza. - Pan nie sądzi, że nam się uda?

Palestyńczyk, zgarbiony nad papierosem, przekręcił głowę w bok i spojrzał do góry na Byrona. - Pan się mnie pyta?

- Owszem.

- Boję się.

- Pan się boi?

- Mnie już Niemcy zdjęli z tego pociągu do Barcelony.

Byron długo mu się przyglądał. - Chyba dlatego pan mi kazał najpierw przyjść tutaj.

- Owszem, dlatego.

Osuwając się na krzesło, Byron powiedział do Gaithera: - Poproszę o tego drinka, Sir.

- Muszę już iść - odezwał się Rabinowicz i spojrzawszy pośpiesznie ostatni raz w oczy Natalii, pogłaskawszy Louisa po buzi, wyszedł.

Nalewając jeszcze whisky z wodą sodową, Gaither myślał o wstępniaku w Le Cahier Jaune, francuskim piśmie antysemitycznym, które przeglądał, wracając pociągiem z Vichy. Fotografii robiono na francuskiej wystawie rządowej w Paryżu, zatytułowanej Żydowskie cechy i twarze: ogromne gipsowe modele haczykowatych nosów, grubych warg i sterczących uszu. Louis Henry nie pasował do tych opisów; ale gdyby go dostali w łapy inspektorzy francuskiej imigracji albo Gestapo, byłby Żydem tak samo jak jego matka. Gdyby nie to, pani Henry mogłaby się, rzecz jasna, przemknąć przez którykolwiek punkt graniczny, nawet i bez porucznika; piękna kobieta, matka, Amerykanka; normalnie bez żadnej kwestii! Ale Niemcy uczynili w Europie, dla Żydów, z najzwyklejszej podróży takie ryzyko, jak skok z płonącego budynku. Byłe świstek papieru mógł oznaczać życie albo śmierć; Gaither znał Żydów, posiadających ważne paszporty i wizy wyjazdowe, którzy pozostawali we Francji tylko ze strachu przed tym, że na granicy mogliby stanąć twarzą w twarz z Gestapo.

W pokoju zaległa ciężka jak ołów cisza, w której Gaither podawał drinki. Aby rozładować napięcie, opowiedział, jak wyprawiał z Francji tym pociągiem do Barcelony brytyjskich pilotów, udających strażaków i maszynistów. Ale to byli twardziele, wyjaśnił, przeszkoleni w sztuce ucieczki, przygotowani na spotkanie z Gestapo; i nawet im zdarzały się fatalne przypadki. Kiedy przyjechał samochód konsulatu, Gaither znów stał się uosobieniem rzeczowości. Do pociągu została jeszcze godzina, powiedział. Byron zajedzie na dworzec w ciągu dwudziestu minut. Czy chciałby pozostać na trochę sam z rodziną? Kierowca przywiezie bagaż pani Henry; skoro już znalazła się tutaj, niech lepiej zostanie, dopóki nie nadejdą wizy wyjazdowe. On sprowadzi tu rano także Jastrowa i będzie ich miał wszystkich troje na oku, dopóki nie wyjadą do Lizbony. Sam odwiezie ich do granicy albo wyśle kogoś godnego zaufania.

Zaprowadził Byrona i Natalię do małej sypialni, zamknął za nimi drzwi. Nie patrząc na Byrona, Natalia położyła uśpione dziecko na łóżku i przykryła je płaszczem.

- Zaskoczyłaś mnie - odezwał się Byron.

Spojrzała mu w oczy. Stał oparty o framugę drzwi, z rękoma w kieszeniach, założywszy nogę na nogę, w tej samej pozycji, w jakiej zobaczyła go po raz pierwszy, kiedy wyjechała po niego samochodem Jastrowa na jakąś ulicę w Sienie.

- Bardzo się gniewasz.

- Nie, właściwie to nie. On cię nastraszył. Ale sądzę, że by się nam udało. Papierosa?
- Przestałam palić.
- Poznaję tę broszkę.
- Do Warszawy jest jakby milion kilometrów.
- Poczekam na ciebie w Lizbonie, Natalio. Dostałem trzydzieści dni urlopu, więc będę po prostu czekał. Codziennie będę pytał w konsulacie. - Uśmiechnął się z wdziękiem i jakby z daleka. - Nie sądzę, żeby mi się udało wynająć ten apartament dla nowożeńców w Estorilu.
- Spróbuj.
- Dobrze, spróbuję.

To ich sprowadziło na drogę wspomnień. Padło nazwisko Cartera Astera. Byron napomknął, że jest odkomenderowany na Moray i jakie świetne są te nowe okręty podwodne. Natalia starała się, jak mogła, okazać zainteresowanie, odpowiadać, ale nie było życia w tej rozmowie. Nie uczynił gestu, aby wziąć ją w ramiona. Ona zaś lękała się to pierwsza uczynić. Bała się go i wstydziła swego tchórzostwa. Narastało w niej niedobre podejrzenie, że w tym czasie i okolicznościach nie mogło się im zdarzyć nic gorszego niż ten jego wspaniały wyczyn, że ją odszukał. Ale cóż miała poradzić na taki nieszczęsny obrót wydarzeń? Dla Niemców i francuskich agentów z Vichy jej dziecko było Żydem. Tej zgrozy Byron Henry by nie zrozumiał. Ich małżeństwo może rozbić się o tę skałę, ale tak właśnie jest.

- Chyba powinienem się już zbierać - powiedział wreszcie, oschle i chłodno, wstając.

To pobudziło Natalię do reakcji. Podbiegła do niego, chwyciła go w objęcia i zaczęła dziko całować w usta, raz po raz. - Byron, przepraszam cię, przepraszam, nic nie poradzę. Nie mogę postąpić wbrew Gaitherowi. Myślę, że on ma rację. Będę tam za tydzień albo wcześniej. Czekaj na mnie! Przebac mi! Kochaj mnie, na litość Boską! Ja będę cię kochać do śmierci. Czy mi nie ufasz?

Łagodnie oddawał jej pocałunki; i powiedział z tym swoim dziwnym, melancholijnym uśmiechem, tym uśmiechem, który ją pierwszy raz odurzył: - Ależ, Natalio, ty i ja nigdy nie umrzemy. Czy nie wiesz o tym? - Podszedł do łóżka i popatrzył na uśpione, rumiane dziecko. - Bądź zdrow, pędraku. Cieszę się, że na ciebie spojrzalem.

Zeszli oboje do bywalni, uścisnęli sobie dłonie z Gaitherem i poszedł.

`pa

`tc

Część czwarta.Ď

Pug i Rhoda

`tc

`ty

45

`ty

W hełmie i kamizelce ratunkowej Victor Henry stał na lewym skrzydle mostku przyglądając się, jak czerwone pociski smugowe salwy, oddanej z dział jego głównej baterii, lecą w gorącą noc. Ciemna linia nieprzyjacielskich okrętów koło Guadalcanalu zamajaczyła pod osuwającym się z wolna gronem zielonkawobiałych flar, częściowo zakrytych przez dym i bryzgi od dział Northamptona, biorących cel w widły.

- Torpedy!... Torpedy jeden punkt na lewo od dziobu!... Torpedy po lewej burcie, kapitanie, kął dziesięć!

Krzyczeli wartownicy na oku, krzyczeli telefoniści, krzyczeli oficerowie i marynarze na całym mostku. Mimo że Pug miał uszy na wpół ogłuchłe od salw, oczy zaś na wpół ośleplę od płomieni błyskających z luf, słyszał te krzyki i widział zbliżające się ślady torped. Teraz wyszczekał rozkaz: -

Ster mocno na lewo! - (Dziobem do ich torów i mieć nadzieję, że uda się trafić między zęby grzebienia; to już jedyna szansa).

- Ster mocno na lewo, kapitanie. - Odpowiedź sternika była głośna i pewna. - Jest ster mocno na lewo, Sir.

- Dobrze.

Dwie fosforyzujące linie cięły szkliście czarną wodę niemalże dokładnie od dziobu, pod nieznacznym kątem do kursu. Byłoby to o włos! Trzy inne ciężkie krążowniki, już storpedowane, płonęły za rufą jako plamy żółtego ognia pod wysokimi słupami gęstego dymu: Minneapolis, Pensacola i New Orleans. Torpedy roily się wokół siły operacyjnej jak ławica śledzi. Skąd one się biorą, na Boga? Czyżby gromada okrętów podwodnych? Już w ciągu pierwszego kwadransa ta akcja okazała się katastrofą, a gdyby teraz jego własny okręt zatonał... Z przechyłem krążownika dwa zielonkawe ślady znikły, a potem znów pojawiły się, przemknawszy obok głęboko w dole, wprost pod oczyma kapitana. Wszędzie wokół niego zerwały się pomieszane okrzyki. Jezu, ależ to było blisko! Chwycił za krawędź burty. Zaparło mu dech...

Błysk!

Noc eksplodowała pożogą słońca.

`cp2

Nocna operacja 30 listopada 1942 roku, w której Northampton zatonał, zbladła w pamięci. Flota japońska odeszła w przeszłość, a Flota Stanów Zjednoczonych nie ma powodu obchodzić pamięci bitwy koło Tassafaronga, tej głupiej i jałowej klęski.

Stany Zjednoczone wtedy już opanowały Guadalcanal na morzu, w powietrzu i na lądzie. Ażeby zaopatrzyć swój zagłodzony i chory garnizon, japońskie niszczyciele czaiły się u zatoki zwanej Tassafaronga, wyrzucając za burtę metalowe beczki z paliwem i żywnością, a małe jednostki podpływały i wyławiały je. Nie szukały zwady. Lecz na rozkaz Halseya eskadra amerykańskich krążowników przepłynęła tysiąc kilometrów z Nowych Hebrydów na Guadalcanal, ażeby zatrzymać i zatopić nowe, ogromne siły desantowe nieprzyjaciela. Siły takie w rzeczywistości nie istniały. Był to po prostu fantom błędu wywiadowczego.

Dowodzący tą flotyllą kontradmirał przejął ją zaledwie dwa dni wcześniej. Jego siły składały się z rozbitych formacji, z niedobitków licznych bitw morskich o Guadalcanal. Nie znał tego rejonu, a jego okręty nie przeszły wspólnych ćwiczeń. Mimo to, mając przewagę radaru, zaskoczenia i większej siły ognia, jego Siła Operacyjna 67 powinna była unicestwić nieprzyjaciela. Tworzące ją cztery ciężkie krążowniki, jeden lekki krążownik i sześć niszczycieli miały przeciw sobie zaledwie osiem niszczycieli japońskich.

Jednakże plan tej operacji zakładał, że torpedy niszczycieli japońskich, tak jak amerykańskie, mają zasięg dwunastu tysięcy jardów. Tymczasem japońska torpeda mogła przebyć około dwudziestu tysięcy jardów, a na powolnym biegu dwa razy tyle; w dodatku jej głowica miała dużo większą siłę niszczącą. Podczas narady admirałów przed rejsem na północ Victor Henry wspominał o tym; już w 1939 roku napisał wywiadowcze memorandum w sprawie japońskich torped, które zmieniło cały przebieg jego kariery.

Ale nowy admirał powtórzył oziębłe: - Podejździemy na dwanaście tysięcy jardów i otworzymy ogień. - Pug nie mógł dłużej dyskutować w tej kwestii.

Więc japoński admirał, dowodzący niszczycielami, schwytyany w nocy 30 listopada w pułapkę i przyparty do brzegu, nie mając się gdzie ruszyć na morzu, w obliczu ciężkiej przewagi artyleryjskiej, pod jarzącymi się w górze flarami, w bryzgach i dymach spowijających jego eskadrę, rozpaczliwie wystrzelił wszystkie torpedy w kierunku odległych błysków bijących w niego luf. Ta salwa głowic bojowych, jak śrutem z dubeltówki, trafiła wszystkie cztery amerykańskie ciężkie krążowniki. Japończycy umknęli zwycięsko i prawie nietknięci.

`cp2

Grzmot wybuchu rozdarł Pugowi uszy. Rzuciło go na kolana. Zerwał się i zatoczył. Cały okręt dygotał jak pociąg, który wyskoczył z szyn, ale gorsze od tego i gorsze niż ogień, buchający po lewej burcie, było raptowne przechylenie. Dziesięć stopni lub więcej, ocenił półprzytomnie... w przeciągu sekund. Cóż za dziury te torpedy musiały wyrwać!

Miał wryty w pamięci przykład Juneau, który został storpedowany i znikł w olbrzymiej eksplozji. Skoczył do sterówki i złapał za mikrofon. - Tu mówi kapitan. - Usłyszał własny głos, ochryple ryczący z głośników na pokładzie. - Zatopić magazyny wieży numer trzy i wyrzucić za burtę uzbrojoną amunicję pięciocalową. Powtarzam, zatopić magazyny wieży numer trzy i wyrzucić za burtę uzbrojoną amunicję pięciocalową. Potwierdzić!

Jakiś telefonista krzyknął, że rozkaz usłyszano i wykonuje się. Pokład wciąż jeszcze dygotał. Prawie jakby Northampton tłukł się o rafy, ale Pug wiedział, że znajduje się na sześciuset sążniach wody. Kiedy z mikrofonem w rękę wyszedł na lewe skrzydło, zaskoczył go żar, jaki buchnął mu w twarz. Jak gdyby otworzył drzwi pieca. Ogień huczał na całej rufie, rzucając daleko na ciemną wodę pomarańczowe blaski.

- Uwaga, do całej załogi, mówi kapitan. Zostaliśmy trafieni torpedą, może dwiema, w rufową część lewej burty. Meldować o uszkodzeniach. Przednie ekipy pożarowe i kontroli uszkodzeń, na rufę, do pomocy przy gaszeniu ognia i lokalizacji zalania. Zastępca, do mnie na mostek...

Po miesiącach wytężonych ćwiczeń rozkazy same formowały się w jego umyśle. Te ćwiczenia były cholerną udręką dla załogi, ale teraz to się opłaca. W sterówce opanowane głosy telefonistów przekazywały meldunki o uszkodzeniach. Oficer pokładowy i kwatermistrz, zgarbieni przy stole nawigacyjnym nad planem okrętu, zakreślali przedziały dolnego pokładu czerwonymi i czarnymi ołówkami: na czarno zalane wodą morską, na czerwono pływające. Pierwsze meldunki niedobrze się przedstawiały: trzy wały napędowe śrub zablokowane, łączność i elektryczność zanikają, na pokładach C i D zalania wodą i paliwem. Wydając rozkazy Pug już zastanawiał się nad strategią ratowniczą. Najważniejsza rzecz to starać się o powstrzymanie pożaru i zalewania tak długo, aby udało się dotrzeć do portu. Od Tulagi dzieliło ich osiemnaście mil. Trzy inne kaleki już się wlokły w tę stronę.

- Po kotłowni zabezpieczyć uszkodzone przewody paliwa i pary. Wszystkie stacje, mające elektryczność, przepompowywać paliwo z lewej burty na prawą. Wszystkie zbiorniki balastowe z lewej wypompować za burtę i...

Kolejne: Bang! targnęło pokładem pod jego stopami. Daleko w tyle za pokładem łodziowym wzniosł się czarny gejzer paliwa, jak wytrysk ropy w Texasie, i załamał się w blasku ognia, zlewając główną nadbudówkę, stanowiska kierowania ogniem, pokład łodziowy i wieżę numer trzy gęstą, lepka mazią. Płomienie zaczęły się wspinać po skąpanej w oleju nadbudówce, tworząc wieżę ognia buchającego w zadymione niebo. Kolejne płachty oleju bluznęły wzwyż od eksplozji gdzieś pod pokładem, podsycając płomienie.

W tym tempie okręt długo się nie utrzyma. Mimo swej ogromnej długości i wielkich dział, był to potwór niezbyt wytrzymały. Jego stabilność i wskaźniki odporności na uszkodzenia marnie się przedstawiały. Zbudowano go nie wedle wymagań bojowych, lecz wedle głupich ograniczeń traktatowych, które wymyślili politycy. Pug od początku zdawał sobie z tego sprawę, stąd jego zajadłość w ćwiczeniach na wypadek katastrofy. Ale torpedy przypadkowo ugodziły, niestety, w jego najsłabszy punkt, zaraz z tyłu za wątłym pasem opancerzenia, rozrywając główne zbiorniki oleju napędowego i - prawie na pewno - olbrzymie przedziały maszynowni i kotłowni. Droga do Tulagi będzie cały czas szła pod górę. Morze tam w dole wdziera się z pewnością jak wodospad.

Ale pompy i tak powinny opanować sytuację. Ten długi kadłub zawiera ponad

pięćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych przestrzeni powietrznej. Jest to olbrzymia pławność. Gdyby okrętowi nie groziła eksplozja, gdyby wróg nie wpakował w niego więcej torped, gdyby udało się opanować pożar, mógłby dociągnąć do portu. Choćby go miał osadzić na mieliźnie, i tak Northampton przedstawia ogromną wartość odzysku. Grupy pożarnicze, jak gromadki ruchliwych cieni w pożodze, wlokły tu i ówdzie po śliskim pokładzie swoje ręczne pompy i węże, a migotliwe strugi wzbijały ogromne chmury czerwono-pomarańczowej pary. Do sterówki napływały meldunki o uszkodzeniach, a głosy oficerów i marynarzy przybierały ton coraz bardziej rzeczowy. Przednia maszynownia jeszcze pracuje; wystarczy jedna śruba, żeby dociągnąć to kalectwo do Tulagi.

Mimo całego przygnębienia, że okręt jego został storpedowany, i nadchodzącej klęski, mimo koszmarnych świateł i odgłosów trafionego w nocy okrętu wojennego - pożoga, zgiełk i trzask, krzyki, sygnały alarmowe, woń spalenizny, dym gryzący w oczy, rosnący przechył, upiorne odbłaski na czarnym morzu, na mostku kakofonia łączności radiowej i głosów załogi - mimo skrajnego zagrożenia, mimo rozpaczliwych decyzji, które musiał natychmiast podejmować, Victor Henry nie był oszołomiony ani przybity; wręcz przeciwnie, po raz pierwszy od Midway czuł, że naprawdę żyje. Wróciwszy do sterówki odezwał się do mikrofonu łączności radiowej z innymi jednostkami: - Gryf, Gryf, tu Sokole Oko, over.

Odpowiedział mu przepisowy zaśpiew: - Sokole Oko, tu Gryf, proszę mówić, over - i przedarł się starszy głos: - Czekaj no, synu, to Pug Henry z Northamptona. Ja z nim pogadam. Hej, Pug, to ty? - Admirałowie nie stosowali się do regulaminu łączności. - Co u ciebie, chłopie? Stąd wygląda, że bardzo niedobrze.

"Stąd" oznaczało Honolulu, jedyny nie uszkodzony krążownik w całym zgrupowaniu, długi i smukły cień widoczny na południowym zachodzie, uciekający z eskortą niszczycieli z rejonu torpedowania.

- Została mi jedna maszynownia i jedna śruba, admirale. Też płynę do Tulagi. Po drodze dokonujemy napraw, a przynajmniej staramy się.

- Rufa ci się kopci jak diabli.

- Próbuujemy ją gasić.

- Potrzebujecie pomocy?

- Na razie nie.

- Pug, radar pokazuje, że ci bandyci wycofują się na zachód. Opłynę wyspę Savo i dopadnę ich z odległości niedostępnej dla torped. Gdybyś potrzebował pomocy, krzyknij, a pošlę ci paru moich chłopaków.

- Aye aye, Sir. Dobrych łowów. Wyłączam się.

- Powodzenia, Pug.

Podczas tej rozmowy na mostku dowodzenia pojawił się zastępca, z twarzą jak księżyc pod hełmem, całą wsadzy i pocie; przejął komendę nad kontrolą uszkodzeń, kapitan zaś skupił się na prowadzeniu okrętu. W trakcie bitw, bombardowań, dalekich rejsów i przeglądu stocznioowego Pug nabrał zaufania do tego spokojnego tłuściocha z Idaho, mimo że obaj woleli zachować dystans w osobistych stosunkach. W ostatnim raporcie o przydatności Pug zarekomendował Grigga na dowództwo. Grigg otrzymał ostatnio awans na cztery galony i spodziewano się, że lada dzień przejmie Northamptona. Pug otrzymał już rozkaz powrotu do Washingtonu, gdy tylko dostanie zmiennika, w celu "zmiany przydziału". Kiedy teraz Grigg zajął się uszkodzeniami, Pug miał czas się zastanowić. Rzeczywiście pech się go trzyma! Rozkaz dla Grigga był już zapewne w drodze, ale ta zwłoka wystarczyła, żeby on wpakował się w tę nieszczęsną bitwę nocną jako dowódca. Jeżeli straci swój okręt, będzie odpowiadał przed sądem morskim i nie może się tłumaczyć tym, że nieudolny admirał przez swój źle przemyślany plan operacji wysłał go pod nieprzyjacielskie torpedy.

Pożar nie szerzy się już tak gwałtownie, a główne grodzie wytrzymują

napór morza; tak brzmiały meldunki. Ale Pug wpatrywał się w dwa wskaźniki: przechyłomierz, ciągle pełznący w lewo, i zainstalowany przez siebie pion, który wskazywał, że okręt osiada rufą. Usiłował zawrócić, kierując się na północny wschód do Tulagi. Wszystkie połączenia telefoniczne wysiadły, nawet i akustyczne; zalane słoną wodą, wypalone, powyrywane. Posłańcy biegali z każdym rozkazem z wieży dowodzenia w dół, przez główny pokład i czarne, zadymione korytarze, zalewane wodą lub olejem napędowym, i jeszcze kilka pokładów w dół do przedniej maszynowni. Prowadzenie okrętu tak mozolnym sposobem było rozpaczliwe, ale zwrot jakoś wychodził. Tymczasem Grigg wysyłał ekipy ratunkowe, żeby uwalniać ludzi z zalanych przedziałów. Wynoszono na górę rannych. Ratownicy w azbestowych kombinezonach ratowali od spalania się żywcem strażaków, odciętych na zalanych olejem stanowiskach kierowania ogniem, z wolna wspinając się po nadbudówce pod osłoną tryskających mgłą spryskiwaczy i pomagając im zejść.

Na wprost dzioba wyrzuciła się na horyzoncie wyspa Florida, w której cieniu kryła się Tulagi. Przechył dochodził już do dwudziestu stopni, mniej więcej tyle, ile ciężki krążownik przechyla się w sztormie. Northampton leżał nieruchomo na lewej burcie w morzu gładkim od wyciekającego oleju. Będzie to wyścig między szybkością zalewania i wydolnością resztek siłowni. Jeśli Grigg zdoła utrzymać okręt na powierzchni do świtu, może zdoła dociągnąć do Tulagi za trzema innymi kalekami, ogniście dymiącymi daleko przed nim. Tak rozmyślał Pug, kiedy podszedł do niego Grigg, ocierając sobie rękawem czoło.

- Sir, lepiej byłoby lec w dryf.
- W dryf? Dopiero co wszedłem na kurs.
- Na pokładach C i D puszczają podpory.
- Więc co mamy robić, Grigg, siedzieć tak i dryfować, aż nas całkiem zaleje? Zmniejszą trochę obroty.
- Poza tym szef Stark powiada, kapitanie, że olej smarowy przestaje dochodzić do czwartej maszyny. Pompa już nie radzi sobie z przechyłem.
- Aha. No, to chyba poproszę admirała o parę niszczycieli.
- Chyba trzeba to zrobić, Sir.

Wiadomość, którą przyniósł Grigg o smarowaniu, była niemalże wyrokiem śmierci. Obaj wiedzieli o tym. Obaj też wiedzieli, że układ smarowania jest źle zaprojektowany. Już dawno temu Pug bezskutecznie domagał się w nim przeróbek.

- Owszem, ale na razie zbliżamy się do Tulagi, choćbyśmy mieli wytopić łożyska.
- Kapitanie, jeżeli będziemy szli choć trochę naprzód, woda nas zaleje.
- Więc co mamy robić?
- Będę równoważył zatapiając, ile się da, po przeciwnej burcie. Jeżeli uda mi się wyprostować go o pięć stopni i wzmocnić podpory, będzie można znów spróbować, czy da się płynąć.
- Dobrze, ja zejść na dół rozejrzeć się. A pan niech poprosi Gryfa o niszczyciele. Proszę mu powiedzieć, że palimy się, jesteśmy unieruchomieni, mamy dwadzieścia dwa stopnie przechyłu i przegłębienie na rufie.

Pug zszedł na stromo nachylony główny pokład, ślizgając się i brnąc po kostki w cuchnącym czarnym oleju, minął strażaków i podszedł do olbrzymiej wyrwy w rufowej części lewej burty, skąd bluzgał olej. Wychyliwszy się za nadburcie ujrzał poszczerbione płyty kadłuba, sterczące prosto w wodę, wydarte przez torpedy. Tego widoku nigdy nie zapomni: czarna dziura w jego okręcie, obrzeżona metalowymi zadziornami jak niechlujnie otwarta puszka konserw. Druga dziura poniżej linii wodnej, jak mu zameldowano, była jeszcze większa. Przechylając się za sztormreling Pug poczuł zawrót głowy i pomyślał, że okręt może się w każdej chwili przewrócić. Nie ulegało wątpliwości, że przechył się szybko powiększa. Mijał okropnie poranionych i poparzonych ludzi, poukładanych w rzędy na pokładzie rufowym i opatrywanych

przez sanitariuszy. Ich ewakuacja też wymagała czasu. Ze smutkiem wrócił na mostek, odwołał na stronę swego zastępcę i polecił mu przygotować się do opuszczenia okrętu.

W jakąś godzinę później Victor Henry rozejrzał się po raz ostatni po opustoszałym mostku. W małej stalowej nadbudówce było czysto i cicho. Kwatermistrz i oficerowie pokładowi zabrali wszystkie dzienniki okrętowe i dokumenty. Tajne wydawnictwa wyrzucono za burtę w obciążonych workach. W dole załoga zajmowała stanowiska do opuszczenia okrętu. Morze było niczym czarne, ciche jezioro, na którym rozrzucone cztery okręty paliły się jak żółte upadłe gwiazdy. Ratujące ich niszczyciele były już w drodze. Istniała groźba rekinów, a około sześćdziesięciu oficerów i marynarzy, według ostatniego apelu, już nie zejdzie z okrętu: zaginionych albo zabitych przez ogień, wodę lub eksplozję. Mimo wszystko straty w ludziach będą niewielkie, chyba że dopadnie ich jakieś nowe nieszczęście.

Teraz już Pug był jak w gorączce, żeby wydostać z okrętu załogę. Okaleczone, ciężkie jednostki są ulubionym łupem łodzi podwodnych. Ostatnia rzecz, jaką zrobił, to zabrał ze swojej prywatnej kabiny parę rękawiczek i składaną ramkę do fotografii, zawierającą zdjęcie Warrena z uroczystości promocyjnej w Akademii oraz starą fotografię całej rodziny, na której Warren i Byron widnieli jako chude i wyrosnięte chłopaki, a Madeline jako dziewczynka w papierowej koronie. Za oprawę ramki zatknięte były dwa małe, migawkowe zdjęcia: Pamela Tudsbury otulona w szare futro pod Kremlem i Natalia z dzieckiem na ręku w ogrodzie willi w Sienie. Już mając zejść po trapie, spostrzegł bojową flagę Northamptona, złożoną, na jej pokrowcu. Zabrał ją.

Grigg czekał na niego, z odblaskiem pożaru migocącym na twarzy, na głównym pokładzie, pochyłym jak zjazd narciarski. Nie śpiesząc się zameldował mu o stanie obecności.

- W porządku, opuszczamy okręt, Grigg.

- Pan idzie z nami, kapitanie?

- Nie. - Wręczył Griggowi flagę bojową. - Ja zejdę we właściwym czasie. Proszę to wziąć. I podnieść na następnym okręcie którym pan będzie dowodził. A tutaj mam prośbę: niech pan spróbuje nie zamoczyć mojej rodziny, dobrze?

Grigg usiłował się sprzeciwić, że zrównoważenie okrętu jest jeszcze możliwe, że niektóre pompy działają i że usuwanie szkód to jego specjalność. Jeżeli kapitan nie chce się wyokrętować, to pierwszy porucznik mógłby obsadzić welbot i zająć się ludźmi na wodzie. On chciałby zostać.

- Grigg, opuścić okręt! - przerwał mu Pug ostrym i chłodnym tonem.

Grigg wyprężył się, jak tylko mógł, i zasalutował. Pug odsalutował mu i rzekł już nieoficjalnym tonem: - No, powodzenia, Jim. Sądzę, że ten zwrot na zachód był błędem.

- Nie, Sir! Nie mógł pan zrobić nic innego. Mieliśmy namierzoną odległość. Wzięliśmy drani w widły. Jakżeby pan mógł im odpuścić? Pete Kurtz zapewnia, że nasza ostatnia salwa trafiła w krążownik. Widział eksplozję, zaraz po tym, jak dopadły nas ich torpedy.

- Tak, mówił mi o tym. Może uda się to potwierdzić. Mimo to należało wziąć dupę w troki jak Honolulu. Ale stało się.

Zastępca rozejrzał się ze smutkiem po stromo nachylonym pokładzie. - Będzie mi brakowało Nora-Maru.

Pug uśmiechnął się zaskoczony. Tak marynarze przezywali z japońska ich okręt, lecz ani on, ani Grigg nigdy jeszcze nie użyli tego przezwiska. - No już, jazda za burtę.

Wiszący na wychylonych żurawikach motorowy welbot z rannymi był już tak blisko wody, że marynarzom pozostawało tylko puścić kluby. Tratwy z balsy wylatywały za burtę. Setki półnagich marynarzy roiły się schodząc po sieciach, zjeżdżając po linach, wielu najpierw zęgnało się znakiem krzyża.

W dole rozlegał się wielki plusk, a ci, którzy już byli w wodzie, krzyczeli głośno jedni do drugich i do tych na pokładzie.

Niebawem wszyscy znaleźli się w morzu. Tratwy, łodzie i podskakujące głowy odpływały z prądem. W oddali zamajaczyły cienie dwóch zbliżających się niszczycieli. Głosy załogi niosły się z lekkim, ciepłym powiewem: wołania o pomoc, gwizdki, przekrzykiwanie się w ciemności. No, pomyślał Pug, od ognia żaden już nie umrze, od wody zaś niewielu, a może nikt, choć zawsze grozi pojawienie się rekinów. Na szczęście nie zapaliła się ropa rozlana na powierzchni.

Pug pozostał na pokładzie z niedużą grupą ochotników, złożoną z marynarzy i jednego mechanika. Dziwne rzeczy zdarzały się uszkodzonym okrętom. Pożar mógł się wypalić. Przypadki w zalewaniu mogły nawet wyprostować kładący się okręt. Pod Midway kapitan Yorktowna nie bez zakłopotania wdrapał się z powrotem na swój dawno już porzucony lotniskowiec i może by go nawet uratował, gdyby nie zaatakowała go nazajutrz japońska łódź podwodna. Pug i jego ochotnicy mogli wprawdzie zginać, gdyby Northampton się przewrócił albo został ponownie storpedowany, ale jeżeli się utrzyma na wodzie do rana, mogliby go jeszcze przygotować do wzięcia na hol.

Cisza i niebywały brud na rozległym, pustym pokładzie były czymś jakby z dziwnego snu.

Chwytając się za knagi, obchodząc porzucone ręczne pompy i zwoje węzów gumowych, ruszył potykając się w kierunku rufy, przez kupy odpadków - odzież, żywność, opakowania od papierosów, książki, papiery, łuski od pocisków, kubki po kawie, nie dojedzone kanapki, przesiąknięte ropą kamizelki ratunkowe, trzewiki, wysokie buty, hełmy, wszystko to w smrodzie śmieci i ekskrementów, bo ludzie załatwiali się na pokładzie; ale górowały nad wszystkim wonie spalenizny i ropy - szczególnie ropa, ropa, ropa! Kwaśny odór katastrofy pozostanie dla Victora Henry już na zawsze wonią ropy naftowej.

Jeszcze przez godzinę przyglądał się, jak grupa ratunkowa, potykając się, robi swoje, głównie pompując i walcząc z pożarem. Marynarze zmuszeni byli poruszać się po małpiemu, zaczepiając dłonie i stopy o byle występ na pokładzie, żeby nie zjechać po śliskich od ropy płytach. Z posępnymi twarzami w blaskach ognia, z zaciśniętymi ustami, spoglądali raz po raz na morze i na dwa niszczyciele, wydobywające rozbitków. Wreszcie za kwadrans trzecia Pug zdecydował, że Northampton już nie da się uratować. Gdyby jeszcze dłużej tu pozostał, ryzykowałby tylko życiem marynarzy, a żeby lepiej wypaść. Okręt może utrzyma się na powierzchni jeszcze przez godzinę, a może nie; mógłby się też przewrócić do góry stępką prawie bez ostrzeżenia.

- Szefie, opuszczamy okręt.

- Aye aye, Sir.

Usłyszawszy to, marynarze natychmiast wyrzucili za burtę ostatnią wielką tratwę z balsy. Poleciała w dół i spadła z głośnym pluskiem. Szef, siwowłosy brzuchacz, najlepszy maszynista na okręcie, przynaglał kapitana, żeby pierwszy skoczył. Kiedy Pug szorstko odmówił, szef zrzucił trzewiki, rozebrał się aż do usmarowanych ropy szortów i zawiązał sobie kamizelkę ratunkową na grubych, spoconych, białych fałdach tłuszczu. - No dobra, słyszeliście, co szyper powiedział, jazon. - Żwawo jak chłopak zlął po zwisającej pionowo sieci ładunkowej, a marynarze za nim.

W tej ostatniej, samotnej minucie na pokładzie Pug odczuł gorzki smak pożegnania. Pójście na dno z okrętem nie wchodziło w grę; we Flocie Stanów Zjednoczonych ratowało się życie, aby nazajutrz dalej walczyć. Tamto było głupią tradycją, chociaż romantyczną i honorową. Topiąc się nie pomogłyby wygrać wojny. Pug wymamrotał modlitwę za umarłych, których pozostawiał na wraku. Rozebrał się do szortów i włożył rękawiczki, zabrane z mostku. W ćwiczeniach w opuszczaniu okrętu zawsze schodził, ręka za ręką, po

zwisającej linie. Niezależnie od zaspokojenia swej drobnej próżności - wyróżniał się w tym sprawnością - skłonił przez to wielu z załogi do naśladowania go, co było użyteczne. W krytycznej sytuacji drabinki sznurowe i sieci mogły być niedostępne, a liny owszem.

Przepuszczając przez gołe nogi szorstką linę konopną, Pug zsunął się w czarne, tropikalne morze. Kiedy się puścił i plusnął do wody, okazała się przyjemna; ciepła i mocno zasolona. Poprzez lepkie kałuże ropy dopłynął do tratwy, ciągle jeszcze trzymającej się na długiej linie, uwiązanej do knagi na pokładzie. Nadzy marynarze tłoczyli się na niej, a inni otaczali ją w wodzie, chwytając się zwisających pętli.

- Szeffie, czy wszyscy są?

- Tak jest, kapitanie.

Kilku marynarzy chciało mu ustąpić miejsca na tratwie.

- Zostańcie wszyscy na miejscu. Odcumować!

W blasku pożaru błysnął nóż. Linka opadła. Marynarze na tratwie wzięli się za pagaje, żeby odpłynąć od tonącego okrętu. Usiłując zgarnąć sobie z włosów i twarzy cuchnącą ropę i wypłukać jej posmak z ust, Victor Henry patrzył na zatonięcie. Z dołu był to wspaniały widok: ogromny czarny kształt, rozciągający się na pół horyzontu, chylił się ociężale w agonii, z jednego końca palący się jak pochodnia. Ludzie na tratwie wyśpiewywali przeciągłe, jękliwe nawoływania i wygwizdywali na świstawkach przeraźliwe sygnały do pobliskich niszczycieli i motorówek. Fala przelała się przez Puga i ropa dostała mu się do oczu. Przemywając je usłyszał krzyki: - Tonie!

Podciągnawszy się na swej pętli zobaczył, jak Northampton przewraca się i wysoko zadziera ociekający dziób. Ogień zgasł i kadłub osunął się w głąb. Ludzie przestali nawoływać i gwizdać. Na tratwie zrobiło się tak cicho, że przez mlaskanie wody, gdy dziób już zniknął, Pug usłyszał żalony jak westchnienie szum i ryk wiru, który pochłoniął jego okręt.

`ty

46

`ty

Żółta pożoga rozjaśnia nocne niebo w innej części świata.

Berel Jastrow, po kostki w śniegu pod ohydnie śmierdzącym blokiem latryn, staje jak wryty i wpatruje się w wysoki płomień. To próba: już wyznaczana, odkładana, mająca się odbyć w nowym terminie, znów odkładana. Przez cały tydzień ważniacy z SS deptali kałuże w lodowato zimnej budowli z surowego betonu, na dole w ogromnych komorach podziemnych i na górze, przy nie sprawdzonych piecach, a ich niecierpliwie i szorstkie komentarze rozlegały się echem w pluskaniu i tupocie butów.

Był tam komendant we własnej osobie ze swą switą o mroźnych twarzach, przyglądający się, jak cywilni technicy zapracowują się do upadłego na dwudziestoczworgodzinnych zmianach ramię w ramię z miejscowymi, wyglądającymi jak szkielety, z ogolonymi głowami, w pasiastych piżamach. Bardzo dziwnie wyglądali w Oświęcimiu ci odkarmieni, zdrowi autsajderzy o bujnych czuprynach, odziani w niemalże zapomniane zwykłe ubiory: płaszczki, spodnie, marynarki, krawaty albo kombinezony robocze; weseli, energiczni Polacy lub Czesi, w technicznym żargonie rozmawiający z niemieckimi nadzorcami o retortach i gazach generatorowych, ceglach ognioodpornych, przekrojach i tak dalej; normalni faceci, wykonujący normalną robotę, normalnie się zachowujący.

Normalnie, jeśli nie liczyć tego, jak patrzą na więźniów. Jak gdyby ta pasiasta wsypa czyniła człowieka niewidzialnym niczym baśniowa czapka niewidka. Ci technicy jakby człowieka nie dostrzegali. Oczywiście nie wolno im się odzywać do więźniów i też boją się nadzorców z SS. Ale żeby nie okazać nawet zmrużeniem oka, że widzą swych bliźnich, istoty ludzkie?

Patrzyć na nich jak na powietrze? Obchodzić ich, jakby to były słupy albo przyzmy cegieł? Coś dziwnego.

Wysoki czerwono-żółty płomień u szczytu komina trzepece i niemalże zamiera, kiedy w ogniu kłębią się chmury czarnego dymu; potem znów pali się czysto. Nie ma wątpliwości, co to za widok. Wysoki, kwadratowy komin rysuje się wyraźnie w przydymionej poświacie na tle leżących za nim wykopów. Próba się powiodła; i czemużby nie? W tych konstrukcjach zastosowano niemiecką robotę najwyższej klasy, najlepsze wyposażenie i maszynierię - generatory, piece, dmuchawy, elektryczne wyciągi, olbrzymie wentylatory, nowego typu wywrotki, wjeżdżające po szynach prosto w czeluść pieca - wszystko pierwszorzędnej jakości. Berel sam pracował przy zabetonowaniu tych nowiutkich urządzeń. On zna się na dobrej robocie. Niemieckie ograniczenia czasu wojennego nie wpłynęły na te instalacje. Najwyższa kategoria uprzywilejowania! W porównaniu z tym długie, przepastne komory na niższym poziomie są prymitywnie wykonane, z wyjątkiem hermetycznych drzwi: znakomitą robotę włożono w te ciężkie drzwi, w mocne futryny, w podwójne uszczelki gumowe.

Wymachując pałką, ciężko przechodzi koło Jastrowa w stronę latryn jakiś kapo, obrzucając go wrednym spojrzeniem. Jastrow ma przypiętą na rękę opaskę; funkcja daje pewne przywileje, wolno mu załatwiać się po zmroku. Ale z opaską czy bez, kapo i tak może ci przyłożyć w dupę, jak zechce, albo nawet rozwalić łeb i zostawić cię, żebyś się wykrwawił na śniegu, i nic mu za to nie będzie. Szybko wracając do swego baraku, Jastrow zagląda do izdebki blokowego: czyste, wygodne mieszkanko z zawieszonymi na ścianach z desek niemieckimi plakataми turystycznymi, na których widnieją Ren, berlińska opera i święto październikowe.

Blokowy, chudy i wysoki, okropnie przyszczaty folksdojcz, włamywacz z Pragi, pali fajkę w starym wyplatany fotelu, zabłocone buty trzymając na stołku. W obozie jest teraz mnóstwo tytoniu; a także mydła, jedzenia, franków szwajcarskich, dolarów, leków, biżuterii, złota, odzieży; wszelkiego rodzaju cennych rzeczy, osiągalnych kosztem wielkiego ryzyka, za wysoką cenę. Rozumie się, że SS-mani i kapo zgarniają śmietankę, ale więźniowie też handlują; niektórzy po to, żeby się lepiej odżywiać, inni dla zysku, a garstka śmiałków dla zaopatrzenia się w celu oporu lub ucieczki. Ta fala wszelkiego dobra napływa z żydowskimi transportami z zachodu, które z każdym miesiącem przybierają na rozmiarach i liczebności. W czasie letniej epidemii tyfusu dyscyplina w obozie rozluźniła się. Watły strumyczek kontrabandy z baraków "Kanady", gdzie likwiduje się bagaż, zamienił się w demoralizującą powódź. Czarny rynek w Oświęcimiu, chociaż to proceder grożący śmiercią, jest nie do opanowania.

Blokowy wypuszcza z ust słodko pachnący obłoczek siwego dymu i machnięciem fajki zwalnia Jastrowa, który idzie wzdłuż zimnego, zatłoczonego, długiego bloku, ślizgając się w drewnianych chodakach po lepkiem błocie na podłodze. Ten kapo jest całkiem znośny, myśli, ten facet z zielonym trójkątem z Dachau i Sachsenhausen, gotów jak kurwa wszystko zrobić za pieniądze albo za coś luksusowego, z wyjątkiem narażenia swej głowy lub funkcji. Na apelu poczyna sobie jak twardziel, na pokaz dla SS, i tłucze więźniów pałką, ale w bloku to po prostu leniwy nicpoń. Od czasu do czasu zabawia się za zamkniętymi drzwiami z jednym czy drugim z "pajplów", tych zboczonych chłopaczków, co włóczą się po blokach. Inni więźniowie przestali się już nawet znacząco uśmiechać. Wszystko to normalka.

Większość chrapie już na swoich pryczach, leżąc po trzech i czterech na jednej, jak sardynki. Jastrow przepycha się koło więźniów przycupniętych na długiej, biegnącej przez środek, ceglanej rurze, która nie ogrzewa wnętrza, ale pospołu z ciepłem wydzielanym przez ciała tyłu więźniów odrobinę łagodzi nocną temperaturę poniżej zera. Wszystkie baraki w Birkenau - pracował przy budowie przeszło stu takich samych - oparte są na jednej z

niemieckich konstrukcji wojskowych: Pferdestall, polowej stajni dla koni. Każda z tych przewiewnych szop, skleconych z desek i papy na gołej, bagnistej ziemi, przeznaczona jest dla pięćdziesięciu dwóch zwierząt. Ale człowiek potrzebuje mniej miejsca niż koń. Trzy piętra w kojcu dają sto pięćdziesiąt sześć miejsc. Umieszczając po trzech więźniów na jednym, minus przestrzeń na pokój blokowego, biuro, miejsce wydawania posiłków i miejsce na kible; wypada około czterystu ludzi na Pferdestall.

Taka w przybliżeniu jest liczba regulaminowa; ale przepisy w Oświęcimiu traktuje się elastycznie, więc na ogół panuje ogromne przeludnienie. Szymek Mutterperl wydobył Jastrowa z bloku, gdzie tłoczyło się ponad tysiąc ludzi, przeważnie nowych przybyszów cierpiących na sraczkę, którzy przewracali się i wiercili przez całą noc na każdym dostępnym centymetrze, na pryzkach i na gołej ziemi, jeden drugiemu wciskając po ciemku twarz w dupę; gdzie każdego ranka trzeba było wywlekać na apel i składać na stos, do wywózki, dziesięć albo dwadzieścia trupów o szklanych oczach i rozdziawionych ustach. Biegli rzemieślnicy i przodownicy, jak Mutterperl, przebywają w mniej zatłoczonych blokach, takich jak ten. Rozrastający się gwałtownie obóz potrzebuje tych mierniczych, ślusarzy, cieślów, garbarzy, kucharzy, piekarzy, doktorów, kreślarzy, znających języki kancelistów i tak dalej; więc życie w ich barakach może nie być pozbawione opału do pieców, znośnego jadła i czystej wody oraz przywileju korzystania z latryny. Niektórzy z nich mogą nawet przeżyć wojnę, jeżeli Niemcy pozwolą, aby w ogóle ktokolwiek przeżył Oświęcim.

Blok grupy Klingera jest wystarczająco zły. Rano letnia namiastka kawy, wieczorem wodnista zupa i jedna kromka chleba o konsystencji trocin to zwykła oświęcimska racja żywności, sama przez się będąca wyrokiem powolnej śmierci. Ale kuchnia ma specjalne polecenia dotyczące biegłych i ciężko pracujących zawodowców: dwa razy na tydzień rozdziela się według uprzywilejowanej listy dodatkowe kromki chleba, plasterki sera lub kiełbasy. Ten wzbogacony przydział i tak jest mniejszy niż "regulaminowa" racja, bo połowę żywności, przeznaczonej w Berlinie dla więźniów, sami SS-mani zjadają albo kradną na sprzedaż. Wie o tym każdy. Kradną także wszystkie paczki żywnościowe, przysyłane z zewnątrz dla Żydów; inni więźniowie, zwłaszcza Brytyjczycy, mogą zachować jakąś część ze swoich paczek. Mimo to grupa Klingera nieźle wychodzi na dodatkowych kaloriach, chociaż niektórzy z nich stopniowo marnieją w "muzułmanów". To znane w Oświęcimiu zjawisko, ci muzulmanie; tak zagłodzeni, że robią się z nich senne, wycieńczone, snujące się mumie, z góry skazane na to, że będą zatłuczeni pałkami albo skopani na śmierć, za powolność w pracy, chyba że zwyczajnie padną i umrą.

Tacy jak Mutterperl i Jastrow nie zamienią się w muzulmanów. Ich czeka inny los. Dawno już przeciekło z Wydziału Zatrudnienia sardoniczne powiedzonko: po ukończeniu pracy komando będzie miało zaszczyt pójść jako pierwsze do komina. Humor oświęcimski! I zapewne prawda; inny wariant losów Sonderkommando.

Wprawnym ruchem Jastrow wsuwa się nogami do przodu na średnią pryzkę, wspólną z Mutterperlem, który śpi w kocach zorganizowanych z "Kanady": mimo powszechnego złodziejstwa nikt mu ich nie ukradnie. Rusztowanie zatrzęsło się. Mutterperl otwiera oczy.

Jastrow mruczy: - Właśnie robili próbę.

Mutterperl kiwa głową. W miarę możliwości unikają słów. Nad nimi są trzej starzy więźniowie, ale pod nimi leży z dwoma weteranami jeden niedawny przybysz, pięknie mówiący galicyjskim dialektem jidysz, podający się za adwokata z Lublina. Jego skóra ma zamiast oświęcimskiej szarości świeżą barwę, a ogolona czaszka jest biała, nie ogorzała. Nie widać na nim żadnych blizn obozowych. Oczy jego mają dziwny wyraz. Kto wie, czy nie jest to szpicel z Oddziału Politycznego.

SS ciągle tropi wątki podziemie, budzące się do życia w Oświęcimiu: malutkie tajne grupki, kiełkujące jak ziarno na wspólnym gruncie: politycznym, narodowym lub religijnym. Trwają one i rosną, dopóki Oddział Polityczny ich nie wykryje i nie zgniecie. Niektóre utrzymują się przez jakiś czas, nawiązują kontakt ze światem zewnętrznym, a nawet wysyłają za druty zdjęcia i dokumenty. Zazwyczaj kres im kładzie zdrada. W tym ciasnym świecie schorowanych i zagłodzonych niewolników, stłoczonych w stajniach na śniegu, ogrodzonych drutami kolczastymi pod wysokim napięciem, pilnowanych przez karabiny maszynowe z wież strażniczych i mordercze psy, gdzie życie wisi na włosku, a tortury są czymś tak częstym jak gdzie indziej mandat za nieprzepisowe parkowanie, oczywiście nie brakuje donosicieli. Zadziwiająca jest raczej liczba przyzwoitych facetów.

Mutterperl mamroce: - Nieważne. Już ustalone.

- Kiedy?

- Powiem ci później. - Te słowa są ledwo wytchnięte Berlowi w samo ucho i nic więcej. Brygadzysta zamyka oczy i odwraca się na drugi bok.

Berel nic nie wie o planie ucieczki poza tym, co Mutterperl mu dotąd powiedział. To bardzo niewiele. Celem jest piekarnia, budynek za drutami kolczastymi, w pobliżu lasu nad rzeką. Ważne będą przy tym umiejętności piekarskie Berla. Wie tylko tyle. Filmy zabierze Mutterperl, więc jeśli go złapią i zaprowadzą do baraku Oddziału Politycznego Gestapo, Berel nie będzie miał prawie nic do zdradzenia; ani wówczas, gdy przepytujący zagrożą mu obcięciem członka i jąder; ani kiedy wepchną mu w krocze nożyce do strzyżenia żywopłotów i chłodne ich ostrza zamkną się na jego mosznie, dając mu ostatnią szansę, żeby gadał.

Takie chodzą pogłoski: jako narzędzie służą zwykle, chamskie, ogrodnicze nożyce do żywopłotów, naostrzone jak brzytwa. Najpierw ci grożą ich użyciem, a potem rzeczywiście to robią. Kto może poświadczyć, że to prawda? Takiej rany nikt by nie przeżył, aby o tym opowiedzieć. Okaleczone zwłoki są natychmiast wywożone prosto do starego krematorium; nikt ich nie widzi, tylko gestapowcy i ci z Sonderkommando. Co kryje się za przesłuchaniem u Niemców? Jeżeli nie to jest prawdą, to coś równie straszego.

Jedno nie ulega wątpliwości: nocny płomień oznacza rychłą śmierć dla grupy Klingera. Berel jest gotów spróbować ucieczki; nie ma nic do stracenia! Jak dotąd Mutterperl był jego dobrym aniołem. Żyd musi mieć nadzieję. Głodny, zmarznięty, wyczerpany, odmawia modlitwę i usypia.

`cp2

W istocie próba nie wypadła za dobrze.

Inżynier naczelny Pruefer z fabryki pieców J.A. Topf i Synowie w Erfurcie - solidnej firmy, posiadającej wiele międzynarodowych patentów - jest zakłopotany. Przepływ wsteczny eksplodował na całą tę wstrętną okolicę czarnym dymem i strzępkami palącego się mięsa! Tylko szczęśliwym przypadkiem komendant i pułkownik Blobel pozostali nietknięci. Obrzydlistwo to obryzgało natomiast oficerów SS cywilnych techników, a nawet samego Pruefera. Wszyscy nałykali się mdlącego, tłustego dymu. Co za ohyda!

Jednak Pruefer ma czyste sumienie. Wiadomo, że w pierwszej próbie musiał zapalić mieszaninę drewna, zużytego oleju i zwłok. W nowych, przegrzanych retortach cała będą się zamieniały w paliwo i przyspieszały spalanie; na tym polega cały sens tych wielkich instalacji. Poważna próba musi być przeprowadzona w rzeczywistych warunkach. Co się tyczy eksplozji, jakkolwiek defekt ją spowodował, on go usunie. Próby mają ujawniać niedociągnięcia, po co inaczej robiłoby się próby? Niedobrze tylko, że akurat trafił się ten pułkownik Blobel. Firma Topf i Synowie nie zapraszała go.

Komendant i pułkownik Blobel odchodzą, wykasłując z płuc zjełczały dym. Komendant nie posiada się ze wściekłości. Cywilne świnię! Dwa miesiąca

opóźnienia w dostawie; potem trzykrotne przesuwanie terminu próby; i najgorszy pech, że musiał pojawić się pułkownik Blobel we własnej osobie, akurat dzisiaj, na ten blamaż. Och, ten w dupę jebany inżynierek z Erfurtu! W tym eleganckim, wygodnym płaszczu z tweedu, w angielskim obuwiu i miękkim kapeluszu, zapewniający komendanta, że próba musi dobrze wypaść! Przydałoby mu się kilka miesięcy w Auschwitz, żeby się nauczył, co znaczy w czasach wojny taka rozkoszna bez troska! Wziąć tę świnię za łeb i prosto do 11 bloku!

Pułkownik Blobel nie odzywa się. Jego pełen dezaprobaty uśmiezek mówi sam za siebie.

Podjeżdżają samochodem komendanta w pobliże wykopów, gdzie na dużym obszarze bucha czerwony ogień i dym. Podchodzą do nich przez pola, trzymając się z wiatrem, i... o, do diabła, kolejna wpadka. Sonderkommando używają miotaczy ognia. Komendant wydał surowy rozkaz: żadnych miotaczy ognia, dopóki w obozie jest pułkownik Blobel! Te stare, zgniłe trupy, niektóre w jamach kopanych jeszcze w 1940 i 1941 roku, po prostu nie chcą się palić. Nie chcą i koniec. Kiedy ogień wygaśnie, człowiek zostaje z wielkimi stosami nadwęglonej mazi i kości. Tymczasem Berlin wydaje rozkaz: usunąć. Cóż można zrobić innego niż unicestwić to świństwo za pomocą miotaczy ognia? Ale jest to marnowanie paliwa i przyznanie się do złej roboty. Czy Blobel musi wiedzieć, że Przedsięwzięcie Auschwitz nie radzi sobie z problemem spalania? Komendant na próżno doprasza się w Berlinie, ciągle i ciągle, o trochę porządnych kadr oficerskich. A oni to ignorują i przysyłają mu jedynie odpadki. Nie może sam robić za wszystkich.

W szkarłatnym blasku płomieni Blobel wpatruje się wyniośle w miotacze ognia. Cóż, on się na tym zna. Skoro się już dowiedział, niech robi, co chce, choćby najgorsze. Niech powie Müllerowi. Niech powie nawet Himmlerowi! A najlepiej, żeby zasugerował, co na to poradzić. Komendant jest tylko człowiekiem. Ma na głowie czterdzieści kilometrów kwadratowych instalacji. Wielkie fabryki amunicji i gumy pracują pełną parą, a następne są już w budowie. Gospodarstwa mleczne, szkółki drzewek. Jak grzyby po deszczu wyrastają nowe filie obozów i fabryki. Bez ustanku zwalają na niego tysiące więźniów politycznych. Ciągłe brakuje drewna, cementu, rur, kabli, nawet gwoździ. Poważne trudności zdrowotne i dyscyplinarne. A na domiar złego przyjeżdżają całe pociągi Żydów, coraz więcej i więcej. Urządzenia do specjalnego użytku, rzecz jasna, pękają w szwach. I przybywa świństwa! Ten twardziel Eichmann nie umie nic zaplanować. Prowadzi od zrywu do zrywu tę operację, na chybił trafił, wciąż albo za mało aktywności, albo za dużo. Najbrudniejsza część całego zadania. Trzeba to zrobić, ale o produktywności nie ma co mówić, tyle co tych rzeczy gromadzących się na "Kanadzie".

Cóż za góra odpowiedzialności! Jak człowiek w tych warunkach może wykonywać przyzwoitą robotę?

Na szczęście Blobel jest architektem, intelektualistą. Nie żaden Eichmann. Kiedy jadą z powrotem do Willi na kolację, ma tyle smaku, aby nie krytykować. Czuje, co przeżywa komendant. Kiedy już wykąpowy się i przebrawszy popijają w bibliotece, staje się wręcz kordialny. Pułkownik Blobel nie wylewa za kołnierz, jak wiadomo komendantowi, i zanim polska służąca dygnawszy obwieści, że obiad już gotów, zdążył obciągnąć prawie pół butelki whisky Haig & Haig. Dobrze, niech dojrzewa. Jedno, czego tu Blobelowi nie zabraknie, to trunki, ile tylko da radę wyłopać. To zdumiewające, czego ci Żydzi nie przywożą w swoich walizkach. Nawet i wino. Przy kolacji pułkownik mówi żonie komendanta, że od czasów pokoju nie zdarzyło mu się zakosztować u stołu takiej kolekcji win. Ona rumieni się z zadowolenia. Blobel chwali pieczeń cielęcą, zupę, tort czekoladowy ze śmietaną. To fakt, że kucharka się popisała. Blobel żartuje z chłopcami na temat ich studiów i tego, że mają apetyt na tort. Jego surowy nastrój ulated się. Jednak to sympatyczny facet po kilku głębszych! Komendant już

czuje się trochę bardziej optymistycznie myśląc o czekającej go przykrew rozmowie służbowej, aż nagle...

Aou! Aou! Aou! Ta przeklęta syrena, że ktoś uciekł!

Nawet i tutaj, w oddaleniu nad rzeką, jękliwy i wrzaskliwy alarm, obwieszczający ucieczkę z obozu w Auschwitz, wprawia w dygot okna i ściany, omal nie zagłuszając odległego grzechotu karabinów maszynowych. Akurat teraz! Sztywniejący w swoim fotelu pułkownik Blobel zwraca surową twarz na komendanta, który przeprasza na chwilę i biegnie z tupotem na górę, do swego prywatnego telefonu, pieniąc się. Cała kolacja zepsuta.

`cp2

Samolot przelatujący nisko nad Oświęcimiem - jakkolwiek nie byłoby to możliwe, bo przestrzeń powietrzna nad tymi czterdziestoma kilometrami polskiej prowincji jest najsurowiej niedostępna, nawet i dla Luftwaffe - trafiłby na niezwykle widok: tysiące i tysiące mężczyzn i kobiet uszeregowanych na rozległych placach apelowych obozów w Birkenau, w jaskrawym blasku reflektorów, w łagodnie prószącym śniegu; widok nieomal wojskowy, gdyby nie to, że wcale nie wojskowe są ich ubiory z cienkich bawełnianych szmat w pionowe paski.

Ryk syren istotnie zaskoczył więźniów, którzy wypadali z baraków pod ciosami pałek i wśród przekleństw SS-manów i kapo. Już od miesięcy zarzucono apele z powodu ucieczki. Dlaczego teraz nagle go urządzają?

Apel to powszednia tortura. Kiedyś literatura zajmie się bardziej makabrycznymi aspektami Oświęcimia: jak eksperymenty medyczne na kobietach i dzieciach, gromadzenie ton włosów kobiecych i szkieletów bliźniąt, okaleczające tortury w Gestapo, sadystyczne mordowanie od niechcenia więźniów przy niewolniczej pracy, i oczywiście potajemne gazowanie milionów Żydów. Wszystkie te rzeczy dzieją się, ale większość pracujących niewolników na co dzień się z nimi nie spotyka. Dla nich nie ma nic gorszego niż apel. Każdego ranka i wieczora stoją bez ruchu w szeregach przez parę godzin, bez względu na pogodę. To gorsze od najcięższej roboty. Harując człowiek się przynajmniej rozgrzewa i ma czym zająć myśli. Apel to doskwierające uczucie głodu, udręka dla kiszek i pęcherza, przejmujący do kości ziać, czas się zatrzymał. Większość muzułmanów pada w czasie apelu. Gdy w mroźny poranek zimowy apel się kończy, ziemia jest usiana trupami. Umarłych zbiera się na wózki; żywych więźniowie dźwigają do bloku albo wloką ich do roboty, jeśli ożyją pod ciosami pałek.

Jednakże w Oświęcimiu prowadzi się wielkie i pilne roboty, którym nie wychodzi na dobre zabijanie robotników na apelach. Toteż władze już dawno temu, podczas epidemii tyfusu, postanowiły ograniczyć te dodatkowe apele z powodu ucieczki.

Więc co się dzieje?

Dzieje się to, że komendant zadzwonił do swego zastępcy i uprzedził go, że jeśli natychmiast nie złapią tej świni, co uciekła, będą w SS doraźne wyroki śmierci za niedbalstwo. Ktoś za to zapłaci! Poleca głowy! A więźniów do apelu! Niech stoją ci zasrańcy na baczność aż do rana! I prosto z apelu do roboty.

Na dworze jest dziesięć stopni poniżej zera. Komendant wie, że na złość mamusi sam sobie odmraża uszy, bo jego rozkazy uśmiercą mnóstwo tych mniej wydajnych rąk do pracy. Nieważne! Jest u niego z wizytą Paul Blobel z Kommando 1005. Wypada więc podjąć surowe środki. Przedsięwzięcie Auschwitz nie może się skompromitować. Apel pokazuje, że nie ma żartów. Kiedy SS się przestraszy, będą efekty. Złapią tego zasrańca.

`cp2

Więc możliwa jest ucieczka z Oświęcimia?

Owszem. Jak na obóz koncentracyjny, Oświęcim to sito.

Kiedys Oświęcim zyska w świecie ponurą sławę jako hermetyczna forteca makabrycznych okropności. Faktycznie jest to niechlujny, rozległy obszar przemysłowy, ciągle rozrastający się, ciągle w stanie anarchii. W jego historii zarejestrowano około siedmiuset prób ucieczki. Jedna trzecia z nich się powiodła. Nie zarejestrowanych mogło być drugie tyle. Nikt się tego nigdy nie dowie.

Nie istnieje drugi taki niemiecki obóz koncentracyjny jak Oświęcim. W początkach ery nazistowskiej niemieckie obozy po prostu naśladowały bolszewickie gułagi leninowskie; były to miejsca odosobnienia i terroru dla przeciwników politycznych. Ale w czasach wojny te obozy wezbrały i rozmnężyły się w setki, tak iż była nimi upstrzona cała Europa; wypełnione cudzoziemcami, stały się zagrodami dla niewolników pracujących w niemieckich fabrykach; bez wątplenia mnóstwo więźniów umiera tam od fatalnych warunków. Ale tylko w sześciu obozach, a wszystkie umieszczono w zapadłych częściach Polski, SS masowo morduje Żydów zaraz po przybyciu, pracowicie zachowując pozory dezynfekcji.

Te sześć obozów to Chełmno, Bełżec, Sobibór, Treblinka, Majdanek i Oświęcim.

Oświęcim jest jedyny w swoim rodzaju, nie tylko dlatego, że posługuje się cyjankiem w formie gazu, przeznaczonego do tępienia szkodników, podczas gdy w pięciu pozostałych ośrodkach zagłady używa się spalin z silników samochodowych. To niezbyt istotna różnica. Chodzi głównie o to, że pozostałe obozy mają na celu tylko zabijanie, choć niekiedy nadwyżka Żydów może być używana do pracy niewolniczej. Toteż z innych bardzo trudno uciec.

Oświęcim nie ma odpowiednika: zarazem największy ośrodek likwidacji przez zagazowanie, największy ośrodek obdzierania zwłok i największy ośrodek fabrycznej pracy niewolniczej w rządzonej przez Niemców Europie. To istny kolos. Stąd panujące w nim rozluźnienie. Jest zbyt olbrzymi, zbyt złożony, zbyt improwizowany, aby można go było w pełni kontrolować. Nadzwyczaj destabilizujące są też efekty ograbiania Żydów. Większość z nich to biedacy i przywożą tylko po dwie walizki na osobę; ale przy takich liczbach łup się spiętrza. Wartość samego tylko złota z wyrwanych zębów sięga milionów marek. Dyscyplina i morale SS idzie w rozsypkę, jeszcze bardziej niżeli od pokusy, jaką stanowią zastraszone i uległe Żydówki w kobiecym obozie pracy. Pomimo najsurowszych kar małe sztabki złota ciągle znikają z przetapialni i rozplývają się po Oświęcimiu jako dziwna, tajna waluta służąca do ryzykownych transakcji.

Faktem jest, że komendantowi nie starcza personelu do prowadzenia takiego przedsięwzięcia. Jego skargi są uzasadnione. Toczy się bitwa o Stalingrad i armia potrzebuje coraz więcej ludzi. Himmler tworzy również frontowe dywizje SS. Kto z Niemców zostaje po takim wyczesywaniu? Głuptaki, cherlaki, staruszkowie, kaleki, przestępcy... prawdę mówiąc: odpadki ludzkie. A nawet i tych nie wystarcza. Trzeba rozbudowywać system kapo i włączać w to cudzoziemskich więźniów.

Na tym polega kłopot. Z pewnością wielu z nich liże buty SS i maltretuje innych więźniów, żeby ocalić własną skórę. Oświęcim to maszyna do upadlania natury ludzkiej. A jednak zbyt wielu tych kapo, nie będących Niemcami, przejawia miękkosć. Stąd organizacje oporu. Stąd ucieczki. Polacy, Czesi, Żydzi, Serbowie, Ukraińcy, wszyscy są do siebie podobni. Nie można im ufać. Potrafią nawet zwieść na manowce i rozmiękczyć niektórych Niemców.

Tak. Ucieczki z Oświęcimia są częste.

Komendant słyszy o nich raz po raz od Himmlera. Problem ten zagraża jego karierze. Chciałby więc przynajmniej zrobić wrażenie na gościu tym, że schwytał uciekiniera. Jako szef Kommando 1005 pułkownik Blobel ma coś do powiedzenia u Himmlera.

Mija godzina.
Półtorej godziny.
Dwie godziny.

W bibliotece komendant ciągle spogląda na swój niedawno zdobyty, antyczny zegar, a pułkownik Blobel gada i gada; lub raczej bredzi, bo pochłania przy tym zdumiewającą ilość koniaku. Kiedy indziej komendant byłby na luzie i szczęśliwy, słuchając tych pijackich zwierzeń kogoś z tak wysokich kręgów, tak wtajemniczonego. Teraz siedzi jak na szpilkach. Właściwie nie cieszy go ani rozmowa, ani dwudziestoletni Courvoisier. Od niechcienia zapewnił pułkownika, że jego ludzie "tylko patrzeć, jak złapia tego skurwysyna". Była to ryzykowna wypowiedź! Jakby sam położył głowę pod topór.

Na placu apelowym da się tylko z grubsza ocenić upływ czasu. Na przykład po śniegu gromadzącym się na ramionach; po tym, jak członki, nos, uszy stają się odrętviałe od mrozu; albo po liczbie padających na ziemię więźniów. Jakże inaczej poznać, ile minęło czasu? Do jego mierzenia służy ruch. Tu nie ma żadnego ruchu poza tym, że przejdzie jakiś kapo albo strażnik, żadnego dźwięku oprócz skrzypienia jego butów na śniegu. Gwiazdy nie przesuwają się nad głową. Biały śnieżek prószy od niechcienia w białym świetle reflektorów na nieruchome, dygocące szeregi w pasiakach. Po uczuciu, że nie ma nóg poniżej kolan, Berel Jastrow domyśla się, że upłynęło około dwóch godzin. Na porannym apelu Klinger nie będzie zadowolony. Berel widzi już trzynastu leżących.

Ten nowy z Lublina, stojący między Jastrowem a Mutterperlem, nagle wydaje okrzyk, narażający życie ich i jego własne: - Jak długo jeszcze będziemy stali?

W panującej ciszy jego zdławiony okrzyk rozlega się jak wrzask, jak strzał z pistoletu. I akurat przechodzi blokowy! Berel nie widzi go, ale słyszy za sobą jego buty, poznaje ten krok i zapach fajki. Czeką, kiedy pałka grzmotnie w cienką, bawełnianą czapkę tego durnia. Ale kapo przechodzi, nie reagując. Szwabski tępak! Powinien mu przyłożyć pałką. Nie musiał mu robić krzywdy. Jedną korzyść z tego apelu: już wiadomo, że to wtyka SS.

Wtyka czy nie wtyka, jego męka nie jest udana. Po krótkim czasie facet pada stęknawszy na kolana i przewraca się na bok, oczy ma wywrócone i szkliste. Dobrze odkarmiony, od niedawna w obozie, powinien być twardszy. Obóz człowieka osłabia lub hartuje. Ten facet skończy jako muzułman, jeśli najpierw go nie ukatrupią ci z organizacji.

`cp2

Pułkownik Blobel już nieźle sobie podpił; bezwładnie zapada się w fotel, mówi bełkotliwie, kieliszek mu się tak przechyla w ręce, aż wychlapuje się koniak. Jego bredzenie i samochwalstwa stają się nieprzytomne. Komendant podejrzewa, że Blobel, jakkolwiek pijany, chytrze bawi się z nim w kotka i myszkę. Dotychczas nie wspominał o sprawie, która sprowadziła go do Oświęcimia. Ucieczka da mu do ręki poważny atut, jeśli się go w porę nie przebije.

Blobel chwali się teraz, że cały program żydowski to jego pomysł. Jako dowódca Einsatzgruppe w 1941 roku na Ukrainie uświadomił sobie, jak bardzo pierwotny plan SS jest partacki. Kiedy pojechał na urlop zdrowotny do Berlina, skierował ściśle tajne memorandum do Himmlera, Heydricha i Eichmanna - tylko w trzech egzemplarzach - coś tak mocnego, że nawet sobie nie odważył się zachować kopii. Nie może więc udowodnić, że cały obecny system on wymyślił. Ale Himmler wie. I właśnie dlatego Blobel jest teraz szefem i jemu podlega Kommando 1005, nie ma w SS trudniejszego zadania. Tak jest, honor Niemiec spoczywa w jego ręku. Paul Blobel jest świadom tej odpowiedzialności. Oby wszyscy byli tego świadomi.

To, co widział na Ukrainie, powiada Blobel, było straszne. On, jako

podwładny, wykonywał rozkazy. Odkomenderowano go do Kijowa. Po prostu kazali mu tam pojechać i wykonać robotę. Co do niego należało, to odbyło się gładko. Znalazł wóz za miastem, nazywał się on Babi Jar czy jakoś podobnie, zgarniał Żydów i wysyłał ich tam w grupach po kilka tysięcy. Trwało to całymi dniami. Było tych Żydów w Kijowie ponad sześćdziesiąt tysięcy, tak wielkiej roboty nikt jeszcze wtedy nie próbował. Ale wszystko, czego on sam nie organizował, zostało spieprzone. Mało, że armia nie potrafiła utrzymać cywilnych Ukraińców z daleka od Babiego Jaru! to jeszcze w tłumie gapiów połowę stanowili niemieccy żołnierze. Coś haniebnego! Takie przyglądanie się egzekucji, jakby to był mecz piłki nożnej! Ze śmiechem, jedząc lody, nawet robili zdjęcia! Zdjęcia kobiet i dzieci, jak klęczą i zastrzelone z tyłu wpadają do tego wozu! Bardzo źle to wpłynęło na morale plutonów egzekucyjnych; nie podobało im się, że są tak fotografowani. Musiał wstrzymać całą akcję, zrobić piekło w Wehrmachcie i odgradzić całe to miejsce.

W dodatku ci Żydzi, kiedy ich rozwalano, byli w ubraniu i mieli przy sobie pochowane nie wiadomo ile pieniędzy i biżuterii, i wszystko to przysypano piaskiem, za pomocą spychaczy. Co za idiotyzm! A do mieszkań, które po nich zostały w Kijowie, ot tak sobie, weszli i zajęli je Ukraińcy. Rzesza nic na tym nie zyskała. Wszyscy wiedzieli, co się robi z Żydami.

Blobel od razu się zorientował, że Niemcy tracą miliardy w mieniu żydowskim, jeśli nie podejździe się do tej sprawy systematycznie. Jego memorandum zawierało porządnie opracowany plan i Himmler rzucił się na to. Efektem stał się Oświęcim i całe zrewidowane już rozwiązanie kwestii żydowskiej.

Komendant nie zamierza się sprzeciwić pułkownikowi, ale wszystko to brednie. Może nie co do Ukrainy; lecz na długo przedtem, zanim Wehrmacht zbliżył się do Kijowa, on sam omawiał kwestię żydowską z Himmlerem, a później z Eichmannem. I to system Eichmanna, zastosowany w wiedeńskim Biurze Emigracji Żydowskiej już w 1938 roku, stał się wzorem dla Oświęcimia. Komendant dobrze zna ten system ze słyszenia. Żydzi wchodzili do budynku jednymi drzwiami jako bogaci, dumni mieszkańcy, przechodzili przez szereg gabinetów, podpisując różne papiery, i wychodzili z drugiej strony, mając tylko gołą dupę i paszport. Jeżeli chodzi o Aktion Reinhardt, jak najbardziej oficjalne zbieranie własności Żydów po ich specjalnym potraktowaniu, zawsze się tym zajmował Globocnik. Skoro więc Blobel usiłuje sobie przypisać...

Dr-r-r-ryng! Najmilszy dźwięk, jaki komendant usłyszał w życiu! Zrywa się na równe nogi. Telefon w jego willi nie po to dzwoni o północy, żeby donieść o niepowodzeniu.

`cp2

Śnieg tłumi odgłosy bębna, toteż Berel nie słyszy ich, aż rozlegną się w sąsiednim obozie. Więc dopadli go i już prowadzą przez całe Birkenau! No cóż, skoro go mieli złapać - zmiłuj się nad nim Boże! - to lepiej teraz niż później. Pierwszy raz od miesiący Berel obawiał się, że kolana go nie utrzymają. Odgłos bębna dodaje mu sił. Dwaj SS-mani wynoszą na plac apelowy kozioł do chłosty. Zaraz się skończy.

Otóż i ten człowiek. Trzej oficerowie idą przed nim, trzej za nim, zostawiając mu dużo miejsca na odegranie tej solówki. Jeden go szturcha zaostrozonym kijem, zmuszając do tańca w rytm bębna, w który nieszczęśnik sam uderza. Ledwie może się utrzymać na nogach, ale idzie, podskakując i bębniąc.

Błażeński strój jest już zaszargany od długiego używania. Na siedzeniu i nogawkach krew poplamiała jaskrawo żółty materiał. Ale i tak jest to potwornie komiczny widok. Na szyi dynda jak zwykle tabliczka: Hurra, jestem tu z powrotem! wielkie, czarne, gotyckie litery. Kto to jest? Trudno go

rozpoznać pod grubym malowidłem na twarzy, czerwone usta, groteskowe brwi. Kiedy ich mija w tańcu, słabo uderzając w bęben, Berel słyszy, jak Mutterperl syknął.

Chłosta nie trwa długo. Jego zadek, kiedy go obnażają, to surowe i krwawiące mięso. Dają mu jeszcze tylko dziesięć razów. Nie chcą go zbyt osłabiać. Najpierw czeka go przesłuchanie w Gestapo. Chcą, żeby pozostał na tyle rzeński, aby tortury go skłoniły do mówienia. Może nawet go trochę dokarmią dla lepszej kondycji. W końcu zostanie, rzecz jasna, powieszony w czasie apelu, ale dużo z niego już nie zostanie do powieszenia. Ucieczka to nielekką sprawą. Ale jeśli alternatywą jest wyjście przez komin, człowiek ma niewiele do stracenia szukając innej drogi wydostania się z Oświęcimia.

Zamarznięte szeregi rozsypują się. SS-mani i kapo klną, walą pałkami, zaganiając powoli ruszających się więźniów z powrotem do baraków. Niektórzy potykają się i przewracają. Zesztywniałe nogi utrzymywały ich, dopóki się nie poruszyli. Wystarczy zgnać te zamrożone stawy i można się zwalić! Berel wie o tym. Przekonał się w marszu z Lamsdorfu. Stąpa na swoich odrętwiałych, lodowato zimnych nogach, jakby tkwiły w żelaznych okuciach, niezdarnie przesuwając je ruchami z biodra.

Barak, w którym temperatura wynosi zapewne około zera, ale przynajmniej śnieg nie pada, wydaje się przytulnym schronieniem: prawie że dom. Kiedy zgaszono światło, Mutterperl szturcha Berla, który obraca się ku niemu i przytyka ucho do warg przodownika.

Ciepły oddech; ledwie dosłyszalne słowo:

- Odwołane.

Berel zmienia pozycję, on teraz przykłada wargi do ucha Mutterperla. - Kto to był?

- Nieważne. Wszystko odwołane.

`cp2

Komendant z ulgą i ze szczerym rozbawieniem śmieje się gromko, odkładając słuchawkę. Psy go wytropiły, mówi do pułkownika. Nieszczęsny skurczybyk próbował uciec w jednej z wielkich cystern, które wywożą łajno z latryn. Niedaleko ujechał, a był tak ubabrany w gównie, że trzech ludzi musieli go zmywać wężami. No i po wszystkim!

Blobel wali go w ramię. Nieudana ucieczka, mówi roztrąpnie, jest korzystna dla dyscypliny. Niech taki skurwysyn służy za przykład. Oto psychologicznie właściwy moment, uznaje komendant i zaprasza pułkownika na górę, do swego prywatnego gabinetu. Zamyka drzwi na klucz, otwiera szafę i wyciąga z niej skarby. Z lubością rozkłada je na biurku. Załzawione oczy pułkownika rozszerza błysk zazdrości i zachwytu.

Jest to damska bielizna: coś nadzwyczajnego, jak z bajki, mięciutkie dzieła sztuki, śliczne, koronkowe zwiewności, od których mężczyźnie stają na sam widok. Majteczki, staniczki, koszulki, figi, podwiązki, z pastelowych jedwabów jak mgiełka, idealnie uprane i gotowe, żeby nałożyła je gwiazda filmowa! Najlepsze na świecie! Komendant wyjaśnia, że ma w rozbieralni człowieka specjalnie do tego, aby gromadził najśliczniejsze z tych rzeczy, jakie wypatrzy. Niektóre z tych Żydówek są zachwycające. I jakież cuda, Jezu Chryste, zdejmuję się z ich tyłeczków! Proszę tylko popatrzeć.

Pułkownik Paul Blobel zgarnia dwie garście majteczek i pasków do podwiązek, przyciska je sobie do krocza, jak babski zadek, obszczerzając się szeroko do komendanta z męskim warknięciem chrzrrr! Komendant powiada, że jest to prezent dla pułkownika. On ma tego mnóstwo, na tony. Ale te są najlepsze z najlepszych. SS-mani dostarczą pułkownikowi do samolotu paczkę wybornej jakości, jak również trochę porządnej whisky i koniaku, kilka pudełek cygar i tak dalej.

Blobel potrząsa głową, ścisną go z lekka, jakby stał się innym

człowiekiem. Zasiadają do rzeczowej rozmowy.

Najpierw Blobel urządza mu wykład o zaletach krematorium w porównaniu z paleniem w dołach. Ma w tej kwestii poglądy wyrobione i kompetentne. Udziela kilku technicznych sugestii, jak poprawić skuteczność palenia w jamach. Bardzo użyteczne! Później przechodzi do rzeczy. Auschwitz przysłała mu śmiecie, nie robotników. Kommando 1005 ma do wykonania bardzo ciężką robotę. Ci ludzie, których mu się przysłała, nie wytrzymują trzech tygodni, a na samo techniczne przyuczenie ich potrzebne są trzy tygodnie. Blobel ma już dość wysyłania skarg do Berlina. Wie, że jeśli robota ma być porządnie wykonana - jak mówił komendant - trzeba ją samemu wykonać. Przyjechał więc do Auschwitz, ażeby to załatwić. Należy te sprawy doprowadzić do ładu.

Mówi to przyjaznym tonem. Komendant odpowiada mu, że zrobi, co będzie mógł. Ale sam jest w kropce. Himmler nie może się zdecydować, do czego właściwie ma służyć Auschwitz. Czy chce likwidować Żydów? Czy zmuszać ich do pracy? W jednym tygodniu Eichmann obejździ komendanta, że skierował zbyt wielu przybyłych Żydów do obozu pracy zamiast do gazu. W następnym tygodniu, albo i następnego dnia, Pohl z Wydziału Ekonomicznego męczy go, że kieruje za mało Żydów do fabryk. Dopiero co nadeszły dyrektywy, długie na cztery strony, z poleceniem, ażeby chorych Żydów po przybyciu leczyć i kierować do pracy, jeśli mogą do niej być zdolni przez sześć miesięcy. Dla kogoś znającego Auschwitz to czysty nonsens. Biurokratyczny bełkot i tyle! No i proszę. Komendant ma do obsadzenia tuzin fabryk i cierpi na chroniczny brak rąk do pracy.

Blobel zbywa to wszystko machnięciem ręki. Kommando 1005 ma bezwzględne pierwszeństwo. Może komendant chciałby o to zapytać Himmlera? Blobel nie ruszy się z Oświęcimia - i teraz nie brzmi to już zbyt przyjaźnie - bez zapewnienia, że w następnym transporcie otrzyma czterystu albo pięciuset pełnosprawnych Żydów. Pełnosprawnych! Takich, którzy dadzą mu trzy lub cztery miesiące ciężkiej pracy, zanim trzeba się będzie ich pozbyć.

Pod presją komendant wykazuje zaradność. W tym interesie nie może być inaczej. Doznaje olśnienia. Pułkownik Blobel widział, powiada, grupę zatrudnioną przy Krematorium II. To świetny zespół roboczy, draby odkarmione i krzepkie, lepszych nie ma w całym obozie. Po ukończeniu tej pracy mają być zlikwidowani. Krematorium rusza w przyszłym tygodniu. A gdyby tak? Kommando 1005 może otrzymać całą grupę od Krematorium II. Czy to wystarczy?

Blobel jest całkowicie usatysfakcjonowany. Dwaj oficerowie przypieczętowują to uściskiem dłoni i otwarciem następnej butelki koniaku.

Zanim o trzeciej rano zataczając się ruszą do łóżka, zgodnie i rozwlekłe stwierdzą, że ich robota jest brudna lecz zaszczytna, że SS to serce i dusza narodu, że na froncie żołnierzom nie jest tak ciężko, że jedynym zbawieniem dla Niemiec jest posłuszeństwo woli Führera, że Żydzi to odwieczny wróg ojczyzny, że ta wojna jest historyczną i trafiającą się raz na tysiąc lat szansą, aby ich na dobre wyplenić; że zabijanie kobiet i dzieci tylko wydaje się takie okrutne, że to cholernie obrzydliwa robota, ale chodzi o przyszłość cywilizacji i kultury europejskiej. Rzadko wypowiadają się tak szczerze o sprawach, które im ciąży na sercu, ale okazuje się, że łączy ich zadziwiająco pokrewieństwo duchowe. Objawszy się za ramiona zmierzają, zataczając się, do swoich sypialni iniemalże miłośnie mówią sobie dobranoc.

`cp2

W tydzień później ciężarówki zabierają brygadę budowlaną od krematorium do Krakowa. Zanim wyjadą z Oświęcimia, dociera do nich z Oddziału Zatrudnienia coś niecoś o Kommando 1005. Że to wyrok śmierci z zawieszeniem i tyle. Jednak ucieczka z 1005 jest podobno łatwiejsza. W Krakowie ładują ich do pociągów jadących na północ. Mutterperl i Jastrow

wiozą dwie identyczne rolki nie wywołanego filmu, które wsunięto im już po tym, jak zostali zrewidowani, rozebrani do naga i dostali inne ubrania na wyjazd. Obaj wyuczyl się na pamięć nazwisk i adresów w Polsce i Czechosłowacji, jak również tego, gdzie w Pradze należy dostarczyć filmy.

`ty

47

`ty

`ty

Globalne Waterloo 3: Rommel

(z Całopalenia świata Armina von Roon)

`ty

`ty

Zwornik Losu

`ty

W napisanej przez siebie historii Winston Churchill nazywa bitwę pod El Alamein "Zwornikiem Losu". Faktycznie było to interesujące starcie podręcznikowe, przywołujące do życia taktykę z I wojny światowej w scenerii pustynnej. Podwójny polityczny wstrząs El Alamein i "Pochodni" był niewątpliwie poważny. Akurat wówczas, gdy Ameryka ostrożnie wetknęła czubek stopy w wojnę europejską na jednym krańcu Afryki Północnej, na drugim jej krańcu legendarny Lis Pustyni został przepędzony z Egiptu. Cały świat się zdumiał. Aliantów podniosło to na duchu, Niemców zaś przygnębiło; morale Włochów załamało się.

Niemniej jednak, mimo wielkich odległości i barwnych bitw, Afryka Północna była drugorzędnym terenem działań wojennych. Z chwilą, gdy Hitler odstąpił od strategii śródziemnomorskiej, będącej jego ostatnią szansą na wygranie wojny, ten front spadł do roli kosztownej i tragicznej przyczepki; a kiedy poniewczasie rzucił większe siły na Tunis, zamienił się w militaryny krwotok. To charakterystyczne, że Churchill poświęca około dwudziestu stron na El Alamein, a około siedmiu łącznie na Stalingrad i Guadalcanal. Trudno posunąć się dalej w historycznej krótkowzroczności.

`ty

Największe głupstwo Churchilla

`ty

Co Churchill w ogóle, rzecz jasna, przemilcza, to fakt, że całą sytuację w Afryce Północnej spowodowało jego własne kretyńskie wmieszanie się do spraw dowodzenia.

Mussolini wciągnął Włochy do wojny w 1940 roku z upadkiem Francji, po tym, jak Wielka Brytania zostawiła swego sojusznika na lodzie pod Dunkierką. Włoski dyktator myślał, że może tanim kosztem złupić dwa ginące imperia, więc z olbrzymiego, jałowego obszaru swej Libii ruszył z inwazją na Egipt. Był to przypadek hieny, która przez pomyłkę wzięła niedomagającego lwa za martwego i zbyt pochopnie ugryzła. Brytyjskie lotnictwo i flota pozostały prawie nietknięte; siły lądowe na Bliskim Wschodzie również. Więc nie dość, że Brytyjczycy przeprowadzili kontratak na lądzie i w powietrzu, zmuszając Włochów do ucieczki na zachód, ale ruszyli też niewielkimi siłami na południe, zajmując Somalię i Abisynię. Oczyszczili w ten sposób Morze Czerwone i całe wschodnie wybrzeże Afryki dla swojej żeglugi.

Tymczasem zaś rozgramiali Włochów wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego. Gdziekolwiek pojawiły się brytyjskie kolumny pancerne, Włosi gromadnie poddawali się, mimo swej ogromnej przewagi liczebnej. Wyglądało na to, że Anglicy podbijają Afrykę Północną aż do granic neutralnej francuskiej Tunezji. Zapewniało im to morskie i powietrzne panowanie na Morzu

Śródziemnym, co miałyby dla nas bardzo poważne konsekwencje.

Jakkolwiek Hitler był wówczas pochłonięty planami podboju Rosji, wydarzenia te jednak skłoniły go do wysłania eskadry lotniczej na Sycylię i niedużych sił pancernych do Tripoli, aby wesprzeć upadających Włochów. I tak oto pojawił się na widowni nieśmiertelny Rommel. W lutym 1941 roku, gdy ten mało znany podówczas młody generał wojsk pancernych wylądował w Tripoli, Włosi trzymali się resztkami sił. Jego Afrika-Korps, liczący 10 tysięcy ludzi, był absolutnie niewystarczający, żeby powstrzymać szybko zbliżające się siły brytyjskie. Ale Churchill, popełniając swój najgorszy błąd w całej wojnie, stworzył historyczną szansę dla Rommla.

Niedołężny Mussolini miał w tym czasie kłopoty w Grecji, a Hitler chciał spacyfikować Bałkany, zanim uderzymy na Rosję. Oczywiście było, iż możemy dokonać inwazji na Grecję, aby sobie oczyścić teren. Przewidując to, Winston Churchill powstrzymał ofensywę swoich zwycięskich sił w Afryce, wyrwał z nich cztery najmocniejsze dywizje i wysłał je do Grecji! Znowu objawiła się jego stara obsesja bałkańska, która już w I wojnie światowej spowodowała haniebną klęskę pod Gallipoli.

W obu wojnach Churchila prześladowała absurdalna fantazja, że wielojęzyczne, skłócone ze sobą narody na Bałkanach, ta łatanina małych państewek, powstała na gruzach imperium otomańskiego, da się skłonić do zjednoczenia i "poderwania się przeciwko Niemcom". Tym razem Anglia przypłaciła tę jego manię straszliwą klęską w Grecji i na Krecie, "małą Dunkierką", jak również możliwością zapanowania w Afryce Północnej. Zanim pobite dywizje zdołały wrócić do Libii, z nadszarpniętym wyposażeniem i już bez zapasu, Rommel zdążył się okopać i Wojna na Pustyni szła na całego. Potrzebne były dwa lata ciężkich walk i cała olbrzymia inwazja anglo-amerykańska, żeby nadrobić kretynstwo Churchilla i odzyskać dla Anglii to, co już miała w ręku i zaprzepaściła.

Przypisek tłumacza: Każdy wielki człowiek popełnia błędy. Churchill z pewnością nie w porę przerzucił siły z Afryki do Grecji. W swoim jawnie egocentrycznym, choć pięknie napisanym dziele historycznym w sześciu tomach pt. Druga wojna światowa Churchill nie przyznaje się do tego błędu. Trzeba przeczytać kilka innych książek, nie wyłączając takich jak dzieło Roona, aby nabrać jasnego wyobrażenia, co się tam naprawdę wydarzyło.

(V.H.)

`ty

Wojna na pustyni

`ty

Wojna pustynna w Afryce Południowej przez półtora roku oscylowała pomiędzy dwiema bazami w portach, oddalonych od siebie o 2200-71km: Tripoli w Libii i Aleksandrii w Egipcie. Tam i z powrotem odbywała się gra w wilka i owce. Najpierw Afrika-Korps, a potem Brytyjczycy atakując rozciągnęli swe linie zaopatrzenia, wyczerpali się i zawrócili do bazy. Zaopatrzenie do tego stopnia rządziło tą wojną, że Rommel napisał: "Każda z kampanii na pustyni była wygrana albo przegrana przez kwatermistrzostwo, zanim jeszcze oddano w niej pierwszy strzał".

W mistrzowskiej taktyce pustynnej Erwina Rommla rządziła koncepcja odkrytej flanki południowej. Na północy leżało Morze Śródziemne; na południu piaszczysta pustka. Konwencjonalne reguły wojny lądowej topniały wobec flanki otwartej niczym ocean. Właśnie posunięciami z flanki Rommel odnosił zwycięstwo po zwycięstwie, stosując wciąż nowe sztuczki, aby oszołomić flegmatycznego przeciwnika.

Jednakże na pustyni zasięg armii, tak jak floty na morzu, jest określony przez ilość paliwa, żywności i wody, jaką może ze sobą zabrać, z zapasem na powrót do bazy. Rommel w brawurze swej nieco lekceważył te ograniczenia; na szczęście jego wyborczy sztab o nich pamiętał. Tego Adolf Hitler nigdy nie

mógł zrozumieć. Miał on mentalność piechura z I wojny światowej. W Europie dobrze funkcjonujące linie zaopatrzenia uważano za rzecz oczywistą, poza tym oddziały nasze mogły wyżyć z obfitych zasobów zdobywanych przez siebie krajów, takich jak Francja czy Ukraina. Obraz kolumn pancernych posuwających się po olbrzymich, pustych, jałowych równinach nie mieścił się w wyobraźni Hitlera. W swojej Kwaterze Głównej regularnie oglądał kroniki filmowe, ale nie zachwiały jego tępotą.

Byłem obecny przy dwóch okazjach, gdy Rommel przyleciał do Kwatery Głównej Führera w Prusach Wschodnich prosić o więcej zaopatrzenia. Znudzone, nic nie pojmujące, szklane spojrzenie dwóch polityków musiało brzydzić Rommla. Odpowiedź Hitlera brzmiała za każdym razem tak samo: figlarnie beztrojskie pokpiwanie z wielkiego generała frontowego, że jest "pesymista", gładkie obietniki, że zaopatrzenie się poprawi, ciepłe zapewnienia, że Rommel "i tak sobie poradzi" i nowy medal.

Göring tylko raz się odezwał, kiedy Rommel opisywał potęgę nowego amerykańskiego bombowca szturmowego Tomahawk, którym posługują się Brytyjczycy. Urażony w swej ambicji na punkcie swojej Luftwaffe, uśmiechnął się z przekąsem: "Bzdury! Amerykanie potrafią robić tylko dobre lodówki i żyłетки".

Rommel odparł: "Panie marszałku Rzeszy, Afrika-Korps chętnie dostałby duży przydział takich żyłetek".

Jednakże nic nie wyszło z nieulekłych apelów Rommla do tych ważniaków. Ażeby Mussolini zachował twarz, front afrykański zostawiono pod komendą włoską; a Włosi łamali obietnice dotyczące większego zaopatrzenia z taką samą szybkością, z jaką Mussolini ich udzielał.

`ty

Tobruk: zatruty owoc

`ty

Wielki szturm Rommla na Tobruk w czerwcu 1942 był dla nas punktem kulminacyjnym. W momencie, gdy Manstein zdobył Sewastopol i liczba zatopień przez nasze U-Booty gwałtownie rosła, upadek Tobruku wstrząsnął światem. Brytyjczycy wycofali się aż na linię El Alamein w Egipcie, zaledwie 150-7|km od Aleksandrii. W Tobruku wpadła nam w ręce ogromna zdobycz: benzyna, żywność, czołgi, działa, amunicja w ilościach występujących tylko u nieprzyjaciela, lecz nigdy u nas. Nadszarpnięty i wymęczony Afrika-Korps, jak zagłodzony lew, który upolował i pożarł gazelę, z rykiem poderwał się do życia. Rommel wystąpił o pozwolenie na to, aby ruszyć po rozstrzygające zwycięstwo. Hitler dał mu zielone światło. Naprzód do Suez; a może i do Zatoki Perskiej!

Te dni przy mapach uderzały do głowy. Widzę oczami wyobraźni, jak blady Führer o nalanej twarzy stoi przy stole z mapą Afryki Północnej, wsparty na sztywnych ramionach, w swojej ulubionej postawie, w bardzo grubych szklach do czytania, w których nigdy się nie pokazał publicznie, unosząc pulchną białą dłoń, z lekka drżąca, aby zamaszycie przejechać nią od Tobruku przez Suez, Palestynę, Irak do ujścia Eufratu. Niestety Führer miał skłonność toczyć wojny za pomocą takich właśnie wizjonerskich, zamaszystych gestów. Logistyka go nudziła. Albo zmiatał od niechcenia te drobne szczegóły z zaopatrzeniem, albo zastraszał w atakach wrzasku generałów, zbyt mocno naciskających go o takie doczesne realia. Ponieważ jego straszliwa siła woli czasami rzeczywiście dokonywała cudów, przyzwyczał się żądać niemożliwości.

Tym razem naprawdę zażądał od Rommla niemożliwości, gdyż posłużył się upadkiem Tobruku jako pretekstem do odwołania "Operacji Herkules", czyli zdobycia Malty. Ta nieduża lecz silnie ufortyfikowana baza na wyspie leżała na drodze zaopatrzenia dla Rommla, w odległości 90-7|km od Sycylii. Mussolini pragnął ją zdobyć. Ale Hitler, pochłonięty myślami o froncie

wschodnim, przez rok tylko chrząkał i pomrukiwał, a teraz odstąpił od tego zamiaru. Był to zasadniczy błąd. Malta bez ustanku stała w drodze, a każdy zatopiony tankowiec i okręt z amunicją osłabiał Rommla. Hitler uważał, że bombardowania przez Luftwaffe wyłącza Maltę z akcji, lecz Brytyjczycy łatali swe pasy startowe, ścigali na Maltę coraz więcej samolotów, przyplływali w coraz większej liczbie okrętów podwodnych, przedzierali się w konwojach i zaopatrywali swój garnizon.

Tobruk przekonał Hitlera i Mussoliniego, że Rommel, ten cudotwórca, potrafi wyczarowywać zwycięstwa z powietrza i że jego skargi na brak zaopatrzenia to tylko histerie primadonny. Presja na zaopatrywanie go osłabła. Zasoby zdobyte w Tobruku zaczęły się wyczerpywać w miarę, jak posuwał się na El Alamein i pod koniec sierpnia zaatakował je, omal go nie zdobywając. A zaopatrzenie ciągle nie nadchodziło. Jego własna fama go dławiała.

`ty

Brytyjczycy gromadzą siły

`ty

Po stronie brytyjskiej upadek Tobruku przyniósł odwrotny skutek. Churchill przebywał wtedy w Washingtonie i Roosevelt zapytał, jak może mu pomóc. Nigdy nie krępujący się Churchill z miejsca poprosił o trzysta czołgów typu Sherman, najnowszej broni amerykańskiej. Nie słuchając utyskiwań swej armii Roosevelt dał mu je i dorzucił jeszcze sto czołgów Grant, mnóstwo nowych działek przeciwpancernych i innego wyposażenia. Na zasadzie najwyższego priorytetu odpłynął z tym wielki konwój do Egiptu przez Przylądek Dobrej Nadziei. Gdy we wrześniu rozładowano ten konwój, samo tylko dostarczone w nim wyposażenie i amunicja przeważały nad wszystkim, co miał do rozporządzenia Afrika-Korps w bitwie pod El Alamein. W tym czasie Brytyjczycy przez Morze Śródziemne dozbrajali na gwałt również Montgomery'ego. Poza tym zawsze można było sięgnąć do rafinerii perskich i po rezerwy z Palestyny.

W gruncie rzeczy sprawa już była przesądzona. Rommla wiele krytykowano za to, że nie wycofał się spod El Alamein, rezygnując z bitwy, bo przewaga brytyjska robiła się druzgocąca.

Przypisek tłumacza: Roon zamieszcza tu tabelę, z której wynika, że Brytyjczycy mieli pod El Alamein przewagę w czołgach, samolotach i ludziach, wynoszącą pięć do jednego lub więcej. Jest to wątpliwe, ale w brytyjskich relacjach zestawienia liczb też nie zawsze odpowiadały prawdzie.

(V.H.)

`cp2

Ale Rommel nie mógł się wycofać. Jego logistyka była tak słaba, tak dotkliwie zawiódło go dowództwo naczelne, tak wielkie szkody wyrządziła Malta, że Afrika-Korps właściwie nie miał dosyć benzyny, aby wrócić przez Pustynię Libijską. Rommel musiał stanąć do walki, zużywając w tej bitwie tyle paliwa, ile posiadał. Za El Alamein leżała Aleksandria, zaopatrzona jeszcze obficie niż Tobruk; za nią wciąż kusił Suez. A on nieraz już pobił Brytyjczyków. Miał ich namierzonych. Tylko jedna bitwa, jedno zwycięstwo i wszystko może się obrócić na dobre!

El Alamein było od dawna przygotowaną brytyjską linią odwrotu, silnie ufortyfikowaną i zaminowaną. Front ciągnął się przez jakieś 60-70 km od wybrzeża do depresji Qattara, gdzie urwiste skały spadały w rozległe słone bagna i ruchome piaski, leżące 60-70 m poniżej poziomu morza. Było to idealne pole bitwy dla ukształtowanych w I wojnie światowej umysłów kierujących siłami brytyjskimi, a niezdatne do pustynnej taktyki Rommla.

On również założył olbrzymie pola minowe, głębokie na piętnaście

kilometrów, wykorzystując głównie zdobyczne miny brytyjskie. Ufortyfikował wzniesienia, oszczędzał paliwa i amunicji, zebrał, błagał i wściekał się o więcej zaopatrzenia; i czekał, kiedy nieprzyjaciel zaatakuje. Ale jego przeciwnik, Bernard Montgomery, nie śpieszył się. Montgomery łączył w sobie skłonność do kwiecistej i wojowniczej retoryki ze skrajną ostrożnością w planowaniu i walce. Eisenhower nazwał go kiedyś wyborym "dowódcą na planie". Montgomery chciał, ażeby plan, jaki sobie ustawi do bitwy z Rommlem, był niezawodny.

Erwin Rommel nie był człowiekiem mocnego zdrowia, które go nagle zawiadło. Odleciał na urlop lekarski do Niemiec. Gdy zaczęła się bitwa, przebywał jeszcze w szpitalu, anglo-amerykańska armada zaś już znajdowała się na pełnym morzu w drodze do francuskiej Afryki Północnej.

`ty

Wybuch pod El Alamein

`ty

Montgomery zaatakował w październiku o pełni księżyca. Zmasowana artyleria w sile tysiąca dział położyła ogień zaporowy jak pod Verdun; następnie fale piechoty uderzyły przez pola minowe, zdobywając wysunięte pozycje; saperzy metr po metrze oczyszczali z min wąskie przejścia; za nimi posuwały się z wolna czołgi. Były to ciężkie, pozbawione wyobraźni, mozolne działania wojenne, ortodoksyjne jak ćwiczenia polowe w Sandhurst. Montgomery miał przewagę w ludziach, pociskach i pancerzu, nie próbował więc żadnych sztuczek. Nasze oddziały i niektóre z najlepszych dywizji włoskich, dobrze okopane na całej linii, stawiały wytrwale opór. Przed świtem natarcie utknęło na polach minowych, mając przed sobą gniazda ciężkich dział przeciwczołgowych.

Hitler rozkazał, aby Lis Pustyni prosto ze szpitala poleciał do El Alamein i objął dowództwo. Nierówne zmagania ciągnęły się przez tydzień. Rzucając do bitwy ludzi i maszyny z zjadłością jak w I wojnie światowej, Montgomery nie mógł się jednak przedrzeć. Rommel świetnie się bronił, przerzucając tam i z powrotem swą topniejącą garstkę czołgów, niemalże licząc pociski i kanistry z benzyną przed każdym kontratakiem.

W Londynie Churchill niecierpliwie czekał na przełom. Chciał wydać polecenie, ażeby w całej Anglii rozdzwoniły się po raz pierwszy w tej wojnie dzwony zwycięstwa; tak jak Mussolini w lipcu poleciał do Libii - ze świtą, białym koniem i tak dalej - na swój triumfalny wjazd do Aleksandrii. Ale z upływem dni trzeba było odkładać to dzwonicie. Mówiąc bez ogródek, Afrika-Korps zatrzymał Montgomery'ego. W Aleksandrii i w Londynie zaczęto się martwić, czy nie trzeba będzie zaprzestać walki; czy nie dojdzie do sytuacji patowej, bardzo podobnej, jak ta na froncie zachodnim w 1916 roku.

Ale Rommel nie mógł już wytrzymać tej walki. Jego czołgi wykruszały się. Amunicja była na wyczerpaniu. Nie miał wsparcia z powietrza i RAF walił w niego, jak chciał. Ponieważ zabrakło czołgów, pożerających benzynę, mógł posłużyć się resztą paliwa i ciężarówkami wycofać swych żołnierzy do Libii. Postanowił to zrobić, ale popełnił fatalny błąd i zadesperzował do Hitlera o pozwolenie na odwrót. Oczywiście natychmiast przyszła odpowiedź: "Utrzymać się za wszelką cenę, nie ma odwrotu, żołnierze nasi muszą zapisać nową, zaszczytną kartę w dziejach oręża!" i tak dalej, i tym podobne.

Opóźniło to wycofanie się lojalnego Rommla o pełne dwie doby i zmusiło go do porzucenia swej dywizji piechoty włoskiej, ażeby ocalić Afrika-Korps. Dwa dni wcześniej mógłby jeszcze wszystkich wydostać, ale teraz musiał wybierać, co ważniejsze, i zachować swoją siłę uderzeniową. Montgomery był powolny w pościgu i Lis Pustyni wykonał skuteczny odwrót do Libii i Tunisu.

Tak wyglądał w rzeczywistości "Zwornik Losu", czyli bitwa pod El Alamein.

W październiku 1942 roku Afrika-Korps był już niemalże wykończony wskutek zbrodniczych wręcz braków w zaopatrzeniu. Po straszliwych przygotowaniach

Montgomery przyłożył powalonemu Rommlowi do skroni pistolet swej Ósmej Armii, pociągnął za cyngiel... i chybił. Lis Pustyni zerwał się i uciekł. Mniej więcej do tego się to sprowadza.

Że w każdej chwili można było przysłać mu w ogromnej ilości konieczne zaopatrzenie - ludzi, czołgi, paliwo, samoloty, działa przeciwpancerne - zostało aż nadto udowodnione ponieważ, gdy Anglo-Amerykanie już wylądowali. Wtedy Hitler i Mussolini, urażeni w swojej politycznej dumie, przerzucili do Tunezji drogą powietrzną i morską całe armie, stopniowo podnosząc ich liczebność prawie do trzystu tysięcy ludzi. Gdyby takie posiłki przysłano Rommlowi w lipcu, oręż niemiecki dotarłby do pól naftowych Zatoki Perskiej i do Indii. Wymykając się swym ospałym prześladowcom, Rommel przemierzył kontynent, wspaniale walcząc w odwrocie, objął dowództwo wysuniętego frontu w Tunezji i rozbił harmonogram działań Aliantów na Morzu Śródziemnym. Ale marzenie o Suezie i o tym, co dalej, zostało unicestwione.

`ty

Pochodnia: podsumowanie

`ty

Kampania anglo-amerykańska w Afryce Północnej była pokazem niedołęstwa nawet i przed pojawieniem się na widowni Rommla. Jej kluczem był rejon portowy Bizerta-Tunis nad Cieśniną Sycylijską, zaledwie 150-70 km od Europy. Brytyjczycy chcieli wylądować w jego pobliżu i pognać do celu. Lecz armia amerykańska, w obliczu swego chrztu bojowego, lękała się zapuścić tak daleko poza Cieśninę Gibraltarską. A lotnictwo niemieckie? pytali niedoświadczeni generałowie amerykańscy; a ewentualna interwencja ze strony Hiszpanii, która mogłaby odciąć ekspedycji drogi zaopatrzenia? Chcieli ostrożnego lądowania na linii kłębiącego się przyboju oceanicznego w Casablance, na zewnętrznym wybrzuszeniu Afryki, mającym połączenie z rejonem docelowym tylko jednotorową, sfatygowaną linią kolejową. W ostatecznym, kompromisowym planie zachowano lądowanie w Casablance, dodając do niego przyczółek na plaży po wewnętrznej stronie Gibraltaru, o wiele za daleko od głównego celu. Posiłki państw Osi zdążyły drogą morską i powietrzną wcześniej przeprowić się z Europy i zająć Tunis.

Lecz wygrany wyścig do Tunisu był tylko pułapką, w którą wpakowali się dwaj dyktatorzy. Mając do obrony całą fortecę Europy nie mogliśmy, na dłuższą metę, zatriumfować w Afryce Północnej nad bogatym i nietkniętym przemysłowym ustrojem Ameryki. Nasze armie w Tunezji z góry skazane były na to, aby stać się równie olbrzymim workiem jeńców jak VI Armia pod Stalingradem. Nie mogło temu zapobiec nawet dowództwo Rommla, mimo że zdołał on pokrzyżować alianckie plany szybkiego zwycięstwa. Afryka Północna była naszą najbardziej bezużyteczną klęską, pod wodzą najlepszego z naszych generałów; kolejną klęską Führerprinzip w warunkach wojennych.

`ty

Triumf Roosevelta

`ty

Roosevelt zyskał na operacji "Pochodnia" to, czego chciał: pokazowe "zwycięstwo" dla podtrzymania na duchu frontu krajowego; pole bitwy, na którym jego zieloni rekruci i świecący guzikami generałowie mogli popełniać swoje pierwsze błędy (a mnóstwo ich popełnili) niewielkim kosztem; i wiarygodny drugi front dla udobruchania Rosjan. Generał Marshall słusznie przepowiadał, że ten marginesowy popis przedłuży wojnę co najmniej o rok, ale na razie Roosevelt na tym zyskał. Łatwy sukces "Pochodni" zamroził Hiszpanię w stanie neutralności, uspokoił Turków i spowodował szybki upadek Mussoliniego.

Wszystko to Roosevelt osiągnął we francuskiej Afryce Północnej za cenę

około dwudziestu tysięcy zabitych albo wziętych do niewoli Amerykanów i mniej niż połowy tej liczby Brytyjczyków. Jeżeli dodać, że w przeciągu czterech lat wojny, która de facto zapewniła Ameryce panowanie nad światem, Stany Zjednoczone straciły na wszystkich frontach mniej niż 300 tysięcy ludzi poległych w bitwie - mniej więcej tyle, co my pod Stalingradem - Rosjanie zaś stracili około jedenastu milionów żołnierzy, a my jakieś cztery miliony, trzeba stwierdzić, że w sumie strategia wojenna Franklina Roosevelta to dzieło złego geniusza.

Churchill nigdy nie uderzył w te dzwony. Ósma Armia dostała zbyt ciężkie baty od Rommla, zanim ten się wycofał. Co więcej, w obliczu operacji "Pochodnia", mającej właśnie ruszyć w oparciu o zielone oddziały amerykańskie, Churchill mógł się obawiać pogromu. Tak czy owak rozmyślił się i Rommel, nawet pobity, uciszył bicie w angielskie dzwony kościelne.

Przypisek tłumacza: Ze względu na wysokie mniemanie, jakie ma Roon o generale Rommlu, warto tu zacytować jedno zdanie z Pamiętników Rommla: "Bitwa, która rozpoczęła się 23 października 1942 pod El Alamein, odwróciła przebieg wojny w Afryce na naszą niekorzyść i w gruncie rzeczy stała się prawdopodobnie punktem zwrotnym w całości tych ogromnych zmagañ".

Najwidoczniej w tym punkcie Rommel podzielał "krótkowzroczność" Churchilla.

W każdej dyskusji o etyce wojskowej Rommel pojawia się jako postać ważna i kontrowersyjna. Był zamieszany w spiszek generałów na życie Hitlera w 1944 roku. Większość generałów zachowała w stosunku do Hitlera niewolniczą lojalność i Führer wysłał dwóch spośród nich, aby skończyli z Rommlem. Dali mu do wyboru albo publiczny proces o zdradę, albo cichą śmierć od trucizny (oficjalnie od ataku serca) i "pogrzeb bohatera" z gwarancją bezpieczeństwa dla jego rodziny. Zażył truciznę i odstawili go martwego do szpitala. Hitler natychmiast ogłosił dzień narodowej żałoby po wielkim Lisie Pustyni.

Rommel do końca walczył za Hitlera. Gdy go zamordowano, był już złamany chorobą i ciężkim wypadkiem samochodowym. Wiedział o obozach zagłady. Uważał Führera za nieudolnego w roli dowódcy. Ubolewał nad marnotrawstwem życia i mienia wskutek przewlekłego przegranej wojny. Nienawidził całej bandy nazistów, poświęcających resztki tego, co pozostało z Niemiec, aby dłużej się utrzymać przy władzy. A jednak walczył, póki nie stał się do tego niezdolny; a potem zażył truciznę, którą Führer przysłał mu za pośrednictwem generałów, jego kolegów.

Kariera Rommla jest poniekąd lekcją pogładowa dla wojskowych na temat trudności wytyczenia linii granicznej, jaka dzieli nieugiętą lojalność od zbrodniczej głupoty.

Jeśli chodzi o twierdzenie Roona, iż "Amerykanie nie umieją znosić strat w bitwie", trochę zbyt często słyszałem to z ust Europejczyków. Pewien rosyjski generał powiedział kiedyś Eisenhowerowi, że jego metoda oczyszczania pól minowych polega na tym, iż rozkazuje przemaszerować po nich kilku brygadam. My Amerykanie walczyliśmy w inny sposób, jeżeli to możliwe. Jednak w Wojnie Domowej stoczyliśmy niejedną z najkrwawszych bitew, jakie zna historia, a w momencie kapitulacji Południe odżywiało się trawą i żołędziami. Nikt jeszcze nie wie, co naród amerykański potrafi zrobić w ostateczności.

Istotnie wydaje się, że nasz klimat moralny diabli biorą - piszę to w 1970 roku, w epoce "antykultury" - ale moi przełożeni uskarżali się na to samo w latach 1920-tych, w epoce "płomiennej młodości", do której wówczas ja też mniej czy bardziej należałem.

(V.H.)

`ty

48

`ty

Usłyszawszy dzwonek u drzwi wejściowych Janice otworzyła je i zamrugała.

Stał w nich zgarbiony Victor Henry, ze smutnymi i znużonymi oczyma, z twarzą szarą jak jego źle dopasowany roboczy mundur. W rękach miał drewniany kuferek i pękata skórzaną teczkę.

- Hej. - Głos także był smutny i znużony.

Ściskając pod szyją kołnierz rozchylającego się szlafroka, wykrzyknęła: - Tato! Wejdz, wejdz! Co za niespodzianka! W domu straszny bałagan, ja też jestem w rosole, ale...

- Próbowałem zatelefonować. Znam zasadę, że do osób rodzaju żeńskiego nie przychodzi się bez uprzedzenia. Ale było zajęte, a ja mam bardzo mało czasu. Miałem trudności ze znalezieniem twojego nowego adresu.

- Napisałam ci w liście.

- Nigdy go nie dostałem. - Rozejrzył się po niedużej bywalni, przeskakującym spojrzeniem omijając fotografię Warrena, zawieszoną na ścianie. - Z meblami tu troszkę ciasno.

- Czy wygląda to na obsunięcie się? Ja i Vic teraz nic więcej nie potrzebujemy.

- Oddałaś moje rzeczy na przechowanie?

- Nie, wszystko jest w pokoju Vica.

- To dobrze. Będzie mi potrzebny mój wizytowy mundur i kurtka.

- Jak długo zostaniesz w Honolulu?

- Kilka godzin.

- Och! Tylko tyle?

Uniósł krzaczaste brwi, w których Janice dostrzegła świeże przebliski siwizny. - Mam rozkaz wracać do Washingtonu. Pierwszeństwo przelotu pierwszej klasy. - Przelotny, cierpki uśmiezek i muśnięcie się kłykiem po nosie, ten sam ruch, który tak ją podniecał u Warrena. - Na terminalu NATS w Noumea odebrałem miejsce w samolocie redaktorowi jakiegoś dziennika z Australii. Był wściekły jak wszyscy diabli.

- Skąd taki pośpiech?

- Nie mam pojęcia.

- No cóż, jest pełna szafa twoich ubrań ze Stanów.

- Dobrze. Wszystko to mi się przyda. Moja skrzynka jest pusta. Nawet ten mundur musiałem pożyczyć.

Skorzystała z tego, aby mu cicho powiedzieć: - Przykro mi z powodu Northamptona.

- Było o tym w gazetach?

- Pogłoski. - Czym prędzej dodała, zakłopotana. - Zjadłbyś śniadanie?

- Chwileczkę, zastanowię się. - Opadł na fotel, trąc sobie oczy. -

Przydałaby mi się gorąca kąpiel. Spędziłem trzy dni i nocę w samolotach NATS. - Opierając głowę na dłoni, odezwał się nieobecny, zmęczony głosem. - Rzecz w tym, że o drugiej mam być u dowódcy Floty Pacyfiku, a mój samolot odlatuje o piątej.

- Boże, ale cię gonia!

- A gdzie mały?

- Tam na dworze. - Wskazała na otwarte drzwi balkonowe do zalanego słońcem ogrodu. - Już nie taki znów mały. Rośnie jak sam King Kong.

- Jan, a gdybym go poszedł zobaczyć, następnie umyłbym się i położył na chwilę, nim się zaczął pakować? Jeżeli zbudzisz mnie około dwunastej i dasz mi trochę jajecznicę, moglibyśmy chwilę pogadać i... o co chodzi?

- O nic. W porządku.

- Masz jakieś inne plany?

- Nie, nie, tak właśnie zrobimy.

Sięgnęła po telefon, a on wyszedł na porośniętą trawą podwórze. Jego wnuk, ubrany w kąpielówki w jarzącym się słońcu, rzucał czarnemu jak smoła szkockiemu owczarkowi czerwoną gumową piłkę. Młoda dziewczyna hawajska siedziała, pilnując opalonego, dobrze wyglądającego dziecka. - Hej, Vic. Pamiętajsz mnie?

Chłopiec odwrócił głowę i przyjrząwszy mu się powiedział: - Tak , jesteś mój dziadek - i rzucił piłkę psu. Miał oczy i szczękę Warrena, ale jego chłodna odpowiedź uderzyła Puga jako wzięta żywcem od Byrona.

- Wiesz, kto jeszcze ma takiego psa, Vic? Prezydent Stanów Zjednoczonych. Jak twój piesek się wabi?

- Toto.

Pies pogonił za piłką pod sznur, na którym suszyły się dwuczęściowy, różowy kostium Janice i kwaciaste kąpielówki męskie. Janice wyszła na słońce, podgarniając oburącz do góry swe gęste, jasne włosy. - No i co o nim myślisz?

- Wzór fizycznej doskonałości. Olbrzym umysłowy.

- Co za obiektywizm. To jest Lana. - Hawajka uśmiechnęła się i kiwnęła głową. - Ona chodzi za nim, a przynajmniej usiłuje nadażać. Jest problem z obiadem. Czy pamiętasz kapitana Astera?

- Oczywiście.

- Mieliśmy się dzisiaj wybrać na piknik. Właśnie robiłam kanapki, jak przyszedłeś. Otóż...

- W takim razie nie przeszkadzajcie sobie, Jan.

- Nie, nie. Ja to odwołam. Chodzi po prostu o to, że jego pokój w Royal Hawaiian nie odpowiada. Może się tu pojawić, kiedy będziemy jedli. Nie będzie ci to przeszkadzać?

- Po co rezygnować z pikniku?

- Och, to zupełnie niewiążące. Stąd do hotelu idzie się pięć minut. Dowództwo okrętów podwodnych go zajęło, rozumiesz. Carter wczoraj uczył tam Vica pływać, więc w charakterze jakby podziękowania zaproponowałam ten piknik, ale możemy to zrobić kiedy indziej.

- Aha. No - rzekł Victor Henry - to ja idę się kąpać.

Na łóżku szpitalnym w Tulagi, a potem w drzemce na żelaznych fotelach kubełkowych w samolotach, ciągle śnił mu się Northampton. Teraz też dręczył go przez sen taki koszmar. On i szef Stark byli na pokładzie, kiedy okręt się gwałtownie i niebezpiecznie przechylił, i czarna, ciepła woda runęła na pokład, zalewając ich aż po uda. We śnie to pogrążanie się było realne i wcale nie przykre, jak gdyby sadowił się w wannie. Szef złapał ciężki młot i walił w uchwyty trzymające tratwę ratunkową, z oczyma wytrzeszczonymi ze strachu, aż Pug obudził się z dygotem. Walenie zamieniło się w stukanie do drzwi. Z ulgą, że jest suchy i w łóżku, nie mógł sobie w pierwszej chwili przypomnieć, skąd się wziął w tym żółtym pokoju dzieciennym, przybranym obrazkami zwierząt.

- Tato? Tato? Jest kwadrans po dwunastej.

- Dziękuję, Jan. - Wróciła mu pamięć. - A co Aster?

- Już był i poszedł.

Pojawił się na podwórzu w eleganckim, białym mundurze, świeży i wyprostowany, cera mu się już ożywiła. Na sznurze nic się nie suszyło. Dziewczyna hawajska siedziała na trawie obok Vica, karmiąc go z miseczki żółtą papką, której połowa rozmazywała się po nosie i podbródku. - Odzyskał apetyt, co?

- Och, tak, już dawno. Możemy zjeść w kuchni?

- Z przyjemnością.

Przy jajeczniczy z kiełbaskami toczyli urywaną rozmowę. Było tyle nabrzmiałych tematów - brak wiadomości o Natalii, zatopienie Northamptona, niepewna przyszłość Puga, a zwłaszcza śmierć Warrena - że Janice musiała się przymuszać do lekkiej pogawędki o swojej pracy. Jakiś pułkownik, noszący dźwięczny tytuł Dyrektora Kontroli Materiałów i Zaopatrzenia, poznał ją na przyjęciu i uprowadził z dowództwa Pacyfiku. Teraz rządzi tu prawa stanu wojennego i pod wesołymi pozorami Honolulu - wieńce lei, orkiestry dęte, przyjęcia luau i piękne widoki - kryje się zimna, surowa dyktatura. Jej pułkownik trzyma w garści dzienniki. On i tylko on decyduje,

ile się sprowadzi papieru i kto dostanie przydział, więc redaktorzy podlizują się jemu i gubernatorowi wojskowemu. Ani śladu krytyki w artykułach wstępnych. Prawo zastąpiły sądy wojskowe, tak zwane provost courts, wydające dziwne wyroki, na przykład skazanie winnego na zakup obligacji pożyczki wojennej albo na krwiodawstwo.

- Wszystko to ma formę względnie łagodną - powiedziała. - Armia faktycznie utrzymuje porządek i nieźle troszczy się o nas. Nic nie jest racjonowane, prócz benzyny i alkoholu. Odżywiamy się po królewsku i ludzie są przeważnie zadowoleni, ale ciarki przechodzą, kiedy patrzeć na to, jak ja, od wewnątrz. Tu nie jest Ameryka, rozumiesz? Jeżeli kiedykolwiek, Boże uchowaj, doczekamy się w Stanach dyktatury, to zaczniesz się ona jako wojskowe rozporządzenie o stanie wyjątkowym.

- Mhm - odpowiedział teść. Z jego strony rozmowa ograniczała się do takich pomruków. Może nie podoba mu się, pomyślała, krytykowanie wojska. Ona tylko stara się podtrzymać rozmowę. Bolała ją widoczna w nim przemiana. Było w tym spokojnym człowieku jakieś zagubienie, jak gdyby woń popiołu. Jego normalna miłkliwość była teraz jak wytarty płaszcz, osłaniający go w nieszczęściu. Mimo zachowywania pozorów i zaciętego uporu w pooranej bruzdami twarzy, budził w niej litość. Niegdyś ojciec Warrena wydał się jej taki przytłaczający - ten świetny, wysoki oficer floty, bliski znajomy prezydenta Roosevelta, który rozmawiał z Churchilllem, z Hitlerem, ze Stalinem - jakże zmalał! Wygląda bez zarzutu. Teraz je. Niespożyta siła i energia widoczne są choćby w tym, jak przyszedł do siebie po krótkiej drzemce. Niełatwo go skruszyć, ale dużo się na niego zważyło. Tak myślała jego synowa, jeszcze nie wiedząc, że zdradziła go żona.

Przy kawie pokazała mu ostatni list od Rhody, w nadziei, że rozweseli go jej pogodna, żywa gadanina. Rhoda wzięła się do działalności społecznej w kościele i szczegóły na ten, jak również ploteczki z floty, wypełniały trzy kartki. W dopisku wspomniała, że praca Madeline w filmie spaliła na panewce, więc wróciła do New Yorku i znowu pracuje u Hugh Clevelanda.

Twarz Puga srosępniała przy czytaniu listu. - Co za cholerna idiotka z tej dziewczyny.

- Myślałam, że ucieszy cię wiadomość o Madeline. Hollywood to taki ściek nieczystości.

Rzucił list na stół. - A nawiasem mówiąc, jaki to kanał masz przed domem?

- Kanał Ala Wai. Prowadzi do przystani jachtowej.

- A moskity cię tu nie dręczą?

- Ty byś o tym pomyślał. A mnie to nie przyszło do głowy. Potwornie. Są ich miliony.

`nv

48 (cd.)

- Rhoda i ja wynajmowaliśmy wiele domów w tropikach. Człowiek się tego uczy.

- Cóż, dostałam go za psi grosz. Mieszkał tu jeden pilot z Yorktowna. Kiedy jego żona wróciła do kraju po tym, jak... - głos Janice zadrżał. - Ten pies, Toto, był ich.

- A ty nie chcesz wracać do kraju?

- Nie, tu czuję, że jestem na wojnie. Kiedy wrócicie z niej ty i Byron, zastaniecie mnie tutaj. Obaj zamieszkacie w pobliżu plaży. Vic musi was poznać.

- No, to Byron się ucieszy. - Pug odchrząknął. - A jeżeli o mnie chodzi, to nie wiem. Chyba już nie będę miał okazji powąchać słonej wody.

- Dlaczego? To nie fair.

Znów ten krótki, kwaśny uśmiezek. - Dlaczego? Podczas wojny to szybko idzie. Raz wypadniesz z uderzenia i jazda na bok. Mogę się jeszcze przydać w Biurze Planowania albo w Biurze Okrętów. Napił się kawy i podjął z

namysłem: - W Dowództwie mają dzisiaj dociekać, czy w ogniu należycie oceniłem sytuację. Po prostu nie wiem. Nasze straty w ludziach były niewielkie. Jednakże mam w tej teczce pięćdziesiąt osiem listów, które napisałem do krewnych. Zajmowałem się tym, lecąc tutaj. Żał mi każdego z tych ludzi, którzy zginęli, ale zarobiliśmy dwie torpedy w trakcie wymiany ognia i do tego rzecz się sprowadza. Ale muszę spływać. Dziękuję za lunch.

- Odwiozę cię do Dowództwa.

- Wyprosiłem samochód z floty. - Wszedł do sypialni i ukazał się ze skrzynką i teczką, na ramieniu niosąc ciężką, granatową kurtkę z mosiężnymi guzikami, od której wionęło kamforą. - Wiesz, ponad rok temu w tej właśnie kurtce jechałem do Moskwy, w przeciwnym kierunku. Ona objeżdża świat. - Zatrzymawszy się przed zdjęciem Warrena, szybko na nie spojrział, a potem na nią. - Powiedz mi, a ten kapitan Aster?

- Carter? Och, staje się sławny jako jeden z tych szyprów podwodnych. Pod jego dowództwem Devilfish zatopił dwadzieścia tysięcy ton. Teraz wprowadza do służby nowy okręt podwodny dalekiego zasięgu Moray. I ściągnął na niego Byrona.

- Więc co Aster tu robi? Nowe okręty buduje się w Stanach.

- Bo wynikła przepychanka z Biurem Planowania o jakiś nowy radar, który on chce dostać. Więc przyleciał, żeby dusić kogoś w Dowództwie. Carter się nie obija.

- Jaki to facet? Nigdy go naprawdę nie przejrzałem.

- Ja też. Ale jest dobry dla Vica i dla mnie.

- Lubisz go? Choć to nie moja sprawa.

- Owszem, twoja też. - Jej twarz stężała, wzrok był chmurny i jakby nieobecny. Pug Henry nieraz już widywał u niej ten wyraz twarzy po Midway. - Pytasz mnie, czy to poważne, tak? Nie. Nie zamierzam owdowieć dwa razy w ciągu jednej wojny.

- Za rok albo coś koło tego przeniosą go na brzeg w ramach rotacji.

- O, nie! - Mówiła to szybko i pewnie. - Dowództwo Okrętów Podwodnych wysłała szyprów, mających duży odstrzał, z powrotem na morze tak często, jak tylko zechcą. Trochę mnie martwi, że Byron odkomenderowany został na Moray. On z pewnością będzie tym zachwycony, ale według mnie Carter za bardzo ryzykuje. Vic i ja chodzimy z nim pływać, od czasu do czasu idziemy także potańczyć. Jestem taką wdówką na podporządku, kiedy nie ma do roboty nic ciekawszego. - Błysk jej zębów w krzywym uśmiechu był nader atrakcyjny. - W porządku?

- Owszem. Czy Aster orientuje się, kiedy Byron ma wrócić?

- Mnie o tym nic nie wiadomo.

- No, to pożegnaj się z oficerem najstarszym rangą.

Vic spał na kocu rozłożonym w cieniu, nie wypuszczając z rąk czerwonej piłki, z psem zwiniętym u jego stóp. Było bardzo gorąco. Lana drzemała nad swoim tygodnikiem, a dziecko leżało spocone. Victor Henry przyglądał mu się z minutę. Spojrzawszy na Janice zobaczył, że w jej oczach błyszczą nie wypłakane łzy. Wymienili spojrzenie, które było jak długa rozmowa.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziała, odprowadzając go do szarego sedanu z floty. - Przekaż pozdrowienia mojej rodzinie. Powiedz im, że u mnie wszystko w porządku, dobrze?

- Zrobię to. - Wsiadł i zatrzaskał drzwiczki, na co ona zastukała w szkło. Opuścił szybę. - Tak?

- A jeżeli zobaczysz Byrona, poproś, żeby do mnie napisał. Uwielbiam jego listy.

- Powiem mu.

Odjechał, w ogóle nie wspomniawszy o Warrenie. Jej to nie zdziwiło. Od bitwy pod Midway imię poległego syna, przy niej, ani razu nie padło z jego ust.

`cp2

Pug nie miał pojęcia, czego się spodziewać w Dowództwie Pacyfiku. Tego dnia o trzeciej nad ranem, w czasie lotu, drugi pilot przyniósł mu nabazgraną wiadomość: Pasażer Victor (brak) Henry komandor USN zgłosić się Cincpac u oficera dyżurnego 1400. W czerwonej smudze światła od latarki słowa te miały wygląd złowieszczy. Ulubione niegdyś powiedzonko Puga: "Miałem w życiu mnóstwo kłopotów, z których większość się nie wydarzyła!" jako zaklęcie od pewnego czasu przestało działać.

Nowy, olśniewająco biały budynek Głównego Dowództwa, wysoko na wzgórzu Makalapa ponad bazą okrętów podwodnych, pokazywał, jak przebiega ta wojna. Zbudowano go w pośpiechu, był wytworem siły i bogactwa, a otaczające jego wyższe piętra lanai stanowiły przemyślną adaptację do tropikalnego klimatu. W środku pachniało jeszcze świeżym gipsem, farbą i linoleum. Rojący się tłumnie personel - oficerowie w akselbantach, szeregowi marynarze na białe i mnóstwo ładnych dziewcząt z Wave - wyglądali i poruszali się dziarsko. W tym żwawym, nowym rytmie znać było Midway i Guadalcanal, i najeżone w Stoczni zbiorowisko nowych okrętów wojennych. Jeszcze nie zapanował nastrój triumfu ani nawet optymizm. Powróciło raczej otwarte, pewne siebie spojrzenie, jakie mają Amerykanie przy robocie. Znikły przygnębione miny z dni zaraz po Pearl Harbor i późniejszy wyraz zajadłego napięcia z miesięcy poprzedzających Midway.

W oszklonym kiosku oficera dyżurnego, w bastionie złożonym z niższych oficerów i dziewcząt z Wave, siedział najmłodszy mężczyzna z trzema galonami, jakiego Victor Henry oglądał w życiu, o cienkich jasnych włosach i kremowej twarzy, jakby nigdy jeszcze nie golonej. Pełny kapitan, pomyślał Pug, i oficer dyżurny w Głównym Dowództwie Pacyfiku?

Rzeczywiście wypadł z uderzenia!

- Nazywam się Victor Henry.

- Och, komandor Victor Henry! Tak jest, Sir. - W badawczym spojrzeniu, w wypowiedzeniu nazwiska, Pug ujrzał idący pod wodę w płomieniach Northampton. - Proszę usiąść. - Facet wskazał mu gestem drewniane krzesło i przycisnął guzik interkomu. - Stanton? Dowiedz się, czy szef sztabu jest osiągalny. Stawił się komandor Victor Henry.

Więc to Spruance będzie go przesłuchiwał. Twardy człowiek, niełatwo mu stawić czoło; stara znajomość będzie się liczyć dokładnie tyle co nic. Niebawem zagadało w interkomie i oficer dyżurny powiedział: - Sir, wiceadmirał Spruance jest na naradzie. Proszę poczekać.

Podczas gdy marynarze i dziewczęta z Wave biegali tam i z powrotem, a oficer dyżurny odbierał telefony, dzwonił i zapisywał w dzienniku, Victor Henry siedział i zastanawiał się nad możliwymi kierunkami tego przesłuchania. Spruance zwleka z przyjęciem go, co znaczy, że będą mówić o bitwie. Współczujące zerknięcia oficera dyżurnego były jak uzadlenia osy. Upłynęło tak bardzo dłużące się pół godziny, zanim Spruance go wezwał. Pug do późnej starości zapamiętał wąską, gładką jak u panienci twarz oficera dyżurnego, jego rzucane ukradkiem litościwe spojrzenia i napięcie tego wyczekiwania.

Spruance u pulpitu przy oknie na stojąco podpisywał listy. - Hallo, Pug. Jeden moment - odezwał się. Nigdy przedtem nie mówił do Victora Henry po imieniu; i prawie do nikogo. Spruance w wykrochmalonym khaki dobrze wyglądał: szczupła twarz, rumieniec, ani śladu brzucha. Pug znowu pomyślał, jak wiele razy przedtem, że ten zwycięzca spod Midway wygląda i zachowuje się tak zwyczajnie w porównaniu z Halseyem, z jego szczękami jak taran, miażdżącym spojrzeniem, krzaczastymi brwiami, humorami i władczym obejściem.

- No. - Starannie wkładając pióro w uchwyt, Spruance odwrócił się do niego, wsparty pod boki. - Co u diaska stało się tam koło Tassafaronga?

- Wiem, co stało się ze mną, admirał. Reszta jakby mi się rozmazywała. -

Ledwie wypowiedział te szczerze słowa, już ich pożałował. Ta lekkość była niestosowna.

- Otrzymasz pochwałę za to, że Northampton poniósł tak niewielkie straty w ludziach.

- Jeśli spodziewałem się kiedyś pochwały, to nie za to.

- Trzy pozostałe krążowniki da się naprawić.

- To dobrze. Szkoda, że nie udało się i mnie dopłynąć do portu, admirale. Staralem się.

- Co właściwie nie wyszło w tej bitwie?

- Sir, zaraz po tym, jak otworzyliśmy ogień z dwunastu tysięcy jardów, dostaliśmy się pod torpedy. Miało to być poza zasięgiem torped. Więc albo zaczęły się na nas okręty podwodne - co jest mało prawdopodobne ze względu na to, że mieliśmy całkiem pokazną eskortę niszczycieli - albo Japończycy mają na swoich niszczycielach torpedy o daleko większym zasięgu niż nasze. Wywiad donosił nam o istnieniu takiej broni.

- Przypominam sobie, że napisałeś w tej sprawie memoriał do Biura Okrętów i że zalecałeś użycie na liniowcach osłon przeciwtorpedowych.

Victor Henry pozwolił sobie na przelotny uśmiech wdzięczności. - I teraz, admirale, sam nadziałem się na dwa z tych urządzeń. One istnieją.

- Więc należy odpowiednio zmienić zasady walki. - Wielkie oczy spoglądały badawczo na Puga. Pulpit do pisania na stojąco przydaje się do skracania rozmów, pomyślał Pug. Pilnował się, aby nie przestępować z nogi na nogę, i postanowił, że gdyby jego czas kiedyś znów stał się cenny, też zafunduje sobie taki pulpit. - Warto by zamienić słówko z admirałem Nimitzem - powiedział Spruance. - Chodźmy.

Starając się nadażyć, Victor Henry poszedł za Spruancem wzdłuż korytarza do wysokich, podwójnych drzwi, pomalowanych na królewski granat, z przytwierdzonymi do nich czterema złotymi gwiazdami. Przypomniał sobie, że w takim właśnie gabinecie, w starym budynku, przyjął go niegdyś admirał Kimmel, cały dzielnie uśmiechnięty i w dobrym humorze, gdy jego zbombardowana flota kopciła się w słońcu za oknami. Pug szedł na rozmowę z Kimmelem pełen spokoju i pewności siebie. Teraz czuł się bardzo niepewnie. Dlaczego? Bo tkwi mniej więcej w butach admirała Kimmela, oto dlaczego. Następny, co przegrał.

Weszli nie czekając. Nimitz stał samotny przy oknie, z założonymi rękoma. Wyglądało na to, że się opala. Jego uścisk dłoni był serdeczny, kwadratowa i ogorziała twarz wyglądała przyjemnie; ale w prosto patrzących, błękitnych oczach pod rozświetloną przez słońce strzechą białych włosów było coś surowego. Ta życzliwa, niemal łagodna twarz o twardym spojrzeniu, pół w blasku słońca, a pół w cieniu, sprawiła, że Victor Henry poczuł się tym bardziej nerwowo.

- Komandor Henry mówi, że Japsowie mają na niszczycielach torpedę o bardzo dalekim zasięgu - rzekł Spruance. - Według niego tym tłumaczy się Tassafaronga.

- Bardzo daleki znaczy: jak daleki? - Nimitz zwrócił się z pytaniem do Puga.

- Może nawet dwadzieścia tysięcy jardów, admirale.

- Co z tym zrobić?

Z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego gardła Pug odpowiedział: - W przyszłych bitwach, admirale, kiedy już nasze niszczyciele przeprowadzą atak torpedowy, okręty liniowe powinny otwierać ogień z dużo większej odległości, a podczas akcji wykonywać ostre zwroty w unikach.

- Czy wykonywał pan ostre zwroty w unikach, widząc, że inne krążowniki są trafione? - Nimitz mówił swobodnym akcentem z lekka teksaskim, ale nie było nic lekkiego w jego zachowaniu ani w spojrzeniu.

- Nie, Sir.

- Dlaczego?

Victor Henry musiał teraz odpowiedzieć, twarzą w twarz z głównodowodzącym Floty Pacyfiku, na pytanie, od którego zależała jego kariera. Już próbował wyjaśnić tę kwestię w piętnastostronicowym raporcie z bitwy.

- Admirale, był to błąd popełniony w gorączce bitwy. Wszystkie moje działa mierzyły w cel. Złapałem nieprzyjaciela w widły. Chciałem wziąć odwet za trzy krążowniki, które stanęły już w ogniu.

- Wziął pan ten odwet?

- Nie wiem. Mój szef artylerii twierdzi, że mieliśmy dwa trafienia w dwa krążowniki.

- Potwierdzone?

- Nie, Sir. Musimy poczekać na raport sił operacyjnych. Nawet i wtedy będę miał wątpliwości. Często u artylerzystów wada wzroku to chciejstwo.

Nimitz błysnął oczyma do Spruance'a. - Jeszcze jakieś uwagi?

- Kilka wymieniłem w swoim raporcie, Sir.

- Na przykład?

- Admirale, proch bezbłyskowy zaliczał się do projektów Biura Planowania już w 1937 roku, kiedy tam byłem. I wciąż go nie mamy. A nieprzyjaciel ma. Nie zalecamy używania reflektorów w walce nocnej, ażeby nie zdradzać swojej pozycji. Po czym oddajemy kilka salw i już ujawniliśmy nasze koordynaty, kąt do celu i szybkość posuwania się. Nasza linia bojowa tej nocy wyglądała jak zionące ogniem wulkany. Był to wspaniały widok, Sir, bardzo podnoszący na duchu. Dostarczał też Japończykom gotowych namiarów dla ich torped.

Nimitz zwrócił się do Spruance'a. - Proszę jeszcze dziś wysłać komunikat do Biura Planowania i prywatny list przewodni do Spike'a Blandy w sprawie bezbłyskowego prochu.

- Tak jest, Sir.

Pocierając się zylastą dłonią, przy której brakowało jednego palca, po kwadratowym podbródku, Nimitz powiedział: - A dlaczego, u diabła, atak naszych własnych niszczycieli okazał się całkowitym niewypałem? Zaskoczyli ich na radarze, prawda? Więc mieli nad nimi przewagę.

Pug sam poczuł się - można powiedzieć - znów pod torpedami. To pytanie może się okazać decydujące dla postępowania sądowego w sprawie Tassafaronga. - Admirale, to była akcja retrogresywna, w której obie siły poruszały się względem siebie po przeciwnym kursie. Względna szybkość zbliżania się wynosiła co najmniej pięćdziesiąt węzłów. Problem torped rozwijał się błyskawicznie. Kiedy dowódca niszczycieli poprosił o pozwolenie na atak torpedowy, admirał Wright wolał najpierw zmniejszyć odległość. Zanim pozwolił strzelać, wróg był już za trawersem. Doszło więc do strzelania na skrajną odległość do oddalającego się wroga. Tak się to przedstawiało w namiarach z Northamptona.

- Ale wróg miał identyczny problem i potrafił go znakomicie rozwiązać.

- Pojedynek na torpedy mieli z góry wygrany, admirale.

Po przykłej pauzie Nimitz powiedział: - Dobrze. - Odszedł od okna i wyciągnął do Puga dłoń. - Dowiaduję się, że pod Midway stracił pan syna, lotnika, który odznaczył się w bitwie. I że ma pan drugiego syna, służącego na okrętach podwodnych. - Skłonem głowy wskazał delfiny na własnej bluzie koloru khaki.

- Tak, admirale.

Trzymając dłoń Puga w przedłużającym się uścisku, spoglądając mu głęboko w oczy, Chester Nimitz rzekł: - Powodzenia, Henry - smutnym i poufałym tonem.

- Dziękuję, Sir.

Spruance zaprowadził go do zatłoczonej i zadymionej sali operacyjnej. - Oto wasza bitwa - powiedział, wskazując na obficie poznaczoną mapę Guadalcanalu na ścianie - na ile udało się nam ją zrekonstruować. - Przeszli do małego przedpokoju, gdzie usiedli obok siebie na sofie. - Northampton to był piękny okręt - rzekł Spruance. - Ale miał kłopoty ze

stabilnością.

- Nie mogę nic zarzucić moim ludziom od kontroli uszkodzeń, admirale. Mieliśmy pecha. Dostaliśmy dwie torpedy od rufy poza pasem opancerzenia. Powinienem był wykonać zwrot na zewnątrz. Uciekać stamtąd jak diabli, tak jak Honolulu. Może miałbym jeszcze swój okręt.

- No cóż, zapał bitewny to też jeden z czynników. Krew się w tobie zagotowała. Próbowałeś odwrócić klęskę.

Victor Henry nic nie odpowiedział, ale poczuł się tak, jak gdyby Spruance przeciął sznury, którymi ciężkie brzemie przywiązane było do jego grzbietu. Zaczerpnął głęboko powietrza i głośno odetchnął.

Spruance podjął: - Co dalej?

- Mam rozkaz stawić się w Biurze Personalnym po następny przydział, admirale.

- Ostatnim razem walczyłeś, żeby wykręcić się od służby sztabowej. Potrzebny mi jest zastępca szefa sztabu do spraw planowania i operacji.

Victor Henry nie mógł się powstrzymać i wyrzucił z siebie jak chłopiec: - Ja?

- Jeżeli cię to interesuje.

- Na miły Bóg. - Pug mimo woli zasłonił sobie oczy dłonią. Zważywszy na olbrzymi rozrost Floty Pacyfiku, Spruance proponował mu szczerze złoto; daleki skok w kierunku rangi flagowej i odpowiedzialności na skalę wielkich ludzi; tę właśnie powtórna szansę, której, jak powiedział do Janice, nie mógł się już spodziewać. Niecałe dwa tygodnie dzieliły Victora Henry od tego, jak nagi pluskał się w czarnej ropie, płynąc do zatłoczonej tratwy, a za nim palił się i tonał jego okręt. Po chwili przemówił schrypniętym głosem: - Potrafił mnie pan zaskoczyć, admirale. Jestem zainteresowany.

- No, to miejmy nadzieję, że Biuro Personalne to uzna. Mamy przed sobą trochę niezłych problemów bojowych, Pug. Zacznij się od razu nad nimi zastanawiać. Idziemy.

Victor Henry jak ogłuszony poszedł za Spruancem znów do sali operacyjnej, do stołu z wielką żółto-niebieską mapą Pacyfiku. Spruance zaczął mówić z dziwnym entuzjazmem, na wpół pedantycznym, na wpół bojowym. - Czy przerabiałeś w Akademii ten stary problem: odzyskanie Filipin po tym, jak Pomarańczowi dokonali inwazji i zajęli je? Mniej więcej o to chodzi w naszej wojnie.

- Nie, Sir, my przerabialiśmy problem wyspy Wake.

- Ach, tak. Otóż rzecz sprowadza się do dwóch linii ataku. Wynika to z geografii. Uderzenie przez Środkowy Pacyfik, z likwidacją japońskich punktów oporu na wyspach i koncentracją na Marianach do skoku na Luzon. - Prawa dłoń Spruance'a przesuwiała się po mapie, kiedy to mówił, przebywając tysiące mil oceanicznych w pantomimie ukazującej drogę przez wyspy Marshalla, Mariany i Karoliny aż do Filipin.

- Oraz kampania idąca z Australii na północ: Nowa Gwinea, Morotai, Mindanao, Luzon. - Jego lewa dłoń ruszyła od Australii po Nowej Gwinei z palcami pełznącymi z wolna, jak gdyby pokazywał - co Pug żywo sobie wyobraził - armie brnące przez góry tropikalne. - Generał MacArthur oczywiście pali się do tej drugiej strategii. On walczy na lądzie. Natomiast drogą morską uzyskujemy ruchomy atak z flanki na nieprzyjacielskie linie zaopatrzenia, co zmusza go do zgadywania. Wróg nie może być pewien, gdzie zrobimy następny skok. Będzie musiał rozproszyć swe siły. A to drugie oznacza frontalne natarcie drogą lądową przez góry porosłe dżunglą. Flota japońska na mojej flance, a przeciw tobie przygotowane na to wojska japońskie. - Spruance rzucił Pugowi łobuzerskie spojrzenie. - Oczywiście generał bardzo by pragnął pobić kilka armii japońskich.

Prawym palcem wskazującym Spruance dźgnął teraz w wyspę u wybrzeży Nowej Gwinei. - Ale nawet on musi przyznać, że ta droga jest zablokowana przez

Rabaul. To właśnie było celem akcji na Guadalcanal: krok w stronę Rabaul. Tak czy owak my tutaj szykujemy się na Środkowy Pacyfik. Będzie to ogromny wysiłek. Tymczasem MacArthur, rzecz jasna, będzie dążył do realizacji swojej koncepcji.

Dla Victora Henry, wciąż jeszcze wstrząśniętego tą zmianą w swym życiu, były to wspaniałe roztaczające się widnokręgi. Już widział przejście od zadania tak ograniczonego, jak dowodzenie krążownikiem, do planowania gigantycznych kampanii morskich. W jego mózgu już kipiały pomysły, wywodzące się od problemów z Akademii Wojskowej i studiowania wojny na Pacyfiku. Wtedy wyglądało to na ulotne abstrakcje, algebraiczne zabawy przy użyciu sił i sytuacji, które nigdy nie zaistnieją. Teraz materializowało się jako gęste i gorejące realia. Wzbierało w nim ożywcze poczucie globalnej bitwy jako pracy, którą ma sam do wykonania, w jednej z bezimiennych funkcji; więcej nie mógłby sobie wymarzyć.

Spruance postukał na mapie w Guadalcanal. - Powiem ci, że Tassafaronga była dość przykrym zgrzytem dla admirała Halseya po tym, jak wspaniałe odwrócił bieg tej kampanii. Czy w ogóle się z nim widziałeś?

- Owszem, Sir. Wezwał mnie do siebie, kiedy przejeżdżałem przez Noumea.

- Jak on się czuje?

- Najlepiej na świecie. Muszę przyznać, że wszystkich na Południowym Pacyfiku postawił na baczność. Kiedy pojawiłem się w jego biurze, ryczał o coś tam jak szalony. Wszystko w polu widzenia się trzęsło. Za chwilę był już ze mną dobrotliwy jak proboszcz. Bardzo współczuł mi z powodu Northamptona. - Tu Pug zawahał się i dodał: - Powiedział, że przynajmniej ja rzuciłem się na tych skurwysynów.

- Co u żony Warrena?

- Dopiero co się z nią widziałem. - Głos Puga zgrubiał. - Wszystko w porządku. Pracuje w Zarządzie Wojskowym.

- A co z żoną twojego podwodniaka? Wydostała się wreszcie z Europy?

- Mam nadzieję, Sir, że w domu czegoś się o niej dowiem.

- Warren to był wspaniały wojownik. - Spruance podał mu rękę. - Nigdy go nie zapomnę.

Victor Henry odparł zwięźle: - Dziękuję, admirale - i wyszedł. Została mu niecała godzina do odlotu. Oddał w biurze transportu samochód i wziął taksówkę na terminal Służby Transportu Powietrznego Floty. Tam z małego kiosku we wnętrzu hali wziął Honolulu Advertiser, bo już od miesiąca nie miał w ręku gazety. Nagłówki wykrzykiwały o przełomach dokonanych przez Aliantów w Maroku, o ucieczce Rommla, o wojskach niemieckich wziętych w kocioł pod Stalingradem. Wszystko to już widział, w mniej zachłystującym się stylu, na tablicy dalekopisu w Dowództwie Floty Pacyfiku. U dołu kolumny mniejszy nagłówek tracił go jak uderzenie w twarz:

Alistair Tudsbury zabity pod El Alamein

`ty

49

`ty

Sekretarka Alistaira Tudsbury, kobieta w wieku lat sześćdziesięciu, wetknęła siwą głowę przez drzwi. - Przyszedł niejaki pan Leslie Slote, Pamela.

W malutkim, starym gabinecie na Pall Mall Pamela siedziała płacząc. Zimny wiatr kołatał nieszczelnymi oknami, już i w południe fioletowymi od grudniowego półmroku. Chociaż otuliła się w swój szary kożuch, a głowę i uszy obwiązała wełnianym szalem, wstrząsały nią dreszcze. Stary naftowy piecyk w tym pokoju niewiele pomagał: śmierdziało gorącym, rzecz by można, i nic poza tym.

Przecierając sobie oburącz oczy, Pamela zerwała się, kiedy wszedł Slote. Ubrany był w długi rosyjski płaszcz na futrzanym podbiciu i wielką,

brązową, futrzaną czapę. Zawsze był chudy, ale teraz garnitur w jodełkę wisiał na nim fałdując się, oczy zaś płonęły czerwono w czarnych obwódkach.

- Hej, Leslie.

- Przykro mi z powodu twojego ojca, Pam.

- Nie dlatego płakałam. Już przyzwyczaiałam się do jego śmierci. Co cię sprowadza do Londynu? Twoja praca w Bernie się tak prędko skończyła? Chcesz trochę whisky na rozgrzewkę?

- Na Boga, to mnie uratuje.

Wskazała leżący na biurku maszynopis. - To ostatnia rzecz, jaką pisał. Nie dokończona. Observer chce to zamieścić. Więc wykańczam i chyba dlatego się popłakałam.

- Co to jest? Ostatnie doniesienie?

- Och, nie, byłoby już nieaktualne. To szkic z pola bitwy. Nazwał go Zachód słońca na Kidney Ridge. - Wręczyła mu pół szklanki czystej whisky i drugą dłonią wykonała gest. - Na zdrowie. Właśnie go dyktował, kiedy oficer prasowy Monty'ego zadzwonił, że odbędzie się wywiad.

Zgnębioną twarz Pameli, spuchnięte oczy, potargane włosy, matowy głos można przypisać żalobie, pomyślał Slotte, ale w ogóle jest jakaś przygasła. Dawniej choćby i w najgorszym nastroju - a trafiały się jej bardzo złe nastroje - Pamela nie traciła pewnego rodzaju wyzywającego błysku, urzekającej brawury pod zewnętrzną warstwą spokoju. Teraz Slotte patrzył na otępiałą, smutną kobietę po trzydziestce.

- Czy wierzysz w przeczucia? - Głos jej zachrypnął od whisky.

- Sam nie wiem. A dlaczego?

- Gaduła je miał. Wiem o tym. Też miałam pojechać tym dżipem. Nawet oficer prasowy Montgomery'ego dał mi prawo wstępu, jak na kobietę wyjątkowy przywilej. I nagle Gaduła mnie spławił, uparł się i koniec. Potraktował mnie bardzo nieprzyjemnie, ja jego również. Rozstaliśmy się w gniewie: i dlatego żyję, siedzę tutaj i piję z tobą. - Ze smutkiem podniosła szklankę i dopiła ją. - Ja jestem skrajnym niedowiarkiem, Leslie, wierzę tylko w to, co można zobaczyć, usłyszeć i zmierzyć, i w ogóle. Jednak on wiedział. Nie pytaj mnie, skąd. Wjechać na minę to zupełny przypadek, mam tę świadomość, a jednak on wiedział. Ten artykuł o Kidney Ridge to coś takiego, co się pisze na łożu śmierci.

- Czy pamiętasz Byrona Henry? - zapytał Slotte.

- Oczywiście.

- Spotkałem go w zeszłym tygodniu w Lizbonie. Obawiam się, że jest więcej złych wiadomości. Northampton zatonął. - Slotte z góry szykował się, że jej to powie, nie bez cierpkiej satysfakcji, której się trochę wstydził. Nie żeby źle życzył jej albo Victorowi Henry, tyle że figurował przez chwilę w ich romansie jako wąż przyczepka i pozostał mu niemiły posmak. Ale po niej to jakby spłynęło bez śladu. - Masz tu świetne układy, Pam, nieprawdaż? Mogłabyś się dowiedzieć, czy komandor Henry ocalał, i zadepeszować do Byrona? On w Lizbonie tylko tyle zdołał się dowiedzieć od jakichś tamtejszych ludzi z floty, że Northampton został zatopiony w bitwie.

- A co wasz tutejszy attache morski?

- Wyjechał do Szkocji.

- Dobrze - odparła rześko, niemal wesoło - dowiemy się o komandora Henry. - Slotte pomyślał, że to osobliwa reakcja na złą wiadomość; nadzwyczaj osobliwa. Wystarczyło wspomnieć o facecie, żeby się ożywiła. Kazała sekretarce zadzwonić do wicemarszałka lotnictwa Burne-Wilke. - Dobrze! A co nowego u Byrona? Co z Natalia?

- Znalazł ich. Ją i dziecko.

- A niech mnie diabli. Znalazł ją! Gdzie?

- W Marsylii. Opowiadał mi o tym przez dwie godziny przy kolacji. To cały

epos.

- Co za rodzina! Jak on to zrobił? Gdzie teraz jest Natalia?

Slote właśnie zabierał się do opowieści Byrona, kiedy zadzwonił telefon. Był to Burne-Wilke. Pamela powiedziała mu o Victorze Henry i Byronie, z ożywieniem i serdecznie, mówiąc do niego "kochanie". Odłożywszy słuchawkę rzekła do Lesliego: - Mają bezpośrednie połączenie z Washingtonem. Zadzwoni tam, jak tylko będzie mógł. Czy znasz mojego narzeczonego?

- Spotkaliśmy się jeden raz. Przy powitaniu w waszej ambasadzie w Washingtonie. Ty również tam byłaś, ale on nie był jeszcze twoim narzeczonym.

- Och, naturalnie. Był też komandor Henry i Natalia. Ale mów, co się zdarzyło w Marsylii. Chcesz jeszcze whisky?

- Pewnie, jeśli masz jej za dużo.

- Ludzie o mnie dbają. Mam jej całe butle.

Slote opowiedział dosyć obszernie o spotkaniu i o tym, że Byron dalej stara się czegoś dowiedzieć o losie swojej rodziny. W dniu, kiedy Alianci dokonali inwazji w Afryce Północnej, telefony do Marsylii zostały odcięte. Później zdarzały się sporadycznie jakieś połączenia, ale on się nie zdołał dodzwonić. Miał trzydzieści dni urlopu i spędzał je na dobijaniu się do agencji ratowniczych w Lizbonie.

- Co ją do licha napadło, żeby tak się zacukać? Wcale się nie dziwię, że Byron jest wściekły - rzekła Pamela.

Slote wytrzeszczył na nią oczy. Powtórzył bezbarwnie: - Co ją napadło?

- Leslie, przecież to ona wdrapała się na trzecie piętro do twojego okna, na rue Scribe, kiedy zgubiłeś klucz. Nie pamiętasz? A pamiętasz, jak obcięła żandarmów w Les Halles, kiedy ja rozwaliłam Philowi głowę miską zupy? Przecież mówiliśmy o niej: nasza lwica.

- Co to ma do rzeczy? Chyba by zwariowała, żeby próbować z Byronem ucieczki przez granicę.

- Dlaczego? On miał paszport dyplomatyczny. Czy mogło jej się stać coś gorszego niż teraz?

Jego podkrażone oczy błysnęły niesamowicie. Pameli wydało się, jak gdyby Slote miał gorączkę. Odpowiedział, siląc się przesadnie na spokój: - Ależ, kochana, postaram ci się dokładnie wyjaśnić, co mogło jej się stać gorszego. Czy mógłbym prosić jeszcze o kropelkę twojej wody ognistej?

Wydobył pióro z kieszeni na piersiach i gdy ona mu nalewała, usiadłszy przy jej biurku, zaczął szkicować na żółtym arkuszu. - Spójrz, to jest przedwojenna Polska. Tak? Na północy Warszawa, na południu Kraków, łączy je Wisła. - Zręcznie nakreślił z grubsza mapę, tak szybko, jak dłoń nadażała się poruszać. Najazd Hitlera. On i Stalin dzielą kraj między siebie. Pszt! Na zachód od tej linii mamy część Polski zagarniętą przez Niemców. To Generalna Gubernia. - Nieregularna krecha rozcięła Polskę na dwoje. Po zachodniej stronie Slote narysował grubo atramentem trzy kółka. - Słyszałaś o obozach koncentracyjnych.

- Tak, słyszałam.

- O tych nie słyszałaś. Dopiero co spędziłem tu cztery dni na rozmowach z Polakami z rządu emigracyjnego. Właściwie po to przyjechałem do Londynu. Pam, to jest historia dla gazet. Prowadzisz dalej robotę po ojcu, prawda?

- Staram się.

- No, więc to może się okazać największą sensacją tej wojny. Dziennikarz, który ją ujawni, stanie się postacią historyczną. W tych trzech miejscach - jest ich więcej, ale o tych trzech polski rząd emigracyjny ma tu, w Londynie, zeznania naocznych świadków - Niemcy masowo zabijają ludzi jak szczury. Zwożą ich pociągami z całej Europy. Jest to ludobójstwo w przyspieszonym tempie. Od razu po przyjeździe Niemcy uśmiercają tych Żydów, trując ich tlenkiem węgla albo rozstrzeliwując, a ciała ich palą. - Pióro przeskakiwało od kółka do kółka. - To miejsce nazywa się Treblinka. To

Lublin. A to Oświęcim. Jak już powiedziałem, jest ich więcej, ale co do tych trzech mamy dowody.

- Leslie, obozy koncentracyjne to nie nowina. Pisaliśmy o tym od lat. Slote uśmiechnął się do niej krzywo.

- Nie dociera do ciebie, co mówię. - Podkreślił to, zniżając głos do chrypliwego szeptu. - Mówię o systematycznej likwidacji jedenastu milionów ludzi. Kiedy my tutaj rozmawiamy, to już dzieje się na wielką skalę. Fantastyczny plan, monstrualna tajna operacja, dla której przeprowadzenia zbudowano ogromne urządzenia! To nie jest historia dla prasy? W takim razie co nią jest? Najpotworniejsza zbrodnia w dziejach ludzkości. Maleją przy niej wszystkie wojny, jakie się kiedykolwiek toczyły. Jest to nowy aspekt życia na tej planecie. I to się dzieje. W tej chwili zostało już w połowie zrobione. Słuchaj, Pamela, czy to nie jest historia dla gazet?

Pamela czytała już o komorach gazowych i masowych rozstrzelaniach. Nic z tego nie było nowością. Wiadomo, że Gestapo to banda potworów. Ta wojna musi się toczyć chociażby po to, aby ich usunąć ze świata. Plan wytępienia wszystkich Żydów w Europie jest, rzecz jasna, makabryczną przesadą, ale o tym również czytała. Ktoś najwyraźniej sprzedał to wszystko Lesliemu; a on się tego uczeplił, może dlatego, że nie wie mu się w karierze dyplomatycznej albo nie może zapomnieć o Natalii, więc prześladuje go poczucie winy, że spławił uwielbianą przez siebie Żydówkę. Wymamrotała: - Kochany, mnie to przerasta.

- Cóż, ja tak nie uważam! Ale mówiliśmy o Natalii. Do tego, żeby odmówić Byronowi, trzeba było zadziwiającej odwagi, bez porównania więcej niż do tego, żeby wdrapać się na trzecie piętro. Nie miała wizyj wyjazdowych. W tych pociągach roi się od gestapowców. Gdyby się nie powiodło, wygarnęliby ją i dziecko z pociągu. Następnie mogliby ją wsadzić do obozu. Następnie załadować ją na inny pociąg, jadący na wschód. Następnie mogliby zamordować ją i jej dziecko i spalić na popiół. Otóż było to straszliwe ryzyko, Pam, a chociaż nie znała szczegółów, czuła to w kościach. Wiedziała, że ich wizyj wyjazdowe są w drodze. Wiedziała, że Niemcy mają chorobliwy szacunek dla urzędowych dokumentów, że to jedyny talizman, który ich może powstrzymać. Podjęła słuszną decyzję. Kiedy próbowałem to uświadomić Byronowi, zrobił się biały z wściekłości i...

Zadzwonił telefon. Uciszyła go przeproszającym gestem.

- Hallo? Co, tak prędko? - Oczy jej zrobiły się ogromne i zabłysły jak dwa klejnoty. Gwałtownie kiwnęła głową do Slote'a. - No! Cudownie. Dziękuję ci, najdroższy, dziękuję. Spotkamy się o ósmej. - Odłożyła słuchawkę i promiennie uśmiechnęła się do Lesiego. - Komandorowi Henry nic się nie stało! Wiesz, wydobycie tej informacji od naszej Admiralicji zajęłoby tydzień. A wasz Departament Wojny przełączył Duncana na Biuro Personalne Floty i prawie natychmiast dostał odpowiedź. Komandor Henry wraca do Washingtonu. Czy ja mam zadepeszować do Byrona, czy ty to zrobisz?

- Ty zadepeszuj. Oto jego adres w Lizbonie. - Slote pośpiesznie zapisał go w notesie i wydarł kartkę. - I posłuchaj, tutejsi Polacy przygotowują księgę, złożoną z tych dokumentów, mogę ci dostarczyć odbitkę korektorską. Mają także człowieka, który uciekł z Treblinky, tego tutaj obozu - dźgnął kościstym palcem na leżący na biurku szkic - w pobliżu Warszawy. Zaryzykował przedarcie się przez całą Europę, okupowaną przez hitlerowców, tylko po to, żeby dostarczyć fotografie i opowiedzieć o wszystkim. Rozmawiałem z nim przez tłumaczy. Nie sposób mu nie wierzyć. Jego opowieść to istna odyseja. Po prostu bomba dziennikarska.

Do Pameli z trudem to docierało. Pug Henry żywy i bezpieczny! Wraca do Washingtonu! Jej plany, jej całe życie stanęły przez to w innym świetle. Co do "bomby" Lesiego Slote, on chyba ma nie lada obsesję. Słyszała niemal, jak by powiedział jej ojciec: "Do niczego. Nie przejdzie. Starocie." Nie byłoby starocią zwycięstwo: jakieś zwycięstwo w Afryce Północnej, w Rosji,

na Pacyfiku; albo zwycięstwo nad U-Botami, po czterech latach klęski jakiś wielki, prawdziwy zwrot w tej wojnie. A że Niemcy gnębią Europę i udręczają Żydów, jest czymś tak zwykłym i regularnym jak tabele z godzinami przyprawy.

- Leslie, porozmawiam jutro z naczelnym.

Slote wyciągnął do niej wychudzoną dłoń. Jej wnętrze było wilgotne, uścisk słaby. - Doskonale! Będę tu jeszcze przez dwa dni. Dzwon do mnie albo do hotelu Dorchester, albo do ambasady amerykańskiej, wewnętrzny 739. - Gdy nakładał futro i czapkę, jego ściągnięta twarz i posępne oczy rozjaśnił dawny paryski uśmiech. - Dziękuję za whisky, staruszek, i za to, że pozwoliłaś się wygadać Staremu Żeglarzowi.

Potykając się wyszedł.

Naczelnny wysłuchał jej nazajutrz ze znużeniem, rozwalony w fotelu, gryząc wystygłą fajkę, kiwając głową i pomrukując. Polski rząd emigracyjny, powiedział, już dawno mu proponował ten materiał. Parę kawałków puścił. Niech Pamela je obejrzy w archiwum, zwyczajna propaganda. Z dziennikarskiego punktu widzenia nic tu nie da się zweryfikować. Te historie o planach wymordowania wszystkich Żydów pochodzą ze źródeł syjonistycznych i służą do wywierania nacisku na Whitehall, żeby otworzyć Palestynę dla imigracji żydowskiej. Mimo to gotów jest się spotkać z panem Slote w przyszłym tygodniu. Och, facet już jutro wyjeżdża? No, to niestety.

Ale gdy zaproponowała, że pojedzie do Washingtonu i napisze kilka artykułów o tym, jak tam się pracuje dla wojny, rozjaśnił się. - Czemu nie? Zobaczmy, co potrafisz, Pamelko. Wiemy, że ostatnio już ty pisałaś Gadule szkice jego artykułów. Kiedy nam dostarczysz Zachód słońca na Kidney Ridge? Bardzo nam na tym zależy.

`cp2

Slote wiedział już o dwóch pracownikach Służby Zagranicznej, którzy zaginęli między Szkocją a Montrealem w lotach związanych przetrzaskaniem bombowców. Niebo nad północnym Atlantykiem nie było trasą przelotu, którą by wybrał, szczególnie w środku zimy. Wielkie, wygodne transportowce latały po trasie południowej: w dół do Dakaru, potem przeskok nad słonecznym oceanem do wybrzuszenia Brazylii, stamtąd na północ do Bermudów i tak dalej do Baltimore. Ale to było dla ważniaków. Jemu dano do wyboru: dziesięciodniowy rejs w konwoju morskim albo przelot z dostarczającą samoloty służbą transportową RAFu.

W pociągu, jadącym na lotnisko w Szkocji, nawinął mu się amerykański pilot od przetrzaskania, zmierzający do tegoż celu: żylasty, średniego wzrostu kapitan z Korpusu Powietrznego Armii, z wąsem jak szczoteczka do zębów, z dzikim spojrzeniem, z trzema rzędami baretek orderowych na kurtce khaki, z bogatym słownictwem obscenicznym i niewyczerpanym zapasem opowieści lotniczych. Zajmowali we dwóch jeden przedział. Pilot ciągle popijał brandy, tłumacząc, że chce się ululać i pozostać ululany do czasu, aż będą mieli za sobą pas startowy lotniska w Prestwick, gdzie zawsze się można rozbić przy starcie. Uczestniczył już w dwóch zbiorowych pogrzebach pilotów, którzy zginęli na tym pasie startowym. Kiedy się leci na zachód przez wichury północnego Atlantyku, trzeba się z góry pogodzić z niebezpiecznym przeciążeniem od nadmiaru paliwa. Służba transportu lotniczego musi wciąż odstawiać w tamtą stronę pilotów, bo wysyłanie rozmontowanych samolotów drogą morską jest powolne i kłopotliwe, poza tym zbyt wiele ich pada ofiarą U-Bootów. W gruncie rzeczy to piloci transportowi gromadzą siły powietrzne Aliantów w rejonach walk. Wszyscy mają ich w dupie, ale to oni pełnią kluczową rolę w toczącej się wojnie.

Kiedy stary, brudny pociąg ze szczękiem włókł się przez zaśnieżone pola, pilot uraczył Slote'a swym życiorysem. Nazywał się Bill Fenton. Przed wojną dawał pokazy lotnicze, a od 1937 latał w różnych funkcjach, cywilnych i

wojskowych, dla różnych rządów. Prowadził samoloty towarowe z Indii do Chin ("przez garb", jak to określał), startując z pasa, który najpierw trąbiący dżip musiał opróżnić z krów i bawołów, a potem wdrapując się na wysokość ośmiu kilometrów i więcej, ażeby przeskoczyć lodowate burze, kłębiące się wyżej niż Mount Everest. Później wstąpił do Kanadyjskich Sił Powietrznych, aby przerzucać samoloty do Anglii. Teraz dostarcza bombowce dla Korpusu Powietrznego Armii przez Amerykę Południową do Afryki i dalej, aż do Persji i Związku Radzieckiego. Lądował awaryjnie na pustyni. Dwa dni pływał po Morzu Irlandzkim na gumowej tratwie. Skakał ze spadochronem na zajęte przez Japończyków terytorium Birmy i pieszo wydostał się stamtąd do Indii.

Zanim dotarli w śnieżnej zamieci do Prestwick, Slote byk już nie tylko zmęczony, śpiący i pijany od brandy, którą częstował go Bill Fenton; miał również zupełnie nowy obraz wojny. W jego przyćmionym mózgu kłębiły się wizje samolotów, zygzakujących po całym globie - tysiące bombowców, myśliwców, transportowców - walczących z niepogodą i z nieprzyjacielem, bombardujących miasta, koleje i kolumny wojska; przebywających oceany, pustynie, wysokie łańcuchy górskie; wojna, jakiej nie wyobrażałby sobie Tucydides, wypełniająca niebo nad planetą mnóstwem pędzących maszyn, prowadzonych przez tłumy Billów Fentonów. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad wojną w powietrzu. Tym razem ulotniły mu się z mózgu nękający go wciąż Protokół z Wannsee, mapa Polski z trzema czarnymi kółkami i pociągi, wiozące każdego miesiąca po Europie na śmierć setki tysięcy Żydów. W dodatku był tak przerażony perspektywą lotu, że ledwie się wygramolił z pociągu.

Kiedy przybyli na lotnisko, samolot grzał silniki. Gdy wytarabanili się z biura w niezgrabnych kombinezonach lotniczych, w ciężkich rękawicach i kamizelkach ratunkowych, z dyndającymi u kolan spadochronami, z początku nie mogli dojrzeć przez sypiący śnieg samolotu. Fenton poprowadził go na głos silnika. Niepojęte wydawało się Lesliemu Slote, że w taką pogodę można wystartować. W czterosilnikowym bombowcu nie było siedzeń. Może z tuzin powracających pilotów rozłożyło się na drewnianej podłodze na jakichś materacach. Zimny pot ściekał Lesliemu pod pachami i serce mu tłukło, kiedy samolot ciężko wystartował. Fenton wrzeszczał mu w samo ucho, przekrzykując ryk silnika i stękanie wciąganego podwozia, że przewiduje się wiatr czołowy o szybkości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów. Możliwe, że przyjdzie im wylądować na Grenlandii, na tym arktycznym zadupiu.

Leslie Slote był tchórzem. Wiedział o tym. Przestał z tym walczyć. Nawet jazda samochodem z szybkim kierowcą kosztowała go sporo nerwów. Każda podróż samolotem, choćby godzina przelotu w DC-3, była ciężkim przeżyciem. Ten człowiek znalazł się teraz w wypatroszonym, czterosilnikowym bombowcu, lecącym w grudniu na zachód przez Atlantyk; w wyjąłym gruchocie, który przez świszczące i jęczące szczeliny zasysał ziąb, wznosząc się w grad siekający po kadłubie jak ogień karabinów maszynowych, wierzgał, zapadał się i uskakiwał jak latawiec. W przyćmionym świetle z pokrytych lodem okienek Slote widział zielonkawe twarze porozkładanych pilotów, kroplisty pot na ich czołach, roztrzęsione dłonie unoszące papierosy albo butelki do zaciśniętych ust. Lotnicy wyglądali na tak samo przerażonych, jak on się czuł.

Fenton w pociągu wyjaśnił, że wichury na północnym Atlantyku są najostrzejsze na małych wysokościach. Samoloty latają więc możliwie wysoko, aby wzbić się ponad burze i oszczędzać paliwa w rzadszym powietrzu; ale znów tam wysoko lód może się gromadzić szybciej niż odladzacz go zdąży usuwać. Poza tym gaźniki mogą się tak ochłodzić przy wciąganiu powietrza o temperaturze poniżej zera, że zamarzną. Wtedy silnik przestaje działać. Bez wątplenia w ten właśnie sposób zginęło wiele samolotów. Kiedy zacznie się tworzyć lód, można jeszcze próbować wznieść się ponad wilgotne zimno w strefę suchego zimna, gdzie trzeba ubrać się w maskę tlenową, aby przeżyć.

W przeciwnym razie pozostaje się tylko zniżyć, może aż do wierzchołków fal, gdzie cieplejsze powietrze roztopi lód. Na to Slote zadał mu niebaczne pytanie: - Czy takie warunki oblodzenia mogą panować aż do powierzchni wody?

- Cholera, jeszcze jak! - odparł Fenton. - Słuchaj pan, co mi się wydarzyło. - I wdał się w długą, przerażającą historię o tym, jak mało co nie wpadł w korkociąg i do wody koło Nowej Funlandii pod ciężkim ładunkiem lodu.

Samolot wspinał się coraz wyżej; nie umocowane przedmioty uporczywie zsuwały się w tył. Niektórzy piloci, skuleni pod wystrzępionymi kocami, zaczęli chrapać. Fenton również wyciągnął się i zamknął oczy. Nagle metaliczny trzask i łomot wzdłuż kadłuba sprawił, że Lesliemu serce zamarło, a przynajmniej tak się poczuł. Fenton zamrugał, wyszczerzył do niego zęby i pokazał na migi, jak to lód się tworzy na skrzydłach i gumowe odladzacze go kruszą i odłamują.

Slote zastanawiał się, jak ktokolwiek może spać w tej ryczącej, podniebnej izbie tortur, w huku łamiącego się lodu. On równie dobrze mógłby usnąć, pomyślał, przybity do krzyża. Zmarzył mu nos, w dłoniach i stopach nie miał czucia. A jednak zdrzemnął się, bo zbudziło go przykre doznanie: woń gumy i coś zimnego, przyciśniętego do jego twarzy jak przy znieczuleniu. Otworzył oczy w ciemności. Głos Fentona krzyknął mu w ucho: - Tlen. - Ktoś zapalił słabą, kieszonkową latarkę. Jakiś cień zataczał się tu i ówdzie, roznosząc maski, od których ciągnęły się długie rurki gumowe. Slote pomyślał, że nigdy mu nie było tak zimno, nie czuł się tak zmartwiały, tak doszczętnie chory, tak gotów umrzeć i żeby się to wreszcie skończyło.

Wtem samolot z rykiem zanurkował. Piloci usiedli, rozglądając się oczyma w białych obwódkach. Była to dla Lesliego dziwaczna pociecha w jego udęce, że ci doświadczeni mężczyźni też się boją. Po przeraźliwie stromym i długim nurkowaniu wzdłuż kadłuba znów rozległ się trzask lodu. Podłoga się wyrównała.

- Nie dociągniemy do Nowej Funlandii - krzyknął mu w ucho Fenton. - To Grenlandia.

My som Rasa Panuf! Ď Mufi Der Fuehrer nasz. Ď A my na to Heil! (pfft!) Ď Heil! (pfft!) Ď Der Fuehrerowi w tfasz. Ď

W drewnianym baraku przy pasie startowym w Grenlandli rznął gramofon, chrypiąc tę piosenkę, godzina za godziną. Innej płyty nie było pod ręką. Lotnisko, bezdrzewna przestrzeń pokryta stalową siatką rzuconą w błoto i posypana śniegiem, była czymś tak ponurym, że Slote nie wyobrażał sobie, aby podobne miejsce mogło istnieć na kuli ziemskiej. Pas startowy był krótki i ryzykowny, więc samolot, uzupełniwszy zapas paliwa, musiał czekać na lepsze warunki do startu.

Nje kochacz Der Fuehrer Ď Grosse hańba masz. Ď Wjenc my jemu Heil! (pfft!) Ď Heil! (pfft!) Ď Der Fuehrerowi w tfasz. Ď

Ta kretyńska piosenka, pomyślał Slote, to kwintesencja tego, jak Amerykanie wyobrażają sobie Hitlera i nazistów: nadęty cymbał, głupkowaci wyznawcy, okrzyki Heil! i dużo hałasu. W aranżacji muzycznej mieszały się różne śmieszne odgłosy, krowie dzwonki, dziecinne trąbki, brzęczące puszkki z um-pa-pa niemieckiej orkiestry wojskowej. Piloci grali w karty albo siedzieli niedbale porozwalani, a kiedy płyta się kończyła, ktoś po prostu brał i przestawiał igłę na początek.

Fenton leżał na pryczy pod Slotem, kartkując magazyn z dziewczynkami. Slote wychylił się i zapytał, co sądzi o Der Fuehrer Tfasz. Fenton odziewnął, że zaczyna go wkurzać. Zlazłszy na dół, Slote usiadł przy kapitanie i otworzył przed nim duszę na temat masakry Żydów, z gorzką uwagą, że skoro taka piosenka może kogoś bawić, to nic dziwnego, że nikt nie wierzy w to, co się dzieje.

Przewracając kartki z gołymi panienkami, Bill Fenton łagodnie zareplikował: - A gównu, człowieku, kto by nie wierzył? Ja wierzę. Ci Niemcy muszą być jacyś dziwni, żeby iść za takim stukniętym jak Hitler. Niektórzy z nich to pierwszorzędni lotnicy, ale jako naród to zgroza.

Jak Herr von Goebbels mufi:Ǿ Cały szwajat jest nasz!Ǿ To my jemu Heil (pffft!)Ǿ Heil (pffft!)Ǿ Von Goebbelsowi w tfasz.Ǿ Jak Herr von Goering mufi:Ǿ Nie nas bombami strasz!Ǿ To my jemu Heil (pffft!)Ǿ Heil (pffft!)Ǿ Von Goeringowi w tfasz.Ǿ

- Ale jak można tym Żydom pomóc? - Fenton odrzucił magazyn, przeciągnął się i ziewnął. - Zanim ta wojna się skończy, zginie pięćdziesiąt milionów ludzi. Japońcy walczą z Chińczykami od 1937 roku. Pan wie, ilu Chińczyków umarło z głodu? Nikt nie wie. Może dziesięć milionów. A może więcej. Był pan w Indiach? To jest beczułka prochu! Brytyjczycy już długo ich nie utrzymają. A kiedy w Indiach wybuchnie, dopiero pan zobaczy, jak Hindusi i Sikhowie, i muzułmanie, i buddyści, i Parsowie podrzynają sobie wzajemnie gardła, aż sam diabeł tego nie wytrzyma. Niemcy zabili dużo więcej Rosjan niż Żydów. Człowieku, ten świat to rzeźnia i zawsze był taki, i to jest podstawowa rzecz, o której wszyscy ci jebani pacyfiści nigdy nie pamiętają.

A kto jest Supermensch?Ǿ Wer ist aryjski Supermensch?Ǿ To my! Ja ja! Super KuperǾ Dupermensze! To my!Ǿ

Fenton lubił słuchać własnego głosu i rozkręcał się coraz bardziej. Siedział wyprostowany i szturchał Lesliego w ramię. - Powiedz pan. Czy Stalin jest lepszy niż Hitler? Ja mówię, że taki sam rodzaj mordercy. Tymczasem my latamy, żeby mu dostarczać połowę bombowców, jakie produkujemy - gratis, darmo, za frajer - i ginie przy tym wielu fajnych pilotów, ja także narażam dupę. A dlaczego? Bo to jest nasz morderca, dlatego! Nie robimy tego dla ludzkości ani dla Rosji, ani dla niczego, tylko żeby ocalić własną dupę. Jezus Chryste, ja żałuję tych Żydów, pan myśli, że nie żałuję? Ale nic nie możemy dla nich zrobić innego, tylko dawać w dupę tym Niemcom, aż się zesrają.

Wjenc my jemu Heil (pffft!)Ǿ Heil (pffft!)Ǿ Der... Fuehrerowi... w tfasz.Ǿ

Z ogromnej bazy Kanadyjskich Sił Powietrznych pod Montrealem Slotę zatelefonował do Wydziału Spraw Europejskich i jego kierownik powiedział mu, żeby pognał czym prędzej do portu lotniczego w Montrealu i tam złapał pierwszy samolot do New Yorku albo do Washingtonu. W międzyczasie Fenton przeszedł koło budki telefonicznej. Wysoka, piękna dziewczyna w futrze z rudych lisów szła uczepiona jego ramienia, kołysząc biodrami przy każdym kroku, pożerając pilota świetlistymi, zielonymi oczyma. Machnąwszy mimochodem w stronę budki dymiącym cygarem, wyszczerzywszy zęby w uśmiechu, jak to między mężczyznami, pilot oddalił się i znikł mu z oczu. Krótkie życie, ale za to wesołe! pomyślał Slotę w przeblysku smętnej zawiści.

Z uciechą i zaskoczeniem przekonał się, że bez mrugnięcia znosi start swojego DC-3 i podrzuty przy wspinaniu się ponad gęste chmury. Samolot wydawał się tak ogromny, jego wnętrze tak luksusowe, fotel tak szeroki i miękki, stewardesa tak zachwycająca, że czuł się raczej jak na pokładzie Queen Mary niż na czymś lecącym w powietrzu. Nie umiał powiedzieć, czy przelot bombowcem jakby wypalił jego strach przed lataniem, czy nerwy jego zostały tak sponiewierane, że ich nie czuje, znajdując się na krawędzi całkowitego załamania. Tak czy owak nie bać się: było to rozkoszne uczucie.

W kiosku złapał Montreal Gazette. Teraz ją rozłożył i na pierwszej stronie rzuciło mu się w oczy zdjęcie Alistaira Tudsbury i Pameli. Stali przy dżipie, Tudsbury szczerzył zęby, ubrany w baloniasty kombinezon roboczy armii, a Pamela w spodniach i koszuli wyglądała na znudzoną i spiętą.

Zachód słońca na Kidney Ridge

Alistair Tudsbury

Drogą telegraficzną z Londynu. Następujący artykuł, datowany 4 listopada

1942, był ostatnim, jaki napisał znakomity brytyjski korespondent wojenny na krótko przedtem, zanim zginął od wybuchu miny pod El Alamein. Opracowała go córka i współpracownica autora, Pamela Tudsbury, na podstawie nie dokończonych szkicu. Przedruk za specjalnym pozwoleniem dziennika London Observer.

Słońce wisi olbrzymie i czerwone nad odległym horyzontem, pokreślonym smugami kurzu. Pustynny ziab już ogarnia Kidney Ridge. To szare, piaszczyste wzniesienie jest puste, jeśli nie liczyć poległych i dwóch oficerów wywiadu, i mnie samego. Nawet muchy stąd odleciały. Przedtem roiły się ich całe chmary, aż czarno było od nich na trupach. Żywych też zadręczają, gromadząc się człowiekowi przy oczach i wilgotnych kącikach ust, pijąc jego pot. Ale oczywiście wołają umarłych. Kiedy jutro słońce się wdrapie na przeciwległy horyzont, muchy wrócą do swojej uczty.

Tutaj umarli nie tylko ci żołnierze niemieccy i brytyjscy, których zwłoki usiały ziemię, jak okiem sięgnąć w gasnącym czerwonym świetle. Tu pod El Alamein umarł Afrika-Korps. Była to legenda, brawurowy i jednoznaczny nieprzyjaciel, groźba i zarazem coś chwalebne: używając retoryki Churchilla, mężny wróg, godzien naszej stali. Jeszcze nie wiadomo, czy Rommlowi udało się wymknąć, czy też jego pobici nadludzie w rozsypce zgnięci zostaną przez Ósmą Armię. Lecz Afrika-Korps już nie żyje, zmiażdżony przez oręż brytyjski. Odnieśliśmy tutaj, na wielkiej afrykańskiej Zachodniej Pustyni, zwycięstwo, które można postawić obok Crecy, Agincourt, Blenheim i Waterloo.

Prześladują mnie tu na Kidney Ridge słowa z Bitwy pod Blenheim Roberta Southeya:

Mówią, że był to straszny widok, Ą Gdy mnogie zwłok tysiące Ą Leżały gnijac po zwycięstwie Ą W upalne padłszy słońce; Ą Lecz trudno, by się tak nie działo, Ą Gdy los wiktorię dał wspaniałą. Ą

Zwłoki, jakkolwiek liczne, mniej rzucają się w oczy niż rozsądzone i wypalone czołgi, którymi jest usiana ta niesamowicie piękna pustynia; te przysadziste kadłuby z długimi lufami, rzucające wydłużone niebieskie cienie na pastelowe szarości, brązy i róże rozległych piasków. Oto główna niekongruencja Kidney Ridge: masy zdruzgotanej XX-wiecznej maszynerii porozrzucane w tej surowej, płaskiej, piaszczystej głuszy, gdzie wyobraźnia dostrzega tylko wojowników na wielbłądach, albo pędzących konno, albo może słońce Hannibala.

Z jakże daleka przybyli, aby tu zginąć, ci żołnierze i te maszyny! Co za dziwaczny ciąg wydarzeń sprowadził młodzieńców z Nadrenii i Prus, z wyżyn szkockich i z Londynu, z Australii i Nowej Zelandii, aby się jedni z drugimi starli na śmierć przy pomocy ognia zionącej maszynerii w odległej Afryce, w scenerii suchej i bezludnej jak na Księżycu?

Ale taki jest znak probierczy tej wojny. Nigdy nie było wojny takiej jak ta. Okrąża ona cały świat. Na naszym małym globie wszędzie jest Kidney Ridge. Ludzie walczą tak daleko od swych krajów, jak tylko można ich przetransportować, z odwagą i wytrwałością, budzącymi dumę z rodzaju ludzkiego, w straszliwych urzędzeniach, pobudzających do wstydu za rodzaj ludzki.

Wkrótce mój dziup odwiezie mnie do Kairu, gdzie podyktuję komunikat o tym, na co tu patrzę. A oto, co widzę w tej chwili, kiedy słońce dotyka horyzontu. Dwaj oficerowie wywiadu, o niecałe pięćdziesiąt metrów ode mnie, wydostają z wysadzonego czołgu niemieckiego kierowcę, posługując się hakami do mięsa. Jest on czarny i zwęglony. Nie ma głowy. To kadłub z rękoma i nogami. Pachnie jak skruszała wieprzowina. Na nogach ma całkiem dobre obuwie, tylko trochę nadpalone.

Jestem bardzo zmęczony. Głos, którego nie chciałem słyszeć, mówi mi, że to ostatni triumf Anglii na lądzie; że nasza historia wojskowa kończy się tym zwycięstwem, które można postawić obok największych, odniesionych

głównie za pomocą maszyn, przewiezionych na odległość piętnastu tysięcy kilometrów z fabryk amerykańskich. Tommy Atkins będzie służył dzielnie i mężnie, gdziekolwiek mu jeszcze przyjdzie walczyć, jak zawsze; ale prowadzenie wojny wymyka się z naszych rąk.

Przytłacza nas liczba i jakość. Współczesna wojna to posępne i hałaśliwe współzawodnictwo zakładów przemysłowych. W roku 1905 wydajność przemysłowa Niemiec przewyższyła naszą. Pierwszą wojnę światową przetrzymaliśmy samą zjadłością. Dzisiaj dwoma przemysłowymi olbrzymami świata są Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Teraz już mają więcej niż przewagę nad Niemcami i Japonią. kiedy się otrząsnęły z niepowodzeń pierwszego zaskoczenia i stanęły pod bronią. Wizja Tocqueville'a urzeczywistni się w naszych czasach. One podzielią między siebie rządy nad światem.

Słońce zapadające na Kidney Ridge zachodzi nad Imperium Brytyjskim, w którym - jak nas przyzwyczajono mówić za lat chłopięcych - słońce nigdy nie zachodziło. Nasze Imperium narodziło się z umiejętności naszych odkrywców, z nowatorskiego geniuszu naszych naukowców i techników. Wyprzedziliśmy świat na przeciąg dwustu lat. Ukołysłani pod długotrwałą, pokój niosącą opieką zbudowanej przez nas wielkiej floty, myśleliśmy, że tak będzie już zawsze. Zadrzemaliśmy.

Tutaj na Kidney Ridge starliśmy z siebie hańbę naszej ospałości. Jeżeli historia polega tylko na szczęku oręża, przystępujemy teraz do honorowego zejścia ze sceny. Ale jeżeli chodzi o marsz ducha ludzkiego ku wolności świata, nigdy nie zejdziemy ze sceny. Brytyjskie ideały, brytyjskie instytucje, brytyjska metoda naukowa będą torować drogę w innych krajach, inaczej ubrane. Angielski stanie się językiem tej planety, to jest już niewątpliwe. Byliśmy Grecją nowej epoki.

Ale przecież, powiecie, tematem przewodnim nowej epoki jest socjalizm. Nie jestem tego taki pewien. Ale gdyby nawet tak było, to Karol Marks, niechlujny Mahomet tego szerzącego się ekonomicznego islamu, zbudował swoje prerażałiwe dogmaty na teoriach brytyjskich ekonomistów. Stwarzał swe apokaliptyczne wizje pod gościnną kopułą Muzeum Brytyjskiego. Czytał brytyjskie książki żył z brytyjskiego zasiłku, pisał pod osłoną brytyjskiej wolności, miał brytyjskich współpracowników i spoczął na cmentarzu w Londynie. Ludzie o tym nie pamiętają.

Słońce zaszło. Teraz już prędko ściemni się i ochłodzi. Oficerowie wywiadu wzywają mnie gestami do swej ciężarówce. Na niebie koloru indygo wschodzą pierwsze gwiazdy. Patrzą po raz ostatni na poległych pod El Alamein, mamrocząc modlitwę za wszystkich tych nieszczęśników, Niemców i Brytyjczyków, którzy na przemian śpiewali Lili Marleen w kawiarniach Tobruku, ściskając te same łatwe dziewczęta. Teraz leżą tu wszyscy razem, ich młode żądze ostygły, ich nostalgiczne pieśni ucichły.

"Ależ to coś okropnie złego!"

Krzyknęła Wilhelmina mała.

"Nie, nie, kochanie! - odrzekł jej -

Pamela Tudsbury pisze: Telefon zadzwonił właśnie w momencie, kiedy mój ojciec recytował te wiersze ze zwykłym sobie zapałem. Wzywano go na wywiad z generałem Montgomerym. Wyjechał natychmiast. Następnego dnia rano ciężarówka przywiozła jego zwłoki. Jako oficer rezerwy z I wojny światowej pochowany został z honorami na brytyjskim cmentarzu wojskowym pod Aleksandrią.

London Observer poprosił mnie, abym dokończyła ten artykuł. Próbowałam. Mam jego odręczne notatki jeszcze do trzech akapitów. Ale nie umiem tego zrobić. Mogę natomiast za niego dokończyć wiersz Southeya. Tak się kończy kariera mego ojca jako korespondenta wojennego:

Wiktoria była to wspianiała."

Samolot buczał już teraz ponad burzą, niebo było błękitne, słońce oślepiające na białej powłoce chmur. Slotę siedział smętnie zagłębiany w

swój fotel. Myślał, jak daleką drogę przebył z Berna, nie tylko w kilometrach, ale i w postrzeganiu. W cieplarnianych warunkach szwajcarskiej stolicy, pod wygodnym, szklanym kloszem neutralności, jego obsesja w sprawie Żydów wybujała jak sztucznie pędzona roślina. Teraz wracał do rzeczywistości.

Jak tu obudzić amerykańską opinię publiczną? Jak wyjść poza Der Fuehrer Tfasz z jej głupim rechotem, poza gorzki cynizm Fentona? A przede wszystkim: jak przebić Kidney Ridge? Artykuł Tudsbury'ego porusza i wstrząsa opisem tej wielkiej rzezi; ale Żydzi europejscy nie mają swojego Kidney Ridge. Nie są uzbrojeni. To nie jest bitwa. Większość z nich nawet nie pojmuje, że się odbywa masakra. Niechętnie zastanawiamy się nad owcami idącymi do rzeźni. Spojrzenie odwraca się od nich. Człowiek ma przed oczyma podniecający dramat w skali światowej, grę o najwyższe stawki, w której nasza drużyna wreszcie zyskuje przewagę. Treblinka ma niewielkie szanse wobec Kidney Ridge.

`ty

50

`ty

We wrześniu 1941 Victor Henry zostawił za sobą kraj w stanie pokoju, choć pogrążony we wrzaskliwych kłótniach izolacjonistów z interwencjonistami, i produkujący zaledwie szczyptę uzbrojenia, mimo całej retoryki na temat "arsenału demokracji", gdzie służby zbrojne drżały wobec faktu, że Kongres przedłużył prawo o powszechnej służbie wojskowej przewagą jednego głosu; kraj bez ograniczeń w racjonowaniu, w rozkwicie interesów ciągnących z wydatków na obronę, w nocy rozjarzony światłami od wybrzeża do wybrzeża, z rwącymi jak zwykle kataraktami samochodów na autostradach i na ulicach miast.

Gdy teraz powracał, oglądane z powietrza San Francisco mówiło o wojnie: cienie mostów z wygaszonymi latarniami pod pełnią księżyca, blade wstęgi opustoszałych autostrad, zaciemnione wzgórza dzielnic mieszkalnych, czarne wysokie budowle w śródmieściu. Na ciemnych, cichych ulicach i w blasku hotelowego foyer zdumiała go obfitość mundurów. Berlin hitlerowski miał wygląd nie bardziej wojskowy.

Zmiana ta odbijała się również w treści gazet i tygodników, które nazajutrz czytał w samolocie, lecącym na wschód. W reklamie panował wojowniczy patriotyzm. Jeżeli w ogłoszeniach nie widnieli bohaterscy spawacze, górnicy lub żołnierze ze swymi dziewczętami, to zbierała w nich komiczne ciągi wyszczerzona hiena japońska albo żmija z wąsikami jak u Hitlera, albo groźnie nadęta świnia z mordą Mussoliniego. W doniesieniach prasowych i podsumowaniach na koniec roku wzbierała optymistyczna pewność, że pod Stalingradem i w Afryce Północnej odwróciły się koleje wojny. Pacyfik zbywano jakąś tam wzmianką. Pobieżne napomknięcia o Midway i Guadalcanalu, może z winy floty, która wciąż nabierała wody w usta, żałośnie traciły z oczu skałę tych bitw. Jeśli chodzi o zatopienie Northamptona, Pug stwierdził, że choćby je ujawniono, prasa i tak by je zignorowała. Ta jego życiowa klęska, ta zagłada wielkiego okrętu wojennego, byłaby tylko ciemną plamką, niepotrzebnie pstrzającą optymistycznie złoty obraz.

I wszystko tak nagle! Przeskakując w tych dniach z wyspy na wyspę, czytywał w samolotach i poczekalniach wystrzępione pisma z ubiegłych miesięcy. Wszystkie one jednogłośnie uskarżały się na opieszałość wojenną Aliantów, na postępy Niemców w głąb Kaukazu, na sprzyjające Osi zamieszki w Indiach, Ameryce Południowej i krajach arabskich, na japońską przewagę zarówno w Birmie, jak i na południowo-zachodnim Pacyfiku. Teraz jak jeden mąż te same pisma głosiły nieunikniony upadek Adolfa Hitlera i jego zbrodniczych współników. Ta zmiana nastroju u cywilów uderzyła Puga jako

lekkomyślność. Jeśli zbliża się strategiczny punkt zwrotny, to główna rzeź na polach bitwy dopiero nastąpi. Amerykanie dopiero zaczęli ginać. Jest to niemała sprawa dla rodzin wojskowych, choć może nie dla wojskowych dziennikarzy. Zatelefonował z San Francisco do Rhody i dowiedział się od niej, że wciąż nie ma wieści od Byrona. W czasie wojny brak wieści, zwłaszcza o synu służącym we flocie podwodnej, niekoniecznie jest dobrą wieścią.

Kiedy samolot podskakiwał i rzucał się w szarym, zimowym niebie, Pug rozmyślał głównie o swoim skierowaniu do Biura Personalnego i o rozmowie ze Spruancem. Jeśli chodzi o przydziały dla oficerów z czterema galonami, kluczową postacią w Biurze był Digger Brown, jego dawny kolega z Akademii. Pug przeciągnął ambitnego Browna, z jego antytalentem do języków, przez trzy lata nauki niemieckiego, pomagając mu w uzyskaniu najwyższych ocen, które umocniły pozycję Browna na uczelni i przyczyniły się do jego dalszej kariery. Pug nie spodziewał się żadnych trudności w odkomenderowaniu z powrotem do Dowództwa Pacyfiku, bo nikt we flocie nie znaczył teraz więcej niż Spruance i Nimitz; gdyby jednak były z tym jakieś biurokratyczne komplikacje, zamierzał po prostu spojrzeć Diggerowi Brownowi w oczy i powiedzieć mu, czego chce. Facet mu nie może odmówić.

A co z Rhodą? Co jej ma powiedzieć przy spotkaniu? Jak się zachować? Zachodził nad tym w głowę, oblatując pół globu, i wciąż był to dla niego dylemat.

W ciemnym, wykładanym marmurem holu ich wielkiego domu przy Foxhall Road rozpląkała się w jego ramionach. Na grubym płaszczu pokładowym Puga leżały płatki śniegu, uścisk jego był niezgrabny, lecz ona przyłgnęła do niego, do zimnej mokrej granatowej tkaniny i sterczących mosiężnych guzików, wykrzykując ze szlochem: - Przepraszam, och, przepraszam cię, Pug. Nie chciałam płakać, naprawdę. Tak się cieszę na twój widok, że mogłabym umrzeć. Przepraszam, kochanie! Przepraszam, że ze mnie taka beksa.

- W porządku, Rho. Wszystko w porządku.

I w tym pierwszym, czułym momencie naprawdę myślał, że wszystko może się dobrze ułożyć. Czuł w uścisku jej ciało, miękkie i rozkoszne. Przez cały okres ich długiego małżeństwa zaledwie kilka razy widział żonę we łzach; mimo całej pustoty było w niej coś ze stoicyzmu, pozwalającego jej wziąć się w garść. Czepiała się go jak dziecko, szukające pociechy, a jej zapłakane oczy były wielkie i lśniące. - O cholera, cholera, chciałam to załatwić z uśmiechem i z kieliszkiem martini w ręku. Jednak martini to chyba szalowy pomysł, nie uważasz?

- W samo południe? No, niech będzie. - Rzucił płaszcz i czapkę na ławę. Chwyliła go za rękę i powiodła do bywalni, gdzie na kominku trzaskały płomienie i ozdoby połyskiwały na wielkiej choince, wypełniającej pokój zapachem dzieciństwa i rodzinnego szczęścia.

Wziął ją za obie dłonie. - Niechże ci się porządnie przyjrzę.

- Wiesz, Madeline przyjeżdża na święta - zagadała - więc ponieważ nie mam służącej i w ogóle, pomyślałam sobie, że zawczasu kupię choinkę i przystroję to cholerstwo, i - no, no, powiedz coś wreszcie! - Zaśmiała się niepewnie, puszczając jego dłonie. - Dostaję gęsiej skórki od tej kapitańskiej inspekcji. I co sądzisz o starym wraku?

Prawie jakby przyglądał się cudzej żonie. Rhoda miała cerę delikatną, czystą, prawie bez zmarszczek. W obcisłej sukni z dżerseju figura jej była równie uwodzicielska jak dawniej; może odrobinę szczuplejsza. Sterczały jej kości biodrowe. Ruchy i gesty były giętkie, ponętne, kobiece. Kiedy zabawnie pomigała do niego dziesięcioma rozczapierzonymi palcami, mówiąc o gęsiej skórcie, wrócił jej szelmowski wdzięk z pierwszych schadzek.

- Wyglądasz cudownie.

Pełen podziwu ton sprawił, że jej twarz od razu się rozpromieniła.

Przemówiła głosem z lekka ochryplym, łamiącym się: - Wiedziałam, że tak

powiesz. Ależ ty wspaniale wyglądasz! Trochę posiwiałeś, staruszk, ale dobrze ci z tym.

Podszedł do ognia i wyciągnął dłonie.

- Jak to miło.

- Och, jestem taka patriotyczna. I taka praktyczna. Są trudności z ropą. Więc przykręcam termostat, zamykam większość pokoi i spalę mnóstwo drewna. No, powiedz, ty paskudniku! Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie z lotniska? Miotalam się po domu jak pantera.

- Przy budkach był tłok.

- Ja od godziny po prostu rzucałam się na telefon. Bez przerwy ktoś dzwonił. Telefonował ten Slote z Departamentu Stanu. Wrócił ze Szwajcarii.

- Slote! Są jakieś wiadomości o Natalii? Albo o Byronie?

- Potwornie się śpieszył. Jeszcze zadzwoni. Zdaje się, że Natalia jest w Lourdes i...

- Lourdes? We Francji? Skąd wzięła się w Lourdes?

- Tam internowani są nasi dyplomaci i dziennikarze. Ona jest z nimi. Ostatnia wiadomość, jaką miał Slote, to że Byron był w Lizbonie i próbował załatwić jej przejazd. Został odkomenderowany do tych łodzi podwodnych nowego typu.

- Hm! A dziecko?

- Slote nic nie mówił. Zaprosiłam go na kolację. A pamiętasz Sime Andersom? On też zadzwonił. Telefon się bez przerwy urywał.

- Ten miczman? Ten co ganiał mnie po całym kordzie, a Madeline chichotała i klaskała?

- Jest już kapitanem! I co ty na to, Pug? Ja zawsze mówię, że w tych czasach wystarczy, że kogoś odstawili od piersi, i już dostaje kapitana. Prosił o numer telefonu Madeline w New Yorku.

Wpatrując się w ogień, Pug rzekł: - Ona jest znowu z tą małpą Clevelandem, prawda?

- Kochanie, ja pana Clevelanda poznałam w Hollywood. To całkiem niezły człowiek. - Chmurne spojrzenie małżonka zbiło ją z tropu. - Poza tym ja to tak bawi! A ile pieniędzy zarabia nasza córuchna! - Ogień z kominka rzucał ostre cienie na twarz Victora Henry. Podeszła do niego. - Kochanie, co z tym drinkiem? Szczerze powiedziawszy, cała się trzęsę.

Jego ramię objęło ją w pasie i ucałował żonę w policzek. - Oczywiście. Tylko najpierw zadzwonię do Diggera Browna i dowiem się, po jaką cholere mnie tu ściągnięto na zasadzie najwyższego uprzywilejowania.

- Och, Pug, on ci tylko powie, żebyś zadzwonił do Białego Domu. Lepiej udajmy, że twój samolot się spóźnił i... na Boga, skarbie, co się stało?

- Do Białego Domu?

- No pewnie. - Uderzyła się dłonią w usta. - Och, Boziu. Lucy Brown mnie zabije. Kazała mi przysiąc, że zachowam to w tajemnicy, ale byłam pewna, że ty wiesz.

- Co wiem? - Jego ton się zmienił. Jakby mówił do swego kwatermistrza. - Rhoda, powiedz mi, co dokładnie Lucy Brown ci powiedziała i kiedy.

- O mój Boże! Otóż... zdaje się, że Biały Dom polecił, aby Biuro Personalne ściągnęło cię tu, raz dwa pięć. To było w początkach listopada, zanim - no - zanim straciłeś Northamptona, Pug. Nic więcej nie wiem. Nawet Digger nic więcej nie wie.

Pug był już przy telefonie i wykręcał numer. - Idź i przygotuj te drinki.

- Kochanie, tylko nie zdradź się Diggerowi, że Lucy mi powiedziała. On by ją usmażył na wolnym ogniu.

Centrala Departamentu Floty długo się nie zgłaszała. Victor Henry stał samotnie w wielkiej bywalni, przychodząc do siebie po tym zaskoczeniu. Jak dla każdego Amerykanina, tak i dla niego "Biały Dom" wciąż był magicznym hasłem, zaznał jednak cierpkiego posmaku służby u prezydenta. Franklin Roosevelt posługiwał się nim jak pożyczonym ołówkiem i w ten sam sposób go

rzucił; wypłacając się, jak to polityk, dowództwem nieszczęsnej Californii. Victor Henry nie żywił do prezydenta żalu. Z bliska czy z daleka, niezrównany stary kaleka wciąż budził w nim trwożny podziw. Zdecydował się jednak za wszelką cenę unikać jakichkolwiek dalszych misji prezydenckich. Ta jałowa gimnastyka na lądzie w roli popychadła dla wielkichomal nie zniszczyła jego życia zawodowego. Musi dostać się z powrotem na Pacyfik.

Diggera nie było. Pug podszedł do kominka i stanął plecami do ognia. Nie czuł się tutaj u siebie, a w ciasnym domku Janice jak najbardziej. Dlaczego? Przed wyjazdem do Moskwy spędził w tym domu niecałe trzy miesiące. Jakiż on ogromny! O co im szło, kiedy kupowali tę rezydencję? Znowu pozwilił jej dołożyć się z własnego funduszu powierniczego, ponieważ chciała mieszkać w stylu, na jaki jego nie byłoby stać. Błąd, błąd. Mówiło się o zabezpieczeniu mnóstwa wnuków. Co za gorzkie wspomnienie! A co robia na meblach te letnie pokrowce w zimnym grudniu, w pokoju pachnącym Gwiazdką? Nigdy nie lubił tych jaskrawych, kwiecistych wzorów na zielonym perkalu. Chociaż czuł przez kurtkę żar od kominka, panujący w domu ziało jakby go przenikał do kości. Może to prawda, że służba w tropikach rozcieńcza krew. Ale nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem czuł taki chłód, wracając tu z Pacyfiku.

- Martini - zaanonsowała Rhoda, wkraczając z pobrzękującą tacą. - Co z Diggerem?

- Nie było go.

Pierwszy łyżeczek spłynął mu ognistą strużką do gardła. Od wielu miesięcy nie tknął alkoholu; odkąd przez krótki czas ogłuszał się nim po śmierci Warrena. - Dobrze - powiedział i zaraz pożałował, że przystał na martini. Rozmawiając w Biurze Personalnym musi być bardzo przytomny. Rhoda podała mu talerz kanapek, co skomentował ze sztuczną serdecznością: - Hej, kawior! Rozpieszczasz mnie, co?

- Nie pamiętasz? - Uśmiech jej był figlarnie zalotny. - Przysłałeś mi go z Moskwy. Jakiś pułkownik doręczył mi sześć puszek i tę karteczkę od ciebie.

"Na przyszłe spotkanie - napisał wówczas na marnym rosyjskim papierze. - Martini, kawior, ogień na kominku i... zwłaszcza to i...! Z miłością, Pug."

Wszystko mu się teraz przypomniało: huczne popołudnie, kiedy towarzystwo Harrimana robiło zakupy w jedynym otwartym jeszcze sklepie dla turystów, w Hotelu Nacional, całe miesiące przed Pearl Harbor. Pamela z góry wykluczyła wszelkie chusty i bluzki; powiedziała, że tak elegancka kobieta, jak Rhoda, nie włożyłaby czegoś równie tandetnego nawet do trumny. Futrzane czapki uszyte były jakby dla olbrzymek. Kupił więc kawioru i nabazgrał tę głupią karteczkę.

- No, w każdym razie to wyborny kawior.

Ciepłe spojrzenie Rhody zachęcało do poufałości. Victor Henry nieraz to sobie wyobrażał: kapitan wraca z morskich bitw, Odyseusz i Penelopa zmierzają do łóżka. Jej głos był pełen słodyczy: - Wyglądasz, jakbyś nie spał od wielu dni.

- Nie tak wielu. - Przyłożył obie dłonie do oczu i potarł je. - Ale przejechałem kawał drogi.

- Jeszcze jaki! No i jak ci się widzą stare, kochane Stany Zjednoczone, Pug?

- Dziwnie, szczególnie w nocy. Zachodnie Wybrzeże dokładnie zaciemnione. W głąb lądu zaczynają się pokazywać światła. Chicago rozjarzone jak w czasach pokoju. Za Cleveland znowu zaczyna się przyciemniać i w Washingtonie już czarno.

- Och, jakie to typowe! Ta niekonsekwencja. Ten skandaliczny bałagan z ograniczeniami! Wszędzie gada się o racjonowaniu! To wprowadza się, to znów odwołuje! Nie sposób się połapać. I to ciągłe gromadzenie zapasów, Pug. Ludzie wręcz przechwalają się swoim cwaniactwem, że tyle nagromadzili opon,

mięsa, cukru, ropy do ogrzewania i nie wiadomo czego jeszcze. Mówię ci, to jest naród rozpieszczonych wieprzów!

- Rhoda, nie trzeba się po ludziach zbyt wiele spodziewać.

Ta uwaga zamknęła jej usta. Niepewne spojrzenie, chwila milczenia. Położyła dłoń na jego dłoni. - Kochanie, czy chcesz porozmawiać o Northamptonie?

- Zostaliśmy storpedowani i zatopiliśmy.

- Lucy mówiła, że większość oficerów i załogi uratowała się.

- Jim Grigg dobrze się sprawił. Mimo to straciliśmy za dużo ludzi. - A czy twoje życie było w niebezpieczeństwie?

Twarz miała gorliwą, wyczekującą. Zamiast wykonać jakiś gest czułości, na który nie miał ochoty, zaczął mówić o zagładzie swego okrętu. Podniósł się i chodził, słowa niebawem popłynęły mu już bez przeszkód, ożyły emocje tej strasznej nocy. Rhoda słuchała z błyszczącymi oczyma. Kiedy zadzwonił telefon, przerwał w pół słowa, patrząc jak przebudzony lunatyk.

- To pewnie Digger.

Kapitan Brown zagrział jowialnie: - No, no, Pug. Jednak ci się upiekło, co? Wspaniale.

- Digger, czy dostałeś w mojej sprawie pismo z Dowództwa Pacyfiku?

- Słuchaj, Pug, nie załatwiajmy spraw służbowych przez telefon. Dzisiaj po prostu odpocznijcie, ty i Rhoda, jeden dzień możecie sobie odpuścić. Tyle nie widzieliście się i w ogóle, i tak dalej. He, he! Jutro porozmawiamy. Zadzwon do mnie tak około dziewiątej rano.

- A dziś jesteś zajęty? Może bym zaraz przyjechał?

- No, jeśli ci zależy. - Pug usłyszał, jak jego stary przyjaciel westchnął. - Ale sądząc po głosie, jesteś zmęczony.

- Zaraz tam będę, Digger. - Pug odłożył słuchawkę, podszedł do żony i pocałował ją w policzek. - Lepiej dowiem się, o co chodzi.

- W porządku. - Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go przeciągle w usta. - Weź Oldsmobile.

- On jest jeszcze na chodzie? Doskonale.

- Może zostaniesz adiutantem morskim u prezydenta. Tak domyśla się Lucy. Przynajmniej trochę widywalibyśmy się przez jakiś czas, Pug.

Podeszła do biurka i wyjęła kluczyki do samochodu. Nie skrywany patos jej słów przemówił do niego bardziej niż całe uwodzicielstwo. Osamotniona w zimnym domu, straciwszy pierworodnego syna, o którym jeszcze nie wspomnieli, którego zdjęcie uśmiechało się na fortepianie; z mężem, który pierwszy raz pokazał się w domu po przeszło rocznej nieobecności, od razu wybiegającym w swoich sprawach; i tak dobrze to przyjmowała. A ten kołyszący ruch szczupłych bioder jest urzekający. Pug sam się dziwił, dlaczego jej wcale nie pragnie. Poczul impuls, aby zrzucić swój oficerski płaszcz i porwać ją w objęcia. Jednakże czekał na niego Digger Brown, a ona mu już frywolnym gestem rzuciła w dłoń kluczyki. - Ale kolację zjemy w domu, prawda? Tylko we dwoje?

- Oczywiście, że w domu, tylko we dwoje. Mam nadzieję, że nie zabraknie wina i - zawahał się, a potem wymusił z siebie znaczące uniesienie brwi - zwłaszcza to i.

Błysk w jej oczach przeskoczył dzielącą ich przestrzeń. - Lepiej już płyn, żeglarzu.

`cp2

Z zewnątrz ten sam, co niegdyś, stary Gmach Floty, długa i posępna "tymczasowa" budowla z ubiegłej wojny, do tej pory kalająca swoją brzydota Constitution Avenue, ale w środku nastrój był całkiem inny: pośpiech, ogólny gwar, na korytarzach tłumy dziewcząt z Wave i oficerów sztabowych o wyglądzie żółtodziobów. Na brudnych ścianach wisiały ponure malowidła batalistyczne, jakby ledwie obeschłe: walki powietrzne nad lotniskowcami,

działa okrętowe zionące w noc ogniem, ostrzeliwanie tropikalnych wysp. Przez większą część kariery Puga wisiały tu wspomnienia z wojny hiszpańsko-amerykańskiej i z działań 1918 roku na Atlantyku.

Digger Brown wyglądał na króla tego pagórka, dokładnie takiego, jakim istotnie był: wysoki, zwalisty, zdrowy, ze szpakowatą czupryną, z zaliczonym rokiem dowodzenia okrętem liniowym (na Atlantyku, ale to wystarczy) i teraz kierownicze stanowisko w Biurze Personalnym. Digger miał już rangę admirałską w kieszeni. Pug zastanawiał się, jak też widzi go Brown. Nigdy nie imponował mu szybko awansujący, stary przyjaciel, i teraz też. Wiele się rozumiało bez słów, kiedy podali sobie ręce i badawczo spojrzeli w twarz. Brownowi zaś Pug Henry przywodził na myśl dąb rosnący na tyłach jego domu, rażony piorunem, ale wciąż jeszcze żywy i krzepki, każdej wiosny puszczający zielone pędy z nadpalonych konarów.

- To piekielna sprawa z Warrenem - rzekł Brown.

Henry wydawał się całkowicie pochłonięty zapaleniem papierosa. Brown musiał powiedzieć wszystko do końca. - I California, i potem Northampton. Jezusie! - Złapał Puga za ramię w niezgrabnym geście współczucia. - Siadaj.

Pug odpowiedział: - No cóż, czasami mówię sobie, że nie pytano mnie, czy chcę się urodzić. Nie zgłaszałem się na ochotnika, Digger, tylko wcielono mnie. No i dobrze.

- A Rhoda? Jak ją znajdujesz?

- Znakomicie.

- A co z Byronem?

- Wraca z Gibraltaru na ten nowy typ okrętu podwodnego, przynajmniej tak mi mówiono. - Przechyliwszy głowę Pug spojrział z ukosa na swego starego przyjaciela, mrużąc oczy w dymie. - A ty idziesz do góry.

- Przydałoby mi się jeszcze powachać prochu.

- Wojny tam nie brakuje.

- Pug, może to brzydkie uczucie, ale mam nadzieję, że się nie mylisz. - Komandor Brown włożył okulary w rogowej oprawie, przekartkował pod kciukiem dokumenty przypięte na planszecie i wręczył jeden z nich Pugowi. - Chyba o to mnie pytałeś?

Od: Cincpac

Do: Bupers

Proszę o skierowanie do służby sztabowej w tym dowództwie Victor (brak) Henry komandor USN Seria 4329 Ex Dca Northampton x Nimitz

Pug kiwnął głową.

Brown rozpakował gumę do żucia. - Powinniem rzucić palenie. Z powodu nadciśnienia. Chodzę po ścianach.

- Słuchaj, Digger, czy moje skierowanie do Dowództwa Floty Pacyfiku jest załatwione?

- Pug, czy ty wymyśliłeś ten numer w drodze do kraju?

- Niczego nie wymyśliłem. Spruance mnie tym zaskoczył. Byłem zdumiony. Myślałem, że dostanę niezłe baty za stratę okrętu.

- Niby dlaczego? Zatopili cię w ogniu. - Pod surowym, badawczym spojrzeniem Puga Digger Brown żuł i żuł tę gumę. Masywne ciało zmieniło pozycję w obrotowym fotelu. - Pug, Jocko Larkin powiada, że w zeszłym roku wykręciłeś się od roboty w sztabie Dowództwa Pacyfiku.

- To było w zeszłym roku.

- A jak myślisz, dlaczego cię tu sprowadzono w trybie najwyższego pierwszeństwa?

- Ty mi powiedz.

Powoli wymawiając słowa z naciskiem, Brown odparł: - Wielki... Biały... Ojciec. - A potem już lżejszym tonem: - Tak jest, Sir! Szef we własnej osobie. Masz się do niego zgłosić jak najszybciej, w pióropuszu i malowidłach wojennych. - Brown roześmiał się z własnego dowcipu.

- O co chodzi?

- Och, do diabła, dałbyś mi fajki. Dziękuję. - Brown zaciągnął się papierosem, wybałuszając oczy. - Chyba znasz admirała Standleya. Czyli ambasadora w Rosji.

- Pewnie. W zeszłym roku pojechałem tam razem z nim w misji Harrimana.

- Otóż to. Wrócił na konsultacje z prezydentem. Jeszcze zanim Northampton zatonął, kontradmirał Carton dzwonił do nas z Białego Domu, bardzo się o ciebie dopytując. Standley chciał wiedzieć, czy jesteś osiągalny. Stąd najwyższe pierwszeństwo.

Pug odpowiedział, starając się, aby w głosie jego nie dała się słyszeć irytacja: - Nimitz powinien tu znaczyć więcej niż Standley.

- Pug, ja wykonuję polecenia. Masz się zgłosić do Russa Cartonona i umówić się na rozmowę z prezydentem.

- Czy Carton wie o zapotrzebowaniu z Dowództwa Pacyfiku?

- Nie mówiłem mu.

- Dlaczego?

- Nikt mnie o to nie prosił.

- Dobrze, Digger. Więc ja cię proszę, abys o tym zawiadomił Russa Cartonona. Jeszcze dzisiaj.

Krótką wymianą zimnych spojrzeń. Zaciągnawszy się głęboko papierosem, Digger Brown odrzekł: - Chcesz, żebym się wychylił.

- Dlaczego? Zaniebaleś obowiązku powiadomienia Białego Domu, że potrzebuje mnie Dowództwo Pacyfiku.

- Jezu Chryste na rowerze, Pug, nie wstawiaj mi takiej mowy. Kiedy ten facet na Pennsylvania Avenue pstryknie palcami, my tu stajemy na baczność. Nic innego nie ma znaczenia.

- Ale mówisz, że to wymyślił tylko stary Bill Standley.

- Nie byłbym taki pewien. Sam powiedz Russowi Cartonowi o Dowództwie Pacyfiku, jak się z nim spotkasz.

- Nic z tego. Musi to być informacja z Biura Personalnego. Brown spochmurniał i rzekł, nie patrząc mu w oczy: - Kto powiedział, że musi? Victor Henry wyrecytował, jak gdyby ćwicząc się w obcym języku: - Ich muss, du musst, er muss.

Smętny uśmiezek wykrzywił Brownowi usta, kiedy podjął tę recytację: - Wir müssen, ihr müsst, sie müsst.

- Müssen, Digger.

- Müssen. Nigdy nie mogłem przebrnąć przez ten niemiecki, co? - Brown zaciągnął się głęboko papierosem i zgniótł go z zawziętością. - Boże, ale to było dobre. Pug, mimo wszystko uważam, że najpierw powinienes wysłuchać, co ma ci do powiedzenia Wielki Biały Ojciec. - Z irytacją nacisnął guzik. - Ale jak sobie chcesz. Wysłałem tę kopię do Russa.

`cp2

W domu już było cieplej. Pug usłyszał w bywalni męski głos. - Hej tam! - zawołał donośnie.

- O, hej! - wesoły głos Rhody. - Tak prędko?

Kiedy Pug wszedł, powitał go stojąc bardzo opalony młody oficer. W pierwszej chwili nie poznał go z powodu wąsów, potem skojarzył jasne włosy i świecący od nowości, wąski, złoty galon kapitański. - Jak się masz, Anderson.

Nalewająca herbaty przy stoliku obok kominka Rhoda odezwała się: - Sime wstąpił, żeby zostawić prezent gwiazdkowy dla Maddy.

- Coś mi wpadło w rękę na Trinidadzie. - Anderson wskazał na stoliku pudełko w jaskrawym opakowaniu.

- Co robiłeś na Trinidadzie?

Rhoda podała im herbatę i wyszła, Anderson zaś opowiedział Pugowi o swojej służbie na niszczycielu w rejonie Karaibów, gdzie U-Booty dokonywały spustoszeń u wybrzeży Wenezueli i Gujany, jak również w Zatoce

Meksykańskiej: tankowce, statki z boksytem, frachtowce i pasażerskie. Rozbestwieni tą łatwością dowódcy niemieckich okrętów podwodnych zaczęli nawet wynurzać się i zatapiać statki, strzelając do nich z dział pokładowych, żeby oszczędzić torped. Floty amerykańska i brytyjska opracowały więc system konwojowania wspólnymi siłami, aby się uporać z tą groźbą, i Anderson pływał w takiej eskorcie.

Pug tylko mgliście uświadamiał sobie problem U-Bootów na Karaibach. Opowieść Andersom przypomniła mu dwa wielkie zdjęcia w Gmachu Floty, pokazujące, jak okutani w futra Eskimosi przypatrują się załadunkowi łodzi latającej Catalina w zamieci śnieżnej i jak Polinezyjczycy, nadzy z wyjątkiem skąpej przepaski na biodrach, gapią się na identyczną Catalinę przycumowaną na lagunie otoczonej palmami. Ta wojna szerzyła się, jak trąd, po całym globie.

- Andersom czy ty aby nie pracowałeś z Deakiem Parsonsem w Biurze Personalnym nad zapalnikiem zbliżeniowym dla artylerii przeciwlotniczej? To była utajniona nowość.

- Tak jest, Sir.

- Więc dlaczego, u Boga Ojca, wysłali cię na Karaiby na jakimś starym czterokominowcu?

- Brak oficerów w służbie czynnej, Sir.

- Ten zapalnik jest fantastyczny, Sime.

Błękitne oczy rozjarzyły się w ogorzałej twarzy. - Och, to już dotarło do floty?

- Widziałem próbę w pobliżu Noumea, ze strzelaniem do latających celów. Po prostu rzeź. W ciągu paru minut zestrzelono trzy na trzy. Coś niesamowitego, te wybuchy za każdym razem tuż koło samolotu.

- Pracowaliśmy nad tym dość intensywnie.

- Jakim cudem Deak Parsons zmieścił w pocisku całe to urządzenie radiowe? I jak ono wytrzymuje przeciążenia prędkości wylotowej i pięciuset obrotów na sekundę?

- No cóż, Sir, opracowaliśmy założenia. Wtedy ci z przemysłu powiedzieli: "Da się zrobić!" i zrobili. Zresztą jadę właśnie do Anacostii spotkać się z komandorem Parsonsem.

Victor Henry nigdy nie lubił żadnego z niewypierzonych wielbicieli Madeline, ale ten wydał mu się całkiem nie najgorszy, zwłaszcza w porównaniu z Hugh Clevelandem. - Dałbyś radę wyrwać się do nas na wieczerzę wigilijną? Madeline tutaj będzie.

- Tak jest, Sir. Dziękuję bardzo. Pani Henry już była tak dobra mnie zaprosić.

- Ach tak? To świetnie! Przekaż Deakowi pozdrowienia ode mnie. Powiedz mu, że na Południowym Pacyfiku aż huczy na temat tego zapalnika.

`cp2

W dusznym biurze Laboratorium Badawczego Floty, wychodzącym na błotniste mielizny i płynącą za nimi rzekę, komandor William Parsons pogratulował Andersonowi opalenizny i kiwnięciem głowy skwitował pozdrowienia od Puga Henry. Był to mężczyzna po czterdziestce o pobrużdżonym, bladym czole i z przodu łysiejący, nijaki z wyglądu, lecz najbardziej zajadły w pracy i błyskotliwy ze wszystkich ludzi, pod których dowództwem Andersonowi zdarzyło się służyć.

- Sime, co wiesz o uranie?

Anderson poczuł się, jakby stąpnął na trzecią szynę, tę pod napięciem. - Nie zajmowałem się radioaktywnością, Sir. Ani bombardowaniem neutronowym.

- Ale wiesz, że z uranem dzieje się coś dziwnego.

- No, kiedy w 1939-tym robiłem doktorat na Politechnice Kalifornijskiej, mówiło się wiele o wynikach, jakie w procesie rozszczepiania uzyskiwali Niemcy.

- Co się mówiło?

- Takie sobie gadanie o superbombach i o napędzie atomowym, Sir, wszystko bardzo teoretyczne.

- Myślisz, że poprzestaliśmy na tym? Że to możliwość teoretyczna i tyle? Po prostu obiecujący dziw natury? Kiedy cała nauka niemiecka dzień i noc pracuje nad tym, jak wściekła, dla Hitlera?

- Mam nadzieję, że nie, Sir.

- Chodź ze mną.

Wyszli na dwór i z pochylonymi głowami, pod wiatr dmący zajadle od rzeki, ruszyli pośpiesznie do gmachu głównego laboratorium. Już na odległość dolatywał stamtąd niesamowity syk i świst. Para uchodziła ze stojących gęsto jak las, cienkich rur, sięgających niemalże pod wysoki dach, stwarzając we wnętrzu ciepły i wilgotny klimat jak na Karaibach. Mężczyźni w samych koszulach albo kombinezonach krzatali się majstrując przy rurach i tablicach przyrządów.

- Dyfuzja cieplna - krzyknął Parsons - dla oddzielania U-235. Znałeś na Politechnice Phila Abelsona? - Parsons wskazał na szczupłego mężczyznę w samej koszuli i krawacie, mniej więcej w wieku Andersom, który stał, podparłszy się pod boki, przy ścianie pokrytej zegarami.

- Nie, ale słyszałem o nim.

- Chodź się zapoznać. Pracuje u nas jako cywil.

Abelson popatrzył bystro na kapitana, kiedy przekrzykując hałas Parsons wyjaśnił, że Anderson pracował nad zapalnikiem zbliżeniowym. - Mamy tu problem z inżynierii chemicznej - rzekł Abelson, wskazując gestami na rury.

- To pańska dziedzina?

- Niezupełnie. W cywilu jestem fizykiem.

Abelson uśmiechnął się przelotnie i wrócił do swoich przyrządów.

- Chciałem tylko, żebyś zobaczył te urządzenia - powiedział Parsons. - Chodźmy stąd.

Na dworze powietrze wydawało się podbiegunowe. Parsons zapiął swój mundurowy płaszcz pod samą brodę, ręce zagłębił w kieszeniach i ruszył w kierunku rzeki, gdzie na kotwicy kołysały się stadka szarych okrętów Floty.

- Sime, znasz zasadę rury Clusiusa, prawda?

Anderson poszukał w pamięci. - To taka rura laboratoryjna o toroidalnym przekroju?

- Tak. Właśnie po to mamy tu Abelsona. W gruncie rzeczy dwie rury, jedna w drugiej. Nagrzewa się wewnętrzna rurę, a chłodzi zewnętrzną, i jeśli między nimi znajduje się płyn, to cząsteczki lżejszego izotopu przemieszczają się w kierunku ciepła. Konwekcja wynosi je na wierzch i tam się je zbiera. Abelson zmontował mnóstwo olbrzymich rur Clusiusa, to cała dżungla, ustawionych w szeregi. Po trochu wygotowuje się z nich U-235. Cholernie powoli, ale już osiągnął wzbogacenie dające się zmierzyć.

- Co za płyn?

- To jego własne osiągnięcie. Sześćfluorek uranu. Wytworzył go i jest dość czuły, lecz wystarczająco trwały, żeby dało się z tym pracować. Otóż sprawa robi się dość paląca i Biuro Personalne chce umieścić tu oficera liniowego. Więc poleciłem cię. To jest znowu przepustka na ład. A gdyby ci się zachciało służyć na morzu, to wy młodzi zawsze ją dostaniecie.

Ale Sime Anderson nie miał takich ambicji, aby pełnić bojową służbę na morzu. Poszedł do Akademii, żeby zdobyć za darmo pierwszorzędne wykształcenie. Annapolis ukształtowało go według standartowego wzorca, więc na mostku niszczyciela był oficerem pokładowym, jak każdy inny; ale wewnątrz tej standartowej części zamiennej krył się znakomity młody fizyk: i oto nadeszła jego szansa, żeby się wydostać na wierzch. Zapalnik zbliżeniowy oznaczał techniczny awans, ale nie wdarcie się w głąb tajemnic natury. Abelson ze swoim kłębowiskiem rur parowych polował już na grubego zwierzca.

Na Politechnice Kalifornijskiej zastanawiano się nad bombą z U-235, mogącą zniszczyć całe miasto, i nad silnikiem, którym napędzany liniowiec oceaniczny mógłby trzy razy okrążyć świat na paru kilogramach uranu. We flocie mówiło się o superokręcie podwodnym; napęd bez spalania, nie potrzebujący powietrza. Otóż i wspaniałe granice zastosowania inteligencji ludzkiej. I jeszcze bardziej przyziemne pobudki zaświtały w myśli młodego Andersom; stacjonując w Anacostii, mógłby się dużo więcej niż dotąd widywać z Madeline Henry. - Sir, jeśli Biuro uważa, że mam wystarczające kwalifikacje, to nie zgłaszam sprzeciwu.

- W porządku. A co teraz ci powiem, Andersom niechaj uleci z wiatrem. - Parsons oparł się łokciami o żelazną poręcz, ogradzającą skalne urwisko nad rzeką. - Jak już powiedziałem, my się zajmujemy środkami napędowymi, ale armia pracuje nad bombą. My jesteśmy z tego wyłączeni. Tajność i podział kompetencji. Ale i tak wiemy. - Parsons spojrział na podwładnego i zaczął mówić jakby w pośpiechu. - Pierwszy cel nasz i armii są takie same: wyprodukować czysty U-235. Dla nich następnym krokiem jest zrobić z niego broń. Już pracuje nad tym cała bateria teoretyków. Może jakieś zjawisko przyrody stanie temu na przeszkodzie. Nikt jeszcze nie wie tego na pewno.

- A czy armia wie, co my robimy?

- Cholera, wie. To myśmy ich na początek zaopatrzyli w sześćfluorek uranu. Ale uważają, że dyfuzja termiczna jest do kitu. Zbyt powolna i daje niedostateczne wzbogacenie. Oni mają wyprzedzić Hitlera w produkcji bomby. Bardzo rozsądne założenie. Zaczynają od zera, w oparciu o nie sprawdzone doświadczalnie projekty i nowe koncepcje, które mają się okazać krótszą drogą do celu, a robią to na kolosalną skalę przemysłową. Pomysłów im dostarczali tacy mistrzowie wagi ciężkiej i laureaci Nobla jak Lawrence, Compton i Fermi. Widzisz, Andersom skala tych wysiłków armii jest zawrotna. Rekwirują na swoje potrzeby energię, wodę, ziemię i materiały strategiczne, jak wszyscy diabli. My za to już mamy w rękę wzbogacony U-235. Stopień tego wzbogacenia jest niski, na razie bomby z tego nie da się zrobić, ale to pierwsze stadium. Armia ma mnóstwo wielkich pomysłów i wielkich dziur wykopanych w ziemi. Otóż jeżeli armia się na tym potknie, będzie to największa naukowa i militarna klapa wszystkich czasów. I wtedy - to tylko szansa, pamiętaj - może się okazać, że od floty będzie zależeć, czy wyprzedzimy Niemców w wyścigu do bomby atomowej, właśnie tu w Anacostii.

- Och.

Parsons uśmiechnął się półgębkiem.

- Żebyś się nie zachłysnął. Armia ma za sobą prezydenta i największe mózgi świata, które nad tym pracują, a w wydatkach biją nas milion dolarów do jednego. Prawdopodobnie zrobią tę bombę, jeśli tylko natura była tak nieostrożna, żeby pozostawić taką możliwość. My tymczasem będziemy pichcili swoje w małym garnuszku. Ty miej tylko w pamięci tę małą, nieprzewidzianą ewentualność. I zgłoś się jutro do Biura Personalnego po skierowanie.

- Aye aye, Sir.

`cp2

W blasku świec Rhoda miała twarz młodej kobiety. Kiedy jedli ciastka z wiśniami, upieczone przez nią na deser, Pug opowiadał jej, przez mgłę zmęczenia, o swoim pobycie w Noumea po drodze do domu. Pili trzecią butelkę wina, więc jego opis, jak to senną kolonię francuską na południe od równika wciągnął w swój wir karnawał amerykańskiej wojaczki, był trochę rozkojarzony. Starał się opisać komiczną scenę w klubie oficerskim w starym, zatęchłym, francuskim hotelu, kiedy faceci w mundurach obstępowali murem grubym na czterech czy pięciu chłopów kilka pielęgniarek z floty i Francuzek, z komandorami i kapitanami w pierwszym szeregu, a młodszymi oficerami cisnącymi się na obwodzie, byle popatrzeć na kobiety. Pug był tak zmordowany, że twarz Rhody jakby rozplýwała mu się chybotliwie pomiędzy

płomykami świec.

- Kochanie - przerwała mu cicho i z wahaniem - obawiam się, że już mówisz trochę od rzeczy.

- Co? Dlaczego?

- Dopiero co powiedziałaś, że patrzyliście na to z Warrenem i Warren zażartował...

Pug się wzdrygnął. Rzeczywiście mówiąc odpłynął w drzemkę, gdzie sny pomieszały się ze wspomnieniami, ukazując mu Warrena żywego w tym tłoczonym, zadymionym klubie w Noumea już długo po Midway, jak trzyma po swoim puszke piwa i mówi: "Te dziewczuchy zapominają, tato, że jak zdjąć mundur, to im więcej galonów, tym mniej napędu". Była to czysta fantazja; Warren za życia nigdy nie zawitał do Noumea.

- Przepraszam. - Potrząsnął energicznie głową.

- Darujmy sobie kawę - wyglądała na zatroskaną - i połóżmy cię już do łóżka.

- Nie, do diabła. Chcę kawy. I jeszcze brandy. Bardzo dobrze się czuję, Rhoda.

- Zapewne ogień cię usypia.

W tym starym domostwie większość pokoi była zaopatrzona w kominki. Rzeźbiony, drewniany gzyms nad kominkiem w tej ogromnej bywalni, w migotliwych światłach i cieniach od płonących w kominku polan, był nieznośnie elegancki. Pug odzwyczaił się od stylu życia Rhody, jak na jego smak zawsze zbyt wystawnego. Podniósł się, czując wypite wino w głowie i w kolanach. - Możliwe. Zabiorę ze sobą Chambertina. Ty obejmij komendę nad kawą.

- Kochanie, przyniosę ci także wino.

W bywalni osunął się w fotel przed kominkiem, gdzie leżał stos szarego popiołu. Rozjarzony żyrandol nadawał przystrojonej choince tandetny wygląd jak z wystawy sklepowej. Teraz już w całym domu było ciepło i rozchodziła się woń gorących, zakurzonych kaloryferów. Podkręciła termostat mówiąc: - Przyzwyczaiłam się do chłodnego domu. Nic dziwnego, że Brytyjczycy uważają nas za smażących się żywcem jak przysmaki morskie. Ale oczywiście ty wracasz z tropików.

Pug zastanawiał się nad swoim makabrycznym urojeniem na jawie, że widzi Warrena. Jak mógł jego przysypiający mózg wymyślić ten dowcip? Głos był tak znajomy, tak żywy! "Tato, jak zdjąć mundur, to im więcej galonów, tym mniej napędu". Cały Warren; ani on sam, ani Byron nigdy by tak nie powiedzieli.

Rhoda postawiła mu przy łokciu butelkę i kieliszek. - Kawa będzie za moment, złotko.

Upijając łyżeczek wina pomyślał, że mógłby się zwalić do łóżka i przespać bez drgnięcia czternaście godzin. Ale Rhoda zadała sobie tyle trudu i kolacja była tak znakomita: zupa cebulowa, słabo wysmażony rostbef, pieczone kartofle ze śmietaną, kalafior au gratin jej nowa obcisła, czerwona, jedwabna suknia była oszałamiająca, fryzura zrobiona jak na bal, całe zachowanie się kochające i chętne. Penelopa była więcej niż gotowa na powrót wędrowca i Pug nie chciał swej żony rozczarować ani upokorzyć. Ale czy to z powodu wieku, czy zmęczenia, czy dlatego, że sprawa z Kirbym ciągle była zbyt świeża i nie rozwiązana, nie czuł do niej ani odrobiny pociągu erotycznego. Ani śladu.

Poczuł na twarzy nieśmiałe dotknięcie i otworzywszy oczy ujrzał nad sobą jej uśmiechniętą twarz. - Nie sądzę, żeby kawa dużo pomogła, Pug.

- Nie. Bardzo to nieładnie.

Na wpół rozbudziło go szykowanie się do snu. Wyszedłszy z łazienki zastał ją, całkowicie ubraną, jak rozkładała mu podwójne łóżko. Poczuł się niczym głupiec. Próbował ją objąć. Wywinęła mu się ze śmiechem i zręcznością nastolatki. - Słodkie moje kochanie, ukochałabym cię na śmierć, ale naprawdę nie sądzę, żebyś się do tego nadawał. Jeden raz się porządnie

wyśpisz i tygrys znowu się zbudzi.

Pug z sennym stęknieniem opadł na łóżko. Pocałowała go łagodnie w usta. - Dobrze, że już wróciłeś.

- Przepraszam za to - wymamrotał, kiedy gasiła światło.

Ani trochę nie zbита z tropu, raczej z ulgą, Rhoda zdjęła czerwoną suknię i nałożyła stary szlafrok. Zeszła na dół i uprzątnęła wszystkie ślady po kolacji i po minionym dniu; opróżniła popielniczki w bywalni, wygarnęła z kominka popiół do szufli, naszykowała wszystko do rozpalenia ognia rankiem, wyniosła popiół i śmiecie. Rozkosz jej sprawiło to krótkie odetchnięcie lodowatym powietrzem w alejce, spojrzenie na świecące gwiazdy i chrzęst śniegu pod pantoflami.

W swojej garderobie, z kieliszkiem brandy pod ręką, napuściła do wanny gorącej wody i wzięła się do demakijażu przy świetle jarzących się lamp, między wielkimi lustrami. Usunęła róż, szminkę, tusz do rzęs i podkład, pokrywający jej skórę aż do obojczyków. Naga kobieta, która weszła do parującej wanny, była szczupłą, niemal żyłasta po miesiącach zawziętego głodzenia się. Nieładnie sterczały jej żebra; brzuch natomiast był płaski, biodra wąskie, piersi małe i nieźle ukształtowane. Twarz nie miała w sobie, niestety, nic dziewczęcego. Ale dla pułkownika Harrisona Petersa, pomyślała, i tak byłaby godna pożądania.

Zdaniem Rhody atrakcyjność w dziewięciu dziesiątych tak czy owak mieści się w umyśle mężczyzny; zadaniem kobiety jest podsycać to uczucie, jeśli je dostrzeże i jeśli odpowiada to jej zamiarom. Pug lubił ją szczupłą, więc dołożyła zaciekłych starań, by odchudzić się na to spotkanie. Rhoda zdawała sobie sprawę, że jest w kłopotach, ale nie martwiła się o swój seksualny powab dla męża. Jeśli wziąć pod uwagę surową wierność Puga, jest to skalna opoka, na której zawsze stało ich małżeństwo.

Gorąca woda wchłonęła ją i rozkosznie rozluźniła. Mimo pozornego spokoju była przez cały wieczór spięta jak wystraszony kot. Przy całej swej łagodności, przemilczeniu wyrzutów, grzecznym zachowaniu i braku żarliwości Pug wszystko powiedział. U niego milczenie wyrażało więcej niż u innych słowa. Niewątpliwie przebaczył jej (cokolwiek by to znaczyło), ale do zapomnienia było daleko; chociaż nie zanosilo się na to, aby zamierzał poruszać sprawę anonimowych listów. W sumie nie miała powodu być niezadowolona z tego pierwszego dnia. Jakoś minął, a stosunki między nimi już nie były na ostrzu noża, ale całkiem znośne. Strasznie bała się pierwszego spotkania w łóżku. Jakże łatwo coś mogłoby się nie udać, a kilka głupich minut było w stanie pogłębić ich obcość. Seks jako przyjemność, na tym etapie, w ogóle się dla niej nie liczył. Miała do załatwienia coś dużo poważniejszego.

Rhoda była kobietą metodyczną, skłoną do układania wykazów, pisanych albo w myśli. Kąpiel stanowiła jej czas podsumowania. Tej nocy pierwszą i najważniejszą sprawą było ni mniej, ni więcej, tylko całe jej małżeństwo. Mimo życzliwych listów Puga i przypływu pojednawczych uczuć po śmierci Warrena - teraz, kiedy stanęli twarzą w twarz - czy to małżeństwo jest do uratowania? W sumie przypuszczała, że tak. Z tego zaś wynikały natychmiastowe konsekwencje praktyczne.

Pułkownik Harrison Peters niesamowicie się do niej zapalił. Co niedziela przychodził do kościoła św. Jana tylko po to, żeby znowu się z nią zobaczyć. Z początku zastanawiała się, czego on właściwie od niej chce, skoro (jak ją zapewniano) mnóstwo łatwo dostępnych dziewcząt z Washingtonu miał na zawołanie. Teraz już wiedziała, bo jej powiedział. Była wymarzoną kobietą dla wojskowego: piękna, lojalna, z klasą, religijna, elegancka i dzielna. Podziwiał ją za sposób, w jaki znosiła utratę syna. W momentach, które spędzali ze sobą - pilnowała się, aby spotkania te były nie za częste i zawsze publiczne, tego nauczyło ją doświadczenie z Kirbym - skłonił ją, żeby mówiła o Warrenie, i niekiedy sam też ocierał własną łzę. Był twardy i

ważny, wykonywał jakieś bardzo tajne zadania dla armii; ale koniec końców był to po prostu samotny kawaler dobrze po pięćdziesiątce, znużony obijaniem się jak popadnie, za stary na założenie rodziny, ale tęskniący do ustatkowania się. Mogła go mieć, kiedy tylko zechce.

Gdyby jednak zdołała utrzymać Puga, tego właśnie pragnęła. On był jej życiem. Swoje romantyczne ciągoty już zaspokoiła z Palmerem Kirby. Rozwód i ponowne małżeństwo to w najlepszym razie masa kłopotów. Jej tożsamość, prestiż, jej szacunek dla siebie zależne były od tego, czy pozostanie panią Victorową Henry. Przeprowadzka na Hawaje okazała się zbyt trudna i skomplikowana; ale może dobrze się stało, że ich spotkanie się tyle odwlokło i najświeższe rany zdażyły się nieco zagoić. Pug to prawdziwy mężczyzna. Puga Henry nie można po prostu skreślić. Proszę, znowu Biały Dom się o niego dopomina! Przeżył całą serię okropnych niepowodzeń, w tym jej własną zdradę; ale jeśli jest mężczyzna wystarczająco twardy, żeby przetrzymać takie ciężkie próby, to on. Rhoda na swój sposób podziwiała Puga i nawet kochała go. Śmierć Warrena powiększyła jej ograniczoną zdolność kochania. Złamane serce się czasem rozszerza, kiedy się zrasta.

Z aktualnego podsumowania Rhodzie, moczającej się w wannie, wynikało, że po wiszącym na włosku pojednaniu jakoś to przetrzymają. W końcu była jeszcze ta historia z Pamelą Tudsbury; ona także ma coś do wybaczenia, chociaż nie wiadomo dokładnie co. Gdy przy kolacji rozmawiali o śmierci Tudsbury'ego, przyglądała się bacznie twarzy Puga. - Ciekawe, co teraz robi Pamela - zaryzykowała. - Wiesz, widziałam się z nimi, kiedy przejeżdżali przez Hollywood. Czy dostałeś mój list? Biedak wygłosił pyszne przemówienie w Czaszy Hollywoodzkiej.

- Wiem. Przysłałaś mi jego tekst.

- Właściwie to ona je napisała, Pug. Sama mi się przyznała.

- Owszem, Pam już pod koniec mnóstwo pisywała za niego na murzyna. Ale myśli on jej podsuwał. - Stary lis się nie da przyłapać, zmęczony czy nie; powiedział to jakby najzupełniej od niechcenia.

Zresztą nieważne. Rhoda przetrzymała zdumiewające wyznanie Pameli Tudsbury w Hollywood mniej więcej w ten sposób: jeżeli taka namiętna, młoda piękność jak ona - wygląda na to, że dużo wiedząca o mężczyznach - nie zdołała sprzątnąć jej Puga zaraz po śmierci biednego Warrena, kiedy przebywał daleko od domu, mało odporny, zrażony aferą z Kirbym i niewątpliwie noc w noc pijany, to znaczy, że małżeństwu chyba nic nie zagrozi. Pułkownik Harrison Peters, całe te metr dziewięćdziesiąt męskiej urody, niechaj się każe wypchać, jeśli ona zdoła zachować Puga. Zachwyt i podziw Harrisona to jakby polisa ubezpieczeniowa od wypadku. Rada była, że ją posiada, ale spodziewała się, że nigdy nie będzie zmuszona z tego ubezpieczenia skorzystać.

W przyćmionym świetle nocnej lampki w sypialni sen wygładził posępne linie na twarzy Puga. Niezwykła myśl przemknęła Rhodzie przez głowę: czy nie wśliznąć mu się do łóżka? Rzadko to robiła przez wszystkie te lata; przeważnie dawno temu, kiedy za dużo wypijała albo przeflirtowała wieczór z cudzym mężem. Pug traktował te jej rzadkie awanse jako duże wyróżnienie. Wyglądał tak przystojnie i słodko. Niejedno już powstałe między nimi pęknięcie zostało raz dwa sklezione przez kochanie się w łóżku.

Jednakże zawahała się. Co innego, jeśli skromną małżonkę przemoże chęćka na swego męża, który powrócił z wojny. A co innego dla niej; z karą w zawieszaniu, starającej się o przebaczenie; łapówka w postaci jej ciała? czy objaw pospolitej żądzy? Nic z tego Rhoda, rzecz jasna, nie wyartykułowała. Przebiegało to w jej umyśle jako pewien rodzaj kobiecej logiki symbolicznej; i położyła się do własnego łóżka.

Pug obudził się ze wzdrygnięciem, gdy działanie alkoholu osłabiło i nerwy jego zadzwoniły na alarm. Rhoda, nieobecna dla świata, leżała w marszczonym czepku na włosach. Nic mu nie przyjdzie z przewracania się. Będzie musiał

jeszcze się napić albo wziąć pigułkę. Wyszukał w swojej szafie jak najcieplejszy szlafrok i poszedł do biblioteki, gdzie stał barek na kółkach. Na antycznym biurku leżał wielki, oprawny w skórę album do wycinków ze zdjęciem Warrena, wprawionym w okładkę nad tłoczonymi złotem literami:

Porucznik Warren Henry
Flota Stanów Zjednoczonych

Zmieszał sobie Burbona z niedużą ilością wody, wpatrując się w album, jakby to było widmo. Wyszedł z pokoju, gasząc światło; po czym wrócił, trafił po omacku do biurka i zapalił na nim lampę do czytania. Stojąc ze szklanką w ręku, przejrzał album strona za stroną. Na wewnętrznej stronie przedniej okładki, w czarnym otoku, widniał Warren jako niemowlę; na wewnętrznej stronie tylnej okładki jego nekrolog z Washington Post z niewyraźną fotografią; a naprzeciw tego nekrologu zawiadomienie o pośmiertnym odznaczeniu Krzyżem Floty, zamasyżycie podpisane czarnym atramentem przez sekretarza floty.

W tym albumie Rhoda uszeregowała całe krótkie życie ich pierworodnego: pierwsza próba pisania liter - Wesołych Świąt - czerwoną i zieloną kredką na grubym papierze z przedszkola; pierwsza cenzurka z I klasy szkoły w Norfolk: Pilność A, Wyniki A+, Sprawowanie C; fotografie z dziecięcych przyjęć urodzinowych, fotografie z obozów letnich, wyróżnienia, odznaczenia sportowe, programy szkolnych przedstawień; spotkania drużynowe i promocje; próbki listów, gdzie charakter pisma i styl poprawiały się z roku na rok; dokumenty i fotografie z Akademii, patent oficerski, zawiadomienia o awansach i przydziały do służby, przetykane jego migawkowymi zdjęciami na okrętach i w kabinach samolotów; pół tuzina stron zawierających zdjęcia i pamiątki z zaręczyn i ślubu z Janice Lacouture (Pug wzdrygnął się na niespodziewany widok Natalii Jastrow w czarnej sukni, stojącej obok biało ubranych nowożeńców); ostatnie zaś strony były pełne pamiątek z wojny: jego eskadra pozująca do zdjęcia na pokładzie Enterprise, Warren w kokpicie samolotu na pokładzie i w powietrzu, jego karykatura w gazetce okrętowej, zawierającej relację z odczytu Warrena o napadzie na Związek Radziecki; i wreszcie na środku dwóch stron, także w czarnej obwódce, jego ostatni list do matki, pisany na maszynie, na firmowym papierze Enterprise. Datowany był w marcu, na trzy miesiące przed jego śmiercią.

Wstrząśnięty odkryciem tych świeżych słów nieżyjącego syna, Pug chciwie je przeczytał. Warren zawsze nie cierpiał pisania listów. Pierwszą stronę zapełnił opisem genialnych wyczynów i powiedzonek Vica oraz kłopotów z prowadzeniem domu na Hawajach. Na drugiej stronie już się rozkręcił:

O świcie lecę na patrol, więc muszę już kończyć, Mamo. Przepraszam, że nie pisałem częściej. Kiedy jesteśmy w porcie, zwykle udaje mi się zobaczyć z Tata. Przypuszczam, że od niego masz aktualne informacje. Poza tym nie wolno mi pisać o wielu rzeczach z tego, co robię.

Ale jedno powiem. Za każdym razem, kiedy startuję znad wody i za każdym razem, kiedy podchodzę do lądowania na pokładzie, dziękuję moim gwiazdom, że przeszedłem szkolenie w Pensacola. W tej wojnie jest tylko garstka lotników morskich. Kiedy Vic dorośnie i będzie o tym czytał, i popatrzy na starego, siwego grzdyla, którego nazywa Tato, myślę, że nie będzie się wstydził roli, jaką odegrałem w tej wojnie.

Oczywiście mam nadzieję, że zanim Vic będzie mężczyzną, świat uwolni się już od wojny. To zajęcie bywało ucieszne, a może nawet korzystne dla zwycięzcy, czy ja wiem? Ale moje pokolenie jest ostatnim, które jeszcze może wyzywać się w walce, Mamo, bo cała zabawa robi się zbyt bezosobowa i skomplikowana, i kosztowna, i zbyt mordercza. Ludzie muszą wymyślić jakiś zdrowszy sposób rządzenia tą planetą. Uzbrowieni rabusie, tacy jak Niemcy i Japończycy, stwarzają pewne problemy, ale odtąd trzeba będzie ich likwidować, zanim się na dobre rozkręca.

Więc z najgłębszą niechęcią przyznaję się, że dla mnie to świetna zabawa. Spodziewam się, że mój syn nigdy nie pozna tego strachu i uniesienia, jakie czuje się w samolocie, nurkującym prosto w ogień artylerii przeciwlotniczej. To piekielnie głupi sposób zarabiania na życie. Ale skoro już to robię, muszę ci powiedzieć, że nie wyrzekłbym się tego za żadne skarby. Chciałbym zobaczyć, jak Vic zostaje politykiem i pracuje nad wyprostowaniem świata. Może nawet sam tego spróbuję, kiedy ta zabawa się skończy, i trochę utworzę mu drogę. A na razie ten patrol o świcie.

Twój kochający Warren

Pug zamknął album, łyknął drugiego drinka i przeciągnął dłonią po chropowatej skórce, jakby to był policzek dziecka. Pogasił światła i ciężko poszedł na górę, do sypialni. Matka Warrena ciągle spała, leżąc na wznak, a jej ładny profil odcięty był od reszty groteskowej torbą na włosy. Zapatrzył się na nią, jakby na kogoś obcego. Jak ona mogła znieść układanie takiego albumu? Była to świetna robota, jak wszystko, co robiła. On jeszcze nie potrafił się zdobyć na to, żeby głośno wymówić imię syna, a ona wszystko to już zrobiła: wygrzebała skądś pamiątki, przyglądała się im bez mrugnienia, coś z nimi robiła, układała je w ozdobną całość.

Pug wszedł do łóżka i wcisnął twarz w poduszkę, pozwalając, ażeby zawrót głowy od whisky, jak wir, wciągnął go w jeszcze kilka godzin niepamięci.

`ty

51

`ty

Szeroki złoty galon admiralski na rękawie Russella Cartona połyskiwał jak słońce. Jego ciasny, przegrzany gabinet w zachodnim skrzydle Białego Domu powlekała skorupa wielokrotnego malowania, ostatnio na szarość ostrzygi. Ten świeżo upieczony kontradmirał był na Akademii tylko o dwie klasy wyżej niż Pug. Policzki miał bardziej pyzate, ciało grubsze niż za czasów, gdy maszerując po placu defiladowym w Annapolis młody Carton wykrzykiwał rozkazy do swego batalionu. Już wtedy był sztywny i teraz też. Siedząc za metalowym biurkiem pod wielkim zdjęciem prezydenta, zaopatrzonemu w autograf, podał rękę nie wstając i wdał się w jałową pogawędkę, nie wspomniawszy o prośbie Nimitza. Wobec tego Pug zdecydował się zaryzykować na próbę. - Admirale, czy Biuro Personalne powiadomiło pana o wniosku, jaki przesłało w mojej sprawie Dowództwo Floty Pacyfiku?

- Tak, owszem. - Powściągliwa i niechętna odpowiedź.

- Więc prezydent wie, że admirał Nimitz chce mnie wziąć do swojego sztabu?

- Henry, ja bym radził po prostu wejść i słuchać, kiedy pana poproszą - odparł mu z irytacją Carton. - Admirał Standley jest teraz u prezydenta. Również pan Hopkins i admirał Leahy. - Wyciągnął koszyk z korespondencją. - A na razie, zanim zadzwonią, mam do wyprawienia te listy.

Pug dostał więc odpowiedź; prezydent nie wie. Przez cały czas oczekiwania z ust Cartona nie padło już ani jedno słowo, natomiast Pug rozpatrywał się w sytuacji i obmyślał taktykę. Na jego raport z frontu, wysłany z Moskwy do Harry'ego Hopkinsa, już przeszło rok nie było żadnej reakcji; tak samo bez odpowiedzi pozostał jego list do prezydenta o dowodach masakry Żydów w Mińsku. Dawno już doszedł do wniosku, że ów list załatwił go w Białym Domu, pokazując, że lubi się sentymentalnie wtrącać w nie swoje sprawy. Niezbyt się tym przejmował. Nigdy mu nie zależało na roli pomniejszego wysłannika prezydenckiego i nie sprawiała mu ona przyjemności. Za tym wezwaniem do Białego Domu krył się najwidoczniej stary admirał Standley. Taktyka sprzeciwu musi być prosta: ujawnić wniosek Nimitza i w ten sposób wykluczyć Standleya, usunąć się z pola siły prezydenta i zostać poza jego zasięgiem, ażeby wrócić na Pacyfik.

Rozległ się dwukrotny brzęczyk. - To na nas - powiedział Carton.

Korytarze i schody Białego Domu wydawały się ciche i nie zmienione: taka cisza w oku cyklonu. Sekretarze i umundurowani ordynansi przechodzili bezgłośnie i nie śpieszniej niż za czasów pokoju. Tłoczące się na wielkim biurku w Owalnym Gabinetie przyrzady i modele okrętów pozostały jakby nietknięte od przeszło dwóch lat. Ale Franklin Roosevelt bardzo się zmienił: siwe włosy mu się przerzedziły, oczy skryte w fioletowych worach przymgliły się, cały się uderzająco postarzał. Harry Hopkins ze swoją woskową twarzą, skulony w fotelu, powitał Victora Henry gestem znużonej dłoni. Dwaj przybrani w złoto i lampasy admirałowie, siedzący sztywno na kanapie, ledwie na niego spojrzeli.

Zmęczona twarz Roosevelta o wydatnej szczęce przybrała wyraz żywej radości, gdy z Cartonem wszedł Victor Henry. - No, Pug, mój stary! - Głos pozostał głęboki, władczy, z Harvardu, jak we wszystkich tych nudnych imitacjach, nadawanych przez radiowych komediantów. - Więc Japsowie puścili cię wpław, co?

- Niestety tak, panie prezydencie.

- Wiesz, ja sam najbardziej lubię pływać - rzekł Roosevelt z dziarskim uśmiechem. - Dobrze mi to robi na zdrowie. Wolę jednak sam decydować, kiedy i gdzie.

Po chwili zakłopotania Pug uświadomił sobie, że ten ciężkawy żart miał być przejawem życzliwości. Brwi Roosevelta były uniesione w oczekiwaniu na odpowiedź. Pug wymusił z siebie najłżejszą ripostę, na jaką potrafił się zdobyć. - Zgadzam się, panie prezydencie, że moje pływanie było nie w porę, ale też pomogło mi zachować zdrowie.

- Ha, ha! - Roosevelt odrzucił głowę i roześmiał się serdecznie, na co inni też się trochę zaśmiali. - Trafnie to ująłeś! Inaczej by cię tutaj nie było, prawda? - Wygłosił to jakby następny dowcip i wszyscy znów się zaśmiali. Russel Carton wyszedł. Wyrazista twarz prezydenta spoważniała. - Pug, ubolewam nad stratą tego wspaniałego okrętu i dzielnych ludzi, którzy na nim zginęli. Northampton się pięknie spisał, wiem o tym. Strasznie mnie cieszy, że wyszedłeś z tego bez szwanku. Na pewno znasz admirała Leahy - chudy, kostyczny z wyglądu szef sztabu przesłał Pugowi oschłe skinienie, stosowne do jego czterech galonów i zatopionego okrętu - i oczywiście Billa Standleya też. Bill wyśpiewuje o tobie hymny pochwalne od czasu, jak wybrałeś się z nim do Moskwy.

- Hallo, Henry - przemówił admirał Standley. Zaszuszony i pomarszczony, z wielkim aparatem słuchowym przy uchu, z cienką i pozbawioną warg dolną szczęką wysuniętą do przodu ponad żylastą i obwisłe pofałdowaną szyją, miał po trosze wygląd gniewnego żółwia.

- Wiesz, Pug, admirał Standley tak polubił Rosjan w czasie tej misji Harrimana - Roosevelt uniesieniem brwi zapowiedział kolejny dowcip - że musiałem go posłać z powrotem do Moskwy jako ambasadora, bo czułby się nieszczęśliwy! I chociaż przyjechał tutaj na urlop, tak nie może się bez nich obejść, że zaraz jutro znowu tam pędzi. Prawda, Bill?

- Prawda jak byk, szefie. - Ton był sarkastyczny. - Jak ci się podobali Rosjanie, Pug?

- Zrobili na mnie wrażenie, panie prezydencie.

- O? Na innych czasami też. A co w nich wywarło na tobie największe wrażenie?

- Ich liczba, Sir, i gotowość na śmierć.

Czterej mężczyźni wymienili spojrzenia. Harry Hopkins odezwał się słabym, chrypliwym głosem: - No cóż, Pug, w tym punkcie Niemcy pod Stalingradem chyba zgodziliby się z tobą.

Standley spojrział na Puga z irytacją. - Rosjanie są liczni i dzielni. Nikt tego nie kwestionuje. Są także niemożliwi. To z nimi podstawowy problem. I wiadomo, jaka musi być podstawowa odpowiedź: stanowcza i jasna. - Standley pokiwał kościstym palcem w stronę uśmiechającego się wyrozumiale

prezydenta. - Z nimi nie warto tracić słów. To coś jakby rozmowa z istotami z innej planety. Oni pojmują tylko język faktów. I nawet tego potrafią nie rozumieć. Nie wydaje mi się, żeby do tej chwili zrozumieli, na czym polega Lend-Lease. Można coś dostać, więc po prostu żądają i żądają, biorą i biorą, jak dzieciaki na przyjęciu, gdzie lody i ciastka można brać za darmo.

Prezydent przechylił głowę i odpowiedział niemalże wesoło: - Bill, czy powtarzałem ci kiedyś moją rozmowę z Litwinowem w 1933 roku? Pertraktowaliśmy w sprawie uznania Związku Radzieckiego. W życiu nie miałem do czynienia z takimi ludźmi. Boże, ale się wtedy wściekłem! Przypominam sobie, że chodziło o wolność praktyk religijnych dla naszych w Rosji, a on wykręcał mi się jak piskorz. Po prostu huknąłem na niego. Nigdy nie zapomnę jego riposty, tak chłodnej, że bardziej nie można.

Powiedział mi: "Panie prezydencie, zaraz po rewolucji wasi ludzie i moi prawie wcale nie mogli się porozumieć. Wy byliście jeszcze w stu procentach kapitalistami, a my spadliśmy w tym aspekcie do zera." - Roosevelt uniósł w powietrze mięsiste dłonie, pionowo i daleko jedna od drugiej. - "Od tego czasu myśmy się zbliżyli do tego punktu o jakieś dwadzieścia procent, a wyście zeszli na jakieś osiemdziesiąt. Z biegiem lat zmniejszamy tę różnicę, jak sądzę, do sześćdziesięciu na czterdzieści". - Dłonie prezydenta zbliżyły się jedna do drugiej. - "Może bardziej się nie zbliżymy - powiada - ale na tę odległość będziemy się już całkiem nieźle porozumiewać". Otóż posłuchaj, Bill, ja widzę, że w tej wojnie sprawdza się to, co mówił Litwinow.

- Ja też - odezwał się Hopkins.

Standley niemalże warknął na Hopkinsa. - Wy za długo się nie utrzymacie. Ich obyczaje towarzyskie są w sam raz dla takich jak wy, gości od picia wódki. A pracować z nimi dzień po dniu to coś zupełnie innego. Wiem, panie prezydencie, że już nadużyłem pańskiego czasu. Chciałbym podsumować i wynoszę się stąd. - Wypunktował stanowczo prośby o bardziej rygorystyczną kontrolę dostaw z Lend-Lease, o awanse dla swoich attache i o to, żeby ambasada mogła bezpośrednio kontrolować pojawiające się tam Bardzo Ważne Figury. Ze szczególną odrazą wspominał Wendella Willkie, posyłając kwaśne spojrzenie Hopkinsowi. Kiwając głową, uśmiechając się, Roosevelt obiecał Standleyowi, że wszystko to się załatwi. Kiedy obaj admirałowie wychodzili, Standley klepnął Victora w ramię i cierpko się do niego wyszczerzył.

Prezydent z westchnieniem nacisnął guzik. - Warto by zjeść lunch. Zjesz ze mną, Pug?

- Sir, żona dopiero co dała mi na drugie śniadanie świeżego pstrąga.

- A to dopiero! Pstrąga! No, to jest powitanie! Jak miewa się Rhoda? Co za elegancka i piękna kobieta.

- Doskonale, panie prezydencie. Miała nadzieję, że pan ją zachowa w pamięci.

- Och, nie sposób o niej zapomnieć. - Zdejmując binokle i trąc sobie oczy w purpurowych obwódkach, Franklin Roosevelt powiedział: - Pug, kiedy sekretarz floty mi powiedział o twoim chłopcu, Warrenie, poczułem się okropnie. To ten, którego nie miałem okazji poznać. Jak Rhoda to znosi?

Ten chwyt starego polityka z pamiętaniem imion, jak i niespodziewana wzmianka o nieżyjącym synu, zaskoczyły Puga. - Dzielnie to zniosła, Sir.

- To zwycięstwo pod Midway było wspaniałe, Pug. Zawdzięczamy je takim dzielnym młodzieńcom jak Warren. Oni uratowali naszą sytuację na Pacyfiku. - Prezydent raptem zmienił ton i zachowanie, od najgorętszego współczucia do ścisłej rzeczowości. - Ale posłuchaj, straciliśmy o wiele za dużo wojennych okrętów w nocnych walkach o Guadalcanal. Nieprawdaż? Jak to jest? Czy Japsowie w nocy lepiej walczą niż my?

- Nie, Sir! - Pug odebrał to pytanie jak osobisty przytyk. Rad, że już nie musi rozmawiać o Warrenie, odparł zwięźle: - Oni rozpoczynając wojnę

mieli dużo wyższy poziom wykształcenia. Byli całkowicie przygotowani. My nie. Mimo to odparliśmy ich. Już zrezygnowali z dostarczania posiłków na Guadalcanal. Tam wygramy. Przyznaję, że w nocnej walce artyleryjskiej musimy się lepiej spisywać. I będziemy.

- Zgadzasz się ze wszystkim, co mówisz. - Spojrzenie prezydenta było chłodne i przenikliwe. - Ale przez jakiś czas mnie to strasznie martwiło, Pug. Już myślałem, że przyjdzie nam oddać Guadalcanal. Bardzo źle by to u nas przyjęto. Australijczycy wpadliby w popłoch. Nimitz bardzo słusznie postąpił, kierując tam Halseya. Ten Halsey to twardziel. - Prezydent wkładał sobie papierosa do lufki. - Wspaniale sobie poradził w tych opałach. Uratował tam sytuację. Z jednym lotniskowcem na chodzie! Coś podobnego! Już niedługo będziemy tak przyciśnięci, nasza produkcja się rozkręca. Trwało to o rok dłużej, niż powinno, Pug. Ale jak powiedziałeś, oni knuli wojnę, a ja nie! Bez względu na to, co tam przebakują różne gazety. Ach, nareszcie.

Murzyński steward w białej kurtce wtoczył stolik na kółkach. Odłożywszy lufkę z papierosem, Roosevelt zaskoczył Puga skarżąc się - Tylko popatrz na tę porcję! Trzy jajka, a może cztery. Do diaska, Pug, będziesz musiał mi pomóc. Dwa nakrycia! - rozkazał stewardowi. - Jazda, bierz się do swojej zupy, Harry, nie czekaj na mnie.

Steward, wyglądający na przestraszonego, wysunął z rogu biurka ruchomą półkę, dostawił krzesło i podał Victorowi Henry jajecznicę, tosta i kawę, podczas gdy Hopkins obojętnie jadł łyżką zupę z miski na tacy, którą miał na kolanach.

- No, już lepiej - rzekł Franklin Roosevelt, gorliwie zabierając się do jedzenia. - Teraz będziesz mógł opowiadać swoim dzieciom, Pug, że jadłeś lunch z prezydentem. A służba może zrozumie, raz na zawsze, że nie znoszę zbyt obfitych porcji. Ciągłe jest o to walka. - W rzadkiej i ledwie ciepławej jajecznicy brakowało soli i pieprzu. Pug spożył ją, czując się historycznie uprzywilejowany, chociaż wcale nie głodny.

- Słuchaj, Pug - odezwał się słabym głosem Hopkins - zabrakło nam w Afryce Północnej łodzi desantowych. Mówiło się o ich produkcji w trybie natychmiastowym i padło twoje nazwisko. Wprawdzie teraz inwazja się już powiodła i bardziej palący stał się problem U-Bootów. Toteż w stocznicach najwyższy priorytet mają teraz niszczyciele eskorty. Jednak problem łodzi desantowych nie przestał istnieć, więc...

- Absolutnie - wtrącił się prezydent, upuszczając z brzękiem widelec. - Powraca on w każdej dyskusji na temat lądowania we Francji. Pamiętam nasze rozmowy w sierpniu czterdziestego pierwszego, Pug, na pokładzie Augusty, zanim pojechałem na spotkanie z Churchillem. Ty znasz się na tym. Potrzebny mi jest mocny człowiek, który popędzi do przodu cały ten program łodzi desantowych dla Floty, przy moim pełnym poparciu. Aż tu zjawia się ni stąd ni zowąd stary Bill Standley i chce cię wziąć na specjalnego adiutanta wojskowego. - Roosevelt popatrzył znad swojej filiżanki z kawą. - Czy miałbyś jakieś własne preferencje?

Po tygodniach zachodzenia w głowę, na Victora Henry nagle zwałił się cały ten mętlik. Więc porwali go z Pacyfiku po to, aby wpakować go do produkcji łodzi desantowych; z pewnością ważna, tylko że nudna harówka w Biurze Okrętów i ślepy zaułek w karierze. Prośba Standleya to tylko niefortunna komplikacja. Jak tu wspomnieć o wniosku Nimitza? Zagrożenie torpedowe!

- No cóż, panie prezydencie, trochę zakręciło mi się w głowie od tych propozycji, i to od pana.

- Ba, na tym głównie polega moja robota - zaśmiał się prezydent. - Siedzę tu, mój stary, niby jakiś policjant dyrygujący ruchem i staram się kierować właściwych ludzi do właściwych zajęć.

Roosevelt powiedział to z mile schlebiającą poufałością, jak gdyby on i Victor Henry byli przyjaciółmi od lat chłopięcych. Jakkolwiek przyparty do

mur, Pug nie mógł powstrzymać podziwu dla prezydenta. Cała wojna spoczywała na głowie tego starzejącego się kaleki; oprócz tego musiał zarządzać krajem i wyklócać się o każdy szczegół z Kongresem, żeby wszystko to szło do przodu. Pug spostrzegł, że Harry Hopkins zaczyna się niecierpliwić. Pewnie już czas na jakieś ważne spotkanie w tym gabinecie. A jednak Roosevelt potrafił gawędzić z jakimś tam nic nie znaczącym komandorem i wzbudzać w nim poczucie, że przypadła mu ważna rola do spełnienia w tej wojnie. Pug tak samo postępował ze swoją załogą; starał się, aby każdy marynarz poczuł, że spełnia istotną rolę na tym okręcie. Ale to już było dowództwo podniesione do nadludzkich wymiarów i pod presją trudną do wyobrażenia.

Niełatwo się z tym uporać. Victor Henry musiał skupić całą siłę woli, aby zachować milczenie pod badawczym spojrzeniem tych mądrych, zmęczonych oczu, dwóch astronomicznie odległych iskier w masce poufałej dobroduszości. Nie mógł się zdobyć na powiedzenie o wniosku Nimitza. Oznaczałoby to podkopanie Cartona i w pewnym sensie odprawę dla prezydenta. Niech przynajmniej Roosevelt odczuje sam jego wahanie.

Roosevelt przerwał to lekkie napięcie. - No! W każdym razie musisz wziąć najpierw dziesięć dni urlopu. Daj Rhodzie okazję zabawić się. To rozkaz! A potem skontaktuj się z Russem Cartonem i tak czy owak zapędzimy cię do roboty. A nawiasem mówiąc, jak miewa się twój podwodniak?

- Miewa się doskonale, Sir.

- A jego żona? Ta żydowska dziewczyna, z którą były trudności we Włoszech?

Lekka zmiana w głosie prezydenta i zerknięcie w stronę Hopkinsa dały Pugowi znać, że czas się wynosić. Zerwał się. - Dziękuję, panie prezydencie. Wszystko w porządku. Za dziesięć dni zgłoszę się do admirała Cartona. Dziękuję za poczęstunek, Sir.

Ruchliwa twarz Franklina Roosevelta zastygła jakby wyrzeźbiona w kamieniu. - Twój list z Moskwy o Żydach z Mińska wzbudził uznanie. Jak również twój przesłany Harry'emu raport naoczny z frontu. Czytałem go. Mieliście rację przepowiadając, że Rosjanie się utrzymają. Ty i Harry. Wielu ekspertów myliło się. Masz przenikliwe oko, Pug, i dar jasnego wyrażania się. A co do Żydów, sytuacja jest po prostu straszna. W tej sprawie sam już nie wiem, co robić. Ten Hitler to doprawdy piekielna kreatura, a Niemców ogarnął szał. Jedyne wyjście to zmiażdżyć nazistowskie Niemcy tak szybko, jak tylko się da, i spuścić tym Niemcom takie lanie, żeby je zapamiętali na wiele pokoleń. Staramy się. - Jego uścisk dłoni był krótki. Zmrożony, Pug wyszedł.

`cp2

- Jeżeli według ciebie jestem narzucającą się bezczelnie dziewczuchą, to trudno - rzekła Rhoda. - Po prostu nie daję się łatwo zniechęcić.

Polana buzowała na kominku w bywalni, a na stoliku do kawy stały dzin, wermut, mikser i słoik oliwek, jak również świeżo otworzona puszka kawioru, chleb w cienkich prostokątnych kromkach i na talerzach siekane jajka z cebulką. Na sobie miała brzoskwiniowy negliż. Włosy upięte, na twarzy ślad różu.

- Wszystko to pięknie wygląda - rzekł Pug, zakłopotany i zarazem lekko pobudzony. - Nawiasem mówiąc, prezydent przesyła ci pozdrowienia.

- Tak, akurat.

- Naprawdę, Rho. Powiedział, że jesteś elegancką i piękną kobietą, o której nie sposób zapomnieć.

Rumieniając się aż po czubki uszu - Rhoda bardzo rzadko się rumieniła i dodało jej to na chwilę dziewczęcego blasku - odrzekła: - Jakie to miłe. Ale co się tam działo? Jakie nowiny?

Przy drinkach zdał jej sprawę, w sposób umyślnie zwięzły. Wszystko, czego

Rhoda się dowiedziała, to że prezydent ma dla niego na oku parę zajęć, a na razie kazał mu wziąć dziesięć dni urlopu.

- Całe dziesięć dni! To cudownie! Czy któreś z tych zajęć pozwoliłoby ci zostać w Washingtonie?

- Jedno z nich tak.

- Więc mam nadzieję, że to właśnie dostaniesz. Już dość długo byliśmy rozłączeni. Za długo.

Kiedy zjedli mnóstwo kawioru i dopili martini, Pug poczuł się w nastroju, albo tak mu się wydawało. Pierwsze gesty były cokolwiek zardzewiałe, ale to wkrótce przeszło. Ciało Rhody w jego objęciach było rozkoszne i podniecające. Poszli na górę do sypialni i zaciągnęli zasłony - przez które i tak przedostawało się obficie stłumione światło popołudnia - i śmiejąc się do siebie, wymieniając żarciki przy rozbieraniu się; położyli się razem do łóżka.

Rhoda wzięła się nie zwlekając do rzeczy, po staremu, mile i namiętnie, jak dawniej. Lecz od chwili, kiedy ujrzał pierwszy raz od półtora roku nagie ciało swej żony - a wciąż wydawało mu się olśniewająco piękne - Victor Henry uświadomił sobie, że w tym ciełe pogrążał się inny mężczyzna. Nie miał do Rhody pretensji; wręcz przeciwnie, myślał, że jej przebaczył. Przynajmniej teraz, właśnie teraz chciał zatrzeć w sobie tę świadomość. Tymczasem z każdą pieszczotą, z każdym jej czułym szeptem, z każdym miłosnym ruchem ciągle wyobrażał sobie, jak ona robi dokładnie to samo z postawnym inżynierem. Nie przeszkadzało mu to w tym, co czynił. W pewnym sensie - niemal pornograficznie - nawet jakby wzmagało to przeżywanie rozkoszy w tym momencie. Ale skończyło się poczuciem lekkiego niesmaku.

Choć nie dla Rhody. Ona wykazywała wszelkie objawy ekstazy i satysfakcji, obsypywała mu twarz pocałunkami, bełkocąc głupstwa. Po jakimś czasie, ziewając jak zwierzę i śmiejąc się, utuliła się i zasnęła. Słońce wdzierało się przez szparę w zasłonach, kładąc świetlistą sztabę złota na jednej ze ścian. Victor Henry wymknął się z jej łóżka, przysłonił ten blask, wrócił do własnego łóżka i leżał wpatrzony w sufit. I wciąż tak się wpatrywał, kiedy w godzinę później ona zbudziła się uśmiechnięta.

`nv

`ty

52

`ty

Leslie Slote obudził się w swoim starym mieszkaniu w Georgetown, ubrał się w stare spodnie i tweedową marynarkę z szafy, którą był zamknął przed sublokatorami na klucz, po czym zrobił sobie tosta i kawy w dusznej kuchence, jak czynił to już tysiącrotnie. Ze starą teczką pękata od papierów, jak zwykle, poszedł do Departamentu Stanu w typową pogodę Washingtonu w połowie zimy: nisko wiszące szare chmury, zimny wiatr, z zapowiedzią śniegu w powietrzu.

Jak gdyby wracał do normalnego życia po długiej chorobie. Widoki, odgłosy i zapachy górnej Pennsylvania Avenue, kiedy indziej tak zwykle i posępne, zachwycały go. Przechodzący ludzie, sami Amerykanie, gapili się na jego rosyjską papachę i to mu sprawiało przyjemność; w Moskwie i Bernie nikt by jej nie zauważył. Znalazł się w domu. Bezpieczny. Ani razu od czasu, kiedy Niemcy ruszyli na Moskwę, teraz to sobie uświadomił, nie odetchnął swobodnie. Nawet i w Bernie bruk pod nogami jakby dygotał od bliskiego tupotu niemieckich butów. A teraz Niemcy już nie byli tuż za Alpami, oddzielała ich szerokość oceanu; atlantyckie wichury zdzierały sobie lodowate gardła rycząc na innych przestraszonych ludzi.

Fasada Departamentu Stanu, upstrzona jak wysypką drobnymi kolumienkami, tym razem nie wydała mu się brzydka, tylko naiwna, oryginalna i swojska; taka ohydka architektury amerykańskiej i przez to urocza. W środku zatrzymali go uzbrojeni strażnicy i musiał okazać im celuloidową

przepustkę; to było jego pierwsze zetknięcie z wojną w Washingtonie. Zatrzymał się przy biurku sekcji Vichy, aby rzucić okiem na tajną listę około dwustu pięćdziesięciu Amerykanów, przeważnie z personelu dyplomatycznego i konsularnego, internowanych w Lourdes.

Hammer, Frederick, Komitet Przyjaciół Uchodźców

Henry, Mrs Natalia, dziennikarka

Holliston, Charles, wicekonsul

Jastrow, Dr Aaron, dziennikarz

Jeszcze tam są! Miał nadzieję, że dziecko, jak na liście ambasady w Londynie, tak i tu pominięto przez niedopatrzenie.

- No, jesteś nareszcie - rzekł kierownik Wydziału Spraw Europejskich, podnosząc się i wpatrując w Slotę'a z wyrazem dziwnego podniecenia. Był to na ogół flegmatyczny zawodowiec, którego chłodu i spokoju nie potrafiła zakłócić nawet uprawiana wspólnie przed laty gra w squasha. W samej koszuli, podając mu dłoń przez biurko, ujawniał początki brzucha. Uścisk jego dłoni był spocony i nieco kurczowy. - Popatrz na to. - Wręczył mu dwustronicowy dokument, pisany na maszynie i pokreślony czerwonym atramentem.

15 grudnia 1942 (projekt)

Wspólne oświadczenie Narodów Zjednoczonych w sprawie niemieckich okrucieństw popełnianych na Żydach

- Cóż to takiego?

- Po prostu beczka dynamitu. Oficjalne, zatwierdzone, gotowe do wysłania. Pracowaliśmy nad tym dniem i nocą przez tydzień. Z tej strony wszystko załatwione, czekamy tylko na telegraficzne potwierdzenie z Whitehallu i od Rosjan. Po czym zostanie to ogłoszone równocześnie w Moskwie, Londynie i Washingtonie. Może nawet i jutro.

- Jezuu, Foxy, ależ to wydarzenie!

W Departamencie Stanu wszyscy nazywali go Foxy. Takie miał przezwisko na studiach w Yale. Slotę spotkał go po raz pierwszy jako absolwent w jego tajnym stowarzyszeniu. Foxy Davis wydawał się wtedy jowialną, pełną dystansu i wyższości, błyskotliwą osobistością, oficerem robiącym karierę w służbie zagranicznej, prosto z Paryża. Teraz Foxy był jednym z wielu mężczyzn o poszarzałych włosach, twarzy i charakterze, którzy pętają się w poszarzałych garniturach po korytarzach Departamentu Stanu.

- Owszem, przełomowe jak diabli.

- Wygląda na to, że na próżno przebyłem ocean.

- W żadnym wypadku. Fakt, że jesteś już w drodze - Foxy pokazał kciukiem na teczkę, którą Slotę położył na biurku - z tymi materiałami, ogromnie pchnął sprawę naprzód. Wiedzieliśmy już z memorandum, które nam przysłał Tuttle, co przywieziesz. Bardzo pomogłeś. I jesteś tutaj potrzebny. Przeczytaj to, Leslie.

Slotę usiadł na twardym krześle, zapalił papierosa i wczytał się w te kartki, podczas gdy Foxy załatwiał pocztę, po staremu przygryzając dolną wargę. Foxy ze swej strony zauważył, że Slotę nadal ma zwyczaj bębnić palcami w odwrotną stronę czytanego przez siebie dokumentu; i jak pożółkła mu cera, i że czoło marszczy mu się jak u starego człowieka.

Do wiadomości Rządu Jego Królewskiej Mości w Zjednoczonym Królestwie, Rządu Radzieckiego i Rządu Stanów Zjednoczonych dotarły i zwróciły ich uwagę raporty z Europy (nie pozostawiające wątpliwości), że władze niemieckie, nie poprzestając na pozbawieniu osób narodowości żydowskiej na wszystkich obszarach, które są w ich barbarzyńskim władaniu, najbardziej elementarnych praw ludzkich, realizują obecnie często wypowiedziany przez Hitlera zamiar zgładzenia ludności żydowskiej w całej Europie. Ze wszystkich tych krajów Żydzi są wywożeni (bez względu na wiek i płeć), w przerażająco okrutnych i brutalnych warunkach, do Europy Wschodniej. W Polsce, z której uczyniono teren głównej rzeźni nazistowskiej, opróżnia się

systematycznie getta ze wszystkich Żydów z wyjątkiem niewielu wyszkolonych pracowników, potrzebnych do przemysłu zbrojeniowego. Sprawni fizycznie są powoli uśmierceni przez zabójczy wysiłek w obozach pracy. Słabszych zostawia się na śmierć z zimna i głodu, lub zabija się ich z premedytacją w masowych egzekucjach.

Rząd Tego Królewskiej Mości w Zjednoczonym Królestwie, Rząd Radziecki i Rząd Stanów Zjednoczonych jak najsurowiej potępiają tę bestialską politykę prowadzonej z zimną krwią eksterminacji. Stwierdzają, że takie wypadki mogą jedynie wzmocnić postanowienie wszystkich miłujących wolność narodów, że obalą barbarzyńską tyranię hitlerowską. Potwierdzają swe uroczyste postanowienie, iż zapewnią, wspólnie z rządami Narodów Zjednoczonych, że odpowiedzialni za te zbrodnie nie unikną kary, jak również podejmą praktyczne działania prowadzące do tego celu.

Slote upuścił dokument na biurko i zapytał: - Kto wprowadził te skreślenia?

- Dlaczego?

- One to kastrują. Czy nie da się ich przywrócić?

- Les, to i tak bardzo mocny dokument.

- Ale te skreślenia to zabiegi świadczące o złej woli. Raporty nie pozostawiające wątpliwości to znaczy, że nasz rząd daje im wiarę. Po co to wycinać? Bez względu na wiek i płeć to bardzo istotne. Ci Niemcy dopuszczają się masowego mordowania kobiet i dzieci. Na to każdy zareaguje! W przeciwnym razie chodzi po prostu o "Żydów". Jakichś tam dalekich parchów i tyle. Kto by się tym przejmował?

Foxy skrzywił się. - Przesadnie na to reagujesz. Posłuchaj, jesteś zmęczony i myślę, że trochę stronniczy i...

- Powiedz mi, Foxy, kto to skreślił? Brytyjczycy? Rosjanie? Czy możemy się jeszcze wyklócać?

- To u nas na trzecim piętrze. - Wymienili poważne spojrzenia. - Przyjacielu, wzięli mnie za to na dywanik. Odwojowałem wiele innych skreśleń. Dla prasy światowej to i tak bomba, Leslie. Doprowadzić do tego, żeby trzy rządy zgodziły się na wszystkie sformułowania, to istna męczarnia; i zadziwiające, że tyle przeszło.

Slote gryzł się w kościste kłykcie. - Dobrze. Czym to podbudujemy? - Poklepał swoją teczkę. - Czy mogę sporządzić wybór z tych materiałów do publikacji razem z oświadczeniem? To je mocno podeprze. Mógłbym w przeciągu kilku godzin przygotować miążdzący zestaw.

- Nie, nie, nie. - Foxy potrząsnął głową. - Musielibyśmy wszystko to przekazywać telegraficznie do Londynu i Moskwy. Znow dyskusje trwałyby tygodniami.

- Foxy, bez dokumentacji to oświadczenie jest po prostu afiszem propagandowym. Materiał agencyjny i tyle. Tak prasa to odbierze. A i tak kaszka z mlekiem w porównaniu z tym, co wypuszcza w świat Goebbels.

Kierownik wydziału rozłożył ręce. - Kiedy wszystkie twoje materiały pochodzą jak nie od syjonistów z Genewy, to od Polaków z Londynu, prawda? A brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych jeży się na wszystko, co związane z syjonistami, Sowieci zaś pienią się na samą wzmiankę o polskim rządzie emigracyjnym. Wiesz o tym. Bądź realistą.

- Więc oświadczenie nie będzie niczym poparte. - Slote we frustracji uderzył pięścią w biurko. - Słowa. Po prostu słowa. Tylko na to stać cywilizowane narody w obliczu tej potwornej masakry, kiedy mają obciążające dowody w ręku.

Foxy wstał, zatrzasnął drzwi i wyciągnął do Slote'a sztywne ramię i palec wskazujący.

- Posłuchaj. Jak wiesz, moja żona jest Żydówką - Slote nic o tym nie wiedział - tak samo jak pan Hull. Zastanawiałem się nad tym do upadłego, nie śpiąc po nocach. Nie zbywaj tak lekko tego, cośmy zdziałali. To

piekielnie dużo znaczy. Niemcy dobrze się zastanowią, czy dalej uprawiać te barbarzyństwa. Ten sygnał da im do myślenia.

- Na pewno? A ja myślę, że go po prostu zignorują albo wyśmieją.

- Rozumiem. A ty chciałbyś krzyku na cały świat i wielkiej akcji ratowniczej ze strony rządów alianckich.

- Tak. Zwłaszcza w stosunku do Żydów, którzy zgromadzili się w krajach neutralnych.

- Dobrze. Więc zacznij znów myśleć w kategoriach takich, jak Washington.

- Foxy zapadł się w fotel, wyglądając na zirytowanego i smutnego, przybrał jednak ton chłodny i spokojny. - Arabowie i Persowie są już po stronie Hitlera, o czym dobrze wiesz. Już teraz w Maroku i Algierii rozpętało się piekło z powodu naszej tak zwanej polityki prożydowskiej, tylko dlatego, że nasze władze wojskowe zniosły antysemickie prawa, wprowadzone przez rząd Vichy. Muzułmanie buntują się. Wojska Eisenhowera mają ze wszystkich stron mużulmanów, i wokół siebie, i przed sobą w Tunezji. Jeżeli narobimy krzyku w skali światowej i wyniknie z tego powszechny nacisk, żeby otworzyć Palestynę dla Żydów, to naprawdę zagotuje się w całym rejonie Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie. Naprawdę, Leslie! I nastroi to przeciwko nam Turków. Więc ryzyko polityczne nie do przyjęcia. Zgodzisz się?

Gdy Slote niechętnie milczał, Foxy westchnął i mówił dalej, odliczając punkty na palcach. - I teraz. Czy będąc tam śledziłeś przebieg wyborów? Kongres o mały włos nie wymknął się prezydentowi z ręki. Roosevelt ledwie przeszedł w obu izbach, przy czym ta nominalna większość demokratów jest skłonna do buntu. W tym kraju gromadzą się wielkie siły reakcji, Les. Izolacjoniści znowu podnoszą głowę. Zbliży się uchwalenie rekordowego budżetu na obronę. Ogromne kredyty na Lend-Lease, szczególnie dla Sowietów, co nie cieszy się popularnością. Powrót do kontroli cen, racjonowanie i pobór powszechny, te podstawowe rzeczy, bez których prezydent nie może prowadzić wojny. Podnieś w tym kraju krzyk, żeby wpuścić więcej Żydów, Les, i zobaczysz, jak to się odbije w Kongresie na całym wysiłku wojennym!

- Świetnie to wyłożyłeś, Foxy - Slote niemalże sztychł. - Znam to na pamięć. Wierzysz przynajmniej w jedno słowo z tego, co powiedziałaś?

- Wierzę we wszystko. To są fakty. Niestety prawdziwe. Prezydent już widział, jak Woodrowa Wilsona i jego plany pokojowe diabli wzięli, bo Kongres wymknął mu się z ręki. Jestem przekonany, że straszy go duch Wilsona. W militarnej i ogólnej polityce tego rządu sprawa żydowska znajduje się na czerwonej linii. Pole manewru jest wąskie, strasznie wąskie. W tych ciasnych granicach nasz dokument to duże osiągnięcie. Brytyjczycy go naszkicowali. Ja walczyłem głównie o to, żeby zachować jego istotę. Myślę, że to mi się udało.

- Dobrze. Co mam dalej robić? - zapytał Slote, tłumiąc wciąż to samo poczucie beznadziejności.

- O trzeciej masz spotkanie. Chce z tobą rozmawiać zastępca sekretarza Breckinridge Long.

- Masz pojęcie, o co mu chodzi?

- Najmniejszego.

- Powiedz mi o nim coś więcej.

- O Longu? A co już wiesz?

- Tylko tyle, co mi powiedział Bill Tuttle. Long wciągnął go do organizowania ruchu republikanów za Rooseveltem w Kalifornii. Obaj mieli stajnie wyścigowe, czy coś w tym rodzaju, i tak się poznali. Poza tym wiem, że Long był ambasadorem we Włoszech. Więc domyślam się, że jest bogaty.

- Ma bogatą żonę. - Foxy zawahał się, a potem ciężko westchnął. - On siedzi na wulkanie.

- Jak to?

Foxy Davis zaczął się przechadzać po małym gabinecie. - No dobrze, oto

jego krótkie curriculum vitae. Co powinieneś wiedzieć. Breckinridge Long to dżentelmen-polityk starej szkoły. Z dobrej południowej rodziny. Studia w Princeton. Zawsze należał do Demokratów w Missouri. Za Wilsona był trzecim zastępcą sekretarza stanu. Przepadł w wyborach do Senatu. W polityce wyborczej to człowiek przegrany. - Foxy zatrzymał się nad Slotem i szturchnął go w ramię. - Ale... Long to stary, stary, stary człowiek Roosevelta. Oto klucz do Breckinridge'a Longa. Jeżeli byłeś za Rooseveltem przez 1932 rokiem, to jesteś swój, otóż Long był jego człowiekiem już w 1920-tym, kiedy FDR kandydował na wiceprezydenta. Na konwencjach Long był jego organizatorem widowni. Od czasów Wilsona poważnie dokładał się do finansowania kampanii demokratów.

- Już rozumiem.

- Okay. W nagrodę ambasada we Włoszech. Zasługi takie sobie. Uwielbiał Mussoliniego. Rozczarował się. Odwołano go. Niby że wrzód żołądka. A tak naprawdę, myślę, że nieudolne zachowanie się w czasie wojny z Abisynią. Wrócił i zajął się swoimi końmi. Ale oczywiście chciał wrócić na stanowisko, a FDR troszczy się o swoich. Jak wybuchła wojna, stworzył dla Longa funkcję specjalnego zastępcy sekretarza stanu do spraw nagłych związanych z wojną. Więc usiadł na wulkanie. I spadł mu na głowę problem uchodźców, bo wydział wizowy to jego dziecko. Nie kończący się szereg delegacji - przywódcy związkowi, rabini, ludzie interesu, nawet duchowieństwo chrześcijańskie - przynagla go, żeby zrobił coś więcej dla Żydów. A on musi odpowiadać nie, nie, nie, kryjąc się za grzecznymi wykrętami, a jest zbyt wrażliwy na obelgi, które go za to spotykają. Szczególnie w prasie liberalnej. - Foxy usiadł za biurkiem. - Oto w skrócie Breck Long. A teraz, póki się nie urządziłeś, jeżeli potrzebny ci jest gabinet. ..

- Foxy, czy Breckinridge Long to antysemita?

Ciężkie westchnienie; przeciągłe wpatwienie się, nie w Slotę'a, tylko w pustkę. - Nie sądzę, żeby on był nieludzki. Ma w pogardzie nazistów i faszystów. Naprawdę. Z pewnością nie jest izolacjonistą, za to wielkim zwolennikiem nowej Ligi Narodów. Skomplikowany facet. Ani geniusz, ani taki zły, ale napaści ranią go i usztywniają. Jest urażliwy jak niedźwiedź z rozkwaszonym nosem.

- Nie odpowiadasz na moje pytanie.

- Więc odpowiem. Nie. Nie jest antysemitą. Ja tak nie uważam, chociaż fakt, że mu się to zarzuca. Wpadł jak śliwka w kompot i do tego przywalony jest inną robotą. Na pewno nie wie nawet połowy z tego, co się dzieje. To jeden z najbardziej zapracowanych ludzi w Washingtonie i prywatnie jeden z najzaciewniejszych. Dżentelmen. Mam nadzieję, że będziesz u niego pracował. Sądzę, że potrafisz co najmniej skłonić go do usunięcia tej czy owej z najbardziej haniebnych plam na wydziale wizowym.

- Mój Boże, to już jest nie lada pokusa.

Foxy przeglądał papiery na swoim biurku. - Jeszcze jedno. Czy jest ci znana niejaka pani Selma Ascher Wurtweiler? Ona pochodzi z Berna.

Slotę dopiero po chwili sobie przypomniał. - Tak. Oczywiście. Co z nią jest?

- Prosi, żebyś do niej zadzwonił. Powiada, że to pilne. Tu masz jej numer w Baltimore.

`cp2

W zaawansowanej ciąży, kołysząc się na boki, Selma podeszła za oberkelnerem do stolika Lesliego, a za nią szedł młody człowiek, niski, czerwonołocy i niemalże łyśy. Slotę zerwał się z krzesła. Ubrana była prosto i na czarno, z jedną broszką z wielkimi brylantami. Dłoń miała tak zimną i wilgotną, jak gdyby lepiła śnieżki. Pomimo olbrzymiego brzucha nadal była uderzająco podobna do Natalii.

- To mój mąż.

Julius Wurtweiler potrafił serdecznie i znacząco wygłosić banalne powitanie: - Jakże miło mi pana poznać! - Ledwie usiadłszy, Wurtweiler przywołał kelnera i przystąpił do zamawiania drinków i lunchu. Ma się spotkać z kilkoma kongresmanami i z dwoma senatorami, więc jeśli nic nie mają przeciwko temu, on zje i pofrunie, a Selma i Slotę niech gawędzą sobie o dawnych czasach. Przyniesiono drinki i dla Selmy sok pomidorowy. Wurtweiler podniósł kieliszek, przepijając do Lesliego.

- No, za to oświadczenie Narodów Zjednoczonych. Kiedy ma się ukazać? Jutro?

- Ee... jakie oświadczenie?

- To o nazistowskich masakrach. A cóżby innego? - Zdrowa twarz Wurtweilera promieniała dumą z tego, że ma dostęp do zakulisowych informacji.

Slotę szybko zdecydował, że pozwoli mu odkryć swe karty, jakiegokolwiek by one były. - Domyślam się, że ma pan prywatne dojście do Cordella Hulla.

Wurtweiler roześmiał się. - A jak pan myśli, skąd wzięło się to oświadczenie?

- Właściwie nie jestem pewien.

- Przywódcy Żydów brytyjskich dotarli wreszcie do Churchilla i do Edena, przedstawiając im niepodważalne dowody. Coś strasznego! Churchill ma serce na właściwym miejscu, tylko musi zagrywać z tym przeklętym Ministerstwem Spraw Zagranicznych, i tym razem sobie poradził. Oczywiście, że nas informowano.

- Nas?

- Rady syjonistyczne w Ameryce.

Zanim podano jedzenie - przeciągnęło się to chwilę, bo w restauracji panował tłok - Wurtweiler zdążył wiele powiedzieć, przedzierając się przez otaczający zgiełk. Jego zachowanie było równie miłe jak natarczywe, jego akcent z lekka południowy. Działiał w kilku komitetach organizujących protesty i ratowanie Żydów. Dał osobiste poręczenia dziesiątkom uchodźców. Dwa razy dotarł w delegacjach do gabinetu Cordella Hulla. Pan Hull to prawdziwy džentelmen, powiedział tylko, że się starzeje i nie trzyma ręki na pulsie.

Jeżeli chodzi o masakry, Wurtweiler nie uważał sprawy za beznadziejną. Sądził, że prześladowania nazistowskie okażą się punktem zwrotnym w historii żydostwa. Ich skutkiem będzie własna ojczyzna dla Żydów. Polityczny program Żydów oraz ich przyjaciół, stwierdził, powinien teraz być stanowczy i prosty: Unieważnić Biały Papier! Otworzyć Palestynę dla Żydów z Europy! Jego komitet myśli o poparciu oświadczenia Aliantów przez masowy zlot w Washingtonie, chciałby zatem usłyszeć, co o tym sądzi Slotę. Będzie się to nazywać "Marsz Miliona". Udział wezmą Amerykanie wszelkich wyznań. Złoży się w Białym Domu petycję, podpisaną przez milion ludzi, z żądaniem, aby Londyn - od tego mają być uzależnione dalsze dostawy dla Wielkiej Brytanii w ramach Lend-Lease - unieważnił Biały Papier. Wielu senatorów i kongresmanów jest gotowych poprzeć tę rezolucję.

- Proszę mi szczerze powiedzieć, co pan o tym myśli - rzekł Wurtweiler, rzucając się na omlęt z serem, podczas gdy Selma, dłubiąc w sałatce owocowej, przesłała Lesliemu coś jakby ostrzegawcze spojrzenie.

Slotę zadał kilka łagodnych pytań. Zakładając, że Brytyjczycy ustąpią, jak przewieźć Żydów z okupowanej przez Niemców Europy do Palestyny? To żaden problem, odparł Wurtweiler; można załatwić mnóstwo neutralnych statków: tureckich, hiszpańskich, szwedzkich. Nie mówiąc już o tym, że puste alianckie statki z Lend-Lease mogłyby ich przewozić pod białą flagą.

Ale czy Niemcy będą honorować białą flagę i czy wypuszczą tych Żydów?

No cóż, Hitler chce oczyścić Europę z Żydów, powiedział Wurtweiler, a ten plan dokonałby tego, więc dlaczegożby nie miał współdziałać? Niewątpliwie

naziści zażądali wielkiego okupu. Dobrze, w takim razie Żydzi w wolnych krajach oddadzą wszystko, aż do ostatniej koszuli, byle ocalić pojmanych przez Hitlera. On sam to uczyni. Jego czterej bracia zrobią to samo.

Slote ku własnemu zaskoczeniu przyłapał się na tym, że naiwna pewność siebie tego człowieka skłania go do myślenia o sprawie "w kategoriach takich, jak Washington" i Foxy. Zwrócił uwagę, że tak ogromny zastrzyk pieniężny w obcej walucie umożliwiłby nazistom nabycie mnóstwa trudno osiągalnych materiałów wojennych. W rezultacie Hitler wymieniałby Żydów, którzy przeżyją, na środki do zabijania żołnierzy alianckich.

- Wcale to do mnie nie trafia! - W odpowiedzi Wurtweilera zabrzmiało prawie że zniecierpliwienie. - Takie rozważanie odległych hipotez militarnych przeciwko całkiem pewnej śmierci niewinnych ludzi. Chodzi tu całkiem po prostu o ratowanie ich, zanim będzie za późno.

Slote napomknął, że arabscy sabotażyści mogą z dnia na dzień zamknąć Kanał Sueski. Wurtweiler miał na ten "kawał z długą brodą" natychmiastową odpowiedź. Zagrożenie dla kanału już nie istnieje. Rommel ucieka z Egiptu. Eisenhower i Montgomery biorą go w kleszcze. Arabowie zawsze stawiają na zwycięzców i nie odważą się tknąć kanału.

Teraz już rozmawiali przy kawie. Najsympatyczniej, jak tylko potrafił, Slote przestrzegł Wurtweilera przed pokusą takiej jednej, wielkiej, prostej odpowiedzi jak "Marsz Miliona", żeby otworzyć Palestynę. Nie sądzi, aby Wielka Brytania przystała na to, a gdyby nawet przystała, to żeby istniał jakikolwiek sposób przedostania się tam dla Żydów z nazistowskiej Europy.

- Więc jest pan całkowitym pesymistą. Uważa pan, że wszyscy muszą zginąć.

Bynajmniej, odpowiedział Slote. Są dwie rzeczy, do których można dążyć: zniszczenie hitlerowskich Niemiec na dalszą metę, a na bliższą takie ich postraszenie, aby zaprzestali masakry. Świat aliancki ma do rozporządzenia wiele tysięcy kwadratowych kilometrów skąpo zaludnionych obszarów. Po pięć tysięcy Żydów, na początek, wpuszczonych do dwudziestu krajów - może nawet nie wyłączając Palestyny - dałoby w sumie sto tysięcy uratowanych dusz. W krajach neutralnych zgromadziło się dużo więcej. Jednomyślna decyzja Aliantów o natychmiastowym udzieleniu im azylu byłaby wstrząsem dla Niemców. Jak dotąd naziści szydzą sobie z wolnego świata: "Skoro tak się martwicie o Żydów, to dlaczego ich nie wpuszczacie?" Jediną odpowiedzią na to jest wstydlive milczenie. Z tym trzeba skończyć. Jeśli Ameryka da przykład, pójdzie za nim dwadzieścia krajów. Niech tylko Alianci pokażą, że naprawdę przejmują się losem Żydów, a może to przestraszyć hitlerowskich katów i otwarcia Palestyny będzie jałowa i tym samym do niczego nie prowadzi.

Wurtweiler przysłuchiwał się ze zmarszczoną brwią, bacznie wpatrzony w Slote'a, któremu już zdawało się, że go trochę przekonał. - No cóż, rozumiem pański punkt widzenia - odezwał się wreszcie - i zupełnie się z panem nie zgadzam. Sto tysięcy Żydów! Kiedy miliony ich czeka zagłada! Wystarczy, abyśmy te niewielkie siły, jakimi rozporządzamy, zużyli na poparcie takiego programu, a sprawa Palestyny będzie przegrana. Z pańskich dwudziestu miejsc azylu i tak wszyscy się w ostatniej chwili wykręca. A większość Żydów nie zechce tam wyjechać.

Wurtweiler zapłacił rachunek i pożegnał się jak najprzyjaźniej, całując żonę i gorąco zapraszając, ażeby Slote jak najszybciej przybył do nich na kolację do Baltimore.

- Podoba mi się twój mąż - zaryzykował Slote, kiedy kelner dolewał im kawy.

Selma prawie nic nie zjadła i była bardzo blada. Wybuchła: - On ma złote serce i włożył fortunę w działalność ratunkową, ale jego syjonistyczne pomysły to urojenie. Już przestałam się o to spierać. On i jego przyjaciele są tak pogrążeni w planach, zebraniach, projektach, demonstracjach, marszach, wiecach i tak dalej! Mają tyle najlepszej woli! I tyle jest

innych komitetów, mających inne plany, zebrania, wiece! A on jest przekonany, że tamci się całkowicie mylą! Och, ci amerykańscy Żydzi! Biegają w kółko jak strute myszy, a na wszystko to już za późno. Nie mam do nich pretensji. Ani do Kongresu, ani nawet do tych z waszego Departamentu Stanu. Oni nie są źli ani głupi, po prostu ich wyobraźnia tego nie ogarnia.

- Niektórzy są aż nadto źli i głupi.

Uniosła dłoń, protestując. - To Niemcy, Niemcy mordują. I do nich też właściwie nie można mieć pretensji. Zamienili się w dzikie zwierzęta, którymi kieruje wariat. Wszystko to jest beznadziejne i straszne. Przykro mi, że spędziliśmy cały lunch na tej dyskusji. Znowu mi się przyśnią koszmary. - Przyłożyła sobie palce do skroni i zmusiła się do uśmiechu. - Co się stało z dziewczyną podobną do mnie? I z jej dzieckiem?

Kiedy odpowiedział, wyraz jej twarzy stwardniał. - Lourdes! Mój Boże! Więc jest w okropnym niebezpieczeństwie?

- Jest tak samo bezpieczna, jak i nasi pracownicy konsularni.

- Mimo że jest Żydówką?

Slote wzruszył ramionami. - Tak sądę.

- Będzie mi się śniła. Ciągłe śni mi się, że jestem znowu w Niemczech, że nie wyjechaliśmy stamtąd. Nie potrafię ci opowiedzieć, jakie mam okropne, okropne sny. Mój ojciec nie żyje, matka jest chora, a ja sama w tym obcym kraju. Boję się nocy. - Rozejrzała się półprzymtomnie po restauracji, niespokojnie sięgnęła po torebkę i rękawiczki. - Ale niewdzięczność to grzech. Przynajmniej żyję. Muszę zrobić zakupy. Czy przyjmiesz zaproszenie Juliusa na kolację u nas w Baltimore?

- Oczywiście - rzekł Slote z przesadną grzecznością.

Spojrzała na niego sceptycznie i z rezygnacją. Już na ulicy odezwała się: - Twój pomysł co do uchodźców jest niezły. Powinieneś o niego walczyć. Niemcy już przegrywają wojnę. Wkrótce zaczną się martwić, jak uratować własną głowę, każdy z osobna. Niemcy mają do tego talent. Gdyby teraz Ameryka i jeszcze dwadzieścia innych krajów naprawdę wpuściły sto tysięcy Żydów, te potwory z SS mogłyby się przestraszyć. Może by zaczęły szukać pretekstów, żeby oszczędzać Żydów i żeby później mogli się tym usprawiedliwiać. To bardzo rozsądne, Leslie.

- Skoro tak uważasz, dla mnie to też zachęta. - A jest szansa, że tak się stanie?

- Muszę to sprawdzić.

- Boże ci błogosław. - Wyciągnęła do niego rękę. - Zimna?

- Jak lód.

- Widzisz? Ameryka mnie prawie nie zmieniła. Do widzenia. Mam nadzieję, że twoja przyjaciółka i jej dziecko uratują się.

Idąc z powrotem do Departamentu Stanu, pod przejaśniającym się błękitnym niebem, nachylony pod mroźny wiatr, Slote przystanął i zapatrzył się przez ogrodzenie i zaśniewany trawnik na Biały Dom, usiłując wyobrazić sobie Franklina Roosevelta, jak pracuje gdzieś w tym wielkim budynku. Mimo wszystkich tych pogawędek przy kominku, przemówień, kronik filmowych i milionów słów, jakie mu poświęcano w gazetach, Franklin Roosevelt wciąż był dla Slote'a jakiś nieuchwytny. Czy nie kryje się jakiś rys oszustwa w polityku, którego Europejczycy mogą uważać za wielkiego i humanitarnego wybawcę, a którego polityka, jeśli Foxy ma słuszność, jest najzupełniej tak samo zimna i nieludzka jak Napoleona?

Głównym tematem Wojny i pokoju Tołstoja - tak rozmyślał Slote, śpiesząc dalej - jest to, jak Napoleon w umyśle Piotra Biezuchowa osuwa się z liberalnego wyzwoliciela Europy w krwiożerczego najeźdźcę Rosji. Wątpliwa teoria wojny u Tołstoja powiada, że Napoleon był tylko małą jadącą na słońcu; bezsilny egocentryk, unoszony przez nurt epoki i historii, wydający rozkazy, których nie mógł nie wydać i wygrywający bitwy, które musiały być wygrane wskutek drobnych wydarzeń na polu walki, poza jego wiedzą i władzą;

a później przegrywający wojny przez taki sam "błysk geniuszu", jaki mu przynosił "zwycięstwa", ponieważ nurt historii się od niego odwrócił, pozostawiając go na mieliznach klęski.

Jeżeli Foxy trafnie przedstawia politykę Roosevelta w sprawie Żydów, jeśli nie zaryzykowałby on nawet konfliktu z Kongresem, ażeby położyć kres tej olbrzymiej zbrodni - czyż prezydent nie jest po prostu małą Tolstoja - małym człowieczkiem, którego potężne tchnienie historii nadmuchało we wspaniałą postać, która zdaje się wygrywać tę wojnę, tylko dlatego, że tak ułożyły się fluktuacje wydajności przemysłowej; marionetką epoki, nie mającą nawet tyle swobody przeciwstawienia się hitlerowskiej groźbie, co pojedynczy, wystraszony Żyd, uciekający przez Pireneje, bo ten Żyd przynajmniej zmniejsza liczbę morderstw o jedno?

Slote nie chciałby wierzyć w nic podobnego.

`cp2

Blask słońca, płynący z wysokich okien w gabinecie zastępcy sekretarza, nie był bardziej miły dla oka, cieplejszy ani weselszy niż sam Breckinridge Long, gdy młodzieńczym krokiem przeszedł przez pokój, ażeby się przywitać. Patrycjuszowska twarz Longa, wąsko rzeźbione usta, starannie kręcone i stalowe włosy, niska atletyczna figura pasowały do świetnie skrojonego, ciemnoszarego garnituru, wypielęgnowanych paznokci, krawata z szarego jedwabiu i białej chusteczki w kieszonce na piersi. Był uosobieniem zastępcy sekretarza stanu; i wcale nie wyglądał na znękanego czy rozgoryczonego, ani też zajmującego eksponowane stanowisko, ale raczej na takiego, co wita starego przyjaciela w swej wiejskiej rezydencji.

- Otóż i Leslie Slote! Powinniśmy się byli już dawno spotkać. Co słyhać u ojca?

Slote zamrugał. - Wszystko, no, jak najlepiej, Sir. - Zbił go z tropu ten początek. Slote nie przypominał sobie, aby ojciec mu kiedykolwiek napomknął o Breckinridge Longu.

- Nie widziałem się z nim tyle czasu. Mój Boże! On i ja niemalże prowadziliśmy Ivy Club, grywaliśmy prawie dzień w dzień w tenisa, pływaliśmy na żaglówkach, szaleliśmy za dziewczętami... - Z uroczym, melancholijnym uśmiechem wskazał na kanapę. - Och, no cóż! A wiesz, podejrzewam, że teraz bardziej wyglądasz jak Timmy Slote niż on sam. Ha ha.

Z uśmiechem zakłopotania Slote usiadł, szperając w swej pamięci. Ojciec w Szkole Prawa na Harvardzie nabył pogardliwą niechęć do lat, które "zmarnował" w Princeton: w tym klubie wiejskim, jak mawiał, dla bogatych lekkoduchów, starających się uniknąć edukacji. Stanowczo doradzał synowi pójść na studia gdzie indziej i niewiele mówił o swych doświadczeniach studenckich. Jednak to dziwne: nie wspomnieć synowi, pracującemu w dyplomacji, że znał się z ambasadorem i zastępcą sekretarza stanu!

Long poczęstował go papierosem ze srebrnej papierośnicy i odchyliwszy się na oparcie kanapy, dotykając chustki w kieszonce na piersi, odezwał się żartobliwie: - Jak to się stało, że trafiłeś do takiej marnej szkoły jak Yale? Dlaczego Timmy nie tupnął nogą? - Czmychnął śmiechem, patrząc na Lesliego po ojcowsku. - Jednak, mimo tego upośledzenia, wyrósł z ciebie świetny pracownik służby zagranicznej. Znam twoje osiągnięcia.

Czyżby dotkliwy sarkazm?

- Staralem się, Sir. Czasem czuję się trochę bezradny.

- Znam to uczucie! A jak tam Bill Tuttle?

- Miewa się znakomicie, Sir.

- Trzeźwy człowiek. Dostałem od niego kilka niepokojących pism. Jego placówka w Bernie to czuły punkt. - Oczy Longa na wół się przymknęły. - Obaj poczynaliście tam sobie roztropnie. Gdybyśmy tam mieli paru z tych radykałów, ujawnione przez was materiały mogłyby narobić hałasu w prasie całego świata.

- Panie zastępczo sekretarza...

- Ależ, młodzieńcze, jesteś synem Tima Sloty. Mów mi Breck.

W przebiegu pamięci Sloty przypomniał sobie nagle, jak ojciec w rozmowach z matką, dawno, dawno temu wspominał jakiegoś "Brecka", mglistą postać ze swej bujnej młodości. - A więc, Breck: ja uważam dostarczone tu przeze mnie materiały za autentyczne i przerażające.

- Tak, Bill również. Powiedział to jasno. Tym bardziej chwali się wam obu, że wyczuliście, jaki jest wasz obowiązek. - Breckinridge Long dotknął chusteczki i przyglądał krawat. - Chciałbym, żeby niektórzy z tych dziko patrzących facetów, jacy nachodzą nas tu w Washingtonie, byli tacy jak ty, Leslie. Wiesz przynajmniej, że kiedy człowiek jest na rządowym chlebie, to nie powinien wprawiać swego kraju w ambaras. Nauczył cię tego ów drobny epizod w Moskwie. Jak najbardziej zrozumiała i wybaczalna. We mnie też grozę budzą te prześladowania Żydów przez nazistów. To wstrętne i barbarzyńskie. Potępiałem tę politykę już w 1935 roku. Moje memoranda z tych czasów są tu w archiwum. A więc posłuchaj, młodzieńcze, co zamierzam ci zaproponować.

Trwało to jakiś czas, nim Sloty się dowiedział. Long mówił najpierw o dziewiętnastu podległych sobie wydziałach. Cordell Hull w rzeczy samej polecił mu opracować plan nowej, powojennej Ligi Narodów. Nie lada zadanie! Pracuje nad nim po nocach, w piątek i świętek, przypłacając to zdrowiem, ale nie o to chodzi. Był świadkiem, jak Woodrow Wilson w 1919 roku został zniszczony przez to, że Kongres odrzucił projekt Ligi. To się nie może przytrafić jego wielkiemu, staremu przyjacielowi, Franklinowi Rooseveltowi i jego wspaniałej wizji światowego pokoju.

Poza tym trzeba Kongres trzymać w ryzach i to jemu Sekretarz zlecił większość kontaktów. To jest mordęga! Gdyby Kongres wycofał się z pomocy Lend-Lease dla Rosji, Stalin może z dnia na dzień zdradziecko podpisać osobny pokój. Ta wojna będzie wisiała na włosku aż do chwili, gdy padnie ostatni strzał. Brytyjczykom także nie można ufać. Już intrygują, żeby wprowadzić do' Afryki Północnej de Gaulle'a i dzięki temu po wojnie mieć w garści całe Morze Śródziemne. W tej wojnie troszczyli się wyłącznie o siebie; Brytyjczycy nigdy się wiele nie zmieniają.

Po tych ogólnych dygresjach Breckinridge Long przeszedł wreszcie do rzeczy. Ktoś w Wydziale Spraw Europejskich, oznajmił, że musi załatwiać sprawy żydowskie - nie odsyłając ich do niego - wszystkie te delegacje, petycje, korespondencja, ważne osoby wymagające traktowania w rękawiczkach i tym podobne. Sytuacja wymaga odpowiedniego człowieka, który zdoła ją należycie wyważyć, i według niego Leslie jest właściwym człowiekiem do tej funkcji. Reputacja, którą cieszy się Leslie jako sympatyk Żydów, będzie tu wprost bezcenna. Rozsądek, jakim wykazał się w Bernie, świadczy o jego zdadności. Pochodzi z dobrej rodziny i nie odrodził się od niej. Ma przed sobą wspaniałą przyszłość w Departamencie. Otóż i szansa podjęcia się naprawdę trudnej roboty, wykazania się i zarobienia na świetny awans.

Sloty był tym wszystkim przerażony. Stać się buforem dla Breckinridge'a Longa i "odpowiadać nie, nie, nie, kryjąc się za grzecznymi wykrętami" Żydom, przynoszącym petycje, to odrażająca perspektywa. Wydawało się, że kres jego kariery jest już tak bliski jak drzwi gabinetu Longa; i Sloty przestał się tym przejmować.

- Sir...

- Breck.

- Breck, nie chcę być obsadzony w takiej funkcji, jeżeli nie mogę pomóc ludziom, którzy do mnie przychodzą.

- Ależ ja właśnie chcę, żebyś to robił.

- A cóż ja mogę zrobić poza tym, że będę ich odprawiał? Mówiąc "nie" w każdy wykrętny sposób, jaki tylko zdołam wymyślić? Breckinridge Long usiadł wyprostowany i wbił w niego poważne, szczere spojrzenie. - Ależ jeśli tylko

będziesz mógł komuś pomóc, nie powinieneś mówić nie, tylko tak.

- Ale obowiązujące przepisy sprawiają, że jest to prawie niemożliwe.

- Dlaczego? Powiedz - zapytał Breckinridge Long bardzo życzliwie. Mięsień mu drgał w szczęce, palce muskały najpierw chusteczkę, a potem krawat.

Slote zaczął wyjaśniać absurdalność, aby Żydzi okazywali pozwolenia na wyjazd i świadectwa moralności, wydane przez policję ich krajów. Long przerwał mu, marszcząc czoło ze zdziwienia. - Ależ, Leslie, to są rutynowe przepisy, służące do tego, aby nie wpuszczać przestępców, nielegalnych uciekinierów oraz innych szumowin. Jak możemy je omijać? Nikomu nie przysługuje dane od Boga prawo wstępu do Stanów Zjednoczonych. Ludzie muszą się wykazać dowodami, że jeśli ich wpuścimy, to staną się dobrymi Amerykanami.

- Breck, Żydzi musieliby otrzymywać takie świadectwa od Gestapo. Jest to żądanie jawnie absurdalne i okrutne.

- Och, te krwawiące serca w New Yorku uczyniły z tej nazwy straszaka. Gestapo znaczy po prostu "tajna policja państwowa", Geheime Staatspolizei. Miałem do czynienia z Gestapo. Nie różnią się niczym od innych Niemców. Z pewnością ich metody nie są łagodne, ale nasza tajna policja też jest bardzo twarda. Jak w każdym kraju. Poza tym nie wszyscy Żydzi przybywają z Niemiec.

Przewyciężając reakcję zszarganych nerwów, aby wyjść i poszukać sobie innych środków do życia - wyczuwał bowiem w Longu jakiś osobliwy rys uczciwego choć przewrotnego rozsądku - Slote powiedział: - Bez względu na to, skąd ci Żydzi przybywają, uciekali ratując życie. Jakżeby mogli zatrzymać się w tej ucieczce i występować o urzędowe zaświadczenia?

- Ale gdybyśmy zrezygnowali z tych przepisów - odpowiedział mu cierpliwie Long - co stanie na przeszkodzie, aby do naszego kraju trafiły tysiące sabotażystów, szpiegów, dynamitardów i różnych takich osobników, podających się za biednych uchodźców? Na to mi odpowiedz. Gdybym pracował w niemieckim wywiadzie, nie przeoczyłbym takiej okazji.

- Wymagać innego rodzaju świadectw. Badania sprawy przez kwaków. Dowodów potwierdzających okoliczności. Poparcia od miejscowego konsula Stanów Zjednoczonych. Albo przez jakąś wiarygodną organizację pomocy, taką jak Joint. Sposoby zawsze się znajdują, kiedy ich poszukać.

Breckinridge Long siedział z dłońmi splecionymi pod brodą, przypatrując mu się w zadumie. Odpowiedział z wolna i ostrożnie: - Tak. Owszem, widzę w tym coś słusznego. Przepisy mogą być uciążliwe dla osób, które zasługują na pomoc. Miałem na myśli co innego, na przykład strukturę świata po wojnie. Nie jestem uparty i - w jego uśmiechu pojawiło się coś na kształt udręki - nie jestem antysemitą, wbrew temu, o co mnie prasa posadza. Służę temu rządowi i jego prawu. Staram się dobrze to robić. Czy opracowałeś swoje pomysły w formie memorandum, żebym mógł przedstawić je w wydziale wizowym?

Slote nie mógł uwierzyć, że go poruszył, ale Breckinridge Long mówił to ciepło i szczerze. Już śmielej zapytał: - Czy wolno mi jeszcze coś zaproponować?

- Słucham cię, Leslie. Ta rozmowa jest odświeżająca.

Slote opisał swój plan wpuszczenia stu tysięcy Żydów do dwudziestu krajów. Breckinridge Long przysłuchiwał się uważnie, przenosząc palce z krawata na chusteczkę i znowu na krawat.

- Leslie, mówisz o drugim Evian, wielkiej międzynarodowej konferencji w sprawie uchodźców.

- Mam nadzieję, że nie. Evian było kwintesencją nieskuteczności. Kolejna tego rodzaju konferencja znowu pochłonie mnóstwo czasu, a oni w tym czasie mordują ludzi.

- Ale uchodźcy polityczni stanowią teraz bardziej dotkliwy problem niż wtedy, Leslie, a nie ma innego sposobu, żeby coś takiego uruchomić. Polityki na wielką skalę nie da się ustalać na szczepku Departamentu. -

Long tak przymrużył oczy, że prawie je zamknął. - Nie, to rzeczywiście jest pomysłowa i ważka sugestia. Czy sporządziłbyś dla mnie poufne opracowanie tej sprawy? Na razie tylko do mojego użytku. Porusz w nim wszystkie szczegóły, jakie ci przyjdą do głowy.

- Breck, naprawdę pana to interesuje?

- Cokolwiek o mnie słyszałeś - odparł zastępca sekretarza z odcieniem znużonej wyrozumiałości w głosie - nie mam skłonności do marnowania swojego czasu. Ani czasu nikogo z ludzi, którzy ze mną pracują. Wszyscy i tak jesteśmy przeciążeni.

Mimo to całkiem możliwe, że ten człowiek go zbywa. "Napisz mi memorandum" to najstarszy z dyplomatycznych wykrętów. - Sir, pan z pewnością zna wspólne oświadczenie Aliantów w sprawie Żydów?

Long w milczeniu przytaknął.

- Czy wierzy pan - jak ja - że to zupełna prawda? Że Niemcy mordują miliony europejskich Żydów i zamierzają ich wszystkich wymordować?

Uśmiech pojawił się i znikł na twarzy Longa; martwy uśmiech, samo uruchomienie mięśni ust.

- Przypadkiem sporo wiem o tym oświadczeniu. Nakreślił je pod presją Anthony Eden i jest to po prostu łapówka dla kilku znamienitych obywateli brytyjskich tej narodowości. Myślę, że zrobi ono więcej złego niż dobrego, bo sprowokuje nazistów do jeszcze większej brutalności. Nie możemy jednak osądzać tej nieszczęsnej rasy; musimy im pomagać w tych czasach ich męczarni, w granicach prawa, ile się tylko da. Cała moja polityka do tego się ogranicza i dlatego chcę mieć jak najszybciej memorandum dotyczące twojego pomysłu konferencji. Brzmi on całkiem praktycznie i konstruktywnie. - Breckinridge Long wstał i wyciągnął do niego dłoń. - A teraz pomożesz mi, Leslie? Potrzebuję twojej pomocy.

Podnosząc się i ściskając mu dłoń, Slote rzucił się głową naprzód. - Spróbuję, Breck.

List objętości czterech stron, który Slote napisał tej nocy do Williama Tuttle, tak się kończył:

Może więc miał pan rację, mimo wszystko! Tak dobrze to wypadło, wprost nie do wiary, ta możliwość, że a nuż będę miał jakiś wpływ na sytuację, że wyplenię najgorsze z nadużyć i sprawię, że tysiące niewinnych ludzi unikną śmierci, a wszystko głównie dzięki temu, że mój ojciec przypadkiem był w 1905 roku na Princeton i w Ivy Clubie. Czasem takie rzeczy wychodzą w tym mieście Alicji w Krainie Czarów. Jeśli mnie tu nędznie biorą na fundusz, to wkrótce się o tym przekonam. Na razie Breckinridge Long kupił mnie bez zastrzeżeń. Dziękuję za wszystko. Będę na bieżąco pana informował.

`ty

53

`ty

Slote i Foxy Davis robili przegląd pierwszych wycinków prasowych na temat oświadczenia Narodów Zjednoczonych do wstępnego raportu dla sekretarza o tym, jak reaguje naród, gdy Slote nagle przypomniał sobie, że idzie na kolację do Henrych. - Zabiorę je ze sobą - powiedział, wpychając cały plik do teczki - i naszkicuję to w ciągu nocy.

- Nie zazdrość ci - rzekł Foxy. - Bicz z piasku.

- Jeszcze nie wszystko doszło.

Wychodząc na róg, żeby złapać taksówkę, Slote zobaczył na chodniku przy kiosku paczkę świeżego numeru Time, jeszcze związaną sznurkiem. On i Foxy nie mogli się go doczekać, bo reporter z Time prawie przez godzinę rozmawiał z Foxyem dopytując się o dowody masakry. Kupił ten numer i w świetle ulicznej latarni, nie dbając o mżawkę, od której strony robiły się wilgotne i lepkie, chciwie go wertował. W depeszach nic, w artykułach nic; od początku do końca nic. Jak to możliwe? New York Times przynajmniej dał

to na pierwszej stronie; zaledwie jedna szpalta, kryjąca się w cieniu wielkiego nagłówka o ucieczce Rommla i dwuszpaltowego materiału o zmniejszeniu przydziałów gazu. Większość innych dużych dzienników zamieściła to w środku, Washington Post na dziesiątej stronie, ale wszystkie jakoś wykorzystały. Jak mógł Time całkowicie zignorować takie wydarzenie? Jeszcze raz przewertował pismo.

Ani słowa.

W dziale Ludzie rzuciło mu się w oczy zdjęcie Pameli z ojcem, które już widział w Montreal Gazette.

Pamela Tudsbury, narzeczona wicemarszałka lotnictwa Lorda Duncana Burne-Wilke (patrz Time z 16 lutego), w przyszłym miesiącu przybywa z Londynu do Washingtonu, aby podjąć pracę swego zmarłego ojca jako korespondentka London Observer. Do chwili, gdy mina pod El Alamein przerwała karierę Alistaira Tudsbury (Time z 16 listopada), przyszła Lady Burne-Wilke, na delegacji ze Służby Kobiecej RAFu, jeździła po świecie z tęgim, gadatliwym Tudsburem, pomagając mu pisać wiele z jego frontowych korespondencji, omal nie wpadłszy w ręce Japończyków w Singapurze i na Jawie.

No, pomyślał, a nuż zainteresuje to komandora Henry. Ten przeblysłk złośliwości troszkę mu osłodził rozczarowanie. Slote niezbyt lubił komandora Henry. Dla niego większość wojskowych to byli dorośli harcerze; w najgorszym razie pijacy i oportuniści, w najlepszym sprawni konformiści, jeden w drugiego banalne, zacofane i ograniczone umysły. Komandor Henry irytował go, bo nie całkiem dawał się tak zaszufładkować. Zbyt przenikliwie i bystro myślący. Tej pamiętnej nocy na Kremlu Henry całkiem nieźle odcinał się groźnemu Stalinowi, dokonał też nie lada wyczynu, dostając się na front pod Moskwą. Ale w konwersacji był do niczego, poza tym przypominał Lesliemu o jego dotkliwych porażkach z Natalią i Pamelą. Slote przyjął zaproszenie na kolację tylko dlatego, że sumienność kazała mu przekazać rodzinie Byrona, czego się dowiedział.

Henry powitał go we drzwiach domu na Foxhall Road niemalże bez uśmiechu. W brązowym garniturze i czerwonej muszce jakby zmalał i znacznie się postarzał.

- Pan to widział? - Slote wyciągnął z kieszeni płaszcz pismo, otwarte na fotografii.

Henry spojrział na nią, kiedy Slote wieszał swój wilgotny płaszcz. - Nie. To nieszczęście ze starym Gadułą, co? Proszę wejść. Chyba zna pan Rhodę, a to nasza córka Madeline.

Bywalnia zaskakiwała wielkością. W ogóle dziwne, że oficer floty może sobie pozwolić na taką rezydencję. Dwie kobiety siedziały na kanapie pod przystrojoną choinką, popijając koktajle. Komandor Henry wręczył pismo swej żonie. - Zastanawiałaś się, co teraz Pamela będzie robić.

- Coś podobnego! Przyjeżdża tutaj! Zaręczona z Lordem Burne-Wilke! - Pani Henry spojrzała z ukosa na małżonka i podała pismo swej córce. - No, nieźle się urządziła.

- Boże, jaka ona stara, jaka zaniedbana - odezwała się Madeline. - Pamiętam, kiedyśmy się poznały, była w tej liliowej sukni z ramiączkami - zatrzepotała drobną, białą dłonią w kierunku własnej piersi - zupełna okropność. Czy nie było tam również Lorda Burne-Wilke? Taki bardzo przystojny blondyn z uroczym akcentem?

- Rzeczywiście był - powiedziała Rhoda. - To było na moim przyjęciu z koncertem na rzecz zbiórki dla Brytyjczyków.

- Burne-Wilke to człowiek wybitny - rzekł Pug.

Slote nie mógł się doszukać w jego słowach ani cienia emocji, a przecież był pewien, że w Moskwie Pamela Tudsbury i ten wzorowy dżentelmen ucięli sobie niezły romansik. Co więcej, to właśnie uraz z powodu tego, jak Henry'emu się powiodło z Pamelą, skłonił go do profesjonalnej niedyskrecji

i przekazania dokumentacji z Mińska jakiemuś dziennikarzowi z New York Timesa, co zapoczątkowało jego obsuwanie się na dzisiejsze dno w swojej karierze. To, jak Pamela zareagowała w Londynie na wiadomości o Henrym, świadczyło, że ich romans wcale nie umarł. Albo Victor Henry ma duszę Indianina z drewna, albo znakomicie udaje.

- Och, jego lordowska mość jest niezapomniany - wykrzyknęła Madeline. - W tym niebieskim mundurze RAFu, cały w gwiazdach i wstążeczkach odznaczeń, szczupły i wyprostowany, i jasnowłosy! Taki jakby surowszy Leslie Howard. Ale czy to nie dziwny mariaż? Przecież on jest, papo, co najmniej taki stary jak ty. A ona jest w moim wieku.

- Och, starsza - wtrąciła Rhoda.

- Widziałem ją przelotnie w Londynie - rzekł Slote. - Była dosyć przybita z powodu ojca.

- Co z Natalią? - spytał go bez ceremonii Pug.

- Nadal przebywają w Lourdes, ciągle bezpieczni. To grunt. Ale dużo by o tym mówić.

- Madeline, kochanie, bierzmy się do kolacji - Rhoda podniosła się, zabierając kieliszek. - Pogadamy przy stole.

Rozjaśnioną świecami jadalnię zdobiły dobrej jakości obrazy o tematyce morskiej na ścianach i kominek z płonącym ogniem. Matka i córka podały kolację. Rostbef był istnym luksusem w przeliczeniu na pieniądze i czerwone kartki, a sztucce i porcelana dużo bardziej wytworne, niżby się Slote spodziewał. Przy jedzeniu referował całą odyseję Natalii, na ile mógł ją odtworzyć z jej wczesnych listów, ze szwajcarskich raportów, syjonistycznych pogłosek obiegających Genewę i z relacji Byrona. Była to wersja dość prowizorycznie zlepiona i obfitująca w domysły. Slote nic nie wiedział o tym, jak Werner Beck naciskał Jastrowa do wystąpienia w radio. W jego wersji pewien niemiecki dyplomata, zaprzyjaźniony z Natalią i jej stryjem, umieścił ich bezpiecznie w Sienie. Ale oni w lipcu nielegalnie wymknęli się razem z jakimiś uciekającymi syjonistami, aby w kilka miesięcy później pojawić się w Marsylii, gdzie Byron spotkał się z nimi na kilka godzin. Mieli dojechać do niego do Lizbony, lecz inwazja w Afryce Północnej sprowadziła do Marsylii Niemców i nie pozwoliła im wyjechać. Teraz znajdują się w Lourdes, jak wszyscy amerykańscy dyplomaci i dziennikarze zgarnięci w południowej Francji. Przemilczał, że Natalia odmówiła wyjazdu z mężem; niech Byron sam powie o tym rodzinie, pomyślał Slote.

- Dlaczego w Lourdes? - spytał komandor Henry. - Dlaczego tam są internowani?

- Właściwie sam nie wiem. Z pewnością Vichy umieściło ich dokładnie tam, gdzie Niemcy sobie życzyli.

Madeline odezwała się: - No, czy w takim razie Niemcy nie mogą zabrać jej z Lourdes, kiedy tylko zechcą, wraz ze stryjem i dzieckiem, i wyprawić ich do jakiegoś obozu? I tam ich przerobić na mydło?

- Madeline, na litość Boską! - krzyknęła Rhoda.

- Mamo, opowiada się takie właśnie okropności. Ty je także słyszałaś. - Madeline zwróciła się do Lesiego. - No i co z tym jest? Mój szef mówi, że wszystko to brednie, stęchła propaganda brytyjska z poprzedniej wojny. A ja sama nie wiem, w co wierzyć. A czy ktokolwiek wie?

Slote pochmurnym wzrokiem przyglądał się, znad swego na wpeł opróżnionego talerza i kwitnącej na środku stołu szkarłatnej ponsecji, tej bystrej i ładnej dziewczynie. Dla Madeline Henry wszystko to najwyraźniej działało się w krainie Oz. - Czy pani szef czytuje New York Timesa? Przedwczoraj pisali o tym na pierwszej stronie. Rządy jedenastu krajów alianckich uznały oficjalnie, że prowadzona przez Niemców eksterminacja Żydów europejskich jest faktem.

- W Timesie? Nie myli się pan? - spytała Madeline. - Zawsze czytam go od deski do deski. Nic takiego nie było.

- Musiała to pani przeoczyć.

- Ja również czytam Timesa i nic takiego nie zauważyłem - wtrącił się Victor Henry. - W Washington Post również o tym nic nie pisano.

- Pisano w obydwu.

Nawet taki człowiek jak Victor Henry, pomyślał z rozpaczą Slotę, podświadomie usunął tę sprawę z myśli, przemknął się nie widzącymi oczyma po niemiłych nagłówkach.

- No, wobec tego są w kropce. Z tego, co pan mówi, wynika, że mają fałszywe papiery - Madeline obstawała przy swoim. - Czy naprawdę Niemcy się nie zorientują i nie wywiozą ich?

- Wciąż znajdują się oficjalnie pod opieką Francuzów, Madeline, a nie w takiej sytuacji jak reszta Żydów. Przecież nie są zatrzymani, tylko internowani.

- Nie widzę różnicy - ładna twarz Madeline zmarszczyła się.

- Ja też - powiedziała Rhoda.

- Przepraszam. W Bernie to rozróżnienie weszło nam w krew. Człowiek jest internowany, pani Henry, kiedy wojna zastanie go w kraju nieprzyjacielskim. Nie zrobił nic złego, rozumie pani. Po prostu tak się złożyło.

Internowanych się wymienia; dziennikarzy, pracowników służby dyplomatycznej i tak dalej. Spodziewamy się, że to samo będzie z naszymi Amerykanami w Lourdes. Dotyczy to również Natalii i jej stryja. Natomiast jeśli człowiek po wybuchu wojny został zatrzymany - czyli aresztowany - za cokolwiek, od przejechania na czerwonym świetle aż do podejrzenia o szpiegostwo, to już niedobrze. Nie ma się żadnych praw. Czerwony Krzyż nic nie może pomóc. I to jest problem z europejskimi Żydami. Czerwony Krzyż nie może do nich dotrzeć, ponieważ Niemcy twierdzą, że znajdują się oni w areszcie prewencyjnym. Zatrzymani, nie internowani.

- Jezu Chryste, więc ich życie zależy od paru nic nie znaczących słów! - oburzyła się Madeline. - To ohydne!

Przynajmniej to śmiercionośne rozróżnienie, pomyślał Slotę, przedarło się przez skorupę jej świadomości. - No, wprawdzie te słowa coś znaczą, ale w sumie zgadzam się z panią.

- Więc kiedyż ona wróci do domu? - odezwała się z pretensją Rhoda.

- Trudno powiedzieć. Negocjacje w sprawie wymiany toczą się, ale...

Rozległ się dzwonek do drzwi. Madeline się zerwała, przesyłając Slotę'owi uroczy uśmiech. - Wszystko to piekielnie interesujące, ale idę do Teatru Narodowego i właśnie przyszedł po mnie mój przyjaciel. Proszę mi wybaczyć.

- Naturalnie.

Drzwi frontowe otwarły się i zamknęły, wpuszczając do jadalni podmuch zimnego powietrza. Rhoda wzięła się do sprzątanania ze stołu, a Pug zabrał Slotę'a do biblioteki. Usiedli z kieliszkami w ręku naprzeciw siebie w fotelach. - Moja córka ma zielono w głowie - powiedział Pug.

- Ależ bynajmniej - sprzeciwił się Slotę, unosząc dłoń. - Jest nadzwyczaj bystra. Trudno mieć do niej pretensję, że przejmuje się losem Żydów nie bardziej od prezydenta.

Victor Henry się zmarszczył. - On nie ma chwili spokoju.

- Nie sypia po nocach?

- Nie może sobie pozwolić na niedosypianie.

Slotę przegarnął palcami włosy. - Ale dowody, jakimi już rozporządza Departament Stanu, są przerażające. Oczywiście nie wiem, co dociera do prezydenta, i nie mogę tego sprawdzić. Jak gdyby się próbowało po ciemku złapać w natłuszczone ręce węgorza umaczanego w oliwie.

- W przyszłym tygodniu mam się zgłosić do Białego Domu. Czy mogę coś zrobić dla Natalii?

Slotę wyprostował się w fotelu. - Naprawdę? Pan utrzymuje nadal stosunki z Harrym Hopkinsem?

- No, ciągle jeszcze jesteśmy na ty.

- Dobrze. Na razie nie chciałem państwa niepokoić. - Slotę pochylił się do przodu, tak kurczowo ściskając ogromny kieliszek do koniaku, aż Pug pomyślał, że go zgniecie. - Panie komandorze, oni nie pozostaną w Lourdes.

- Dlaczego?

- Francuzi są bezradni. My teraz pertraktujemy z Niemcami. Schwytali jeszcze trochę cywilnych Amerykanów i próbują z tego wycisnąć, ile się tylko da. Chcą za nich cały tłum swoich agentów z Ameryki Południowej i z Afryki Północnej. Mamy już wyraźne przecieki od Szwajcarów, że ci z Lourdes zostaną wkrótce wywiezieni do Niemiec, aby spotęgować nacisk w przetargu. Wówczas Natalia znajdzie się w bez porównania większym niebezpieczeństwie.

- Oczywiście. Ale co może na to poradzić Biały Dom?

- Wydostać Natalię i Aarona z Lourdes, zanim ich przewiozą. Nasi ludzie w Hiszpanii mogą to zrobić. Do granicy hiszpańskiej jest stamtąd około czterdziestu kilometrów. Nieoficjalnie i po cichu można się dogadać, czasami nawet bezpośrednio z Gestapo. Przemycono już przez granice takich ludzi jak Franz Werfel i Stefan Zweig. Nie twierdzą, że to się uda. Mówię tylko, że powinien pan się postarać.

- Ale jak?

- Mogłbym spróbować. Wiem, do kogo uderzyć w Departamencie Stanu. Wiem, dokąd należy zadepeszować. Telefon od pana Hopkinsa pozwoliłby mi działać. Czy znacie się na tyle dobrze?

Victor Henry popijał w milczeniu.

W głosie Lesliego dało się wyczuć napięcie. - Nie chciałbym histeryzować, ale radzę się o to postarać. Jeżeli wojna potrwa jeszcze dwa lata, wszyscy Żydzi w Europie zostaną wymordowani. Natalia nie jest dziennikarką. Jej dokumenty są nieprawdziwe. Jeżeli to wyjdzie na jaw, nic jej nie uratuje. Ani jej dziecka.

- Czy ten artykuł w New York Timesie stwierdza, że władze niemieckie postanowiły zabić wszystkich Żydów, jacy im wpadną w ręce?

- Och, tekst sformułowano po partacku, ale wynika to z niego dość jednoznacznie.

- Dlaczego taka wiadomość nie spowodowała więcej hałasu?

Szczerząc się niemal po wariacku w wesołym uśmiechu, Leslie Slotę rzekł: - Mogę pana o to zapytać.

Oparłszy podbródek na dłoni i trąc go zawzięcie, Victor Henry przyjrzał mu się badawczo. - A co na to papież? Jeżeli dzieje się coś takiego, musiałby o tym wiedzieć.

- Papież? Ten papież był przez całe życie reakcyjnym politykiem. Pewien uczciwy ksiądz niemiecki, z którym rozmawiałem w Bernie, powiedział mi, że każdej nocy modli się, żeby tego papieża szlag trafił. Jestem humanista, więc nie liczę na żadnego papieża. Ale ten unicestwia wszystko, co jeszcze zostało z chrześcijaństwa od czasów Galileusza... widzę, że pana to uraża. Przepraszam. Chcę panu jedynie uświadomić, że to jest moment, aby pan wykorzystał wszelkie możliwości, jakimi rozporządza pan w Białym Domu. Niech pan się postara wydobyć Natalię z Lourdes.

- Przemyślę to i zadzwonię do pana.

Slotę zerwał się nerwowo. - Dobrze. Przepraszam, że mnie poniosło. Czy pani Henry się obrazi, jeśli już pójdę? Mam tej nocy jeszcze dużo roboty.

- Przepraszę ją w pańskim imieniu. - Pug wstał. - Nawiasem mówiąc, Slotę, kiedy Pamela wychodzi za mąż? Nie mówiła panu?

Slotę powstrzymał się od uśmiešku, z jakim myśliwy spostrzega, że lis wyłazi z kryjówki. Jego nerwowe rozdygotanie sprawiło, że przyjął to nieomal z komiczną ulgą. - No cóż, pan wie, komandorze, la donna e mobile! Pam żaliła mi się pewnego razu, że Jego Lordowska Mość to poganiacz niewolników, snob i nudziarz. Może w ogóle nic z tego nie będzie.

Pug odprowadził go do drzwi wyjściowych. Słyszał, jak Rhoda krząta się w kuchni. W bywalni na stoliku do kawy leżał Time. Pug rozłożył pismo i

pochylił się nad nim.

Przy zatonięciu Northamptona stracił migawkowe zdjęcie Pameli, ale wizerunek trwał w jego pamięci, święty obrazek umarłego romansu. Poraziła go wiadomość o jej małżeństwie. Ciężko mu przyszło zachowanie pozorów obojętności. Na tym przypadkowym zdjęciu wcale nie wyglądała atrakcyjnie; w pochyleniu głowy nos wydawał się długi, a wargi zaciśnięte w sztucznym wyrazie. Padające z góry słońce kładło jej głęboki cień wokół oczu. Jednak i to małe, kiepskie zdjęcie kobiety, oddalonej o sześć tysięcy kilometrów, potrafiło rozpętać w nim burzę; a uroda jego pięknej żony z krwi i kości, znajdującej się w sąsiednim pokoju, wcale na niego nie działała. Cóż za notatka! Ciężkim krokiem wróciwszy do biblioteki, siedział tam czytając Time i popijając brandy, kiedy Madeline i Sime Anderson przyszli w szampańskim humorze z teatru.

- Czy to straszycło z Departamentu Stanu już poszło? Chwała Bogu - stwierdziła.

- Jak tam sztuka? Czy zaprowadzić na nią mamę?

- Tak, o Jezusie, niech staruszka się trochę uśmieje, papo. Ty także będziesz zachwycony: te cztery dziewczyny w ich mieszkanku w Washingtonie, jak w negliżu to wskakują do szaf, to wyskakują...

Anderson odezwał się, szczerząc zęby w zakłopotaniu: - Nic aż takiego, Sir.

- Och, nie udawaj, zaśmiewałeś się jak szalony, Sime, i mało ci oczy nie wylazły. - Madeline spostrzegła album o Warrenie i spoważniała. - Co to jest?

- Jeszcze nie widziałas? Mama to zrobiła.

- Nie - odrzekła Madeline. - Chodź tu, Sime.

Głowa przy głowie przeglądali album, z początku nie odzywając się; potem zaczęła wykrzykiwać nad jego stronicami. Przy złotym medalu przypomniała sobie, jak koledzy znieśli Warrena z boiska na ramionach, gdy wygrał zawody, wykonawszy niezwykle wysoki skok. - Och, mój Boże, a tu jego przyjęcie urodzinowe w San Francisco! Patrz, to ja, zezowata i w papierowym kapeluszu! Był tam jeden okropny chłopiec, który wlaził pod stół i zaglądał dziewczętom pod spódnicę. Warren wyciągnął go i mało nie zabił. Słowo daję, ile tych wspomnień!

- Twoja matka świetnie to zrobiła - rzekł Anderson.

- Och, Mama! Ona ma na drugie imię "Systematyka". Boże, Boże, jaki on był przystojny! A to zdjęcie z promocji, Sinie, nie uważasz? Inni w tym wieku to pętaki!

Jej ojciec przyglądał się i przysłuchiwał z wyrazem chłodnego spokoju. W miarę przewracania kartek jej komentarze zamarły. Dłoń Madeline straciła pewność, usta zadrżały; wtem zatrzasnęła album, oparła głowę na rękach i rozplakała się. Anderson objął ją niepewnie, spoglądając w zakłopotaniu na Puga. Po niedługim czasie Madeline otarła sobie oczy ze słowami: - Przepraszam, Sinie. Lepiej już idź. - Odprowadziła go i zaraz wróciła. Usiadła, założywszy zgrabne nogi, znowu całkowicie opanowana. Victor Henry ciągle wzdrygał się widząc, jak ona zapala papierosa, odruchowo jak bosman. - Przyznasz, Papo, że z opalenizną karaibską Sinie Andersonowi do twarzy. co? Powinieneś z nim porozmawiać. Opowiada niesłychane historie o polowaniu na U-Booty.

- Zawsze go lubiłem.

- A mnie zawsze kojarzył się z budyniem na mleku. Taki blady, blondynek i ble-ble. Teraz zmężniał i... dobrze, dobrze, czego się szczerzysz! Cieszę się, że będzie u nas na Wigilii. - Zaciągnęła się głęboko papierosem i popatrzyła na ojca jakby skruszona. Coś ci powiem. Zaczynam się wstydzić tej Godziny szczęścia. Rozjeżdżają się od obozu do obozu, robiąc pieniądze na rozmaitych naiwnościach tych chłopaków w mundurach. A ci cwaniaczkowie, co pichną do tego scenariusze, podśmiewają się w kułak z marynarzy i

zołnierzy, dużo więcej wartych niż oni sami. Mnie to po prostu wkurza.

- Dlaczego nie rzucisz tego, Madeline?

- I co będę robić?

- Na pewno znajdziesz robotę w Washingtonie. Zdolna z ciebie dziewczyna.

A tu miałabyś ładny dom, prawie pusty. Twoja matka jest ciągle samotna.

Zbił go z tropu wyraz jej twarzy: smutny, speszony, z odrobiną wyzywającej przekory. Tak wyglądała w wieku lat czternastu, kiedy przynosiła mu złe oceny. - Szczerze mówiąc, właśnie to mi dzisiaj w nocy chodziło po głowie. Tylko że jestem w tę pracę mocno wciągnięta.

- Znajdą sobie kogoś innego do tych wygłupów.

- Och, kiedy ja lubię swoją pracę. I pieniądze, które na niej zarabiam. Te liczby wciąż rosnące w mojej brązowej książeczce czekowej. - Więc czujesz się szczęśliwa?

- No, nie jest mi źle, Papo. Radzę sobie ze wszystkim.

Podczas tych odwiedzin Pug zobaczył ją po raz pierwszy od półtora roku. Żadne z nich nie wspomniało o liście, jaki dostał od niej w Pearl Harbor, z zapowiedzią, że może być wplątana w proces rozwodowy. Jednak widać po niej sygnały alarmowe; chyba że w ogóle nie zna swej córki.

- Może powinienem się wybrać na rozmowę z tym Clevelandem.

- O czym, na Boga?

- O tobie.

Roześmiała się sztucznie. - To zabawne, ale on chciałby porozmawiać z tobą. Wstydziałam się o tym wspomnieć. - Strzepnęła popiół ze spódniczki. - Powiedz mi, na czym polega cały ten pobór do wojska? Znasz się na tym? Wygląda mi to podejrzanie. Znam wielu młodych facetów, nieżonatych, zdrowych jak byki, którzy do dzisiaj nie dostali wezwania. A Hugh Cleveland już dostał.

- O? To świetnie - powiedział Pug. - Teraz już na pewno wygramy wojnę.

- Nie bądź złośliwy. Przewodniczący tej komisji poborowej to jeden z takich łobuzów, co uwielbiają się wyżywać na sławnych ludziach. Hugh zastanawia się, czy nie lepiej włożyć ten mundur. Rozumiesz, zgłosić się na ochotnika i dalej robić Godzinę szczęścia i w ogóle. Czy znasz kogoś w wydziale propagandowym armii?

Victor Henry z wolna, w milczeniu potrząsnął głową.

- Dobrze. - W głosie Madeline zabrzmiała jak gdyby ulga. - Zrobiłam, co do mnie należało. Spytałam cię. Obiecałam mu, że to zrobię. To jego problem. Ale Hugh rzeczywiście nie powinien mieć do czynienia z bronią: taki niezdara! Z bronią w ręku byłby groźniejszy dla swoich niż dla przeciwnika.

- A czyż on nie ma mnóstwa własnych znajomości w wojsku?

- Nie uwierzyłbyś, jak te znajomości się ulatniają, kiedy okazuje się, że dostał wezwanie.

- Miło mi to usłyszeć. Ty również powinnaś się od niego ulotnić. Z nim czekają cię tylko kłopoty.

- Nie mam żadnych kłopotów z panem Clevelandem. - Madeline wstała, podniosła głowę dokładnie tak samo jak niegdyś, kiedy miała pięć lat, i ucałowała ojca. - Chyba że on ze mną. Dobranoc, papo.

Kobieta rzeczywiście dorosła umiałaby lepiej kłamać, pomyślał Pug, kiedy wyszła. Na pewno wpakowała się w niezły bigos. Ale jest młoda, jeszcze może się uczyć na błędach, on zaś i tak nic na to nie poradzi. Nie myśleć o tym!

Sięgnął po Time, żeby znów popatrzeć na małe zdjęcie Pameli z jej niezłyjącym ojcem. "Przyszła Lady Burne-Wilke" przyjeżdża do Washingtonu. Jeszcze jedna rzecz, o której nie trzeba myśleć; i dodatkowy powód, żeby się wymigać od pracy przy łodziach desantowych i wrócić na Pacyfik. Rhoda zręcznie przygotowała grunt pod ocalenie ich małżeństwa tym albumem na stole, w kręgu żółtego światła od lampy, gdzie Madeline go zatrzasnęła. Połączyły ich przeszłość i śmierć. Może jej przynajmniej oszczędzić

dalszych cierpień. Może nie wyjść cało z tej wojny. Gdyby jednak wyszedł, będą oboje starzy. Pozostanie im pięć albo dziesięć lat do przeżycia obok siebie w chłodnym rozkładzie. Jest żałośnie skruszona, drugi raz się na pewno nie potknie, a na to, co się wydarzyło, nie może już nic poradzić. Niechaj czas naprawi, co się da. Wrzucił gazetę do skórzanego kosza na śmieci, powstrzymując odruch, aby wydrzeć jej zdjęcie, który wydał mu się szczenięcy; i poszedł do swojej garderoby.

Rhoda w swym buduarze też się zastanawiała. Zmęczona pracą w kuchni, była aż nadto gotowa zasnąć. Ale czy ma opowiedzieć Pugowi o swojej rozmowie z Pamelą? Odwieczny dylemat małżeński: wydobyć coś na jaw, czy przemilczeć? Rhoda z reguły uważała, że im mniej się mówi, tym lepiej, ale ten raz może stanąć wyjątek. Miała dość wyrzutów sumienia. Czyżby go dręczyły te podłe, anonimowe listy? No cóż, on też nie był święty. Może atmosfera się oczyści, jeżeli ona mu to uświadomi. Wiadomość o zaręczynach Pameli to niezły punkt zaczepienia. Może z tego wyniknąć nie lada awantura. Wyciągnięty zostanie Fred Kirby, zapewne także i listy. Rozważała jednak, czy nawet i to nie byłoby lepsze niż ta ciężka, duszna martwota jego uporczywego milczenia. Ich małżeństwo dogasa, jak w szkolnym doświadczeniu świeca pod kloszem, z powodu braku powietrza. Nawet i kochanie się w nocy nie czyni wielkiej różnicy. Miała okropne poczucie, że jej mąż zadaje sobie przymus, aby okazywać jej grzeczność w łóżku. Rhoda założyła czarną, jedwabną, koronkami wykończoną koszulę nocną, rozczesła sobie włosy dla lepszego wyglądu, zamiast upiąć je do poduszki, i wyszła, równie gotowa do pokoju jak i wojny. Pug siedział w łóżku ze swoim starym Szekspirem do snu w popękanej, brązowej oprawie.

- Hej, skarbie - powiedziała.

Położył książkę na szafce nocnej. - Wiesz, Rhoda, ten Slote ma pomysł, jak pomóc Natalii.

- Tak? - Weszła do łóżka i słuchała, plecami wsparta o wezgłowie, ze zmarszczoną brwią.

Pug szczerze chciał zasięgnąć jej rady, jakby próbował po omacku odtworzyć ich dawne stosunki. Wysłuchiwała go, kiwając głową i nie przerywając. - Dlaczego byś nie miał tego zrobić, Pug? Co mamy do stracenia?

- No, nie chciałbym zwać na Biały Dom nowego kłopotu. I tak mają ich dosyć.

- Nie uważam. Harry Hopkins może ci odmówić, z jakichś tam sobie znanych powodów. Na pewno docierają do niego całe góry tego rodzaju próśb. Ale w końcu to twoja rodzina i znajdują się w niebezpieczeństwie. Dla mnie istotne jest pytanie: przypuśćmy, że on zechce spróbować? Czy Slote zasługuje na tyle zaufania?

- Dlaczegoż by nie? To jego zawód.

- Ale on jest taki, nie wiem, taki pogrążony w obsesji. Pug, ja bym się bała to ruszać. Jesteś daleko. Nie wiesz, co się tam dzieje. Kiedy ich tak wyróżnisz - Biały Dom, masz pojęcie? - czy nie ściągniesz na nich uwagi? Czy gra nie idzie właśnie o to, żeby nie rzucili się w oczy: po prostu dwa nazwiska, jak byle kto w tej grupie Amerykanów, aż ich wreszcie wymienia? Zresztą Natalia to ładna kobieta z małym dzieckiem. Najgorszy diabeł okazałby jej trochę względów. Czy to nie jest kuszenie losu?

Ujął jej dłoń i ścisnął. - Słusznie myślisz.

- Och, nie jestem pewna. Żebyś tylko był bardzo ostrożny.

- Rhoda, Madeline zaczyna lubić Sime Andersena. Czy rozmawiała z tobą? Czy nie wpakowała się w coś w New Yorku?

Rhoda nie mogła tak łatwo podzielić się z mężem własnymi podejrzeniami, a cudzołóstwo było śliskim tematem. - Madeline ma głowę na karku, Pug. Ci radiowcy to z pewnością nieodpowiednie dla niej towarzystwo. Gdyby ją zainteresował Sime, to byłoby dla niej najlepsze.

- Powiedziała mi, że to przedstawienie jest bardzo pieprzne. Wezmę dla nas bilety w pierwszych rzędach.

- Wspaniale. - Rhoda zaśmiała się niepewnie. - Zawsze to wiedziałam, że z ciebie stary zbereźnik. - Mówiąc to uznała, że lepiej będzie sprawy z Pamelą nie poruszać.

Kiedy nazajutrz opróżniała kosz na śmieci, nie mogła się powstrzymać od przekartkowania numeru Time, aż znalazła zdjęcie Pameli Tudsbury. Oczywiście nietknięte. Zrobiło jej się głupio. Poza tym nie taka znów atrakcyjna; prędko się starzeje, i to brzydko. W dodatku zaręczona z lordem Burne-Wilke. Lepiej tego nie ruszać, pomyślała. Lepiej nie ruszać.

`ty

54

Żyd w podróży

Wyjątek z rękopisu Aarona Jastrowa

`ty

Boże Narodzenie 1942 Lourdes

Dzisiaj rano zbudziłem się myśląc o Oświęcimiu.

Amerykanom we wszystkich czterech hotelach pozwolono, w drodze wyjątku, iść razem na pasterkę w Bazylice. Towarzyszili nam jak zwykle nasi w miarę sympatyczni opiekunowie z Surete i gburowaci żołnierze niemieccy, od zeszłego tygodnia chodzący z nami na spacer, zakupy i wizyty u doktora, dentysty czy fryzjera. Żołnierze byli wyraźnie zirytowani, że w samą Wigilię wypadła im taka niemiła służba (w Pirenejach na tej wysokości jest bardzo zimno, a oczywiście ani Bazylika, ani foyer hotelowe nie są ogrzewane), kiedy mogliby witać narodziny swego Zbawiciela albo pijaństwem, albo zwierzęcymi uciechami na łonie garstki nieszczęsnych francuskich kurw, jakie tu obsługują zwycięzców. Cóż, Natalia nie chciała iść na pasterkę, a ja poszedłem.

Bardzo dawno już nie byłem na mszy. W tym mieście pielgrzymek msza jest czymś prawdziwym, z tłumem prawdziwych wyznawców; i ze względu na cudotwórczy przybytek nie brakuje na niej paralityków, kalek, niewidomych, pokręconych, umierających, istna parada okropności; parada okrutnych żartów Boga lub Jego niedołącznych partactw, jeśli poważnie sądzić, że bez Jego wiedzy ani wróbel nie spadnie. Mimo zimna w Bazylice powietrze było majowo ciepłe w porównaniu z zimnem, jakim przepajała mi serce tocząca się msza: śpiewy, dzwonki, podniesienia, klęknięcia i tym podobne. Grzeczność wymagałaby, ażeby klękać w odpowiednich momentach, jako że przyszedłem tu z własnej woli; jednak mimo niechętnych spojrzeń ja, krnąbrny Żyd, nie ukląknę. Nie poszedłem też później na wigilijne przyjęcie, wydane dla naszej grupy w Hotel des Ambassadeurs, gdzie, jak mnie zapewniono, wino będzie obficie płynąć i nie zabraknie czarnorynkowego indyka oraz kiełbasy. Wróciłem do Gallii, odprowadzony do drzwi mego pokoju przez burkliwego Niemca, któremu śmierdziało z ust. Poszedłem spać i zbudziłem się myśląc o Oświęcimiu.

Właśnie w oświęcimskiej jeszywie po raz pierwszy wyrzekłem się mojej religii. Pamiętam to jak wczoraj. Dotąd czuję, jak piecze mnie policzek od uderzenia, które mi zadał maszgiach, nadzorca sali szkolnej, kiedy brnę w śniegu przez plac w naszym mieście, we fioletowy wieczór, wyrzucony z bejt midraszu za bezczelne bluźnierstwo. Od lat nie zdarzyło mi się o tym pomyśleć, ale jeszcze i teraz pojawia się to w moim umyśle jako niesłychana obraza. Może w jakimś większym mieście, jak Kraków albo Warszawa, maszgiach w jeszywie miałyby dość rozsądku, aby zbyć moje zuchwalstwo uśmiechem i dać spokój. Całe moje dalsze życie mogłoby się wówczas inaczej potoczyć. A to uderzenie stało się gałązką, która zmieniła bieg nurtu.

Jakież to niesprawiedliwe! Bądź co bądź był ze mnie grzeczny chłopiec;

"jedwabny chłopiec", jak mówi się w jidysz. Przodowałem w wykładni zawiłych rozróżnień prawnych, będących istotą i chlubą Talmudu, subtelnych dystynkcji etycznych, które głupcy nazywają "rozszczepianiem włosa na czworo". W tych argumentacjach kryje się surowa, niemal geometryczna elegancja, w której człowiek nie tylko rozsmakowuje się, ale zaczyna jej łaknąć. Ja łaknąłem jej i błyszczałem jako student Talmudu. Myślałem bystrzej i szybciej niż sam maszgiach. Możliwe, że ten ograniczony, zakuty łeb, ten brodaty dureń w czarnej jarmułce, ucieszył się z okazji, żeby mi utrzczyć nosa; więc uderzył mnie w twarz, wyrzucił za drzwi i skierował moje stopy na drogę do Krzyża.

Pamiętam ten ustęp: strona 111, traktat Ofiary pesachowe. Pamiętam temat: o diabłach, jak ich unikać, pokonywać je i odpędzać zaklęciem. Pamiętam, dlaczego dostałem w twarz. Zapytałem: - Ależ Reb Lejzor, czy naprawdę istnieje coś takiego jak diabły? - Pamiętam, jak ten brodaty głupiec wrzeszczy na mnie, kiedy oszołomiony leżę na podłodze z płonącym policzkiem: - Wstawaj! Wynos się! Szajgec! - (Niedowiarku, ohydo!) I wychodzę, potykając się, na ponury i zaśniewony Oświęcim.

Miałem piętnaście lat. Dla mnie Oświęcim był jeszcze wielkim miastem. Tylko raz byłem we wspaniałej metropolii, w Krakowie. Nasza wieś Miedzice, leżąca o jakieś dziesięć kilometrów w górę Wisły, składała się wyłącznie z drewnianych chat i krętych, błotnistych drózek. Nawet kościół w Miedzicach - który my, jako dzieci, obchodziliśmy z daleka, jakby to było siedlisko trądu - zbudowano z drewna. Oświęcim miał proste, brukowane ulice, dużą stację kolejową, domy z cegieł i kamienia, sklepy z oświetlonymi wystawami i kilka murowanych kościołów.

Nie znałem dobrze miasta. Wiedliśmy surowo uregulowany żywot w jeszywie, rzadko wyglądając z zaułka, w którym otaczały ją nasz mały internat i domy nauczycieli. Ale tego dnia mój buntowniczy gniew wyprowadził mnie z zaułka na miasto. Obszedłem cały Oświęcim, kipiąc złością, że tak mnie potraktowano i wrzeszcząc dając upust wątpliwościom, dotychczas tłumionym, które mnie prześladowały od lat.

Bo wcale nie byłem głupi. Umiałem po niemiecku i po polsku, czytywałem gazety i powieści, i właśnie jako bystry talmudysta potrafiłem wyjrzeć z bejt midraszu na świat zewnętrzny: świat mieniący się od dziwnych zagrożeń i złych pokus, mimo to świat rozleglejszy od tego, który widziało się drepcąc wiecznie po wąskich, prostych i czarnych kolumnach Talmudu, obstawionych mądrymi lecz nużącymi komentarzami znawców, którzy pochłaniali wszystek młodzieńczy umysł i energię, zużywając je na wyczerpującą mikroanalizę głównego tekstu, liczącego sobie czternaście stuleci. Od jedenastego roku mego życia do chwili, kiedy dostałem w twarz, coraz dotkliwiej szamotałem się między naturalną ambicją chłopca z jeszywy, aby zdobyć światową sławę jako iluj - cudowne dziecko - a budzącym się w duszy złym szeptem, że tracę czas.

Rozmyślając o tym i brnąc po kostki w śniegu, skoro maszgiach w złości pozwilił mi swobodnie włóczyć się jak bezdomnemu psu, przystanąłem przed największym w Oświęcimiu kościołem. Dziwne, że nie pamiętam, jak się nazywał! Ten w pobliżu jeszywy zwał się Kalwaria; to pamiętam. A to był inny, dużo bardziej imponujący budynek na głównym placu.

Mój gniew nie ostygł. Natomiast, kiedy bunt wzbierający od czterech lat rozerwał pęta trwającej przez całe życie musztry i nadwrażliwej świadomości religijnej, uczyniłem coś, co jeszcze kilka godzin temu byłoby dla mnie tak nie pomyślenia jak podcięcie sobie żył w nadgarstkach. Wśliznąłem się do kościoła. Opatulony od mrozu, chyba nie różniłem się zbytnio od jakiegoś dziecka chrześcijańskiego. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Nigdy w życiu nie zapomnę szoku, z jakim ujrzałem wielkie, nagie, zakrwawione ciało Jezusa, zwisające z krzyża na głównej ścianie, gdzie w synagodze stoi Arka Święta; ani dziwnego, słodkawego zapachu gojskich

kadzideł; ani wielkich postaci świętych wymalowanych na bocznych ścianach. Osłupiałem na myśl, że dla świata "zewnętrznego" (za jaki go wtedy uważałem) to jest religia, to jest droga do Boga! Pół przerażony, pół zafascynowany, długo tak stałem. Nigdy więcej nie poczułem się tak obcy i samotny, tak zawrotnie na skraju druzgocącej, nieodwracalnej przemiany w mej duszy.

To znaczy: nigdy aż do ubiegłej nocy.

Czy był to efekt wielu tygodni, jakie spędziłem w odrażającym komercjalizmie Lourdes, który wciąż jeszcze przesycił to miasto, nawet nie w sezonie, nawet i w czasie wojny; czy rozpaczliwego tłumu kalek cisnących się do bazyliki; czy tego, że jak niegdyś mój bunt wyrwał się na powierzchnię, tak wszystko, co przydarzyło się mnie i Natalii, przedarło się w moim duchu przez tłumiące odruchy; dość, że podczas tej pasterki, jakkolwiek znajomy jest mi teraz Chrystus na krzyżu, jakkolwiek dużo napisałem o chrześcijaństwie i jakkolwiek rozkochałem się w sztuce religijnej Europy, ubiegłej nocy poczułem się tak obco i samotnie, jak wtedy piętnastoletni w kościele w Oświęcimiu.

Dzisiaj rano zbudziłem się myśląc o tym. Piszę to, popijając poranną kawę. Całkiem niezłą. We Francji, w otchłani wojny, pod butem najeźdźcy, wciąż za pieniądze można wszystko dostać. Ceny czarnorynkowe w Lourdes nie są nawet zbyt wysokie. Bo to nie sezon.

Zaniedbałem ten dziennik, odkąd przybyliśmy do Lourdes; w nadziei - szczerze powiedziawszy - że wrócę do niego już na parowcu płynącym do kraju.

Ta nadzieja przygasa. Nasza sytuacja jest prawdopodobnie gorsza, niż moja bratanica i ja przyznajemy sami przed sobą. Mam nadzieję, że jej wesoły nastrój jest prawdziwszy niż mój. Ona mniej wie. Konsul generalny roztropnie unika denerwowania jej szczegółami naszej sprawy, ale ze mną mówi bez ogródek.

Co się pogmatwało, to sprawy, nad którymi nikt nie mógł zapanować. Oczywiście był to koszmarny i nieszczęsny przypadek, że opóźnił się o kilka dni nasz legalny wyjazd z Francji Vichy. Wszystko było w porządku, bezcenne papiery już mieliśmy w ręku, tylko że na pierwszą wiadomość o amerykańskich desantach zawieszono kursowanie pociągów i zamknięto granice. Jim Gaither działał trzeźwo i sprawnie, starając się nas uchronić, i zaopatrzył nas w oficjalne dokumenty dziennikarskie z wcześniejszą datą 1939 roku, z akredytacją tygodnika Life, który istotnie wydrukował kilka moich artykułów o Europie w czasie wojny.

Ale posunął się jeszcze dalej. W archiwum konsulatu, które teraz palono, znalazło się kilka listów, w których Life prosił o różne przysługi dla autorów i fotografów. W Marsylii działa znakomity zespół podrabiający dokumenty dla uchodźców, prowadzony przez niezwykle postać, księdza katolickiego. Konsul generalny, mimo że tyle miał na głowie w tym nagłym kryzysie, uzyskał przez swoje kontakty z podziemiem fałszywe listy na papierze firmowym Life'u z potwierdzeniem, że Natalia i ja jesteśmy jego etatowymi korespondentami; papiery te mają tak autentyczny wygląd, że są nawet wytarte, pozałamywane i wyblakłe, jak gdyby pochodziły sprzed kilku lat.

James Gaither nie spodziewał się, że te podrobione papiery będą musiały nas osłaniać przez czas dłuższy, sądził jednak, że wystarczą do naszego wyjazdu. Ale z upływem czasu ryzyko wzrasta. Z początku liczył, że zostaniemy zwolnieni w przeciągu dni lub tygodni. W końcu nie jesteśmy w stanie wojny z Francją Vichy. Nastąpiło tylko zerwanie stosunków, więc Amerykanie nie są "wrogami" i w ogóle nie powinni być "internowani". Jednakże nasza grupa tu w Lourdes, licząca około stu sześćdziesięciu osób, niewątpliwie jest internowana. Od początku byliśmy pod ścisłym nadzorem francuskiej policji i nie było nam wolno poruszać się inaczej niż pod

opieką umundurowanego inspektora. Aż kilka dni temu wokół wszystkich czterech hoteli, w których odosobnieni jesteśmy my, Amerykanie, stanęli na warcie gestapowcy. Odtąd znajdujemy się tak pod oficjalną strażą francuską, jak i pod niemiecką. Francuzi są jakby nieco upokorzeni i zakłopotani tym wszystkim i starają się w jakichś drobiazgach ułatwiać nam życie. Ale Niemcy są zawsze obecni, chodzą z nami, obojętnie gdzie się ruszymy, gapią się na nas w holach i surowo przywołują nas do porządku, jeżeli komuś z nas się zdarzy naruszyć jakiś ich szwabski przepis.

Dopiero po trochu dowiedziałem się, skąd ta przeciągająca się zwłoka. Przez jakiś czas Gaither sam nie wiedział. Amerykański charge d'affaires, przywieziony tu z Vichy wraz z całym personelem naszej ambasady, mieszka w innym hotelu, a kontakty telefoniczne są zabronione. Temu charge, zdolnemu dyplomacie nazwiskiem Tuck - wielkiemu miłośnikowi moich książek, chociaż nie ma to nic do rzeczy - bodajże pozwolono raz dziennie odbywać krótką rozmowę telefoniczną ze szwajcarskim przedstawicielem w Vichy. Jesteśmy więc właściwie odcięci, zwłaszcza my tutaj w Gallii, i żyjemy na ogół w nieświadomości.

Haczyk okazuje się dosyć prosty. Personel dyplomatyczny Vichy w Stanach Zjednoczonych, za który nas miano wymienić, niemal co do jednego odmówił powrotu do Francji; i trudno się dziwić, skoro teraz cała znalazła się pod okupacją Boszów. Spowodowało to wiele zamętu, a Niemcy posłużyli się nim, aby coś zyskać. Jak dotąd wciąż jeszcze rozmawiają za pośrednictwem swych marionetek z Vichy, ale oczywiste jest, że to oni się o nas targują.

Mogliśmy się wydostać w ciągu pierwszego tygodnia czy dwóch, gdyby Francuzi nas po prostu odesłali te czterdzieści kilometrów do granicy hiszpańskiej. Byłoby to przyzwoitym gestem wdzięczności za żywność i leki, jakimi Ameryka od lat obficie wspomagała ich rząd. Ale ci z Vichy to wyjątkowo plugawa forma żyjącej materii - czołgająca się i podlizująca, załgana, faryzeuszowska, obłudna, antysemitka, reakcyjna, żałośnie militarystyczna, w ogóle podła i niegodna kultury francuskiej - najbardziej oślizgłe męty spośród starych wrogów Dreyfusa. Krótka mówiąc, nie wydostaliśmy się. I tkwimy tu, jako te sztony, w niemieckich targach o bandę hitlerowskich szpiclów, złapanych za granicą; a z góry wiadomo, że oni będą się targować zajadle i nie popuszczą.

`cp2

Jeszcze z innego powodu zbudziłem się myśląc o Oświęcimiu.

W czasie naszego długiego pobytu w mieszkaniu Mendelсона w Marsylii wciąż przepływał przez nie strumień uchodźców, na ogół zatrzymujących się nie dłużej niż na jeden czy dwa noclegi. W rezultacie usłyszeliśmy mnóstwo koszmarnych pogłosek, jakie krążą wśród Żydów europejskich na temat okrucieństw, popełnianych na wschodzie: jak masowe rozstrzeliwania, trucie gazem w zamkniętych ciężarówkach, obozy, gdzie wszyscy przybywający albo zostają natychmiast wymordowani, albo zagłodzeni i zaharowani na śmierć. Nigdy nie wiedziałem, na ile wiarygodne są te relacje i wciąż nie wiem, ale jedno jest pewne: że miejscowość, której nazwa się ciągle powtarza i którą zawsze wypowiada się przytłumionym głosem, z największą grozą i trwogą, to Oświęcim; zwykle w brzydkiej i tak pamiętnej dla mnie formie niemieckiej: Auschwitz.

Jeżeli te pogłoski są czymś więcej niż objawem zbiorowej, paranoicznej trwogi, wyrosłej z cierpienia, w takim razie Oświęcim jest ogniskiem całej tej okropności; mój Oświęcim, miejsce, gdzie uczyłem się za lat chłopięcych, gdzie ojciec mi kupił rower, gdzie czasami zjeżdżała się na szabat cała rodzina, żeby posłuchać jakiegoś bawiącego przejazdem wielkiego kantora lub magida, kaznodziei żydowskiego; i gdzie pierwszy raz ujrzałem wewnątrz kościoła i naturalnej wielkości Chrystusa na krzyżu.

Skoro tak, to w najgorszym wypadku grozi nam wywiezienie do tajemniczego

i straszliwego obozu w Oświęcimiu. Ładnie by mi się zamknęło kółko mego żywota! Ale nasza przypadkowa egzystencja na tej drobnej planecie nie układa się w tak artystyczne wzory - ta myśl mnie naprawdę pociesza - i od Oświęcimia dzieli nas cały kontynent, a tylko czterdzieści kilometrów od Hiszpanii i bezpieczeństwa. Wciąż jeszcze wierzę, że skończy się to powrotem do domu. Ważne jest, aby w czasach niebezpieczeństwa nie tracić nadziei; czuwać i być w pogotowiu do stawienia czoła biurokratom i bestiom, jeśli trzeba. Wymaga to siły ducha.

Natalia z dzieckiem, mając szansę ucieczki, wpadła w pułapkę, ponieważ jej w krytycznym momencie zabrakło siły ducha. Napisałem tu bynajmniej nie powściągliwy ustęp o piorunującej wizycie Byrona i jej żalonym wyniku. Moją złość do Natalii podsyciło poczucie winy, że to przeze mnie ona i jej dziecko ugrzęźli w tych coraz groźniejszych kłopotach. Natalia nigdy nie da mi tego powiedzieć; zawsze ucina mówiąc, że jest dorosła, że działała z własnej i nieprzymuszonej woli, że nie ma do mnie pretensji.

Teraz już od tygodnia pilnują nas i komenderują nami Niemcy; a chociaż nadal myślę, że powinna była zaryzykować i pojechać z Byronem, trochę lepiej rozumiem jej opór. Byłoby to coś okropnego, nie mając ważnych papierów dostać się w łapy tych bezlitosnych dzikusów. Wszyscy policjanci w stosunku do tych, których pilnują, muszą się wydawać mniej czy bardziej oschli, wrogo nastawieni, okrutni; gdyż nie mogliby wykonywać rozkazów, gdyby nie tłumili w sobie ludzkich odruchów. Nie było nic przyjemnego we włoskiej czy francuskiej policji, z którą miewałem do czynienia w przeciągu dwóch ostatnich lat, ani też - skoro już o tym mowa - w niektórych z amerykańskich konsulów.

Ale ci Niemcy to coś innego. Rozkaz dla nich jest jakby nie po to aby kierować ich działaniem; rozkaz jak gdyby przepełniał ich całą duszę, nie pozostawiając miejsca na żaden przeblysłk człowieczeństwa w ich twarzy lub oczach. Są to poganiacze trzody, a my bydło, albo wojownicze mrówki, a my to mszyce. Rozkaz przecina wszelkie więzy pomiędzy nimi a nami. Wszystkie. To aż niesamowite. Doprawdy, ich zimne i puste spojrzenie sprawia, że ciarki mnie przechodzą. Rozumiem, że paru z tych wyżej postawionych to "porządni faceci" (jak mówi Gaither), ale ja nie miałem z nimi do czynienia. Ja też znałem niegdyś "porządnych facetów", którzy byli Niemcami. Tu widzi się jedynie to drugie oblicze Teutonów.

Natalia mogłaby z Byronem zaryzykować; nie znam młodego człowieka, który przewyższałby go zdecydowaniem i zaradnością, miał też specjalne papiery dyplomatyczne. Byłaby to kwestia szybkiego skoku przez ogień. Gdyby Natalia pozostała dawną sobą, zrobiłaby to, ale cofnęła się z powodu dziecka. James Gaither nadal utrzymuje (choć z upływem dni coraz mniej stanowczo), że słusznie jej doradził i że wszystko jeszcze się obróci na dobre. Myślę, że nie jest już taki pewien. Zeszłej nocy jeszcze raz przegadaliśmy z Gaitherem całą tę sprawę, brnąć w śniegu na pasterkę. On twierdzi, że Niemcy, chcąc odzyskać w tej wymianie jak największą liczbę swoich agentów, nie przystąpią w żadnym momencie do zbyt drobiazgowego sprawdzania czyichkolwiek papierów. Natalia, Louis i ja to trzy ciepłe ciała, nadające się do wymiany może na piętnastu Szwabów. To im wystarczy i więcej niczemu się nie będą przyglądać.

Według niego istotne jest, abym nadal nie zwracał na siebie uwagi. Jak dotąd mamy do czynienia z Francuzami i Niemcami na bardzo niskim poziomie, z których żaden chyba od lat nie czytał żadnej książki, tym bardziej moich książek. Powiada, że moje listy uwierzytelniające jako dziennikarza sprawdzają się i żaden z policjantów jeszcze nie dopatrzył się we mnie ani "znakomitości" czy jakiejś wybitnej osoby, ani Żyda. Dlatego też utracił pomysł, abym wygłosił odczyt dla naszej gromadki w hotelu. Korespondent United Press organizuje tu w Gallii cykl odczytów, aby internowani mieli się czym zająć. Oczywiście sugerował mi temat Jezusa. Było to kilka dni

temu i może bym się zgodził, gdyby Jim Gaither się temu nie sprzeciwił.

Ale od przeżycia, jakiego doznałem na pasterce, nigdy już - choćby po powrocie do Stanów, choćby mi proponowano wysokie honorarium - nie będę mówił o Jezusie. Coś dzieje się we mnie, czego jeszcze nie zgłębiłem. W ubiegłych tygodniach coraz trudniej i trudniej przychodzi mi nawet praca nad Marcinem Lutrem. Zeszłej nocy to coś zaczęło się wynurzać. Jeszcze muszę się na tym skupić i rozpoznać, co to takiego. Któregoś dnia prześlę w tym dzienniku drogę, jaką przebyłem od pierwszego ujrzenia Jezusa ukrzyżowanego w Oświęcimiu do mego przelotnego nawrócenia się na chrześcijaństwo w Bostonie, w osiem lat później. W tej chwili Natalia wyszła ze swego pokoju z Louistem, opatuleni na poranną przechadzkę. W otwartych drzwiach czai się ponury cień naszego Niemca.

`ty

55

`ty

W przeddzień Nowego Roku Pug zaskoczył Rhodę pomysłem, żeby się wybrać do Klubu Armii i Floty. Wiedziała, jak on nie cierpi tej błazenady z papierowymi kapeluszami, pukawkami i pijackim całowaniem się; ale tej nocy, powiedział, chce się rozerwać. Rhoda uwielbiała te sylwestrowe wygłupy, więc radośnie się wystroiła; i miała poczucie, że w kłębiącym się w foyer wesołym tłumie wojskowych wyższej rangi oraz ich żon niewiele kobiet wygląda tak atrakcyjnie i błyskotliwie jak ona w tej sukni ze srebrnej lamy, jeszcze ze zbiórki dla Brytyjczyków. Przeżyła niezręczny moment, kiedy widząc, że ona i Pug weszli do jadalni, wstał pułkownik Harrison Peters i pomachał do nich żeby się przyłączyli. Jej postępowanie z Petersem było nieskazitelne jak śnieg, ale czy nie wspomni on o Palmerze Kirbym, albo czy nie okaże zbytnej serdeczności?

Idący obok niej Pug, czując jej wahanie, spojrzał na nią pytająco. Postanowiła, że nie będzie się przejmować. Trzeba wreszcie złapać diabła za rogi! - Och, słowo daję! To pułkownik Peters. Przyłączmy się do nich, czemu nie? - rzekła wesoło. - To bardzo miły człowiek, poznałam go w kościele. Ale skąd on wytrzasnął, u licha, taką chórzystkę? Czy to nie za duże ryzyko, pozwolić, żebyś ty z nią usiadł przy jednym stole?

Peters górował nad Pugiem Henry o półtorej głowy, kiedy sobie podali dłonie. Towarzyszająca mu młoda i o wydatnej piersi blondynka w białej, z grecka udrapowanej sukni, ukazującej dużo różowej skóry, była sekretarką w Brytyjskiej Radzie Zakupów. Rhoda wspomniała, że zna Pamelę Tudsbury. - Och, naprawdę? Następną Lady Burke-Wilke? - zakłaskała dziewczyna i akcent, jakim mówiła, aż zabolął gdzieś w środku Victora Henry. - Kochana Pam! Mało nie padliśmy wszyscy w Radzie na tę wiadomość. Pamela zawsze u nas była tym duchem buntu. Ciągle skakała do oczu staremu poganiaczowi niewolników! A teraz Jego Lordowska Mość będzie płacił za jej nadgodziny, nieprawdaż?

Pozostająca do północy godzina upływała na byle jakiej wojennej gadaninie przy byle jakich klubowych potrawach i bardzo mdłym szampanie. Jakiś pułkownik z Korpusu Powietrznego Armii, o fioletowych, zwisających jak u buldoga policzkach, przypadkiem usadowiony przy tym samym stole ze swoją mocno uróżowaną, zwiwną małżonką, pomstował na zaniedbanie frontu "CBI", skąd właśnie powrócił, przez co rozumiał Chiny, Birmę i Indie. Żyje tam połowa ludzkości, wywodził pułkownik; nawet Lenin kiedyś powiedział, że to najcenniejsza zdobycz wojenna w świecie. Jeżeli dostanie się w łapy Japsów, to biali będą musieli poszukać sobie innej planety, bo na Ziemi wkrótce zrobi się im za gorąco. Zdaje się, że nikt w Washingtonie tego nie chce zrozumieć.

Jakiś generał brygady z armii, mający znacznie więcej wstażeczek niż Peters albo pułkownik z CBI, rozwodził się nad zabójstwem admirała Darlana; którego, jak stwierdził, bardzo dobrze poznał w Algierze. - Bardzo szkoda

tego Wytrzeszcza. My w sztabie Ike'a wszyscy tak nazywaliśmy Darlana: Wytrzeszcz. Facet wyglądał jak obrażone żabsko. Oczywiście był to jawny zwolennik hitlerowców, ale realista, i jakżeśmy go raz przygwoździli, to już robił, co trzeba, uratował od śmierci mnóstwo Amerykanów. A ten de Gaulle myśli, że jest świętą Joanną d'Arc. Nic na nim nie zyskamy oprócz retoryki i kłopotów. Ale spróbujcie to wytłumaczyć tym różowiutkim strategom zza biurka.

Rhoda mogła się nie martwić o pułkownika Petersa. Prawie nie patrzył w jej stronę, lustrując natomiast jej krępego męża o nieprzystępnej, znużonej twarzy. Pug w ogóle się nie odzywał. Wreszcie Peters go spytał, jak według niego idzie wojna.

- Gdzie? - zapytał Pug.

- Wszędzie. Jak to widzą we flocie?

- To zależy, pułkowniku, na jakim miejscu jest się we flocie.

- W takim razie na pańskim.

Zdziwiony, po co ten wysoki, przystojny oficer armii go mimochodem przepytuje, Pug odparł: - Widzę cholerne piekło już za nami i cholerne piekło jeszcze przed nami.

- Zgoda - rzekł Peters, kiedy światła w hałaśliwej jadalni mrugnęły i pociemniały - i jest to lepsze podsumowanie na koniec roku, niż czytałem w jakiegokolwiek gazecie. No, panie i panowie, zostało pięć minut do północy. Pani Henry, czy można? - Siedziała przy nim, a on w zaskakująco miły i łagodny sposób, któremu według niej Pug nic nie mógłby zarzucić, włożył jej na głowę papierowy czepek pasterki, po czym wsadził sobie na bakier złoty hełm z kartonu na piękne, siwe włosy. Nie wszyscy przy stole ubierali się w papierowe nakrycia głowy, ale ku zdumieniu Rhody jej mąż to zrobił. Nie spotkała się z tym od czasu dawnych urodzinowych przyjęć ich dzieci, kiedy były jeszcze małe. Na głowie Victora Henry różowy kapelusz ze złotą frędzlą bynajmniej nie wyglądał zabawnie ani śmiesznie, tylko podkreślił straszliwy smutek w jego twarzy.

- Och, Pug! Nie.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Rhoda.

Z kieliszkami szampana w dłoni goście wstali, aby się ze wszystkimi wokół obcałowywać i śpiewać przy świecach Auld Long Syne. Pug z roztargnieniem pocałował żonę i przekazał ją pułkownikowi Petersowi do grzecznego cmoknięcia. W pamięci przesuwiał mu się 1942 rok. Myślał o Warrenie, jak stoi oparty we drzwiach kabiny na Northamptonie, z jedną ręką na górnej framudze, mówiąc: "Hej, tato. Jeżeli nie masz dla mnie czasu, to powiedz!" i o marynarzach i oficerach, pochowanych na dnie w kadłubie Northamptona, w czarnych wodach koło Guadalcanalu. I pomyślał, z głębi swej gorzkiej żalości, że jednak poprosi Hopkinsa, aby spróbował wydostać Natalię i jej dziecko z Lourdes. Ona przynajmniej żyje.

`cp2

Sypialnia Harry'ego Hopkinsa w Białym Domu znajdowała się na końcu długiego, posępnego, mrocznego holu, o kilkoro drzwi od Owalnego Gabinetu. On sam w szarym garniturze, wiszącym na nim jak łachmany na strachu na wróble, stał i wyglądał na oświetlony słońcem pomnik Washingtona. - Jak się masz, Pug. Szczęśliwego Nowego Roku.

Odwrócił się, nadal zaciskając kościste dłonie za plecami. Ten zgarbiony, zaniedbany, wychudły cywil o pożółkłej twarzy jakże odbijał od krzepkiego kontradmirała Cartona o czerwonych policzkach, prostego jak drag, który przy nim stał w uszytym na miarę granatowo-złotym mundurze i w złocącej się pianie naramienników. W relacjach dziennikarskich Hopkins wypadał czasem jak figura z powieści Dumasa, jakiś Mazarin, snujący się jak cień po niedostępnych pokojach prezydenta; ale widziany twarzą w twarz wyglądał raczej na zrypanego playboya, sądząc po błysku w oczach i zmęczonym

uśmiechu, jakby wciąż liczył na jakieś uciechy. Pug ogarnął jednym rzutem oka portret Lincolna i tabliczkę stwierdzającą, że tu podpisana została Deklaracja Niepodległości; jak również takie swojskie akcenty jak wymięty, czerwony szlafrok rzucony na nie posłane łoże o czterech kolumnach, leżący przy nim koronkowy negliż, różowe miękkie pantofle na podłodze i butelki z lekarstwami ustawione na szafce nocnej.

- Dziękuję, że mnie pan przyjął, Sir.

- To dla mnie przyjemność. Siadaj. - Carton wyszedł, a Hopkins usiadł twarzą do Puga na bordowym szezlongu, mocno wytartym na poręczach. - No! Więc Dowództwo Pacyfiku też się o ciebie dopomina. Masz wzięcie, co? - Zaskoczony tym Pug nie odpowiedział. - Chyba to byś wybrał?

- Oczywiście wolałbym operacje bojowe.

- A Związek Radziecki?

- Nie jestem zainteresowany, Sir.

Hopkins skrzyżował swe kościste pizczele i potarł się dłonią po długiej, wysuniętej szczęce. - Czy pamiętasz generała nazwiskiem Jewlenko?

- Owszem. Postawny, tęgi jegomość. Poznałem go w czasie wyjazdu na front pod Moskwą.

- Właśnie. On teraz jest w Rosji najważniejszy w sprawach Lend-Lease. Admirał Standley uważa, że mógłbyś w tej dziedzinie dużo pomóc. Jewlenko wspomniał o tobie Standleyowi. Jak również o córce Alistaira Tudsbury, która bodajże uczestniczyła w tej wyprawie.

- Owszem, była tam.

- No, więc oboje zrobiliście na nim duże wrażenie. Wiesz, Pug, twój raport z grudnia o froncie pod Moskwą bardzo mi pomógł. Mój głos tutaj był odosobniony, kiedy mówiłem, że Rosjanie wytrzymają. Wywiad armii oceniał to całkiem błędnie. Twój artykuł przemówił do prezydenta. On uważa, że ty masz zdrowy rozsądek, a tego nam tutaj ciągle brakuje.

- Byłem przekonany, że naraziłem się moim nieproszonym listem na temat Żydów z Mińska.

- Bynajmniej. - Hopkins zbył jego słowa niedbałym machnięciem. - Między nami mówiąc, Pug, od tej sprawy żydowskiej głowa nam pęka. Prezydent musi ciągle opędzać się przed delegacjami rabinów. Departament Stanu próbuje ich kierować gdzie indziej, ale niektórzy się przedostają. Wszystko to potwornie żałosne, ale co im ma odpowiedzieć? Oni w kółko i w kółko mówią te same rozpaczliwe rzeczy. Inwazja na Francję i zdruzgotanie tego obłąkanego reżimu hitlerowskiego to jedyny sposób, żeby nie zawieść Rosjan, uratować Żydów i zakończyć tę przeklętą wojnę. A do tego kluczem są łodzie desantowe, mój drogi. - Hopkins odchylił się na oparcie szezlonga i chytrze spojrzął na Puga.

Próbując się wykręcić od tego śliskiego tematu, Victor Henry zapytał: - Sir, a dlaczego nie przyjmujemy więcej uchodźców?

- Czyli zmienić przepisy imigracyjne - odpowiedział mu żywo Hopkins. - Ciężka sprawa. - Wziął z podręcznego stolika niebieską książkę i wręczył ją Pugowi. Tytuł brzmiał America's Ju-Deal: "Żydeal amerykański". - Miałeś to w ręku?

- Nie, Sir. Propaganda nazistowska? - Pug z miną pełną obrzydzenia odłożył książkę.

- Być może. FBI twierdzi, że rozpowszechnia się to szeroko już od lat. Nadeszło pocztą i powinno trafić do kosza, tymczasem wylądowało na moim biurku i Louise to zobaczyła. Aż ją zemdliło. Moja żona i ja dostajemy całe stosy listów zionących nienawiścią. Połowa z nich wyzywa nas, w różne plugawe sposoby, od Żydów, co byłoby śmieszne, gdyby nie było tragiczne, Pug. Po przyjęciu Barucha to zjawisko sięgnęło szczytu.

Victor Henry jakby nie rozumiał.

- Jeszcze nie było cię w kraju? Barney Baruch urządził nam spóźnione - i prawdę mówiąc, raczej niefortunne - przyjęcie ślubne. Jakiś reporter zdobył

jadłopis. Wyobrażasz sobie, Pug, jaką Baruch zrobił wyzerkę! Pasztet z gęsich wątróbek, szampan, kawior, cały ten jubel. Przy tym ogólnym niezadowoleniu z powodu racjonowania i ograniczeń, znowu dostałem cięgi. To i na dodatek cholerne kłamstwo, że Beaverbrook dał mojej żonie w prezencie ślubnym szmaragdowy naszyjnik wartości pół miliona dolarów, wywołało tu istną burzę. Ja mam skórę jak nosorożec, ale żeniąc się z Louise ją na to wszystko naraziłem. Coś okropnego. - Skrzywił się z obrzydzeniem patrząc w stronę książki. - No i spróbuj teraz przeprowadzić nowe prawo imigracyjne! Ta trucizna z miejsca się rozleje po całym kraju. Chyba przegralibyśmy w Senacie. Na pewno wysiłek wojenny by na tym ucierpiał. A co by to w końcu dało? I tak nie wydarlibyśmy Żydów z niemieckich szponów. - Popatrzył badawczo na Victora Henry. - Gdzie jest twoja synowa?

- Sir, w tej właśnie sprawie przyszedłem.

Pug opisał sytuację Natalii i co Slotę wymyślił, by wydostać ją z Lourdes. Ciężko mu było prosić o przysługę i plątał się nieco w wypowiedzi. Hopkins słuchał go, wydymając swe wąskie usta. Jego reakcja była szybka i stanowcza. - Chodzi o pertraktacje z wrogiem. Musiałoby trafić do prezydenta, a on zwali to na Wellesa. Lourdes, co? Powtórz mi nazwisko tego faceta w Departamencie Stanu. - Zapisał na wyłowionym z kieszeni świstku nazwisko Lesliego Slotę i jego telefon. - Zajmę się tym.

- Jestem ogromnie wdzięczny, Sir. - Pug uczynił ruch, jakby chciał się podnieść.

- Siedź. Prezydent mnie za chwilę wezwie. Jest przeziębiony i zasnął. - Szczercząc zęby w uśmiechu Hopkins rozłożył żółtą kartkę, wyjętą z kieszeni na piersi. - Oto przeciętny koszyk krabów dla niego na dzisiaj. Chcesz posłuchać? Pierwsze. Chińczycy odwołują misję wojskową. Niedobra sprawa, Pug. Ich żądania, jeśli chodzi o pomoc, to czysta fantazja w obliczu tego, co jest nam potrzebne w Europie. Z drugiej strony front chiński zaczyna się obracać przeciw Japonii. Oni toczą z nimi tę wojnę dłużej niż ktokolwiek z nas i musimy ich sobie zjednywać.

Drugie. Krytyczna sytuacja z olejem opałowym w Nowej Anglii. Boże, co za kłops! Pogoda zaskoczyła nas, zima okazała się dużo ostrzejsza, niż przewidywano. Od New Jersey po Maine wszyscy marzną. Rurociąg Big Inch spóźnia się o pół roku. Im więcej reglamentacji, tym więcej kłopotów.

Odczytywał tak i zgryźliwie komentował dalsze sprawy:

3. Przeszkody dla Lend-Lease na trasie syberyjskiej.
4. Nagły i dotkliwy brak molibdenu.
5. Nowy pesymistyczny raport w sprawie kauczuku.
6. Ponowne nasilenie zatopień przez U-Booty na Atlantyku.
7. Niemieckie posiłki w Tunezji odparły natarcie Eisenhowera, a głód w Maroku zagraża jego zaopatrzeniu.
8. Generał MacArthur znów rozpaczliwie potrzebuje wojska i lotnictwa na Nowej Gwinei.
9. Poprawki do najbliższego przemówienia.
10. Plany spotkania z Churchillem w Afryce Północnej.

- To ostatnie jest ściśle tajne, Pug. - Hopkins potrząsnął ku niemu kartką. - Mniej więcej za tydzień lecimy do Casablanki, z Szefami Połączonych Sztabów i tak dalej. Stalin wymówił się ze względu na bitwę pod Stalingradem, ale mamy go na bieżąco informować. Będziemy ustalać strategię do końca wojny. Prezydent nie wsiadł do samolotu od dziewięciu lat, od objęcia swego urzędu. A co więcej, nigdy w życiu nie leciał za granicę. Jest podniecony tą wyprawą jak mały chłopiec.

Victor Henry zastanawiał się, o co chodzi Hopkinsowi w tej rozgadanej wypowiedzi, ale zaraz się wyjaśniło. Pochylił się do przodu i szturchnął Puga w kolano. - Widzisz, Stalin wrzeszczy, że musimy w tym roku uderzyć przez Kanał. To zdjęłoby mu z karku jakieś trzydzieści do czterdziestu niemieckich dywizji, dzięki czemu chyba dałby już radę wyrzucić Niemców z

Rosji. Twierdzi, że oszwabiliśmy go z drugim frontem w 1942 roku. Ale nie mieliśmy łodzi desantowych i pod żadnym względem nie byliśmy przygotowani. Brytyjczycy krzywią się w ogóle na pomysł desantu we Francji. W Casablance znów będą się powoływać na brak łodzi desantowych.

Pug wbrew samemu sobie wciągnął się w temat i zapytał: - Jakie są liczby na dzisiaj, Sir?

- Chodź tutaj. - Hopkins poprowadził go do drugiego pokoju, małego, dusznego, pełnego starych i sfatygowanych mebli, z nie pasującym do nich stolikiem do kart, na którym piętrzyły się teczki i papiery. - Usiądź. Nazywają ten pokój Monroe Room. Tu Monroe podpisał swoją doktrynę... No, co u diabła. Przed chwilą miałem te cyfry w ręku. - Pogrzebał w papierach na stoliku i kilka spadło na podłogę. Hopkins je zignorował, wyciągając zwyczajną teczkę i wymachując nią, podczas gdy Pug zdumiewał się widząc ten bałagan w miejscu, gdzie waży się losy wojny. - Już mam. Według stanu na dzień 15 grudnia. Cyfry są trochę niepewne, Pug, bo nie ustalono jeszcze strat w Afryce Północnej.

Victor Henry znał na pamięć przewidywania dotyczące łodzi desantowych, z którymi przyjechał na konferencję w Argentii, więc zaszokowała go statystyka, którą Hopkins mu czytał z karty. - Panie Hopkins, co się na Boga stało z ich produkcją?

Hopkins rzucił tę kartę.

- Koszmar! Jesteśmy o rok do tyłu! Nie tylko w łodziach desantowych, ale ze wszystkim. Załatwiły nas priorytety. Przepychanka między armią, przemysłem, gospodarką krajową, kłótnie między komisją taką i ową, starcia wynikające z zawiści i ambicji wybitnych skądinąd ludzi. Każdy rzucał się każdemu do gardła. Wszyscy wymachiwali priorytetami kategorii Aaa i nikomu to nie pomagało, Pug. Dostaliśmy chyzia na tle inflacji priorytetów. Priorytety stały się tyle warte co marka niemiecka w czasach inflacji. Bajzel był nie do opisanego. Aż pojawił się Victor Henry.

Hopkins roześmiał się widząc, że Pug w zaskoczeniu zamrugał oczyma. - Nie dosłownie ty, oczywiście. Ktoś taki jak ty. Nazywa się Ferdie Eberstadt. Jeden z tych facetów, o których nic nie słyhać, a którzy potrafią robić. Musisz go poznać. Makler giełdowy, uwierzysz? Taki z Princeton i prosto z Wall Street. Nigdy nie piastował żadnego urzędu. Ściągnęli go tutaj do Komisji Produkcji Wojennej i Ferdie opracował świeżutki plan priorytetów. Nazwał go Plan Reglamentacji Materiałów. Uzależnia on wszystkie plany produkcji od przepływu trzech surowców: stali, miedzi i aluminium. Przydziela się je teraz w układzie pionowym, według przedmiotów, jakie się produkuje. Niszczyciele eskorty, bombowce dalekiego zasięgu, ciężarówki dla Sowietów, cokolwiek by było: te surowce przydziela się na wykonanie każdego z osobna składnika danego wyrobu. Nie w układzie poziomym: trochę tu, trochę tam, trochę dla sił zbrojnych, trochę dla fabryk - Hopkins wściekle wymachiwał długimi rękoma - zależnie od tego, kto prywatnie ma najlepsze chody w Washingtonie. To jest po prostu cud. W całym kraju wskaźniki produkcji idą do góry.

Przechadzał się mówiąc, jego chuda, inteligentna twarz ożyła jak zelektryzowana. Opadł na krzesło obok Puga. - Pug, nie wyobrażasz sobie, co się tu działo, zanim Eberstadt się do tego zabrał. Obłęd na kółkach! Marnotrawstwo, jakiego świat nie widział! Dziesięć tysięcy gąsienic do czołgów i ani jednego czołgu, do którego można by je założyć! Całe pole szkieletów samolotowych, do których w ogóle się nie produkuje silników ani urządzeń sterujących! Sto okrętów desantowych wsparcia ogniowego, które rdzewieją w dokach, ponieważ brakuje wind do opuszczania i podnoszenia pochylni! Te straszne czasy już minęły i możemy uzyskać tyle łodzi desantowych, ile nam potrzeba, pod warunkiem, że flota potrafi to skoordynować. Co znaczy, że musi tym pokierować jeden odpowiedni człowiek, taki Ferdie Eberstadt. Już rozmawiałem z sekretarzem Forrestalem i

wiceadmirałem Pattersonem. Znają przebieg twojej służby. Są za tobą. - Hopkins odchylił się na oparciu i podniósł okulary do ust, zamrugał oczyma. - To jak, staruszkule? Podpiszesz się pod tym?

Na stoliku do kart zadzwonił telefon.

- Tak, panie prezydencie. Już idę. Akurat jest u mnie Pug Henry... Tak jest. Oczywiście. - Odłożył słuchawkę. - Pug, szef chciałby się z tobą przywitać.

Poszli przez mroczny, obstawiony książkami hol i w dół po wyłożonym gumą podjeździe do Owального Gabinetu. Hopkins ujął Victora Henry za łokieć. - Więc jak? Mam powiedzieć prezydentowi, że się zgadzasz? We flocie jest wielu kapitanów, którzy mogą pracować w sztabie Dowództwa Floty Pacyfiku, wiesz o tym. A jest tylko jeden Pug Henry, który od A do Z wie wszystko o łodziach desantowych.

Victor Henry nigdy jeszcze nie przeciwstawił się woli Hopkinsa. To człowiek mający w rękę wielką pieczęć prezydencką. A jednak nie on jest wodzem naczelnym, bo rozkazywałyby zamiast pochlebiać. Uprzejma pogawędka, niby to między wtajemniczonymi, przymilanie się na temat Eberstadta, a teraz chwyt z wykręceniem ręki: klasyczna taktyka potężnego wprowadzie, lecz podwładnego. Hopkins wbił sobie do głowy, że wpakuje go w łodzie desantowe, a wizyta w sprawie Natalii dała mu wygodne podejście. Tym rodzajem perswazji chyba ciągle się posługuje. Robi to po mistrzowsku, jednakże Victor Henry ma zamiar znaleźć się w sztabie Dowództwa Pacyfiku. Pobieżne przedstawienie tej sprawy przez Hopkinsa to gadaninacywila. W programie łodzi desantowych też nie brakuje dobrych ludzi.

Minęli Owalny Gabinet, zmierzając ku otwartym drzwiom sypialni prezydenta. Jego głęboki, dźwięczny głos brzmiał dziś nieco ochryple. Puga przejął trwożny podziw i serdeczność, kiedy usłyszał ton głosu Franklina Roosevelta.

- Panie Hopkins, to chyba pochłonęłoby resztę mojej służby wojennej. Chciałbym omówić to w Biurze Personalnym.

Harry Hopkins uśmiechnął się. - Okay. Wiem, że wszyscy są za tym.

Weszli do sypialni w momencie, gdy prezydent akurat gwałtownie kichnął w dużą, białą chustkę. Jego lekarz, kontradmirał McIntire, stał przy łóżku w pełnym umundurowaniu. On i kilku znajdujących się w pokoju podstarzałych cywilów powiedzieli chórem: - Na zdrowie.

Pug nie znał żadnego z cywilów. Wszyscy gapili się na niego, pokazując swą ważność, natomiast McIntire, którego poznał w San Diego, skinął mu lekko głową. Wycierając sobie zaczerwieniony nos, prezydent podniósł załzawione oczy na Puga. Siedział oparty o poduszki, na wygniecionej pasiastej piżamie mając narzutkę w barwie królewskiego granatu z czerwonym monogramem FDR. Biorąc z tacy ze śniadaniem binokle, powiedział: - No, Pug, co u ciebie? Mieliście z Rhodą przyjemnego Sylwestra?

- Tak, dziękuję, panie prezydencie.

- Dobrze. Co tam knujecie ty i Harry? Dokąd się teraz wybierasz? Było to pytanie rzucone od niechcienia i grzecznościowe. Reszta obecnych spoglądała na Puga jak na intruza, jakby się przypałało któreś z wnuczka Roosevelta. Sam prezydent zaś mimo przeziębienia, widocznego w zaognionym nosie i łzawiących oczach, miał wygląd wesoły, jak gdyby już się cieszył na sprawę, czekając go w tym dniu.

Victor Henry pośpieszył się, w obawie, że Hopkins mógłby go z góry wrobić, gdyby się pierwszy odezwał. - Jeszcze nie jestem pewien, panie prezydencie. Admirał Nimitz wystąpił o zatrudnienie mnie jako zastępcy szefa sztabu do spraw Operacji.

- Ach, tak! Co ty powiesz! - Unosząc gęste brwi, prezydent popatrzył na Hopkinsa. Najwyraźniej nic o tym nie wiedział. Po twarzy Hopkinsa przemknął cień irytacji. - No, to chyba tam się udasz. Wcale ci się nie dziwię. Najlepsze życzenia.

Roosevelt potarł sobie dwoma palcami oczy i założył binokle. Zmieniło to jego wygląd. Od razu stał się młodszy, bardziej imponujący i podobny do prezydenta znanego wszystkim ze zdjęć w prasie, a mniej przeziębionym, siwym i rozczocharanym starcem, leżącym w łóżku. Najwidoczniej skończył z Victorem Henry i był już gotów zabrać się do porannej roboty. Odwrócił się w stronę pozostałych.

Na to Pug wziął sprawę we własne ręce, wypowiadając kilka słów, które pozostały mu na zawsze w pamięci. Jakby cień rozczarowania w reakcji prezydenta, rezygnacja wobec faktu, że w jakimś oficerze floty przeważała mała ludzka chęć zadbania w czasie wojny o własną karierę, kazały mu powiedzieć: - Mimo to, panie prezydencie, jestem zawsze na pańskie rozkazy.

Roosevelt obrócił się znów do niego z pełnym zaskoczenia i czarującym uśmiechem. - Wiesz, Pug, po prostu admirał Standley naprawdę sądzi, że miałby z ciebie pożytek w Moskwie. Dopiero wczoraj znów depeszował do mnie w twojej sprawie. Ma tam pełne ręce roboty. - Prezydent wysunął do przodu szczękę. Znów pokazała się w nim ta potęga, kiedy wyprostował się pod narzutką. - Bo widzisz, Pug, my toczyliśmy ogromną wojnę. Takiej jeszcze nie było. Rosjanie są trudni jako sprzymierzeńcy, na Boga, czasem potwornie ciężko się z nimi dogadać, ale wiążą tam u siebie w walce trzy i pół miliona żołnierzy niemieckich. Jeśli nadal będą to robić, wygramy tę wojnę. Jeśli z jakiegoś powodu przestaną, możemy ją przegrać. Więc skoro jesteś w stanie pomóc nam w Rosji, a mój tam człowiek w Moskwie chyba jest o tym przekonany, w takim razie może tam się powinienes znaleźć.

Twarze obecnych zwrócone były na Victora Henry z wyrazem lekkiego zainteresowania, lecz on ich nie zauważał. Widział przed sobą jedynie stroskaną twarz Roosevelta; twarz człowieka, którego niegdyś poznał jako przystojnego zastępcę sekretarza floty, wdrapującego się jak chłopak po trapach niszczyciela; a teraz widomą twarz dziejów Ameryki, twarz starego, zniszczonego kaleki.

- Aye aye, Sir. Wobec tego pójdę stąd do Biura Personalnego i poproszę o to skierowanie.

Oczy prezydenta rozjarzyły się z zadowolenia. Wyciągnął dłoń, zamachnąwszy się spod narzutki długim ramieniem w geście męskiej wdzięczności i podziwu. Była to jedyna nagroda, jaką Victor Henry za to kiedykolwiek otrzymał. Kiedy w późniejszych latach myślał o tej scenie, miał poczucie, że to mu wystarczy. Gdy ściskali sobie dłonie, miłość do prezydenta Roosevelta wezbrała mu w sercu. Posmakował cierpkiej rozkoszy poświęcenia się i dumy, że nie zawiódł nadziei, jaką żywił wobec niego wódz naczelny.

- Powodzenia, Pug.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Przyjazne kiwnięcie głową i uśmiech Franklina Roosevelta, po czym Pug wyszedł z jego sypialni, a dalsze jego życie było już zmienione i ustalone. U drzwi Hopkins odezwał się oschle: - Do widzenia, Pug. - Oczy miał zmrużone i chłodny uśmiech.

`cp2

Rhoda zerwała się, kiedy jej mąż wszedł do bywalni. - No? I jaki zapadł wyrok?

Powiedział jej. Widząc, jak twarz jej zgasła, Pug odczuł przelotny skurcz dawnej miłości do niej, po którym poznał tylko, jak prawie bez reszty przeminęła.

- Och, kochany, miałam taką nadzieję, że zostaniesz tu w Washingtonie.

Czy tego chciałeś: trafić znowu do Moskwy?

- Chciał tego prezydent.

- Oznacza to rok. A może dwa lata.

- Oznacza duży kawał czasu.

Ujęła jego dłoń i splotła palce z jego palcami. - Och, no cóż. Mieliśmy parę pięknych tygodni. Kiedy wylatujesz?

- Prawdę mówiąc, Rho - Pug wyglądał na zakłopotanego - Biuro Personalne zawzięło się i wcisnęło mnie do Clippera, który jutro odleci.

- Jutro!

- Dakar, Kair, Teheran, Moskwa. Admirał Standley chyba rzeczywiście mnie tam potrzebuje.

Przy kolacji sięgnęli po swoje najlepsze wino i wdali się we wspomnienia dawnych czasów, wielu swych rozstań i ponownych spotkań, cofając się przez lata, aż wrócili do nocy, kiedy Pug się oświadczył. Rhoda powiedziała ze śmiechem: - Nikt nie powie, że nie ostrzegałeś mnie! Słowo daję, Pug, gadałeś i wciąż gadałeś o tym, jakie to straszne być żoną oficera Marynarki Wojennej. Długotrwałe rozstania, skromna pensja, ciągle przeprowadzki, kłanianie się w pas żonom tych z wyższą rangą, o niczym nie zapominałeś. W pewnym momencie, przysięgam, już byłam przekonana, że starasz się mnie pozbyć. I powiedziałam sobie: "Nic z tego, mój panie! To był twój pomysł, więc teraz się nie wymigasz".

- Uważałam, że powinnaś wiedzieć, w co się pakujesz.

- Nigdy tego nie żałowałam. - Rhoda westchnęła i napiła się wina. - Jaka szkoda, że się miniecie z Byronem. Ten konwój powinien tu przybyć lada dzień.

- Wiem. Wcale mnie to nie cieszy.

Byli oboje na luzie, a Rhoda aż nazbyt kobietą, i tak blisko rozstania, że nie mogła się powstrzymać i dorzuciła mimochodem: - Rozminiecie się też z Pamela Tudsbury.

Spojrzał jej prosto w oczy. To, o czym nigdy jeszcze nie rozmawiali, nagle zostało jakby wyłożone na stół: jego romans z Pamela, jej afera z Palmerem Kirby, nazwisko, które się nie pojawiło na jego ustach, tak samo jak imię Warrena. - To prawda. Rozminę się z Pamela.

Upłynęły długie sekundy. Rhoda spuściła oczy. - No, jeżeli ci się nie przejadło, zrobię szarlotkę.

- Świetnie. W Moskwie jej nie dostanę.

Wcześniej poszli do łóżka. Ich kochanie się było powściągliwe i szybko dobiegło końca, po czym Pug głęboko zasnął. Rhoda wypaliła papierosa i wstała, otuliła się w ciepły szlafrok, zeszła do bywalni. Album z płytami, który wyciągnęła z dolnej półki, był zakurzony. Płyta była porysowana i lekko nadpęknięta, a wyblakła pomarańczowa etykieta pobazgrana ołówkiem, bo dzieci kiedyś dobrały się do tego albumu i zagrywały na śmierć zawarte w nim płyty. Stare nagranie miało blaszany i wysoki dźwięk, widmowy głos z odległej przeszłości wydobywał się, słaby i przytłumiony, spod zużytej powierzchni:

Przetańczona do trzeciej rano! Ta noc złączyła nas! Więc zanim zorze wstaną! Zatańczmy walca jeszcze raz...!

Znów ujrzała się w klubie oficerskim w Annapolis. Podporucznik Pug Henry, chluba drużyny piłkarskiej Marynarki Wojennej, zabierał ją na jakieś wielkie tańce. Był dla niej o wiele za niski, ale uroczy i jakoś różniący się od wszystkich, i zakochany w niej do szaleństwa. Przebijało to w każdym jego słowie i spojrzeniu. Niezbyt przystojny, ale męski, dobrze się zapowiadający i taki uroczy. Właściwie nie można było mu się oprzeć.

Ta melodia urzekająca! Jakby dla nas dwojga stworzona! Moglibyśmy tak przy niej bez końca! Tańczyć jako mąż i żona!

Jak wadle i staroświecko brzmiała ta orkiestra jazzowa, jak prędko skończyła się płyta! Igła skrobała w kółko i w kółko, i w kółko, a Rhoda siedziała wpatrując się suchymi oczyma w gramofon.

`tc

Część piąta.

Pug i Pamela
`tc

Pug nie o wiele się rozminął z Byronem.

W dwa dni po tym, jak Clipper odleciał na Azory, przebywając pierwszy odcinek okrężnej drogi do Moskwy, niszczyciel Brown wpłynął w kanał wiodący do portu New York. Uszczęśliwieni marynarze tłoczyli się na mostku, z rękoma wbitymi w kieszenie swych zielonkawych kurtek, przytupując nogami, para buchała im z ust w ożywionej i rubasznej gadaninie o tym, co będą robić po zejściu na ląd. Byron stał trochę na uboczu w granatowym, grubym płaszczu pokładowym, białym jedwabnym szaliku i białej czapce z daszkiem, patrząc się w górę, gdzie Statua Wolności przesuwała się jak zielony kołos w ostrym świetle jasnego, zimnego wschodu słońca w połowie zimy. Załoga trzymała się na dystans od płynącego jako pasażer oficera. Ponieważ na okręcie było niewielu oficerów, on też pełnił po drodze wachty; oschły jako dowódca, na mostku mało się odzywał i jeszcze mniej uśmiechał. Włączenie się do rozkładu wacht dało Byronowi poczucie, że znów uczestniczy w wojnie, a oficerowie z Browna, którym oszczędził męczącej służby na trzy wachty, z wdzięcznością przyjęli go jak swojego.

Gdy konwój się podzielił i statki handlowe ruszyły ku nabrzeżom New Jersey albo świecącym w słońcu drapaczom Manhattanu, eskortujące zaś okręty na Brooklyn, Byron niecierpliwie podzwaniał w kieszeni płaszczu garścią zapoconych 25-centówek. Ledwie Brown przycumował, aby nabrać paliwa, zszedł jako pierwszy po trapie i pośpieszył do samotnej budki telefonicznej na nabrzeżu. Kolejka marynarzy zdążyła się ustawić pod budką, zanim się przedostał przez centralę Departamentu Stanu.

- Byron! Gdzie jesteś? Kiedy wróciłeś? - Leslie Slote miał głos zachrypły i umęczony.

- W porcie wojennym na Brooklynie. Właśnie przybiliśmy. Co z Natalią i dzieckiem?

- No - Slote się zawahał i Byrona od razu aż skręciło - są zdrowi, to najważniejsze, prawda? Więc przeniesiono ich do Baden-Baden z całą resztą tych Amerykanów, co byli w Lourdes. Tymczasowo, rozumiesz, zanim wszystkich wymienia i...

- Baden-Baden? - przerwał mu Byron. - W Niemczech? Natalia jest w Niemczech?

- No tak, ale...

- Boże miłosierny!

- Posłuchaj, to ma dobre strony. Mieszkają w doskonałym hotelu, mają tam największe przywileje. Brenner Park. Ciągłe zaliczają się do dziennikarzy, są razem z dyplomatami, reporterami, pracownikami Czerwonego Krzyża i tak dalej. Na czele grupy stoi nasz były charge d'affaires z Vichy, Pinkney Tuck, on jest tam najważniejszy. W hotelu przebywa szwajcarski dyplomata, pilnujący ich praw. A także przedstawiciel niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i urzędnik francuski. W naszym ręku znajduje się mnóstwo Niemców, których władze niemieckie bardzo chcą odzyskać. Po prostu odbywają się targi.

- Czy są w tej grupie jacyś inni Żydzi?

- Nie wiem. Słuchaj, Byron, jestem zajęty jak diabli. Jeżeli chcesz, to zadzwoń do mnie dziś wieczorem do domu. - Slote podał mu numer i wyłączył się.

Gdy biała i posępna twarz Byrona przesunęła się po mesie pełnej oficerów, ubranych do wyjścia, żarty ucichły. Samotny w swojej kabinie, składając mundury do skrzynki, próbował zaplanować swój następny ruch, ale trudno mu było jasno myśleć. Skoro jedno nadzianie się na Niemców we francuskim pociągu już było dla Natalii zbyt groźnym ryzykiem, to co teraz? Jest w hitlerowskich Niemczech, poza granicą, po jej drugiej stronie! Trudno to

sobie wyobrazić; musi być przerażona do nieprzytomności. Slote opowiadał w Lizbonie krew w żyłach mrozące historie o tym, co robią z Żydami, twierdząc nawet, że wraca do Washingtonu, aby dostarczyć potwierdzające to dowody prezydentowi Rooseveltowi. Byron uważał tę opowieść za niewiarygodną, za histeryczną przesadę na tle tego, co prawdopodobnie dzieje się w Niemczech za mgłą wojny. Nie obawiał się, że jego żona i syn mogą być narażeni na dostanie się w jakieś odbywające się na skalę całego kontynentu zwożenie Żydów do tajnych obozów w Polsce, gdzie będą zagazowani na śmierć, a ich ciała spalone. To bajka i koniec; nawet Niemców nie stać na coś takiego.

Bał się jednak, że dyplomatyczna ochrona może zawieść. Są nielegalnymi uciekinierami z Włoch faszystowskich, a ich dziennikarskie zaświadczenia sfałszowane. Jeżeli Niemcy się zawezmą, kto wie, czy nie dobiórą się do nich pierwszych spośród Amerykanów osadzonych w Baden-Baden. Od surowego potraktowania Louis może się rozchorować albo umrzeć; to takie maleństwo! Byron opuścił Browna w przygnębieniu.

Idąc ze swoją skrzynką przez port wojenny, w tłumie robotników schodzących z roboty na lunch, zdecydował się, że jeśli znajdzie Madeline, przenocuje dzisiaj w New Yorku; jutro zaś pojedzie do Washingtonu i stamtąd poleci do San Francisco lub do Pearl Harbor, jeżeli Moray już odplynął. Ale jak odszukać Madeline? Jego matka pisała mu, że Madeline znów pracuje u Hugh Clevelanda i podała mu adres na Claremont Avenue, zaraz przy kampusie uniwersytetu Columbia. Pomyślał, że zostawi bagaż w swoim dawnym bratniaku i tam przenocuje, gdyby nie udało mu się odnaleźć siostry. Nie miał od niej wiadomości od czasu, kiedy pożegnali się w Kalifornii.

Taksówka zagłębiła się w Brooklyn i wyjechała na most Williamsburg, skąd roztoczył się kolejny wspaniały widok na drapacze chmur, a potem zapuściła się w dolną część wschodniego Manhattanu, gdzie mnóstwo Żydów cisnęło się na chodnikach. Myśli jego wróciły do Natalii. Od pierwszej chwili widział w niej Amerykankę o wyszukanej kulturze, a jeszcze dodawał jej powabu mroczny, korzenny posmak żydostwa, o którym nigdy nie wspomniała, chyba że dowcipkowała na swój temat albo wyrażała pogardę dla Lesliego Slote, że pozwolił, aby dla niego to coś znaczyło. W Marsylii zaś wyglądała na przygniecioną, sparaliżowaną poczuciem swego żydostwa. Byron nie mógł tego zrozumieć. Do różnic rasowych prawie nie przywiązywał wagi; uważał to za bigoteryjne brednie, a teorie nazistowskie traktował z pełną niedowierzania pogardą. Nie pojmował tego, ale pozostał w nim osad gniewu i frustracji, kiedy myślał o nieustępliwości swej żony, i dojmujący lęk o syna.

Na ścianach w domu bratniaka widniały te same, co niegdyś, zakurzone proporczyki i trofea sportowe. Ceglany kominek był pełen, jak zwykle, wystygłego popiołu z drewna, łupin z owoców, opakowań od papierosów i niedopałków, a portret zamierchłego fundatora nad gzymsem kominka z biegiem lat mocno pociemniał od dymu z drewna i tytoniu. Dwaj studenci, jak zwykle, postukiwali przy stole do ping-ponga, jak zwykle, pod okiem kibiców próżnujących na połamanych kanapach; a ściany trzęsły się, jak zwykle, od jazzu. Zaskakująco smarkaci i przyszczaci chłopaczkowie jakby opanowali to miejsce. Najbardziej upstrzony z nich przedstawił się Byronowi jako przewodniczący kapituły. Widać było, że nigdy nie słyszał o Byronie, ale mundur wywarł na nim wrażenie.

- Hej - krzyknął po schodach na piętro - czy ktoś mieszka w pokoju Jeffa? Mamy na noc starego absolwenta.

Żadnej odpowiedzi. Pryszczaty przewodniczący zaprowadził Byrona do sypialni na piętrze, gdzie tak samo krzywo wisiał ten sam pomarszczony, brązowy portret Marleny Dietrich. Wyjaśnił mu, że mieszkający tu Jeff, zagrożony oblaniem wszystkich przedmiotów na półrocze, wziął i wstąpił do piechoty morskiej. Cwaniacki uśmiezek z Columbii, towarzyszący temu wyjaśnieniu, sprawił, że Byron poczuł się trochę jak w domu.

Jest pierwsza. Nie ma sensu szukać teraz Madeline, wszyscy ci radiowcy

pewnie wyszli na lunch. Byron miał psią wachtę i potem już nie kładł się spać. Nastawił budzik na trzecią i wyciągnął się na brudnym łóżku. Kakofonia grzmiącego i beczącego jazzu nie przeszkodziła mu natychmiast zasnąć.

`cp2

Cleveland, Hugh, Enterprises Inc. 630 Fifth Avenue. Książka telefoniczna przy automacie pod schodami liczyła już sobie parę lat, ale spróbował. Odpowiedział mu pogodny, dziewczęcy głos: - Biuro koordynatora programu, panna Blaine.

- Hallo, jestem bratem Madeline Henry. Czy ją zastałem?

- Bratem? Pan jest Byron, ten oficer z łodzi podwodnej? Naprawdę?

- Tak. Jestem w Nowym Jorku.

- Och, to świetnie! Ona jest na zebraniu. Gdzie może pana zastać? Wróć mniej więcej za godzinę.

Byron podał jej numer automatu, wyłowił z kłębow dymu pryszczatego przewodniczącego i uzyskał obietnicę, że odbierze wiadomość, jakby ktoś dzwonił. Uciekł z hałaśliwego jazzu na mroźną, wietrzną ulicę, gdzie usłyszał całkiem inną muzykę: Washington Post March. Przy dźwiękach tego marsza na South Field maszerowały i zawracały z karabinami szeregi elewów Marynarki Wojennej w granatowych kurtkach. Za czasów Byrona po South Field maszerowali tylko manifestujący przeciwko wojnie anarchiści. Te chłopaki dopiero za jakiś rok wyruszą na morze, pomyślał Byron, a potem jeszcze miesiące upłyną, zanim będzie im dane pełnić wachtę na oceanie. Ten maszerujący tłum nie ostrzelanych rezerwistów sprawił, że przyjemnie mu się zrobiło na myśl o własnym doświadczeniu bojowym; po czym zadał sobie w przygnębieniu swoim pytanie, co właściwie jest tak chwalebne w narażaniu się raz po raz na to, że cię zabija.

Może by się przejść do Prairie State, gdzie on sam ćwiczył w rezerwie? Nie ma nic lepszego do roboty. Poszedł po Broadwayu i skręcił w 125-tą ulicę w kierunku rzeki. Otóż i stary, wycofany ze służby pancernik, przycumowany u nabrzeża i rojący się od elewów. Zapachy od rzeki Hudson, piszczalki i głośniki wydające polecenia pogłębiły jego nostalgię. Tyle się rozprawiało podczas długich, nocnych spotkań kawalerskich na Prairie State o tym, jaką który chciałby mieć żonę! Hitler i naziści byli wtedy groteskowymi postaciami z kronik filmowych; a demonstranci na Columbii podpisywali na prawo i lewo deklaracje, że nigdy nie będą uczestniczyć w żadnej wojnie. W tak znajomej scenerii u wylotu 125-tej ulicy groźna sytuacja Natalii wydawała się jakimś mglistym, niewiarygodnym koszmarem.

Byronowi przyszło do głowy, że mógłby wrócić do bratniaka przez Claremont Avenue i wsunąć pod drzwi Madeline karteczkę z informacją, gdzie się zatrzymał. Znalazł jej dom i nacisnął guzik domofonu przy jej nazwisku. W odpowiedzi rozległ się brzęczyk; a więc jest! Pchnął drzwi od ulicy, wbiegł dwa piętra po schodach i zadzwonił.

Raczej nigdy nie powinno się bez ostrzeżenia przychodzić do kobiety: czy to własna dziewczyna, czy żona, czy matka, a już na pewno nie do siostry. Madeline wyjrzała do niego w puszystym, błękitnym negliżu, czarne włosy miała spuszczone na ramiona. Oczy jej zrobiły się okrągłe i wytrzeszczone, krzyknęła: - Iiiiik! - zupełnie jak gdyby ją zaskoczył naga, albo jakby to był nie on, tylko szczur lub wąż.

Zanim Byron zdążył się odezwać, ze środka zabrzmiał głęboki, niski, zawieszony głos męski: - Co takiego, skarbie? - Ukazał się Hugh Cleveland, nagi do pasa, a poniżej spowity w fałdziste i kwieciste lava-lava, drapiąc się we włochatą pierś.

- To Byron - wytchnęła Madeline. - Jak się masz, Byron? O mój Boże, kiedy wróciłeś?

Nie mniej zbity z tropu niż ona, Byron zapytał: - Czy nie dostałaś ode

mnie wiadomości?

- Jakiej wiadomości? Nie, niczego. Dobrze, o Jezu, skoro już tu jesteś, to wejdź.

- Hej, Byron - powiedział Hugh Cleveland, pokazując w uroczym uśmiechu cały garnitur wielkich, białych zębów.

- To wyście się już pobrali? - zapytał Byron, wchodząc do porządnie umeblowanej bywalni, gdzie na stole stało wiaderko z lodem, butelka whisky i kilka butelek wody sodowej.

Cleveland i Madeline wymienili spojrzenia; Madeline odezwała się: - A w ogóle, kochanie, jak długo zamierzasz zostać? Gdzie się zatrzymałeś? Jezu Chryste, przecież mogłeś napisać, zadzwonić albo coś w tym rodzaju!

Przez otwarte drzwi do sypialni Byron zobaczył wielkie, podwójne, zmiętoszone łóżko. Jakkolwiek abstrakcyjnie dopuszczał możliwość, że jego siostra źle się prowadzi, teraz nie wierzył dosłownie własnym oczom. Odezwał się do niej z niezgrabną, grubą bezpośredniością: - Madeline, powiedz, wzięliście ślub, czy jak?

Hugh Cleveland lepiej by zrobił, okazując w tym momencie rozsądek i nie odzywając się. Tymczasem on błysnął białymi zębami w szerokim uśmiechu, rozłożył ręce i zahuczał ciepłym głosem: - Posłuchaj, Byron, jesteśmy wszyscy dorośli i żyjemy w dwudziestym wieku. Więc bądź tak dobry...

Mimo utrudniającego ruchu, grubego płaszcza Byron wziął szybki zamach i wbił pięść w uśmiechniętą twarz Clevelanda.

Madeline znowu zrobiła: - Iiiiik! - jeszcze przeraźliwiej i głośniejsze niż przedtem. Cleveland runął jak gromem rażony, ale nie stracił przytomności, tylko wylądował na czworakach, poczołgał się i wstał. Kiedy to robił, lava-lava mu się obsunęło i stanął golutki z białym, okazałym brzuchem wystającym mu sponad cherlawych nóg i genitaliów. Ten niezbyt apetyczny widok całkiem przyćmiła zdumiewająca przemiana jego twarzy. Wyglądał jak Dracula. Wszystkie górne zęby na przodzie miał spiłowane w krótkie ostre szpikulce, a po bokach sterczały dwa nieco dłuższe kły.

- Jezu Chryste, Hugh - krzyknęła Madeline - twoje zęby Popatrz na swoje zęby!

Hugh Cleveland potykając się dopadł ściennego lustra, wyszczerzył się sam do siebie i wydał niesamowity wrzask. - Jethu Chrythte, mój mothtek! Mój porthelanowy mothtek. Kothtował mnie piepthone tysiath pięthet dolarów! Gdzie on jetht, do cięthkiej cholery? - Z obłędem w oczach rozejrzał się po podłodze, zwrócił się do Byrona i wyseplenił, nie posiadając się z oburzenia: - Dlathego mi u diabła pthypierdoliłeś? Thy ty thawthe się musith ośmiethać? Ten mothtek musi się thnaleźć, i to juth!

- Och, Hugh - wtrąciła się nerwowo Madeline - załóż coś, na miłość Boską, dobrze? Skaczesz goły jak kurczak.

Cleveland łypnął w dół na swoją nagość, chwycił lava-lava i okręcił się, szukając na podłodze swojego mostku. Byron zobaczył coś białego na dywanie pod krzesłem. - Czy o to chodzi? - zapytał, podnosząc ów przedmiot i wręczając go Clevelandowi. - Przykro mi, że to zrobiłem. - W istocie Byronowi wcale nie było przykro, ale ten facet tak żałośnie, idiotycznie wyglądał ze swoimi zaostrzonymi pieńkami i lava-lava niechlujnie zwisającym z wydętego brzuszyska.

- To jetht to! - Cleveland podszedł znowu do lustra i kciukami wcisnął sobie protezę w usta. Odwrócił się. - Jak teraz? - Wyglądał znów normalnie, błyskając tym sławnym uśmiechem, który Byron tyle razy oglądał w czasopismach, gdzie Cleveland reklamował w ogłoszeniach swego antenowego sponsora, firmę wyrabiającą szczoteczki do zębów.

- Och, Boże, dużo lepiej - odpowiedziała Madeline - a ty, Byron, masz go przeprosić.

- Zrobiłem to - odparł Byron.

Strojąc do siebie miny w lustrze i zgrzytając zębami, żeby sprawdzić, czy

mostek się trzyma, Cleveland zwrócił się do nich: - No, całe szczęście, że nie pękła. Muszę dziś wieczór być na tym bankiecie amerykańskiej Izby Przemysłowej jako wygłaszający toasty, a skoro już o tym mowa, Mad, to Arnold nie dał mi thryptu. Tho mam zrobić, jeżeli - o Jethu, obthuva się. Thnowu mi wypada! Juth leci! - Kiedy to mówił, Byron rzeczywiście spostrzegł, że mostek mu się obluzował i wypadł z ust. Cleveland rzucił się, żeby go złapać, przydeptał sobie brzeg lava-lava i znów goły zwałił się na pysk, a zdarta z niego kwiecista materia zmiotosiła się pod nim.

Madeline złapała się dłonią za usta i spojrzała na Byrona rozszerzonymi oczyma, w których iskrzyło się poczucie humoru, wspólne im od dzieciństwa. Podbiegła do Clevelanda i odezwała się tonem czułego współczucia: - Nie zrobiłeś sobie krzywdy, skarbie?

- Kthwydy? Nie, kurwa. - Cleveland pozbierał się z podłogi, w dłoni ściskając swój mostek i ruszył do sypialni, potrząsając tłustym, białym zadkiem. - To cholernie powatna thprawa, Mad. Thwonię do mojego dentythty i jak go nie thłapię, to będzie źle! Tha wygłathanie toathtów płatha mi tysiath dolthów. Thukinthyn! Trzasnął drzwiami.

Podnosząc z podłogi lava-lava, Madeline ofuknęła Byrona: - Och, ty! Jak możesz być takim zwierzęciem!

Byron rozejrzał się po pokoju. - Słowo daję, co to za układ, Madeline? Czy on mieszka tu z tobą?

- Co takiego? A jakim cudem? Przecież ma rodzinę, ty głupku.

- Wobec tego, co ty wyrabiasz? - Naburmuszyła się i nie odpowiedziała. - Przesypiasz się od czasu do czasu z tym starym tłusciochem i tyle? Jak to możliwe?

- Och, ty nic nie rozumiesz. Hugh to mój przyjaciel, kochany i dobry przyjaciel. Nigdy się nie dowiesz, jaki on dla mnie był dobry i w dodatku...

- To cudzołóstwo, Mad.

`nv

56 (cd.)

Po jej twarzy przemknął wyraz żalości. Madeline machnęła dłonią, potrząsnęła głową i uśmiechnęła się przemadrzałym, kobiecym uśmiechem. - Och, jesteś taki naiwny. Jego małżeństwo teraz układa się lepiej niż dawniej, bez porównania lepiej. Ja też jestem lepsza. Jest więcej niż jeden sposób na życie, Briny. Ty i ja pochodzimy z rodziny dinozaurów. Wiem, że Hugh ożeniłby się ze mną, gdybym go przycisnęła, szaleje za mną, ale...

Na wpół ubrany Cleveland wyjrzał z sypialni i głośno wyseplenił do Madeline, że jego dentysta jedzie z Thcarthdale. - Weź i thathwoń, niech Tham bierze dupę w troki i przyjeżdża. Ma być tutaj tha dziesięć minut. Jethu, tho za burdel!

- Tham? - zdziwił się Byron, gdy Cleveland zamknął drzwi.

- Sam to jego szofer - rzekła Madeline, śpiesząc do telefonu i nakręcając numer. - Och, Byron, wyrzekniesz się mnie? Czy mogę ci zrobić kolację? Upijemy się tej nocy w cztery koperwasy? Chcesz tu zostać? Jest wolny pokój. Kiedy wyjeżdżasz? Są jakieś wiadomości o Natalii?... Hallo, hallo, daj mi Sama... To go poszukaj, Carol. Tak, tak, wiem, że mój brat Byron jest w mieście. Jezu Chryste, wiem aż za dobrze... Mniejsza o to, tylko znajdź Sama i powiedz mu, że ma wziąć Cadillaca i być tutaj dokładnie za dziesięć minut.

Odkładając słuchawkę powiedziała: - Byron, pracuję z nim cztery lata i do dzisiaj nie wiedziałam, że Hugh ma proteżę.

- Człowiek uczy się całe życie, Mad.

- Gdyby to wszystko nie było tak okropne - rzekła - i gdyby z ciebie nie był taki obrzydliwy neandertalczyk, powiedziałabym, że to najśmieszniejsza rzecz, jaka mi się zdarzyła w życiu. - Usta jej krzywiły się, kiedy tłumiała

śmiej. - Od lat suszę mu głowę, żeby pozbył się tego straszego brzucha. Spójrz na siebie! Płaski jak chłopiec, zupełnie jak tato. Nie dasz buzi swej cudzołożnej siostrze?

"Rozpusta, rozpusta, wciąż tylko wojny i rozpusta, nic innego nie jest ciągle w modzie!" złorzeczy kwaśno Tersytes. "Niech ognisty diabeł je porwie!"

`cp2

Janice dostała jakieś ostrzeżenie, więc była w stanie powitać Byrona z wyrazem pewnej siebie niewinności; co i Madeline mogłaby zrobić, gdyby jej dano cię szansy.

Kiedy przez Honolulu przejeżdżał jej teść, wprowadziła go w błąd co do swego romansu z Carterem Asterem bez najmniejszych skrupułów. Nie jego sprawa. Żaden mężczyzna nie potrafi podejść do tych spraw po kobiecemu, a już zwłaszcza komandor Victor Henry, który w niedzielę nawet nie zagrałby w karty. Szczerłość doprowadziłaby tylko do zakłopotania i nie miałyby żadnego sensu.

Ale w depeszy od Byrona krył się problem.

Aster uprzedził Janice, że jej szwagier przybywa na Moray. Byron to coś zupełnie osobliwego, taki sam awanturnik jak Warren, ale do kobiet mający uroczo idealistyczne podejście, z którym może być kłopot. Jego poglądy na moralność wydawały się równie ciasne jak u ojca. Jego opowieść o dziewczynie z Australii była omalże niewiarygodna, jednak Janice w nią uwierzyła. Co by mu przyszło z kłamstwa, przez które wyjdzie na pruderyjnego naiwniaka?

A przecież, skoro jest wojna, skoro mężczyźni są daleko od domu i samotni, skoro wszędzie aż kipi od aktywności w dziedzinie, dla której Aster ma rubaszne określenie "dupa bez autoryzacji" - ten zwrot nadzwyczaj rozbawił Janice, chociaż udawała, że się obrusza - dlaczego Byron miałby sobie odmówić tak naturalnego i pięknego związku? Jej romans z Asterem rozwinął się poniekąd przypadkowo. Po Midway złożył ją atak gorączki tropikalnej i Carter Aster odwiedzał ją codziennie, zaopatrywał w żywność i lekarstwa, aż jedno doprowadziło do drugiego.

Byron byłby niewątpliwie zgorzszony, gdyby się o tym dowiedział. Janice nie rozumiała Byrona od tej strony; cholernie różnił się od swego brata. Traktowała jego pruderię jako rodzaj dziwnej, drobnej słabostki i na pewno nie chciałyby go rozczarować ani zrazić do siebie. Uważała się za jedną z Henrych, wolała tę rodzinę od własnej, a Byron zawsze był dla niej bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Świetnie byłoby mieć go przy sobie.

Więc kiedy u schyłku pewnej nocy Aster ubierał się, żeby wrócić na okręt, Janice postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. Paliła w łóżku papierosa, naga pod prześcieradłem.

- Rano przyjeżdża Byron, skarbie.

- Ach tak? - Aster zatrzymał się w trakcie naciągania spodni koloru khaki. - Już? A skąd wiesz?

- Zadepeszował do mnie z San Francisco. Dostał przelot samolotem NATS.

- A to świetnie! Najwyższy czas. Potrzebujemy go na Moray. Było już po północy. Aster nigdy nie zostawał do rana. Lubił w czasie pobudki na okręcie już być na nogach i w ruchu; poza tym dbał o reputację Janice, żyjącej w jednym z szeregu domów, gdzie sąsiedzi wcześniej rozpoczęli dzień. Janice kochała Astera, a przynajmniej spędzane z nim godziny, nie chciała jednak wiązać się z nim na stałe. Nie był człowiekiem tej klasy co Warren, czytywał jakiś chłam, a w rozmowie nie wychodził nad poziom floty. Przypominał jej wielu pilotów z Pensacola, którzy zanudzali ją, zanim pojawił się Warren. Aster był zdolnym inżynierem okrętowym ze skłonnością do przodowania i zabijania, urodzony podwodniak. Był także kulturalnym i zadowolającym kochankiem; idealny partner dla "dupy bez autoryzacji", aby

użyć jego wyrażenia, lecz nic ponadto. Jeśli Aster wyczuwał, że względy, jakimi się u niej cieszy, mają swe granice, to jednak się nie uskarżał.

- Chodzi o to, kochanie - rzekła Janice - że nasze figle muszą się na jakiś czas skończyć. - Spojrzał na nią chłodno i badawczo, wpychając koszulę w spodnie. - Przecież znasz Byrona. Bardzo go kocham. Nie chciałabym wprawić go w rozterkę i żeby źle o nas myślał. Nie zniosłabym tego.

- Żeby cię dobrze zrozumiał. Zrywasz ze mną?

- Och, a tobie by zależało?

- Tak, do diabła, zależy mi, Janice.

- No, nie patrz tak tragicznie. Uśmiechnij się.

- A Byron musi o tym wiedzieć?

- Kiedy będziecie w porcie, on tu będzie nocował.

- Co drugą noc wypadnie mu służba.

- No, chyba że tak. Ale mimo wszystko...

Aster podszedł do łóżka, usiadł i zgarnął ją w uścisk.

Tracąc dech po kilku pocałunkach wymamrotała: - No, zobaczymy jeszcze, zobaczymy. Tylko jedna rzecz, Carter. Byron nigdy, nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Zrozumiano?

- Pewnie - odparł Aster. - Nie ma potrzeby.

`cp2

Kiedy rankiem Byron przyjechał, został nie dłużej, niż było potrzeba na zjedzenie śniadania, i od razu pognął na okręt; ale w tym krótkim czasie wyrzucił przed nią z serca, ze szczerą i głęboką zgryzotą, zwięzłą relację o tym, co się stało w Marsylii. Wiadomość, że Natalia i dziecko ugrzęźli w Niemczech, przeraziła Janice. Odruchowo broniła tego, co uczyniła jej szwagierka, i usiłowała pocieszać Byrona, że wszystko będzie dobrze. Obawiała się jednak, że Natalia skazana jest na zagładę. Kiedy patrzyła, jak Byron przed wyjściem bawi się z Vikiem w ogrodzie, musiała się przemocą powstrzymać od łez. Chwycił ją za serce ten magnetyzm, który od razu pojawił się między dzieckiemu jego stryjem. Kiedy Byron powiedział, że musi już iść, Victor uczeplił się go rękoma i nogami, czego nigdy nie robił z Warrenem.

Jeszcze przez kilka tygodni Moray pozostawał w okolicach Pearl Harbor, przeważnie na morzu w rejonach ćwiczeń.

Ilekoć okręt podwodny zawijał do portu, Byron spędzał co drugą noc w domku Janice. Kiedy został pierwszy raz na pokładzie, Aster do niej zadzwonił. Janice nie wiedziała, co robić. Powiedziała mu, żeby przyszedł, ale dopiero wówczas, gdy mały Vic zaśnie. Ich spotkanie było jakieś niewydarzone. Ona się czuła niezręcznie, Aster szybko się w tym zorientował i po paru drinkach wyszedł, nie dotykając jej. Po tym już tylko raz się zobaczyli, zanim Moray wyruszył na patrol. Kiedy Byron powiedział jej, że rano wypływają, zawołała: - Och! To może byś zaprosił na kolację Cartera? Był strasznie dobry dla mnie i dla Vica.

- To miło z twojej strony, Jan. A czy może przyjść z jakąś dziewczyną?

- Pewnie, jeżeli zechce.

Aster nie przyprowadził dziewczyny. Jedli we trójkę przy świecach, pijąc dużo wina i pobudzając się do wesołości. Byronowi nastrój się poprawił, kiedy wrócił do służby podwodnej. Aster tak nienagannie łączył poufałość i dystans, że zyskał tym sobie wdzięczność ze strony Janice. W którymś momencie włączyli radio, żeby wysłuchać wiadomości wojennych i usłyszeli, że Niemcy poddali się wreszcie pod Stalingradem. Otworzyli z tej okazji jeszcze jedną butelkę wina.

- To ze Szwabami koniec - rzekł Byron, unosząc kieliszek - i już najwyższy czas. - W jego zamroczonym od wina umyśle wiadomość ta oznaczała rychłe uwolnienie jego rodziny.

- Bardzo słusznie. A my teraz bierzmy się za Japsów - powiedział Aster.
Kiedy wieczór się skończył i Janice została sama, w głowie jej się kręciło od wina i poczuła w rozkosznym, dziewczęcym zamęcie uczuć, że śmierć męża jest już poza nią i że naprawdę kocha dwóch mężczyzn.

`ty

57

Globalne Waterloo 4: Stalingrad

(z Całopalenia świata Armina von Roon)

`ty

Przypisek tłumacza: Na refleksjach dotyczących Stalingradu kończy się ta część Całopalenia świata, którą generał von Roon poświęcił analizie strategicznej. W oryginale książka jego zawiera przegląd wszystkich kampanii i bitw aż do końca wojny. Ale ten dalszy ciąg jest w istocie zwięźle ujęty, z dodatkiem dużo ciekawszych anegdotycznych danych, w epilogu do magnum opus Roona: są to osobiste wspomnienia z jego kontaktów z Adolfem Hitlerem, zatytułowane Hitler jako dowódca wojskowy, Dają one interesujący wgląd w rozpad osobowości Führera w okresie narastającego załamania się Niemiec na wszystkich frontach. Dalszy ciąg mojego przekładu stanowią fragmenty z tych wspomnień, uzupełnione jedynie esejem Roona o bitwie w zatoce Leyte.

Pozwoliłem sobie na pewne dowolności, jeżeli chodzi o to, co Roon pisze na temat Stalingradu. Ta bitwa, widziana z osobna, była tylko bezsensownym, trwającym pięć miesięcy przerabianiem armii niemieckich na mielonkę w jakimś dalekim mieście przemysłowym nad Wołgą. Ażeby zrozumieć, co się tam działo, potrzebny jest kontekst letniej kampanii 1942 roku. Niestety Roon tak zamącił swą analizę Planu Blau wyliczaniem nazw rosyjskich miast i rzek oraz posunięciem wojsk niemieckich, że czytelnik amerykański przez to nie przebrnie. Wprowadziłem więc parę fragmentów z Hitlera jako dowódcy wojskowego, aby rozjaśnić obraz, posiłkując się wyłączenie słowami Armina von Roon, i starałem się pominąć jak najwięcej wprowadzających zamęt szczegółów technicznych i geograficznych.

(V.H.)

`cp2

Stalingrad spełnił na polu bitwy proroczą wizję Spenglera o upadku Zachodu. Był to Singapur kultury chrześcijańskiej.

Prawdziwa tragedia Stalingradu polega na tym, że wcale nie musiało do tego dojść. Zachód był dostatecznie silny, aby temu zapobiec. Wcale nie jak z upadkiem Rzymu, Konstantynopola czy nawet Singapuru: gdzie w historii świata nastąpiło zmiążdżenie słabszej kultury przez silniejszą. Wręcz przeciwnie! My z chrześcijańskiego Zachodu, gdybyśmy byli zjednoczeni, mogliśmy łatwo odeprzeć stepowych barbarzyńców, tych Scytów, świeżo przebranych za markistowskich drapieżców. Moglibyśmy spacyfikować Rosję na przeciąg stulecia i przeobrazić jej podstawową naturę jako źródła ciągłego zagrożenia.

Ale miało się stać inaczej. Franklin Delano Roosevelt miał jeden cel: zniszczyć Niemcy, ażeby zdobyć dla amerykańskiego kapitału monopolistyczną niepodzielną władzę nad światem. Słusznie stwierdził, że Anglia jest skończona. Jeśli chodzi o groźbę bolszewizmu, to albo był na nią ślepy, albo nie widział sposobu na jej wytrzebiecie, więc uznał, że Niemcy są tym konkurentem, którego potrafi zniszczyć.

Wielki Hegel nauczył nas, że kwestionowanie moralności jednostek, tworzących historię świata, nie ma żadnego sensu. Pod względem moralnym, jeśli ceni się cywilizację chrześcijańską, którą obecnie zalewa marksistowskie barbarzyństwo, Roosevelt był niewątpliwie jednym z

największych zbrodniarzy w dziejach ludzkości. Ale w historii wojskowej bierze się pod uwagę tylko to, jak skutecznie przywódca wojskowy osiągnął swój cel polityczny. Jakkolwiek krótkowzroczny był cel Roosevelta, niewątpliwie udało mu się zniszczyć Niemcy.

`ty

Blask zachodu

`ty

Nasz drugi wielki atak na Związek Radziecki, znany pod kryptonimem "Blau" czyli "Niebieski", doprowadził do Stalingradu. Była to przenikliwa koncepcja, jej głównym twórcą był Hitler i omal się nie powiodła. Zniszczył ją sam Hitler.

Przeciwstawienie sobie Franklina Delano Roosevelta i Adolfa Hitlera w sposobie prowadzenia wojny jest iście Plutarchowskie. Z jednej strony pajęczce wyrachowanie, z drugiej ryzyko na całość; z jednej ostrożne posługiwanie się ograniczonymi siłami wojskowymi, z drugiej rozrzutne trwonienie przeważających sił; z jednej roztropne poleganie na swych generałach, z drugiej nierozważne utracanie ich decyzji; z jednej troskliwa dbałość o swych żołnierzy, z drugiej pochopne szafowanie ich życiem; z jednej baczne sprawdzanie terenu walki czubkiem stopy, z drugiej wojna totalna, nie oszczędzająca ostatnich rezerw; tak różnili się dwaj światowi przeciwnicy, gdy wreszcie starli się w 1942 roku, w dziewięć lat po dojściu przez jednego i drugiego do władzy.

We wstecznym oglądzie świat widzi w Hitlerze odrażającą postać z 1945 roku w bunkrze: zapędzona w pułapkę ofiara Roosevelta, rozkładający się, rozdygotany, zatwardziały potwór wciąż pogrążony w urojeniach, tylko postrachem trzymający w garści powaloną już Trzecią Rzeszę. Ale nie taki był Hitler w lipcu 1942. Wtedy był to jeszcze nasz wszechwładny Führer: nieprzystępny, trudny, wymagający wódz, za to władca imperium, z którym nie mogły się równać imperia Aleksandra Macedońskiego, Cezara, Karola Wielkiego ani Napoleona. Blask niemieckiego zwycięstwa oświecał planetę. Dopiero spoglądając wstecz widzimy, że był to ostatni blask zachodu.

`ty

Plan Blau

`ty

Plan Blau (Kryptonim ten już w czasie kampanii zmieniono na Braunschweig. W przekładzie zachowuję nazwę Blau. V.H.) był to kryptonim uderzenia, mającego latem zakończyć wojnę na wschodzie.

Nasze wielkie uderzenie 1941 roku, plan Barbarossa, miało na celu zniszczenie Armii Czerwonej i zdruzgotanie bolszewickiego państwa w jednej ogromnej kampanii o trzech ostrzach. Usiłowaliśmy za dużo zrobić na jeden raz. Zadaliśmy wrogowi cios, ale Rosjanin to flegmatyczny fatalista, mający zwierzęcy dar opierania się i przetrzymywania. Japońska niechęć do atakowania Syberii - o czym natychmiast powiadomił Stalina jego szpieg Sorge z naszej ambasady w Tokio - pozwoliła czerwonemu dyktatorowi ogołocić swój front azjatycki i rzucić przeciwko nam świeże dywizje swych zajadłych, bestialskich Mongołów. Te zimowe kontrataki, jakkolwiek zatrzymały nas w śniegach pod Moskwą, spaliły na panewce. Kiedy przyszły wiosenne odwilże, nadal panowaliśmy nad wielkim obszarem Związku Radzieckiego, dającym się z grubsza porównać do całych Stanów Zjednoczonych na wschód od Mississipi. Nie sposób wątpić, że rozpieszczeni Amerykanie załamałoby się pod taką okupacją. Lecz Rosjanie to inny gatunek i potrzebny im był jeszcze jeden cios, bardziej zdecydowany.

Plan Blau kontynuował południową fazę Planu Barbarossa. Jego celem było zdobycie południowej części Sowietów ze względu na jej bogactwa rolne, przemysłowe i mineralne. Opierał się na jasnym i ograniczonym założeniu:

Utrzymać się na północy i w centrum, podbić południe. Jeżeli uznamy, że dla kontynentalnej mentalności Hitlera strategia śródziemnomorska była nie do pojęcia, z innych rozwiązań to było najlepsze. Tkwiliśmy już w tym i pozostało nam tylko atakować. W dodatku zanosilo się, że nie zdołamy dokończyć tej wojny bez pól naftowych Kaukazu.

Pod całą mętną retoryką polityczną, zawartą w słynnym rozporządzeniu nr 41 Hitlera, które on własnoręcznie napisał, przerabiając profesjonalny szkic Jodla, zasady przewodnie Planu Blau przedstawiały się następująco:

1. Wyrównać linię zimowych przełamań frontu;
2. W części północnej i środkowej utrzymać się na linii Leningrad-Moskwa-Orzeł;

3. Zdobyć południe aż do granic Turcji i Persji;

4. Zdobyć Leningrad i ew. Moskwę;

5. Osiągnawszy w ten sposób główne cele w Rosji, gdyby wróg nadal walczył, umocnić linię frontu wschodniego od Zatoki Fińskiej po Morze Kaspijskie i przejść do defensywy przeciwko już osłabionemu wrogowi.

W istocie więc pierwotny cel Barbarossy przeobraził się w rodzaj Wielkiego Muru umocnionych pozycji, biegnących od Zatoki Fińskiej do wielkich pól naftowych Baku nad Morzem Kaspijskim, który by odgrodził nasze "słowiańskie Indie". Do innych podstawowych korzyści, gdyby ta kampania się powiodła, należało odcięcie dostaw Lend-Lease przez Zatokę Perską, przechylenie Turcji na naszą stronę i pozbawienie wroga nafty perskiej. Można się było też spodziewać, gdyby nam dobrze poszło, wkroczenia do Indii lub wypadu na północ, już na wschód od Wołgi, dla zdobycia od tyłu Moskwy. Nie da się ukryć, że była to polityka dość awanturicza. Raz już się nam nie powiodło i teraz próbowaliśmy zrobić to samo mniejszymi siłami. Ale Rosja też była osłabiona. Cała ta wspianiała walka narodu niemieckiego o panowanie nad światem była piramidą ryzykownych zagrań.

Gdybyśmy tylko zdołali zmienić wojenne proporcje sił przez zdobycie rosyjskiej pszenicy i nafty, a potem ustabilizowanie frontu wschodniego, mogłyby się utworzyć przed nami dwa polityczne rozwiązania, żeby zakończyć tę wojnę: przez upadek serca u Anglosasów, gdy przyjdzie im stawić czoło naszej nie podzielonej zjadłości, albo przez realistyczny pokój ze Stalinem. Lęk Roosevelta przed takim odrębnym pokojem na wschodzie decydował o całym prowadzeniu przez niego wojny. Stalin zaś do końca nie przestał podejrzewać, że plutokracje zamierzają go zostawić na lodzie. Aż do chwili naszej kapitulacji nigdy nie było pewne, czy dziwaczny sojusz naszych wrogów się nie rozpadnie.

A właściwie dlaczego Amerykanie i Brytyjczycy nigdy nie zrozumieli, że tylko wówczas, gdyby pozwolili nam pobić Rosjan, dałoby się powstrzymać światowy zalew bolszewizmu? Churchill przynajmniej chciał wylądować na Bałkanach, aby wyprzedzić Stalina w Europie Środkowej. Chociaż okazało się to złą strategią, ponieważ myśmy byli zbyt silni, a teren za trudny, wyrażała się w tym przynajmniej bystrość polityczna. Roosevelt nie chciał o tym słyszeć. Skoro sam nie mógł nas unicestwić, pomagał bolszewikom, żeby to uczynili. Poświęcił więc chrześcijańską Europę po to, żeby amerykański kapitał monopolistyczny mógł się przez krótki czas nażreć, za cenę nowego średniowiecza, którego mroki teraz szybko zapadają nad światem.

`ty

Odpowiedź krytykom Blau

`ty

Po każdej wojnie gabinetowi strategów i profesorowie historii mają tę drobną satysfakcję, że pouczają tych, którzy krwawili w bitwie, jak powinni byli to robić. Niektóre powierzchowne krytyki Planu Blau tak w kółko powtarzano, aż narosła wokół nich aura rzekomych faktów. Stalingrad był wielkim i zgubnym przełomem w historii świata, trzeba zatem wyjaśnić

okoliczności, w jakich do niego doszło.

Pod względem strategicznym Plan Blau był dobry.

Pod względem taktycznym Plan Blau nie powiódł się przez to, że Hitler z dnia na dzień wmieszał się do jego realizacji.

Krytycy utyskują, że jedynym sensownym celem wielkiej kampanii jest zniszczenie sił zbrojnych wroga. W lecie 1942 Stalin skoncentrował swe armie wokół Moskwy, zakładając, że spróbujemy zakończyć wojnę przez rozbicie jego głównych sił i zajęcie stolicy. Nasi krytycy twierdzą, że to właśnie należało zrobić. I rzeczywiście byłaby to ortodoksyjna strategia. Uderzając na południe wywołaliśmy całkowite zaskoczenie. To również jest ortodoksyjna strategia.

Przypisek tłumacza: Rosyjskie źródła potwierdzają opinię Roona. Stalin był tak mocno przekonany, że atak na południu jest pozorowany i ma służyć odciążeniu sił broniących Moskwy i tak długo trwał w tym przeświadczeniu, że tylko partactwo taktyczne Hitlera uratowało Stalingrad, a może i Związek Radziecki.

(V.H.)

`cp2

Mówi się także, iż strategiczny cel Planu Blau był niewłaściwy, bo gospodarczy. Należy zniszczyć siły zbrojne nieprzyjaciela a później można robić, co się chce, z jego bogactwami; tak brzmi to banalne pouczenie. Świadomości tych krytyków umyka sama istota Planu Blau: miał on wprowadzić olbrzymią lądową blokadę ubogiego, lecz decydującego o wszystkim, północnego kadłuba ZSRR, pozbawiając go żywności, paliwa i ciężkiego przemysłu. Blokada, jeśli zdoła się ją narzucić, jest nudnym lecz wypróbowanym sposobem powalenia wroga na kolana. Kiedy się planowało Blau, Japończycy szaleli na Pacyfiku i w Azji Południowo-Wschodniej. Zakładaliśmy, że jeszcze na rok lub dłużej zneutralizują Stany Zjednoczone. Niestety oszałamiająco szybkie przełomy, jakimi stały się Midway i Guadalcanal, pozwoliły Rooseveltowi już w 1942 roku zasypać Rosjan pomocą Lend-Lease mimo naszej blokady. I to była podstawowa różnica.

Wreszcie krytycy utrzymują, że podwójny cel Planu Blau, Stalingrad i Kaukaz, wymagał rozciągnięcia frontu południowego znacznie ponad możliwość utrzymania go przez Wehrmacht, tak iż kampania z góry skazana była na niepowodzenie.

Tylko że Stalingrad nie był celem Planu Blau. Stał się dopiero celem Hitlera, gdy we wrześniu wściekłość pozbawiła go panowania nad sobą.

`ty

Strategia Planu Blau

`ty

W pobliżu Stalingradu rzeki Don i Wołga zблиżają się w dość niezwykły sposób. Ich dwa przeciwległe zakola wielkimi "V" zwracają się ku sobie, oddzielone tu pięćdziesięcioma kilometrami suchego terenu. Pierwsza faza Blau przewidywała zdobycie tego strategicznego mostu lądowego, aby zablokować ataki z północy na nasze siły na południu, a także odciąć Wołgę jako drogę zaopatrywania północy w paliwo i żywność.

U tego "V" Wołgi rozciągało się na jej wysokim brzegu zachodnim średniej wielkości miasto przemysłowe: Stalingrad. Wcale nie potrzebowaliśmy go zajmować, wystarczyło je unieszkodliwić za pomocą bombardowania, aby zapanować nad przewężeniem. Nasz plan w ogólnych zarysach polegał na tym, aby wykonać szybkie ruchy oskrzydłające wzdłuż dwóch ramion ogromnego "V" Donu, okleszczając w ten sposób i niszcząc większość sowieckich wojsk broniących południa Rosji. Pierwsze skrzydło, siły wołżańskie - wcześniej rozpoczynając natarcie, bo miało do przebycia większą odległość - ruszyłoby wzdłuż górnego ramienia Donu. Drugie, siły kaukaskie, posuwałyby się wzdłuż

dolnego ramienia. Spotkałyby się pomiędzy obydwoma rzekami w pobliżu Stalingradu. Po zgnieceniu i likwidacji wziętych w kocioł wojsk nieprzyjacielskich te dwa wielkie zgrupowania podzieliłyby między siebie zadania w fazie drugiej, czyli podboju. Siły kaukaskie zawróciłyby na południe i przeprawiwszy się przez Don ruszyłyby na Morze Czarne, Kaspijskie i przez wysokie przełęcze górskie do granic Turcji oraz Iranu. Siły wołżańskie broniłyby niebezpiecznej flanki na całej długości Donu, którą w trakcie naszych postępów obsadziłyby trzy armie sojusznicze: węgierska, włoska i rumuńska.

To było w Planie Blau słabe ogniwo i wiedzieliśmy o tym. Ale straciliśmy już na froncie prawie milion żołnierzy i zbliżaliśmy się do kresu niemieckich rezerw ludzkich. Musieliśmy wykorzystać te siły pomocnicze, gdy Wehrmacht będzie parł naprzód. Nie przewidywaliśmy jednak, aby miały one utrzymać Don przeciw zmasowanemu natarciu Armii Czerwonej. Stało się tak jedynie dlatego, że Führer stracił głowę i unicestwił harmonogram całej kampanii.

Przypisek tłumacza: Redagując tekst Roona pominąłem zdobycie Krymu i Sewastopola przez Mansteina i niepowodzenie majowego natarcia Timoszenki na Charków. Te wielkie zwycięstwa niemieckie osłabiły Rosję na południu, sprawiając, że Plan Blau stał się operacją dużo bardziej obiecującą. Nazywam tu "Zgrupowanie Armii A" siłami kaukaskimi, a "Zgrupowanie Armii B" siłami wołżańskimi, gdyż techniczne ich określenia w ramach Wehrmachtu są trudne do odtworzenia, zwłaszcza ze względu na przegrupowania, następujące w trakcie kampanii.

(V.H.)

`ty

(Z eseju Hitler jako dowódca wojskowy)

`ty

Dlaczego się nie powiodło

...Kwatera Główna to w trakcie kampanii niespokojne miejsce. Dzień po dniu czeka się w sali z mapami na rozwój wydarzeń. Działania wojenne jakby się przewlekały i przewlekały. Tam, na polu bitwy, jest rzeczywistość: setki tysięcy żołnierzy maszerujących przez pola i miasta, którzy przemieszczają się z całą masą wyposażenia, trafiają pod ostrzał. W Kwaterze Główniej zaś widzi się wciąż te same twarze, te same ściany, te same mapy, spożywa się posiłki w tej samej stołówce i w towarzystwie tych samych zmęczonych, starszych ludzi w mundurach. Atmosfera jest napięta i cicha, powietrze duszne. Coś wyobcowanego i abstrakcyjnego jest w tym ośrodku nerwowym wojny. Wieczne napięcie odwlekającej się nadziei podgryza serca.

Wszystko to w dwójnasób odnosiło się do naszej wysuniętej kwatery głównej w Winnicy na Ukrainie. "Werwolf" czyli "Wilkołak", jak Hitler nazwał to miejsce, był kompleksem z gruba ciosanych budynków z pni i drewnianych szop na porosłej sosnami równinie nad południową częścią Bugu. Jeśli chodzi o życie towarzyskie, zupełnie nie było się czym zająć. Co się zaś tyczy aktywności fizycznej, można było iść się poplaskać w toczącej się powoli, błotnistej rzece, jeśli ktoś miał ochotę wystawiać naga skórę na chmury tnących owadów. Było upalnie i parno, do tego stopnia, że Hitler nawet nie wychodził na spacer z psem, co było dla niego jedyną formą zażywania ruchu.

Zainstalowaliśmy się tam w połowie lipca, w szczytowym okresie kampanii. Hitler źle znosił falę upałów, męczył go jaskrawy blask słońca i w ogóle była to sytuacja nader przykra. Miał większe kłopoty z trawieniem niż kiedykolwiek, nękające go wiatry były udręką dla wszystkich przebywających z nim w jednym pokoju. Nawet jego pies Blondi był nie w humorze i skomlał.

Ale i przedtem, kiedy byliśmy urządzani w chłodniejszej i wygodniejszej siedzibie w lasach Prus Wschodnich, wykazywał objawy przemęczenia i

niezrównoważenia, co przejawiało się w drastycznej zmianie planów działania dla sił kaukaskich i dla Czwartej Armii Pancernej...

`ty

(Z Całopalenia świata)

`ty

Zachwianie się Planu Blau można całkiem ściśle datować na dzień 13 lipca.

Niepokój Hitlera wzrastał z dnia na dzień. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie zgarniamy jeńców tak masowo, jak w czasie naszego wielkiego oskrzydlenia w 1941 roku. Czy Stalin oduczył się wreszcie rozkazywania swym wojskom, aby w żadnym wypadku nie ustępując szły do niewoli; czy jego południowe armie pierzchały przed nami w beładnej rozsypce; czy po prostu front był słabo obsadzony; czy też Rosjanie uciekali się do swojej klasycznej taktyki zyskiwania na czasie kosztem oddawania terenu, faktem jest, że braliśmy Rosjan do niewoli w dziesiątkach tysięcy, a nie w setkach tysięcy.

13 lipca Hitler nagle postanowił odwrócić całą kampanię wschodnią od mostu lądowego pod Stalingradem, kierując ją na południowy zachód w stronę Rostowa! Spodziewał się, że w ten sposób ruchem ciasniej oskrzydającym zgarnie olbrzymie siły Armii Czerwonej, mające się znajdować w zakolu Donu. Aby wykonać to zadanie, całe siły kaukaskie ruszyły w innym kierunku. Wyłuskał nawet z wołżańskiej siły jej wojska pancerne, męzną Czwartą Armię, aby ze szczękiem pognała na Rostów, mimo że Halder zawzięcie sprzeciwiał się zwaleni takiej potęgi pancerniej na jeden uboczny cel. Siły wołżańskie zwolniły i stanęły w miejscu, z bardzo niewielkim zapasem benzyny, bo jej główne zasoby przyszło im zużyć na tę awanturę z polowaniem na Rosjan.

Ta ogromna potęga zdobyła Rostów i zgarnęła jakieś czterdzieści tysięcy jeńców. Ale cenny czas poszedł na marne i cały Plan Blau znalazł się w rozsypce. Siły kaukaskie i Czwarta Armia Pancerna kotłowały się wokół Rostowa, blokując arterie przelotowe i powodując niewyobrażalne trudności w organizacji i zaopatrzeniu.

W tym krytycznym momencie Hitler zważył na naszą osłupiałą Kwaterę Główną swoje osławione, katastrofalne zarządzenie nr 45, chyba najbardziej niefortunny rozkaz wojskowy, jaki kiedykolwiek wydano. Anulował w nim całkowicie Plan Blau. Każdy odpowiedzialnie działający sztab generalny analizowałby taką operację, sprawdzał ją w grach wojennych i organizował przez szereg miesięcy, albo i przez rok. Hitler nagryzmolił ją od niechcienia w dzień czy dwa: i to zupełnie sam, o ile mi wiadomo. Jeżeli pomagał mu w tym Jodl, to w każdym razie nigdy się tym nie chwalił!

Zarządzenie nr 45 składało się w istocie z trzech punktów:

1. Gołosłowne stwierdzenie (w sprzeczności ze znanymi faktami), jakoby pierwszy cel kampanii został osiągnięty: tzn. że Armia Czerwona została na południu "po większej części zniszczona".
2. Siły wołżańskie mają znów ruszyć na Stalingrad, Czwarta Armia Pancerna zaś przyłączy się do nich.
3. Siły kaukaskie pod dowództwem Lista mają natychmiast uderzyć na południe, przy czym ich pierwotne, już i tak trudne zadanie poszerzone zostaje o różne dodatki, takie jak opanowanie całego wybrzeża Morza Czarnego.

Takie było ostatnie zarządzenie Hitlera w sprawie ataku. Wtedy właśnie my w Kwaterze Głównej zaczęliśmy upadać na duchu, mimo że na froncie sytuacja wciąż jeszcze wyglądała różowo. Halder, szef sztabu armii, był wstrząśnięty. Zapisał w swoim dzienniku - i powiedział mi bez ogródek - że te rozkazy już nie mają nic wspólnego z realiami wojny.

Ulotniły się teraz warunki umożliwiające przeprowadzenie naszej kampanii letniej w jakiegokolwiek sensownej formie. Nie opanowaliśmy ani górnego ramienia Donu, ani decydującego o wszystkim mostu lądowego. Przewidywano,

że siły kaukaskie, będące dolną częścią kleszczy w operacji nad Donem, ruszą na południe dopiero wówczas, gdy flanką rozciągająca się od Donu do Stalingradu będzie zabezpieczona. Teraz dwie ogromne siły miały się rozdzielić i ruszyć w odmiennych kierunkach bez zabezpieczenia na flankach i zostawiwszy między sobą przerwę ciągle rosnącą w miarę, jak będą wykonywać swe rozbieżne zadania!

Co więcej, Plan Blau przewidywał, że Jedenasta Armia Mansteina, która podbiła Krym i zdobyła Sewastopol, przejdzie Kaukaz i wesprze Lista w jego natarciu. Tymczasem Hitler, zachwycony zdobyciem Rostowa, uznał, że na południu sprawy toczą zbyt pomyślnie, aby marnować tam siły Mansteina, więc kazał mu zabrać większość swej armii i ruszyć z nią 7800-7!km na północ, ażeby zdobywać Leningrad!

Numerowane zarządzenia Hitlera kończą się na numerze 51, datującym się z końca 1943 roku; ale w istocie, po tym fatalnym numerze 45, sprowadzają się do działań defensywnych. To był z jego strony ostatni przejaw inicjatywy. Brak doświadczenia i napięcie, związane z przywłaszczeniem sobie całej politycznej i wojskowej władzy w Niemczech, odbiło się wreszcie na jego nerwowym usposobieniu, bardzo sprawnym umyśle i straszliwej sile woli. Ten rozkaz był objawem szaleństwa. Ale tylko w najgłębszej tajności naszych narad w Kwaterze Głównej ujawniła się pełnia jego obłądu. Wehrmacht posłusznie pomaszerował w otchłanną przepaść Rosji południowej, dwiema osobnymi drogami, na spotkanie swojego ponurego losu.

`ty

Przybycie do Stalingradu

`ty

Tak rozegrała się straszliwie nieodwracalna tragedia.

Siły kaukaskie dokonywały cudów, maszerując przez rozległe stepy, gorejące od upału w środku lata, wspinając się na ośnieżone szczyty łańcuchów górskich, obstawiając brzegi Morza Czarnego i wysyłając patrole aż nad Morze Kaspijskie. Ale celów swych nie osiągnęły. To, co rozkazał Hitler, było przy tych siłach ludzkich, sile ogniowej i wsparciu logistycznym niewykonalne. Wojska zatrzymywały się w natarciu na okresy sięgające dziesięciu dni z braku benzyny i ciężarówek aby ją dowieźć. W pewnym momencie, z iście grecką ironią, benzynę dla sił kaukaskich dostarczano nawet na grzbietach wielbłądów! Potężne armie Lista utykały w górach, nękane przez nieuchwytne i zajadłe oddziały Czerwonych, nie mogąc ruszyć do przodu.

Tymczasem 23 sierpnia siły wołżańskie, prące na Stalingrad, dotarły do brzegu rzeki na północ od miasta i rozpoczęły fazę unieszkodliwiania go za pomocą ciężkich nalotów bombowych i ostrzału artyleryjskiego. Opór początkowo był słaby. Przez parę dni wydawało się, że Stalingrad będzie zdobyty od ręki. Ale tak się nie stało. My byliśmy u kresu możliwości, a Stalingrad przetrzymał pierwsze uderzenie.

Przypisek tłumacza: Te suche sformułowania Roona raczej nie oddają rzeczywistości z punktu widzenia Rosjan.

Marsz bojowy Szóstej Armii na Stalingrad okazał się bodajże najstraszniejszym wydarzeniem tego, co Rosjanie nazwali Wielki Wojną Ojczyźnianą. Dowódcy ich armii, ludność i sam Stalin byli zdumieni tą świeżą potęgą niemieckiego natarcia na żywotne miejsca ich kraju. Bombardowanie 23 sierpnia stało się jedną z najokropniejszych prób ogniowych, jakie Rosjanom zdarzyło się kiedykolwiek przejść. Zginęło jakieś 40 tysięcy cywilów. Płonące ulice miasta dosłownie "spływały krwią". Wszelkie połączenia z Moskwy zostały odcięte. Przez kilka godzin Józef Stalin był przekonany, że Stalingrad padł. Ale mimo iż miasto poniosło jedno z najcięższych strat i zniszczeń, jakie odtąd wydarzyły się w dziejach wojny, był to moment przełomu.

Większość autorów wojskowych dochodzi do wniosku, że gdyby Hitler nie wmieszał się w Plan Blau, siły wołżańskie dotarłyby do rzeki kilka tygodni wcześniej, kiedy Stalinowi jeszcze się wydawało, że natarcie w kierunku południowym to manewr mylący. W efekcie początkowego zaskoczenia Stalingrad zostałyby zdobyte i cała wojna mogłaby się potoczyć inaczej. Hitler rozpruł brzuch Planowi Blau, zwracając jego siły na Rostów.

(V.H.)

`ty

Katastrofa pod Stalingradem

`ty

Jak już powiedziano, zdobycie Stalingradu nie było konieczne.

Naszym celem było opanowanie mostu lądowego pomiędzy rzekami i pozabawienie Sowietów Wołgi jako drogi zaopatrzenia. Otóż i dotarliśmy do Wołgi. Pozostało nam tylko oblegać miasto i bombardując obrócić je w perzynę. W końcu Leningrad oblegaliśmy ponad dwa lata. Około miliona Rosjan zmarło na jego ulicach z głodu i z wojskowego punktu widzenia Leningrad był już trupem w stanie rozkładu. Nie istniały powody natury wojskowej, aby Stalingradu nie potraktować w taki sam sposób.

Narastały jednak powody polityczne. Bo kiedy siły kaukaskie, mimo wściekłych ponagleń ze strony Hitlera, utknęły na dzikich przełęczach górskich; kiedy Rommel, zatrzymany pod El Alamein, po dwóch nieudanych natarciach sam wreszcie uległ miażdżącemu natarciu Brytyjczyków; kiedy RAF nasilał swe barbarzyńskie naloty zapalające na nasze miasta, mordując tysiące niewinnych kobiet i dzieci oraz ścierając w pył ważne fabryki; kiedy nagle i zastrasząco wzrosły straty naszych U-Bootów; kiedy Amerykanie wylądowali w Afryce Północnej z efektem politycznym, który zatrzęsł światem; kiedy przyszło wypić całe to nawarzone piwo i ulotniło się wielkie upojenie Adolfa Hitlera z powodu naszych letnich triumfów, a pojawiły się pierwsze pęknięcia w jego gigantycznym imperium, ustawiony w szyku bojowym Führer coraz to rozpaczliwiej łaknął prestiżowego zwycięstwa, które by mogło to wszystko odwrócić.

Stalingrad!

Nazwany imieniem jego najpotężniejszego wroga: STalingrad! Stalingrad, symbol bolszewizmu, z którym walczył przez całe życie! Stalingrad, miasto coraz częściej pojawiające się w nagłówkach prasy światowej jako punkt zwrotny w wojnie!

Zdobycie Stalingradu stało się dla Adolfa Hitlera przedmiotem niewiarygodnie zajadłej obsesji. W następnych tygodniach jego rozkazy stały się szaleństwem nie mającym granic. Szósta Armia, której ruchoma siła uderzeniowa odniosła nieprzerwany szereg zwycięstw w Polsce, Francji i Rosji, wrzucana była, dywizja po dywizji, na zmielenie w tej maszynie do mięsa, którą stały się zrujnowane ulice Stalingradu, gdzie ruchoma taktyka walki była niemożliwa. Słowiańscy strzelcy wyborowi kosili weteranów wspaniałej Szóstej w ulicznych "walkach szczurów" o dom za domem. Rosyjski Sztab Generalny wciąż dostarczał z za Wołgi obrońców, podtrzymując tę walkę na wyniszczenie i zarazem przygotowując się metodycznie do olbrzymiego przeciwwuderzenia na słabe armie satelitów od flanki na Donie. Bo Stalin zrozumiał wreszcie, że Hitler, obsesyjnie wpychający swoje najświetniejsze dywizje w stalingradzką paszczę Molocha, stwarza mu wspaniałą sposobność.

Uderzenie nastąpiło pod koniec listopada. Armia Czerwona runęła przez Don na wojska rumuńskie, strzegące flanki sił wołżańskich na północny zachód od Stalingradu, i weszła w te niezbyt wojownicze jednostki posiłkowe jak nóż w masło. Podobny atak zdruzgotał rumuński korpus osłaniający flanki naszej Czwartej Armii Pancерnej na południowym skrzydle. Rozwijające się z upływem grudnia natarcie rosyjskie wdarło się w nasze linie wzdłuż całego Donu, gdzie tyłów Szóstej Armii strzegli Węgrzy i Włosi; i stalowa pułapka;

zatrzasnęła się, ogarniając trzysta tysięcy niemieckich żołnierzy, kwiat Wehrmachtu.

`ty

(Z eseju Hitler jako dowódca wojskowy)

`ty

...Tak się złożyło, że przez znaczną część tego krytycznego okresu byłem nieobecny w Kwaterze Głównej, przeprowadzając długą inspekcję w terenie. Kiedy odjeżdżałem pod koniec sierpnia, w Rosji wszystko toczyło się jak najlepiej. Obie siły posuwały się szybko naprzód, każda na swoim rozbieżnym froncie; Armia Czerwona ciągle jakby w zaniku, nie korzystała z okazji, jaką stwarzała jej ogromna luka w naszych liniach; a Hitler, chociaż nie bez powodu spięty i nerwowy, poza tym strasznie cierpiący od upałów, zdawał się być w dobrym nastroju.

Po moim powrocie zastałem w Werwolfie szokujące zmiany. Halder odszedł, zwolniony. Nikt nie przyszedł na jego miejsce. Pozbawiono też generała Lista dowództwa sił kaukaskich. Jego także nikt nie zastąpił. Obie funkcje przejął sam Hitler!

Adolf Hitler był teraz nie tylko głową państwa niemieckiego, głową partii nazistowskiej i najwyższym dowódcą sił zbrojnych; był także swoim własnym szefem sztabu, jak również bezpośrednim dowódcą sił kaukaskich, które utknęły w górach odległych o przeszło tysiąc kilometrów. I nie był to koszmar senny; działo się to naprawdę!

Hitler w ogóle się nie odzywał do Jodla, niegdyś swego ulubieńca i zaufanego. Nie odzywał się do nikogo. Posiłki spożywał i spędzał większość czasu w zaciemnionym pokoju, pogrążony w swych rozmyślaniach. Na oficjalnych spotkaniach ze sztabem tylko zmieniała się sztafeta sekretarzy, zapisujących każde słowo; Hitler rozmawiał z tymi sekretarzami i z nikim więcej. Zerwanie stosunków z armią było kompletne.

Po trochu złożyłem sobie w całość, co zaszło. Sprzeciwy Haldera wobec tego, jak bezsensownie Hitler przebiegał do ataku na Stalingrad, doprowadziły wreszcie do tego, że we wrześniu dostał od ręki dymisję; i oto znikł ostatni wśród nas człowiek przytomny, jedyny wyższy oficer sztabu, który od lat ważył się sprzeciwiać Hitlerowi.

Co do ustępliwego Jodla, Führer wysłał go samolotem do sił kaukaskich, żeby przynaglił generała Lista do tego, by za wszelką cenę znów ruszył naprzód. Ale Jodl wrócił i pierwszy raz w życiu powiedział Hitlerowi prawdę: że List nie może ruszyć naprzód, jeżeli nie poprawi się logistyka. Hitler się wściekł; Jodl, w zadziwiająco przychylnym odwagi, zwrócił się przeciwko swemu wodzowi, wyliczając wszystkie rozkazy Hitlera, które doprowadziły do tego impasu. W końcu obaj zaczęli wrzeszczeć na siebie jak przekupki; i od tej pory Jodl nie miał już wstępu przed oblicze wielkiego człowieka.

Upłynęło kilka dni, zanim wezwano mnie na odprawę. Byłem całkowicie gotów, choćbym miał to przypłacić głową, złożyć raport o złym zaopatrzeniu Rommla. Tymczasem Hitler nie kazał mi zabrać głosu. Nigdy jednak nie zapomnę spojrzenia, jakie utkwiał we mnie, kiedy wszedłem do pokoju. Z szarą twarzą, czerwonymi oczyma, skulony w fotelu z głową wciągniętą między ramiona, jedną rozdygotaną dłoń ścisnąwszy w drugiej, wypatrywał w mojej twarzy, co za nowiny przynoszę: jakiegoś promyka optymizmu albo nadziei. Nie spodobało mu się to, co wypatrzył. Wybałuszył się na mnie groźnie, szczerząc zęby, i odwrócił się. Wyglądał jak zagonione i zaszczute zwierzę. On wie, uświadomiłem sobie, że spartaczył kampanię Blau, zmarnował ostatnią szansę Niemiec i przegrał wojnę; i że ze wszystkich stron świata zbliżają się już kaci ze stryczkiem w rękach.

Ale nie zwykł się przyznawać do błędów.

W tych okropnych tygodniach, wlokących się aż do momentu, gdy Szósta

Armia się poddała - a nawet do chwili, gdy w 1945 roku zastrzelił się w bunkrze - nie słyszeliśmy nic innego, tylko to, jak generałowie go zawiedli; jak utraciliśmy Stalingrad przez to, że Bock zwlekał pod Woroneżem; jak nieudolny był List; jak w sytuacji bojowej nerwy obezwładniły Rommla; i tak dalej bez końca. Nawet i wtedy jeszcze, gdy w kotle stalingradzkim nasze siły, już pokawałkowane, zaczęły się kolejno poddawać, on nie potrafił wymyślić nic lepszego niż mianowanie Paulusa marszałkiem polnym; a gdy Paulus wolał się poddać niż popełnić samobójstwo, Hitler zareagował jednym z najokropniejszych ataków wściekłości, że dziewięćdziesiąt tysięcy jego najlepszych żołnierzy dostało się do niewoli; że ponad dwieście tysięcy niesławnie zginęło z jego powodu; wszystko to nic nie znaczyło dla tego człowieka. Paulus nie okazał wdzięczności za awans, jak należało, strzelając sobie w łeb. Tylko to wstrząsnęło Hitlerem.

`ty

(Z Całopalenia świata)

Sekcja zwłok

`ty

Hitler nigdy nie pozwolił Szóstej Armii skorzystać z jedynej szansy, jaka jej pozostała, mianowicie przebić się w walce na zachód; czy zaraz po znalezieniu się w matni, kiedy mogła zrobić to jeszcze o własnych siłach, czy w grudniu, kiedy Manstein na czele świeżo uformowanych sił dońskich przedarł się w walce przez śniegi na odległość 65-70 km od miejsca połączenia. Hitler nigdy nie pozwolił Paulusowi na wyrwanie się z okrążenia. Aż do chwili, kiedy Paulus się poddał, po Kwaterze Głównej rozlegał się w kółko jeden i ten sam wrzask: "Nie odstąpię od Wołgi!"

Wciąż bredził o "Twierdzy Stalingradzkiej", ale nie było tam żadnej "twierdzy" tylko otoczona i kurcząca się armia. Chełpił się, przemawiając do narodu przez radio pod koniec października, że faktycznie zdobył Stalingrad i teraz bez pośpiechu likwiduje gniazda oporu, ponieważ "nie chce kolejnego Verdun", a czas nie ma znaczenia. W ten sposób publicznie spalił za sobą mosty skazując Szóstą Armię na to, by zginęła, nie ruszając się z miejsca.

Niektórzy z analityków wojskowych obecnie zwalają tę klęskę na Göringa, który obiecał dostarczać otoczonej Szóstej Armii drogą powietrzną zaopatrzenie w ilości siedmiuset ton dziennie. W rzeczywistości wysiłek Luftwaffe nigdy nie sięgnął dwustu ton, a Göring przypisywał to złej pogodzie. Obietnice Göringa były, rzecz jasna, tylko podskakiwaniem, jak pan mu zagra. On i Hitler byli starymi towarzyszami broni. Göring wiedział, co Hitler chciałby od niego usłyszeć i tak gadał, skazując wielu pilotów z Luftwaffe na bezużyteczną śmierć. Hitler nigdy go za to nie zganił. Chciał tylko nie ruszyć się znad Wołgi, póki nie nastąpiła tragedia, i przejryste kłamstwo Göringa mu w tym pomogło.

Jodl zeznał w Norymberdze, jakoby już w listopadzie Hitler zwierzył mu się prywatnie, że Szósta Armia skazana jest na zagładę; ale trzeba ją poświęcić, aby osłonić odwrót armii z Kaukazu. Co za brednie! Odwrót w walce spod Stalingradu byłby dużo bardziej sensowny. Jednakże tkwiący w Hitlerze propagandzista wyczuwał, że tragedia ginącej armii może skupić naród wokół jego osoby, podczas gdy haniebne połknięcie własnych przechwałek w drodze odwrotu naderwałoby jego prestiż. Tak jakoś rozumując, poświęcił wspaniałą siłę uderzeniową, składającą się z zahartowanych w boju weteranów, której nie dało się już niczym zastąpić.

`ty

Triumf Roosevelta

`ty

Proklamowanie w tym czasie przez Franklina Roosevelta, na styczniowej

konferencji w Casablance, sloganu o "bezwarunkowej kapitulacji" było pod każdym względem mistrzowskim posunięciem. Krytykujący to hasło - wśród nich sam dostojny generał Eisenhower - jakby nie rozumieli, co Roosevelt osiągnął przez to huczne pociągnięcie; które, z właściwą sobie chytryością, przemycił jako rzuconą mimochodem uwagę na konferencji prasowej.

Przede wszystkim uświadomił całemu światu, a zwłaszcza Niemcom, fundamentalny fakt, że teraz już przegrywamy tę wojnę. Cały zwrot w sytuacji "globalnego Waterloo" skryształizował się w tych dwóch prostych słowach.

Po drugie: publicznie dał znać Stalinowi o anglo-amerykańskim postanowieniu, że na zachodzie nie będzie wynegocjowanego pokoju. Bez wątpienia Stalin wciąż podchodził do tego sceptycznie, niemniej było to najgłośniejsze i najmocniejsze zapewnienie, jakiego Roosevelt mógł mu udzielić.

Po trzecie: Roosevelt zapewnił wahające się jeszcze narody, takie jak Turcja i Hiszpania, oraz podbite ludy całej Europy i Arabów patrzących tylko, skąd wiatr wieje, że mocarstwa zachodnie nie popuszczą, chociaż w Rosji sytuacja się odwróciła, i nie pozwolą bolszewikom pochłonać Europy i Bliskiego Wschodu.

Po czwarte: dał swemu własnemu narodowi, rozpieszczonemu i miękkiemu, z okazji pierwszego zwycięstwa nad nami, wyraźny i prosty cel działań wojennych, trafiający do ich naiwnej psychologii, a przeciwstawiający się wszelkim pomysłom skrócenia wojny i zawarcia kompromisowego pokoju.

Słyszcy się kontrargument, że jako naród Niemcy byli uodpornieni i gotowi wytrwać do końca pod wodzą Hitlera; że Roosevelt powinien był zaapelować za jego plecami do nich i do armii, ażeby obalili reżim nazistowski i zawarli honorowy pokój. W argumentie tym przejawia się dufna nieświadomość, czym była w rzeczywistości Trzecia Rzesza.

Hitler przerobił Niemcy na taką modłę, jaka była mu wyłącznie potrzebna: stworzył system składający się z bezgłowych struktur - nie wyłączając armii - w którym wszelka władza skupiała się w jego ręku. Nie było nikogo, kto by mógł obalić nazistów. Nie było do kogo się zwracać. Nasze przeznaczenie narodowe związało się z tym człowiekiem. Taki był jedyny cel wszystkich jego poczynań od czasu objęcia władzy i to zdołał osiągnąć.

On był Niemcami. Siły zbrojne związały się z nim przysięgą na swój święty honor. Próba zamachu, która się nie powiodła w lipcu 1944 roku, była nierozumna i zdradziecka. Nie brałem w niej udziału i nigdy tego nie żałowałem. Dla każdego z generałów, tak jak dla mnie, powinno być jasne, że jeśli się najpierw każe ludziom ginąć na polu walki za Wodza, a potem chce się tegoż Wodza (choćby nawet był nieodpowiedni) zamordować, to popełnia się zdradę samej zasady.

Nie raz myślałem sobie, w złych momentach w Kwaterze Głównej, jak stosunkowo łatwo byłoby jednemu z nas zastrzelić Hitlera. On jednak wiedział, że może polegać na dwóch filarach niemieckiego charakteru: na Honorze i Obowiązku.

Naród niemiecki znalazł się w tragicznej pułapce dziejów, skazany na to, aby jeszcze przez straszliwe dwa i pół roku walczyć jedynie po to, by utrzymać przy życiu Głowę Państwa, która go doprowadziła do zagłady. Zbyt późno uświadomiliśmy sobie fatalny błąd "zasady wodzostwa": Führerprinzip. Monarcha może podjąć starania o pokój, zachowując mimo przegranej honor i trwałość swojego narodu, jak to uczynił cesarz Japonii. Ale przegrywający wojnę dyktator jest tylko osaczonym uzurpatorem, który musi walczyć do końca, jak szekspirowski Makbet, brnąc coraz to głębiej we krwi.

Hitler nie mógł abdykować; i nie mógł abdykować żaden z hitlerowców. Stało się to niemożliwe ze względu na dokonaną przez nich skrycie masakrę Żydów. Zasada "bezwarunkowej kapitulacji" nie sprawiła najmniejszej różnicy tak im, jak i narodowi niemieckiemu. Teraz nic nie mogło rozdzielić Hitlera

i Niemców ani położyć kresu wojnie z wyjątkiem Götterdämmerung.

Przypisek tłumacza: Operacyjny szkic generała von Roona, poświęcony losom sił kaukaskich, następujący po relacji dotyczącej Stalingradu i zatytułowany Epicka anabaza zgrupowania wojskowego A, jest najdłuższym z esejów w Całopaleniu świata. Nie sadzę, aby interesował on amerykańskiego czytelnika w tym stopniu, co niemieckich czytelników Roona. Najkrócej mówiąc, gdy armia Paulusa skapitulowała pod Stalingradem, siły kaukaskie stanęły przed perspektywą całkowitego odcięcia od swej linii odwrotu. Po długich wahaniach Hitler mianował dowódcą północnej i najbardziej zagrożonej z tych nieszczęsnych armii bardzo zdolnego generała von Mansteina, żeby go z tego wyciągnął. Manstein zrobił to za pomocy różnych błyskotliwych manewrów w najgorszych warunkach zimowych. Inny generał, Kleist, dowodził odwrotem sił południowych do przyczółka nad Morzem Czarnym. W końcu siły kaukaskie wydostały się w dobrej formie, jeszcze w odwrocie zadając ciężkie ciosy Armii Czerwonej; i Niemcy znaleźli się znowu mniej więcej na tej samej linii, z której wyruszył Plan Blau. Było to potwornie jałowe ćwiczenie militarne, a spowodował je najwyższy "intuicyjny" geniusz niemiecki, który najpierw rozkazał je przeprowadzić, a później spartaczył. Obiegowym się stało w Wehrmachcie gorzkie określenie tej całej kampanii: "Na Kaukaz i z powrotem".

Zdarzyło mi się poznać osobiście Hitlera, toteż wiem, jak potrafił być miły, a nawet sympatyczny, niczym szef gangu: miał on tę siłę przebicia i chytryść doskonałego zbrodniarza. Ale według mnie wielkość nie na tym polega. Początkowe "sukcesy" Hitlera można określić po prostu jako zaskakująco skuteczną grabież ze strony zuchwałego rabusia, który stał się głową państwa i uzyskał swobodę działania, mając za sobą wspierającą go potęgę wielkiego narodu.

Dlaczego Niemcy mu się tak powierzyli, pozostaje zagadką historyczną. Wiedzieli, co biorą. On to sam z góry zapowiedział w swojej książce Mein Kampf. On i jego narodowosocjalistyczne kohorty byli od początku banda jawnych i bardzo niebezpiecznych zbirów, jednakże większość Niemców uwielbiała te monstra i wierzyła w nie aż do chwili brutalnego ocknięcia się pod Stalingradem, a nawet o wiele dłużej.

(V.H.)

`ty

58

Żyd w podróży

Wyjatek z rękopisu Aarona Jastrowa

`ty

20 lutego 1943 Baden-Baden

...Nigdy nie zapomnę chwili, gdy pociąg minął podniesione szlabany, nad którymi łopotała wielka czerwona chorągiew ze swastyką i wzdłuż torów zaczęły się pokazywać znaki pisane po niemiecku. Byliśmy wtedy w wagonie restauracyjnym, spożywając ohydny obiad, złożony z solonych ryb i zgnitych kartofli. Warto się było przyjrzeć otaczającym nas twarzom Amerykanów. Wprost nie mogłem patrzeć na moją bratanicę. Później mówiła mi, że była już w zbytnim szoku, aby zauważyć przekroczenie granicy. Tak teraz mówi. Ale wtedy widziałem na jej twarzy grozę jak u kogoś, kto za chwilę ma runąć w dół po wodospadach Niagary.

Dla mnie to nie był aż taki skok w przepaść. Miałem dość miłe wspomnienia z Niemiec przedhitlerowskich; a w czasie krótkiego i wyjazdu na Igrzyska Olimpijskie 1936 roku, na który zdecydowałem się niechętnie, aby coś napisać dla prasy, gdy swastyki powiewały wszędzie, gdzie spojrzeć, nie napotkałem żadnych trudności oprócz tego, że sam czułem się nieswojo. Znałem kilku Żydów, którzy jeździli do Niemiec hitlerowskich w interesach i paru odpornych, którzy czynili to dla perwersyjnej przyjemności. Niewiele

przy tym ryzykowali. Niemiec porusza się po ustalonym torze; to jego cnota i zarazem groźba. Podróżujący Żydzi są na torze turystyki, jak ja na torze dziennikarstwa, zatem bezpieczni. Bardzo liczę na ten rys teutoński. Choćby prawdziwymi się okazały najgorsze z opowieści o niemieckim bestialstwie, my jesteśmy na torze dyplomatycznym. Nie przewiduję, by antysemityzm wyskoczył ze swego toru i zagroził nam na tym naszym torze, zwłaszcza że mamy być przehandlowani za nazistowskich agentów, zapewne w przeliczeniu wynoszącym ich czterech czy pięciu za jednego.

Mimo wszystko w ciągu pierwszych dni, któreśmy tu spędzili, nie zdarzyło mi się odetchnąć spokojnie. Natalia przez tydzień nie spała i nie jadła. Wyzywający, natrętny błysk w jej oczach, kiedy trzymała na kolanach swego synka, miał w sobie jakby odrobinę szaleństwa. Ale po jakimś czasie uspokoił się. To stara historia: nie ma nic równie straszniejszego jak niewiadoma. To, czego się najbardziej bałem, gdy cię dopadnie, rzadko kiedy okazuje tak okropne, jak sobie wyobrażałem. Życie w hotelu Brenner Park jest dosyć posępne, ale już przywykliśmy do niego i głównie umieramy z nudów. Gdyby mnie ktoś zapytał, czy w Baden-Baden bardziej nękał mnie strach, czy nuda, będę zmuszony odpowiedzieć: "Nuda, i to bez porównania bardziej".

Od tutejszej ludności jesteśmy odcięci. Krótkofalowe radia nam skonfiskowano i nie możemy słuchać żadnych wiadomości oprócz tych z Berlina. Z gazet i tygodników dostajemy tylko nazistowskie i parę francuskich, wypełnionych najgrubszymi z kłamstw niemieckich, wyrażonymi w języku Moliere'a, Woltera, Lamartine'a i Victora Hugo: kurewstwo dużo gorsze od tego, któremu poddaje się nieszczęsna prostytutka francuska, kiedy ją tryka i posuwa jakiś włochaty Szwab. Gdybym był dziennikarzem francuskim, prędzej dałbym się zastrzelić, niżbym tak splugawił honor mój własny i honor mego eleganckiego języka.

Przynajmniej mam taką nadzieję.

Tak niewiele mając do czytania i nic do roboty, wszyscy Amerykanie zamknięci w Baden-Baden rozkładają się w oczach, a ja może bardziej od innych. Od pięciu tygodni nic nie zapisałem w tym dzienniku. Ja, który szczyliłem się niegdyś, jak to jestem nawykły do pracy; ja, produkujący słowa regularnie jak Anthony Trollope; ja, nie mający nic innego do roboty i tak strasznie dużo do powiedzenia, pozwoliłem, aby ten zapis mi się wymknął, jak pensjonarce, która zaczyna prowadzić dzienniczek, potem go zaniedbuje i wreszcie zostawia prawie pusty notatnik, aby leżał i butwiał w szufladzie, aż po dwudziestu latach znajdzie go i będzie nad nim chichotać inna uczennica, jej córka.

Ale czas na fanfary! Wczoraj nadeszły pierwsze paczki żywnościowe z Czerwonego Krzyża i wszyscy otrząsnęli się z chandry. Szynka w puszkach! Peklowana wołowina! Ser! Łosoś w puszkach! Sardynki w puszkach! Ananas w puszkach! Brzoskwinie w puszkach! Jaja w proszku! Kawa rozpuszczalna! Cukier! Margaryna! Rozkosz mi sprawia samo pisanie tych słów. Te podstawowe produkty amerykańskie są piękne dla naszych oczu, wyborne dla podniebienia, ożywcze dla nadwątłych organizmów.

Jak ci Niemcy, u licha, mogą toczyć wojnę, wiecznie o tym czarnym chlebie, kartoflach i nadgniłych jarzynach? Bez wątplenia żołnierze otrzymują lepsze jedzenie, jeśli takie tu w ogóle jest; ale cywile! Nasze racje są podobno i tak o pięćdziesiąt procent obfitsze niż to, co dostaje przeciętny Niemiec. Można sobie napchać brzuch skrobnią i błonnikami, ale kwitnąć nawet pies nie będzie na takiej diecie. Mniejsza już o odrażającą kuchnię w tym sławnym hotelu. Przedstawiciel Szwajcarii zapewnia, że nikt nas nie szykanuje, że wszystkie hotele w Niemczech serwują teraz jedzenie nawet gorsze niż tutaj. Kiedy indziej opiszę, co jedliśmy; dziwne urządzenia w jadalni; wstrętne wino, czarnorynkowego sznapsa z kartofli, cały nasz sposób egzystencji w gościnie u niemieckich "gospodarzy".

Wszystko to warto utrwalić. Ale najpierw chcę nadrobić zaległości.

Jest godzina jedenasta rano, bardzo zimno. Wszedłem pod blade słońce na balkonie i piszę, dokładnie opatulony. Te białka i witaminy od Czerwonego Krzyża krążą mi w organizmie i znów jestem sobą, łaknę słońca, świeżego powietrza i poruszającego się pióra. Dzięki Bogu!

Od wyjazdu z Marsylii mam kłopoty z trawieniem. W Lourdes myślałem, że to przez napięcie nerwowe. Ale po tym przeraźliwym obiedzie w pociągu strasznie się rozchorowałem i od tej pory moje kiszki są w bardzo złym stanie. Ale dzisiaj czuję się sprawny jak chłopiec. Miałem (aż śmiesznie to zapisywać, ale taka jest prawda) wspaniale normalne wypróżnienie, nad którym chciało mi się radośnie gdać jak kurze nad jajkiem. Jestem pewien, że nie tylko żywność spowodowała to magiczne ozdrowienie. Musi to być coś psychicznego; mój żołądek rozpoznaje amerykański pokarm. Mógłbym pogratulować mu tej wrażliwości politycznej.

`ty

W sprawie Louisa.

`ty

Cały hotel go rozpieszcza. Z każdym tygodniem przybywa mu sprawności, słownictwa i uroku. Oczarował całą grupę już w pociągu. W Lourdes nikt raczej go nie widywał; ale na dworcu ktoś podarował mu ładną zabawkę, skrzeczącą małpkę, z którą Louis dreptał tam i z powrotem po pociągu, w sposób godny podziwu utrzymując równowagę w rozchybotanym wagonie i wręczając ludziom swoją małpkę do naciśnięcia. Tak się z tego cieszył, że Natalia pozwoliła mu wędrować. Rozproszył ponury nastrój w całym wagonie. Zaniósł małpkę nawet pilnującemu nas gestapowcowi w mundurze, który zawahał się, a potem wziął tę małpkę i bez cienia uśmiechu na twarzy zrobił: kueek!

Cały traktat w stylu Mereditha o duchu komizmu byłby potrzebny, aby wyjaśnić, dlaczego cały wagon wybuchnął śmiechem. Gestapowiec rozejrzył się w zakłopotaniu, po czym też się roześmiał; i na moment wszystkich nas jakby uderzył przeraźliwy bezsens tej wojny, nawet jego. Omawiano ten incydent w całym wagonie i chłopczyk z małpką stał się pierwszą pośród nas znakomitością w hotelu Brenner Park.

Poświęciłem błahemu incydentowi może więcej miejsca, niż należało, aby unaocznic czarującą osobowość tego dziecka. Podczas ataków mej choroby w ostatnich tygodniach (niektóre z nich były naprawdę ciężkie) jedna podstawowa myśl chroniła mnie od apatii: nie wolno mi odejść i nie odejść, póki Natalia i Louis nie będą bezpieczni. Będę ich strzegł do śmierci, jeśli trzeba, walcząc z depresją i chorobą, ażebym mógł ich bronić. Nasze wątki zaświadczenia dziennikarskie opierają się na paru artykułach, zamieszczonych przeze mnie w tygodniku. Specjalne przywileje, z jakich korzystamy - ten dwupokojowy apartament na górnym piętrze z balkonem, wychodzącym na ogród hotelowy i park - mogą wynikać jedynie z mej pozycji literackiej, takiej, jaką posiadam. W końcu nasze życie może zależeć od tego skoku, jaki uczyniłem, dzięki nominacji do klubu książki, z uniwersyteckiej anonimowości w coś na kształt sławy u czytającej publiczności.

W naszej grupie jest wiele dzieci, ale Louis się wyróżnia. Ten chochlik ma szczególne przywileje i nasz główny rwacz, attache morski, załatwia mu więcej jedzenia i lepszej jakości. Kiedy się dowiedział, że Natalia jest żoną oficera Marynarki Wojennej, całkiem go to podbiło. Ich stosunki przekształciły się w sterylnie czystą (jestem tego pewien) poufałość. Przynosi mleko, jajka, a nawet mięso dla Louisa. Przyniósł też zabronioną kuchenkę elektryczną i Natalia włącza ją na balkonie, aby ktoś nie wywęszył zapachów. Teraz namawia ją do wystąpienia w roli Elizy w Pigmalionie, którego chce wystawić w kółku teatralnym. A ona się nawet ku temu skłania. Często gramy we trójkę w karty albo w anagramy. W sumie, jeżeli zważyć, że

znajdujemy się w Niemczech hitlerowskich, Natalia i ja prowadzimy zadziwiająco banalną egzystencję, jak pasażerowie w nie kończącym się rejsie na jakimś trzeciorzędym statku, bez ustanku szukający sposobów na zabicie czasu. W naszych dniach nuda to powtarzający się ton kontrabas, a strach to sporadyczny pisk fletu piccolo.

Wiadomo, że jesteśmy Żydami. Przedstawiciel niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, stacjonujący tu w Brenner Parku, umyślnie pogratulował mi Żydowskiego Jezusa. Trzeba przyznać, że mówił o nim całkiem inteligentnie. Z początku mnie to przeraziło, ale biorąc pod uwagę niemiecką dokładność, naiwną wydaje się teraz nadzieja, że mnie przeoczą. Nazwisko moje figuruje w międzynarodowym Who's Who, w Leksykonie Autorów i w rozmaitych wykazach akademickich. Jak dotąd moje żydostwo nie sprawiło żadnej różnicy, a moja poniekąd sława nawet wychodzi na dobre. Niemcy szanują pisarzy i profesorów.

Pewnie tym się tłumaczy staranna opieka medyczna, jakiej mi udzielono. Nasz amerykański doktor z Czerwonego Krzyża raczej zbywał moje kłopoty gastryczne wzruszeniem ramion jako "internitis", jego własne żartobliwe określenie prześladowających naszą grupę niedomagań. Ale w trzecim tygodniu rozchorowałem się tak poważnie, że zażądał umieszczenia mnie w szpitalu. Tak oto poznałem w Szpitalu Miejskim w Baden-Baden doktora R... Jego nazwiska nie podam nawet pisząc tym uciążliwym szyfrem, żydowskimi literami. Kiedy będę miał więcej czasu, muszę nakreślić portret doktora R... Natalia woła mnie na obiad. Powierzylimy trochę naszych cennych produktów z Czerwonego Krzyża kuchni hotelowej, która obiecała je świetnie przyrządzić. Będziemy jedli potrawkę z mielonej wołowiny; nareszcie, nareszcie coś poprawi smak tych piekielnych kartofli.

`cp2

21 lutego Baden-Baden

Ciężko pochorowałem się ostatniej nocy i do dzisiaj wcale nie jestem zdrowy. Postanowiłem jednak, że skoro już ponownie zacząłem prowadzić ten dziennik, będę się tego trzymał. Czuję, że żyję, kiedy poruszam tym piórem po papierze.

Wściekłem się widząc, jak kuchnia hotelowa spartaczyła tę potrawkę z wołowej mielonki. Złość bez wątpienia wywołała atak niestrawności. Czy może być danie łatwiejsze do przyrządzenia? Okazało się jednak przypalone, zlepione w grudy, zimne, tłuste, w ogóle obrzydliwe. Więcej nie popełnimy tego błędu. Attache, Natalia i ja zrzucimy nasze produkty z Czerwonego Krzyża do wspólnej puli, aby odtąd przyrządzać je i spożywać w naszych pokojach i diabli niechaj porwą tych Szwabów. Inni robią to samo; miłe wonie unoszą się na korytarzach.

Wedle najświeższych pogłosek wymiana i zwolnienie nas ma się dokonać około Wielkiejnocy, bo Niemcy chcą się popisać swym cywilizowanym szacunkiem dla religii. Pinkney Tuck powiedział mi, że to czysta fantazja i chciejstwo, jednak pogłoski krążą. Psychologia tej grupy jest fascynująca. Można by o tym napisać powieść nie gorszą niż Czarodziejska góra; jaka szkoda, że nie zostało we mnie ani krzty popędu twórczego. Gdyby Louis był starszy, on mógłby się stać naszym Tomaszem Mannem i kto wie, czy jego bystry, mały umysł nie rejestruje więcej, niż jest dla nas widoczne.

Wzmianka o Wielkiejnocy przypomniała mi, że w zapisku z Lourdes napocząłem temat mego nieudanego przejścia na katolicyzm. To stara historia, smutna i smętna, grzebanie się w wystygłych popiołach. Ponieważ jednak te kartki, jeżeli mnie przeżyją, mogą się okazać ostatnią spuścizną mego krótkiego i niewiele znaczącego przejścia po świecie, niechże tu nabazgrzę kilka słów na temat głównych okoliczności. Zajmie to najwyżej parę akapitów. Opisałem już moje odwrócenie się od jeszywy w Oświęcimiu, stanowiące klucz do tej sprawy.

Nie mogłem o tym powiedzieć ojcu. Zbyt głęboko zakorzeniony był u nas, polskich Żydów, szacunek dla rodziców. Był to przemiły i kochany człowiek, handlujący narzędziami do uprawy roli, sprzedawał także dużo rowerów. Byliśmy zamożni, a on bezkrytycznie pobożny i uczony. Zdruzgotałoby go, gdyby się dowiedział, że ze mnie zrobił się apikojres: niedowiarek. Nadal więc przodowałem jako uczeń w Talmudzie, śmiejąc się w kułak z Reb Lejzora i otaczających mnie potulnych, młodych cymbałów.

Nasz rodzinny lekarz był jidyszystą i agnostykiem. W tych czasach żydowscy lekarze często wracali ze studiów uniwersyteckich zalatując wieprzowiną. Któregoś dnia, pod wpływem impulsu, poszedłem do niego z prośbą o pożyczanie mi książki Darwina. W jeszywie szeptano, że ów Dar-Win to najgorszy współczesny szatan i bezbożnik. Jakkolwiek po niemiecku niełatwo było przebrnąć przez tego "Dar-Wina", pochłaniałem O pochodzeniu gatunków po kryjomu, przy świeczce, albo w dzień poza domem. Pierwszy raz w życiu dopuściłem się pogwałcenia szabatu wynosząc książkę Darwina w kieszeni na łakę nad strumykiem. Prawo szabatu nie pozwala nosić ciężarów "na gruncie publicznym", a książka liczy się jako ciężar. Dziwna rzecz, ale chociaż w duchu już zerwałem z religią, fizyczny akt wyniesienia tej książki z domu ojcowskiego w sobotę był dla mnie czymś bardzo trudnym.

Później doktor pożyczył mi Haeckla, Spinozę, Schopenhauera i Nietzschego. Pożerałem te książki, jak młodzież pornografię, z mieszanymi uczuciami wstydu i pożądliwości, gorliwie wyszukując fragmenty antyreligijne: drwiny z cudów i Boga, napaści na Biblię i tym podobne. Dwóch książek nigdy nie zapomnę, tanich niemieckich antologii w zielonych papierowych okładkach: Wstęp do nauk przyrodniczych i Wielcy myśliciele współcześni. Galileusz, Kopernik, Newton, Wolter, Hobbes, Hume, Rousseau, Kant, całe to olśniewające towarzystwo zważyło się na mnie, piętnastoletniego żydowskiego chłopca, leżącego samotnie w trawie nad Wisłą. Po paru tygodniach gorączkowego czytania mój świat i świat mego ojca legły w gruzach: rozbite, unicestwione, starte na proch, niemożliwe już do odtworzenia jak dzieła Ozymandiasza.

Tak się utworzył mój umysł.

Gdy moja rodzina przeniosła się do Stanów Zjednoczonych, stałem się cudownym dzieckiem w szkole na Brooklynie. Uczyłem się angielskiego, jakby to była tabliczka mnożenia, przeleciałem szkołę w dwa lata i zdobyłem pełne stypendium na uniwersytecie Harvarda. Wtedy już moi rodzice widzieli, że robi się ze mnie Yankee Doodle w mowie, stroju i zachowaniu. Byli dumni z mego harwardzkiego stypendium, chociaż i przestraszeni. Ale jakże mogli mnie powstrzymać? Odszedłem.

Na Harvardzie także błyszczałem. Profesorowie z małżonkami fetowali mnie i zapraszany byłem do bogatych ludzi, gdzie moja angielszczyzna z akcentem z jeszywy stanowiła pikantną nowość. Całe to rozpieszczanie przyjmowałem jako rzecz sobie należną. Byłem wtedy przystojnym młodzieńcem, miałem coś z naturalnego wdzięku Louisa Henry i wielki dar konwersacji. Umiałem sprawić, że ci intelektualisci wyczuwali, jak mnie podnieca odkrywanie kultury zachodniej. Pokochałem Amerykę; rozczytywałem się w amerykańskiej literaturze i historii; większą część Marka Twaina znałem na pamięć. Moja wyszkolona w jeszywie pamięć zachowywała wszystko, co przeczytałem. W tym, co mówiłem, była potoczystość myśli i bogactwo aluzji, które olśniewały bostończyków. Umiałem także przyprawiać swoje wypowiedzi tradycją Talmudu. W ten sposób doszedłem do uświadomienia, które później zapewniło mi sławę, mianowicie, że chrześcijan fascynuje, gdy przedstawia się im judaizm, z godnością i odrobiną ironii, jako zapoznaną część ich własnego dziedzictwa. W trzydzieści lat później napisałem swoje Motywy talmudyczne we wczesnym chrześcijaństwie, które przeobraziły się w bestseller pod bardziej handlowym tytułem Żydowski Jezus.

Nie mam powodu do dumy z tego, co potem nastąpiło, i ujmę to jak

najkrócej. Ale życie tak lubi się powtarzać! Czy istnieje historia bardziej wyświechtana niż to, jak zakochali się w sobie bogata dziewczyna i biedny korepetytor? Ileż jest opartych na tej prościutkiej fabule oper komicznych, powieści, tragedii, filmów! Była katoliczką ze znakomitej rodziny bostońskiej. Tuż po dwudziestce nie jest się mądrym, a w miłości uczciwym, z innymi ani ze sobą. Moja własna łatwość myślenia i przekonywania, zwrócona przeciwko sobie, wmówiła mi, że poczułem w sercu Chrystusa. Reszta już była prosta. Katolicyzm to autentyczna tradycja, skarbnica chrześcijańskiej sztuki i filozofii; a także drobiazgowo rozpracowany system rytuałów, jedyny rodzaj wiary, faktycznie dostępny mojemu rozumieniu. Przeszedłem konwersję.

Był to płytki sen, a przebudzenie z niego okropne i pominię je tu milczeniem. W głębi serca i mimo wszystkich nauk pozostałem - i jestem do dzisiaj - chłopcem z jeszywy oświęcimskiej, który wszedł ze śniegu do kościoła i przeżył dotkliwy szok, ujrawszy w głębi na ścianie ukrzyżowanego Jezusa, gdzie w synagodze byłaby Arka Święta. Gdyby jej rodzina nie wyrzuciła mnie za drzwi i gdyby ona wytrwała przy mnie, zamiast rozplynać się we łzach jak cukrowa figurka na deszczu, i tak stałbym się znów odstępca. Podstawowym warunkiem mojego podziwu, współczucia, miłości i nie kończących się badań nad Jezusem z Nazaretu oraz pisania o nim, jak to czyniłem, był fakt, że nie mogłem w niego uwierzyć.

Wedle Ustaw Norymberskich, jako że stało się to przed rokiem 1933 i nigdy nie zrobiłem niczego dla "dekonwersji", mógłbym być formalnie zabezpieczony przed represjami jako Żyd. Ulga ta, jak rozumiem, dotyczy niemieckich pół-Żydów, a ja mógłbym z niej także skorzystać jako Amerykanin, gdyby do tego przyszło. Kiedy w 1941 roku skomplikowały się moje sprawy paszportowe, mój dobry przyjaciel z Watykanu zaopatrzył mnie w fotokopie dokumentów z Bostonu, stwierdzających moje nawrócenie. Wciąż posiadam te przyciemnione, lekko zamazane papiery. Nigdy jeszcze oficjalnie ich nie pokazałem, bo mogłoby to jakoś doprowadzić do rozłączenia mnie z Natalią. A do tego nie może dojść. Jeśli przyjdzie mi posłużyć się nimi, aby jej pomóc, uczynię to.

Co się tyczy ratowania mego własnego życia... no cóż, większą jego część przeżyłem. Nie wrócę już do mojej książki o Marcinie Lutrze. Chciałem, aby ta renesansowa postać zaokrągliła mój wizerunek Jezusa w jego drodze przez dzieje. Ale gruboskórne, zajadłe teutoństwo mego bohatera coraz bardziej hamowało mnie w pracy, niezależnie od jego wypadów przeciwko Żydom, niczym się nie różniących od wrzasków Goebbelsa. Nie wątpię, że był to religijny geniusz. Ale geniusz niemiecki, a przeto anioł zagłady. Najświetniejsze osiągnięcia Lutra przejawiały się w druzgotaniu papieżstwa i Kościoła. Miał zatrwająco baczne oko na wszelką słabość i był miażdżąco wymowny. W jego zuchwałej, nie znającej respektu nienawiści do starych instytucji i struktur brzmiała nuta rdzennie niemiecka, chrapliwy ryk z Lasu Teutoburskiego, grzmiący młot Thora. Usłyszymy go ponownie u Marksa, Żyda, co stał się Niemcem i połączył w sobie fanatyzm ich obu; zabrzmiał w muzyce i pismach Wagnera; i wstrząsnął światem w osobie Hitlera.

Niechaj inne pióra wyrażą, co było wielkiego w Lutrze. Ja pragnąłbym w przyszłości pisać jakieś dialogi platońskie w stylu moich konwersacji z czasów Harvardu, od niechętnia dywagujące o filozoficznych i politycznych kwestiach tego katastroficznego stulecia. Nie umiałbym dodać nic nowego; ale właściwa mi umiejętność lekkiego pisania mogłaby na tyle oczarować niektórych czytelników, żeby się zatrzymali w swej niebaczonej pogoni za przyjemnościami i pieniędzmi, aby spojrzeć na rzeczy, które są rzeczywiście ważne.

`cp2

Znowu się rozgadałem! Ale napisałem swoje sześć stron. Pisałem to z

okropnym bólem brzucha, zaciskając zęby przy kreśleniu tych słów. Ciężko mi będzie podnieść się z tego krzesła, tak słabo i źle się czuję. Coś ze mną jest bardzo nie w porządku. Nie są to skurcze psychosomatyczne. Mój organizm dzwoni na trwogę. Niewątpliwie powinienem znowu iść do lekarza.

`cp2

26 lutego 1943 Baden-Baden

Czuję się trochę lepiej aniżeli w szpitalu. W gruncie rzeczy była to ulga, uciec na trzy dni od nudy w hotelu Brenner Park i od woni ohydnych żarcia. Szpitalne galaretki i budynie dobrze mi robiły, choć pewien jestem, że niemiecki geniusz wynalazczy wydestylował je z odpadków naftowych albo ze starych opon. Przeszedłem wszelkie możliwe testy żołądkowo-jelitowe. Diagnozy wciąż jeszcze nie ma. Czas w szpitalu szybko mi zleciał, bo mnóstwo rozmawialiśmy z doktorem R...

Pragnie on, abym dał świadectwo, gdy wrócę do Stanów Zjednoczonych, że "inne Niemcy" nadal istnieją, pohańbione, zmuszone do milczenia i zastraszone przez reżim hitlerowski; te Niemcy wielkich poetów i filozofów, Goethego i Beethovena, pionierów nauki, postępowych ustawodawców Republiki Weimarskiej, zniszczonego przez Hitlera przodującego ruchu robotniczego, dobrotliwych i prostych ludzi, którzy w ostatnich wolnych wyborach głosowali w rosnącej większości przeciw nazistom; i których zdradzili politycy starego typu, jak Papen i zramolały Hindenburg, dopuszczając do rządów Hitlera, gdy jego szczyt już minął, i ściągając to wielkie nieszczęście.

Jeśli chodzi o to, co nastąpiło, prosi, abym sobie wyobraził, jak Ku Klux Klan dochodzi do władzy w Stanach Zjednoczonych. To właśnie stało się w Niemczech, powiada. Partia nazistowska to ogromny niemiecki Ku Klux Klan. Wskazuje na dramatyczne posługiwanie się w nocy rytuałami ognia, na antysemityzm, dziwaczne uniformy, wojowniczą i tępacką nienawiść do liberalnych idei, do cudzoziemców i tak dalej. Odparłem, że Ku Klux Klan to tylko patologiczna grupka z marginesu, a nie wielka partia, zdolna rządzić całym narodem. On na to powołał się na Ku Klux Klan z czasów Rekonstrukcji, ciesząc się powszechnym szacunkiem ruchu na wielką skalę, w którym uczestniczyło wielu z przywódców Południa; jak również na rolę współczesnego Ku Klux Klanu w polityce demokratów w latach dwudziestych.

Ruchy ekstremistyczne, powiada, to gruźlica szerząca się we współczesnym społeczeństwie: światowa epidemia urazów i nienawiści wytwarzanych przez szybkość przemian i upadek starego systemu wartości. U bardziej stabilnych narodów ogniska gruźlicze zostają otorbione w tkance bliznowatej i są to nieszkodliwe ruchy o podłożu psychopatycznym. W czasach rozruchów społecznych, kryzysu, wojny albo rewolucji zarazki mogą się wydostać na zewnątrz i zainfekować naród. To właśnie stało się w Niemczech. A mogło się zdarzyć wszędzie, nawet i w Stanach Zjednoczonych.

Niemcy są śmiertelnie chore od tego rodzaju infekcji, mówi doktor. Miliony Niemców wiedzą o tym i gryzą się. On sam jest socjaldemokrata. Pewnego dnia Niemcy powrócą na tę drogę, jedyną, jaka prowadzi w przyszłość i do wolności. Kultury niemieckiej i narodu niemieckiego jako całości nie wolno potępiać za to, że wyprodukowały Hitlera i za to, co on robi z Żydami. Najgorszym nieszczęściem ery hitlerowskiej jest to, które dotknęło samych Niemców. Takie są poglądy doktora R...

A co z popularnością Hitlera wśród Niemców? Cóż, on twierdzi, że terror i całkowita kontrola nad prasą i radiem stwarzają tylko pozór popularności. Ale ja pisywałem artykuły o Hitlerze. Znam fakty i liczby. Wiem, jak uniwersytety gremialnie opowiadały się za Hitlerem, jak gorliwie największe umysły Niemiec zaczęły okrzykiwać go mężem opatrzościowym, jak ochoczo i entuzjastycznie administracja państwowa, świat interesu, sądownictwo i armia zaprzysięgały mu wierność. Odpowiedziałem doktorowi, że w przyszłych

badaniach nad tą epoką szaleństwa głównym fenomenem, domagającym się wyjaśnienia, będzie niemal powszechne duchowe poddanie się narodu niemieckiego Hitlerowi. Jeżeli coś takiego uznać za Ku Klux Klan, to znaczy, że całe Niemcy z dnia na dzień albo stały się członkami Klanu, albo przywitały go z entuzjazmem, jak gdyby liberalizm, humanizm i demokracja nigdy nie pojawiły się na tej ziemi.

On na to zareplikował: mentalność amerykańska nie zdoła pojąć, w jakiej sytuacji znajdują się Niemcy. Są uwięzieni na wąskim skrawku najgorszych gleb, jakie istnieją w Europie Środkowej, żyją od wieków w zagrożeniu ze strony Rosji, od pleców zaś nęka ich Francja. Dwa wielkie ogniska ich kultury, Prusy i Austria, stratowane zostały butami armii napoleońskich. Anglia przez całe stulecie knuła z Rosją carską, aby Niemcy pozostały słabe. To właśnie doprowadziło do wpływów Bismarcka; i przez to, że on uparcie trzymał się absolutyzmu, gdy już całą Europę ogarnął liberalizm, naród niemiecki pozostał niedojrzały politycznie. Kiedy bezkształtna "era ustrojowa" Republiki Weimarskiej zaczęła się rozpadać w czasach kryzysu i rozległ się jasny, mocny, rozkazujący głos Hitlera, nastąpił odruchowy zryw energii i entuzjazmu. Hitler zagrał na największych zaletach tego narodu, doprowadzając do uzdrowienia gospodarczego, bardzo podobnego do New Deal prezydenta Roosevelta. Niestety jego sukcesy militarne stłumiły w narodzie, łaknącym poczucia swej godności, opór przeciwko towarzyszącym temu złym skłonnościom. Czyż Amerykanie też nie są wyznawcami sukcesu?

Na moim łóżku leżał egzemplarz obcojęzycznego pisma Signal, wydawanego przez Ministerstwo Propagandy, z długą i mętną relacją w języku francuskim o kapitulacji pod Stalingradem. Brzmiało to prawie jak doniesienie o zwycięstwie. Oczywiście tu w Baden-Baden niewiele można się było dowiedzieć o Stalingradzie, ale była to najoczywiściej druzgocąca klęska, kto wie, czy nie punkt zwrotny całej wojny. Mimo to Signal obwieszczał, że wszystko odbyło się zgodnie z planem; że poświęcenie Szóstej Armii wzmocniło linię frontu na wschodzie i udaremniło kampanię bolszewicką. Czy doktor R... uważa, zapytałem, że naród niemiecki to przełknie, czy że opór przeciwko Hitlerowi teraz będzie wzrastał?

Odpowiedział, że moja imponująca przenikliwość w dziedzinie historii nie czyni jednak ze mnie eksperta w dziedzinie współczesnej sztuki wojennej. W rzeczy samej operacja pod Stalingradem dokonała stabilizacji frontu wschodniego. Jego własny syn, oficer Wehrmachtu, tak mu napisał. Tak czy owak nie ma to związku z dyskusją o naturze i kulturze narodu niemieckiego. Dla niego osobiście jest bardzo ważne, podkreślił, ażeby pojął te idee człowiek o mojej pozycji, bo zbliża się czas, kiedy trzeba będzie o nich powiedzieć światu potężnym głosem pisarza.

Przemknęło mi przez myśl, że doktor może być agentem Gestapo, lecz nie odnoszę tego wrażenia. Jego zachowanie wyróżnia się ogromną powagą i siłą przekonania. Jest to wysoki blondyn w grubych okularach, z małymi oczkami, które zerkają gorliwie i poważnie, gdy wytacza swe argumenty. Mówi ścisłym głosem, odruchowo spoglądając od czasu do czasu przez ramię na gołą ścianę mego pokoju. Przypuszczam, że nawiązał ze mną kontakt w tej myśli, aby przekonać mnie, że "inne Niemcy" nadal istnieją. Nie wątpię, że tak jest i sądzę, że on się do nich zalicza. Szkoda tylko, że tak niewiele z tego wynika.

`ty

27 lutego

`ty

Wstępna diagnoza brzmi: zapalenie uchyłka. Kuracja: specjalna dieta, leżenie w łóżku i ciągle podawanie leków. Wrzody i podobne choroby gastryczne dopadły już kilka innych osób z naszej grupy. Jeden z korespondentów United Press, ciężko pijący, został w zeszłym tygodniu

wywieziony pod strażą Gestapo do Frankfurtu na operację. Jeżeli mój stan się znacznie pogorszy, ja też mogę być wysłany do Frankfurtu na zabieg chirurgiczny. Czy oznaczałoby to rozstanie się z Natalią? Muszę o tym pogadać z Pinkneyem Tuckiem. Nie wolno do tego dopuścić, choćbym miał tutaj umrzeć.

`ty

59

`ty

Od dnia, w którym Miriam Castelnuovo znalazła się w domu dziecka pod Tulużą, była ulubienicą dyrektorki. Za dawnych, szczęśliwszych czasów Madame Rosen - niezamężna, nieładna, na nic już nie licząca - wyjeżdżała na wakacje do Włoch, kochała sztukę i muzykę włoską i pewnego razu omal nie wyszła do sympatycznego, włoskiego Żyda, który jednak zbyt poważnie cierpiał na serce, aby do tego doszło. Czyściutka, toskańska wymowa Miriam przywodzi na pamięć te dawne czasy, a osobowość Miriam jest tak słodka, że Madame Rosen, chociaż stara się nikogo nie faworyzować - dom zbudowano dla trzystu dzieci, a obecnie stłoczono ich tutaj ponad osiemset - wbrew samej sobie świata nie widzi za tym świeżo przybyłym dzieckiem.

Jest pora na zabawę przed pójściem do łóżka. Madame Rosen wie, gdzie szukać Miriam. Dziewczynka ma z kolei własnego ulubieńca: jest to francuski sierota nazwiskiem Jean Halphan, mający zaledwie półtora roku. Jean przypomina Louisa Henry, zwłaszcza wtedy jak wielkie błękitne oczy rozjaśniają mu się w uśmiechu. Kiedy Miriam przebywała jeszcze z rodzicami, bez ustanku mówiła o Louisie. Ale niebawem przestała się o niego dopytywać, bo widziała, że matkę to smuci, a ojca irytuje. Ciągle jednak wspominała go, przeżywając w pamięci wspólnie spędzone miesiące, jak gdyby sobie puszczała film. Teraz, kiedy jej rodzice znikli gdzieś i nie ma nikogo, przyłgnęła do Jeana. Chłopczyk uwielbia ją, a ona czuje się przy nim szczęśliwa.

Madame Rosen znajduje ich na podłodze w wielkiej sypialni Jeana, starannie ustawiających klocki w tłumie kręcących się dzieci. Robi wymówkę Miriam, że siedzą na zimnej podłodze, chociaż oboje są opatuleni jak do wyjścia na dwór, na śnieg. Skromny przydział opału na ten miesiąc jeszcze nie dotarł do domu dziecka. Niewielką ilość węgla, jaka im pozostała, trzeba zużywać na to, żeby rury z wodą nie zamarzły i do gotowania posiłków. Miriam owinięta jest w czerwony szal z frędzlami, który dała jej Madame Rosen; tak wielki, że zupełnie zasłania jej twarz, ale bardzo ciepły. Miriam i Jean siadają na pryczy i Madame Rosen gawędzi z dziewczynką po włosku. Miriam bardzo to lubi; trzyma chłopczyka na kolanach, bawiąc się jego rączkami i zachęcając go do powtarzania włoskich słów. Te odwiedziny Madame Rosen nie trwają długo. Wraca do swego gabinetu, rozgrzana i rozweselona, aby dalej borykać się ze swymi kłopotami.

Są one całkiem zwykłe, jak to w administracji, tylko że wielokrotnie pomnożone: niedostatek miejsca, ograniczenia, braki w personelu, brak funduszy. Teraz, gdy niewielka społeczność żydowska w Tuluzie niemal przestała istnieć, Madame Rosen już prawie nie radzi sobie z trudnościami. Na szczęście mer Tuluzy to dobry człowiek. Kiedy sytuacja staje się rozpaczliwa, jak teraz z opalem, lekarstwami, pościelą i mlekiem, można się do niego zwrócić. Usiadła przy biurku i wraca do pisania listu, tym razem z wiatłą nadzieją. Francuscy przyjaciele dzieci żydowskich stali się bardzo powściągliwi w okazywaniu swej życzliwości.

Zasuszone, drobna kobieta o pożółkłej twarzy, już dobrze pod sześćdziesiątkę, otulona w wyblakły płaszcz i podarty szal, płacze pisząc ten list. Sytuacja wygląda na beznadziejną, kiedy ją przelewa na papier. Ale coś trzeba zrobić! Bo inaczej co się stanie z jej dziećmi?

A co gorsza, już od tygodnia pozostałych w tym rejonie Żydów przyprawia o

dreszcz ostrzeżenia: zbliża się kolejna akcja. O siebie Madame Rosen się nie obawia. Ma oficjalną funkcję i nie budzące wątpliwości papiery jako urodzona tu obywatelka Francji. Jak dotąd zabierano tylko Żydów cudzoziemskich, choć niektórzy z deportowanych w ostatniej akcji byli Francuzami, ale przez naturalizację. Martwi się o dzieci. Spośród świeżo przybyłych prawie wszystkie są cudzoziemcami. Całe setki! Około jednej trzeciej z nich w ogóle nie ma papierów. Sprowadziła je tu policja; władze francuskie oddzielają dzieci od rodziców, których się deportuje na wschód, i umieszczają je gdzie popadnie. Sierocińce żydowskie pękają w szwach. Rozporządzenie to, pomimo udręki rozdartych rodzin, zdaje się być oparte na humanitarnych motywach, gdyż o tym, co się dzieje na wschodzie, krąży groźne budzące pogłoski; ale w takim razie dlaczego dzieci się tak słabo zaopatruje?

A co będzie, jeśli w ramach tej nowej akcji przyjdzie policja i zapyta o dzieci cudzoziemskie?

Czy ona ma się poważić na odpowiedź, że nie ma o żadnym dziecku danych, dotyczących jego pochodzenia? A ponieważ w biurokratycznej Francji byłoby to zbyt nieprawdopodobne, czy ma twierdzić, że w popłochu spaliła dokumenty, gdy Alianci wylądowali w Afryce Północnej? Może teraz powinna je rzeczywiście spalić? Czy w ten sposób uratuje te cudzoziemskie biedactwa, czy po prostu skaże dzieci urodzone we Francji na wywiezienie razem z tamtymi?

Madame Rosen nie ma powodu sądzić, jakoby Niemcy gromadzili dzieci cudzoziemskie. O niczym takim jeszcze nie słyszała, a fakt, że się je tutaj sprowadza, każe przypuszczać, że postanowiono ich nie deportować. Jednakże lęk ją prześladowa. Zbliża się północ, przejmujące zimno, skostniałymi palcami Madame Rosen składa przy świecy (elektryczność już dawno wyłączono) napisany przez siebie list, kiedy rozlega się walenie w drzwi od ulicy.

Jej gabinet przylega do ulicy. Łomotanie podrywa ją z krzesła. Łup! Łup! Łup! Łup! Mój Boże, wszystkie dzieci się rozbudzą. Będą przestraszone na śmierć!
- Ouvrez! Ouvrez! - Głośne i chrapliwe okrzyki męskie. - Ouvrez!

`cp2

Obersturmführer SS Nagel też ma problem.

Potworny raban: plan nie wykonany, a częściowo pusty pociąg ma przejechać rankiem przez Tuluzę. Główny SS-man od spraw żydowskich w Paryżu szaleje z wściekłości, tymczasem w tej prefekturze po prostu nie zostało już tylu Żydów. Rozpłynęli się gdzieś po wsiach albo uciekli do strefy okupowanej przez Włochów. Po prostu nie ma jak zapełnić całych trzech wagonów towarowych. Akcja przeprowadzona w Tuluzie zebrała jak dotąd pięciuset Żydów. A z Paryża domagają się tysiąca pięciuset.

Na szczęście policja w Tuluzie ma w wykazach, że dzieci i personel w tym domu liczą łącznie 907 Żydów. Nagel dostał z Paryża zezwolenie, aby ich zgarnąć, tymczasem inna brygada przeczesuje Tuluzę, uzupełniając braki. Nieważne, jacy to Żydzi, żadne przywileje się nie liczą. I dlatego porucznik SS siedzi w samochodzie naprzeciw wejścia do domu dziecka, przyglądając się, jak francuscy policjanci walą we drzwi. Dać im tylko cień szansy, a zameldują się z jakimś kulawym wykrętem i bez wyników. Więc będzie tu siedział, aż naczelnik policji wyjdzie i złoży mu raport.

Nagel podpowiedział naczelnikowi niezłe wytłumaczenie. Władze okupacyjne potrzebują tego budynku na ośrodek rekonwalescencji dla rannych żołnierzy niemieckich. Dlatego dzieci i personel zostaną przewiezieni do miejscowości narciarskiej w Tyrolu, gdzie wszystkie hotele zostały przerobione na olbrzymi ośrodek specjalnej troski dla dzieci, ze szkołą, szpitalem i wieloma placami zabaw; osiedlono już w nim tysiące dzieci z większych obozów pod Paryżem. Rutynowa procedura przy wywożeniu Żydów zaleca podawanie im jakiejś opowieści dla uspokojenia. Rozsyłane z Berlina tajne

instrukcje podkreślają, że Żydzi są bardzo łatwowierni i skwapliwie ufają wszelkiego rodzaju wątlým, byle oficjalnym informacjom. Bardzo ułatwia to ich przerzut.

Drzwi otwierają się, policjanci znikają w budynku. Porucznik Nagel czeka. Pali trzeciego papierosa i przemarżł do kości pomimo nowego, ciepłego płaszcza i służbowych butów na wełnianej podszewce; już denerwuje się i myśli, czy nie pójść tam samemu, chociaż jego mundur może przestraszyć żydowski personel, kiedy drzwi się znów otwierają i wychodzi naczelnik policji.

Ależ facetowi udaje się wyglądać zdrowo i tęgo na francuskich przydziałach; mnóstwo czarnorynkowego tłuszczu odkłada się na tym brzuchu. Podchodzi do samochodu i melduje, przy czym zionie czosnkiem, że wszystko załatwione. Personel spakuje swoje rzeczy i podstawową dokumentację. Nagel podkreślił ten szczegół z zabranie dokumentacji; dodaje to prawdopodobieństwa ich wersji. Dzieci będą zbudzone o trzeciej, ubrane i dostaną ciepły posiłek. Furgonetki i ciężarówki policyjne przyjadą po nie o piątej. O szóstej będą już na peronie. Opasła twarz Francuza w bladym świetle księżycy niczego nie wyraża, a gdy porucznik Nagel odpowiada mu: - Bon! - obwisłe wasy unoszą się w paskudnym i smętnym uśmiechu.

Więc wszystko w porządku. Pociąg ma przyjechać za kwadrans siódma, a o tej porze prawie nikt z mieszkańców jeszcze nie wstał i nie chodzi po mieście. To się dobrze złożyło, myśli Nagel, jadąc do swego mieszkania, żeby się jeszcze trochę zdrzemnąć przed porannymi zajęciami. Rozkazy kładą nacisk na to, aby nie wzbudzać współczucia u ludności, gdy odchodzą transporty. Biuletyny przysyłane z Berlina raz po raz ostrzegają, że mogą się zdarzać niemiłe incydenty, zwłaszcza gdy dzieci przewożone są podczas dnia w miejscach obficie zaludnionych.

I rzeczywiście poranek się okazuje mroczny i kiedy zajeżdża pociąg, jest jeszcze niemalże ciemno. Majaczące postacie Żydów wdrapują się do wagonów. Na stacji trzeba było zapalić światła, żeby przyspieszyć załadunek dzieci. Wchodzą spokojnie do wagonów towarowych po drewnianych pochylniach, parami, trzymając się za ręce, tak jak im przykazano, a pracownice z domu dziecka niosą najmłodsze. Miriam Castelnuovo prowadzi małego Jeana. Już kilka razy ją przewożono w ten sposób, więc się przyzwyczaiła. Gorzej było, kiedy ją zabierano od rodziców. Jest szczęśliwa, bo trzyma za rękę Jeana. Za nią idzie Madame Rosen z niemowlęciem na ręku i to również ją uspokaja.

W ostatniej chwili porucznik Nagel zastanawia się, co za sens ładować do wagonu towarowego te dwanaście wielkich pudeł z dokumentami. Tylko z nimi kłopot i faceci na drugim końcu będą się dziwić. Ale dostrzega białą, przerażoną twarz Madame Rosen, która już z wagonu towarowego wpatruje się w pudła, jakby od nich zależało jej życie. Po co wprawiać ją w popłoch? To ona będzie utrzymywać dzieci w spokoju aż do końca. Wskazał laską na pudła. SS-mani ładują je do wagonu i zamykają w nim dzieci, zasuwając ogromne drzwi. Dłonie w czarnych rękawiczkach łapią za zmrożone żelazne sztaby, przerzucają je i mocują drzwi.

Pociąg rusza bez gwizdka, tylko z sapaniem lokomotywy.

`ty

60

`ty

Pug Henry bardzo szybko wyjechał do Związku Radzieckiego. Ale długo trwało, zanim tam dotarł.

Kiedy Clipper klapiąc i dudniąc pozostawił za sobą przystań w Baltimore i wzbił się z rykiem w niski, szary, styczniowy półmrok, Pug wydobyl z teczki dwa listy, których jeszcze nie miał czasu przeczytać. Najpierw otworzył pękatą kopertę z Białego Domu, aby przekartkować kilka stron pisanych na maszynie, rozwlekł przemowę Hopkinsa na temat Lend-Lease.

- Zbieram zamówienia na śniadanie, Sir. - Steward w białej kurtce dotknął jego łokcia. Pug zamówił jajka na szynce i naleśniki, chociaż jego mundur stał się przyciasny po dwóch tygodniach jedzenia i wina, jakim raczyła go Rhoda. Przed służbą w Związku Radzieckim trzeba się utuczyć, pomyślał, jak niedźwiedź na sen zimowy. Jego cholerna kariera przechodzi w stan hibernacji, on jest cholernie głodny i zamierza cholernie się najeść. A ta cholerna gadanina Harry'ego Hopkinsa może spokojnie poczekać, aż on dowie się, o co chodzi Pameli Tudsbury. Na kopercie lotniczej z Londynu najwyraźniej widniał jej spiczasty charakter pisma, więc Pug rozerwał ją skwapliwiej, niżby sobie życzył.

20 grudnia 1942

Drogi Victorze,

Piszę to na kolanie, bo właśnie lecę do Szkocji, żeby napisać o amerykańskich pilotach przerzutowych. Wiesz z pewnością, że mój ojciec nie żyje, zabity przez minę pod El Alamein. Observer wielkodusznie daje mi szansę podjęcia jego pracy w roli korespondenta. Nie ma co pisać o Gadule. Już się pozbierałam, chociaż przez jakiś czas wydawało mi się, że ja też umarłam, albo równie dobrze mogłabym umrzeć.

Czy mój długi list z Egiptu w ogóle zdołał do ciebie dotrzeć, zanim twój okręt zatonął? Przeraziła mnie ta wiadomość, ale na szczęście zaraz po tym dowiedziałam się, że jesteś zdrowy i cały w drodze do Washingtonu, gdzie i ja się wkrótce wybieram. Napisałam w tym liście, między innymi, że Duncan Burne-Wilke chce się ze mną ożenić. W gruncie rzeczy wygląda na to, że prosiłam cię o błogosławieństwo. Nie otrzymałam odpowiedzi. Później zaręczyliśmy się i on wyjechał do Indii jako nowy zastępca szefa sztabu Auchinlecka do spraw powietrznych.

Możliwe, że niedługo zabawię w Washingtonie. Wielki łomot pod Stalingradem podsunął mojemu redaktorowi myśl, żeby wysłać mnie znów do Związku Radzieckiego. Natknęłam się jednak na tajemnicze kłopoty z wizą, które Observer usiłuje teraz przewalczyć, a na razie przyjadę tutaj. Jeżeli nie uda mi się z jakichś nieprzenikniętych, marksistowskich względów trafić znów do Moskwy, przydatność moja stanie pod znakiem zapytania; a wtedy mogę się po prostu spakować i wyruszyć razem z Duncanem w podróż służbową jako memsahib. To się jeszcze okaże.

Na pewno wiesz, że Rhoda i ja spotkałyśmy się w Hollywood i że powiedziałam jej o nas. Po prostu chciałam się z tego wyłączyć i mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz. Teraz jestem zaręczona z przemiłym człowiekiem, przyszłość mam zapewnioną: i to by było na tyle. 15 stycznia albo coś koło tego zjawię się w hotelu Wardman Park. Może do mnie zadzwonisz? Nie wiem, co sobie pomyśli Rhoda, gdybym ja zadzwoniła do ciebie, mimo że oczywiście wcale jej nie zagrażam. Spotkać się z tobą chciałabym, rzecz jasna, całkiem jawnie i nie kryjąc się. Po prostu nie zamierzam udawać, że nie istniejesz.

Z miłością Pamela

A więc, pomyślał Pug - zdumiony, rozbawiony, z uznaniem - Rhoda przez cały czas wiedziała i nie odezwała się. Niezła taktyka; niezła dziewczyna. Może nawet zauważyła stempel pocztowy z Londynu, gdy wręczała mu korespondencję. Co do ujawnienia sekretu, poczuł się zakłopotany; niewinny, ale zakłopotany. W sumie z Rhody jest nie lada kobieta. List Pameli okazał się poprawny, spokojny, przyjazny; w tej sytuacji dobrze sformułowany. W radosnym nastroju zjadł obfite śniadanie, mimo że za oknami podskakującego Clippera przelatowały kłębiąc się posępne chmurzyska, bo zaistniał cień szansy, że a nuż spotka się w Związku Radzieckim z przyszłą Lady Burne-Wilke.

Następnie przeczytał list Hopkinsa.

Biały Dom 12 stycznia

Drogi Pug,

Wczoraj rano Szef był z ciebie nadzwyczaj zadowolony i nie zapomni ci tego. Sprawa łodzi desantowych nie ucieknie. Może jeszcze zajmiesz się nią, zależnie od tego, jak długo ambasador Standley będzie cię potrzebował. Specjalny wniosek w sprawie twojej synowej został wysłany, ale Niemcy pokrzyżowali te starania, przenosząc ich do Baden-Baden. Welles mówi, że nic im nie grozi i że pertraktacje w sprawie wymiany całej grupy są już mocno zaawansowane.

A teraz do rzeczy:

Admirał Standley przybył do Washingtonu na własne życzenie, bo uważa, że partaczymy sprawę Lend-Lease. Są jednak tylko dwa sposoby załatwiania Lend-Lease: bezwarunkowa pomoc; albo pomoc na zasadzie coś za coś. Starego admirała to wkurza, że my tylko dajemy, dajemy, dajemy nie wymagając żadnych rozliczeń, żadnego uzasadnienia ich żądań, żadnej wymiany. Owszem, taka jest nasza polityka. Standley to mądry i wytrawny staruch, ale za Prezydentem jak zwykle nie nadaża.

W sumie polityka Prezydenta w stosunku do Rosjan sprowadza się do trzech punktów i jest bardzo prosta. Zapamiętaj to sobie:

- (1) Sprawić, żeby Armia Czerwona dalej walczyła z Niemcami
- (2) Zwrócić Armię Czerwoną przeciw Japonii
- (3) Powołać do życia po wojnie silniejszą Ligę Narodów z udziałem Związku Radzieckiego.

Jak wiesz, Lenin w 1917 roku wycofał się z pierwszej wojny światowej, dogadawszy się z Kaiserem. Stalin wymigał się w 1939 roku z tej wojny, dogadawszy się z Hitlerem. I do dzisiaj nie brałby w niej udziału, gdyby Hitler go nie zaatakował. Prezydent nie zapomina o tych sprawach.

Niezależnie od retoryki Stalina nie sędzę, żeby hitleryzm mu tak bardzo doskwierał. On także jest dyktatorem i rządzi państwem policyjnym, i przez całe dwa lata świetnie się czuł pod jedną kołderką z Hitlerem. Teraz tamten najechał Rosję, więc Stalin musi walczyć. Ale jest to całkowity pragmatyk, a nasz wywiad donosi, że oni się tam obwąchują na okoliczność pokoju. Odrębny pokój na tym froncie jest zawsze możliwy, gdyby tylko Niemcy zaproponowali coś godnego uwagi.

Może to na razie jeszcze nie jest pisane. Hitler musiałby pokazać swojemu narodowi jakieś terytorialne korzyści za całą tę niemiecką krew, jaką przelał. Im bardziej wzmocnimy Rosjan, tym mniej prawdopodobne jest, że Stalin się z nim dogada. Chcemy, aby całkowicie wyrzucił Niemców z Rosji i nie poprzestał na tym, ale pognał ich dalej do Berlina. Zaoszczędzi to życie milionom Amerykanów, bo dla nas celem wojny jest wytrzebienie nazistów i nie skończymy wojny, dopóki to nie nastąpi.

Dlatego nieporozumieniem są wszelkie starania, żeby na Lend-Lease coś za coś zyskać. Coś za coś polega na tym, że Rosjanie zabijają mnóstwo żołnierzy niemieckich, którzy pewnego dnia nie staną do walki z nami we Francji.

Nie całkiem jeszcze wywiązaliśmy się z naszych zobowiązań w ramach Lend-Lease. Tylko na jakieś 70 procent. Staraliśmy się i udzielona przez nas pomoc jest ogromna, ale duża jej część padła ofiarą U-Bootów, kosztuje nas także wojna z Japonią i musieliśmy coś ująć z Lend-Lease, aby przeprowadzić desanty w Afryce Północnej. Nie spełniliśmy też na razie obietnicy utworzenia drugiego frontu w Europie. Z tych pozycji nie możemy zbyt twardo rozmawiać z Rosjanami.

Nawet gdybyśmy mogli, nie byłoby to korzystne dla przebiegu wojny. Bardziej potrzebujemy ich niż oni nas. W tak podstawowej sprawie Stalin nie da się oszukać. To bardzo skomplikowana postać, bardzo trudna do negocjacji, taki bolszewicki car Iwan Groźny, ale cholernie się cieszę, że on i jego naród są w tej wojnie po naszej stronie. Nie ukrywam tego na forum publicznym i zbieram za to nie lada cięgi.

Admirał Standley zechce, abys próbował uzyskać coś za coś. Wysoko ceni

twoją umiejętność dogadywania się z Rosjanami. To prawda, że mogliby nam znacznie popuścić, jeśli chodzi o trasy przelotu, wywiad wojskowy, bazy tranzytowe dla naszych bombowców, zwolnienie naszych lotników uziemionych na Syberii i tym podobne. Może zdołasz uszczęśliwić Standleya, jeżeli uda ci się to, co innym się nie udało. Ale jeśli chodzi o sprawy zasadnicze, generał Marshall powiedział Prezydentowi, że cokolwiek by Rosjanie mogli nam dać na wymianę w ramach Lend-Lease, nie zmieni to naszej strategii ani taktyki w tej wojnie. Aprobuje on zasadę udzielania pomocy bez żadnych warunków.

Prezydent chce, abyś to wszystko wiedział i abyś znów przysyłał mu nieoficjalne raporty, tak jak z Niemiec. Wspomniał o tym, jak w 1939 roku przepowiedziałeś zawarcie paktu Hitler-Stalin i prosi (nie całkiem żartobliwie) w wypadku, gdyby twoja kryształowa kula ostrzegła cię, że coś się ruszyło w stronę odrębnego pokoju, abyś mu czym prędzej dał znać.

Harry H.

Niezbyt zachęcający list; Pug ma służyć pod rozkazami byłego szefa Operacji Floty, a tu już na wstępie mu rozkazują, żeby za plecami starego admirała przysyłał "nieoficjalne raporty" głównodowodzącemu. Zapowiada się, że na tej nowej placówce czeka go jedno wielkie bagno. Pug wydobyl z teczki plik danych wywiadu o Związku Radzieckim i pograżył się w ich lekturze. Praca to najlepsza ucieczka od takich myśli.

`cp2

Zmieniono im trasę, kierując Clippera na Bermudy; bez żadnych wyjaśnień. Jedząc lunch w hotelu na plaży pasażerowie widzieli przez okna jadalni, jak ich latająca łódź ociężale startuje w ulewie. Pozostali na Bermudach przez kilka tygodni. Z czasem dowiedzieli się, że ich samolot odwołano, aby zawiózł Franklina Roosevelta na konferencję w Casablance. Wtedy już o konferencji było głośno w radio i w prasie, w nagłówkach zaś pojawiała się na równi z postępującą klęską Niemców pod Stalingradem.

Pug nie martwił się tym opóźnieniem. Nie było mu śpieszno znaleźć się w Rosji. Ta mała zielona wyspa daleko na Atlantyku, w czasach pokoju zaciszny, ukwiecony raj bez samochodów, była teraz wysuniętą bazą floty amerykańskiej. Dżipy, ciężarówki i buldożery kotłowały się w chmurach spalin i pyłu koralowego; ponad głową buczały patrolujące bombowce, w cieśninie tłoczyły się szare okręty wojenne, a marynarze w sklepach i wąskich uliczkach. Bogacze leniuchujący w wielkich różowych domach jakby schowali się pod ziemię, wyczekując, kiedy Amerykanie zatopią wszystkie te zawadzające im U-Booty, wygrają wojnę i wyniosą się; czarnoskóra zaś ludność sprawiała wrażenie zamożnej i szczęśliwej, mimo całego dymu i hałasu.

Komendant umieścił Puga w swojej ładnej, dopiero co zbudowanej kwaterze, zaopatrzonej nawet w kort tenisowy. Poza tym, że od czasu do czasu pograł z admirałem w tenisa albo w karty, Pug spędzał czas na podciąganiu się w lekturach dotyczących Związku Radzieckiego. Przywiezione ze sobą materiały wywiadu były skromniutkie. Za to w miejscowej bibliotece i księgarniach wyszperał uczone dzieła brytyjskie, pełne zachwyty dla Sowietów: napisali je George Bernard Shaw i niejaki Harold Laski oraz małżeństwo nazwiskiem Beatrice i Sidney Webb. Przekopał się gruntownie przez te długie, stylizowane peany ku czci rosyjskiego socjalizmu, lecz niewiele znalazł w nich treści, które przydałyby się na cokolwiek wojskowemu.

Znalazł także książki ostro krytykujące, pisane przez różnych uciekinierów i demaskatorów; makabryczne relacje o sfingowanych procesach, masowych mordach, olbrzymich klęskach głodu organizowanych przez władze i tajnych obozach koncentracyjnych, rozsianych po całym tym komunistycznym raj, gdzie uśmierca się zabójczą pracą miliony ludzi. Zbrodnie przypisywane w tych książkach Stalinowi wyglądały na jeszcze gorsze od

tych, które jakoby popełnia Hitler. Gdzie jest prawda? Ten nieprzenikniony mur sprzeczności żywo przypominał Victorowi Henry jego ostatnią podróż do Związku Radzieckiego z misją Harrimana; to poczucie niepojętej izolacji, ta frustracja w kontaktach z ludźmi, którzy wyglądają i zachowują się jak normalne istoty ludzkie, nawet mają dużo szczerego choć powściągliwego uroku, a potrafią nagle przeobrazić się jakby w Marsjan, jeśli chodzi o pełną niemożność porozumienia się i nie kontaktująca, lodowata wrogość.

Kiedy ustalono znów czas odlotu, kupił sobie do czytania na drogę trzytomową, oprawną w papier Historię rewolucji rosyjskiej Lwa Trockiego. Pug wiedział, że Trocki to Żyd, który zorganizował Armię Czerwoną, w latach rewolucji człowiek numer dwa po Leninie; i że po śmierci Lenina Stalin wymanewrował Trockiego i odsunął od władzy, wypędził go na emigrację do Meksyku i tam - przynajmniej według niechętnych mu książek - wysłał za nim morderców, którzy roztrzaskali mu czaszkę. Victora zaskoczyły literackie walory tej książki, a treść go przeraziła. Niepostrzeżenie zbiegła mu sześciodniowa podróż przez Atlantyk, Afrykę Północną i Bliski Wschód do Teheranu; bo kiedy chmury przesłaniały mu wspaniałą panoramę roztaczających się w dole widoków albo czekał na połączenie, albo spędzał noc w ponurym baraku z wygiętej w łuk blachy falistej w jakiejś bazie lotniczej, zawsze miał pod ręką Trockiego.

To pomieszanie lotu nad sporą częścią globu z przeraźliwą, epicką opowieścią o zagładzie caratu było nie lada przeżyciem. Trocki pisał o plugawych intrygach i kontrintrygach, uknutych przez jakieś odrażające kreatury dla przechwycenia władzy i było to pasjonujące jak powieść; a towarzyszyły temu długie ustępy ogłupiającej frazeologii marksistowskiej, która drwiła sobie ze szczerych wysiłków Victora Henry, aby się przez to przedrzeć. Chwytał niejasno, że jakaś wulkaniczna potęga społeczna wybuchła w Rosji 1917 roku, pragnąc urzeczywistnić wspaniałe, utopijne rojenia; lecz wydawało mu się, że własne świadectwo Trockiego - a intencją tej książki było wysławianie rewolucji - potwierdza, że sprawa ta utonęła w morzu krwawych okropności.

Poza tym, że przeskakiwał z jednej upalnej i zakurzonej bazy na drugą, Pug niewiele zobaczył z wojny w Afryce Północnej, gdzie, sądząc po doniesieniach radiowych, Rommel mocno dawał się we znaki atakującym. Dzień po dniu ciągnęły pod nimi zielone dżungle, pustynie, wyszczerbione góry. Wreszcie przesunęły się w dole piramidy i Sfinks, a potem Nil, połyskujący w smudze zieleni. Pół dnia postoju w Palestynie wykorzystał, aby pojechać do starej Jerozolimy i chodzić po krętych uliczkach, któreśdy Jezus dźwigał swój krzyż; i znowu był w samolocie wysoko nad ziemią, czytał o intrygach i spiskach, więzieniach, torturach, o truciu i rozstrzeliwaniu, a wszystko to w imię socjalistycznego braterstwa ludzi, które musi nastać pod rządami marksizmu. Kiedy przylecieli do Teheranu, zaczynał trzeci tom i zostawił nie doczytaną książkę w samolocie. W miejscu następnego lądowania Trocki nie był dobrze widziany jako przedmiot importu.

`cp2

- Chodzi głównie o to, Henry - rzekł admirał Standley - żeby dostać się do Jewlenki. Jeżeli ktokolwiek może się do niego dostać, to ty.

- Jaka jest oficjalna funkcja Jewlenki, admirał?

Standley uczynił bezradny gest sękatymi dłońmi. - Gdybym wiedział to i mógł powiedzieć, też nic by ci z tego nie przyszło. Jest tym najważniejszym od Lend-Lease, to wystarczy. Zdaje się, że bohaterem Związku Radzieckiego. Stracił dłoń w bitwie pod Moskwą. Nosi sztuczną dłoń w skórzanej rękawiczce.

Siedzieli nad kolacją przy długim stole w Domu Spasowa tylko we dwóch. Przybyły z Kujbyszewa zaledwie godzinę temu Pug chętnie by zrezygnował z kolacji, wziął kąpiel i położył się spać. Ale nic z tego. Drobny stary

admirał, wyglądający na zagubionego w tej ogromnej i wspaniałej ambasadzie, niegdyś rezydencji carskiego handlarza cukru, aż kipiał na temat Lend-Lease i kiedy zobaczył Puga, zawory bezpieczeństwa mu puściły.

Podczas wizyty w Washingtonie, rzekł Standley, prezydent mu obiecał, że misja Lend-Lease zostanie mu podporządkowana. Rozkazy zostały wydane, tymczasem szef misji, niejaki generał Faymonville, najbezczelniej ignoruje wolę prezydenta. Spurpurowiały na twarzy, prawie nie tknąwszy gotowanego kurczęcia, Standley raz po raz uderzał pięścią w stół, oświadczając, że za tym się musi kryć Harry Hopkins; na pewno powiedział Faymonville'owi, że ten rozkaz nie ma znaczenia i że całe to rozrzutne rozdawnictwo ma trwać nadal. Ale on, Standley, na życzenie prezydenta objął tę placówkę, chociaż był już na emeryturze. Będzie bronił tu interesów Ameryki i nie przeszkodzi mu w tym sam diabeł ani Harry Hopkins.

- Nawiasem mówiąc, Pug - odezwał się raptem Standley, wpatrzywszy się w niego - kiedy rozmawiałem prywatnie z tym generałem Jewlenką, mówiąc o tobie kilka razy nazwał cię asystentem wojskowym Hopkinsa. Co? Jak to jest?

Pug odpowiedział mu ostrożnie: - Admirale, kiedy przyjechaliśmy tu w 1941 roku z Harrimanem, prezydent chciał mieć raport naoczego świadka z frontu. Pan Hopkins mnie do tego wydelegował, ponieważ odbyłem przyspieszony kurs języka rosyjskiego. Jewlenkę poznałem na wysuniętej linii frontu i możliwe, że ten facet z ministerstwa, który mi towarzyszył, wmówił mu coś w tym rodzaju.

- Hm. Ach tak? - Badawcze spojrzenie ambasadora z wolna przeobraziło się w zmarszczki chytrego uśmiechu. - Rozumiem! No, w takim razie, jak rany, nie wyprowadzaj go z błędu. Jeżeli on cię naprawdę ma za chłopaka od Gary Gopkinsa, to może coś z niego wydusisz. Gary Gopkins robi tu za świętego Mikołaja.

Pug przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie dziesięć lat temu, kiedy William Standley jako szef Operacji Floty wizytował okręt liniowy West Virginia: wyprostowany, drobny, surowy admirał o czterech gwiazdkach w białym i złotym mundurze, człowiek numer jeden we flocie, łaskawie odzywający się do jakiegoś tam komandora porucznika Henry na temat osiągnięć artyleryjskich pancernika. Ognia wciąż Standleyowi nie brakowało, ale jakże się zmienił! Victor Henry w czasie tej kolacji nie mógł się opędnąć od wrażenia, że wyrzekł się stanowiska w Dowództwie Pacyfiku tylko po to, aby wesprzeć utyskującego starca w strzelaniu do komarów. Coraz więcej i więcej wylewało się tych pretensji. Nawet nie skwitowano darów od Towarzystwa Pomocy dla Rosji, w którym tyle napracowała się żona Standleya. W prasie sowieckiej tak mało się znajduje wyrazów wdzięczności dla Amerykańskiego Czerwonego Krzyża za jego pomoc. Rosjanie biorą Lend-Lease i nic za to nie dają. Kiedy już z półtorej godziny zeszło na tych utyskiwaniach, zmordowany tym Pug ośmielił się przy kawie zapytać Standleya, w jakim celu miałyby się starać o spotkanie z generałem Jewlenką.

- To sprawy służbowe - rzekł ambasador. - Zajmiemy się nimi jutro. Wyglądasz na trochę zmęczonego. Idź się przespać.

Może dlatego, że słońce jasno świeciło w bibliotece ambasadora, albo że w godzinach porannych był u szczytu formy, następne spotkanie wypadło dużo lepiej. Nawet pojawiło się w Standleyu coś z dawnego szefa Operacji.

Wyjaśnił, że Kongres zastanawia się nad przedłużeniem Lend-Lease i że Departament Stanu chce od Rosjan raportu o tym, jak dostawy Lend-Lease pomogły im na polu walki. Mołotow się na to "w zasadzie" zgodził: nieszczęsny rosyjski frazes, oznaczający wymigiwanie się przez czas nieokreślony. Mołotow przekazał to życzenie wydziałowi do spraw Lend-Lease, którego szefem jest generał Jewlenko. Standley ciągle pogania Faymonville'a, żeby się dobijał do Jewlenki, a Faymonville twierdzi, że robi, co tylko może, ale nic z tego nie wynika.

Nawet gorzej niż nic. W ostatnim rozkazie dziennym Stalina dyktator

stwierdził, że Armia Czerwona sama dźwiga wszystkie ciężary wojny, nie dostając od Aliantów żadnej pomocy! No i jak Kongres przełknie coś takiego? Ci przekłęci Rosjanie, rzekł chłodno Standley, po prostu nie mogą zrozumieć, jak głębokie są w Ameryce uczucia antybolszewickie. On podziwia ich ducha bojowego. Ale trzeba ich ratować od nich samych. Tak czy owak musi dostać to oświadczenie o pożytku z Lend-Lease na polu walki. W przeciwnym razie od czerwca może już nie być żadnego Lend-Lease. Może się cały sojusz zawalić i cała ta przeklęta wojna być przegrana. Pug nie protestował, choć zdawało mu się, że Standley przesadza. Niewątpliwie Rosjanie są prostakami i jego pierwszym, niewdzięcznym zadaniem będzie: dopaść generała Jewlenki, zmusić go, żeby sobie uświadomił całą sprawę i postarać się, aby coś z tym zrobił.

Dwa dni zajęło mu łażenie po moskiewskich ulicach, obrzeżonych czarnym lodem, którego nikt nie uprzętał, w tłumie wynędzniałych przechodniów, od jednego urzędu do drugiego po nie ujawnionym na żadnej mapie labiryncie budynków rządowych, aby wykryć, gdzie mieści się biuro generała Jewlenki. Nie mógł uzyskać ani numeru telefonu, ani nawet dokładnego adresu. Wreszcie zajął się nim brytyjski attache lotniczy, którego znał jeszcze z Berlina, i wskazał mu budynek, gdzie niedawno temu Jewlenko go potwornie objechał za to, że czterdzieści myśliwców typu Aircobra z Lend-Lease oddano wojskom brytyjskim ze względu na lądowanie w Afryce Północnej. Ale kiedy Pug usiłował wejść do tego budynku, milczący, krzepki, rumiany, młody wartownik zagroził mu drogę wspartym o pierś karabinem, zaopatrzonym w bagnet, nie reagując na jego protesty, wygłaszane w bełkotliwej ruszczyźnie. Pug wrócił do swego biura, podyktował długi list i zaniósł go do tegoż budynku. Inny wartownik przyjął list, po czym znów zaczęły upływać dni, ciągle bez odpowiedzi.

Tymczasem Pug spotkał się z generałem Faymonville, uprzejmym przedstawicielem armii, wcale nie potworem, jakiego mu opisywał Standley. Faymonville powiedział mu, że według jego informacji generał Jewlenko jest w Leningradzie; i że tak czy owak Amerykanie jeszcze nigdy nie spotkali się z Jewlenką na gruncie służbowym. Porozumiewano się z nim przez jego oficera łącznikowego, generała o nazwisku, na którym można połamać język. Lecz attaches Standleya już uprzedzili Puga, że generał Językołamow to strata czasu i ślepy zaułek; jego funkcja polega wyłącznie na tym, aby wchłaniać pytania i żądania jak puchowa poduszka, od której nic się nie odbije; w tej umiejętności zaś jest niezrównany.

Może po tygodniu takiej frustracji Pug, obudzwszy się w swojej sypialni w Domu Spasowa, znalazł wsuniętą pod drzwi notatkę:

Henry,

Kilku amerykańskich korespondentów wraca z objazdu po froncie południowym; spotykam się z nimi dzisiaj o #/9#00 w bibliotece. Bądź tam o #/8#45.

Kiedy wszedł, Standley siedział samotnie przy biurku, purpurowy na twarzy i groźnie patrzący. Admirał cisnął mu przez biurko paczkę Chesterfieldów. Pug ją podniósł. Na papierosach odbity był stempel z jaskrawo fioletowym napisem: Od towarzyszy z Partii Robotniczej Nowego Jorku.

- To są papierosy z Czerwonego Krzyża i Lend-Lease! - wykrztusił z trudem admirał. - Nie mogą być skądinąd. Armia Czerwona dostaje ich od nas miliony. Ale ja dostałem je zeszłej nocy od pewnego Czecha. A on powiada, że dostał je od oficera Armii Czerwonej, który stwierdził, że ofiarni towarzysze komuniści z Nowego Jorku zaopatrują w nie całą armię.

Victor Henry mógł tylko potrząsnąć głową z niesmakiem.

- Ci reporterzy będą tutaj za dziesięć minut - zachrypiał Standley - i coś niecoś ode mnie usłyszą.

- Admirale, nowy akt o Lend-Lease wchodzi pod głosowanie w tym tygodniu. Czy to jest moment na robienie hałasu?

- Właśnie najlepszy moment. Niech się te łajdaki obudzą. Pokazać im, do czego może doprowadzić niewdzięczność, kiedy się robi w konia naród amerykański.

Pug wskazał na paczkę papierosów. - Sir, to jest podłość bardzo niskiego rzędu. Nie rozdmuchiwałbym tego.

- To? Ależ zgadzam się. Nie warto gadać.

Weszli reporterzy, znudzeni i najwidoczniej rozczarowani tym, co zobaczyli w podróży. Jak zwykle, wyjaśnili, nie dopuszczono ich nawet w pobliże frontu. W pogawędce przy kawie Standley zapytał, czy widzieli po drodze jakiegokolwiek wyposażenie amerykańskie, Nie widzieli. Jeden zagadnął, czy zdaniem ambasadora nowy akt o Lend-Lease przejdzie na Kongresie.

- Bałbym się coś przewidywać. - Standley zerknął na Victora Henry i położył przed sobą na biurku wszystkie dziesięć kościstych palców, wyprostowanych, jak główna bateria wymierzona do salwy z całej burty. - Wiecie, chłopcy, odkąd tu jestem, ciągle szukam dowodów, że Rosjanie dostają w ogóle jakąś pomoc od Brytyjczyków i od nas. Nie tylko z Lend-Lease, ale chociażby z Czerwonego Krzyża i z Towarzystwa Pomocy dla Rosji. Jak dotąd żadnych takich dowodów nie znalazłem.

Reporterzy popatrzyli na siebie i na ambasadora.

- Tak jest - potwierdził, bębniąc przed sobą palcami. - Staralem się też uzyskać jakieś dowody, że nasze wyposażenie wojskowe jest w ogóle używane przez Rosjan na polu walki. Nie udało mi się. Władze rosyjskie jak gdyby chciały ukryć fakt, że otrzymują z zagranicy jakąś pomoc. Najwidoczniej chcą przekonać swój naród, że w tej wojnie walczy tylko Armia Czerwona i nikt poza tym.

- Oczywiście to, co pan mówi, jest nie do wykorzystania, panie ambasadorze - odezwał się któryś z reporterów; ale wszyscy już wyciągali notesy i ołówki.

- A skądże, wykorzystajcie to. - Standley mówił bardzo powoli, całkiem jakby dyktował. Jego palce zabębniły szybciej po biurku. Kiedy przerywał, słychać było wściekły syk piszących ołówków. - Władze sowieckie najwyraźniej starają się stworzyć w kraju i za granicą wrażenie, że toczą tę wojnę samotnie i używając tylko własnych zasobów. Nie widzę powodu, abyście nie mieli wykorzystać moich spostrzeżeń, jeżeli chcecie.

Reporterzy w podnieceniu zadali jeszcze kilka pytań i wypadli z pokoju.

Następnego ranka, kiedy Pug brnął zaśnieżonymi ulicami z hotelu Nacional do Domu Spasowa, zastanawiał się, czy ambasador został już odwołany. Jedząc w hotelu śniadanie z reporterami, dowiedział się, że oświadczenie Standleya ukazało się na pierwszych stronach wszystkich gazet w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, że Departament Stanu odmówił komentarzy, że prezydent odwołał zaplanowaną konferencję prasową i że w Kongresie zakipiało. Cały świat dopytuje się, czy Standley mówił to w imieniu własnym, czy Roosevelta. Krażyła pogłoska o aresztowaniu rosyjskich cenzorów, którzy wypuścili to oświadczenie.

Na szerokich, cichych ulicach Moskwy, wysoko zasypanych świeżym śniegiem, wśród setek człapiących Rosjan i jak zwykle przejeżdżających ciężarówek pełnych żołnierzy, cała ta wrzawa wydawała się odległa i nic nie znacząca. Jednakże Standley zrobił coś niewiarygodnego: dał publicznie wyraz swojej prywatnej irytacji w karkołomnie delikatnej sprawie, rozgrywającej się między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Jakże mógłby ocaleć?

W pokoiku przydzielonym mu jako tymczasowy gabinet znalazł na biurku notatkę od telefonistki: "Proszę zadzwonić pod 0743." Połączył się z centralą, usłyszał zwykle trzaski, stuki i pomieszane odgłosy moskiewskiej sieci telefonicznej, a potem chrapliwy bas: - Słuszaju.

- Goworit kapitan Wiktor Gienry.

- Jasno. Jewlenko.

`cp2

Tym razem wartownik sztywno zasalutował i przepuścił oficera floty amerykańskiej bez jednego słowa. W ogromnym, marmurowym holu siedzący przy biurku wojskowy bez cienia uśmiechu podniósł oczy i nacisnął guzik. - Kapitan Gienry?

- Da.

Dziewczyna w mundurze, bez cienia uśmiechu na twarzy, zeszła po szerokich, zakręcających schodach i odezwała się sztywną i sztuczną angielszczyzną: - How do you do? Biuro generała Jewlenki jest na pierwszym piętrze. Proszę pana iść ze mną.

Ozdobne żelazne balustrady, marmurowe schody, marmurowe filary, wysokie łukowate sklepienia: jeszcze jedna carska rezydencja, współczesniona popiersiami Lenina i Stalina z czerwonego marmuru. Wielkie i grube płyty starej, złuszczającej się farby nadawały tej budowli powszechny w czasach wojny wygląd zaniedbania. Za pozamykanymi drzwiami na całej długości nagiego korytarza, wiodącego do gabinetu Jewlenki, klekotały maszyny do pisania. Pug zapamiętał go jako olbrzymiego mężczyznę, ale kiedy podniósł się bez uśmiechu, wyciągając lewą dłoń spoza biurka, nie wyglądał na tak wielkiego; może ze względu na ogrom biurka i pokoju albo dlatego, że umieszczona za nim fotografia Lenina była wielokrotnie większa niż w naturze. Obrazy wiszące na innych ścianach były czarno-białymi reprodukcjami portretów starych generałów carskich. Długie, zakurzone, czerwone zasłony odcinały szare światło moskiewskiego dnia w środku zimy. Na wysokim, zdobnym w zakrętasy, mosiężnym kandelabrze jarzyły się gołe żarówki.

Uścisk lewej dłoni generała był niezgrabny, lecz mocny. Wielka twarz z obwisłymi policzkami wyrażała jeszcze gorsze zmęczenie i smutek niż na froncie pod Moskwą, kiedy Niemcy dokonywali przełomu. Nosił wiele odznaczeń, między innymi to w czerwono-żółte paski za odniesioną ranę, a jego schludny, oliwkowy mundur obwieszony był świeżym, złotym galonem. Przywitali się po rosyjsku i Jewlenko uczynił gest w kierunku dziewczyny: - Będzie nam potrzebna tłumaczka?

Na spojrzenie Puga w ogóle nie zareagowała: ładna twarz, bujne jasne włosy, śliczne czerwone usta, niezłe piersi, chłodny wzrok bez wyrazu. Od chwili wyjazdu z Washingtonu Pug codziennie przez dwie godziny ćwiczył się w słówkach i gramatyce, więc mówił teraz po rosyjsku mniej więcej tak dobrze, jak po przyspieszonym kursie w 1941 roku. Instynktownie odpowiedział: - Niet. - Dziewczyna odwróciła się jak automat i wyszła. Pug nie wątpił, że mikrofony i tak zarejestrują wszystko, co powie, ale nie miał powodów do ostrożności, a Jewlenko niewątpliwie potrafi o siebie zadbać. - Mniej o jedną parę oczu i uszu - powiedział.

Generał Jewlenko uśmiechnął się. Pug zaraz pomyślał o tym wieczorze, który spędzili pijąc i tańcząc w chacie opodal frontu i jak to Jewlenko przytupywał, kręcąc się z Pamela, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. Jewlenko wskazał na kanapę i niski stolik, wykonując gest sztuczną, prawa dłonią, która mu szokująco sterczała z rękawa w sztywnej, brązowej, skórzanej rękawiczce. Na stoliku stały talerze z ciastkami i płatkami ryby, cukierkami w papierkach, butelki napojów i wody mineralnej, flaszka wódki, szklanki i kieliszki. Chociaż Pug nie miał na nic ochoty, wziął ciastko i nalał sobie orzeźwiającego napoju. Jewlenko wziął dokładnie to samo i powiedział, pykając z papierosa, ujętego w metalowe kółko na sztucznej dłoni: - Dostałem pański list. Byłem bardzo zajęty, więc proszę mi wybaczyć, że nie od razu odpowiedziałem. Uważałem, że lepiej będzie porozmawiać niż pisać do siebie listy.

- Zgadzam się.

- Prosił pan o informacje co do wykorzystania dostaw z Lend-Lease na polu walki. Oczywiście, że na polu walki bardzo dobrze wykorzystujemy dostawy z

Lend-Lease. - Jewlenko mówił w zwolnionym tempie i prostymi słowami, ażeby ułatwić Pugowi rozumienie. Jego szorstki, gruby głos odzywał się w gabinecie jak gdyby echem z frontu. - Ale hitlerowcy cieszyliby się, gdyby ich dokładnie poinformować o ilości, jakości i osiągnięciach bojowych wyposażenia z Lend-Lease, którego przeciw nim używamy. Wiadomo, że mają dostęp do New York Timesa, do audycji Columbia Broadcasting System i tak dalej. Trzeba liczyć się z tym, że nieprzyjaciel ma długie uszy.

- Więc proszę nie ujawniać niczego, czym wróg mógłby się posłużyć. Wystarczy nam ogólnikowe oświadczenie. Widzi pan, Lend-Lease mnóstwo kosztuje, więc nasz prezydent potrzebuje masowego poparcia, jeżeli te dostawy mają trwać dalej.

- A czy takie zwycięstwa jak pod Stalingradem nie zapewniły nam u Amerykanów masowego poparcia dla Lend-Lease? - Jewlenko przeciągnął swoją prawdziwą dłoń po niemalże łysej głowie, ostrzyżonej na jeża. - Rozbiliśmy kilka zgrupowań armii niemieckiej. Dokonaliśmy przełomu w tej wojnie. Kiedy wreszcie uruchomicie drugi front w Europie, z którym się ciągle spóźniacie, wasi żołnierze trafią na dużo słabszy opór i będą ponosić dużo mniejsze straty, niż myśmy ponieśli. Amerykanie są mądry. Zrozumieją te oczywiste fakty. I dlatego będą popierać Lend-Lease. A nie z powodu jakiegoś tam "ogólnikowego oświadczenia".

Pug uważał dokładnie tak samo, więc trudno mu było znaleźć odpowiedź. Co za podłe zajęcie, strzelać do tych komarów Standleya! Dolał sobie napoju i saczył ten czerwony, mdły, słodkawy płynik. Generał Jewlenko podszedł do biurka, wrócił niosąc gruby skoroszyt i rozłożył go na stoliku. Zdrową dłoń przekartkował szare wycinki, poprzyklejane na kartkach. - A wasi korespondenci w Moskwie śpią, czy jak? Tu jest tylko trochę najświeższych artykułów z Prawdy, Trudu i Czerwonej Gwiazdy. A tutaj ogólnikowe oświadczenia. Proszę je sobie przeczytać. - Jeszcze raz pociągnął z papierosa dopalającego się w metalowym uchwycie i zgniótł go wprawnym ruchem martwej dłoni.

- Panie generale, w swoim ostatnim rozkazie dziennym Stalin oświadczył, że to Armia Czerwona dźwiga ciężar wojny i że Alianci jej wcale nie pomagają.

- Powiedział to po Stalingradzie. - Replika była ostra i obcesowa. - A może to nieprawda? Hitlerowcy ściągnęli wszystkie siły z wybrzeży Atlantyku, aby rzucić przeciwko nam wszystko, czym tylko rozporządzają. A tymczasem Churchill ani palcem nie kiwnął. Nawet i wasz wielki prezydent nic u niego nie wskórał. Musieliśmy sami wygrać tę bitwę.

Taka przepychanka do niczego nie prowadziła; i argument o Afryce Północnej też nie pomoże. Skoro już Pug musi o tym zameldować Standleyowi, pomyślał, że nic nie straci oddając salwę do wszystkich komarów. - Chodzi nie tylko o Lend-Lease. Czerwony Krzyż i Towarzystwo Pomocy dla Rosji też nie szczędziły darów dla narodu sowieckiego, o których nikt się nie zająknął.

Z miną pełną niedowierzania Jewlenko odparł: - Chodzi panu o te parę milionów dolarów w formie prezentów? Znamy się na wdzięczności i okazujemy ją walcząc. A według pana co jeszcze powinniśmy zrobić?

- Mój ambasador uważa, że o tych darach u was się za mało pisze.

- Wasz ambasador? On chyba się wypowiada w imieniu waszego rządu, a nie swoim własnym?

Czując się coraz bardziej niezręcznie, Pug odpowiedział: - Oświadczenia w sprawie wykorzystania pomocy z Lend-Lease na polu walki domaga się Departament Stanu. Pan wie, że o prolongacie Lend-Lease ma zdecydować Kongres.

Jewlenko wetknął sobie w uchwyt nowego papierosa. Zapalniczka mu szwankowała, więc poburkiwał coś pod nosem, aż ją zdołał zapalić. - Nasza ambasada w Washingtonie powiada, że z prolongatą Lend-Lease w Kongresie nie

będzie kłopotu. Toteż wybuch admirała Standleya brzmi niepokojąco. Czy znaczy to, że polityka pana Roosevelta się zmienia?

- Nie mogę się wypowiadać za prezydenta Roosevelta.

- A co z panem Hopkinsem? - Jewlenko rzucił mu baczne i bystre spojrzenie przez kłęby dymu.

- Harry Hopkins jest wielkim przyjacielem Związku Radzieckiego.

- Wiemy o tym. Co więcej - rzekł Jewlenko i sięgnął po wódkę, nagle rozweselony - chciałbym wypić z panem za zdrowie Harry Hopkinsa. Przyłączy się pan?

Zaczyna się, pomyślał Pug. Kiwnął głową. Wódka spłynęła mu do wnętrza łaskotliwą, rozgrzewającą strużką. Jewlenko mlasnął grubymi wargami i zaskoczył Puga, mrugnawszy do niego: - Czy wolno spytać, jaki pan ma stopień?

Wskazując naramienniki u swego płaszcza - w pokoju było tak zimno, że go nie zdjął - Pug odpowiedział: - Cztery galony. Komandor Floty Stanów Zjednoczonych.

Jewlenko uśmiechnął się znacząco. - Tak. Widzę. Opowiem panu autentyczną historię. Kiedy wasz kraj w 1933 roku uznał Związek Radziecki, wysłaliśmy jako wojskowych attache admirała i wiceadmirała. Wasz rząd uskarżał się, że ich wysokie stopnie powodują trudności protokolarne. Następnego dnia zdegradowano ich do komandora i kapitana, i wszystko już było w porządku.

- Ja jestem po prostu komandorem.

- Ale Harry Hopkins, drugi człowiek po prezydencie, jest u was najpotężniejszy ze wszystkich.

- Bynajmniej. Tak czy owak ze mną nie ma to nic wspólnego.

- Wasza ambasada ma już komplet wojskowych attache, prawda? Więc jaka jest pańska rola, jeżeli wolno spytać? Czy reprezentuje pan Harry Hopkinsa?

- Nie. - Pug pomyślał, że nic się nie stanie, a może się nawet przydać, jeżeli doda: - Ścisłe mówiąc, przybyłem tu na osobiste polecenie prezydenta Roosevelta. Ale zapewniam pana, że jestem komandorem floty i niczym więcej.

Generał Jewlenko przyjrzał mu się z powagą. Pug z niewzruszoną twarzą wytrzymał jego spojrzenie. Niech teraz dla odmiany ci Rosjanie zachodzą w głowę, pomyślał, cośmy za jedni. - Aha. W takim razie, skoro pan jest wysłannikiem prezydenta, proszę wyjaśnić, co mu się tak nie podoba w sprawie Lend-Lease, że spowodowało to - rzekł Jewlenko - ten niepokojący wybuch ze strony waszego ambasadora.

- Nie jestem do tego upoważniony.

- Komandorze Henry, ze względu na Harry Hopkinsa pozwolono panu w trudnym momencie 1941 roku objechać front pod Moskwą. Na pańską prośbę towarzyszyli panu brytyjski dziennikarz i jego córka w roli sekretarki.

- Tak jest. I do dzisiaj pamiętam gościnność, jaką nam pan okazał w huku dział.

- Otóż miły zbieg okoliczności sprawia, że mogę panu zaproponować drugą taką wycieczkę. Wkrótce wyjeżdżam z Moskwy na inspekcję, jak przedstawia się sytuacja Lend-Lease w warunkach polowych. Będę odwiedzał strefy walk na frontach. Nie zamierzam włączyć pod ostrzał - przelotny błysk wielkich zębów w uśmiechu - to znaczy nie umyślnie, ale wszystko może się zdarzyć. Jeśli ma pan chęć mi towarzyszyć i przekazać panu Hopkinsowi oraz waszemu prezydentowi raport naoczego świadka o tym, jak wykorzystuje się Lend-Lease na polu walki, dałoby się to załatwić. A później może uda się nam uzgodnić jakieś "ogólnikowe oświadczenie".

- Zgoda. Kiedy ruszamy? - Jakkolwiek zaskoczony, Pug nie przepuścił tej sposobności. Jeżeli Standley ma coś przeciwko temu, to niechaj mu zabroni.

- Tak? Po amerykańsku. - Jewlenko wstał i wyciągnął do niego lewą rękę. - Dam panu znać. Prawdopodobnie udamy się najpierw do Leningradu, gdzie - mogę to panu powiedzieć - żaden korespondent i chyba żaden cudzoziemiec nie pojawił się już ponad rok. Jak panu wiadomo, Leningrad jest nadal oblężony,

ale blokada została już przełamana. Są drogi, którymi można się tam dostać bez większego niebezpieczeństwa. Urodziłem się w tym mieście, więc korzystam z okazji, żeby tam zajrzeć. Nie byłem w Leningradzie, odkąd moja matka umarła w czasie oblężenia.

- Współczuję - odezwał się w zakłopotaniu Pug. - Czy zginęła w bombardowaniu?

- Nie. Umarła z głodu.

`nv

`ty

61

`ty

Z głodu.

Było to może najcięższe oblężenie w historii świata. Oblężenie sięgające grozy biblijnej; niczym oblężenie Jerozolimy, kiedy, jak powiedziano w Księdze Jeremiasza, niewiasty gotowały i jadły swe dzieci. Z początkiem wojny Leningrad miał prawie trzy miliony mieszkańców. Gdy odwiedził go Victor Henry, pozostało jakieś sześćset tysięcy. Jeśli chodzi o resztę, połowa została ewakuowana, a połowa umarła. Krążą straszne opowieści, że sporo z nich zjedzono. Ale wtedy świat zewnętrzny raczej nie uświadamiał sobie tak tego oblężenia, jak i głodu; i do dnia dzisiejszego sprawa ta w znacznej części jest przemilczana, a jej dokumenty zapieczone w sowieckich archiwach lub zniszczone. Zapewne nikt nie wie z dokładnością do stu tysięcy ludzi, ilu zmarło w Leningradzie z głodu albo z chorób głodowych. Można ich szacować na liczbę od miliona do półtora miliona.

Historyków sowieckich Leningrad wprawia w zakłopotanie. Z jednej strony dzieje oporu, jaki to miasto skutecznie stawiało przez trzy lata, mają w sobie coś epickiego w skali światowej. Z drugiej strony Niemcy przeszli po Armii Czerwonej i dotarli do miasta w przeciągu paru tygodni, stwarzając przez to scenę dla całego dramatu. Jak nieomylna Partia Komunistyczna to wytłumaczy? I czym wytłumaczyć, że to wielkie, otoczone wodą miasto nie zmobilizowało się do oblężenia przez szybką ewakuację niepotrzebnych gab, które trzeba było wyżywić i przez zgromadzenie zapasów dla garnizonu, stojącego w obliczu nadciągających olbrzymich armii?

Na Zachodzie historycy bez przeszkód i czym prędzej biorą się do piętnowania swych przywódców oraz ich rządów za klęski i nieszczęścia. Natomiast w Sowietach rządzi Partia, mająca jedynie słuszne podejście do każdej sytuacji. Dla jej historyków bywa to raczej niewygodne. Tylko Partia decyduje o przydziale papieru na druk dzieł historycznych. Oblężenie Leningradu staje kością w gardle historykom sowieckim, chcącym się doczekać publikacji swych dzieł. Tak oto wspaniałe osiągnięcie rosyjskiego heroizmu, w swej ponurej i wielkiej prawdzie, kryje się w niedopowiedzeniach.

Ostatnimi czasy ci historycy zaczynają nieśmiało dotykać spraw, które w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej źle wypadły, począwszy od całkowitego zaskoczenia Armii Czerwonej w 1941 roku, jej niemalże załamania się i tego, że przez okres prawie trzech lat nie potrafiła uwolnić połowy Rosji od Niemców, dużo mniejszego narodu, prowadzącego równocześnie wojnę na innych frontach. Ale i to przedstawia się mgliście. Z upływem lat, kiedy na szczytach polityki sowieckiej zachodzą jakieś niejasne zmiany, pozycja Stalina jako przywódcy czasu wojny słabnie i znowu się utwierdza. Jeszcze nie uczyniono mu otwarcie zarzutu z tego, co stało się w Leningradzie.

A nieomylność Partii to dogmat.

Niezaprzeczone jest, że Północne Zgrupowanie Armii Niemieckiej, w sile około czterystu tysięcy ludzi, w błyskawicznej kampanii letniej dotarło na przedmieścia Leningradu i odcięło go od "Wielkiej Ziemi", czyli nie podbitego obszaru Sowietów. Hitler postanowił wstrzymać się od natychmiastowego, wielkiego szturm. Kazał zmusić Leningrad do poddania się

za pomocą blokady, obrońców zagłodzić albo unicestwić i zrównać miasto z ziemią, nie zostawiając kamienia na kamieniu, zamieniając je w wymarłe pustkowie.

Ludność Leningradu wiedziała, że nie może się spodziewać niczego więcej. Nie wchodziło w grę ogłoszenie go miastem otwartym, jak Paryża, do czego wciąż nakłaniały spadające jak deszcz ulotki. Kiedy nadeszła zima, ludzie zaczęli ściągać zapasy, pod ostrzałem niemieckich dział, przez zamrożone jezioro Ładoga. Najeźdźcy próbowali rozkruszyć lód ogniem artyleryjskim, ale dwa metry lodu to mocna rzecz. Transporty ciągle szły po lodowym szlaku przez zimę, przez mrok, śnieżne zawieje i ogień zaporowy artylerii; i Leningrad nie upadł. W miarę jak dowożono żywność, puste ciężarówki zabierały niepotrzebnych ludzi. Kiedy nadeszła wiosna i lód stopniał, osiągnięto coś na kształt równowagi między liczbą jedzących a ilością pokarmu.

W styczniu 1943 roku, na krótko przed przyjazdem Victora Henry, oddziały broniące Leningradu odepchnęły Niemców kosztem straszliwych ofiar na niewielką odległość i odbiły kluczowy węzeł kolejowy. Tym sposobem przełamano blokadę. Pod nieustannym ostrzałem wrogiej artylerii zaczęto znów dowozić zapasy przez tak zwany "korytarz śmierci", odcinek torów raz po raz przerywany przez niemieckie pociski i ciągle na nowo uruchamiany. Większość ładunków i pasażerów przedostawała się bez uszczerbku; i tą właśnie drogą Victor Henry wjechał do miasta. Zaopatrzony w narty samolot generała Jewlenki wylądował w pobliżu odbitej zajezdni kolejowej, gdzie Pug zobaczył olbrzymie stosy kartonowych pudeł z żywnością, a na nich amerykańskie napisy; oraz szeregi dżipów i wojskowych ciężarówek amerykańskich, oznaczonych czerwoną gwiazdą. Do Leningradu odjechali w nocy absolutnie zaciemnionym pociągiem. Za oknami wagonu po lewej stronie błyskały ogniem i pomrukiwały niemieckie działa.

`cp2

Na śniadanie podano im w mroźnych koszarach czarny chleb oraz jajka i mleko z proszku. Jewlenko i Pug jedli przy długich metalowych stołach, w tłumie młodych żołnierzy. Wskazując na jajecznicę, Jewlenko powiedział: - Lend-Lease.

- Poznają. - Pug zjadł tego mnóstwo na pokładzie Northamptona, gdy skończyły się jaja z chłodni.

Sztuczna dłoń machnęła w stronę żołnierzy. - Również mundury i buty tego batalionu.

- Czy wiedzą, skąd mają tę odzież?

Jewlenko spytał siedzącego przy nim żołnierza: - Masz nowy mundur?

- Tak jest, towarzyszu generale. - Szybka odpowiedź, młoda, rumiana twarz była czujna i poważna. - Wyrób amerykański. Dobry mundur, dobry materiał.

Jewlenko spojrział na Puga, który przytaknął z zadowoleniem.

- Ale ciało rosyjskie - zauważył Jewlenko, pobudzając Puga do niewesołego śmiechu.

Na dworze robiło się jasno. Podjechał samochód sztabowy marki Studebaker, bryzgając śniegiem spod masywnych opon, i kierowca zasalutował. - No, to zobaczymy, co się stało z moim rodzinnym miastem - rzekł Jewlenko, podnosząc kołnierz długiego, brązowego płaszcza i naciskając papachę.

Victor Henry nie wiedział, czego się ma spodziewać: może drugiej takiej ponurej Moskwy, tylko wypalonej, zrujnowanej i pobliznionej jak Londyn. Rzeczywistość go oszołomiła.

Jeżeli nie liczyć srebrzystych balonów zaporowych, spokojnie unoszących się w cichym powietrzu, Leningrad wyglądał na prawie nie zamieszkaną. Czysty, dziewiczy śnieg pokrywał aleje, wzdłuż których stały imponujące, stare budowle. Nie było widać ludzi ani pojazdów. Jak w niedzielny poranek u nich w Ameryce, ale takiego świątecznego spokoju Pug w życiu nie widział.

Wszędzie panowała niesamowita, błękitna cisza; błękitna raczej niż biała, bo nietknięty śnieg odbijał błękit jaśniejszego nieba. Pug nic nie wiedział o tych uroczych kanałach i mostach; nie wyobrażał sobie tych przepysznych katedr ani wspaniałych, szerokich arterii, godnych porównania z Champs-Elysees, okrytych bielą w krystalicznym powietrzu; ani wytwornych domów ustawionych przy granitowych nabrzeżach zamarznętej rzeki, piękniejszej niż Sekwana. Cała rozległość, moc, historia i chwała Rosji jakby olśniły go nagle, kiedy sztabowy samochód wyjechał na olbrzymi plac przed fasadą Pałacu Zimowego: widok bardziej zdumiewający i majestatyczny niż Wersal. Pug pamiętał ten plac z filmów o rewolucji, pełen ryczących tłumów i carskich kozaków. Teraz opustoszał. Na hektarach śniegu nie było ani jednego śladu.

Samochód przystanął.

- Jaka cisza - odezwał się po raz pierwszy od piętnastu minut Jewlenko.

- To najpiękniejsze miasto, jakie widziałem - rzekł Pug.

- Mówią, że Paryż jest piękniejszy. I Washington.

- Nie ma równie pięknego miejsca. - W nagłym odruchu Pug dorzucił: - Moskwa to wiocha.

Jewlenko popatrzył na niego dziwnie.

- Czyżby to była obraźliwa uwaga? Powiedziałem, co myślę.

- Bardzo to niedyplomatyczne - warknął Jewlenko. Warknięcie zabrzmiało raczej jak mruczenie kota.

Z upływem dnia Pug zobaczył wiele szkód, wyrządzonych przez ostrzał: rozwalone budynki, zabarykadowane ulice, setki okien zabitych resztkami drewna. Słońce podniosło się, pogrążając aleje w oślepiającym blasku. Miasto zbudziło się do życia, zwłaszcza jego południowa część, bliżej linii niemieckich, gdzie skupiały się fabryki. Tu bardziej rzucały się w oczy wyrwy od pocisków; zdarzały się całe kwartały wypalone, od jednej ulicy do drugiej. Piesi brnęli po opustoszałych ulicach, od czasu do czasu przełomotał trolejbus, roiło się od wojskowych ciężarówek i samochodów osobowych. Pug słyszał przerywany huk artylerii niemieckiej i na domach czytał wykonane przez szablon napisy: Obywatele! W czasie ostrzału artyleryjskiego ta strona ulicy jest bardziej niebezpieczna. Ale i tutaj robiło to wrażenie prawie pustego, prawie że pokojowego, wielkiego miasta; a te późniejsze i bardziej przyziemne wrażenia nie zatarły - nic już nie miało zatrzeć - żywej, porannej wizji, którą zobaczył Pug Henry, wojennego Leningradu jako śpiącej królowej, zaczarowanej, błękitnej, mroźnej metropolii umarłych.

Nawet Zakłady im. Kirowa, gdzie podług zapowiedzi Jewlenki miała kipieć robota, wyglądały na opuszczone. W jednej ogromnej, zbombardowanej hali stały szeregi na wpół zmontowanych czołgów pod spalonym rumowiskiem zawalonego stropu, a tuziny opatulonych w chusty kobiet cierpliwie uprzętały gruz. W jednym miejscu istotnie wrzała robota: w olbrzymiej zajezdni dla ciężarówek pod gołym niebem i zawiłej konstrukcji siatką maskującą, rozciągniętą przez kilka ulic. Tu w gorączkowym tempie odbywały się prace remontowe, w zgiełku, na który składały się brzęk narzędzi, okrzyki robotników, i tu ożyła rzeczywistość Lend-Lease: to, co wylało się z Detroit i przypłynęło tu przez trzydzieście tysięcy kilometrów, pod ostrzałem U-Bootów: niezliczone mnóstwo amerykańskich ciężarówek, wykazujących ciężkie ślady zużycia. Jewlenko wyjaśnił, że większość z nich kursowała zimową drogą po lodzie. Teraz już lód osłabł, uruchomiona została linia kolejowa i chyba to koniec tamtej drogi. Ciężarówki po generalnym remoncie wyruszą na fronty centralny i południowy, gdzie wielkie kontrataki już odrzucają Niemców. Następnie Jewlenko zabrał go na lotnisko, otoczone bateriami dział przeciwlotniczych, które wyglądały jak te z amerykańskiej Marynarki Wojennej. Na całym terenie, zrytym od bomb, stały rozrzucone pod kamuflażem rosyjskie myśliwce Jak i amerykańskie Aircobra, zaopatrzone w

rosyjskie znaki.

- Na takim samolocie lata mój syn - rzekł Jewlenko, poklepując maskę którejś Aircobry. - To świetny samolot. Pozna go pan, kiedy będziemy w Charkowie.

Na krótko przed zachodem słońca wstąpili po synową Jewlenki, kończąca pracę w szpitalu, gdzie ochotniczo zatrudniła się jako pielęgniarka. Samochód lawirował po cichych ulicach, czyniących wrażenie, jakby trąba powietrzna wymiotła z nich domy, zostawiając kwartał za kwartałem płytkich fundamentów bez gruzu. Jewlenko wyjaśnił, że tu stały drewniane domy i wszystkie je rozebrano na opał. Samochód zatrzymał się przy płaskim, nie zabudowanym terenie, gdzie sterczały ze śniegu rzędy nagrobków. Były to przeważnie jakieś resztki - kawałek rury, kij, poprzeczka od krzesła - albo niedbale sklecone krzyże z drewna i blachy. Jewlenko i jego synowa wysiedli, poszli szukać między krzyżami. W sporej odległości generał ukląkł w śniegu.

- Miała prawie osiemdziesiąt lat - odezwał się do Puga, kiedy samochód oddalał się od cmentarza. Twarz miał spokojną, usta gorzko zaciśnięte. - I ciężkie życie. Przed rewolucją była pokojówką. Brakowało jej wykształcenia. Ale pisała wiersze, ładne wiersze. Wiera ma kilka wierszy, które napisała tuż przed śmiercią. Moglibyśmy teraz jechać do koszar, ale Wiera zaprasza nas do siebie. Co pan na to? W koszarach będzie lepsze jedzenie. Najlepsze jedzenie, jakie mamy, jest dla żołnierzy.

- Mniejsza o jedzenie - rzekł Pug. Zaproszenie do rosyjskiego domu było czymś niezwykłym.

- No, to zobaczy pan, jak teraz żyje się w Leningradzie.

Wiera uśmiechnęła się do Puga i mimo popsutych zębów nagle wydała się nie taka brzydka. Ładne, zielonkawe oczy; serdeczny i czarujący uśmiech rozjaśniał jej twarz, która niegdyś mogła być pucołowata. Skóra zwisała w fałdach, nos sterczał ostro, oczodoły zaś były jak czarne jamy.

W prawie nie uszkodzonej części miasta weszli do mrocznej sieni, cuchnącej zatkanymi ubikacjami i smażonym olejem; weszli po wąskich schodach, pograżonych w zupełnej ciemności, na drugie piętro. Klucz zazgrzytał w zamku. Wiera zapaliła lampkę naftową i w jej zielonkawej poświacie Pug zobaczył ciasny pokój, który wypełniały bez reszty łóżko, stół, dwa krzesła i kupa połamanego drewna pod kaflowym piecykiem, od którego blaszana rura wychodziła przez zabite deskami okno. Było tu zimniej niż na dworze, gdzie dopiero co zaszło słońce. Wiera rozpałała w piecyku, skruszyła warstewkę lodu w kubie i nalała wody do czajnika. Generał wydobył z płóciennej torby, którą wniósł po schodach, butelkę wódki. Przemarznięty mimo grubej, ciepłej bielizny i tęgich butów, rękawic i swetra, Pug lepiej się poczuł, kiedy łyknął z generałem kilka szklaneczek.

Jewlenko wskazał na łóżko, na którym siedział. - Na tym łóżku umarła i leżała przez dwa tygodnie. Wiera nie mogła dostać trumny. Nie było trumien. Z braku drzewa. Wiera nie chciała jej zakopać jak psa. Było bardzo zimno, dużo poniżej zera, więc z higieną żadnego kłopotu. Jednak wyobraża pan sobie, jakie to było straszne. Ale Wiera mówi, że przez cały ten długi czas wyglądała po prostu jak uśpiona i całkiem spokojna. Oczywiście starzy najpierw umierali brakowało im wytrzymałości.

Pokój się szybko nagrzewał. Wiera, smażąc bliny na piecyku, zdjęła chustę i futro, ukazując podarty sweter i spódnice założoną na buty i grube walonki. - Ludzie jedli dziwne rzeczy - powiedziała spokojnie. - Rzemienie. Klej spod tapet. Nawet psy i koty, szczury, myszy i wróble. Ja nie, nic z tych rzeczy. Ale słyszałam. W szpitalu nasłuchaliśmy się okropności. - Wskazała na bliny, które zaczynały skwierczeć na piecyku. - Takie bliny robiłam z trocin i wazeliny. Wstrętne, chorowało się po tym, ale wypełniały żołądek. Dostawaliśmy malutkie przydziały chleba. Ja swój oddawałam mamie, ale po jakimś czasie przestała jeść. Pograżyła się w apatii.

- Powiedz mu o trumnie - rzekł Jewlenko.

- Pod nami mieszka jeden poeta - wyjaśniła Wiera, znów odwracając się do skwierczących placków. - Łyzukow, bardzo znany w Leningradzie. To on rozebrał swoje biurko i przerobił mamie na trumnę. Do tej pory żyje bez biurka.

- I o sprzątanii - dorzucił generał.

Synowa się raptem zirytowała: - Komandor Henry nie chce słuchać takich smutności.

Pug odpowiedział kulawo: - Chyba, że dla pani to smutne, ale ja jestem ciekaw.

- Może później. Na razie zjedzmy.

Zaczęła nakrywać do stołu. Jewlenko zdjął ze ściany fotografię młodego człowieka w mundurze. - To mój syn.

Światło lampy ukazało dobrą, słowiańską twarz: kędzierzawe włosy, szerokie czoło, wydatne kości policzkowe, bystry i naiwny wyraz twarzy.

- Przystojny - powiedział Pug.

- Chyba wspominał pan, że też ma syna lotnika.

- Miałem. Zginął w bitwie pod Midway.

Jewlenko wytrzeszczył oczy, a potem ścisnął Puga za ramię zdrową ręką. Wiera postawiła na stole butelkę czerwonego wina, wydobytą z płóciennej torby. Jewlenko ją odkorkował. - Jak miał na imię?

- Warren.

Generał wstał i napełnił trzy szklanki. Pug też stanął na baczność. - Za Woriena Wiktorowicza Gienry - rzekł Jewlenko. Pijąc słabe i kwaśne wino w tym nędznym, oświetlonym lampką pokoiku, dusznym już od piecyka, Pug poczuł - po raz pierwszy - na myśl o śmierci Warrena coś innego niż samą udrękę. Ta śmierć, przynajmniej na mgnienie oka, związała nad dzielącą je przepaścią dwa obce światy. Jewlenko postawił pustą szklankę. - Słyszeliśmy o bitwie pod Midway. To wielkie zwycięstwo floty amerykańskiej, które dokonało przełomu w wojnie na Pacyfiku.

Pug nie mógł wydobyć głosu. Tylko skinał głową.

Do blinów były parówki i puszka amerykańskiej sałatki owocowej, też z generalskiej torby. Szybko opróżnili butelkę wina i otworzyli drugą. Wiera zaczęła mówić o oblężeniu. Najgorsze było, powiedziała, jak śniegi zaczęły topnieć zeszłej wiosny, pod koniec marca. Wszędzie pokazały się trupy, zamrożone i nie pochowane od wielu miesięcy, ludzie, którzy po prostu padali na ulicach i umierali. Zrobiło się coś koszmarnego, ta mieszanina odpadków, śmieci, gruzu i tysięcy wynurzających się trupów, wszędzie potworny smród, groźba epidemii. Ale władze spędziły ludzi, nie patyczkując się, i urządzono gigantyczne sprzątanie, ratując miasto. Trupy zwalono do ogromnych mogił zbiorowych, niektóre z nich rozpoznane, wiele nie rozpoznanych.

- Bo widzi pan, całe rodziny umierały z głodu - wyjaśniła Wiera. - Albo został ktoś jeden, chory, w apatii. Nie sprawdzano, kogo brakuje. Można było poznać, kto już niedługo umrze, po apatii. Gdyby ich zabrać do szpitala albo zwyczajnie położyć do łóżka i nakarmić, mogłoby pomóc. Ale oni upierali się, że nic im nie jest i że pójdą do pracy. Potem siadali albo kładli się na chodniku i tak umierali w śniegu. - Spojrzała na ojca i dodała ścisłym głosem: - Nieraz kradli im kartki żywnościowe. Ludzie porobili się jak wilki.

Jewlenko dopił wino i stuknął szklanką o stół. - No, wystarczy. Popełniono błędy. Idiotyczne, grube, niewybaczalne błędy.

Tyle już wypili, że Pug ośmielił się spytać: - Kto?

I zaraz ugryzł się w język. Generał Jewlenko spojrzał na niego wściekłym wzrokiem, pokazując swe wielkie, żółte zęby. - Trzeba było ewakuować milion ludzi starszych, dzieci, niesprawnych i chorych. Kiedy Niemcy byli już o sto kilkadziesiąt kilometrów i naloty trwały przez całą dobę, nie wolno

było zostawiać zapasów żywności w starych, drewnianych szopach. Przez jedną noc spaliła się żywność dla całego miasta na sześć miesięcy. Całe tony cukru topiły się i wsiąkały w ziemię. Ludzie ją potem jedli.

- Też jadłam - powiedziała Wiera. - Drogo za nią płaciłam.

- Nie takie rzeczy ludzie jedli. - Jewlenko wstał. - Ale Niemcy nie zdobyli Leningradu. I nie zdobędą. Rozkazy szły z Moskwy, ale Leningrad uratował się sam. - Mówił trochę niewyraźnie i naciągał płaszcz, stojąc plecami do Puga, który jakby dosłyszał: - Wbrew rozkazom. - Generał odwrócił się i powiedział: - No, a od jutra, kapitan, zobaczy pan takie miejsca, które Niemcy zdobyli.

`cp2

Jewlenko podróżował bez wytchnienia. Nazwy miejscowości zlewały się - Tichwin, Rzew, Możajsk, Wiaźma, Tuła, Liwny - a wszystkie one, jak miasta amerykańskiego Midwestu, rozsiadły się na wielkiej, płaskiej równinie pod ogromnym niebem, jedno podobne do drugiego; nie przez tę spokojną i banalną jednakowość, z jaką w Ameryce powtarzają się stacje benzynowe, restauracje i motele, tylko przez swą okropność. Gdy tak przelatywali setki kilometrów, ładując, aby odwiedzić to jednostkę wojskową w terenie, to sztab w jakiejś wiosce, to zgrupowanie czołgów i ciężarówek, to znów operacyjne lotnisko, wszystko to układało się Pugowi w obraz rosyjskiego frontu w kolosalnych rozmiarach i osłupiający, jeśli chodzi o śmierć i zniszczenie.

Wycofujący się Niemcy stosowali taktykę spalonej ziemi. Wywozili, cokolwiek warto było zagrabić; palili, co dało się spalić; co się nie dało, wysadzali w powietrze. W zasięgu tysięcy i tysięcy mil kwadratowych spustoszyli kraj jak szarańcza. Gdzie minęło trochę czasu od ich odejścia, tam znów wyrastały budynki. Skąd wyparto ich niedawno, tam obdarci, wynędzniali, dziko patrzący Rosjanie grzebali w ruinach lub zakopywali umarłych; albo stali w kolejkach do wojskowych kuchni polowych, pod gołym niebem, na śnieżnych równinach.

Otóż i problem odrębnego pokoju, wypisany całkiem jasno na spustoszonej kraju. Oczywiście było, że Rosjanie brzydzą się Niemcami i nienawidzą ich jak zarazy. Każde miasto i wioska miały swoje grozę budzące opowieści, swój rejestr okrucieństwa na fotografiach przedstawiających egzekucje, chłosty, gwałty i stosy trupów. Te zdjęcia powtarzały się w swej upiorności aż do znudzenia i otępienia. Równie oczywiste było, że Rosjanie chcą zemsty. Ale gdyby ci znienawidzeni najeźdźcy po kilku następnych, krwawych klęskach, jak ta pod Stalingradem, zgodzili się opuścić ziemię Sowietów, zaprzestać męczenia tych ludzi i zapłacić za wyrządzone szkody, któżby ganił Rosjan za to, że zawrą pokój?

Pug widział w użyciu ogromne ilości wyposażenia z Lend-Lease; zwłaszcza ciężarówek; wszędzie te ciężarówki. Kiedyś na południu kraju, na składowisku, gdzie na oliwkowo pomalowane ciężarówki, jeszcze bez rosyjskich liter i czerwonych gwiazd, ciągnęły się równoległymi rzędami, których końca dosłownie oko nie mogło dojrzeć, Jewlenko powiedział mu: - Wyście nas postawili na kołach. To duża różnica. A teraz Szwabom ich koła się kończą. Przesiadają się znów na konie. Potem zjedzą te konie i będą uciekać z Rosji na piechotę.

W którejś kwaterze dowództwa, w dużym, ciężko zrujnowanym mieście nad rzeką, zwanym Woroneż, jedli kolację w guście typowo rosyjskim: kapuśniak, rybne konserwy i jakiś rodzaj przypieczonej kaszy. Adiutanci siedzieli przy drugim stole, a Jewlenko i Pug tylko we dwóch.

- Kapitan Gienny, jednak nie lecimy do Charkowa - oznajmił urzędowym tonem generał. - Niemcy kontratakują.

- Nie chcę, żeby pan zmieniał plany z mojego powodu.

Jewlenko wytrzeszczył na niego złowroźnie oczy, jak w Leningradzie. - To nie było jaki kontratak. Więc zamiast tego polecimy do Stalingradu.

- Przykro mi, że nie poznam pańskiego syna.
- Jego eskadra walczy, więc i tak byśmy go nie spotkali. To niezły chłopak. Może pozna go pan innym razem.

`cp2

Oglądane z powietrza, podejścia do Stalingradu były jak księżycowy krajobraz. Olbrzymie kraterzy po bombach i tysiące pęcherzowatych pierścieni zryły zaśnieżoną ziemię, zasypaną wrakami maszyn. Sam Stalingrad, rozciągnięty wzdłuż czarnej, szerokiej rzeki upstrzonej krami, miał wygląd rozsypującego się, pozbawionego dachów miasta ze starożytnych wykopalisk. Kiedy Jewlenko i jego adiutanci wpatrywali się z góry w te ruiny, Pug przypomniał sobie przynębiające wrażenie ze swojego pierwszego przelotu nad Pearl Harbor. Tylko że Honolulu pozostało nietknięte; atakowano jedynie flotę. Na ziemi amerykańskiej żadne miasto nie zaznało takiego zniszczenia. W Związku Radzieckim było je widać wszędzie, a najgorsze w tej scenerii pod nimi.

Ale gdy wjechali do miasta, mijając wypalone baraki i kamienice, zwalone mury i stosy zniszczonych maszyn, wszystko to w dotkliwym smrodzie zagłady, robotnicy tłumnie uprzatający gruzy wyglądali na zdrowych i pełnych wigoru. W ruinach bawiły się wesołe dzieci. Niemcy znikli, ale zostało po nich wiele śladów: ciężki, czarny gotyk znaków ulicznych, rozbite czołgi, działa i ciężarówki pozwalane na kupę albo tkwiące w gruzach, żołnierski cmentarz w porożym wyrwami parku, gdzie pomalowane znaki nagrobne uwiecznione były podobizną Żelaznego Krzyża. Wysoko na rozbitym murze Pug dostrzegł na wpół zdrapany propagandowy plakat: niemiecka dziewczynka w wieku szkolnym, z jasnymi warkoczami, kuli się przed zaślinionym małpoludem w mundurze Armii Czerwonej, który sięga jej włochatymi szponami do piersi.

Dżip zajechał przed podziurawiony kulami budynek na rozległym centralnym placu, gdzie wszystkie inne budowle zostały całkowicie wypatroszone przez bomby. W środku już odtwarzała się sowiecka biurokracja w całej okazałości, z kartotekami, z klekotem maszyn do pisania, z ziemistymi twarzami mężczyzn przy niedbale skleconych biurkach, z kobietami roznoszącymi herbatę. Jewlenko zapowiedział: - Będę dziś bardzo zajęty. Przekażę pana Gondinowi. W czasie walk Gondin był sekretarzem Komitetu Centralnego. Nie spał przez sześć miesięcy. Teraz bardzo choruje.

Postawny, bardzo twardy z wyglądu, posiwiwały mężczyzna w mundurze, z szarą twarzą głęboko pobrużdżoną ze zmęczenia, siedział za zbitym z desek biurkiem pod fotografią Stalina. Oparłszy na biurku wielkie, włochate pięści, spojrzał wyzywająco na cudzoziemca w granatowym płaszczu pokładowym. Jewlenko przedstawił mu Victora Henry. Gondin zlustrował go przeciągłym spojrzeniem i zjadliwie zapytał: - Sprechen Sie Deutsch?

- Goworiu po-russki niemnogo - łagodnie zareplikował Pug. Urzędnik spojrzał, unosząc gęste brwi, na generała, który położył zdrową dłoń Victorowi Henry na ramieniu. - Nasz - powiedział.

Pug nigdy tego nie zapomniał i nigdy nie zrozumiał, co skłoniło generała do takiej odpowiedzi. Tak czy owak jego "Nasz" podziałało na Gondina jak magiczne zaklęcie. Przez dwie godziny chodził i jeździł z Pugiem po zrujnowanym mieście, a także po osłaniających je wzgórzach, zbiegających do rzeki wąwozach i wzdłuż wybrzeża. Pug z trudem nadażał za jego szybką ruszyczką, w której Gondin opowiadał mu o bitwie, sypiąc nazwiskami dowódców, numerami jednostek, datami i szczegółami manewrów, a wszystko to w rosnącym podnieceniu. Gondin przeżywał jeszcze raz bitwę, szczycił się nią, a Victor Henry zyskał ogólne pojęcie: obrońcy przyparci do Wołgi, trzymający się dzięki zapasom i posiłkom dowożonym przez jej szeroki nurt albo po lodzie; hasło "Nie ma kraju na wschód od Wołgi"; nie kończąca się groza wywołana bliskością Niemców doskonale widocznych na wzgórzach, na dachach zdobytych dzielnic, albo z grzmiotem nadjeżdżających czołgami w dół

ulic; krwawe i ogłuszające zmagania o dom za domem, piwnicę za piwnicą, nieraz w deszczu i śnieżnej zadymce, nieustanny ostrzał artyleryjski i bombardowanie z powietrza, tydzień po tygodniu i miesiąc po miesiącu. Na peryferiach miasta klęska Niemców była wypisana w śniegu, w długich, kręto biegnących na zachód śladach rozbitych czołgów, dział samobieżnych, haubic, ciężarówek, półciężarówek i nade wszystko w tysiącach trupów ubranych w szarozielone mundury, wciąż jeszcze rozsypanych po cichych, zrytych wybuchami polach, mila za milą. - To potworna robota - rzekł Gondin. - Chyba w końcu przyjdzie nam zebrać na kupę i spalić te zdechłe szczury. Na razie grzebiemy naszych. A oni tu nie przyjdą pochować swoich.

Tej nocy Pug znalazł się w piwnicy na tego rodzaju przyjęciu, jakie Rosjanie najwidoczniej potrafią urządzić w dowolnym miejscu i w dowolnych okolicznościach: wiele gatunków ryb, trochę mięsa, czarny i biały chleb, czerwone i białe wino: i morze wódki, wszystko to na stołach z surowych desek. Ucztującymi byli oficerowie armii, urzędnicy miejscy, funkcjonariusze partyjni, łącznie może z piętnastu mężczyzn; przedstawiano się raz dwa i bodajże nie przywiązywano do tego wagi. Przyjęcie to wydał Jewlenko i trzy tematy ciągle powracały w przechwałkach, śpiewach i toastach: zwycięstwo pod Stalingradem, wdzięczność za amerykańskie Lend-Lease i nagła potrzeba drugiego frontu. Pug domyślał się, że jego obecność jest dla tych ważniaków pretekstem do tego, żeby się trochę rozluźnić. On też dźwigał ciężkie brzemię uczuć i napięć. Więc rozluźnił się i jadł, pił, jakby nie miało być dnia jutrzejszego.

Następnego ranka, kiedy adiutant obudził go w mroźnej ciemności, niewyraźne wspomnienie sprawiło, że potrząsnął bolącą głową. Jeżeli to nie był sen, w takim razie on i Jewlenko szli razem, zataczając się, po korytarzu i kiedy się rozstawali, Jewlenko powiedział: - Niemcy znowu zajęli Charków.

`cp2

Po szybkim przejeździe po wojującej Rosji Moskwa wydała się Pugowi niemalże tak nietknięta, spokojna, zadbana i wesoła jak San Francisco, mimo porzuconych w trakcie budowy i niszczących domów, skąpego ruchu, trudności w komunikacji, garbów i obrzeży z brudnego lodu i całego wojennego niedbalstwa.

Ambasadora zastał w uniesieniu. Prawda wydrukowała w całości raport Stettiniusa o Lend-Lease jako główny materiał na pierwszej kolumnie! W prasie sowieckiej mnożą się opowieści osnute wokół Lend-Lease! Radio Moskwa prawie codziennie nadaje jakiś materiał na temat Lend-Lease!

W Stanach Senat zatwierdził przedłużenie aktu Lend-Lease jednogłośnie, a w Izbie Reprezentantów zaledwie z kilkoma głosami przeciw. Standley był zasypywany gratulacjami za to, że postawił sprawę bez ogródek. W amerykańskich i brytyjskich dziennikach dezawuowano go wprawdzie oficjalnie, ale łagodnie. Prezydent zbył całą sprawę dwuznacznym żartem do reporterów, że admirałowie w ogóle mają skłonność mówić za mało albo za dużo. - Jak Boga kocham, Pug, może jeszcze utną mi głowę za to, co zrobiłem, ale jak Boga kocham, poskutkowało! Na przyszłość zastanowią się, czy warto nami pomiatać.

Tyle Standley, w ciepłej, przytulnej bibliotece w Domu Spasowa, przy wybornej amerykańskiej kawie i białych bułeczkach z masłem; oczy błyszczały mu w sieci zmarszczek, żyłasta szyja i twarz rumieniły się z satysfakcji. Wszystko to wyrzucił z siebie, zanim Victor Henry zdążył się odezwać na temat swej podróży. Relacja Puga była krótka. Zapowiedział, że zaraz spisze swoje spostrzeżenia i przekaże je Standleyowi.

- Świetnie, Pug. No, no! Leningrad, Rzew, Woroneż, Stalingrad, coś podobnego! Na Boga, ale kawał świata obskoczyłeś. Faymonville nieźle dostał po nosie! On tu siedzi na swoim kuferku, jak ten ważniak od Lend-Lease,

nawet okiem nie rzuci, co się naprawdę dzieje, a ty ledwie się zjawileś, od razu walisz jak w dym i wszystko umiesz wywachać. Dobra robota, Pug.

- Admirale, ja ciągnę korzyści z panującego tu złudzenia, że jestem kimś.

- Na Boga, bo jesteś kimś! Pokaż mi jak najszybciej ten raport. Słuchaj, co to jest, że Niemcy znowu zajęli. Charków? Ten przeklęty maniak Hitler ma dziewięć żywotów. Zeszłego wieczora w ambasadzie szwedzkiej Rosjanie mieli rzadkie miny.

W korespondencji, która uzbierała się Pugowi na biurku, rzuciła mu się w oczy koperta z Departamentu Stanu z dopiskiem "Leslie Slote" w rogu, czerwonym atramentem. Najpierw przeczytał list od Rhody. Dała się w nim zauważyć zmiana tonu w stosunku do poprzedniej sztucznej lekkości.

Zrobiłam, co tylko mogłam, żebyś będąc tutaj czuł się szczęśliwy, Pug, kochanie. Ja byłam bardzo szczęśliwa. Ale szczerze mówiąc, już nie wiem, czy jeszcze dla ciebie cokolwiek znaczę.

To było kluczowe zdanie na paru dosyć powściągliwych stronach jej listu. Byron bawił przejazdem i powiedział jej, że Natalia została przeniesiona do Baden-Baden.

Szkoda, że się rozminąłeś z Byronem. To już mężczyzna w każdym calu. Byłbyś z niego dumny. Całkiem jak ty, chociaż potrafi gniewać się w milczeniu, aż strach ogarnia. Nawet jeśli Natalia wróci cała i zdrowa z tym dzieckiem do domu, o czym mnie zapewnia pan Slote, nie jestem pewna, czy on jej kiedykolwiek daruje. Zamartwia się o dziecko i ma poczucie, że ona go zawiodła.

Slote pisał na długich, żółtych arkuszach. Czerwony atrament, którym się nie wiadomo dlaczego posługiwał, sprawiał, że treść wydawała się może bardziej sensacyjna, niż była naprawdę.

1 marca 1943

Drogi Komandorze Henry,

Poczta dyplomatyczna to wygodna rzecz. Mam dla pana kilka wiadomości. Mam także jedną prośbę.

Zacznę od prośby. Jest u nas Pam Tudsbury, jak panu wiadomo, pracująca dla londyńskiego Observera. Chciałaby dostać się do Moskwy, gdzie istotnie skupiły się teraz wszystkie co ważniejsze tematy wojenne. Jakiś czas temu wystąpiła o wizę. I nie dostała jej. Pam jest przekonana, że jej kariera dziennikarska bierze w łeb, tymczasem ona już nabrała serca do tej pracy i chciałaby przy niej pozostać.

Całkiem po prostu mówiąc: czy mógłby i czy zechciałby pan coś na to zaradzić? Kiedy podsunąłem Pameli, żeby napisała do pana w tej sprawie, ona spąsowiała i mówi, że szkoda gadać, ani jej się śni zawracać panu głowę. Ale widziałem pana w akcji w Moskwie i mam wrażenie, że pan zdołałby to załatwić. Powiedziałem Pameli, że do pana o tym napiszę, a ona jeszcze bardziej spurpurowiała i powiada: "Leslie, ani się waż! Nie chcę o tym słyszeć". Uznałem, że jest to przewrotny sposób, w jaki Brytyjka mówi: "Och, proszę cię, proszę, zrób to".

Nigdy nie ma pewności, dlaczego Narodowy Komisariat Spraw Zagranicznych nabiera wody w usta albo się dąsa. Gdyby pan chciał spróbować, może tu chodzić o jakieś czterdzieści myśliwców Aircobra z Lend-Lease. Te samoloty były już odfajkowane dla Sowietów, ale Brytyjczycy zdołali je sprzątnąć im sprzed nosa dla podparcia swojej inwazji w Afryce Północnej. Maczał w tym palce Lord Burne-Wilke. Oczywiście może się okazać, że wcale nie o to chodzi. Ale wspominam o tym, bo Pamela wspomniała.

Przejdźmy do moich wiadomości.

Próba wydostania Natalii i jej stryja z Lourdes spaliła na panewce, ponieważ Niemcy przewieźli całą grupę do Baden-Baden, co było sprzeczne z prawem międzynarodowym. Mniej więcej miesiąc temu doktor Jastrow ciężko się rozchorował na brzuch, tak że potrzebna była operacja. Na oddziale chirurgicznym w Baden-Baden widać nie było odpowiednich możliwości. Więc

przyjechał chirurg z Frankfurtu, zbadał go i zalecił przewiezienie do Paryża. Podobno najlepszym w Europie specem od tych operacji jest pewien lekarz w tamtejszym Szpitalu Amerykańskim.

Szwajcarskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych uporało się z tym bardzo gładko. W tej chwili Natalia, doktor Jastrow i dziecko są w Paryżu. Niemcy zachowali się całkiem przyzwoicie i pozwolili im zostać razem. Zdaje się, że jego życie było w niebezpieczeństwie, bo nastąpiły komplikacje. Operowano go dwa razy i teraz już z wolna wraca do zdrowia.

Natalii z pewnością jest o wiele przyjemniej w Paryżu niż w Baden-Baden. Znajduje się pod opieką szwajcarską, a my nie jesteśmy w stanie wojny z Francją. Także inni Amerykanie przebywają w Paryżu, w podobnie szczególnych okolicznościach, czekając na wielką wymianę w Baden-Baden, do której zostaną przyłączeni. Muszą się meldować na policji i tak dalej, ale Francuzi ciepło się do nich odnoszą. Niemcy nie ingerują, dopóki wszystko się odbywa legalnie. Gdyby Aaron i Natalia zdołali pozostać w Paryżu aż do wymiany, wszyscy w Baden-Baden mogliby im zazdrościć. Istnieje problem ich żydostwa i nie będę udawał, że można go lekceważyć; ale istniał on również w Baden-Baden, może nawet bardziej palący. Krótko mówiąc, nadał się niepokoje, ale jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, wszystko powinno się obrócić na dobre. Tego w Lourdes warto było spróbować i żałuję, że się nie powiodło. Jestem pełen podziwu, ile pan może zdziałać u Harry'ego Hopkinsa.

Widziałem się z Byronem, kiedy śmignął przez Washington. Po raz pierwszy dostrzegłem między wami fizyczne podobieństwo. Dawniej wyglądał jak młodzieżowy aktor filmowy. Odbyliśmy też długą rozmowę z pana żoną o Natalii, co ją trochę uspokoiło. Matka Natalii, biedaczka, dzwoni do mnie co tydzień.

O sobie niewiele mam do powiedzenia i nic dobrego, więc mniejsza o to. Mam nadzieję, że uda się panu coś zrobić dla Pameli. Ona marzy o wyjeździe do Moskwy.

Serdecznie pozdrawiam,

Leslie Slotte

Generał Jewlenko nie wstał i nie podał mu ręki, tylko skinął głową na powitanie, odprawiając gestem adiutanta i sztuczną dłonią wskazując Victorowi Henry krzesło. W polu widzenia nie było nic do jedzenia.

- Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć.

Kiwnięcie.

- Jestem ogromnie ciekaw tego statystycznego podsumowania pomocy Lend-Lease, które mi pan obiecał.

- Jeszcze nie jest gotowe. Mówiłem to panu przez telefon.

- Nie w tej sprawie przyszedłem. Przed tygodniem wspomniał pan o korespondencie nazwiskiem Alistair Tudsbury, który był ze mną na froncie pod Moskwą.

- Tak?

- Zginął w Afryce Północnej na minie. Jego córka przejęła po nim pracę jako korespondentka. Ma trudności w otrzymaniu wizy dziennikarskiej do Związku Radzieckiego.

Z chłodnym, niedowierzającym uśmiechem Jewlenko rzekł: - Kapitan Gienry, to się załatwia w wydziale wizowym Narodowego Komisariatu Spraw Zagranicznych.

Pug nie dał się zbyć tą łatwą do przewidzenia odprawą. - Chciałbym jej pomóc.

- Czy to pańska szczególna przyjaciółka? - Ze znaczącym, jak to pomiędzy mężczyznami, naciskiem na słowie osobaja.

- Tak.

- W takim razie może się mylę. Słyszałem od tutejszych korespondentów brytyjskich, że jest zaręczona z wicemarszałkiem lotnictwa, Lordem Duncanem Burne-Wilke.

- Jest. Ale pozostaliśmy przyjaciółmi.

Generał złożył dłonie na biurku, żywą na sztucznej. Przybrał taki wygląd, jaki Pug uważał za jego "oficjalną" twarz: bez uśmiechu, z przymkniętymi oczyma, grube wargi ściągnięte w dół. To był jego normalny wygląd, raczej wyzywający. - Aha. Jak już mówiłem, wizy nie do mnie należą. Niestety. Coś jeszcze?

- Czy miał pan jakieś wiadomości z frontu charkowskiego o swoim synu?

- Jeszcze nie. Dziękuję za zainteresowanie - odparł Jewlenko tonem dającym do zrozumienia, że kończy rozmowę, i wstał. - Proszę mi powiedzieć, czy wasz ambasador nadal sądzi, że ukrywamy fakty dotyczące Lend-Lease?

- Takie nagłośnienie, jakie ostatnio zapewnia radziecka prasa i radio, całkowicie go zadowala.

- Dobrze. Niektóre fakty, rzecz jasna, lepiej ukrywać, na przykład jeśli Stany Zjednoczone nie dotrzymują obietnicy dostarczenia nam w ramach Lend-Lease myśliwców Aircobra, których gwałtownie potrzebują nasze eskadry, pozwalają natomiast, aby te samoloty przywłaszczyli sobie Brytyjczycy. Podanie do wiadomości takich faktów ucieszyłoby tylko naszych wrogów. Czy jednak nie sądzi pan, że takie wiarołomstwo pomiędzy sojusznikami jest rzeczą bardzo poważną?

- Nic mi nie wiadomo o takim przypadku.

- Naprawdę? A przecież Lend-Lease to chyba zakres pańskich obowiązków służbowych. Nasi brytyjscy przyjaciele, rzecz jasna, boją się, żeby Związek Radziecki nie stał się zbyt silny. Myślą sobie: a co będzie po wojnie? To bardzo dalekowzroczone. - Jewlenko stał wsparty oburącz o biurko, chrapliwie i sarkastycznie wygłaszając te słowa. - W roku 1919 Winston Churchill próbował stłumić naszą rewolucję socjalistyczną. Jego negatywna opinia o naszej formie rządów z pewnością nie uległa zmianie. To godne ubolewania. A na razie co z tą wojną przeciw Hitlerowi? Nawet i Churchill chce ją wygrać. Tylko że niestety jedyny sposób, aby ją wygrać, to zabijając niemieckich żołnierzy. Widział pan na własne oczy, że my robimy, co do nas należy, jeśli chodzi o zabijanie żołnierzy niemieckich. Brytyjczycy zaś niezbyt się palą do walki z żołnierzami niemieckimi. Tak się składa, że tymi Aircobrami Lord Duncan Burne-Wilke zasilił lądowania we francuskiej Afryce Północnej, gdzie nie ma żołnierzy niemieckich.

W tej tyradzie intonacja, z jaką Jewlenko powtarzał: germanskich żołdat, była nie do zniesienia grubiańska i jadowicie szydercza.

- Powiedziałem, że nic o tym nie wiem. - Pug zareagował szybko i ostro. Otóż i odpowiedź w sprawie wizy dla Pameli, ale sprawa szła dużo dalej. - Jeżeli mój rząd nie dotrzymał jakichś obietnic, jest to poważna sprawa. Co się tyczy premiera Churchilla, to Brytyjczycy pod jego dowództwem przez cały rok samotnie walczyli z Niemcami, podczas gdy Związek Radziecki zaopatrywał Hitlera. Pod El Alamein i gdzie indziej też zrobili, co do nich należy, jeśli chodzi o zabijanie żołnierzy niemieckich. Ich naloty na Niemcy, liczące po tysiąc bombowców naraz, wyrządzają ogromne szkody i wiążą ogromne siły obrony powietrznej. Wszelkie nieporozumienia w rodzaju tej sprawy z myśliwcami Aircobra z pewnością nie powinny być rozgłaszane, lecz korygowane pomiędzy nami. Lend-Lease musi trwać mimo takich spraw i mimo ciężkich strat, jakie ponosimy. Jeden z naszych konwojów morskich z pomocą Lend-Lease właśnie ucierpiał od najcięższego ataku U-Bootów, jaki się wydarzył w tej wojnie. Ich wilcze stado zatopiło dwadzieścia jeden naszych statków; tysiące amerykańskich i brytyjskich marynarzy utonęło w lodowatych wodach po to, żeby do was mogła dotrzeć pomoc Lend-Lease.

Ton Jewlenki nieco złagodniał. - Czy już zameldował pan Harry Hopkinsowi o naszej podróży?

- Jeszcze nie skończyłem mego raportu. Wspomnę w nim o tej skardze dotyczącej myśliwców Aircobra. Pańskie statystyczne podsumowanie będzie załącznikiem do raportu.

- Otrzyma je pan w poniedziałek.
 - Dziękuję.
 - Czy w zamian za to mógłbym dostać kopię pańskiego raportu dla pana Hopkinsa?
 - Osobiście ją panu dostarczę.
- Jewlenko podał mu lewą rękę.

`cp2

Pug napisał raport na dwadzieścia jeden stron. Admirał Standley, zachwycony tą obfitością informacji na temat Land-Lease, kazał je powielić do szerokiego rozprowadzenia wśród polityków w kraju, nie wyłączając prezydenta.

Pug napisał też odręczny list do Harry'ego Hopkinsa. Przesiedział do późna w nocy pisząc go, wzmacniając się drobnymi łyżkami wódki, zamierzając dołączyć go do poczty dyplomatycznej na godzinę przed odjazdem kuriera. Takie potajemne omijanie Standleya budziło w nim niesmak, ale na tym również polegało jego zadanie, jeżeli w tej dziwnej misji w ogóle cokolwiek było jego zadaniem.

27 marca 1943

Drogi Panie Hopkins,

Ambasador Standley przekazuje panu oraz innym osobom mój raport wywiadowczy z ośmiodniowej podróży, jaką ostatnio odbyłem po Związku Radzieckim, jako obserwator, w towarzystwie generała Jurija Jewlenki. Wszystkie fakty zawarte są w tym dokumencie. Tu dołączam, na pańskie życzenie, trochę przypisków wyczytanych z mej "kryształowej kuli".

W sprawie Lend-Lease: podróż ta przekonała mnie, że polityka Prezydenta, polegająca na szczodrym dawaniu bez domagania się, aby nam dawano coś za coś, jest jedynie słuszna. Kongres może być dumny z siebie, że tak dobrze to zrozumiał. Choćby Rosjanie nawet nie zabijali tak wielkiej liczby naszych wrogów, i tak byłoby sknerstwem uzależniać od czegoś naszą pomoc. Ta wojna się skończy i będziemy zmuszeni żyć ze Związkiem Radzieckim. Gdybyśmy się teraz zaczęli targować o cenę liny ratunkowej, zanim rzucimy ją człowiekowi tonącemu na głębokiej wodzie, mógłby on zapłacić dowolną cenę, ale by nam to zapamiętał.

Ja widzę to tak, że Rosjanie już zaczynają łamać kręgosłup hitleryzmowi, lecz potwornym kosztem. Ciągłe wyobrażam sobie Japończyków, jak wdzierają się do nas od wybrzeża Pacyfiku i zalewają połowę naszego kraju, zabijając i biorąc do niewoli może ze 20 milionów Amerykanów, grabią wszystkie zapasy żywności, przejmują fabryki, wysyłają kilka milionów ludzi do Nipponu do pracy niewolniczej i wszędzie szerzą zniszczenia i okrucieństwa. To mniej więcej przeżyli Rosjanie. Zdumiewające jest, że wytrzymali to i wrócili. Bez wątpienia Lend-Lease im pomogło, ale nie pomogłoby, gdyby w tym kraju brakowało twardości. Generał Jewlenko pokazał mi kilku żołnierzy w nowych mundurach z Lend-Lease i sucho skomentował: "Ale ciało rosyjskie". Moim zdaniem to jest sedno problemu Lend-Lease.

Ale równie zdumiewający jest wysiłek wojenny Niemców. Widzimy te rzeczy na mapach i czytamy o nich, ale czymś innym jest przelecieć dwa tysiące kilometrów wzdłuż linii frontu, oglądając to w rzeczywistości. Jeżeli wziąć pod uwagę, że Hitler utrzymuje poza tym znaczne siły w Europie Zachodniej, od Norwegii po Pireneje, oraz prowadzi rozległe operacje w Afryce Północnej i zajadła, na wielką skalę zakrojoną wojnę U-Bootów (i że w ogóle nie byłam na Kaukazie, który stanowił osobny i olbrzymi front), w mózgu się nie mieści to nieustające natarcie na kraj dziesięć razy większy od Niemiec, z dwa razy większą ludnością, wysoce uprzemysłowiony i zmilitaryzowany. Kto wie, czy nie jest to najbardziej imponujący - i ohydny - wyczyn w historii wojen. Czy my i Brytyjczycy zdołalibyśmy zgnieść tę potworną, drapieżną potęgę bez pomocy Rosji? Nie jestem pewien. I znów polityka Prezydenta,

żeby za wszelką cenę utrzymać Związek Radziecki w stanie wojny, okazuje się jedynie sensowna.

Tu wyłania się kwestia odrębnego pokoju, na którego temat specjalnie proszę pana o zdanie. Tylko że Związek Radziecki, niestety, przekracza moje pojmowanie; ludzie, rząd, filozofia społeczna, wszystko. Oczywiście nie tylko moje.

Nie wydaje mi się, żeby Rosjanie kochali, czy choćby lubili swoje komunistyczne rządy. Myślę, że wdepnęli w nie na skutek przypadków rewolucji, która im nie wyszła. Myślę też, że mimo zasłony propagandowej oni czują, jak bardzo Stalin i jego zbójcza banda spartaczyli początek wojny i że omal jej nie przegrali. Może któregoś dnia ten wielki, cierpliwy naród porachuje się z tym reżimem, tak jak z dynastią Romanowów. Na razie Stalin mocno tkwi w siodle i zapewnia im srogie, skuteczne przywództwo. To on podejmie taką czy inną decyzję w sprawie odrębnego pokoju. Naród posłucha. Nikt się nie zbuntuje przeciwko Stalinowi, zwłaszcza po tym, czego tutaj nawyczyniali Niemcy.

W obecnej chwili taki pokój byłby perfidią, a kiedy przebywam wśród Rosjan, nie wyczuwam i nie lękam się perfidii. A zmęczenie wojną to znów co innego. Złowieszczą jest ta odporność Niemców, widoczna choćby w odzyskaniu Charkowa. Zadaję sobie pytanie: dlaczego władze sowieckie pozwoliły mi się wybrać w taki niezwykły objazd? I po co generał Jewlenko zaprosił mnie do tego nędznego pokoiku swojej synowej w Leningradzie, po co ją przynagłał, żeby opowiadała mi te okropności z oblężenia? Może dla pokazania, jak haniebne są nasze oskarżenia się na rosyjską niewdzięczność. Może po to, abym sobie dokładnie uświadomił (bo traktowano mnie, jak to już opisałem w raporcie, jako pańskiego nieoficjalnego adiutanta, że nawet i rosyjska wytrzymałość ma swoje granice. Wzmianki o drugim froncie w Europie, czasem dyskretne, ale na ogół dość obcesowe, nie ustają tu ani na moment.

Mam za sobą kawał okrutnej wojny na Pacyfiku, ale to jest wojna toczona głównie przez profesjonalistów. Tu jest wojna totalna: dwa całe narody usiłują sobie przegryźć gardło. Rosjanom wcale nie chodzi o to, żeby nam oddać przysługę, kiedy walczą o życie, ale na to wychodzi. Lend-Lease to historyczna i natchniona koncepcja polityczna. Jednakże rozlew krwi na polu bitwy pozostaje w wojnach sprawą decydującą; i ludzie mogą wytrzymać go tylko do pewnych granic, jeśli nie spodziewają się ulgi.

Toteż moja "kryształowa kula" mówi coś zupełnie oczywistego: jeżeli zdołamy przekonać Rosjan, że poważnie myślimy o dość rychłym utworzeniu w Europie drugiego frontu, odrębny pokój nam nie grozi. W przeciwnym razie istnieje takie ryzyko.

Łączę pozdrowienia,

Victor Henry

- Sprawa z Aircobrami - rzekł Pug - omówiona jest na stronach siedemnastej i osiemnastej.

Minął koniec tygodnia. On i Jewlenko wymieniali się dokumentami: dla Jewlenki kopia raportu, dla niego elaborat w solidnej oprawie. Kartkując otrzymane od Jewlenki podsumowanie Pug widział całe strony i strony cyfr, wykresów i tablic, którym towarzyszył zwarty tekst po rosyjsku.

- Oczywiście sam nie zdołam przeczytać pańskiego raportu. - Jewlenko mówił tonem pogawędki, ale z pośpiechem. Wsunął raport do podróżnej teczki na biurku; jego podszyty futrem płaszcz i walizka leżały na kanapie. - Wyjeżdżam na front południowy; mój adiutant przetłumaczy mi go od ręki w samolocie.

- Panie generale, napisałem też prywatny list do Harry Hopkinsa. - Pug wyjął następne papiery ze swej teczki. - Sam go panu przetłumaczyłem na rosyjski, chociaż musiałem się podpierać słownikiem i gramatyką.

- Ale po co? Mamy świetnych tłumaczy.

- My też. Nie zostawię panu tej kopii. Jest po to, żeby ją pan teraz

przeczytał i zwrócił mi.

Jewlenko zrobił zdziwioną i podejrzliwą minę, po czym na jego twarzy z wolna ukazał się protekcyjny uśmiech. - No, no! My Rosjanie często bywamy oskarżani o taką właśnie tajemniczość i nadmiar ostrożności.

- Może to zaraźliwe - rzekł Pug.

- Niestety, kapitan Gienry, bardzo się teraz śpieszę.

- W takim razie będę do pańskich usług, kiedy pan wróci.

Jewlenko podniósł słuchawkę i warknął do niej kilka pośpiesznych słów; odłożył ją i wyciągnął rękę. Pug wręczył mu przekład listu. Wkładając w uchwyt papierosa, ciągle jeszcze z krzywym uśmiechem, Jewlenko zaczął czytać. Uśmiech na jego twarzy zbladł. Kilka razy rzucił Pugowi groźne spojrzenie, jak pierwszy raz u córki w Leningradzie. Odwrócił ostatnią kartkę i siedział, wpatrując się w list, a potem zwrócił go Pugowi. Twarz jego była pozbawiona wyrazu. - Musi pan popracować nad rosyjskimi czasownikami.

- Gdyby miał pan jakieś komentarze, przekażę je Hopkinsowi.

- Może się panu to nie spodobać, co bym powiedział.

- To nieważne.

- Pańskie rozumienie polityki Związku Radzieckiego jest bardzo powierzchowne, pełne uprzedzeń i bardzo ignoranckie. Muszę już iść. - Jewlenko wstał. - Pytał pan, co z moim synem na froncie charkowskim.

Mieliśmy od niego wiadomość. Wszystko w porządku.

- Miło mi to słyszeć.

Jewlenko burknął do telefonu polecenie i wziął się do nakładania płaszcza, zaczynając od martwej ręki. Wszedł adiutant i zabrał jego bagaż.

- Co się tyczy panny Pameli Tudsbury, wydano jej wizę. Kierowca pana odwiezie. Do widzenia.

- Do widzenia - rzekł Pug, zbyt zaskoczony, aby jakoś zareagować na wiadomość dotyczącą Pameli. Myślał, że Jewlenko podaje mu żywą dłoń, ale ta uniosła się i krótko, niemalże do bólu ścisnęła go za ramię. Potem Jewlenko wyszedł.

`ty

62

`ty

Żadna lokomotywa nie przejedzie po szynach, przy których pracują Berel Jastrow, Szmul Mutterperl i reszta Żydów z Kommando 1005, ani też ciężkie drewniane podkłady, zgromadzone obok na stosach, nie będą dźwigać toczących się pociągów. Szyny i podkłady przeznaczone są do naprawiania torów, ale Standartenführer Blobel znalazł dla nich inny użytek.

Kommando pracuje od samego świtu, budując stalowe rusztowanie. W tym rusztowaniu kryje się cały sekret operacji 1005. Zawodowemu architektowi, jakim jest Paul Blobel, łatwo było je zaprojektować, zbudować i wprowadzić do użytku, ale zakute łby w Auschwitz i w innych obozach ciągle nie mogą zrozumieć jego zalet. Blobel sprezentował kopie swego projektu komendantom różnych obozów. Jak dotąd nie wzbudziły one większego zainteresowania, chociaż ten Hoess w Auschwitz napomknął, że go wypróbuje. Rusztowanie może rozwiązać problem usuwania zwłok, o którym on jęczy i w kółko się tłumaczy, i rzeczywiście jest to poważny problem zdrowotny. Ale gdy Blobel mu opisywał swój pomysł, facet go najwyraźniej nie chwycił, a bał się przyznać do swojej głupoty, więc tylko zbywał sprawę, przytakując i uśmiechając się. Stary rep obozowy i tyle, bez kultury i wyobraźni.

Tego ranka Standartenführer Blobel jest na miejscu, gdy rozpoczyna się praca. To coś niezwykłego. Procedura jest ustalona, a ta nowa brygada z Auschwitz - wreszcie krzepka gromada Żydów, okazy fizycznie stworzone do ciężkiej harówki, z bystrymi przodownikami - szybko się wciągnęła do tej roboty. Zwykle o tej godzinie Blobel siedzi w swoim furgonie albo na

kwaterze w mieście, jeśli nie pracują gdzieś za siódmą górą, złopiac wódkę, aby się opędzić od porannego chłodu. Jego praca jest samotna, w kółko ta sama, nudna i szarpiąca nerwy. SS-mani dostają swój przydział wódki na noc; w godzinach pracy muszą dawać baczenie na Żydów. Ucieczki są bardzo częste, wygląda to gorzej, niż Blobel podaje w raportach dla Berlina. Szarża ma swoje przywileje, a pułkownik SS Blobel chętnie zaczyna dzień od paru kieliszków, ale ten ranek jest wyjątkowy. Musi być trzeźwy jak świnia.

Mogiła zbiorowa została wczoraj odkopana. Na szczęście w nocy nie napadało dużo śniegu. Trupy leżą rzędami, z lekka przyprószone śniegiem. Robota średnich rozmiarów, może ze dwa tysiące. Smród jak zwykle okropny, ale mróz i śnieg trochę go łagodzą, a rusztowanie stoi pod wiatr, co też pomaga. Blobel z przyjemnością patrzy, jak szybko rusztowanie nabiera kształtu. Ten żydowski przodownik "Szymek" miał dobry pomysł, żeby ponumerować szyny do posegregowania i spasowania. Już stoi znitowane, podparte, gotowe do użycia za niecałe pół godziny: długa, wąska, mocna struktura z szyn połączonych stalowymi dźwigarami, jakby kawałek toru na szczudłach. Teraz będzie się na tym układać: warstwa drewnianych podkładów, warstwa trupów i nasączonych paliwem szmat, drewno, trupy, drewno, trupy, z dodatkami paru rzędów ciężkich stalowych szyn dla dociśnięcia tej masy, aż wydobędzie się wszystkie trupy z wykopu albo stos zacznie grozić przewróceniem się.

Blobel przyszedł obejrzeć nową procedurę obszukiwania ciał. Ich ograbianie wymknęło się spod kontroli. Wszystko to są wczesne mogiły, rozrzucone w okolicach Mińska, z egzekucji w 1941 roku. Nikt wówczas się na tym nie znał. Żydów wyprowadzano setkami tysięcy, rozstrzeliwano i grzebano w ubraniu, nawet bez rewizji. Pierścionki, zegarki, złote monety, stare banknoty (wśród nich mnóstwo dolarów amerykańskich) zaskorupiały od czarnej krwi, ale wciąż jeszcze ważne, leżą w tych masowych grobach po całej Białorusi. W odbytnicach i pochwach tych ciał o konsystencji sera znaleźć można ceną biżuterię; szukanie jej nie jest zabawne, ale warte fatygi! Gdziekolwiek ludność już rabowała te groby; aby ją do tego zniechęcić, Blobel musiał zastrzelić kilkoro dzieci, szczególnie biegłych w takim trupożerstwie. Niemcy potrzebują całego bogactwa, jakie da się zgromadzić, aby mogły kontynuować swą historyczną walkę. W kraju zbiera się dla Führera garnki i patelnie, tymczasem tutaj leżą zakopane istne skarby w tym gnijącym świństwie, które teraz należy spalić.

Do dzisiaj zbierano te skarby na zasadzie przypadku, mnóstwo ich przez niedbalstwo ginęło w ogniu, część trafiała do kieszeni pomniejszych SS-manów; a z Żydów niektórzy stali się tak bezczelni w swojej gudłajskiej chciwości, że przyłapywano ich z łupem. Blobel podejrzewa, że zbiegowie mogli przekupywać strażników zrabowanymi klejnotami i pieniędzmi; w tej służbie morale i dyscyplina SS-manów łatwo się załamują. Musiał już dla przykładu zastrzelić siedmiu zupełnie zdrowych Żydów, których będzie mu brakowało w robocie.

Przygląda się, jak wdrożony zostaje nowy system. Znakomicie! Żydzi obszukują zwłoki, Żydzi gromadzą uzysk, Żydzi inwentaryzują go, Żydzi wrywają obciążkami złote zęby, wszystko to pod ścisłym nadzorem SS-manów, wybierając się do trupów w miarę, jak inni je wydobywają na wierzch i układają rzędami na śniegu. Kieruje tym Untersturmführer Greiser. Młody człowiek odtąd nie będzie robił nic innego, tylko pilnował "przerobu gospodarczego", jak nazwał tę procedurę Blobel, dopóki Kommando 1005 likwiduje groby z 1941 roku. Greiser to przystojny idealista, rekrutujący się z Wrocławia, doskonały typ SS-mana, z którym Blobel lubi wieść filozoficzne dyskusje. Dawniej księgowy z cenzusem uniwersyteckim, jest człowiekiem odpowiedzialnym i można mu powierzyć to zadanie. Kommando 1005 będzie dostarczać mnóstwo tych kosztowności do centralnego banku depozytowego w Berlinie, co zostanie Blobelowi skwapliwie zaliczone do

awansu.

Przeszukiwanie trochę przedłuża cały proces, ale mniej, niż się spodziewał. Szybko to idzie. Większość tych ludzi to biedacy, nic nie mający przy sobie. Rzecz w tym, że nigdy nie wiadomo, kiedy się trafi ten nadziany. Rozkaz Standartenführera brzmi: "Przeszukiwać wszystkich, nawet dzieci". Wykorzystywanie dzieci do ukrycia kosztowności to stara żydowska sztuczka.

No i jest efekt!

Skończone. Dokładnie przetrząśnięte zwłoki spiętrza się, przekładając je szynami i podkładami. Gdy Żydzi włączają na drabiny, żeby oblać ten stos olejem odpadowym i benzyną, Blobel macha na swego szofera. Zdobycie benzyny do palenia zwłok to nie lada problem. Wehrmacht jej coraz bardziej skąpi, tak samo jak nigdy nie przyśle dość żołnierzy do obstawienia terenu robót. Kiedy nie ma benzyny, stos po prostu nie chce rozgorzeć. Kopci się to obrzydliście całymi dniami. Ale dzisiaj nie brakuje benzyny. Jedna chwila i cały stos, złożony z przeszło tysiąca od dawna martwych Żydów, rozgorzał olbrzymim płomieniem. Blobel musi trochę odsunąć się od buchającego żaru.

Gorąco zapędza go aż do furgonu. Przełykając liczne kieliszki sznapsa, kreśli dla Berlina raport o tej procedurze. Nikt inny mu nie odbierze tej zasługi; napisał długi raport na temat tego rusztowania, podkreślając, że podstawowym problemem w paleniu zwłok, szczególnie starych, jest zapewnienie w procesie spalania dostatecznej ilości tlenu. Te otwarte jamy w Auschwitz - owszem, on też używał swego czasu otwartych jam - powolne, zewsząd i z daleka widoczne w nocy, pochłaniają cztery razy tyle olejów i benzyny co rusztowanie, ponieważ tlen nie może się przedostać na spód. Jamy w Chełmnie żarzyły się czerwono przez trzy dni, a potem był wielki problem z pozbyciem się kości. Jedyne, co można powiedzieć na korzyść jam, to że są lepsze niż krematorium.

On daremnie sprzeciwiał się budowie krematoriów w Auschwitz i w końcu zrezygnował. Lepiej zna się na tym niż ktokolwiek, ale do diabła z tym.

Koncepcja komór gazowych jest wyborna; radzą sobie one cicho i gładko z dużą liczbą ludzi; tylko że ci cholerni głupcy, którzy projektowali te instalacje, dali im wydajność gazowania czterokrotnie większą niż wydajność palenia. W okresach szczytu przeciążenie to musi doprowadzić do straszliwego bałaganu. Cóż, niechaj ci mędrkowie z Berlina trwonią pieniądze, trudno dostępne materiały i urządzenia. Niech sami się przekonają, że nie ma takiej wykładziny do kominów, która by wytrzymała gorąco spalania setek tysięcy ciał ludzkich, martwego mięsa, palącego się setkami ton przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Z tych wielkich, skomplikowanych urządzeń wynikną same kłopoty. Szczyt idiotyzmu: amatorskie budownictwo, amatorskie techniki usuwania! Biurokraci siedzący o parę tysięcy kilometrów od miejsca, gdzie się to robi, wymyślają sobie fantazyjne instalacje, kiedy wszystko, czego naprawdę trzeba, to mnóstwo powietrza pod gołym niebem i rusztowanie Paula Blobela.

Zależnie od wiatru czas palenia na rusztowaniu wynosi od dwóch do dziesięciu godzin. Niektórzy z Żydów poprawiają trzaskający stos żelaznymi widłami. Inni, wśród nich Jastrow i Mutterperl, pracują w głębi długiego i wąskiego wykopu, podając na górę kolejne zwłoki. Czarny dym i czerwone płomienie wystrzelają w białe sypiący śnieg; byłby to piękny widok, gdyby istniały tu jakiegokolwiek oczy wrażliwe na piękno. Ale z górą czterdziestu SS-manów, którzy z bronią w ręku otaczają miejsce pracy, to ludzie znudzeni i tępi, czekający tylko na zmianę; a Żydzi - ci spośród nich, którzy nie zwariowali jeszcze i coś widzą - wszyscy są zapracowani i zagonieni.

Wielu z tych Żydów to już teraz nieszkodliwi wariaci. Pracują, bo za to dostaną jeść, a gdyby nie pracowali, będą zagłodzeni i bici. Odkopywanie i schodzenie w głąb ohydnej zgnilizny zbiorowych grobów; wydobywanie zwątlanych, przegniłych trupów, które rozpadają się człowiekowi w rękach,

ubranych w skórzane rękawice, z których sypią się tłuste robaki; układanie zamordowanych braci Żydów na stosach i palenie ich, dzień po dniu; to bywa nie do zniesienia. Umysł i duch nie wytrzymują, rozlatują się jak stare zwłoki. Te uległe, obłąkane automaty nie sprawiają strażnikom większego kłopotu niż bydło; i tak właśnie SS-mani obchodzą się z nimi, przy pomocy wrzasku i psów.

Nie wszystkich jednak opuściły rozum i duch. Zdarzają się między nimi osobniki o silnej woli, zdecydowane przetrwać. Oni też słuchają SS-manów, ale oczy i uszy mają otwarte na wszystko, co ich może ocalić. Dla Jastrowa i Mutterperla praca na dole w grobach ma swoje zalety, kiedy się uodporniło na dźwiganie przez cały dzień zwiotczonych, kościstych i rozdziawionych trupów. SS-mani pozwalają nosić szmatę zakrywającą nos i usta, a strażnicy, którym nie sprawia zbytnej przyjemności widok i smród rozkładających się trupów, trzymają się dość daleko od wykopów. Za rozmowę przy pracy niewolnika można zastrzelić bez ostrzeżenia, mimo to Jastrow i Mutterperl pod osłoną swych masek prowadzą długie i swobodne rozmowy.

Dzisiaj powtarzają swój stary spór. Berel Jastrow jest przeciwny próbie ucieczki z tego miejsca. Owszem, zna te lasy, partyzanckie ścieżki i kryjówki, pamięta nawet stare hasła. Tym argumentuje Szmul Mutterperl; tu jest właśnie teren Berla Jastrowa i trudno o lepsze miejsce do ucieczki. Ale Berel wybiega myślą do przodu. Nie o to chodzi, żeby ratować własną skórę, przysnąwszy do lasu. Ich zadaniem jest dostarczenie fotografii i dokumentów z Oświęcimia do Pragi, skąd organizacja podziemna wywiezie te materiały i dostarczy je światu, przede wszystkim Amerykanom. Tymczasem Kommando 1005 coraz bardziej się oddala od Pragi. Jeżeli stąd uciekną, będą musieli przedostać się lasami przez całą Polskę, na tyłach wojsk niemieckich. Niektórzy z Polaków są przyzwoici, ale dużo z ich partyzanckich oddziałów leśnych tak nienawidzi Żydów, że zabijają ich, a polskim chłopom nie można ufać, że ich nie wydadzą w ręce niemieckie. Berel podsłuchał, jak oficerowie SS rozmawiają o mającym nastąpić przetrzuceniu Kommanda 1005 na Ukrainę. A stamtąd już o wieleset kilometrów bliżej do Pragi.

Mutterperl nie chce polegać na plotkach z SS. Może wcale ich nie przerzuca. On chce działać. Przeważnie to on mówi, kiedy tak posuwają się wzdłuż rzędu trupów, unosząc kolejne zrobaczywiałe ciała z największym szacunkiem, na jaki ich stać, i podają je do rąk sięgających z góry; kiedy ciało się zupełnie rozpada, dają znak, żeby im spuszczone płócienny uchwyt.

Wykonując tę pracę Berel Jastrow wygłasza psalmy za umarłych. Zna cały psalterz na pamięć. Po kilka razy dziennie recytuje wszystkie sto pięćdziesiąt tehilim. W umarłych nie ma dla Bena nic strasznego. Za dawnych czasów, jako uczestnik towarzystwa pogrzebowego chewra kadisza, obmywał i szykował do pogrzebu mnóstwo zwłok. Tu nawet potworny odór i obrzydliwy stan wielu z tych dawno pogrzebanych trupów nie narusza głębokiej czułości, jaką dla nich odczuwa. Nic nie mogą poradzić na to, w jaki sposób umarli, ci nieszczęśliwi Żydzi, często do tej pory ukazujący strugi czarnej krwi, co wypłynęły z widocznych dziur od kuli.

Dla Berla Jastrowa w tych zgniłych szczątkach zawiera się cała żałosna, święta słodycz umarłych: biedne, zimne, bezgłośnie mechanizmy, niegdyś ciepłe i szczęśliwe stworzenia iskrzące się życiem, teraz milczące i nieruchome, nie mające w sobie Bożej iskry, a jednak ich przeznaczeniem jest powstać na powrót z martwych, kiedy On zechce. Tak uczy wiara żydowska. Spełnia więc swój okropny obowiązek z miłością, mamrocząc psalmy. Nie może zapewnić tym umarłym przepisanej oczyszczenia wodą, ale ogień także oczyszcza, psalmy zaś pocieszają ich dusze. Hebrajskie wersety tak wryły mu się w pamięć, że potrafi słuchać Mutterperla, a nawet przerwać recytację i podyskutować z nim, nie gubiąc ani jednego słowa z wygłaszanego psalmu.

Mutterperl zaczyna Jastrowa niepokoić. Jeśli chodzi o zdrowie, Szmulowi nic nie brakuje; chłop jest krzepki, a Kommando 1005 dobrze karmi swoich ekshumatorów, zanim (czego wszyscy są świadomi) przyjdzie na nich kolej, aby zostali zastrzeleni i spaleni na rusztowaniu. Do niedawna Szmul jakby zachowywał swój niespożyty rozsądek, a teraz odzywa się całkiem po wariacku. Dziś już nie wystarcza mu pomysł, żeby przemierzyć po lasach całą Polskę. Chciałby zorganizować co silniejszych Żydów z Kommanda i zbiorowo wydrzeć się z obozu: wyrwać kilku strażnikom broń i zabić tylu SS-manów, ilu się uda, zanim wpadną do lasu.

Szmul przemawia tak gwałtownie, że przez płócienną maskę wydobywa mu się ryzykowna, zdradziecka para z ust. Tu jest całkiem inaczej, upiera się, niż w Oświęcimiu. Nie ma ogrodzenia z drutów pod prądem. SS-mani są głupi, leniwi, pijani, niedbała hałastrą. Kordon żołnierzy znajduje się daleko i czuwa tylko nad tym, żeby chłopów nie dopuścić do grobów. Zanim uciekną, mogliby zabić tuzin Niemców - a może dwa razy tyle - gdyby tylko dopadli dwóch albo trzech pistoletów maszynowych.

Berel odpowiada, że gdyby zorganizowanie takiego buntu i zabicie tuzina Niemców pomogło im uciec, to czemu nie, ale jak to możliwe? Każde zwrócenie się z tym do któregoś Żyda grozi donosem i złapaniem. Największe szanse powodzenia ma ucieczka po cichu. Zabicie Niemców wywoła taką wrzawę i raban, że cała żandarmeria na Białorusi rzuci się za nimi w pościg. Po co to robić?

Szymek Mutterperl podnosi z grobu i podaje do góry dziewczynkę w liliowej sukience. Jej twarz to wybałuszona i szczerząca się czaszka ze strzępami zielonkawej skóry, ale opadające ciemne włosy ciągle są kobiece i piękne. - Dla niej - powiada, kiedy wyżej stojący Żyd odbiera dziewczynkę. Jego wytrzeszczone i świecące oczy, zwrócone ponad maską na Berla Jastrowa, są straszniejsze niż twarz umarłej.

Berel nie odpowiada. Podnosi ciało za ciałem - mało waży ci dawno już martwi Żydzi; chwytą się zwłoki w pasie i okręca lekko w powietrzu, prosto w czekające u góry dłonie - i dalej mamrocze psalmy. W ten sposób Berel Jastrow broni się przed obłędem. Spełnia swój obowiązek w chewra kadisza; jego religijna osobowość potrafi dzięki temu przyjąć i znieść nawet tak straszną groźbę. Dlaczego tak niezwykła śmierć dopadła aż tylu Żydów? Tego nie umie zgłębić. Bogu ciężko za to przyjdzie odpowiadać! Ale nie Bóg to zrobił, tylko Niemcy. Dlaczego Bóg nie uczynił cudu i nie powstrzymał Niemców? Może to pokolenie nie zasługiwało na cud. Więc sprawy potoczyły się w sposób naturalny i Niemcy rozszaleli się po całej Europie, mordując Żydów. W tej ciasnej, wiewiórczej klatce pytań i odpowiedzi umysł Jastrowa biegnie w kółko, ilekroć pozwoli sobie na takie daremne myśli. Więc stara się je stłumić.

Mutterperl odzywa się po długim milczeniu: - Na początek mam zamiar porozmawiać tej nocy z Gutkindem i Finkelsteinem.

On chce to naprawdę zrobić!

Co mu powiedzieć? Mutterperl wie równie dobrze jak Jastrow, że za tym grobem, z którego długi szereg żyjących Żydów podaje na górę martwych Żydów, za tym stosem, który teraz dopala się w rozżarzony popiół, zawsze stoi w pogotowiu krąg SS-manów z rozpylaczami, trzymając na smyczach psy, które po spuszczeniu zagryzą każdego poruszającego się więźnia. Oto rozmaite sposoby; w jakie ta robota przeobraża ludzi. Niektórzy wpadają w obłęd: Berel ich rozumie. Inni okradali trupy albo - na ogół ci sami - podlizywali się SS-manom, donosząc na innych Żydów, nie cofając się przed niczym, byle tylko uzyskać więcej jedzenia, wygody, szans na przeżycie. Nawet i takich rozumie. Bóg nie stworzył ludzkiej natury dość mocną, aby stawiała opór temu, co robią Niemcy.

Brutalni żydowscy kapo w Oświęcimiu, urzędnicy Juderatu w Warszawie i w innych miastach, wybierający ludzi do wywózki, a osłaniający swych krewnych

i przyjaciół: wszyscy oni są wytworem niemieckiego okrucieństwa. On ich rozumie. Niepojętej, obłądnej zjadłości Niemców człowiek nie wytrzymuje; zmienia ona normalnych ludzi w zdradzieckie bestie. Setki tysięcy Żydów, którzy teraz leżą w tych grobach, poszły potulnie do tych jam i stanęły na ich krawędzi, dając się zastrzelić, z żonami, dziećmi, starymi rodzicami i ze wszystkim. Dlaczego? Bo Niemcy w działaniu swym przekroczyli granice ludzkiej natury. Zaskoczenie było zbyt oszałamiające. To nie mogło się zdarzyć. Ludzie nie robią takich rzeczy bez powodu. Na krawędzi wykopu, pod lufami, które w nich wymierzyli Niemcy albo ich łotewscy czy ukraińscy siepacze, ci Żydzi, ubrani albo nadzy, zapewne myśleli, że to jakaś pomyłka albo żart, albo że im się śni.

A teraz Mutterperl chce walczyć. Zgoda, może to i sposób, ale z sensem, nie po wariacku! Kiedy Berel był w partyzantce, zabili trochę Niemców. Ale to, o czym teraz bredzi Mutterperl, to atak samobójczy i tyle; ta robota mu się rzuciła na mózg i chce tylko umrzeć, czy jest tego świadom, czy nie; a to błąd. Nie mają prawa do spoczynku w śmierci. Muszą dotrzeć do Pragi.

- Jest - odzywa się Mutterperl głosem ochryplym z nienawiści. - Ot iz er.

SS-man z karabinem pod pachą podszedł do krawędzi wykopu. Spogląda w dół, ziewa, po czym wyciąga bladego kutasa i leje na zwłoki. Ten facet robi to codziennie, przeważnie po kilka razy. Albo takie ma poczucie humoru, albo w szczególny sposób musi okazywać swą pogardę dla Żydów. Jest to młody Niemiec, nawet przystojny, o długiej wąskiej twarzy, bujnych jasnych włosach i błękitnych oczach. Nic więcej o nim nie wiedzą; nazywają go Szczył. Kiedy maszeruje na miejsce pracy albo je opuszcza, nie różni się od innych SS-manów, twardy i srogi, ale nie należy do tych sadystów, co tylko szukają okazji do pobicia Żyda. Po prostu lubi szczać na umarłych.

Mutterperl powiada: - Jego chcę zabić.

Później, kiedy obaj zostali odkomenderowani do usuwania kości i wygarniają grabiami całe albo w kawałkach obojczyki, kości udowe i czaszki z dymiącej kupy popiołu, wrzucając je do młynka mielącego kości, Mutterperl szturcha Jastrowa łokciem.

- Ot iz er.

Nad wykopem SS-man znów się odlewa, wyszukawszy sobie takie miejsce, gdzie trupy jeszcze leżą.

Mutterperl powtarza: - Jego, to ja chcę zabić.

`cp2

Słońce zaszło. Jest prawie ciemno i przejmujące zimno. Ostatni płomień tego dnia pełga na całej długości rusztowania, oświetlając twarze i ręce Żydów grabiących opadły popiół w poszukiwaniu kości. Przybyły ciężarówki. Ta mogiła jest zbyt daleko od miasta, żeby maszerować tam i z powrotem; nie chodzi o rozpieszczanie Żydów, tylko o brak czasu. Blobel nawet był już krytykowany za marnowanie cennej benzyny na "wożenie Żydów taksówkami", jak to ujął pewien inspektor z SS; ale Blobel jest twardy i on tu rządzi. Tylko on zna tak naprawdę rozmiary i pilność tej roboty. Wie o niej więcej niż sam Himmler, który go do niej wyznaczył, ponieważ jest na miejscu i ma do rozporządzenia wszystkie mapy i raporty plutonów egzekucyjnych.

Więc Żydzi pojadą przespać się w oborach porzuconej mleczarni w Mińsku. W okupowanej Rosji oczywiście nie ma krów ani koni. Niemcy już dawno je wywieźli. Podróżujące w dużym zasięgu Kommando 1005 pułkownika Blobela nie ma trudności z zakwaterowaniem swych Żydów w tej czy innej oborze lub stajni, a towarzyszący im kontyngent SS po prostu wyrzuca z domów tyłu Rosjan, ilu potrzeba. Prowiant dla kuchni polowych to chroniczny problem, bo Wehrmacht go bardzo skąpi, ale oficerowie Blobela są już starymi wyjadaczami, jeśli trzeba wywęszyć i zarekwirować żywność od miejscowej ludności. Coś do zjedzenia znajdzie się nawet i w tej nędznej, zdewastowanej części Związku Radzieckiego. Ludzie muszą jeść. Chodzi

jedynie o to, żeby wiedzieć, jak dobrać się do ich zapasów.

Przy ostatnich blaskach ognia Untersturmführer Greiser osobiście zamyka kosztowności, zebrane z trupów, w grubych workach płóciennych, używanych do przewożenia tajnej korespondencji SS.

Jutro znowu ta niemiła robota; dosyć głęboka mogiła, bądź co bądź zostały jeszcze dwie warstwy trupów. Pół dnia zajmie uporządzenie ich, wrzucenie popiołów łopatami z powrotem do wykopu, wypełnienie go ziemią i posypanie nasionami trawy. Kiedy nadejdzie wiosna, trudno już będzie rozpoznać to miejsce. Za dwa lata krzaki je porosną; za pięć lat wszystko pokryje młody las i na tym się skończy.

Podjeżdża samochód Standartenführera Blobela. Przy wątłym blasku ognia kierowca wsiada i salutuje. Untersturmführer Greiser ma natychmiast zameldować się u Standartenführera, więc przysłano po niego samochód. Greiser jest zaskoczony i zatroskany. Standartenführer chyba go lubi, ale za wezwaniem do zwierzchnika zawsze może się kryć coś złego. Prawdopodobnie szef chce otrzymać raport o efektach przerobu gospodarczego. Greiser powierza worki swemu sierżantowi, a klucze zabiera. Wsiada do samochodu i odjeżdżają w kierunku Mińska.

Jakże Greiser pragnąłby się wykapać, zanim stanie do raportu! Nie pomoże trzymanie się z dala od wykopu, trupów i dymu; smród zatruwa całe powietrze wokół terenu pracy. Dla zakończonych nerwowych w nosie to istna udręka. Człowiek czuje ten smród nawet i po kąpieli, kiedy siada i próbuje spożyć ze smakiem kolację. Ciężka to służba!

Untersturmführer Greiser skierowany został do Kommanda 1005 z dobrą opinią za lojalność i inteligencję. Jego ojciec, stary towarzysz z partii narodowosocjalistycznej, piastuje wysokie stanowisko na poczcie. Greiser wychowany został na hitlerowca. Idea specjalnego potraktowania Żydów była dla niego trudna do przełknięcia, kiedy o niej usłyszał na tajnym szkoleniu w SS. Ale już ją sobie przyswoił. Mimo to niepokoi go misja Kommanda 1005. Po co ukrywać i zacierać groby? Przeciwnie! Kiedy zatriumfuje Nowy Porządek, powinny one upamiętniać miejsca, gdzie wrogowie ludzkości zginęli z rąk narodu niemieckiego, zbawców cywilizacji europejskiej. Kiedyś odważył się to powiedzieć Standartenführerowi. Blobel wyjaśnił mu, że gdy zaświtają nowe czasy dla ludzkości, wszyscy ci złoczyńcy i wojny światowe muszą po prostu pójść w niepamięć, aby niewinne dzieci mogły wzrastać w szczęśliwym świecie bez Żydów, nawet nie pamiętając już o złej przeszłości.

Ale co świat pomyśli? sprzeciwił się Greiser. Że co się stało z jedenastoma milionami Żydów europejskich? Że po prostu rozwiali się w powietrzu? Blobel z pobłażliwym uśmiechem doradził, aby młody człowiek jeszcze raz przeczytał sobie Mein Kampf; co tam powiedziano o głupocie i krótkiej pamięci mas.

Standartenführer Blobel, już mocno posunięty w swoim wieczornym pijaństwie, duma nad mapami Ukrainy, otrzymanymi z SS, czekając na Greisera. Lojalna naiwność młodego oficera czyni na nim ujmujące wrażenie. Blobel nie może mu wyjawiać prawdy na temat operacji 1005, której sam się domyślił, lecz nie wspominał o niej żywej duszy; a która jest taka, że Heinrich Himmler obecnie już zakłada, iż Niemcy mogą przegrać wojnę i podejmuje kroki dla ocalenia ich dobrego imienia. Blobel sądzi, że Reichsführer postępuje nader mądrze. Można się jeszcze spodziewać, że Führer poradzi sobie mimo tak niekorzystnej sytuacji, mimo ciężkiej klęski, jakiej doznał pod Stalingradem. Ale czas już przygotowywać się również na niekorzystny wynik wojny.

Cokolwiek nastąpi, likwidacja Żydów pozostanie historycznym osiągnięciem Niemiec. Przez dwa tysiące lat narody europejskie starały się ich nawrócić albo odizolować, albo wypędzić. Lecz oni wciąż istnieli, gdy Führer doszedł do władzy. Nikt oprócz dowódcy Kommanda 1005 nie potrafi w pełni docenić wielkości Adolfa Hitlera. Jak to ujął Himmler: "Nigdy o tym nie powiemy

światu". Nie może istnieć nawet nieme świadectwo trupów. W przeciwnym razie dekadencje demokracji, gdyby się dowiedziały, będą udawać święte oburzenie z powodu środków, jakie Niemcy podjęły przeciwko Żydom, chociaż same tych Żydów nie znoszą; a bolszewicy oczywiście przerobią na prostacką, zdeformowaną propagandę wszystko, co da się wykorzystać dla skompromitowania Rzeszy.

Krótko mówiąc, Kommando 1005 stało się strażnikiem wielkiej i świętej tajemnicy Trzeciej Rzeszy, czy wręcz honoru narodowego Niemiec. On, Paul Blobel, okazuje się w końcu tak wielkim strażnikiem tego honoru jak najślawniejsi z generałów na polu bitwy; ale ciężka robota, którą musi wykonać, nigdy nie doczeka się pochwał, na jakie zasługuje. On jest tym bohaterem niemieckim, który nie będzie opiewany. Paul Blobel, po pijanemu czy po trzeźwemu, tak właśnie uważa. Nie jest on, w swoim przekonaniu, zwykłym sobie zbirem od brudnej roboty w obozie zagłady; nic podobnego. Jest kulturalnym profesjonalistą, w czasach pokoju niezależnym architektem, lojalnym Niemcem, który rozumie światopoglądową filozofię narodu niemieckiego i służy, ciałem i duszą, wykonując nader niewdzięczne zadanie w tej wojnie. Doprawdy trzeba mieć do tego stalowe nerwy.

Greiser dowiaduje się, kiedy przybył do zajmowanego przez Standartenführera domu w Mińsku, że Blobel nie jest ciekaw raportu o przerobie gospodarczym. Wielka nowina! Kommando 1005 udaje się na Ukrainę! Blobel już od miesiąca dopominał się w Berlinie, ażeby ich tam skierowano. Jest w dobrodusznym nastroju i wmusza szklanę wódki młodemu oficerowi, któremu tego właśnie było potrzeba. Tam na Ukrainie sprawy ruszą z kopyta, bo to jego własny teren, mówi Blobel. Był tam dowódcą Einsatzgruppe C: i od samego początku domagał się sporządzania starannych map i dokładnego rejestrowania liczby zabitych. Dzięki temu porządki na Ukrainie można przeprowadzać systematycznie. Całe to wyszukiwanie po omacku zbiorowych mogił jest marnotrawieniem cennego czasu; na północy ziemia jeszcze nie odmarzła; w ogóle to głupiego robota. Kiedy oni będą robić porządki na Ukrainie, Blobel odkomenderuje oficera do Berlina, żeby się dokładnie rozeznał w tym bałaganie protokołów, map i raportów, jakich dostarczyły Einsatzgruppe A i B. Po czym jego wysłannik wróci, odszuka i z góry oznaczy każdą zbiorową mogiłę tu na północy.

Greiserowi świta nadzieja, że to on zostanie wysłany do Berlina, ale nie. Blobel ma dla niego inne zadanie. Groby na Ukrainie są olbrzymie, dużo większe od wszystkich, które Greiser dotychczas oglądał. Jedno rusztowanie tam nie wystarczy; dla należytej wydajności trzeba będzie pracować równocześnie na trzech. Greiser natychmiast uda się z grupą stu Żydów i odpowiednią liczbą strażników z SS do Kijowa, gdzie zamelduje się w urzędzie pełnomocnika Rzeszy na Ukrainie. Blobel zaopatrzy go w stosowne upoważnienia o najwyższym stopniu uprzywilejowania, aby mógł pobrać szyny i korzystać z odlewni. Żydowski przodownik "Szymek" to specjalista od konstrukcji, więc Greiser w ciągu mniej więcej tygodnia bez trudu przygotuje te rusztowania. Blobel chce je mieć gotowe do użytku w momencie, gdy Kommando 1005 zjawi się w Kijowie. A tymczasem oczyści jeszcze jedną niewielką mogiłę na zachód od Mińska, którą dzisiaj odnaleziono.

Greiser nieśmiało pyta o przerób gospodarczy tego nowego grobu. Nie będzie tam wiele roboty, powiada Blobel; w tej mogile ciała są nagie.

Jednakże plan przerzutu na Ukrainę, jaki opracował Standartenführer Blobel, od razu na wstępie opóźnia się wskutek poważnego wypadku na stacji kolejowej w Mińsku.

Około dziewiątej rano, kiedy pociąg spóźnił się już o dwie godziny i Żydzi w pasiakach ślaniają się, drzemając na stojąco w długim dwuszeregu, ciągnącym się przez całą długość peronu, a SS-mani stoją zbici w gromadki, gawędząc od niechcenia dla zabicia czasu, wyskakuje spomiędzy Żydów krzepka postać, wrywa jednemu ze strażników pistolet maszynowy i zaczyna strzelać!

Nie wiadomo, komu wyrwał tę broń, bo kilku strażników pada i rozpylacze ich rozlatują się ze szczękiem po peronie. Ale nikt inny z Żydów nie ma czasu złapać leżących pistoletów i narobić prawdziwego bigosu. Z obu końców peronu biegną SS-mani, dziurawiąc kulami Szmula Mutterperla. On przewraca się, nie wypuszczając broni, i krew spływa po jego pasiaku. Pozostali przy życiu strażnicy obskakują go i wściekle dalej w niego strzelają; chyba ze sto kul pakuja w jego już martwe ciało. Kopią, depczą, tratuja zabitego, rzucając nim po całym peronie, kopiąc go i kopiąc po twarzy, aż pozostaje z niej tylko miazga z krwi i podruzgotanych kości, a stu Żydów przygląda się temu w paraliżującym i tępym przerażeniu. Ale i te kopniaki nie zdołały do końca zetrzeć ze zmasakrowanej twarzy Mutterperla śladów uśmiechu.

Czterej SS-mani leżą trupem, rozwaleni na peronie; jeden ranny czołga się z kółko, brocząc krwią i zawodząc jak kobieta. To Szczyl; po dłuższej chwili pada i leży na torze, martwy jak te trupy, na które się odlewał, a krew tryska z niego na stalowe szyny i drewniane podkłady.

W raporcie swym Greiser obciąża winą podoficera, dowodzącego zbrojnymi strażnikami, którzy zbili się w grupki, zamiast ustawić się w równych odstępach wzdłuż dwuszeregu Żydów, jak tego wymaga regulamin. Żydowski przodownik "Szymek" korzystał ze specjalnych przywilejów i otrzymywał dodatkowe racje żywności. Wypadek ten jeszcze raz wykazuje, że podludzie żydowskie są całkowicie nieobliczalni. Toteż jedynie bezpieczną metodą obchodzenia się z nimi jest najostrzejsza i jak najbardziej czujna surowość, jak w stosunku do dzikich zwierząt.

`cp2

Oddział wraca ze stacji, niosąc zabitych. Zwłoki SS-manów zostają w Mińsku, gdzie czeka je zaszczytny pogrzeb na niemieckim cmentarzu wojskowym. Ociekające krwią i podziurawione kulami ciało Mutterperla jedzie z Żydami ciężarówką na miejsce pracy, gdzie zostanie spalone na rusztowaniu z trupami wydobytymi w tym dniu. Berel Jastrow widzi zabitego, słucho szeptanej w jamie opowieści o tym, co się wydarzyło, i wygłasza błogosławieństwo na złe wieści: Błogosławionyś ty, sprawiedliwy sędzio. Kiedy stos się dopalił, staje przy rusztowaniu i sam wygrzebuje grabiami to, co wydaje mu się resztkami kości Mutterperla. Wkładając je do kruszarki mamroce starą modlitwę pogrzebową:

- Panie miłosierny, który mieszkasz na wysokościach, daj prawdziwie spocząć pod skrzydłami Obecności, pośród świętych i czystych, duszy Szmuela syna Nachuma Mendla, który odszedł do wieczności... Błogosławionyś ty, Panie, władco świata, który sprawiedliwie stworzyłeś was i sprawiedliwie żywiłeś i utrzymywałeś was, i sprawiedliwie uśmierciłeś was i później sprawiedliwie was przywrócisz do życia...

Tak uczy wiara. Ale jakie może być zmartwychwstanie dla tych spalonych i rozdrobnionych szczątków? Owszem, Talmud omawia kwestię ciał zniszczonych przez ogień. Uczy, że w każdym Żydzie znajduje się jedna mała kostka, której żaden ogień nie zdoła spalić i nic jej nie skruszy; i że z tej małej, nie dającej się zniszczyć kosteczki urośnie i powstanie zmartwychwstałe ciało.

- Odejdź w pokoju, Szmul - mówi Berel, kiedy jest już po wszystkim. Teraz on musi dotrzeć do Pragi.

`ty

63

`ty

Kiedy Moray wychodził w swój pierwszy rejs bojowy, torpedy amerykańskie ciągle jeszcze szwankowały. Głównym problemem, nękającym Dowództwo Okrętów Podwodnych na Pacyfiku, były dwa rodzaje niewypałów: torpedy i kapitanowie. Oba te braki trzymano w tajemnicy, ale podwodniacy i tak wiedzieli swoje

zarówno o nie wybuchających zapalnikach magnetycznych torpedy Typu 14, jak i o kapitanach, których trzeba było wycofywać na ląd albo z powodu nadmiernej ostrożności, albo dlatego, że załamywali się pod psychiczną presją ataku, jak Branch Hoban. Niewielu było takich asów jak kapitan Aster, łączących zimną odwagę z biegłością i szczęściem w walce. Tacy ludzie o malowniczych przydomkach - Mordka Morton, Rudy Coe, Zuch Freddie Warder, Lady Aster - byli wzorem dla floty podwodnej i zachętą dla reszty kapitanów mimo tych przeklętych, zawodzących torped. Najogólniej mówiąc, nawet morderstwo uszłoby im na sucho.

Nad kwatery główną admirała Halseya na Salomonach widniał ogromny napis:

Zabić Japsa

Zabić Japsa

Zabić więcej Japsów

Fotografia tej wywieszki umieszczona była na grodzi w kabinie kapitana Astera na Moray.

`cp2

19 kwietnia 1943, kolejny dzień wojny; dzień wypalony na zawsze w pamięci Byrona Henry. Dla innych, gdzie indziej, również miał on być dniem krytycznym.

19 kwietnia rozpoczęła się, po długiej zwłoce, Konferencja Międzynarodowa na Bermudach w sprawie sposobów i środków udzielania pomocy "uchodźcom wojennym" i Leslie Slote znalazł się na niej w składzie delegacji amerykańskiej. W tymże dniu 19 kwietnia, w wigilię święta Pesach, Żydzi w Getcie Warszawskim, ostrzeżeni, że Niemcy przystępują do likwidacji getta, poderwali się do powstania garstka bojowników z podziemia porywająca się na Wehrmacht, jedynie po to, aby zginać jak Szmul Mutterperl, walcząc i zabijając Niemców.

19 kwietnia pogrążeni w żałobie Japończycy dokonali kremacji zwłok admirała Yamamoto. Japończycy wciąż jeszcze nie mogli pojąć, że ich szyfry zostały odczytane, więc nadali przez radio zakodowaną informację, że Yamamoto wybiera się w ryzykowną turę powietrzną po wysuniętych bazach. Amerykańskie myśliwce zaczęły się na niego na niebie, przedarły się przez eskortujące Zera i zestrzeliły wiozący go bombowiec. Grupa przeszukująca dżunglę na wyspie Bougainville znalazła nadpalone zwłoki admirała Yamamoto w galowym mundurze inspekcyjnym, wciąż ściskającego swój miecz. Tak zginął największy mąż, jakiego miała Japonia.

19 kwietnia siły amerykańskie i brytyjskie w Afryce Północnej dokonały okrążenia armii Rommla w Tunezji, zadając Niemcom klęskę tak wielką, jak pod Stalingradem.

I wreszcie 19 kwietnia rząd sowiecki dojrzał do zerwania stosunków z polskim rządem emigracyjnym. Propaganda hitlerowska roztrąbiła odkrycie około 10 tysięcy zwłok w mundurach oficerów Wojska Polskiego, pogrzebanych w lesie pod Katyniem na terytorium od 1941 roku okupowanym przez Rosjan. Wyrażając święte oburzenie z powodu tej zbrodni sowieckiej, Niemcy zaprosili delegacje państw neutralnych, aby przyjechały obejrzeć te straszliwe masowe groby. Jako że Stalin jawnie rozstrzelał mnóstwo swoich własnych oficerów z Armii Czerwonej, oskarżenie było co najmniej prawdopodobne, więc polscy politycy w Londynie przyłączyli się do sugestii, aby przeprowadzić w tej sprawie śledztwo. Pomysł ten spowodował wybuch furii po stronie rządu sowieckiego i 19 kwietnia ta sensacja sięgała szczytu.

A więc dużo się działo; w ogóle jednak na frontach całego świata po prostu toczyła się wojna, tu ospale, tam intensywnie. Żaden wielki przełom w niej 19 kwietnia nie nastąpił. Ale chyba wszyscy na pokładzie Moray mieli zapamiętać ten dzień na zawsze.

Zaczęło się od strzału w samą paszczę.

- Otworzyć dziobowe wyrzutnie - powiedział Aster.

Byronowi gęsia skórka wystąpiła na całym ciele. Wiele się mówiło wśród podwodniaków o strzelaniu w paszczę; na ogół w bezpiecznym zaciszu barów na lądzie albo głęboką nocą w mesach oficerskich. Aster często wspominał, że w ostateczności mógłby tego spróbować; i podczas ćwiczeń na swym nowym okręcie w pobliżu Honolulu oddał wiele ćwiczebnych strzałów do niszczyciela, gnającego wprost na Moray. Nawet i przy tych pozorowanych akcjach włos się jeżył. Niewielu kapitanów spróbowało tego w walce z nieprzyjacielem i wróciło, aby o tym opowiedzieć.

Aster sięgnął po mikrofon. Głos miał spokojny, ale wibrujący od tłumionej wściekłości. - Cała załoga, słuchajcie. Niszczyciel atakuje nas wzdłuż śladów naszych torped. Będę mu strzelał w gardło. Tropimy ten konwój od trzech dni i nie zamierzam go stracić przez to, że nasze torpedy zawiodą. Były celne, tylko że znów niewypały. Mamy jeszcze dwanaście torped, a przed sobą poważne cele, transportowiec z wojskiem i dwa duże frachtowce. Osłania je tylko jeden niszczyciel i jeżeli zagoni nas w głąb i da nam wycisk, tamte uciekną. Więc będę do niego strzelał płytko z zapalnikami uderzeniowymi. Ruszajcie się.

Peryskop pozostał wynurzony. Zastępca dowódcy podawał kolejne odległości, kursy, kąty do celu, głosem coraz bardziej napiętym i mocnym; był to Pete Betmann, trzydziestolatek, łysy niczym jajo, milczący i bystry. Byron pośpiesznie wrzucał dane do maszyny liczącej, oceniając prędkość własną niszczyciela na jakieś czterdzieści węzłów. Był to niesamowity problem, rozwijający się w niewiarygodnym tempie. Żadne ćwiczenie w strzelaniu prosto w gardło czy na symulatorze, czy na morzu koło Honolulu, nie przebiegało z taką szybkością.

- Odległość tysiąc dwieście jardów. Kurs zero jeden zero, odchylony w prawo.

- Ognia pierwsza!

Łomot wylatującej torpedy; drgnięcie pokładu pod stopami. Byron nie wierzył w tak mały kąt na żyroskopie. Tym razem wynik zależy od szczęścia.

- Ślad chyba ku prawej, kapitanie - rzekł Betmann.

- Cholera!

- Odległość dziewięćset jardów... Odległość osiemset pięćdziesiąt jardów...

Możliwości wyboru dla Astera topniały jak garstka śniegu w ogniu. Mógł jeszcze rozkazać: "Zanurzenie... wyporność ujemna!" i zanurkować albo wykonać gwałtowny zwrot, zapewne straszliwie obrywając od precyzyjnie nastawionej bomby głębinowej, a potem mieć nadzieję, że zejdzie na dużą głębokość i przeżyje. Albo mógł znowu strzelać. Tak czy owak Moray był już na skraju przepaści.

- Odległość osiemset jardów.

Czy torpeda może jeszcze zadziałać? Z wyrzutni wystrzeliła zabezpieczona. Czy zdąży się odbezpieczyć przez osiemset jardów, nim uderzy, tak szybko idąca do celu?

- Ognia druga! Ognia trzecia! Ognia czwarta!

Serce Byronowi tak wściekle tłukło i jakby ogromnie nabrzmiało w piersiach, że tchu mu brakowało, musiał haustami łapać powietrze. Szybkość, z jaką niszczyciel i torpeda pędzą ku sobie, wynosi chyba z siedemdziesiąt węzłów! Zbliżający się łoskot śrub: tra-da-dram, tra-da-dram, tra-da-dram...

Brrrammm!

Wrzask zastępcy: - Trafiony! Kapitanie, na Boga, urwałś mu dziób! Rozpadł się na dwie części!

Burkliwy grzmot wstrząsa kadłubem.

- Trafiony! Och, kapitanie, w drzazgi! Pewnie eksplozja w magazynach amunicji! Podstawa działa leci w górze! I szczątki, i ludzie, i cały welbot

koziółkuje w powietrzu...

- Daj mi spojrzeć - warknął Aster. Zastępca odstąpił od peryskopu, twarz miał czerwoną i wykrzywioną, łysy czerep mu błyszczał. Aster obrócił się razem z peryskopem, mrużąc: - Dobra, dwa frachtowce zmykają, ale transportowiec robi zwrot na nas. Ten kapitan zwariował albo wpadł w popłoch. Bardzo dobrze. Peryskop w dół!

Składając uchwyt i odstępując od gładko zjeżdżającego w dół peryskopu, Aster dobitnie i spokojnie wyskandował do mikrofonu: - Do wszystkich. U.S.S. Moray zaliczył pierwsze zwycięstwo. Japski niszczyciel tonie rozbity na dwie części. Dobra robota. A nasz pierwotny cel, transportowiec, idzie w naszym kierunku. To dziesięcioletni statek, pełen wojska. Więc dobrze się zapowiada. Zatopimy go, a potem ruszymy na powierzchni za frachtowcami. Tym razem wykończymy je wszystkie i wyrównajmy rachunki za ten konwój, który oni nam zatopili, i za wszystkie niewypały w torpedach. Trzeba ich wykosić na czysto!

Po całym okręcie rozległy się zapalczywe okrzyki. Aster, ostro i głośno: - Spokój! Cieszyć się będziecie, kiedy ich dostaniemy. Przygotować wyrzutnie dziobowe.

Atak przebiegał jak ćwiczenie na tablicy. Betmann od czasu do czasu wysuwał peryskop, zwięźle podawał dane. Japoniec wchodził na cel. Może wydawało mu się, że ucieka, ponieważ oddalał się od tonących szczątków niszczyciela.

- Otworzyć zewnętrzne osłony.

Wykres ataku był w umyśle Byrona idealnie jasny, wiecznie ten sam podwodniacki ruchomy trójkąt: transportowiec prujący w słońcu z prędkością dwudziestu węzłów, Moray o pół mili na jego trawersie i jakieś dwadzieścia metrów pod wodą, skradający się z prędkością czterech węzłów, i torpedy w zalanych już rufowych wyrzutniach, gotowe pomknąć od jednego do drugiego z prędkością czterdziestu pięciu węzłów. Teraz Japończyk mógł uratować jedynie defekt, jakiś ciężki defekt amerykańskiej maszynierii.

- Ostateczny kurs i strzał.

- Peryskop do góry! Podaję: kurs zero zero trzy. Peryskop w dół! Aster wystrzelił trzy torpedy w wachlarz. Po upływie sekund wieżą zakołysały wybuchy i ciężka fala detonacji przebiegła wzdłuż kadłuba. Okrzyki radości, gwizdy, dzikie wrzaski, śmiechy, ryki zachwytu rozległy się po całym okręcie. W zatłoczonej wieży dowodzenia marynarze szturchali się pięściami i skakali.

Zastępca krzyknął: - Kapitanie, dwa pewne trafienia, w śródookręcie i bliżej rufy. Widzę płomienie. Pali się, dymi, przechyla na prawą burtę, osiada dziobem.

- Wynurzenie. I obsługa do wszystkich dział.

Wtargnięcie świeżego powietrza z łomotem otwartej klapy, snop światła słonecznego, kapanie iskrzącej się wody morskiej, zdrowy poryk ruszających diesli, wprawiły Byrona w uniesienie. Jakby wypłynął po drabince na mostek.

- Boże mój, co za widok! - powiedział Betmann, stanawszy obok niego. Dzień był piękny: czyste błękitne niebo i w nim wysoko kilka kłębiastych obłoków, łagodnie unoszące się niebieskie morze, oślepiające białe słońce. Równikowe powietrze wilgotne i bardzo gorące. Tuż obok transportowca w ostrym przechyle pod chmurą dymu, pokazujący czerwone dno. Przeraził wyla syrena alarmowa i wrzeszczący ludzie w kamizelkach ratunkowych zlązili za burtę i po sieciach. Parę mil dalej ciągle jeszcze unosił się na wodzie dziób niszczyciela z czepiającymi się go beznadziejnie drobnymi postaciami, a przy nim obijały się przepełnione łodzie ratunkowe.

- Opłyniemy go - rzekł kapitan Aster, żując swe cygaro - i popatrzymy, gdzie te frachtowce.

Powiedział to jakby dobrodusznie, ale gdy wyjmował cygaro z ust, Byron

spozstrzegł, że dłoń mu się trzęsie. Rejs już teraz się powiódł, ale widać było, że Carter Aster łaknie czegoś więcej; usta ściągnięte w uśmiechu i błysk zębów, zimny blask w oczach. Przez trzydzieści siedem dni narastała w nim ta żądza czynu, zaostrzona przez niewypały torped. Przed kwadransem jeszcze groziło mu, że cały pierwszy rejs bojowy okaże się niewypałem. Ale teraz już nie.

Gdy opłynęli rufę, minawszy olbrzymią mosiężną śrubę, całkowicie wynurzona z wody, niesłychany widok rzucił im się w oczy. Po tej stronie transportowiec wypływał z siebie wojsko. W krytych szalupach, w otwartych łodziach desantowych i motorówkach, na szarych ogromnych tratwach tłoczyły się tysiące japońskich żołnierzy. Jeszcze setki roili się na pokładzie i śpiesznie zjeżdżały w dół po dyndających sieciach i drabinkach sznurowych. - Jak mrówki z gorącej fajerki - zauważył wesoło Aster. Niebieskie morze było na wpeł szare od żołnierzy w kapokach, pływających się na jego powierzchni.

- Boże - zdumiał się Betmann - ilu ich tam się mieści?

Aster odpowiedział mu w roztargnieniu, wypatrując przez lornetkę w stronę dwóch odległych frachtowców. - Och, te Japsy to bydło. Upychają ich, ile wlezie. W jakiej odległości są te frachtowce, Pete?

Betmann popatrzył w ociekający wodą sekstant. Odpowiedź jego zginęła w terkocie karabinu maszynowego, kiedy ogień i dym buchnęły z krytej szalupy, pełnej żołnierzy.

- Niech mnie diabli - uśmiechnął się Aster - on próbuje nas przedziurawić! I nawet mógłby to zrobić. - Złożył ręce wokół ust i krzyknął: - Działo numer dwa, zatopić go.

Czterdziestomilimetrówka bluznęła ogniem i Japończycy zaczęli wyskakiwać z szalupy. Z jej kadłuba poleciały szczątki, ale jeszcze przez kilka sekund nie przestawała strzelać, potem uciszony już mały, dymiący wrak zatonął. Spłynęło z niego wiele bezładnych ciał w zielonych mundurach i szarych kamizelkach ratunkowych.

Aster zwrócił się do Betmanna. - Więc jaka odległość?

- Siedem tysięcy, kapitanie.

- W porządku. Opłyniemy go, doładujemy akumulatory i porobimy zdjęcia tego transportowca. - Aster popatrzył na zegarek i na słońce. - Tamte dwie mały bez trudu złapiemy jeszcze przed zmrokiem. A na razie zatopimy te łodzie i tratwy, a wszystkich, co jeszcze pływają, pošlemy do ich czcigodnych przodków.

Byron poczuł raczej wstręt niż zaskoczenie, ale zdumiała go reakcja zastępcy. Betmann stanowczo położył dłoń na przedramieniu Astera, gdy kapitan podnosił do ust pokładowy mikrofon. - Kapitanie, proszę tego nie robić. - Powiedział to przyciszonym głosem. Byron, stojąc przy łokciu Astera, ledwie to dosłyszał.

- Dlaczego? - Aster mówił też cicho.

- To rzeźnia.

- A po co tu jesteśmy? To są jednostki bojowe. Gdyby ich wyciągnęli, za tydzień będą się bić z naszymi chłopakami na Nowej Gwinei.

- To jakby rozstrzeliwać jeńców.

- Daj spokój, Pete. A co było z naszymi na Bataanie? A co z tymi, którzy do tej pory leżą w kadłubie Arizony? - Aster odtrącił dłoń Betmanna. Jego głos rozległ się na cały pokład. - Obsługa dział, posłuchajcie! Wszystkie te łodzie, szalupy i tratwy to legalne cele wojenne, tak samo i żołnierze w wodzie. Gdybyśmy ich nie zabili, przeżyją i będą zabijać Amerykanów. Strzelać wedle uznania.

Wszystkie lufy na Moray bluznęły natychmiast złotym ogniem i białym dymem.

- Maszyny powoli naprzód - zawołał Aster do tuby. - Maksymalne ładowanie baterii. - Zwrócił się do Byrona. - Wezwij kwatermistrza. Porobimy zdjęcia

tej łajby, póki nie zatoneła, i tamtego pierwszego ważniaka.

- Aye aye, Sir. - Byron przetelefonował rozkaz.

Japończycy gorączkowo skakali z łodzi i tratw. Czterocalowe działo metodycznie brało na cel łódź za łodzią, a z tej odległości jedna po drugiej tylko się rozlatywały w kawałki. Niebawem tratwy i szalupy już były puste, wszyscy żołnierze w wodzie, a niektórzy zrzucali swe kamizelki ratunkowe, aby nurkować w głąb. Pociski z karabinów maszynowych pruły wodę szeregami białych rozprysków. Byron widział głowy rozbryzgujące się czerwono jak rzucane z wysoka arbuzy.

- Kapitanie - rzekł Betmann - schodzę na dół.

- W porządku, Pete. - Aster zapalał kolejne cygaro. - Nie krępuj się.

Zanim transportowiec zadarł wysoko rufę i poszedł na dno, wszędzie wokół Moray unosiła się na zakrwawionej wodzie nieprzeliczona ciżba martwych Japończyków. Trochę ich jeszcze pływało tu i ówdzie jak delfiny napastowane przez rekina.

- No, to chyba wystarczy - rzekł Carter Aster. - Czas ucieka, Byron. Teraz bierzmy się za te frachtowce. Zdejmij załogi z dział. Wystaw pokładowych. Cała naprzód.

`cp2

Słońce stało już nisko, kiedy Moray, dogoniwszy frachtowce w długim podejściu, poszedł na zanurzenie. Pozbawione ochrony statki wyciągały tylko jednaście węzłów. Porucznik Betmann wrócił do peryskopu, w doskonałym humorze i dokładny, jak gdyby wydarzenia tego poranka przestały dla niego cokolwiek znaczyć. Ale z załogą było inaczej. W ciągu całego dnia, kiedy trwał pościg, ilekroć Byron podszedł do jakiejś grupy marynarzy, witało go milczenie i spojrzenia z ukosa, jak gdyby przerywał rozmowę nie przeznaczoną dla oficerskich uszu. Świeża załoga, dopiero się docierająca we wspólnym działaniu, powinna być hałaśliwa i podniecona tymi zwycięstwami, a jednak nie była.

Porucznika Betmanna Byron nie umiał rozszyfrować. Przybył na Moray z Biura Planowania; był wyznawcą Christian Science i to on wprowadził na Moray nieobowiązkowe (i nie cieszące się zbyt dużą popularnością) nabożeństwa niedzielne. Ale jakiegokolwiek miał skrupuły na temat porannej masakry, teraz pozostała z nich tylko dziarska zajadłość.

Aster zaryzykował trzy z pozostałych mu pięciu torped na równoczesną salwę do dwóch frachtowców, idących blisko siebie. Betmann zameldował jedno trafienie, które rozjarzyło się w mroku; eksplozja przetoczyła się po kadłubie Moray.

- Wynurzenie!

Światło w wieży dowodzenia było przyćmione i czerwone, aby nie przeszkadzało w widzeniu nocnym, mimo to Byron dostrzegł na twarzy Astera wyraz rozczarowania. Moray wypłynął w blask księżyca przy siekającej fali. Nie uszkodzony statek odwracał się od swego trafionego towarzysza, zaciemniając gwiazdy czarnym dymem, buchającym z komina.

- Cała naprzód!

Obydwa frachtowce zaczęły dziko strzelać do czarnej sylwetki, tnącej fale w fosforycznych rozbryzgach. Sądząc po płomieniach u wylotu luf, uzbrojone były nie tylko w karabiny maszynowe, ale także i w trójcalowe działa; solidne trafienie z takiego mogłoby zatopić okręt podwodny. Mimo to Carter Aster parł naprzód w czerwone smugi i świergot pocisków, jakby to były papierowe wstążki na kombatantkiej defiladzie, i zrównał się z uciekającym frachtowcem, który spiętrzył się nad nimi, wielki jak transatlantyk, zionąc ogniem artyleryjskim.

- Ster całkiem na lewo. Otworzyć wyrzutnie rufowe. - Okręt podwodny wykonał zwrot pod gradem szkarłatnych pocisków smugowych i jęklanych granatów. Wachtowi kulili się za swymi osłonami. Byron także. Aster,

wyprostowany i patrzący ku rufie, wystrzelił jedną torpedę. Noc rozjarzyła się z grzmiotem w czerwony dzień. Z frachtowca buchnął ogień na śródokręciu.

- Zanurzenie, zanurzenie, zanurzenie!

Byron, cały roztrzęsiony, nie mógł się powstrzymać od podziwu. Trafivszy i zatrzymawszy obydwie cele, Aster nie narażał się, na dalszy ostrzał.

- Dobra jest - rzekł Aster do mikrofonu, kiedy Moray w pochyleniu schodził pod wodę - przedział torpedowy na rufie! Trafiliśmy go. Teraz nasza ostatnia torpeda. Ostatni strzał w tym rejsie. Do frachtowca, który przedtem trafiliśmy; mamy go jak na półmisku. Trzeba mu tylko jeszcze raz przyłożyć. Więc żadnej fuszerki. Zatopimy go i wracamy do chaty.

Aster podkradł się do kaleki, obrócił się do niego rufą i strzelił z sześciuset jardów. Moray zakołysał się od bardzo bliskiej eksplozji; załoga wydała radosny okrzyk.

- Wynurzenie! Wynurzenie! Wynurzenie! I taki jestem dumny z was wszystkich, że prawie chce mi się płakać. - Rzeczywiście Aster miał głos aż zdławiony od nie skrywanej emocji. - Jesteście najwspanialszą załogą podwodną w całej flocie! I jeszcze wam coś powiem: Moray dopiero zaczyna zabijać Japsów.

Bez względu na to, jak zmaczone bywały emocje w tym dniu, znowu miał załogę za sobą. Radosne okrzyki, pohukiwania, obejmowanie się i ściskanie rąk trwały tak długo, aż kwatermistrz otworzył klapę luku, zakaszlały i ryknęły diesle, podświetlona księżycem woda morską pociekła po drabince.

Wyszedszy w gorącą noc Byron zobaczył oba statki nieruchome na wodzie i płonące. Żadnej kanonady. Jeden z frachtowców bardzo szybko zatonął i zgasł jak dopalona świeca. Drugi palił się i palił, jego pogruczotany kadłub uparcie trzymał się na powierzchni, aż wreszcie Aster, ziewając, kazał Betmannowi wykończyć go z czterocalówki. Upstrzony gorejącymi trafieniami, wciąż jeszcze długo tonął. W końcu morze znów pociemniało, świeciła tylko żółta ścieżka niskiego półksiężyca.

- A teraz posłuchajcie, panowie z U.S.S. Moray - obwieścił Carter Aster. - Bierzemy kurs na Pearl Harbor, zero sześć siedem. Kiedy za dziesięć dni od dzisiaj minie boj kanałową numer jeden, przywiążemy miotłę do peryskopu. Wszystkie maszyny naprzód z szybkością marszową i niechaj Bóg was wszystkich błogosławi, wy wściekle wojaki!

Taki był 19 kwietnia dla Byrona Henry.

`cp2

Z podniesioną miotłą wchodzili do Pearl Harbor. Na długim proporczyku za miotłą trzepotały cztery małe flagi japońskie. Całą drogę wzdłuż kanału Moray odbywał przy serenadzie rogów mgłowych, syren, gwizdków parowych. W bazie okrętów podwodnych, na nabrzeżu, czekała osłupiająca niespodzianka: admirał Nimitz, w białym mundurze galowym, stał w otoczeniu całego ubranego w khaki sztabu Dowództwa Okrętów Podwodnych na Pacyfiku. Kiedy rzucono trap, Aster ustawił załogę do apelu. Nimitz sam jeden wszedł na pokład. - Kapitanie, chciałbym uścisnąć dłoń każdemu oficerowi i marynarzowi na tym okręcie. - I zrobił to, przechodząc wzdłuż dziobówki, a oczy świeciły mu pośród zmarszczek; potem na pokład Moray wszedł tłocząc się cały sztab. Ktoś przyniósł Honolulu Advertiser z wybitym nagłówkiem:

Wykosił do czysta w pierwszym rejsie bojowym

Okręt Podwodny Całkowicie Zniszczył Konwój Razem z Eskortą

"Jeden Za Całe Wilcze Stado" mówi Lockwood

Zdjęcie kapitana Astera, szczerzącego zęby w ostrym blasku słońca, było świeżej daty; ale Betmann na fotografii z promocji na Akademii, którą dziennik wyszperał, wyglądał stanowczo dziwnie z tą bujną czupryną.

Dobrze było poczuć ład pod nogami. Długo trwało, nim Byron dotarł do gmachu Dowództwa Okrętów Podwodnych. Wieści o masakrze japońskich żołnierzy w wodzie prędko się rozchodziły i ten długi spacer zamienił się w pewnego

rodzaju wstępne głosowanie nad czynem Astera. Oficerowie go ciągle zatrzymywali, żeby o tym pomówić, a reakcje były różne: od zgorszenia i wstrętu po krwiożerczy entuzjazm. Wydawało się, że głosowanie wypada na niekorzyść Astera, choć niewielką różnicą.

Nieco później Janice rzuciła się na Byrona, gdy się pojawił, całując go tak szaleńczo, aż go to oszołomiło, przejęło dreszczem i ogień mu przeszedł po ciele.

- Jak rany - zachłysnął się - Janice!

- Och, do diabła, kocham cię, Briny. Czyżbyś nie wiedział? Ale nie bój się, nie zjem cię. - Oderwała się od niego, z płonącymi oczyma, z żółtymi włosami roztarganymi na wszystkie strony. Jej satynowa lekka różowa sukienka rozwinęła się z szelestem, kiedy rzuciła się do stołu i zamachała Honolulu Advertiserem. - Widziałeś to?

- Och, tak.

- A dostałeś ode mnie wiadomość? Czy Carter przyjdzie na kolację?

- Przyjdzie.

Aster zjawił się bynajmniej nie trzeźwy, mając na szyi kilka lei, którymi obwieszono go w klubie oficerskim. Jeden kwietny wieniec zarzucił na Byrona, drugi na Janice, która go przyzwoicie ucałowała. Ucztę z krewetek, befsztyka, pieczonych kartofli i pasztecików jabłkowych a la mode popili czterema butelkami kalifornijskiego szampana, żartując jak popadnie i zaśmiewając się do upadłego. Potem Janice nałożyła fartuch i zażądała, aby pozwolili jej samej posprzątać. - Zdobywcy i bohaterowie - przemówiła z płaczącym się nieco językiem - wynoście się do diabła z mojej kuchni. Możecie wyjść na lanai. Moskitów dzisiaj nie ma, bo wiatr wieje od lądu.

Na ciemnej werandzie, wychodzącej na kanał, kiedy się rozsiadli w wyplatanych fotelach z butelką wina, Aster powiedział trzeźwym i bezbarwnym głosem: - Pete Betmann wystąpił o przeniesienie.

Byron odezwał się po chwili milczenia: - I co? Skąd weźmiemy zastępcę?

- Powiedziałem admirałowi, że chciałbym ciebie.

- Mnie? - Byronowi kręciło się w głowie od wina. Usiłował się skoncentrować. - To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Jestem za młody. I z rezerwy. Stanowisko bojowe, pewnie, lubiłbym stać przy peryskopie, ale żaden ze mnie administrator.

- Z przebiegu służby wynika, że się nadajesz, i tak jest. Admirał się nad tym zastanawia. Byłbyś dopiero trzecim we flocie podwodnej Pacyfiku zastępcą z rezerwy, ale admirał jest skłonny spełnić moje życzenie. Tamci dwaj są starsi od ciebie, byli w służbie czynnej od 39 roku. Ty za to zaliczyłeś dużo rejsów bojowych.

- Ale zarządzałem na Gibraltarze.

- Konserwacja w bazie frontowej to nie rdzewienie.

Byron napełnił oba kieliszki. Wypili po ciemku. Z kuchni słychać było przez brzęk i plusk, jak Janice wyśpiewuje Uroczę dłonie w tańcu hula.

Po chwili Aster zapytał: - A może uważasz tak jak Pete Betmann? Nie chcesz już ze mną pływać? To też da się załatwić.

W czasie długiej podróży z powrotem do bazy w mesie bardzo niewiele mówiło się o masakrze. Byron zawahał się, a potem odpowiedział: - Nie prosiłem o przeniesienie.

- Wypływamy po to, żeby zabijać Japsów, czy nie tak?

- W wodzie nie mieli szans walczyć.

- Sram na to. - W słowie tym zabrzmiała brutalna siła, bo Aster przeważnie unikał mocnych wyrażenia. - Jest wojna. Żeby ją zakończyć, wygrać i na dalszą metę ocalić życie mnóstwa ludzi, trzeba zabijać jak najwięcej wrogów. Prawda, czy nieprawda? - Byron nie odpowiedział. - No?

- Lady, tobie to sprawiało przyjemność.

- Załatwianie tych skurwysynów nie sprawiało mi przykrości, to fakt. Ta

wojna to był ich pomysł.

W ciemności zapadło na chwilę milczenie.

- Zabili ci brata.

- Już powiedziałem, że nie proszę o przeniesienie. Zejdź z tego tematu, kapitanie.

Długo po tym, jak Aster wyszedł, Janice siedziała rozmawiając z Byronem o rejsie, potem o Warrenie, oboje pogrążeni w sentymentalnych wspomnieniach, jak nigdy przedtem. Byron nie wspominał o Natalii, poza tym, że rano chce zadzwonić do Departamentu Stanu. Kiedy zbierał się już do łóżka, wziął ją w objęcia i namiętnie ją pocałował. Zaskoczona tym i poruszona, popatrzyła mu w oczy. - To było dla Natalii, prawda?

- Nie. Dobranoc.

Zanim wyszła, zjrzała do pokoju Byrona i posłuchała jego spokojnego oddechu. Przepustka władz wojskowych, w którą był zaopatrzony jej samochód, rozwiązywała problem godziny policyjnej, więc pojechała przez mrok zaciemnienia do hotelu, w którym Aster zatrzymywał się teraz, gdy mieli się spotkać. W kilka godzin później wróciła po cichu do domu, zmęczona, wyczerpana, rozgrzana od przelotnych uniesień jako ta "dupa bez autoryzacji". Znowu posłuchała oddechu Byrona; był ciężki, regularny, taki jak przedtem. Janice poszła do łóżka, pełna błogości na ciele i duszy, jednakże z odrobiną irracjonalnego poczucia winy, prawie jakby dopuściła się cudzołóstwa.

`cp2

Spór o rzeź, jakiej Aster dokonał wśród żołnierzy japońskich, długo ciągnął się w Dowództwie Okrętów Podwodnych. Nigdy nie przedostał się do gazet ani nawet do pozostałej floty. Podwodniacy ukrywali go jak sekret rodzinny. Dopiero w długi czas po wojnie, kiedy odtajniono wszystkie raporty z rejsów patrolowych, wyszło to wreszcie na jaw. Raport kapitana Astera opisywał masakrę szczegółowo i bez ogródek, Dowództwo Okrętów Podwodnych na Pacyfiku zaś opatrzyło go adnotacją jak najbardziej pochwalną, bez żadnych zastrzeżeń. Odtajniono również projekt tej adnotacji, sporządzony przez szefa sztabu. Napisał on długi akapit, potępiający masakrę ratujących się wpływ bezbronnych rozbitków. Admirał wykreślił go gniewnym pociągnięciem pióra; bryzgi atramentu dotychczas plamą tę stronicę, butwiejącą w archiwum wojennym floty.

- Gdybym miał u siebie jeszcze dziesięciu tak agresywnych zabójców jak Aster - powiedział wtedy admirał do szefa sztabu - wojna skończyłaby się o rok wcześniej. Nie będę krytykował komandora porucznika Astera za uśmiercanie Japsów. Był to wspaniały rejs bojowy i złożę wniosek o ponowne odznaczenie go Krzyżem Floty.

`ty

64

`ty

W początkach lipca szef poselstwa amerykańskiego w Bernie, po bardzo długim milczeniu, znów otrzymał wiadomość od Lesliego Slotę. Zwykła poczta ze Stanów Zjednoczonych przestała docierać, odkąd Niemcy zajęli południową Francję, i nie było już oficjalnych przesyłek. Jednakże poczta dyplomatyczna państw neutralnych służyła czasem, choć nieregularnie, do przekazywania w obie strony listów i raportów. Jeden ze starych przyjaciół Slotę'a w szwajcarskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych przekazał Billowi Tuttle grubą kopertę: po spotkaniu na inny temat wręczył mu ją bez słowa, kiedy wychodził.

3 czerwca 1943

`cp2

Drogi Bill,

Na wstępie przepraszam za nieczytelność swojego memorandum o Konferencji Bermudzkiej, które załączam. Piszę to w łóżku, lecząc zwichniętą kostkę. Złożyłem rezygnację ze służby dyplomatycznej, więc nie mam gabinetu ani sekretarki.

Moja zwichnięta kostka to efekt skoku ze spadochronem. Zupełnie inny Leslie Slote gryzmoli te linijki! Byłem zawsze - łagodnie powiedziawszy - człowiekiem lęklwym. Pożegnawszy się z Departamentem wylądowałem w Urzędzie Służb Strategicznych. Od tej pory jestem ciągle w biegu, nigdy nie wiedząc, gdzie się znajduję, ale w nowym dla mnie, choć nieco trwożnym poczuciu euforii, jakiego mógłby doznać człowiek, który wypadł z samolotu i stwierdził, że sprawia mu przyjemność - jakkolwiek krótkotrwałą - rozciągająca się pod nim panorama i rzeński prąd powietrza w trakcie spadania. Obrazy związane ze spadaniem łatwo mi przychodzą po moim wczorajszym skoku ze spadochronem: zupełny koszmar, ale jakoś tam rozweselający, chociaż krew mrozi w żyłach.

Urząd Służb Strategicznych jest ci z pewnością znany. Przypominam sobie, jak to generał "Dziki Bill" Donovan sprawił, że trochę się nastroszyłeś, kiedy w zeszłym roku przeleciał jak burza przez Bern. Jest to zaimprovizowana grupa wywiadowcza, nadzwyczaj dziwaczna. Oczywiście nie mogę ci wiele powiedzieć o tym, co robię. Ale coś robię: i po pracy w Departamencie Stanu to jest mico uczucie. Spotkała mnie katastrofa w sensie zawodowym, ale sprawy toczą się z taką szybkością, że nie mam czasu się nad sobą rozczulać.

Posłuchaj: Departament Stanu to harem, z którego uprowadzono wszystkie ślicznotki, a została tylko gromada piskliwych eunuchów, nie mających nic do roboty. Panowie Roosevelt i Hopkins we dwóch zagarnęli prawie całą politykę zagraniczną; zespół generała Donovana obskoczył resztę; a ci kastraci w Departamencie Stanu wciąż bezpłodnie obracają papierkami; i nie sprawiłoby żadnej różnicy, gdyby to był papier toaletowy.

Jeżeli to brzmi gorzko, nie zapominaj, że ja zmarnowałem swoją karierę i wyrzekłem się dziesięciu lat cennego stażu, bo uważam, że taka jest prawda. Wykończyło mnie to, co Departament Stanu uczynił w trakcie Konferencji Bermudzkiej, chociaż i tak zapewne bym zrezygnował i było to jedynie kwestią czasu. Problem żydowski stoi się dla mnie rakiem, obsesją, a Breckinridge Long tylko pogarszał mój stan aż do pełnej demencji. Teraz się nareszcie wyrwałem i wracam do zdrowia.

Long powołał mnie, jak wiesz, do Wydziału Spraw Europejskich, żebym się zajmował problematyką żydowską. Znajdował się wtedy pod ogromną presją, aby przełamać blokadę wizową, na której utykają próbujący uciec od Hitlera, a także zrobić coś w sprawie Żydów wywożonych pociągami na wymordowanie. Jest nagabywany i przyjął zasadę chwytania się słomki. Pewnie chciał mieć w Wydziale jedną wiarygodną postać o "prożydowskiej" reputacji, kogoś, kto mógłby współczująco rozmawiać z Żydami, a nie miałyby możliwości im pomóc. I pewnie spodziewał się po mnie, jako lojalnym najemniku z Departamentu Stanu, że będę realizował jego politykę bez względu na to, jak mnie ona mierzi. Przede wszystkim trzeba zapytać: dlaczego ja wziąłem tę robotę? Odpowiedź brzmi: sam nie wiem. Chyba miałem nadzieję, że Breckinridge Long mówi poważnie i że mój głos w sprawach żydowskich mógłby coś ułatwić, liberalizować, łagodzić.

W takim razie okłamywałem się.

Od samego początku aż do chwili, kiedy w środku posiedzenia opuściłem Konferencję Bermudzką, trafiałem na niewzruszony mur. W sumie Breckinridge Long budzi teraz moje politowanie. Nawet nie uważam go za czarny charakter. Wysłał mnie na Bermudy, żebym tam występował jako pewnego rodzaju gojski Sol Bloom, wspierający dyplomata o niewątpliwych sympatiach prożydowskich, na którego można by się później powołać na przesłuchaniu przez Kongres,

gdyby do tego doszło. Moja rezygnacja nie będzie korzystnie wyglądać w protokole, ale mnie już oczywiście nie zależy na zapewnianiu Departamentowi Stanu ładnej fasady.

A cóż to była za fasada! Jak starannie wyreżyserowana przez nasz Departament i brytyjski Urząd Spraw Zagranicznych, aby nie doszło do jakiegokolwiek nacisku, protestu czy kontrowersji! Nie wpuszczono dziennikarzy. Czy to labourzyści, czy przywódcy żydowscy, czy marsze protestacyjne: przed wszystkimi bronił konferencji szeroki ocean. Bermudy były tak urocze w rozkwicie wiosny, a myśmy się spotykali w rozkosznych hotelach, daleko od nowych baz wojskowych, mając mnóstwo czasu na pływanie w basenach i upijanie się drinkami na bazie miejscowego rumu. Na wieczornych imprezach towarzyskich w wytwornym towarzystwie bermudzkiem można było niemal zapomnieć o toczącej się wojnie.

Biedny doktor Harold Dodds - rektor z Princeton, zmuszony do przewodniczenia naszej delegacji - zaklinał mnie, abym pozostał, ale ja na trzeci dzień miałem już dosyć. Zapowiedziałem mu, że albo poruszę problem Żydów zagrożonych eksterminacją (ci Żydzi byli na konferencji zabronionym tematem!), albo lecę z powrotem do Washingtonu i składam rezygnację ze służby zagranicznej. Dodds był bezradny. Nie mógł upoważnić mnie do wystąpienia przeciw polityce, do której byt zobowiązany. Wyjechałem więc i ocaliłem przynajmniej szczyptę szacunku dla samego siebie.

Protokoły z konferencji nie zostały jeszcze opublikowane. Teraz znów Departament gorączkowo lansuje potrzebę ich tajności, która ma "zabezpieczyć środki udzielania pomocy uchodźcom politycznym". A tak naprawdę panowie Hull i Long spodziewają się, że zainteresowanie konferencją wygaśnie i nigdy się nie będą musieli tłumaczyć. Ale nie wygaśnie! Presja na rzecz ujawnienia tych spraw będzie narastać i dojdzie wreszcie do piekielnej eksplozji, kiedy prawda zostanie ujawniona.

Moje memorandum da ci pojęcie o tym, co naprawdę działo się na Bermudach. Pamiętasz ten potworny dokument, który mi wręczono w Bernie podczas seansu filmowego, omawiający Konferencję w Wannsee? Nie byłem w stanie go uwiarygodnić, ale dalszy rozwój wypadków uczynił to z nadwyżką. Jeżeli Prezydent Roosevelt szybko nie zacznie działać, historia stwierdzi, że zagłada Żydów europejskich dokonała się między młotem Konferencji w Wannsee a kowadłem Konferencji Bermudzkiej. Za winnych tej masakry uznani będą Amerykanie pod wodzą Roosevelta na równi z Niemcami pod wodzą Hitlera! Będzie to okrutne wypaczenie faktów; ale Breckinridge Long do tego właśnie prowadzi.

Znasz dobrze Prezydenta Roosevelta. Przesyłam ci to memorandum, a ty zrób z nim, co zechcesz. Jest w nim jasna i szczerą przestroga przed tym, co wyniknie z Bermudów nie tylko dla Żydów europejskich, ale i dla historycznej reputacji Franklina Delano Roosevelta, i niewątpliwie dla pozycji moralnej Ameryki w świecie powojennym. Proszę, abyś to przeczytał uważnie i zastanowił się, czy nie powinno - w dowolnej formie, jaką byś zechciał temu nadać, redagując czy uzupełniając - trafić do Prezydenta.

Huragan nigdy nie zastaje ludzi przygotowanych, Bill, a zanim podejmie się improwizowane środki bezpieczeństwa, burza zdąży dokonać najgorszych spustoszeń. Niemiecka masakra Żydów to huragan. Nigdy nie zdarzyło się nic podobnego. Dzieje się to poza dymną zasłoną wojny światowej, wśród narodu, który się zbiesił i odciął od cywilizacji. Inaczej nie mogłoby się wydarzyć. Uświadamianie sobie tego było powolne, stosowanie środków zaradczych opieszale. Ale z biegiem lat wszystkie te okoliczności łagodzące pójdą w zapomnienie. Konferencja Bermudzka widziana będzie w retrospekcji jako bezlitosna, wyprana z ludzkich uczuć farsa, której dopuściły się Ameryka i Anglia, byle wykręcić się od jakiegokolwiek działania, podczas gdy odbywała się rzeź milionów niewinnych ludzi.

Dopóki odpowiada za to Breckinridge Long, wypaczenie będzie się pogłębiać

i zaostrzać, lecz ostateczna hańba nie jego obciąży, gdyż on będzie już wtedy zapomnianym, małym człowieczkiem. Jeśli Konferencja Bermudzka pozostanie ostatnim słowem Aliantów na temat hitlerowskiego barbarzyństwa, Franklin Roosevelt przejdzie do potomności jako wielki prezydent amerykański, który wyprowadził swój kraj z kryzysu i zapewnił mu światowy triumf, ale który, w pełni świadom tej potwornej masakry, zawiódł Żydów. Nie pozwól, ażeby do tego doszło, Bill. Przekaż Prezydentowi tę przestrozę.

Dla własnego zdrowia psychicznego, składając to memorandum, kończę swe przypadkowe zamieszanie się w sprawę najstraszliwszej zbrodni w dziejach świata. Brzemie to nigdy nie było moje, chyba w tym sensie, co każdego człowieka. Jak dotąd świat uchyla się od jego dźwignięcia. Ja próbowałem i nie udało mi się, bo jestem nikim i bezsilny. To memorandum, napisane krwią - Żydów i moją - to spuścizna po tym doświadczeniu, jakie przeszedłem.

Serdecznie pozdrawiam

Leslie Sloté

Williamowi Tuttle nietrudno było dostrzec w załączonym do tego listu memorandum, nabazgranym na długich, żółtych arkuszach, rozpaczliwe wynętrzenie się podwładnego, który w gniewie porzucił pracę. Styl świadczył o pośpiechu, ton był pozbawiony umiaru. Że ten ostrożny i lękliwy człowiek podjął się roboty, w której skład wchodzi przeszkolenie spadochronowe, to świadczy dobitnie o rozmiarach wstrząsu, jakiego doznał.

Mimo to memorandum poruszyło Williama Tuttle. Zaczął się zastanawiać nad Konferencją Bermudzką. Przez kilka nocy nie mógł spać i zachodził w głowę, co ma z tym począć. Breck Long zawsze widział mu się jako porządny człowiek; dżentelmen z ogłada i pewny siebie, jeden ze swoich, znający się na rzeczy koniarz i w ogóle wszystko, tylko nie czarny charakter.

Jednak aż do tej pory Tuttle oburzony był na polecenie, jakie otrzymał niedawno z Departamentu Stanu, aby nie używać szyfrów Departamentu do przekazywania pochodzących z Genewy raportów o eksterminacji; i doskonale świadom, że wszystkie informacje, jakie przesłał do Wydziału Spraw Europejskich, utonęły w milczeniu. Sam też nie lubił grzebać się w tym żydowskim horrorze i brak reakcji uważał za wynik biurokratycznej zwłoki i niedbalstwa. Gdyby jednak miał się za tym kryć Breckinridge Long, i jeśli to czyni z rozmysłem, w takim razie może prezydent powinien się o tym dowiedzieć. Jak go powiadomić?

W końcu mocno poskracał memorandum Sloté'a, tuszując gorzkie wycieczki pod adresem Brecka Longa. Przepisawszy skróconą wersją na maszynie, wysłał ją do Washingtonu szwajcarską pocztą dyplomatyczną, dodając odręczne pismo przewodnie z adnotacją: Poufne i pilne. Do rąk własnych Prezydenta.

5 sierpnia 1943

Szanowny Panie Prezydencie,

Autor załączonego dokumentu był wysłany służbowo na Konferencję Bermudzką i w charakterze protestu złożył rezygnację ze służby zagranicznej. Ma za sobą stypendium Rhodesa i dawniej pracował u mnie w Bernie. Sądzę, że jest to człowiek o wyjątkowej inteligencji, zawsze w pełni odpowiedzialny.

Nie chciałbym powiększać ciężaru, jaki spoczywa na Pańskich barkach, ale zmuszają mnie do tego dwa względy: po pierwsze, straszliwy los Żydów europejskich; po drugie, troska o Pańskie własne miejsce w historii. Spodziewam się, że załączony tu raport pomoże Panu wyrobić sobie pogląd na to, co działo się na Konferencji Bermudzkiej pod pokrywką oficjalnych raportów. Obawiam się, że skłonny jestem wierzyć Lesliemu Sloté.

Z wyrazami najgłębszego szacunku i podziwu,

Pański Bill

Poufne memorandum

Konferencja Bermudzka: Amerykański i brytyjski współudział w eksterminacji Żydów europejskich

1. Tło historyczne

Od początków 1941 roku rząd niemiecki prowadzi systematycznie tajne działania, zmierzające do wymordowania Żydów europejskich. Ten prosty fakt tak dalece wykracza poza wszelkie dotychczasowe doświadczenia ludzkości, że nie istnieją społeczne mechanizmy, które mogłyby się z nim uporać.

W następstwie wojny rząd niemiecki stał się wyrzutkiem ze społeczności międzynarodowej, odpowiedzialnym tylko wobec Niemców. Posługując się terrorem państwa policyjnego reżim nazistowski doprowadził Niemców do posłusznego współudziału w jego bestialskich poczynaniach. Jednakże smutną prawdą jest, że społeczny opór w stosunku do nazistowskiej polityki, wymierzonej przeciw żydostwu, od chwili objęcia władzy przez Hitlera był raczej znikomy.

Korzenie tej masakry tkwią w szerokim i głębokim nurcie, jakim jest w kulturze niemieckiej pewnego rodzaju desperacki, romantyczny nacjonalizm, będący skrajną reakcją na humanitarny liberalizm Zachodu. Taki sposób myślenia prowadzi do brutalnego samouwielbienia wojowniczej "kultury" niemieckiej, za czym kryje się, jeżeli nie jest otwarcie wyrażany, złośliwy antysemityzm. To zawiły i mroczny problem. Filozof Croce wywodzi ten sprzeczny z cywilizacją nurt z wydarzenia za czasów rzymskich, jakim było zwycięstwo Arminiusa w Lesie Teutoburskim, które odcięło plemiona germańskie od ulepszającego wpływu rzymskich praw i obyczajów. Jakakolwiek jest tego geneza, dojście do władzy i popularność Adolfa Hitlera świadczą o trwałości tego nurtu.

2. Zakłopotanie wśród Aliantów

Do Konferencji Bermudzkiej doszło dlatego, że tajemnica masowej zagłady wyszła na zewnątrz. 17 grudnia 1942 roku rządy Narodów Zjednoczonych publicznie i zgodnie oświadczyły, że sprawcy tej zbrodni zostaną ukarani. To oficjalne ujawnienie wzbudziło w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii silny odzew publiczny i domaganie się, aby zaczęto działać.

Na nieszczęście antysemicka polityka Adolfa Hitlera dotknęła pięty Achillesowej zachodniego liberalizmu.

Całkiem niezależnie od Żydów, działania zaczęli się domagać prasa, Kościół, postępowi politycy, intelektualiści i tak dalej. Ale działaniu temu przeciwstawiły się inne siły, lodowato milczące i niewzruszone.

Żydzi domagają się od Anglii, aby otworzyła Palestynę dla nieograniczonej imigracji żydowskiej, co byłoby oczywistym krokiem do ulżenia presji ze strony nazistów. Ale brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych uważa, że na tym etapie wojny nie można się narazić na sprzeciw, jaki wywołałoby to ze strony Arabów. Dla Stanów Zjednoczonych równie oczywistym posunięciem byłaby doraźna inicjatywa prawna, zezwalająca na wjazd zagrożonych ofiar Hitlera. Ale nasze drastyczne prawa, służące ograniczeniu emigracji, wyrażają wolę Kongresu, który jest przeciwny zmianie składu "rasowego" w naszym kraju.

Gdyby liberalizm Aliantów był istotnie rządową polityką, a nie czymś pomiędzy ideałem a mitem, kroki te zostałyby podjęte. W rzeczywistości jednak Adolf Hitler sprawił, że Alianci znaleźli się w kropce.

Stąd wzięła się Konferencja Bermudzka. Ogłoszono ją hucznie jako odpowiedź Aliantów na horror hitlerowski. Konferencja stworzyła pozór, że coś się robi, aby ułagodzić opinię publiczną; i przyniosła pewność, że nie zrobi się nic, aby uwzględnić wymogi polityki. Była to jawna kpina. Usłudźni dyplomaci wykonali te gesty bez krzty sumienia, wkładając w nie tylko swą wyzywającą pyszałkowatość, zakłamanie lub wrzody żołądka.

Było w tym wszystkim nie tyle może łotrostwo, co rozpaczliwa niezdolność do uporania się z najpotworniejszym łotrostwem w dziejach człowieczeństwa.

Na tym polega sedno sprawy. Większość ludzi wciąż dopatruje się w masowym mordowaniu Żydów przez hitlerowców raczej dziennikarskiej przesady, a przyćmiewają to doniesienia o wielkich bitwach. Poczynania Niemców są tak bestialskie, tak niepojęte, tak odległe od tradycyjnej i wszędzie

występującej lekkiej niechęci do Żydów, iż opinia publiczna stara się o tym nie myśleć. Oślepiająca pożoga wojny to ułatwia.

3. Konferencja

Uzgodnionym celem konferencji było "załatwienie problemu uchodźców politycznych". Położono wielki nacisk na to, aby w programie unikać słowa "Żydzi". W dodatku jedyni "uchodźcy polityczni", o jakich wolno było mówić, to ci w krajach neutralnych; a więc ludzie, których życie już nie jest zagrożone! Reguły te były tajne. Ani słówko na ich temat nie przedostało się do prasy.

Pewnego dnia protokoły z konferencji wyjdą na jaw. Wyłoni się z nich tylko żalosne pozorantwo, odrażająca gimnastyka dyplomatycznych uników, walka z cieniem i podwójna mowa. Każda próba rozszerzenia porządku dziennego jest utracana; każda sugestia, aby coś rzeczywiście zrobić - choćby tylko rozładować nagromadzenie uchodźców w krajach neutralnych - udaremniiona. Nie ma na to funduszków; albo statków do przewozu; albo nie ma dokąd ich wysłać; albo wiąże się z tym zbyt wielki problem bezpieczeństwa, bo mogliby się znaleźć między nimi szpiegry lub sabotażyści; albo działania te "kolidowałyby z wysiłkiem wojennym".

Trwa nie kończąca się zabawa w "podaj dalej". Amerykanie naciskają, żeby uchodźców kierować do Afryki Północnej i krajów Bliskiego Wschodu. Brytyjczycy domagają się udostępnienia im półkuli zachodniej. W końcu wszyscy kordialnie zgadzają się na wnioski negatywne; ażeby zaś stworzyć pozór działania, postanawiają reanimować zdychający Komitet do Spraw Uchodźców, powołany przez Konferencję w Evian, podobnego rodzaju fiasko sprokurowane w 1938 roku.

Łatwo jest potępiać delegatów, którzy musieli się bawić w tę żenującą grę. Byli jednak marionetkami, reprezentującymi politykę swych rządów i w końcu publiczną wolę swych narodów.

4. Potrzeba dalszych kroków

Co można jeszcze zrobić po klęsce konferencji?

Nawet w najlepszym razie bardzo niewiele. Niemcy zawzięli się i dokonują tego bestialstwa. Mają w garści większość Żydów europejskich. Tylko zwycięstwo Aliantów może zapobiec realizacji tych planów. Ale jeśli weźmiemy się energicznie do tego, co możemy zrobić, jakkolwiek niewiele, będziemy przynajmniej rozgrzeszeni ze współudziału w zbrodni nazistów. Natomiast w obecnym stanie rzeczy Konferencja Bermudzka uczyniła ze Stanów Zjednoczonych biernego uczestnika mordów.

Za jakieś szesnaście miesięcy odbędą się wybory prezydenckie. Do tego czasu eksterminacja Żydów europejskich może już stać się niemalże faktem dokonanym. Naród amerykański będzie wówczas miał za sobą dodatkowe półtora roku, aby nadrobić zapóźnienie w uświadomieniu sobie tej niewiarygodnej potworności. Wzbierze istna powódź dowodów. Możliwe, że nastąpi już inwazja w Europie i zdobyte będą niektóre z obozów zagłady. Społeczeństwo amerykańskie jest humanitarne. Dzisiaj co prawda nie chce "wpuszczać wszystkich tych Żydów", ale pod koniec 1944 roku zacznie szukać, na kogo by tu zrzucić winę za dopuszczenie, że tak się stało. I wina spadnie równo na tych, którzy są dzisiaj u władzy.

Autor tego memorandum wie, że Prezydent jest prawdziwym humanitarystą i chciałby pomóc Żydom. Ale w tej ogromnej wojnie na skalę globalną jest to problem daleko nie najważniejszy. Ponieważ tak niewiele da się uczynić, a temat jest tak upiorny, trudno mieć pretensje do pana Roosevelta, że zajmuje się innymi sprawami.

Agitacja za otwarciem Palestyny lub zmianą przepisów imigracyjnych wydaje się beznadziejna. Ekstrawaganckie plany masowego wykupu i propozycje, aby bombardować cele niewojskowe w rodzaju obozów koncentracyjnych, kolidują z podstawowymi założeniami wojny. Ale niektóre rzeczy są do zrobienia i muszą być zrobione.

5. Kroki doraźne

Najpilniejsza i najbardziej użyteczna rzecz, jaką Prezydent Roosevelt może zrobić natychmiast, to odebrać cały problem uchodźców Departamentowi Stanu, a przede wszystkim odsunąć od niego pana Breckinridge Longa.

W obecnej chwili całość tych spraw jemu podlega: i jest to po prostu klęska. Ten nieszczęsny, zapędzony w ślepy zaułek negatywizmu, zdecydował się robić jak najmniej; nie dopuszczać do tego, aby ktokolwiek inny zrobił coś więcej; i gotów jest poruszyć niebo i ziemię, byle udowodnić, że on ma rację i zawsze miał rację, i że nikt nie może być większym przyjacielem Żydów niż on. W głębi serca chyba dotychczas myśli, że pogłoski o hitlerowskiej masakrze to po większej części chytra sztuczka, żeby obejść przepisy o imigracji i tyle.

Personelowi w Departamencie Stanu wbito do głowy taki punkt widzenia. Zbyt wielu podziela jego sztywne, restrykcyjne poglądy. Morale w Departamencie i jego zdolność do działania w sprawach humanitarnych są nadzwyczaj niskie. Należy powołać agencję wykonawczą, upoważnioną do badania wszelkich możliwości ratowania Żydów od śmierci; i do szybkiego działania. Zwykle przystosowanie reguł o udzielaniu wiz, oparte na zdrowym rozsądku, już wystarczy, aby natychmiast ocalić dużą liczbę Żydów, którym już istniejące normy pozwoliłyby wjechać do Stanów Zjednoczonych. Nie pociągnie to za sobą żadnych obciążeń finansowych. Fundusze na pomoc w wymiarach niemalże dowolnych da się pozyskać od społeczności żydowskiej.

Nasz restrykcjonizm to wzór dla państw Ameryki Łacińskiej. Wystarczy, że nowo powstała agencja uświadomi Ameryce Łacińskiej zmianę w postawie Stanów Zjednoczonych, ażeby niektóre z tych krajów poszły za naszym przykładem.

Agencja ta powinna jak najszybciej wydostać jak największą liczbę uchodźców z czterech neutralnych krajów europejskich - Szwajcarii, Szwecji, Hiszpanii i Portugalii - które udzielają im schronienia, ażeby je odciążać i wpłynąć na zmianę ich obecnej postawy, że "w szalupie już nie ma miejsca", by zaczęły znów chętnie przyjmować tych prześladowanych Żydów, którzy mogą jeszcze dotrzeć do ich granic.

Agencja ta powinna się postarać u przywódców Kongresu o zgodę na tymczasowe wpuszczenie choćby i dwudziestu tysięcy uchodźców. Gdyby za tym przykładem poszło tylko dziesięć krajów na świecie, byłby to jasny i dobitny sygnał dla samych morderców, jak również dla rządów państw satelickich, które jeszcze nie oddały swych żydowskich obywateli Niemcom, że Alianci podchodzą do tej sprawy bardzo poważnie.

Bo w miarę tego, jak odwracają się losy wojny, mordowanie musi osłabnąć i wreszcie ustać. Prędzej czy później mordercy oraz ich wspólnicy przestraszą się. Ten punkt zwrotny może nadejść, kiedy zginie już dziewięćdziesiąt procent Żydów, albo kiedy zginie ich sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt procent. Nie wydaje się prawdopodobne, aby można się było spodziewać lepszego wyniku; ale choćby i tyle już byłoby historycznym osiągnięciem.

Leslie Slot

William Tuttle nie otrzymał potwierdzenia swego listu do prezydenta i nigdy się nie dowiedział, czy dotarł on do adresata. Co się zaś tyczy historii, odzew publiczny stopniowo wzrastał aż do wybuchu wrzawy w 1943 roku, gdy wyszły na światło fakty na temat Konferencji Bermudzkiej. 22 stycznia 1944 rozporządzenie wykonawcze z Białego Domu odebrało Departamentowi Stanu problem uchodźców. Powołano do życia Komisję do Spraw Uchodźców Wojennych, agencję wykonawczą upoważnioną do zajmowania się "nazistowskimi planami eksterminacji wszystkich Żydów". Weszła w życie nowa polityka potężnej akcji ratunkowej ze strony Ameryki. Do tego czasu huragan od dawna już sięgnął szczytu.

`nv

`ty

`ty

Szwajcarski dyplomata, który wszedł do szpitala obok fotela na kółkach, w jakim wieziony był Aaron Jastrow, dostarczył list od niemieckiego ambasadora do dyrektora, hrabiego Aldeberta de Chambrun. - Pan oczywiście zna - rzucił od niechcienia - chef d'oeuvre naszego pacjenta, Le Jesu d'un Juif.

Comte de Chambrun był emerytowanym generałem, finansistą, arystokratą z dziada pradziada i po matce krewnym premiera Laval, co w sumie zapewniało mu dość niezmacony spokój, nawet i w tych czasach rozprężenia. Skinął głową, przelatując wzrokiem list z prośbą o jak najlepsze zajęcie się "znakomitym pisarzem". Gdy po Pearl Harbor większość personelu nagle wyjechała, hrabia został dyrektorem Szpitala Amerykańskiego. Przychodziło tam na zabiegi kilku Amerykanów, którzy jeszcze pozostali w Paryżu, ale Jastrow był pierwszym z grupy w Baden-Baden. Hrabia nie śledził współczesnej literatury amerykańskiej i nie był pewien, czy w ogóle słyszał o autorze nazwiskiem Jastrow. Żydowski Jezus! Dziwny list jak na te okoliczności.

- Raczy pan zauważyć - podjął Szwajcar, jakby czytając mu w myślach - że władze okupacyjne uważają pochodzenie rasowe za nieistotne.

- Oczywiście - rzekł hrabia. - Takie uprzedzenia muszą pozostać za bramą szpitala.

Szwajcar skwitował ten pogląd drgnięciem twarzy i wyszedł. Nie upłynęła godzina, jak z ambasady niemieckiej zatelefonowano z pytaniem o stan Jastrowa i jak go urządzono. To przeważyło sprawę. Gdy Jastrow zaczął przychodzić do siebie po ciężkiej operacji, rozłożonej na dwa zabiegi i po kilku krytycznych dniach, dyrektor umieścił go w słonecznym pokoju i zapewnił mu pielęgniarkę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Hrabia de Chambrun poruszył sprawę tej dziwnej troskliwości niemieckiej o Jastrowa ze swoją żoną, bardzo stanowczą Amerykanką, która na wszystko miała gotową odpowiedź. La comtesse była grande dame: z domu Longworth, spowinowana z Rooseveltami, siostra byłego przewodniczącego Izby Reprezentantów. Przeczekiwała wojnę prowadząc Bibliotekę Amerykańską i własne studia szekspirowskie. Ich syn ożenił się z córką Pierre Laval. Hrabina już od dawna przyjęła obywatelstwo francuskie, lecz w mowie i zachowaniu pozostała jak najbardziej Amerykanką z naleciałością francuskiego, zacieklego, starszylacheckiego snobizmu; chodząca osobliwość lat siedemdziesięciu, prosząca się o pióro jakiegoś Prousta.

Nie ma w tym nic dziwnego, odparła mężowi z ożywieniem hrabina. Czytała Żydowskiego Jezusa i nie ceni go zbyt, ale nazwisko autora jest rzeczywiście sławne. Wkrótce odjedzie do kraju. Cokolwiek powie o tym, jak go traktowano, będzie szeroko cytowane w amerykańskich gazetach i tygodnikach. Bosze mają tu szansę przeciwdziałać nieżycziwej propagandzie na temat ich polityki w sprawie żydowskiej; zadziwia ją tylko, że potrafili okazać tyle rozsądku; uważała bowiem Niemców za gromadę chamów i tępaków.

Generał de Chambrun wspomniał jej też o bratanicy Jastrowa. Kiedy z nią porozmawiał w godzinach wizyt, uderzyła go jej posępna i smutna uroda, wyborna francuszczyzna i bystra inteligencja. Podsunął, że mogłaby pracować w bibliotece, gdyż rekonwalescencja Jastrowa potrwa przez jakiś czas. Na to hrabina nadstawiła uszu. Biblioteka miała ogromne zaległości w segregowaniu i katalogowaniu stosów książek, jakie pozostawili w 1940 roku wyjeżdżający w pośpiechu Amerykanie. Bosze mogliby się temu sprzeciwić; z drugiej strony zaś amerykańska bratanica sławnego autora, żona oficera floty podwodnej, może im odpowiadać, choć Żydówka. Hrabina zasięgnęła opinii niemieckiego urzędnika, nadzorującego biblioteki i muzea, który z miejsca pozwolił jej zatrudnić panią Henry.

Zrobiła to niezwłocznie. Natalia właśnie odwiedziła Aarona w szpitalu, kiedy do pokoju wkroczyła la comtesse i przedstawiła się. Natalia spodobała

się jej od pierwszego wejrzenia; całkiem elegancka jak na uciekinierkę, mile amerykańska, miała tę ciemną urodę, która może być równie dobrze włoskiego, albo i francuskiego pochodzenia. Stary Żyd w łóżku wyglądał bardziej na umarłego niż na żywego; siwobrody, z wydatnym nosem i wielkimi, smutnymi, brązowymi oczyma, które gorączkowo świeciły w woskowej, wpadniętej twarzy.

- Pani stryj wygląda rzeczywiście na bardzo chorego - rzekła hrabina w gabinecie dyrektora, gdzie zaprosiła Natalię na filiżankę "herbaty z werbeny", która smakowała jak wywar z siana i mogła nim być istotnie.

- Niewiele brakowało, żeby umarł od wewnętrznego krwotoku - odpowiedziała Natalia.

- Mój mąż twierdzi, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie mógł wrócić do Baden-Baden. Kiedy jego stan się trochę poprawi, zostanie przeniesiony do naszego sanatorium dla rekonwalescentów. Otóż, pani Henry, generał powiedział mi, że była pani stypendystką Radcliffe'a i jest absolwentką Sorbony. Pas mal. Czy chciałaby pani zająć się czymś pożytecznym?

Przeszła się z Natalią do jej pensjonatu; stwierdziła, że w czymś takim Amerykance nie wypada znaleźć się nawet po śmierci; pogruchała, czy raczej zakrakała nieco nad Louisem; i postanowiła, że przeniesie ich do przyzwoitego mieszkania. Zgarnęła ją natychmiast i zaprowadziła do starej rezydencji w pobliżu szpitala, przerobionej na mieszkania dla personelu, gdzie z miejsca załatwiła pokój i posiłki dla niej i dziecka. Nim zrobił się wieczór, przeprowadziła ich na nowe miejsce, uzyskała wymagane dokumenty z prefektury i przedłożyła je w niemieckiej administracji przedmieścia Neuilly. Na odchodnym zapowiedziała, że wróci rano i metrem zabierze Natalię do biblioteki. Obiecała załatwić kogoś do opieki nad Louisem.

Natalię całkiem onieśmieliła ta stara, apodyktyczna wróżka, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Przeniesienie do Niemiec wprawiło ją w stan lekkiego, trwałego szoku. Hotel w Baden-Baden z niezycziwą niemiecką obsługą, gdzie mówiono ciągle po niemiecku, z kartami dań i napisami też po niemiecku, z gestapowcami w holu i na korytarzach, z ponurymi twarzami internowanych Amerykanów, wszystko to sprawiło, że jej system nerwowy się na wpół wyłączył, a świadomość ograniczyła do siebie i Louisa, do codziennych potrzeb i możliwych zagrożeń. Sposobność wyjazdu do Paryża sprawiała wrażenie, jakby ją wypuszczono z więzienia, kiedy przedstawiciel Szwajcarii zapewnił ją, że w okupowanym przez Niemców Paryżu przebywa na swobodzie trochę uprzywilejowanych Amerykanów i że ona będzie tam pod opiekuńczym nadzorem szwajcarskim, tak samo jak w Baden-Baden. Ale zanim jej dopadła hrabina, prawie nie oglądała Paryża. Siedziała skulona w swoim pokoju, bawiąc się z Louisem albo czytając stare powieści. Rano i wieczorem przemykała się do szpitala, żeby odwiedzić stryja, i umykała z powrotem, bojąc się zaczepienia przez policję i nie bardzo ufając swym dokumentom.

W bibliotece nastąpiły dla niej nowe czasy. Miała już pracę, najlepszy ze środków uśmierczających. Zaczęła się ruszać. Pierwsze, zatrwające sprawdzanie dokumentów w metrze przeszło bez żadnego problemu. Bądź co bądź Paryż był jej prawie tak znany jak New York i niewiele się zmienił. Przykrą nowością okazał się straszliwy ścisk w metrze i mnóstwo młodych żołnierzy niemieckich, ale nie było teraz innego sposobu poruszania się po Paryżu z wyjątkiem rowerów, starych, obdrapanych pojazdów konnych i dziwacznych pojazdów na rowerowych kołach, które przypominały riksze. Praca w bibliotece nie nastroczała trudności, a hrabina była zachwycona jej bystrą inteligencją i szybkością.

Natalia żywiła mieszane uczucia do starego dziwadła. Błyskotliwie mówiła o literaturze; sypała cierpko zabawnymi anegdotami o sławnych ludziach; imponująca była jej wiedza dotycząca Szekspira. Miała jednakże trudne do przełknięcia poglądy społeczne i polityczne. Twierdziła, że Francja

przegrała wojnę z trzech przyczyn: ulg jakich Herbert Hoover udzielił Niemcom w zakresie odszkodowań wojennych; osłabienie Francji przez socjalistyczny Front Populaire; i zdrada Brytyjczyków, którzy uciekli spod Dunkierki. Francja dała się nakłonić Anglikom i swoim własnym głupim politykom do ataku na Niemcy (usłyszawszy to, Natalia wprost nie mogła uwierzyć własnym uszom). Mimo to, gdyby armia francuska posłuchała jej męża i skoncentrowała swe czołgi w dywizjach pancernych, zamiast je rozpraszać po troszku wśród piechoty, kontratak pancerny w Belgii zdołałby odciąć niemieckie kolumny czołgów posuwające się ku morzu i z miejsca doprowadzić do wygrania wojny.

Nigdy nie zadawała sobie trudu, aby swoje poglądy i oceny uzgodnić lub uzasadnić; puszczała je tylko jak fajerwerki. Nie zrozumianym zbawcą Francji był Pierre Laval. Charles de Gaulle to pozer i szarlatan, a jego oświadczenie: "Francja przegrała bitwę, a nie wojnę!" to nieodpowiedzialna brednia. Ruch Oporu to hałastra komunistów i cyganerii, która ograbia innych Francuzów i ściągą na nich represje, nie wyrządzając żadnej szkody Niemcom. Co się zaś tyczy okupacji, mimo jej niedostatków, ma ona również pewne zalety. Teatr stał się o wiele zdrowszy, bo gra klasyków i czyste komedie, a nie sprośne farsy i zdeprawowane sztuki bulwarowe jak przedtem; również koncerty sprawiają większą przyjemność bez tych okropnych, nowoczesnych dysonasów, których tak naprawdę nikt nie rozumiał.

Każde odezwanie się Natalii wywoływało monolog. Pewnego razu, kiedy pracowały we dwie przy pudłach książek, które zostawił pewien amerykański producent filmowy, Natalia zauważyła, że życie w Paryżu wydaje się dziwnie podobne do normalnego.

- Do normalnego, moje dziecko? Jest koszmarne. Oczywiście, że Bosze starają się, aby Paryż wydawał się normalny, a nawet uroczy. Zrozum, że Paryż to wizytówka ich "Nowego Ładu". - Wymówiła to zjadliwie i sarkastycznie. - Właśnie dlatego teatry, opera i koncerty są popierane, a nawet subsydiowane. Dlatego i nasza nieszczęsna, mała biblioteka pozostaje otwarta. Słowo daję, ci biedni Bosze tak bardzo starają się udawać cywilizowanych, ale cóż to za zwierzęta, naprawdę. Oczywiście są bez porównania lepsi od bolszewików. Gdyby ten Hitler miał odrobinę zdrowego rozsądku i nie rzucił się na Francję, tylko wykończył Związek Radziecki, a oczywiście mógł to zrobić w 1940 roku, cały świat uważałby go dzisiaj za bohatera i mielibyśmy pokój. A teraz musimy czekać, kiedy Ameryka nas uratuje.

Pierwszą żółtą gwiazdę Natalia zobaczyła, idąc z hrabiną po ruchliwym bulwarze na obiad. Minęły je dwie kobiety w eleganckich, uszytych na miarę kostiumach, jedna mówiła coś z ożywieniem, druga się zaśmiewała. Obie miały na kostiumach, nad lewą piersią, jarzącą się gwiazdę. Hrabina jakby tego nie zauważyła. Z biegiem czasu Natalia zobaczyła ich jeszcze kilka; niedużo, tylko od czasu do czasu żółta gwiazda, tak samo naturalnie noszona. Rabinowicz opowiadał jej o straszliwym, publicznym wyłapywaniu Żydów w Paryżu rok temu; albo wtedy większość z nich wygarnięto, albo nie pokazywali się na oczy. Wywieszki, zabraniające Żydom wstępu do restauracji i budek telefonicznych, były pozawijane i brudne. Codziennie zaskakiwały ją przejawy wściekłego antysemityzmu, pojawiające się mimochodem w tak znajomych dziennikach jak Paris-Soir albo Le Matin, bo skądinąd ich pierwsze strony wyglądały tak samo jak w czasach pokoju; i te same nazwiska widniały pod niektórymi z rubryk.

Okupowany Paryż istotnie miał swój szczególny urok: ciche i czyste ulice bez trąbiących taksówek i tłoczących się samochodów, jasne i bezdymne powietrze, kolorowo ubrane dzieci bawiące się w nie tak ludnych, kwitnących parkach, konne powozy z kobietami zachwycająco strojnymi w paryskim stylu, wszystko jak na starych obrazach tego miasta. Ale trędowate piętno okupacji widoczne było na wszystkim: wielkie czarne litery napisów w rodzaju

Concorde-Platz albo Soldatenkino; rozlepione na murach żółte afisze z długimi wykazami straconych sabotażystów; szkarłatne flagi ze swastyką trzepocące na budynkach publicznych i pomnikach, na Łuku Triumfalnym, na wieży Eiffla; wypisane kredą jadłospisy na zewnątrz niemieckich restauracji, niemieckie pojazdy wojskowe jadące po szerokich, pustych bulwarach i żołnierze Wehrmachtu na przepustce, w szarozielonych mundurach, włączący się niedbale po chodnikach z aparatami fotograficznymi. Kiedyś Natalia trafiła na kapelę złożoną z piszczalek i bębnow, która poprzedzała jednego wartownika, stąpającego paradnym krokiem po Champs-Elysees w stronę Łuku Triumfalnego przy ra-ta-tam i przeraźliwej muzyce marszowej, pod rozwianymi proporcami ze swastyką; w tym jednym dziwnym obrazku streszczała się cała okupacja.

Zbawcza dla ducha ludzkiego jest jego zdolność przystosowania się. Dopóki Natalia pogrążała się w pracy w bibliotece albo spędzała wieczory z Louistem, albo przechadzała się po obiedzie wzdłuż Sekwany, oglądając książki na straganach, czuła się nie najgorzej. Raz na tydzień meldowała się w poselstwie szwajcarskim. Któregoś dnia, kiedy Louis był chory i została w domu, odwiedził ją wysoki, młody, elegancko ubrany dyplomata szwajcarski, aby upewnić się, że wszystko w porządku. To było krzepiące. Paryż budził mniej lęku niż Marsylia; ludzie wyglądali na mniej zaszczutyh i lepiej odżywionych, a policja zachowywała się kulturalniej.

Po trzech tygodniach Aarona przeniesiono do sanatorium dla rekonwalescentów i dano mu pokój wychodzący na ogród. Wciąż jeszcze osłabły i ospały, ledwie mogący się odzywać, zdawał się przyjmować te luksusy jako coś należnego. Lecz Natalia nie mogła tego zrozumieć. Przenosiny do Paryża uznała za nieszkodliwe, ponieważ doktor w Baden-Baden wyjaśnił, że w Szpitalu Amerykańskim jest wyśmienity personel i że stryjowi będzie tam dużo lepiej niż we Frankfurcie. Sam Paryż był bez porównania przyjemniejszy niż Baden-Baden. Nigdy jednak nie opuściła jej do końca mglista trwoga, jaką dziecko odczuwa wobec tajemnicy zamkniętego na klucz pokoju, trwoga przed nieznanym; dręczące poczucie, że tak wyrozumiałe traktowanie stryja i jej własna swoboda w mieście okupowanym przez Niemców to nie są szczęśliwe przypadki, tylko jakaś zagadka. Kiedy w Bibliotece Amerykańskiej nastąpiło wreszcie jej rozwiązanie, było nie tak wielkim zaskoczeniem jak lęk przed otwarciem drzwi do ciemnego pokoju.

Hrabina zawołała ją z biura: - Natalio! Mamy gościa. Twój stary przyjaciel.

Siedziała przykucnąwszy między stosami książek w pokoju na tyłach, spisując je. Odgarnęła sobie włosy z twarzy i prędko poszła do biura. Stał w nim Werner Beck, zgięty w ukłonie, strzelając obcasami, ściągnąwszy aż do przymknięcia powieki w zmarszczkach życzliwego uśmiechu.

- Poseł z ambasady niemieckiej - rzekła hrabina. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że znasz Wenera?

`cp2

Od wyjazdu ze Sieny ani razu nie ubrała się wieczorowo; tam, pomimo aresztu domowego, po włosku niezbyt rygorystycznego, kilka razy włożyła wyblakłą, długą suknię, wybierając się gdzieś na wieczór. Od tamtego czasu jej normalnym sposobem egzystencji stało się życie na walizkach, zakładanie na przemian kilku tych samych ubiorów podróżnych. W szoku i przestraszeniu, wypełniających tego wieczora umysł Natalii, oblekanie się w te stroje dla Kopciuszka, w które ją zaopatrzyła hrabina, wyglądało na groteskowe szyderstwo i ostatnie, makabryczne pożegnanie ze swoją kobiecością, zanim zostanie powieszona. Wszystko dobrze na niej leżało; kuzynka hrabiny miała dokładnie te same wymiary. Naciągając gładkie, perłowe, jedwabne pończochy do kolan i wyżej na uda, aż do podwiązek, Natalia czuła się nadzwyczaj dziwnie. Skąd w tych czasach nawet i bogata Paryżanka bierze takie

pończochy? Jak by to było, ubrać się tak w czasach pokoju do wyjścia na wieczór z Byronem, a nie na taki dreszczem przejmujący koszmar?

Starala się tak umalować, żeby to pasowało do wytwornej sukni z szarej jedwabnej krepy, niestety miała tylko podstawowe kosmetyki, wyschnięte i spękane od nieużywania ich: słoiczek rózu, szminkę do ust, ogryzek ołówka do brwi, odrobinę tuszu do rzęs. Louis przyglądał się jej zdumionymi oczyma, kiedy się malowała, jak gdyby się próbowała podpalić. Jeszcze nie skończyła, gdy siwowłosa opiekunka do dziecka zajrzała do środka: - Madame, ten pan czeka na dole w samochodzie... och, madame, ależ pani jest zachwycająca!

Nie było wyjścia; musiała przyjąć zdumiewające zaproszenie Wenera Becka; gdyby zaś było możliwe odmówić, i tak nie odważyłaby się na to. Kiedy po jego wyjściu z biblioteki hrabina skomentowała z kwaśnym uśmiechem: - No, no! Z niemieckim posłem na Wesele Figara! Pas mal! - Natalia wyrzuciła z siebie: - Jak on może? Pomijając fakt, że należę do wrogiego narodu, wie, że jestem Żydówką!

Z krzywym uśmieszkiem na cienkich, pomarszczonych wargach - nigdy przedtem nie poruszały tego tematu - hrabina odparła: - Moja droga, Niemcy się zabawiają, ils sont les vainqueurs. A teraz pomyślmy: w co się ubierzesz?

Ani zapytania, co łączy Natalię z Beckiem, ani uszczypliwej uwagi; tylko bystre i rzeczowe zajęcie się tym, jak wyekwipować drugą kobietę na elegancki wypad nocny w Paryżu. Kuzynka hrabiny, młoda, ciemnowłosa kobieta o końskich zębach, była najwyraźniej zaskoczona raptownym pojawieniem się w jej mieszkaniu hrabiny z dziewczyną amerykańską. Wiele nie mówiąc, chociaż i nie objawiając radości, potulnie wydobywała stroje i ozdoby, jakich od niej żądano. Hrabina oceniała każdą część garderoby i zażądała nawet flakonu dobrych perfum. Natalia nie była w stanie rozpoznać, czy hrabina robi to z życzliwości, czy aby zaskarbić sobie wdzięczność niemieckiego posła. Zrobiła to od ręki i koniec.

Louis wytrzeszczył oczy z uraza, kiedy matka wyszła, nie ucałowawszy go. Czowała, że wargi ma zgrubiałe i tłuste, obawiała się umazać jego i siebie też. Po schodach zeszła w aksamitnym płaszczu z kapturem, w kolorze wina, mimo wszystko czując to podniecenie, jakiego doznaje kobieta wystroiwszy się. Rzeczywiście pięknie wyglądała, on był mężczyzną, a ona pod opieką szwajcarską. Równie budząca lęk sytuacja nie zdarzyła się jej ani razu przez te niekończące się miesiące kłopotów, jednak dużo już zdążyła przeżyć i była gotowa bronić się po desperacku.

Mercedes stał w niebieskim świetle latarni i w blasku księżyca w pełni. Wyszedł, mamrocząc komplementy, i otworzył jej drzwiczki. Noc była ciepła i pachniała kwitnącymi drzewami w ogrodzonym sztachetami ogrodzie przed domem.

Kiedy zapalał silnik, Natalia odezwała się: - Może to nietaktowne pytanie, ale jak pan może się pokazywać z Żydówką?

Jego poważna twarz, słabo majacząca w poświęceniu zegarów na tablicy, zmiękła w uśmiechu. - Ambasador wie, że pani i jej stryj przebywają w Paryżu. Oczywiście Gestapo również wie o tym. I wiedzą, że zabieram dziś panią do opery. A kim pani jest, nikogo to nie obchodzi. Czuje się pani niezręcznie?

- Straszliwie.

- Co mam uczynić, aby panią uspokoić? A może wolałaby pani nie iść? Ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, to narzucić pani przykre spędzenie wieczoru. Myślałem, że sprawi to pani raczej przyjemność. Miał to być gest przyjacielski, a przynajmniej pojednawczy.

Natalia musiała się dowiedzieć, o ile to możliwe, do czego ten człowiek zmierza. - Cóż, jestem i tak ubrana. To bardzo miłe z pańskiej strony.

- Czy pani lubi Mozarta?

- Oczywiście. Już od lat nie byłam na Weselu Figara.
- Cieszę się, że dobrze trafiłem.
- Od jak dawna wiedział pan, że jesteśmy w Paryżu?
- Pani Henry, wiedziałem już, że jesteście w Lourdes. - Jechał z wolna przez puste, czarne ulice. - Widzi pani, Winston Churchill w czasie kampanii afrykańskiej wygłosił do generała Rommla zgrabny komplement. "Ponad otchłania wojny - rzekł - oddaję cześć wielkiemu generałowi". Pani stryj to znakomity naukowiec, pani Henry, ale nie jest to człowiek mocny ani praktyczny. Przedostanie się ze Sieny do Marsylii było z pewnością pani dziełem. Wasza ucieczka ściągnęła na mnie okropne kłopoty. Mimo to "ponad otchłania wojny" oddaję pani cześć. Nie brakuje pani odwagi.

Z lewą ręką na kierownicy, Beck podał Natalii swą pulchną prawą dłoń. Nie mogła jej nie przyjąć. W dotknięciu okazała się wilgotna i chłodna.

- Jak pan się dowiedział, że jesteśmy w Lourdes? - Odruchowo wytarła dłoń w płaszcz i złapała się na tym z nadzieją, że nie zauważył.

- Na skutek starań o zwolnienie was. Oczywiście Francuzi od razu donieśli nam o tym i...

- Co? Jakich starań? Nic o tym nie wiedzieliśmy.

- Na pewno? - odwrócił się do niej, wyraźnie zaskoczony. - Pierwszy raz o tym słyszę.

- To ciekawe. - Kilkakrotnie pokiwał głową. - Otóż zwrócono się z Washingtonu, aby pozwolić państwu po cichu przedostać się przez granicę do Hiszpanii. Z ulgą dowiedziałem się o tym. Bałem się, że stało się wam coś złego.

Natalia była tym oszołomiona. Kto mógł starać się o ich zwolnienie? I jaki to ma związek z ich obecną sytuacją? - Więc to zdradziło panu, że tu jesteśmy?

- Och, i tak bym się dowiedział. Przez cały czas mieliśmy w ambasadzie baczne oko na waszą grupę. Niezła mieszanka, co? Dyplomaci, dziennikarze, kwakrzy, ich żony i dzieci, kogo tam nie ma! Nawiasem mówiąc, doktor w Victoria Home poinformował mnie dzisiaj, że zdrowie pani stryja się bardzo polepsza.

Natalia nic nie odrzekła i po chwili Beck znowu przemówił. - Czy nie uważa pani, że Comtesse de Chambrun to interesująca kobieta? Bardzo kulturalna?

- Postać z charakterem, niewątpliwie.

- Owszem, to trafne określenie.

Na tym zakończyła się ich pogawędka. Przejście z zaciemnienia w blask operowego foyer olśniło Natalię. Jakby wehikuł czasu nagle przeniósł ją do Paryża 1937 roku. Niczym się to nie różniło od wieczorów, na które Leslie Slote zabierał ją do tej opery, z wyjątkiem pewnej liczby niemieckich mundurów. Otóż i kwintesencja Paryża, jaki zapamiętała, ten przepyszny hol z marmurowymi kolumnami, wspaniałymi schodami, mnóstwem posągów; obficie owłosieni studenci w deszczowcach ze swymi przyjaciółkami w krótkich spódniczkach, tłoczący się pośród ludzi pracy przy wejściach na tańsze miejsca; zadowolone z siebie pary z klasy średniej, zmierzające w kierunku orkiestry; i snujący się w tłumie cienki, błyskotliwy strumyczek beau monde. Panował ożywiony i bardzo francuski zgiełk, twarze - może odrobinę chudsze i bledsze niż w tamtych czasach - na ogół francuskie, a ta szczypta wytwornego świata była francuska od stóp do głów; zwłaszcza kobiety, wiecznie eleganckie paryżanki, w przepięknych fryzurach i makijażu, każdym błyskiem oka, ruchem nagiego ramienia, prędkim śmiechem demonstrujące sztukę olśniewania i podobania się. Jedne były z Francuzami w smokingach, inne z niemieckimi oficerami. W mniej ekskluzywnej ciżbie też widać było niemieckich żołnierzy w towarzystwie francuskich dziewcząt, ślicznie odrobionych i błyszczących, żwawych jak kociątka.

Może dlatego, że Natalia była tak pobudzona i bliskość doktora Wenera

dodawala jej adrenaliny do zył, to zanurzenie się w foyer opery oszołomiło ją nie tylko błyskiem świateł, ale i myślowym, bardziej dotkliwym. Kimże są wobec tego, pomyślała, ci "kolaboracjoniści", wyszydzani i piętnowani przez prasę aliancką i radio de Gaulle'a? Otóż i oni. Francuzi. Naród. Przegrali wojnę. Wytoczyli rzeki krwi, aby wygrać pierwszą wojnę, przez dwadzieścia lat płacili podatki, wykonywali polecenia swoich polityków, zbudowali Linie Maginota, poszli na wojnę pod dowództwem sławnych generałów; a Niemcy zdobyli Paryż. Eh bien, je m'en fiche! Jeżeli Amerykanie przyjdą na pomoc, to świetnie. A tymczasem będą sobie żyć po francusku, pod okupacją Bosphoru. Ponieważ zaś niedostatków jest co niemiara, a przyjemności niewiele, tymi niewieloma trzeba się tym bardziej rozkoszować. W tym momencie Natalia poczuła, że na wpół rozumie hrabinę de Chambrun. W porównaniu z 1937 rokiem, uświadomiła sobie, kiedy ona i Beck szli w tłumie na swoje miejsca, jest jedna różnica. Wtedy każde audytorium operowe obfitowało w twarze żydowskie. Tu nie ma ani jednej.

Pierwsze tony uwertury przebiegły jej po nerwach jak wiatr po strunach harfy, wprawiając je w dygotliwe wibracje; tym bardziej, że była tak strasznie napięta. Starła się poddać muzyce, ale po kilku taktach myśli jej znów pobiegły ku temu, co wyjawiał Beck. Kto mógł podjąć te daremne i nieszczęsne starania, gdy przebywali w Lourdes? Kiedy tak biła się z myślami, zachodziła w głowę i gryzła się, kurtyna poszła do góry, ukazując dekoracje równie przepyszne jak kiedykolwiek w czasach pokoju. Figaro i Zuzanna, oboje znakomicie śpiewający, wdali się w swoje nieśmiertelne, błyskotliwe błazeństwa. Natalia mało co wyniosła z tego Wesela Figara, chociaż przedstawienie było wyborne. Jej rozbiegane myśli oceniały sytuację, w której się znalazła.

Na czas antraktu Beck zarezerwował stolik w przytulnym zakątku. Kelner powitał ich miłym uśmiechem i ukłonem. - Bonsoir, Madame, bonsoir, Monsieur le Ministre. - Sprzątnął tabliczkę z napisem Reserve, podał szampana i ciastka.

- A nawiasem mówiąc - rzekł Beck po kilku trafnych uwagach na temat śpiewaków, jedząc ciastka i popijając wino - ostatnio przeczytałem na nowo teksty audycji, nakreślone przez pani stryja. Były naprawdę prorocze; czy pani to sobie uświadamia? To, co on napisał rok temu, obecnie mówi się głośno w całym świecie Aliantów. Wiceprezydent Henry Wallace niedawno wygłosił przemówienie, jakby żywcem wyjęte ze skryptu pani stryja. To samo mówili Bernard Shaw, Bertrand Russell, wiele takich umysłów najwyższej klasy. Zdumiewające.

- Niewiele dociera do mnie ze świata Aliantów.

- Tak. No cóż, mam wycinki z prasy. Kiedy doktor Jastrow poczuje się lepiej, powinien je obejrzeć. Miałem nie lada pokusę, aby opublikować jego teksty. Całe to gadanie o ich doszlifowaniu było niemądre. To istne klejnoty. Eseje do zapamiętania, o pięknej strukturze intelektualnej. - Beck przerwał, gdy kelner dolewał mu do kieliszka. Natalia umoczyła wargi w szampanie. - Nie sądzi pani, że teraz mogłoby je wygłosić? Może przez Radio Paris? Doprawdy przynajmniej tyle jest mi winien.

- Jest zbyt słaby, żeby o czymś takim rozmawiać.

- Ale jego lekarz dzisiaj powiedział mi, że za parę tygodni powinien już odzyskać siły. Czy w Victoria Home zapewniono mu wszelkie wygody?

- Ma wszystko, co najlepsze.

- To dobrze. Domagałem się tego. Szpital we Frankfurcie jest bardzo dobry, ale wiedziałem, że tu będzie mu lepiej... o, już pierwszy dzwonek, a pani prawie nie spróbowała wina. Czy jest niedobre?

Natalia wypila swój kieliszek. - Bardzo dobre.

Potem już nawałnica błyskotliwej muzyki omijała Natalię niby dalekie odgłosy pociągu. Na scenie śpiewacy brykali w swoich komediowych przebraniach i nieporozumieniach, a ją przytłaczały budzące trwogę

możliwości. Najgorsza z nich jeszcze raz okazywała się rzeczywistością. Przenosiny do szpitala w Paryżu nie były znów tak niewinne. Doktor Beck chciał ich tam dopaść, odczekał do właściwego momentu i zrobił to, posługując się nieszczęśliwym przypadkiem, chorobą Aarona, jako że bardziej brutalna taktyka mogłaby go skompromitować w oczach Szwajcarów. I co teraz? Aaron znów będzie się uchylał od audycji radiowych; a gdyby nawet się zgodził, czyż nie byłoby to jedynie przypieczeniem losu jego i zapewne jej również? Oczywiście mógłby się wyprzec tych audycji, skoro tylko wróci do Stanów, i doktor Beck jest wystarczająco bystry, by o tym wiedzieć. Więc jak tylko Niemcy dostaną te nagrania, zatrzymają Aarona w ten czy inny sposób; i najprawdopodobniej ją również. Czy szwajcarska "ochrona" w tym wypadku coś pomoże, biorąc pod uwagę ich wątpliwy status?

Ale co się stanie, jeżeli Aaron w odpowiedzi na propozycje Wenera Becka stanowczo odmówi? Gra na zwłokę, jak w Follonica, nie da się już powtórzyć.

Pułapka się w istocie zatrzasnęła, albo tak jej się wydało. Trudno sobie wyobrazić okropniejsze przeżycie niż siedzieć tu, w Operze paryskiej, w pożyczonej kreacji od Wortha, z grubo umalowaną twarzą i żołądkiem nerwowo buntującym się przeciwko łykniętemu kieliszкови szampana, z grzecznym i inteligentnym mężczyzną, byłym absolwentem z Yale, w każdym odcieniu słowa i zachowania kulturalnym, cywilizowanym Europejczykiem, który jednak w rzeczy samej grozi na przyszłość jej i dziecku niejasnymi, ale okropnymi konsekwencjami. I nie jest to niedorzeczny sen, z którego się ocknie; to rzeczywistość.

- Po prostu czarujące - rzekł doktor Beck, kiedy przy rzęsiстых oklaskach zapadła kurtyna i śpiewacy wyszli się kłaniać. - A teraz jakaś kolacja, prawda?

- Muszę wracać do dziecka, doktorze Beck.

- Wróci pani bardzo wcześniej do domu, obiecuję.

Zaprowadził ją do mieszczącej się w pobliżu restauracji, zatłoczonej, o przyćmionych światłach. Natalia słyszała o niej za dawnych czasów; o wiele za droga na kieszeń studencką, wymagała rezerwacji o dzień wcześniej. Niemieckimi gośćmi w mundurach byli tu łysiejący albo szpakowaci generałowie, a Francuzi wykazywali skłonność do brzucha i całkowitej łysiny. Rozpoznała dwóch polityków i sławnego aktora. Niektóre z kobiet były siwe i otyłe, ale po większej części znów były to prześliczne młode paryżanki, zabójczo wystrojone i tryskające wdziękiem.

Natalia poczuła mdłości od samego zapachu jedzenia. Beck radził jej spróbować łososa z Loary; to jedyne miejsce w Paryżu, gdzie go można obecnie dostać. Wymówiła się, prosząc o omlet, a gdy go podano, zjadła tylko kawałek, natomiast Beck pochłaniał swego łososa w spokoju i z apetytem. Wokół nich Niemcy, zamożni i dobrze ustawieni Francuzi oraz ich kobiety pałaszowali kaczkę, świeże ryby podawane w całości, pieczone; żłopiać wyborne wina, wyklócając się, śmiejąc, istni panowie świata. Przedstawiało to widok wprost niewiarygodny. Racjonowanie żywności w Paryżu było nader surowe. Gazety roiły się od artykułów i zjadliwie humorystycznych kawałków na temat braku żywności. W domu dla rekonwalescentów codzienna porcja budyniu, jaką dostawał Aaron, do której potrzebne było jajko, uchodziła za królewski luksus. Ale dla tych, którzy mieli wpływy albo pieniądze, przynajmniej w takiej dyskretnej oazie, Paryż nie przestał być Paryżem.

Natalia wypiła trochę białego wina, by opędzić się od namawiającego ją Becka. Jakież to niewybredne, pomyślała, co on robi: wystawne uraczenie jej, żeby zmięknęła, i równocześnie brutalna presja żądań, przez całą kolację ciągle powtarzanych przymilnym tonem. Jeszcze nie podano jedzenia, a on już wjechał znów na ten temat. Ledwie pojawili się w Lourdes, powiedziała, władze Gestapo w Paryżu chciały ich z miejsca aresztować jako Żydów, którzy z fałszywymi papierami uciekli z Włoch. Całe szczęście, że ambasador Otto

Abetz to człowiek kulturalny i pełen ducha. Tylko dzięki niemu pojechali do Baden-Baden. Doktor Abetz przeczytał skrypty radiowe doktora Jastrowa i wpadł w zachwyt. Doktor Abetz jest przekonany, że nie ma teraz innego sposobu na pozytywny wynik tej wojny niż to, by anglo-amerykańscy Alianci uświadomili sobie, iż Niemcy walczą za nich, walczą o cywilizację zachodnią z bestialskim imperializmem słowiańskim. Wszystko, co mogłoby posunąć do przodu sprawę porozumienia się z Zachodem, ambasador Abetz uważa za niesłychanie ważne.

To była ośłoda. A gorzka pigułka pojawiła się przy jedzeniu. Beck podał ją mimochodem, cmokając nad łososiem. Poinformował ją, że Gestapo nieustannie domaga się, aby ich aresztować. Tym z Gestapo ogromnie zależy na przesłuchaniu ich w sprawie przejazdu ze Sieny do Marsylii. Mimo wszystko, policjanci muszą robić swoje. Na razie doktor Abetz wciąż osłania doktora Jastrowa, rzekł Beck, ale gdyby go przestał osłaniać, Gestapo natychmiast ich zgarnie. Beck nie mógłby odpowiadać za to, co stanie się później, chociaż nie posiadałby się z rozpaczy. W tym przypadku szwajcarska ochrona dyplomatyczna tyle by znaczyła, co słomiany płot wobec pożaru. Szwajcarzy są w posiadaniu raportu o ich nielegalnej ucieczce z Włoch. Ze względu na niedwuznacznie przestępczy status Natalii i doktora Jastrowa Szwajcarzy byłiby bezradni. Ich tarczą i jedyną nadzieją jest doktor Otto Abetz.

- Cóż - powiedział doktor Beck po zaparkowaniu przed jej domem, kiedy wyłączał silnik. - Spodziewam się, że ten wieczór nie okazał się w końcu aż taki zły.

- Bardzo panu dziękuję za operę i za kolację.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mimo wszystkich pani przewrotności, pani Henry, muszę stwierdzić, że wygląda pani piękniej niż kiedykolwiek.

Na miły Bóg, czyżby i on chciał ją w dodatku podrywać? Odparła z współczuciem i chłodno: - Wszystko, co mam na sobie, jest pożyczone.

- La comtesse?

- Owszem, la comtesse.

- Tak przypuszczałem. Doktor Abetz będzie ode mnie oczekiwał sprawozdania z naszego wieczoru. Co mu powiedzieć?

- Proszę mu powiedzieć, że Wesele Figara sprawiło mi wielką przyjemność.

- Będzie tym zachwycony - rzekł Beck, przymykając oczy w uśmiechu - ale będzie też bardzo ciekaw, co pani uważa na temat audycji.

- To zależy od mego stryja.

- Pani sama nie odrzuca z góry tego pomysłu?

Natalia pomyślała z goryczą, o ile prostsze by to było - jakkolwiek ciarki ją przeszły - gdyby naprawdę chciał się z nią tylko przespać.

- Nie mam dużego wyboru, prawda?

Kiwnął głową, na twarzy pół ukrytej w cieniu miał wyraz zadowolenia. - Pani Henry, skoro pani to rozumie, wieczór nie był stracony. Bardzo bym chciał popatrzeć na pani uroczego chłopczyka, ale obawiam się, że już śpi.

- Och, od wielu godzin.

Beck przez długą chwilę w milczeniu uśmiechał się do niej, a potem wysiadł i otworzył jej drzwi.

W mieszkaniu było ciemno.

- Maman? - Głos całkiem rozbudzony.

Natalia zapaliła światło. Przy łóżeczku Louisa, na fotelu, starsza pani drzemała pod kocem. Louis siedział, mrugając i uśmiechając się radośnie, choć na twarzy miał ślady łez. Światło zbudziło staruszkę. Przeprasząc, że usnęła, wycłapała z pokoju ziewając. Natalia czym prędzej starła cały makijaż postrzępionym ręcznikiem i umyła sobie twarz mydłem. Podeszła do Louisa, objęła go i ucałowała. Przytulił się do niej.

- Louis, trzeba już spać.

- Oui, maman. - Od pobytu na Korsyce mówił do niej maman. Kiedy ułożył

się, opatulony w koc, zaśpiewała mu po żydowsku kołysankę, która w Marsylii stała się rytuałem w czasie usypiania i tak już pozostało:

Pod kołyską twą, Żydziatko me,
Biała kózka stoi, sianko je,
Handlować wybrała się z nami.

To twój fach, z tego żyj:

Rodzynki z migdałami.

Spij, Żydziatko me, śpij.

Louis przyśpiewywał jej sennie, zniekształcając po dziecięcemu żydowskie słowa:

Rožinkes mit mandlen.

Szłof, majn Jidele, szłof

Nazajutrz jedno spojrzenie na twarz Natalii powiedziało hrabinie, że wieczór w operze nie był jedynie przyjemnością. Kiedy Natalia postawiła przy biurku dwie torby z ubraniem, zapytała ją, jak się udało.

- Doskonale. Pani kuzynka była tak uczynna.

Co rzekłszy, Natalia w milczeniu poszła do swego pokoiku wypisywać karty katalogowe. Po jakimś czasie weszła hrabina de Chambrun i zamknęła za sobą drzwi. - Co się dzieje? - spytała przez nos, już całkiem nie jak francuska arystokratka.

Natalia zwróciła na nią udręczone oczy i nie odpowiedziała. Pograżona we mgle strachu bała się zrobić cokolwiek, nie wiedząc, jakie wokół mogą czyhać pułapki. Czy ta kolaboracjonistka jest godna zaufania? To pytanie oraz inne, tak samo trudne, całą noc nie dały jej zmrużyć oka. Hrabina usiadła na bibliotecznym stołeczku. - No już, obie jesteście Amerykankami. Gadaj.

Więc Natalia opowiedziała hrabinie de Chambrun całą historię. Długo to trwało. Mówiła w takim napięciu, że dwa razy straciła głos i musiała napić się wody z karafki. Hrabina słuchała nie odzywając się, z oczyma bystrymi jak u ptaka, i odezwała się, kiedy Natalia skończyła: - Powinniście natychmiast wracać do Baden-Baden.

- Z powrotem do Niemiec? Co to pomoże?

- Waszym najlepszym obrońcą jest charge d'affaires. Tuck jest zapalonym wyznawcą Nowego Ładu, ale kompetentny i twardy. Tutaj nikt was nie broni. Szwajcarów stać tylko na formalne gesty. Tuck będzie walczył. Może ich postraszyć Niemcami internowanymi w USA. Wy zaś jesteście w takiej sytuacji, że jak się coś stanie, na protesty będzie za późno. Czy stryj może już podróżować?

- Jak trzeba, to będzie mógł.

- Powiedz Szwajcarom, że chcecie wrócić do swojej grupy. Stryjowi brakuje kolegów dziennikarzy. Niemcy nie mają prawa tutaj was przetrzymywać. Działaj natychmiast. Powiedz, że chcesz od razu porozumieć się z Tuckiem i załatwić powrót do Baden-Baden. Albo ja to zrobię.

- To ryzykowne mieszać się w to, pani hrabino.

Wykrzywiając wargi jak wstążeczki w posępnym uśmiechu, hrabina wstała. - Idziemy pogadać z hrabią.

Natalia z nią poszła. Zawsze to jakiś plan; inaczej nie widziała już wyjścia. Hrabina pozostała w szpitalu, Natalia zaś udała się do Victoria House. Aaron miał w sobie za mało życia, by jakoś gwałtowniej zareagować na wiadomość o Becku. Ze znużeniem potrząsnął głową i wymamrotał: - Nemesis. - Na propozycję powrotu do Baden-Baden odpowiedział, że zostawia to w ręku Natali; zrobią, co będzie najlepsze dla niej i Louisa. On czuje się dość silny na podróż, jeśli ona tak postanowi.

Gdy Natalia znowu spotkała się w szpitalu z hrabiną, jej małżonek był już po rozmowie z posłem szwajcarskim, który obiecał porozumieć się z Tuckiem i załatwić powrót do Baden-Baden, nie przewidując żadnych trudności.

I wydawało się, że nie było. Poselstwo szwajcarskie zatelefonowało

nazajutrz do Natalii w bibliotece z wiadomością, że wszystko w porządku. Niemcy zgodzili się na powrót, bilety na pociąg już są. Połączenia telefoniczne z Tuckiem w Baden-Baden są limitowane i trzeba się do niego dodzwaniać przez centralę w Berlinie, ale pewnie zdołają go zawiadomić, zanim Jastrow wyjedzie z Paryża. Tegoż popołudnia Szwajcarzy znów zatelefonowali: jest przeszkoda. Ambasador Abetz osobiście troszczy się o zdrowie sławnego autora i przyśle własnego lekarza, aby zbadał Jastrowa i stwierdził, czy stan zdrowia pozwala mu podróżować.

Usłyszawszy to, Natalia wiedziała, że sprawa jest przegrana. I rzeczywiście. Następnego dnia poselstwo szwajcarskie dało znać, że według niemieckiego lekarza Jastrow jest w bardzo złym stanie i przez miesiąc nie wolno go ruszać z miejsca. Więc ambasador Abetz uznał, że nie może brać na siebie odpowiedzialności za pozwolenie, aby Jastrow wyjechał z Paryża.

`ty

66

Twierdza Europa wykrusza się

`ty

(z eseju Hitler jako dowódca wojskowy, epilogu do dzieła generała Armina von Roona *Lądowe, morskie i powietrzne operacje II wojny światowej*)

Przypisek tłumacza: Epilog Armina von Roona daje żywy obraz Führera w akcji, zwłaszcza w momencie jego załamania. W tych wspomnieniach Roon ocenia Hitlera znacznie surowiej niż w analizie operacji. Jego niemiecki wydawca zaznaczył, że Roon szkicował te wspomnienia na łożu śmierci i już ich nie poprawiał.

Wspomnienia zaczynają się od słów:

W okresie przeszło czterech lat z bliska obserwowałem Adolfa Hitlera w Kwaterze Głównej. Keitel i Jodl, którzy mieli te same możliwości, zostali powieszani przez Aliantów. Większość generałów dobrze znających Führera albo została przez niego stracona, albo pochorowała się i zmarła z wyczerpania nerwowego, albo padła na polu bitwy. Nie spotkałem żadnych wspomnień wojskowych prawdziwie opisujących go jako człowieka. Książki Guderiana i Mansteina pomijają te aspekty osobiste milczeniem, co łatwo zrozumieć.

W mojej historii wojskowej oddałem sprawiedliwość jego zręczności i sile oddziaływania jako polityka, przedstawiłem też jego błyskotliwą umiejętność podejmowania w toku wojny decyzji strategicznych i taktycznych, szczególnie tych, które opierały się na zaskoczeniu. Stwierdziłem, że w szczytowym okresie wydawał się nam wcieleniem duszy niemieckiej. Wyraziłem także swe przekonanie, że to jego poważne błędy jako głównodowodzącego doprowadziły do katastrofy.

W przeciwnościach coraz to bardziej odsłaniał się jako podła i wstrętna osobowość. Charakter swój ujawnił w całej okazałości po próbie zamachu 20 lipca 1944. Ktokolwiek siedział obok niego, jak ja, i widział, jak ten osobnik rozkoszuje się i chichocze, i klaszcze patrząc na film pokazujący, jak wielcy generałowie niemieccy, moi czcigodni zwierzchnicy i przyjaciele, wiszą nago dusząc się w pętlach ze strun fortepianowych, jak oczy im wyłaża z plamistych twarzy, jak wywalają fioletowe języki, a krew, moczu i kału spływają po ich konwulsyjnie podrygujących ciałach, ten nigdy już nie mógłby czuć dla Adolfa Hitlera niczego prócz obrzydzenia.

Jeśli Niemcy kiedykolwiek mają się znów podźwignąć, musimy wykorzenić te polityczne i kulturalne słabości, które sprawiły, że daliśmy się takiemu człowiekowi poprowadzić do klęski, hańby i podziału. Dlatego nakreśliłem ten nie oszczędzający go opis osoby Führera, jakim go widziałem w jego Kwaterze Głównej.

Bardzo to dalekie od panegiryków Roona, zawartych w pierwszym tomie jego *Lądowych, morskich i powietrznych operacji*, jak na przykład: "Romantyczny

idealista, porywający przywódca, który wyśnił podniosłe marzenia o nowych wyżynach i głębiach ludzkich możliwości, a równocześnie zimny jak lód rachmistrz o żelaznej sile woli, był duszą Niemiec".

Roon jak gdyby zdecydował się przed śmiercią wyłożyć na stół prawdę o Hitlerze. A może był życzliwiej do niego nastawiony, gdy pisał o latach zwycięskich; potem, w miarę pracy nad drugim tomem, przypominała mu się gorzka klęska. Tak czy owak ten epilog jest przyszczaćym wizerunkiem Hitlera i pełnym werwy podsumowaniem wojny. Mój przekład Całopalenia świata kończy się fragmentami, dającymi zarys wojny aż do jej końca.

(V.H.)

`ty

Tunis i Kursk

`ty

Tak zwana "Twierdza Europa", będąca urojeniem Hitlera i wyłącznie propagandową blagą, zaczęła się jawnie kruszyć w lipcu 1943 roku, gdy Armia Czerwona zdruzgotała naszą wielką ofensywę letnią pod Kurskiem, Anglo-Amerykanie wylądowali na Sycylii i nastąpił upadek Mussoliniego.

Te klęski wynikły bezpośrednio z dwóch najogromniejszych i po tępacku upartych nieudolności Hitlera: ze Stalingradu i Tunisu. Kiedy wróciłem z mej podróży inspekcyjnej do Tunezji, powiedziałem Hitlerowi, że Rommel ma słuszość; że nasze sukcesy w walce z zielonymi jeszcze Amerykanami na przełęczy Kasserin były efemeryczne; że na dalszą metę nie moglibyśmy zaopatrywać trzystu tysięcy żołnierzy włoskich i niemieckich zza morza, opanowanego przez floty nieprzyjacielskie. Ale Göring beztrąsko zapewnił Hitlera, że Tunis jest "o jeden skok" oddalony od Włoch i że Luftwaffe będzie stale zaopatrywać te armie. Jakkolwiek haniebnie Göring zawiódł mimo identycznych przechwałek pod Stalingradem, Hitler przyjął to za dobrą monetę i dalej pchał wojska do Afryki Północnej, kiedy powinien ewakuować te, które już się tam znajdowały. Gdyby przerzucił wszystkie te wojska do Włoch jako rezerwę operacyjną, mógłby wyprzeć Aliantów z Sycylii i utrzymać Włochy w stanie wojny. Po upuście krwi w Tunezji nigdy już nie przyszedliśmy do siebie na południu.

Ofensywa pod Kurskiem była tak samo niefortunna. Mój syn Helmut zginął tam 7 lipca, dowodząc batalionem czołgów u Mansteina. Był to łagodny intelektualista, który może nigdy nie stałby się zawodowym żołnierzem, gdyby nie przykład ojca. Poległ za Niemcy w gigantycznej i daremnej operacji "Cytadela", w której wyzionęła ducha niemiecka inicjatywa strategiczna.

Jak Guderian i Kleist, ja też byłem przeciwny "Cytadeli". Nie ulegało wątpliwości, że Anglo-Amerykanie wkrótce ruszą gdzieś do ataku na kontynent, więc powinniśmy wstrzymać się od akcji zbrojnej, gotowi do ruchu, póki nie będziemy wiedzieli, skąd nadejdzie cios. Rozsądek nakazywał wyprostować nasze linie na wschodzie, zgromadzić silne odwody, pozwolić Rosjanom na uderzenie i wtedy zmiażdżyć ich w kontrataku, tak jak zrobiliśmy pod Charkowem. Manstein był mistrzem takiego uderzenia z bekhendu (Po niemiecku aus der Rückhand schlagen: termin wojskowy zapożyczony z gry w tenisa) i może wystarczyłaby druga podobnie krwawa porażka, by Sowiety okazały się bardziej ustępliwe w tajnych pertraktacjach pokojowych. Rosjanie byli tym zainteresowani, lecz ich żądania nadal okazywały się zbyt buńczuczne i nie dość realistyczne. Hitler niewątpliwie chciał odnieść pod Kurskiem wielkie zwycięstwo, aby poprawić swoją pozycję przetargową u Stalina.

Ale Manstein i Kluge zakochali się w planie "Cytadela". Jak aktor, gdy mu zaproponują główną rolę w złej sztuce, przyjmie ją w nadziei na sukces, tak i generałom zwracają niekiedy w głowie plany operacji na wielką skalę, którymi mają dowodzić. Na zworniku naszego frontu, między Południową Grupą

Armii Mansteina i Centralną Grupą Armii Klugego, Rosjanie w swoich zimowych kontratakach wdarli się głęboko na zachód wokół miasta Kursk. Manstein i Kluge mieli z północy i z południa wbić pancerne kleszcze w to wyrzucenie, zgarnąć mnóstwo rosyjskich jeńców, odwrotnie niż pod Stalingradem, a następnie ruszyć ku Bóg raczy wiedzieć jak wielkim zwycięstwom przez tę dziurę, wyrwaną w liniach sowieckich.

Uroczą wizja; tylko że brakowało nam środków.

Hitler uwielbiał wyliczać, ile to dywizji mamy do rozporządzenia w walce. Mieliśmy całe tłumy takich "dywizji", tylko że liczby ich były bzdurne. Prawie wszystkie poniżej stanu, a ludzie, których one straciły, to byli najlepsi żołnierze, ich głowica bojowa; pozostawał natomiast obwisły ogon administracji. Inne dywizje całkowicie unicestwiono i zostały z nich tylko nazwy na mapach i wykresach. Ale Hitler rozkazywał je "odtworzyć": i oto, dzięki tchnieniu jego ust, znowu istniały - w jego umyśle - te wyszkolone jednostki bojowe w pełnym składzie, ażeby on dalej mógł je trwonić nad Wołgą, na Kaukazie, w Tunezji. Tak wycofywał się do świata urojeń, w którym nadal był triumfotorem i panem całego kontynentu, dowodzącym najpotężniejszą armią na kuli ziemskiej. To wycofywanie się czyniło postępy, aż doszło do zwykłej paranoi. Ale z tego prywatnego świata urojeń, aż do kwietnia 1945 roku, nadal wydobywał się potok bezsensownych rozkazów, które żołnierz niemiecki musiał wykonywać na surowym i krwawym polu bitwy.

Co więcej, podczas gdy Wehrmacht się obsuwał, Armia Czerwona odżywała i rosła. Sowieccy generałowie od dwóch lat studiowali naszą taktykę. Dostarczane przez Lend-Lease amerykańskie ciężarówki, konserwy, czołgi i samoloty, wraz z nowymi rosyjskimi czołgami z fabryk za Uralem, wspierały realne, nie urojone, świeże dywizje, tworzone z niewyczerpanych rezerw ludzkich Rosji. Wywiad nasz informował o wszystkich tych czynnikach, działających przeciwko nam, lecz Hitler nie zwracał na to uwagi.

Mimo to atak na Kursk miał szanse powodzenia w maju, kiedy go zaplanowano, gdy Rosjanie, wyczerpani swymi kontratakami, jeszcze się nie okopali na tym klinie. Ale Hitler odłożył natarcie o sześć tygodni, aby wykorzystać w nim nasze najnowsze czołgi. Ostrzegałem Jodla, że przez to "Cytadela" trafi akurat w ramy czasowe prawdopodobnego lądowania Anglo-Amerykanów w Europie, ale jak zwykle zignorowano mnie. Rosjanie dobrze wykorzystali tę zwłokę, aby umocnić Łuk Kurski za pomocą pól minowych, okopów i stanowisk przeciwczołgowych, ściągając tam równocześnie coraz więcej wojska.

Nasz wywiad podawał liczbę pół miliona wagonów, które wjechały na obszar klina, dowożąc wojska i wyposażenie! W odpowiedzi na to Hitler kierował do "Cytadeli" coraz to liczniejsze dywizje i eskadry. Jak w amerykańskim pokerze, stawki tego hazardu piętrzyły się z obu stron, tak iż w końcu Hitler wpakował tam tyle czołgów, iloma posłużyliśmy się w całej kampanii 1940 roku na zachodzie. Wreszcie 5 lipca, kiedy nawet Manstein i Kluge zaczęli mieć poważne wątpliwości ze względu na dwa miesiące spóźnienia, Hitler rozpętał atak. Wynikła z tego największa na świecie bitwa czołgów i powietrzna, i całkowite fiasko. Nasze kleszcze miały dużo kłopotu z rosyjskimi pozycjami obronnymi i tłumem czołgów, posuwając się zaledwie o kilka kilometrów. Atak trwał już od pięciu dni i bardzo źle nam wychodził, na północy i na południu, gdy Alianci wylądowali na Sycylii.

Jak na to zareagował Hitler? Na zwołanej w pośpiechu konferencji ogłosił, z wyrazem ogromnej uciechy, że ponieważ Anglo-Amerykanie dali mu wreszcie okazję do zmiżdżenia ich na Morzu Śródziemnym, gdzie jest "prawdziwa widowia dla decydujących posunięć", zatem "Cytadela" zostaje odwołana! Taki był jego sposób na wykręcenie się z fuszerki. Ani słowa przeproszenia, ubolewania albo przyznania się do błędu. Osiemnaście z najlepszych dywizji pancernych i zmotoryzowanych, jakie nam jeszcze pozostały, siła uderzeniowa nigdy już nie dająca się niczym zastąpić, która powinna być oszczędzana

jako bezcenna rezerwa operacyjna, zmarnowana została w bitwie pod Kurskiem gwoli sennego echa wielkich kampanii letnich minionego czasu. Na "Cytadeli" skończyły się niemieckie ofensywy. Wszelkie ataki, jakie podejmowaliśmy do końca wojny, były już wyłącznie taktycznymi kontratakami dla opóźnienia klęski.

Hitler wnet przekonał się, że nie można po prostu "odwołać" wielkiej ofensywy. Pozostał jeszcze drobny problem: nieprzyjaciel. Rosjanie odpowiedzieli uderzając w obie strony z Łuku Kurskiego i w przeciągu miesiąca zdobyli dwa kluczowe punkty naszego frontu wschodniego: Orzeł i Biełgorod. Począwszy od "Cytadeli" cały nasz front z wolna i nieubłaganie wykruszał się pod rosyjskim natarciem, które zatrzymało się dopiero na Bramie Brandenburskiej. O ile Stalingrad był przełomowym punktem na wschodnim froncie w aspekcie psychologicznym, o tyle Kursk stał się punktem zwrotnym pod względem militarnym.

Nie miejsce tu na wyrażanie uczuć po śmierci mojego syna. Zginął w natarciu na Kursk. Następnie miliony niemieckich synów miały zginąć w odwrocie, aby tacy ludzie jak Hitler i Göring zachowali na razie swe głowy.

`ty

Upadek Mussoliniego

`ty

W tym czasie moja inspekcyjna podróż na Sycylię i do Rzymu przekonała mnie, że Włochy lada chwila wypadną z wojny albo przejdą na drugą stronę. Widziałem, że musimy ograniczyć swe straty i utworzyć silną linię obronną w Apeninach u północnego krańca włoskiego buta. Nic nie mieliśmy do zyskania, gdybyśmy się starali utrzymać Włochy. Ten naród od samego początku wojny był dla nas gigantycznym darmozjadem, który pochłaniał olbrzymie ilości niemieckich zasobów wojennych, nic nam za to dając. Front południowy był jak chroniczny wrzód. Tylko czeka się tu na Anglosasów, żeby zajęli i nakarmili Włochy, napisałem w podsumowaniu mego raportu; a nasze oswobodzone w ten sposób siły pomogłyby ustalić front wschodni i obronić zachodni.

Kiedy powiedziałem to Keitlowi w Berchtesgaden, przybrał pogrzebową minę i ostrzegł mnie, żebym nie śpiewał z tego tonu. Ale ja się już nie przejmowałem. Mój jedyny syn zginął. Byłem poważnie chory na nadciśnienie. Przeniesienie z Kwatery Głównej na front wydawało mi się czymś pożądanym.

Przedstawiłem więc na odprawie taki obraz, jaki widziałem. Alianci mają całkowitą przewagę powietrzną na Sycylii, a Palermo jest zrównane z ziemią. Sycylijskie dywizje, mające bronić swej wyspy, rozpływają się bez śladu gdzieś na wsi. W obsadzonym przez Niemców rejonie Sycylii ludność cywilna przeklina i opluwa naszych żołnierzy. Rzym wygląda, jakby już nie było tam żadnej wojny, bo na ulicach prawie nie widać żołnierzy. Nasze oddziały niemieckie nie rzucają się w oczy, a Włosi masowo pozbywają się mundurów. Od marszałka Badoglio usłyszałem tylko wymijające odpowiedzi na temat sprowadzenia do Włoch większej liczby dywizji niemieckich, a Włosi umacniają swoje fortyfikacje w Alpach, co może być skierowane jedynie przeciwko Niemcom. Taki raport o aktualnej sytuacji przedstawiłem Hitlerowi.

Słuchał mnie z głową wciśniętą w ramiona, łypiąc na mnie spod siwiejących brwi, od czasu do czasu krzywiąc jedną stronę ust w pół uśmiešku, pół wyszczerzeniu, które zniekształcało mu wąs, obnażało zęby i wyrażało najgłębsze niezadowolenie. Jedyne komentarz, jaki wygłosił, to że "we Włoszech musi być jeszcze trochę cennych ludzi, nie mogą wszyscy być tak zepsuci". Co się tyczy Sycylii, wpadł na pomysł, że sam obejmie na niej dowodzenie. Oczywiście nie sprawiało to najmniejszej różnicy.

Jednak raport mój widocznie dotarł do jego świadomości, bo urządził spotkanie z Mussolinim. Odbyło się ono w wiejskim domu na północy Włoch,

kilka dni przed upadkiem Il Duce, i wypadło wręcz przygnębiająco. Hitler nie miał nic nowego do zaproponowania Mussoliniemu, który wyglądał na chorego i zniechęconego, i jego sztabowi. Godzinami wyrzucał z siebie krzepiące statystyki na temat siły ludzkiej, surowców, produkcji broni, szczegółów jej ulepszonych albo nowych rodzajów, natomiast Włosi spoglądali po sobie wyrazistymi, żalonymi, ciemnymi oczyma. Na ich twarzach wypisany był koniec. W czasie spotkania Mussolini otrzymał meldunek, że Alianci dokonują pierwszego nalotu na Rzym. Wręczył go Hitlerowi, który ledwie spojrzął i znów zaczął się przechwalać rosnącą produkcją broni i jej cudownymi, nowymi rodzajami.

Po upadku Mussoliniego w Kwaterze Głównej rozgrywały się potworne sceny. Hitler nie posiadał się z furii, ryczał i szalał na temat zdrady włoskiego dworu i Watykanu, i faszystowskich przywódców, którzy pozbawili Mussoliniego urzędu. Straszne były jego ordynarne wyzwiska i pogroźki. Wykrzykiwał, że weźmie Rzym siłą i jak złapie "to łajdactwo, tę swołocz" - miał na myśli króla Wiktora Emanuela, rodzinę królewską i cały dwór - to każe im czołgać się i pełzać na brzuchu. Zajmie Watykan i "oczyści z tej zgnilizny, tych klechów", rozstrzela kryjący się tam korpus dyplomatyczny, zgarnie wszystkie tajne dokumenty, a później powie, że była to wojenna pomyłka.

Ciągle próbował dodzwonić się do Göringa. "To jest lodowaty facet - mówił. - Lodowaty. W takich wypadkach człowiekowi potrzebny jest ktoś lodowaty. Dajcie mi Göringa, mówię! Twardy jak stal. Dużo ciężkich rzeczy z nim razem przeszedłem. Lodowaty z niego facet. Lodowaty". Przybył z pośpiechem Göring, ale wszystko, co zrobił, to że zgadzał się z każdym słowem Hitlera, posługując się plugawym językiem i marnymi dowcipami. Na tym polegała jego lodowatość.

Ukuto w naszym Dowództwie Naczelnym Wehrmachtu ze sto planów, doraźnych decyzji i posunięć, zmierzających do tego, aby zapobiec wycofaniu się Włochów z wojny, przynajmniej przez tyle czasu, ile potrzeba, żebyśmy pokojowo wprowadzili tam dostateczną ilość niemieckich wojsk i przejęli ten kraj. Hitler spędzał czas gorączkowo obmyślając zamach stanu w Rzymie, aby przywrócić do władzy Mussoliniego, co było niewykonalne i z czego zrezygnował; i planując desant spadochroniarski dla oswobodzenia uwięzionego Duce, co się udało wykonać i może sprawiło, że obaj się lepiej poczuli, ale nic z tego nie wynikło. W gruncie rzeczy rozesłane na cały świat zdjęcie, na którym ślicznie umundurowany Hitler wita kulącego się, płaszczącego, byłego Duce w fatalnie leżącym czarnym płaszczu i opuszczonym z jednej strony czarnym kapeluszu, z mdłym uśmiechem na białej twarzy, głośniejszy od wszelkich nagłówków obwieszcza, że sławna Oś jest martwa i że "Twierdza Europa" skazana jest na zagładę.

`ty

Mój awans

`ty

Wszystko to razem odniosło ten zaskakujący i niepożądany skutek, że przywróciło mnie do łask Hitlera. Stwierdził, że przejrzałem tych włoskich zdrajców wcześniej niż ktokolwiek inny, że "pocziwy Armin ma łeb na karku" itd. Dowiedział się też o śmierci Helmuta i przybrał tragiczny wyraz twarzy, składając mi kondolencje. Wychwalał mnie na odprawach i - rzadki wypadek w tych czasach, jeśli chodzi o oficera ze Sztabu Generalnego - zaprosił mnie na kolację. Oprócz mnie gośćmi jego byli tego wieczora Speer, Himmler i jakiś przemysłowiec.

Było to żalodne doświadczenie. Hitler gadał chyba z pięć godzin bez przerwy. Nikt inny się nie odezwał, chyba że zdawkowo mu przytakując. Wszystko to była nadęta mieszanina historii z filozofią, obficie doprawiona wypowiedziami o Żydach. W gruncie rzeczy z Włochami jest ten kłopot,

powiedział, że Kościół wyzarł, niczym rak, szpik kostny tego narodu. Chrześcijaństwo to po prostu chytra żydowska intryga, żeby zdobyć panowanie nad światem, wynosząc słabość ponad siłę. Jezus nie był Żydem, tylko bękartem po rzymskim żołnierzu. Paweł to największy szwindlarz żydowski wszystkich czasów. I tak dalej... ad nauseam. Pod koniec wieczoru uczynił kilka interesujących spostrzeżeń o Karolu Wielkim, ale byłem już zbyt oziębiały, żeby na nie zwrócić uwagę. Wszyscy tłumili ziewanie. W sumie jego werbalne zadęcie było równie nieznośne jak wzdęcie fizyczne, któremu też dawał upust. Zapewne nie panował nad tą przypadłością, wskutek złego żywienia i nieregularnego trybu życia; jednak miejsce przy stole obok Führera trudno było uznać za przywilej. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób ktoś taki jak Bormann znosił to przez całe lata.

Więcej mnie już nie zaproszono, ale nadzieja, że uda mi się wymknąć z Kwatery Głównej do służby na froncie, spaliła na panewce. Jodl i Keitel rozpływali się teraz w uśmiechach na mój widok. Owszem, dostałem miesiąc urlopu zdrowotnego, więc udało mi się odwiedzić żonę i pocieszyć ją. Zanim wróciłem do "Wolfsschanze", Włochy się poddały i nasza dawno już planowana operacja "Alaryk" dla przechwycenia półwyspu była w toku.

Tak więc upływ naszych sił i zasobów na południe miał trwać do samego końca. Adolf Hitler nie mógł się pogodzić z polityczną porażką, jaką byłoby oddanie Włoch. Kiedy nasze armie upokarzały tam dużo silniejszych Anglosasów, zmuszając ich do mozolnego wdrapywania się po bucie z ciężkimi stratami, wszystko to było z wojskowego punktu widzenia okropnym błędem. Ten polityczny tępy egotyzm Hitlera, marnującego nasze siły na południu, kiedy moglibyśmy utrzymać Alpy zaledwie drobną częścią sił Kesselringa, prowadził do całkowitej klęski narodowej pod naporem od wschodu i od zachodu.

`ty

67

`ty

Choć wielokrotnie poddawała się namiętnościom, romantycznej miłości zaznała Pamela Tudsbury tylko jeden raz; i w sierpniu poleciała z Washingtonu do Moskwy, aby ostatni raz ujrzeć komandora Henry, męczycznę, którego pokochała taką miłością, zanim wyjdzie za kogoś innego.

W długi czas po tym, jak zrezygnowała z podróży do Związku Radzieckiego i w ogóle z dziennikarstwa, postanawiając udać się do New Delhi, gdzie przebywał Burne-Wilke, raptem nadeszła wiza. Zmieniła więc natychmiast trasę podróży tak, aby zajechać do Moskwy, i na usprawiedliwienie tej decyzji odłożyła nawet rezygnację z pracy w Observerze. Jakkolwiek z natury bardzo namiętna, Pamela myślała dość jasno i wiedziała już teraz bez cienia wątpliwości, że jej pisanie to tylko słabe echo tego, co robił jej nieżyjący ojciec. Łatanie jego artykułów, kiedy był chory albo zmęczony, to całkiem inna sprawa; ale napisanie czegoś nowego tak, aby pojawiła się w tym jego przenikliwość i werwa, było ponad jej siły. Nie była dziennikarzem, lecz jego duchem. Nie miała też złudzeń co do tego, po co wychodzi za Duncana Burne-Wilke. Jak próba zajęcia się dziennikarstwem, tak i ta decyzja wdarła się w pustkę, która pozostała po śmierci Gaduły. Oświadczył się jej w sprzyjającym momencie, gdy życie zamajaczyło przed nią smętne i puste. Był sympatycznym człowiekiem i wspaniałą partią, więc się zgodziła. Nie żałowała tego. Pomyślała, że może im być ze sobą nie najgorzej i że miała szczęście, okazując się dla niego atrakcyjna.

Po cóż więc zbaczała do Moskwy? Głównie ze względu na przypadkowe spotkanie z Rhodą Henry na różnych tańcach i przyjęciach, gdzie zwykle towarzyszył jej wysoki, siwy pułkownik armii. Rhoda odnosiła się do niej beztrudno i serdecznie, a do efektownego pułkownika - co uderzyło Pamelę - jak do swojej własności. Przed wyjazdem z Washingtonu Pam zatelefonowała do

niej, pomyślawszy sobie, że nie ma nic do stracenia. Rhoda wesoło powiadomiła ją, że Byron jest obecnie zastępcą dowódcy na swoim okręcie podwodnym; niech Pamela koniecznie przekaże tę wiadomość Pugowi i niech "powie mu, żeby uważał na swoją wagę!" Ani śladu zazdrości, niepokoju albo sztucznej słodyczy; zdumiewające. Co stało się w ich małżeństwie? Czyżby się tak absolutnie pogodzili, że Rhoda może robić, co jej się żywnie podoba? Czy też znowu zdradza Victora, albo szykuje się do tego? Pamela nie była w stanie tego rozgryźć.

Od czasu Midway nie dał jej znaku życia, nawet nie przysłał kondolencji z powodu śmierci ojca, o czym było głośno. Poczta w czasach wojny to rzecz niepewna. W swoim liście z Egiptu, pisząc o Duncanie Burne-Wilke, wręcz dopominała się o sprzeciw na jej zaręczyn; żadnej odpowiedzi. Ale czy otrzymał ten list przed zatonięciem Northamptona? Znowu nie miała pojęcia. Pamela chciała wiedzieć, jak się mają sprawy z Victorem Henry, a jedynym sposobem, żeby się tego dowiedzieć, było spotkanie się z nim oko w oko. Dodatkowe kilka tysięcy kilometrów podróży w czasach wojny, w środku lata, nie miało znaczenia.

Niby nic, a skrajnie wyczerpujące. Omal nie padła w samochodzie, który ambasada wysłała po nią na moskiewskie lotnisko. Wykończył ją ten lot z przystankami po całej Afryce Północnej, a potem trzy dni wyczekiwania w zakurzonym, rojącym się od much piekle Teheranu. Kierowca, mały Cockney w przepisowo czarnym garniturze, któremu jakby w ogóle nie doskwierał upał moskiewski, ciągle zerkał na nią w lusterku wstecznym. Jakkolwiek zmęczona podróżą, wysmukła narzeczona Lorda Burne-Wilke, tak nierosyjska i elegancka w białym płóciennym kostiumie i białym słomkowym kapeluszu, w oczach tęskniącego za krajem mężczyzny była w każdym calu przyszłą wicehrabiną i przeżywał to, że ją wiezie. Uważał za oczywiste, że jej dziennikarstwo to po prostu kaprys.

Moskwa wydała się zmęczonej Pameli jakby ta sama: płaskie szeregi obskurnych, starych budynków, wiele zostawionych na łaskę wiatru i deszczu w trakcie budowy, nie dokończonych z powodu wojny i opasłe balony zaporowe, wciąż jeszcze unoszące się na niebie. Zmiana była widoczna w ludziach. Kiedy ona i ojciec w pośpiechu wyjeżdżali stąd w 1941 roku, gdy Niemcy zbliżali się do miasta, a wszyscy notable pryskali do Kujbyszewa, opatuleni moskwianie tworzyli znękany i wynędzniały tłum, brnący po śnieżnych zaspach lub zajęty kopaniem rowów przeciwczołgowych. Teraz chodzili sobie w słońcu po chodnikach, kobiety w lekkich sukienkach z drukowanego perkalu, mężczyźni w sportowych koszulkach i spodniach, jeżeli nie w mundurze; a ładne dzieci biegały i bawiły się, beztrąsko hałasując, na ulicach i w parkach.

Wojna była daleko stąd.

Ambasada brytyjska, ładnie położona na brzegu rzeki, naprzeciw Kremla, była niegdyś rezydencją carskiego kupca, tak samo jak Dom Spasowa. Kiedy Pamela weszła od tyłu przez drzwi balkonowe, zastała ambasadora, jak rozebrany do pasa wylegiwał się w słońcu pośród stada białych, rozgdakanych kurcząt. Wytworne ogrody zamieniły się w ogromny warzywnik. Philip Rule, niedbale siedzący obok ambasadora na polowym stołku, wstał i oddał jej przesadny pokłon. - Aaach! Lady Burne-Wilke, jak sładzę?

Odpowiedziała oschle: - Jeszcze niezupełnie, Philipie.

Wstając, aby podać jej rękę, ambasador wskazał gestem na ogród. - Witaj, Pam. Widzisz tu pewne zmiany. Szansa regularnego jadańia w Moskwie zależy od tego, czy żywność rośnie na własnym podwórku.

- Wyobrażam sobie.

- Próbowaliśmy cię umieścić w Nacionalu, ale nie da się tam szpilki wetknąć. Znajdą dla ciebie pokój w przyszły piątek, a na razie zamieszkaś tutaj.

- Jestem ogromnie wdzięczna.

- A po co? - wtrącił się Rule. - Nie wiedziałem, że macie z tym jakiś problem. United Press właśnie zwalnia apartament w Metropolu. Salon ma hektar powierzchni, a wytworniejszej łazienki nie znajdziesz w całej Moskwie.

- Czy mi go dadzą?

- Chodź ze mną, to zobaczymy. Spacerkiem pięć minut. Dyrektor jest dalekim kuzynem mojej żony.

- Łazienka mnie przekonała - rzekła Pamela, przeciągając sobie dłonią po spoconym czole. - Chciałabym się moczyć przez tydzień.

Ambasador powiedział: - Rozumiem cię, Pam, ale przyjdź do nas koniecznie dziś wieczór na przyjęcie. To najlepsze miejsce do oglądania fajerwerków z okazji zwycięstwa.

W samochodzie Pam spytała Philipa: - Jakie zwycięstwo?

- No, przecież Łuk Kurski. Chyba słyszałaś.

- Kursk nie zrobił kariery w Stanach. U nas pisano głównie o Sycylii.

- No pewnie, typowe redaktorstwo jankeskie. Sycylia! Upadł dzięki niej Mussolini, ale pod względem militarnym to margines. Kursk to była największa bitwa pancerna w historii, Pam, prawdziwy przełom w tej wojnie.

- Czy nie stało się to kilka tygodni temu?

- Sam przełom, owszem. Ale kontratak wczoraj wdarł się do Orła i Białogrodu. To były kluczowe niemieckie punkty oporu, tak że szwabski front ma wreszcie przetracony kręgosłup. Stalin zarządził pierwszy w tej wojnie salut zwycięstwa: sto dwadzieścia salw artyleryjskich. To będzie naprawdę coś.

- W takim razie przyjdę na to przyjęcie.

- Ależ koniecznie.

- Padam z nóg, chcę spać i czuję się fatalnie.

- Wielka szkoda. Jutro Narkomindiel zabiera korespondentów prasy zagranicznej w objazd po polach bitw. Przez cały tydzień będziemy w biegu. Tego też nie możesz opuścić.

Pamela jęknęła.

- Nawiasem mówiąc, cała misja amerykańska przyjdzie do ambasady oglądać fajerwerki, ale komandor Henry będzie nieobecny.

- Ach tak? Więc go znasz?

- Oczywiście. Niski, atletyczny, około pięćdziesiątki. Trochę ponury, co? Wiele się nie odzywa.

- To on. Jest tu attache morskim?

- Nie, tę funkcję pełni komandor Joyce. Henry to specjalny łącznik wojskowy. Mówi się, że człowiek Hopkinsa w Moskwie. Teraz jest akurat na Syberii.

- I całe szczęście.

- Dlaczego?

- Bo wyglądam jak śmierć.

- Ależ, Pam, wyglądasz zabójczo. - Dotknął jej ręki.

Odsunęła się. - Jak twoja żona?

- Walentina? Chyba w porządku. Objeżdża front ze swoim zespołem baletowym. Tańczy na platformach kolejowych, na ciężarówkach, na pasach startowych, gdzie tylko może wykonać skok nie łamiąc sobie kostki.

Apartament w hotelu Metropol był taki właśnie, jak go Philip Rule opisał. W salonie znajdował się fortepian, perski dywan i stłoczone mnóstwo bardzo złych rzeźb. Zajrzawszy do łazienki Pamela krzyknęła: - Ale wanna! Będę pływać w niej tam i z powrotem.

- Bierzesz ten apartament?

- Oczywiście, bez względu na cenę.

- Załatwię to. A jeżeli dasz mi swoje dokumenty, zapiszę cię w Ministerstwie na objazd pół bitewnych. Zadzwoń do ciebie o wpół do jedenastej? Salwy i fajerwerki zaczynają się o północy.

Kiedy zdejmowała kapelusz przed ospowatym lustrem, stał za nią i przyglądał się, nie kryjąc podziwu. Rule zaczynał tyć, jasne włosy mu się bardzo przerzedziły, nos wydawał się większy i szerszy. Był dla niej przykrym wspomnieniem i niczym więcej. Od epizodu w ulewie podczas Wigilii w Singapurze nie znosiła, żeby jej dotykał, to wszystko. Wiedziała, że nadal mu się podoba, ale to był jego problem, nie jej. Trzymany na dystans, Philip Rule był nieszkodliwy, a nawet pożyteczny. Przypomniała sobie jego kwiecistą mowę na pogrzebie jej ojca w Aleksandrii: "Anglik z Anglików, reporter z reporterów, bard z legitymacją prasową, wyśpiewujący swój żałobny tren po Imperium w porywającym rytmie marsza triumfalnego". Odwróciła się i z wysiłkiem podała mu rękę. - Jestem ci bardzo wdzięczna, Phil. Bądź tu o dziesiątej trzydzięści.

`cp2

Pamela przywykła do tego, że mężczyźni ją rozbierają wzrokiem, ale ze strony kobiet było to coś nowego. Na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej Rosjanki oglądały ją od stóp do głów, od włosów aż do pantofli. Czuła się jak modelka, której płacą za to, żeby się wystawiała publicznie na baczne spojrzenia. Nie było w tym przyglądaniu się nic zjadliwego, ani śladu zamierzonej impertynencji, tylko natarczywa i tęskna ciekawość: i nic dziwnego, biorąc pod uwagę ich suknie wieczorowe; niektóre długie, inne krótkie, jedne bufiaste z falbankami, inne obcisłe, a wszystkie koszmarne skrojone i w ohydnych kolorach.

Niebawem otoczyli Pamelę mężczyźni: zachodni korespondenci, oficerowie i dyplomaci, rozkoszujący się widokiem szykownej kobiety z ich świata, i rosyjscy oficerowie w mundurach tak eleganckich, jak suknie ich kobiet były prostackie, w milczeniu przypatrujący się Pameli jak dziełu sztuki, którego wartość idzie w miliony. W długim pokoju z boazerią wcale nie było tłoczno mimo czterdziestu czy pięćdziesięciu gości, z których wielu skupiało się przy srebrnej bowli z ponczem, inni tańczyli na wolnej części parkietu przy amerykańskim jazzie puszczanym z płyt, reszta rozmawiała i śmiała się z kieliszkami w dłoni.

Wysoki, przystojny, młody oficer rosyjski, obwieszony medalami i bardzo rumiany na twarzy, przedarł się przez krąg stojących wokół Pameli i kulawa angielszczyzną poprosił ją do tańca. Skinęła głową, bo spodobały jej się jego śmiałość i jego uśmiech. Tańczył bardzo źle, jak i ona, ale oczarował ją widoczny na jego zdrowym, świeżym obliczu zachwyt, że obejmuje w pasie piękną Angielkę i to, z jak ogromnym respektem trzymał się od niej na przyzwoitą odległość.

- Co pan robi na wojnie? - spytała, siląc się, aby ułożyć to zdanie w swojej zardzewiałej ruszczyźnie.

- Ubiwaju germancew - odpowiedział, a następnie z wahaniem przetłumaczył:

- I... killing Chormans.

- Aha. To świetnie.

Kiwnął głową, szczerząc się w dzikim uśmiechu, z błyskiem oczu i zębów.

Philip Rule czekał na skraju parkietu z dwiema szklankami ponczu. Płyta się skończyła i Rosjanin z ukłonem przekazał mu Pamelę. - To jeden z ich słynnych dowódców od czołgów - rzekł Rule. - Walczył pod Kurskiem.

- Naprawdę? To prawie że chłopiec.

- Wojny toczone są przez chłopców. Gdyby politykom kazano wyjść i walczyć, jutro zapanowałoby wśród ludzi braterstwo.

Rule się obsuwa, pomyślała Pamela. Pięć lat temu nie wygłosiłby takiego frazesu, jak gdyby to była jakaś mądrość. Zaczęła się kolejna płyta: Lili Marleen. Spojrzeli sobie w oczy. Pameli ta piosenka kojarzyła się z Afryką Północną i śmiercią ojca. Rule powiedział: - Czy to nie dziwne? Jedyna przyzwoita piosenka żołnierska w całym tym krwawym holokauście: tandetna i płaczliwa szwabska ballada. - Wyjął jej szklankę z ręki. - Co u diabła,

Pamelo, zatańczmy.

- Och, no dobrze.

Dla Puga Henry, który akurat wszedł z ambasadorem Standleyem i jakimś generałem lotnictwa, Lili Marleen to była Pamela Tudsbury. Sentymentalna, aż nazbyt niemiecka melodia uchwyciła jakimś osobliwym przypadkiem gorzkosłodką istotę przelotnego romansu wojennego, cierpki sens tego, jak żołnierz kocha się po ciemku z kobietą przed wyruszeniem do bitwy; ten rodzaj kochania się, jakiego on i Pamela nigdy nie przeżyją. Wchodząc usłyszał, jak gramofon beczy blaszanym głosem:

Nie graj dziś, trębacz, Źe do szeregu czas, Niech miłość zamiast płaczu Tej nocy złączy nas. A potem żegnaj mi i cześć, Lecz to, co w sercu będę nieść, To ty, Lili Marleen, To ty, Lili Marleen.

Oczywiście osłupiał, natknawszy się na Pamelę. Więc ta wiza jednak dotarła! Zaskoczenie spotęgowało się przez to, że ujrzał ją w ramionach Philipa Rule. Victor Henry po cichu brzydził się tym człowiekiem ze względu na to, co stało się w Singapurze; jego reakcja właściwie nie wynikała z zadości, bo zrezygnował z marzeń o Pameli, jednakże widok ten wzbudził w nim tyleż niesmaku, co i zdumienia.

Widząc, jak przechodzi koło niej krępa postać w granatowym i złotym mundurze, Pamela domyśliła się, że ją zobaczył i poszedł dalej, ponieważ tańczyła z Philipem. Na litość Boską, pomyślała, dlaczego on musiał pojawić się w ten sposób? Dlaczego nam się nigdy nie układa? I od kiedy on tak posiwiiał? Wyrwała się i pośpieszyła za Pugiem, lecz on i wysoki generał z Korpusu Powietrznego Armii wmieszali się w tłum otaczający bowlę z ponczem i znikli w nim. Zawahała się, czy również się tam przepchać, i już miała to uczynić, kiedy światło kilka razy mrugnęło. - Za pięć minut północ - oznajmił ambasador, gdy rozmowy ucichły. - Teraz zaciemnimy pokój i odsuniemy zasłony.

Podnieceni goście unieśli Pamelę w kierunku otwartego okna z poręczą. Noc była gwiaździsta i dmuchał błogi, chłodny wietrzyk. Stała tam, wciśnięta między rozgadanych ludzi, nie mogąc się ruszyć, patrząc na czarny masyw Kremla za rzeką.

- Witaj, Pamelo. - W ciemności koło niej odezwał się jego głos, głos Victora Henry.

W tej chwili wystrzeliły w niebo rakiety i pękły w wielkim, purpurowym rozblysku. Zagrzmiały działa. Posadzka się pod nimi zatrzęsła. Zgromadzeni wydali radosny okrzyk. Zewsząd buchnął wulkanicznie nad miastem ogień zaporowy strzelaniny, nie fajerwerków pociski rozpryskowe, rakiety sygnalizacyjne, czerwone pociski smugowe, granaty rozrywające się oślepiająco i żółto, całe sklepienie z kolorowych ogni jak na polu bitwy, z hałasem, który omal nie zagłuszył grzmotu stu dwudziestu wielkich dział.

- Jak się masz. Coś ci to przypomina? - wytchnęła do ciemnej postaci u swego boku. Tak właśnie stali patrząc, jak bomby zapalające lecą na Londyn w 1940 roku, kiedy po raz pierwszy ją objął.

- Owszem. Ale to nie było święto zwycięstwa.

Bum... Bum... Bum...

Ogień wybuchał i jarzył się po całym niebie, oświetlając widmowo rzekę, sobór i Kreml. Między jednym a drugim grzmotem wielkich dział znów się odezwał: - Przykro mi z powodu twojego ojca, Pam, strasznie mi przykro. Dostałaś mój list?

- Nie. A ty dostałaś choć jeden z moich?

Bum...

- Tylko jeden, który napisałaś do mnie, kiedy byłem w Washingtonie, że się zaręczyłaś. Jesteś zamężna?

- Nie. Napisałam też inny, długi list, jeszcze na adres Northamptona...

Bum...

- Ten do mnie nie doszedł.

Salwy grzmiały i grzmiały, wreszcie ucichły. Zamarła erupcja ognia, zostały po niej rozwleczone po gwiazdach kłęбки czarnego dymu. W nagle zapadłej ciszy za oknem, na nabrzeżu, rozległ się brzęk i grzechot. - Wielki Boże, przecież to spada ładunek ze szrapnela! - krzyknął ambasador. - Proszę odejść od okien!

Kiedy zapaliły się światła, obok Puga stał generał z Korpusu Powietrznego Armii, wysoki, szczupły mężczyzna o jasnych, falistych włosach jak Burne-Wilke, z nieprzyjemnie oziębłym wyrazem twarzy. - Popisuje się artyleria przeciwlotnicza - rzekł. - Szkoda, że nie obrzucają nas równie szczerze przydatnymi na coś informacjami.

Pug przedstawił go Pamelii. Generał od razu przybrał miłszy wygląd. - Proszę! Trzy tygodnie temu byłem u Duncana Burne-Wilke w New Delhi. Właśnie dowiedział się o pani przyjeździe i był tym uszczęśliwiony. Teraz widzę dlaczego.

Uśmiechnęła się. - Dobrze się czuje?

- Jako tako. Ale CBI to niewdzięczny teren do prowadzenia wojny. Pug, lepiej wracajmy do tych map. Idę się pożegnać.

- Tak jest, Sir.

Generał odszedł. Pug odezwał się do niej: - Niestety mam go na głowie, Pam. Nie mogę się wyrwać. Chodzi o nowe trasy przelotowe dla dostarczania samolotów z Lend-Lease. Czy moglibyśmy się spotkać jakoś pojutrze?

Powiedziała mu o wyprawie pod Kursk. Twarz mu posmutniała, co trochę ją podniosło na duchu. - Cały tydzień? - powiedział. - To fatalnie.

- Spotkałam twoją żonę w Washingtonie. Miałaś od niej jakieś wiadomości?

- Och, tak, od czasu do czasu. U niej chyba wszystko w porządku. Jak wygląda?

- Świetnie. Kazała ci powtórzyć, że Byron został na swoim okręcie zastępcą dowódcy.

- Zastępcą! - Uniósł krzaczaste brwi. Jak włosy, tak i one nieco posiwiały, a twarz stała się grubsza. - To dziwne. Jest bardzo młody i do tego z rezerwy.

- Twój generał najwyraźniej chce iść.

- Widzę to.

Uścisnął jej dłoń po przyjacielsku. Chciała wczepić się w jego dłoń z całej siły, pokazać gestem to, co nie mogło znaleźć wyrazu w słowach. Ale w tym niefortunnym spotkaniu nawet i to mogłoby wyglądać na rażącą nielojalność wobec Duncana Burne-Wilke. Och, wszystko na nic, pomyślała; na nic, na nic!

- No, to do zobaczenia za tydzień - powiedział. - Jeśli znów nie wyjadę. Jak dotąd nic nie mam na rozkładzie.

- Tak, tak. Musimy sobie strasznie dużo powiedzieć.

- Rzeczywiście. Zadzwon do mnie, jak wrócisz, Pam.

`cp2

W tydzień później zatelefonowała do ambasady amerykańskiej, w kilka minut po tym, jak wróciła do swego apartamentu w Metropolu, który rozrzutnie zatrzymała i z góry opłaciła. Była pewna, że on tymczasem znów gdzieś wyjechał, że dalej będą się rozmijać, że cały ten wyskok do Moskwy skończy się na nieszczęsnej stracie czasu i upadku ducha. Ale zastała go i z głosu wynioskowała, że przyjemnie mu ją usłyszeć.

- Hallo, Pam. Jak się udało?

- Coś okropnego. Bez Gaduły to na nic, Pug. Co gorsza, mam już powyżej gardła zburzonych miast, rozbitych czołgów i porozrzucanych wszędzie śmierdzących trupów niemieckich. Mam dość fotografii, na których rosyjskie kobiety i dzieci wiszą rzędem na szubienicy. Mam dość całej tej obłąkanej i wstrętnej wojny. Kiedy się zobaczymy?

- Może jutro?

- Czy Philip Rule nie dzwonił do ciebie w sprawie dzisiejszego wieczora?
- Rule? - Głos jego stracił wyraz. - Nie dzwonił.

Powiedziała z pośpiechem: - Zadzwoń. Jego żona wróciła. Są jej urodziny, więc urządza dla niej przyjęcie w moim apartamencie. Będzie wielu korespondentów, kilka osób z ambasady, jej przyjaciele z baletu i tak dalej. Jeśli ci to nie odpowiada, chętnie się wymknę i spotkam się z tobą gdzie indziej.

- Nic z tego, Pamelo. Armia Czerwona wydaje bankiet pożegnalny dla mego generała. Zresztą też w Metropolu. Załatwiliśmy tę umowę, dla której on tu przyjechał.

- To cudownie.

- To się okaże. Rosyjska sztuka sporządzania umów czasami ociera się o surrealizm. Na razie musimy odwalić ten wielki jubel z jedzeniem i piciem: i nie mogę się od tego wykręcić. Zadzwoń do ciebie jutro.

- Cholera - rzekła Pamela. - Szlag by trafił.

Odpowiedział jej stłumiony śmiech. - Pam, wyrażasz się jak prawdziwy korespondent.

- Jeszcze nie wiesz, jak się umiem wyrażać. Dobrze, w takim razie do jutra.

`cp2

Żona Philipa Rule była tak piękna, że prawie nierzeczywista: doskonale owalna twarz, olbrzymie, przejrzyste, błękitne oczy, masa jasnych włosów, cudownie ukształtowane dłonie i ręce. Siedziała w kącie, prawie nie odzywając się i nie poruszając, bez cienia uśmiechu. Apartament był nabit do pełna, muzyka grzmiała, goście pili, jedli, tańczyli, ale w tym wszystkim nie czuło się prawdziwej uciechy, może dlatego, że solenizantka była tak jawnie przygnębiona.

Rosjanie mało że nie przejawiali baletowego wdzięku, tańcząc zachodnie tańce, ale byli wręcz słoniowaci. Pamela zatańczyła z jednym, którego widziała kiedyś jako księcia w Jeziorze Łabędzim. Miał on twarz fauna, piękną, czarną czuprynę i wspaniałą budowę, widoczną nawet w źle uszytym ubraniu; ale nie znał kroków i wciąż niezrozumiale przeproszał ją po rosyjsku. Tak mniej więcej wyglądało całe przyjęcie. Phil łykał wódkę za wódką, niezgrabnie obtańcowując jedną dziewczynę po drugiej i zmuszając się do głupawego śmiechu. Walentina zaczęła sprawiać takie wrażenie, jakby wolała umrzeć. Pamela nie mogła się zorientować, o co tu chodzi. Częściowo może to wynikać z rosyjskiej niezręczności w brataniu się z cudzoziemcami, ale musi też być jakieś napięcie między Philipem a jego bajkową pięknoscia, o którym Pameli nic nie wiadomo.

Komandor Joyce, amerykański attache morski, wesoły Irlandczyk o bystrym spojrzeniu, poprosił Pamelę do tańca. Kiedy ją objął, powiedziała: - Szkoda, że komandor Henry utknął na dole.

- Och, pani zna Puga? - rzekł Joyce.

- Bardzo dobrze. - Bystre oko błysnęło ku niej. Dodała: - On i mój ojciec przyjaźnili się.

- Ach tak. No, ten facet jest niebywały. Właśnie udało mu się zrobić coś nadzwyczajnego.

- Może mi pan o tym powiedzieć?

- Jeżeli nie napisze pani o tym w gazecie.

- Nie napiszę.

Mówiąc Pameli do ucha pod osłoną muzyki, kiedy szurali tu i ówdzie, Joyce wyjaśnił, że ambasador Standley już od wielu miesięcy bezskutecznie próbował ruszyć z miejsca sprawę syberyjskiej trasy przelotowej dla samolotów z Lend-Lease. W czasie swej poprzedniej wizyty w Związku Radzieckim, mającej na celu pchnięcie tej sprawy, generał Fitzgerald też nic nie wskórał. Tym razem Standley przekazał sprawę Pugowi i już jest

umowa. Znaczący to, że zamiast ciężkiej trasy okrężnej przez Amerykę Południową i Afrykę, z mnóstwem przymusowych lądowań, albo zamiast przewozu w skrzyniach drogą morską statkami, które U-Booty mogą zatopić, samoloty będą teraz docierać bezpośrednio, prostą i bezpieczną trasą. Skutkiem tego będzie mniej zwłoki, więcej dostaw i złagodzenie wielu nabrzmiałych konfliktów po obu stronach.

- A czy Rosjanie dotrzymają słowa? - zapytała Pamela, gdy muzyka ucichła i podeszli do stołu z bufetem.

- To się okaże. A na razie tam pod nami odbywa się prawdziwa uczta miłosna. Nikt jak Pug Henry nie potrafi zażywać tych twardzieli. - Pamela wymówiła się od wódki. Przełknawszy jej okazały kieliszek, Joyce zakaszała i spojrzała na zegarek. - Oho, już ich pewnie zaczynają wynosić z tego ubawu na dole. Może bym spróbował tu ściągnąć Puga?

- Och, proszę. Proszę.

Minęło około dziesięciu minut. Potem do pokoju wpadło czterech oficerów Armii Czerwonej w pełnej gali, a za nimi Joyce, Pug Henry i generał Fitzgerald. Jednym z Rosjan był olbrzymiej postury łyсы generał z mnóstwem orderów i sztuczną dłonią w skórzanej rękawiczce. Pozostali byli znacznie młodsi i nie wyglądali ani w części na tak wesołych jak generał, który wchodząc ryknął po rosyjsku: - Szczęśliwych urodzin! - Pomaszerował do żony Philipa Rule, nachylił się do jej dłoni, ucałował ją i poprosił do tańca. Walentyna uśmiechnęła się - po raz pierwszy, jak się wydało Pameli, i wyglądało to jak brzask na lodowatych szczytach - zerwała się i dała się objąć.

- Poznajesz go? - rzekł Pug do Pameli, kiedy ta para zatupotała na parkiecie pod melodię Praczki Boogie-Woogie.

- Czy to nie ten, który nas poczęstował kolacją w swojej kwaterze polowej, a później tańczył jak szalony?

- No właśnie. Jurij Jewlenko.

- Jak Boga kocham, temu facetowi nie brak napędu - rzekł z podziwem komandor Joyce. - A ten mały, zezowaty oficer z blizną to pewnie jego adiutant polityczny. Albo enkawudzista. Próbował go powstrzymać od wejścia na górę. Mamrotał coś o brataniu się z cudzoziemcami. Wiecie, co na to generał? Odpowiedział mu: "I co mi zrobią? Obetną mi drugą rękę?"

...A praczka Boogie-Woogie bierze i pierze...

- Zdaje mi się - odezwał się Pug do Pameli - jakbym już kiedyś słyszał ten kretyński wrzask. Zatańczymy?

- A musimy?

- Nie masz ochoty? Dzięki Bogu. - Splótł palce z jej palcami i zaprowadził ją na małą kanapkę. - W czasie wznoszenia toastów przyłapali mnie na mojej sztuczce z białym winem. Musiałem się znowu przestawić na wódkę i teraz się zataczam.

Kiedy tak Jewlenko wymyślnie przytupywał z rozpromienioną Walentiną, niektórzy z Rosjan zaczęli porzucać swoje drewniane fokstroty na rzecz Lindy Hop. Dużo lepiej pasowało to do ich sprężystych, tanecznych mięśni. Chociaż nikt by nie wziął ich za Amerykanów, niektórzy młócili całkiem fachowo.

Pamela odezwała się: - Wyglądasz na zupełnie trzeźwego. - Siedział sztywno i prosto w białym, galowym mundurze z błyszczącymi, złotymi guzikami i galonami naramienników, z tęczową wstęgą ugwieżdżonych baretek. Od wódki wzrok mu się ożywił i wystąpiły rumieńce. Nie zmieniło się w nim przez te czternaście miesięcy nic oprócz posiwiałych włosów i przybytku na wadze. - A propos, twoja żona kazała mi cię upomnieć, żebyś dbał o wagę.

- Och, tak. Ona mnie zna. Proszę, zrób mi piekło. Kiedy mam taką służbę jak teraz, to jem i piję. Na pokładzie Northamptona byłem chudy jak patyk.

Teraz już prawie wszyscy tańczyli, z wyjątkiem trzech młodych oficerów Armii Czerwonej, którzy z mroźnymi twarzami stali rzędem pod ścianą i

generała Fitzgeralda, który flirtował z piękną baletnicą w koszmarnej sukni z czerwonej satyny. Zrobiła się taka wrzawa, że Rule musiał przygłośnić muzykę.

Pamela niemalże wykrzyczała: - Victor, powiedz mi o Northamptonie.

- Dobrze. - Mówiąc o tym, co się stało na morzu po Midway, nawet o klęsce koło Tassafaronga, rozpalił się, albo jej się tak wydawało. Powiedział o stanowisku, jakie zaproponował mu Spruance i jak zamiast tego, na życzenie Roosevelta, przyjął tę pracę w Moskwie. Mówił bez rozgoryczenia i żalu, roztaczając przed nią swe życie, jakie było. Wokół nich kipiała zabawa, a ona siedziała zasluchana, bezgranicznie szczęśliwa, że jest przy nim, rozgrzana jego fizyczną obecnością, a także słodko nią poruszona. Tylko tego pragnie, myślała bez ustanku, tylko bliskości tego człowieka, do końca życia. Znowu poczuła się całkowicie żywa, bo siedziała z nim na kanapie. Nie był szczęśliwy. To stało się jasne. Czują, że mogłaby go uszczęśliwić i że wystarczyłoby to za usprawiedliwienie jej własnego życia.

Tymczasem gramofon umilkł, a Jewlenko i ci z baletu w podnieceniu omawiali coś, zgromadziwszy się wokół fortepianu. Jedna z dziewcząt usiadła do klawiatury i sygnęła ostrymi, pozbawionymi melodii dysonansami, które wywołały ogólny śmiech. Jewlenko zawołał: - Niczewo! Igrajcie! - Zabębniła jakąś rosyjską melodię, Jewlenko krzyknął rozkazująco i wszyscy Rosjanie, nawet ci trzej młodszy oficerowie, ustawili się i wykonali szybki taniec zbiorowy wszyscy pokrzykiwali, tupali, krzyżowali się, kręcili w kółko, a stojący wokół nich goście z Zachodu wyklaskiwali tempo i zachęcali ich okrzykami. Potem już lody zostały przełamane. Jewlenko zdjął kurtkę z orderami i w bluzie z widocznymi plamami potu wykonał taniec, ten sam, co w chacie przyfrontowej pod Moskwą, w przysiadach i wyskokach, przy ogólnym aplauzie; tylko uciętą rękę trzymał niezgrabnie i martwo. Następnie Walentyna doprowadziła wszystkich do wycia, ubrawszy się w jego kurtkę i improwizując mały, przewrotny taneczek, ukazujący parodię nadętego generała.

Znowu naradzano się chwilę w podnieceniu przy fortepianie, po czym Walentyna gestem uciszyła obecnych i z ożywieniem zapowiedziała, że ona i jej przyjaciele pokażą balet, przygotowany na objazd po frontach. Ona zatańczy Hitlera, inna dziewczyna Goebbelsa, trzecia Göringa i czwarta Mussoliniego, choć nie mają tu swoich masek. Czterej mężczyźni będą przedstawiać Armię Czerwoną.

Pug i Pamela przerwali rozmowę, aby obejrzeć tę satyryczną pantomimę. Czterej złoczyńcy paradowali przy wojskowej muzyce, odgrywając inwazję; pysznili się swoim zwycięstwem; kłócili się o podział łupów; wreszcie pobili się po błazeńsku. Wkracza Armia Czerwona, dumnie stąpając przy wtórze Międzynarodówki. Złoczyńcy wyrażają w ekstrawaganckim tańcu swe tchórzostwo i strach. Komiczna pogoń w kółko i w kółko. Śmierć czwórki złoczyńców; kiedy przewrócili się jeden po drugim, ich zgięte ciała utworzyły swastykę na podłodze. Szał na widowni!

Przy wtórze oklasków książę z Jeziora Łabędziego zdjął marynarkę i krawat, zrzucił obuwie i dał znak pianistce. W rozchełstanej białej koszuli, spodniach i skarpetkach wykonał zadziwiająco piękny taniec ze skokami i piruetami, które przyjmowano raz po raz okrzykami zachwytu. Był to kulminacyjny punkt, niemożliwy już do przeskoczenia, a przynajmniej tak się zdawało. Kiedy stał zadyszany i obsypywany pochwałami, wszystkim zaś dolewano wódki, fortepian wziął ostry akord. Na parkiet wystąpił prosty jak struna i z piersią w kolorowych baretkach generał Fitzgerald. Nie zdjął kurtki. Na jego rozkazujący znak z fortepianu popłynął szybki kazaczok; na co szczupły generał Sił Powietrznych kucnął i zatańczył w przysiadzie, z założonymi na piersiach rękoma, aż fruwała mu jasna czupryna, atletycznie wyrzucając długimi nogami, z przepisowymi wyskokami na boki. Była to wspaniała niespodzianka. Książę z Jeziora Łabędziego przysiadł obok

Fitzgeralda i dokończyli tańca w duecie, w zgiełku zachęcających okrzyków, tupocie i oklaskach.

- Podoba mi się twój generał - rzekła Pamela.

- Mnie się podobają ci ludzie - rzekł Pug. - Bywają nie do zniesienia, ale ich lubię.

Generał Jewlenko wręczył Fitzgeraldowi kieliszek wódki i stuknął się z nim. Opróżnili swe kieliszki wśród wielkiego aplauzu. Fitzgerald podszedł do stołu z bufetem przy kanapie, na której siedział Pug, i wziął dwie butelki wódki - nieduże, ale pełne - ze słowami: - Teraz za nasz Gwiazdzisty Sztandar, Pug. - Ruszył z powrotem i efektownie wyzywającym gestem wręczył Jewlence butelkę.

- A? Choroszyj czełowiek! - ryknął Jewlenko, którego wielka twarz i naga łysina były teraz barwy jaskrawo łososiowej.

Zachęceni przez wszystkich gości - z wyjątkiem, jak zauważył Pug, oficerka Armii Czerwonej z blizną, wyglądającego jak guwernantka, której nie usłuchano - dwaj generałowie przechylili do ust butelki, wpatrując się sobie w oczy. Fitzgerald wypił pierwszy i trzasnął butelką w głąb kominka. Butelka Jewlenki poleciała w ślad za tamtą. Objęli się wśród okrzyków uznania, dziewczyna przy fortepianie zaś bębnić zaczęła ledwie dające się rozpoznać Gwiazdy i pasy na zawsze.

- Jezusie, lepiej odprowadzę go do ambasady - rzekł Pug. - Tankuje, odkąd się tu pojawił.

Ale ktoś puścił z gramofonu Tiger Rag i Fitzgerald już tańczył z dziewczyną w czerwonej satynie, która w balecie okrutnie przedrzeźniała kulawego Goebbelsa. Jewlenko wyszedł na parkiet z Pamela. Minęła już druga rano, więc ten ostatni zryw tańca nie trwał za długo. Goście zaczęli się rozchodzić, przyjęcie już zamierało. Tańcząc jeszcze raz z księciem z Jeziora Łabędziego Pamela spostrzegła, że Pug, Jewlenko i Fitzgerald skupili się, nachyleni ku sobie, rozmawiając, a Rule się przysłuchuje. Zbudził się w niej przygasający instynkt reporterski, podeszła i usiadła obok Victora.

- W porządku. Bez owijania w bawełnę? - rzekł Fitzgerald do Puga. Dwaj generałowie siedzieli twarzą do siebie na sofach, wpatrując się jeden w drugiego.

- Bez! - warknął Jewlenko z niedwuznacznym gestem.

- Więc powiedz mu, Pug, że mam powyżej gardła tej gadaniny o drugim froncie. Trują mi o tym od kilku tygodni. A niby czym jest Afryka Północna i Sycylia, dwa największe w historii uderzenia z morza na ląd? Czym są naloty na Niemcy, po tysiąc samolotów na jeden raz? Czym jest cała wojna na Pacyfiku, gdzie my trzymamy Japsów, żeby im nie wbili noża w plecy?

- Za nasz Gwiazdzisty Sztandar - wymamrotał Pug, wywołując zimny uśmiech na twarzy Fitzgeralda. Przetłumaczył to i dalej tłumaczył, najszybciej jak mógł, podczas wymiany zdań, która teraz się wywiązała.

Kiedy Pug mówił, Jewlenko kiwał i kiwał głową, a twarz mu twardniała. Podsunął Fitzgeraldowi palec pod nos. - Koncentrować siły i uderzać w decydujący punkt! Schwerpunkt-bildung! Czy na West Point uczą tej zasady? Decydującym punktem są Niemcy hitlerowskie. Tak czy nie? Wasza droga do uderzenia w Niemcy hitlerowskie prowadzi przez Francję. Tak czy nie?

- Zapytaj go, dlaczego Rosja nie utworzyła przez cały rok drugiego frontu, kiedy Anglia w pojedynkę walczyła z Niemcami hitlerowskimi.

Jewlenko warknął do Fitzgeralda: - Tamtą wojna była kłótnią imperialistów o rynki światowe. Nie dotyczyła naszych chłopów i robotników.

Philip Rule, który przysłuchując się ciągle dolewał sobie wódki, odezwał się teraz nieco bełkotliwie do Fitzgeralda: - Czy powinien pan ciągnąć tę rozmowę?

- Może ją przerwać. On ją zaczął - uciał Fitzgerald. - Pug, zapytaj go, dlaczego mielibyśmy wypruć sobie kiszki, aby pomóc narodowi, który

zmierza do zniszczenia naszego sposobu życia.

- Och, Boże - wymamrotał Rule.

Jewlenko wytrzeszczał się coraz to bardziej wojowniczo. - Jesteśmy przekonani, że wasz sposób życia sam się zniszczy z powodu swoich sprzeczności wewnętrznych. My go nie zniszczymy, ale Hitler może to zrobić. Więc dlaczego nie współpracować z nami, żeby pobić Hitlera? W roku 1919 Churchill próbował zniszczyć nasz sposób życia. Teraz się go przyjmuje na Kremlu. Lenin powiada, że historia posuwa się krok za krokiem. Czasami naprzód, a czasami w tył. Teraz pora zrobić krok naprzód.

- Nie ufacie nam tyle, co brudu za paznokciem, więc jak możemy z wami współpracować?

Pug miał trudności z przetłumaczeniem "brudu za paznokciem", ale Jewlenko chwycił, o co chodzi. Zasztydził: - Tak, tak. Stara pretensja. No cóż, Sir, wasz kraj nigdy nie przeżył najazdu, a my ciągle i ciągle byliśmy najeżdżani i okupowani. Większość naszych sojuszników okazała się w perspektywie historycznej zdrajcami, prędzej czy później zmieniali front i atakowali Rosję. Nauczyliśmy się ostrożności.

- Ameryka nie zaatakuje Rosji. Nie macie nic takiego, co by nam było potrzebne.

- Otóż i my nie potrzebujemy od was niczego, kiedy pobijemy Hitlera, tylko żebyście nam dali spokój.

- Skoro tak, to możemy wypić strzemiennego? - rzekł Rule.

- Nasz gospodarz ma dosyć - rzekł Jewlenko, porzucając ostry ton dyskusji, ażeby raptem zwrócić się przyjaznym tonem, na stronie, do Fitzgeralda.

Rule zaczął wygłaszać kazanie po rosyjsku, z pijackimi gestami, a Pug przyciszonym głosem tłumaczył to na bieżąco Fitzgeraldowi. - Och, cała ta rozmowa wisi w próżni. Biała rasa znowu wdała się w ogromną wojnę domową. Sprawami ludzkimi, generale Jewlenko, rządzi rasa, nie ekonomia. Biała rasa jest świetna technicznie, ale prymitywna moralnie. Niemiec to biały człowiek w najczystszej postaci, nadczłowiek, Hitler co do tego ma zupełną rację. Biały człowiek, tak jak czerwonoskóry, skazany jest na zniknięcie z historii, tylko najpierw musi spustoszyć pół planety w swoich wojnach domowych. Bredzenie białego człowieka o demokracji też skończyło się, kiedy ta demokracja wybiera takie kreatury jak Chamberlain, Daladier i Hitler. Teraz kolej na Chiny. Chiny to Królestwo Środka, środek ciężkości gatunku ludzkiego. Jedyne w świecie liczące się, prawdziwy marksista żyje teraz w jaskini w Yenanie. Nazywa się Mao Tse-tung.

Rule wygłosił to z nieznośną, pijacką apodyktycznością, często spoglądając na Pamelę, gdy Pug tłumaczył.

Fitzgerald ziewnął i usiadł prosto, obciągając sobie bluzę i krawat. - Generale, czy moje samoloty będą mogły przelatywać przez Władystok, czy nie?

- Przestrzegajcie umowy ze swojej strony. A my jej będziemy przestrzegać z naszej.

- Jeszcze jedno. Czy znów dogadacie się z hitlerowcami, tak jak w 1939 roku?

Pug tłumacząc to poczuł się nerwowo, lecz Jewlenko odparł całkiem spokojnie: - Jeżeli zorientujemy się, że wy dogadujecie się do kolejnego Monachium, odpłacimy wam pięknym za nadobne: i dobrze wam tak. Ale jeśli będziecie walczyć, my też będziemy walczyć. Jeżeli nie będziecie, to my sami zmiażdżymy hitlerowców.

- W porządku, Pug. Teraz powiedz mu, że wyklócałem się do upadłego, jako planista wojenny, żeby zaniechać desantu w Afryce Północnej. Powiedz mu, że przez sześć miesięcy walczyłem o to, abyśmy utworzyli w tym roku drugi front we Francji. No jazda. Powiedz mu to.

Pug spełnił jego życzenie. Jewlenko wysłuchał, spojrział zmrużonymi oczyma

na Fitzgeralda i zacisnął usta.

- Powiedz mu, że Ameryka różni się od wszystkich innych krajów w historii i radzę mu w to uwierzyć.

Jewlenko zareagował tylko enigmatycznym uśmiechem.

- I spodziewam się, że jego tyrański reżim dopuści, aby jego naród sobie to uświadomił. Bo jest to na dalszą metę jedyna szansa utrzymania pokoju.

Uśmiech znikł, pozostała kamienna twarz.

- A pan, generale - rzekł Fitzgerald, powstając i wyciągając do niego dłoń - jest pierwszorzędnym facetem. Jestem pijany w trupa. Co niegrzecznego powiedziałem, to się nie liczy. Pug, odprowadź mnie do Domu Spasowa. Muszę się przedko spakować.

Jewlenko powstał, wyciągnął lewą rękę i powiedział: - Ja pana odstawię do Domu Spasowa.

- Naprawdę? To bardzo ładnie z pana strony. Przyjmuję w imię przyjaźni między Aliantami. Jeszcze się tylko pożegnaj z piękną solenizantką.

W apartamencie pozostali już tylko oficerowie Armii Czerwonej i Walentyna. Jewlenko warknął kilka słów do młodszych oficerów, na co ci zeszytywnieli. Jeden z nich zwrócił się do Fitzgeralda - w niezłej angielszczyźnie, jak zauważył Pug, po raz pierwszy tego wieczora - i generał lotnictwa wyszedł z nim. Walentyna dźwignęła Philipa, który siedział osunawszy się w głąb fotela, i potykającego się wyprowadziła. Pug, Pamela i generał Jewlenko zostali sami na gruzach zakończonego przyjęcia.

Jewlenko ujął lewą ręką dłoń Parceli ze słowami: -A więc wyjdzie pani za wicemarszałka lotnictwa Duncana Burne-Wilke, który ukradł nam czterdzieści samolotów Aircobra.

Pogubiwszy się w gramatyce, Pam odpowiedziała: - Generale, na tych Aircobrach zwalczamy jednego wroga.

- I jowo? - Jewlenko wskazał martwą ręką na Puga.

Powtórzyła jego gest, otwierając szeroko oczy: - Sprositie jowo!

Pug szybko powiedział coś do Jewlenki. Parcela przerwała: - No, no, o co tu chodzi?

- Mówię, że źle zrozumiał. Że jesteście starymi, dobrymi przyjaciółmi.

Jewlenko zwrócił się do Pameli, mówiąc powoli i wyraźnie po rosyjsku, wskazujący palec wbijając w ramię Puga: - Jest pani w Moskwie, moja droga, dlatego, że on załatwił dla pani wizę. Gienny - podjął, zapinając kurtkę pod szyję - nie bud' durakom!

I nagle wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Nie bud' durakom - nie bądź - czym? - spytała Pamela. - Co to jest durakom?

- Głupcem. Forma narzędnika.

- Aha. - Pamela wybuchnęła gardłowym, kobiecym śmiechem. Objęła go ramionami za szyję i pocałowała w usta. - Więc sprowadziłeś mnie do Moskwy dlatego, że jesteście starymi, dobrymi przyjaciółmi. - Zgniótł ją w uścisku, pocałował namiętnie, puścił. Podeszedł do okna i odsunął zasłony. Był dzień, wczesny rosyjski dzień w środku lata. W chłodnym blasku bałagan po przyjęciu wyglądał tym bardziej smutno i ponuro. Pamela podeszła i stanęła obok, spoglądając na chmury, lekko zarumienione od słońca. - Ty mnie kochasz.

- Nie zmieniam się zbyt. -

- Ja nie kocham Duncana. Napisałam ci o tym w liście wysłanym na Northampton. I on wie o tym. Wie o tobie. W tym liście prosiłam, żebyś albo mi odpowiedział, albo więcej się nie odzywał. Ale on do ciebie nie dotarł.

- Dlaczego wychodzisz za mężczyznę, którego nie kochasz?

- O tym również ci napisałam. Dość już miałam pływania, chciałam gdzieś wylądować. Teraz tym bardziej. Wtedy miałam przynajmniej Gadułę, a teraz nikogo.

Trwało to chwilę, zanim się odezwał. - Pamelo, kiedy przyjechałam do

domu, Rhoda zachowywała się jak Turczynka z haremu. Jak moja niewolnica. Pełna winy i skruchy, smutna sierota. Jestem pewien, że nie ma już nic wspólnego z tamtym człowiekiem. Nie jestem Bogiem. Jestem jej mężem. Nie mogę jej po prostu wyrzucić.

Pełna winy i skruchy! Smutna sierota! Jakże niepodobne to było do kobiety, którą Pamela spotkała w Washingtonie! Smutnym sierotą jest Pug, ma to wypisane na twarzy. A jeśli znów cię zdradza? Pamela miała to pytanie na czubku języka. Patrzyła w pobrużdżoną, uczciwą twarz i posępne oczy Puga, i nie była w stanie tego powiedzieć. - Więc jestem tutaj. Sprowadziłeś mnie tu. Czego chcesz ode mnie?

- Bo widzisz, Slotę napisał, że masz kłopoty z wiza. - Wpatrywała mu się w oczy, zwrócona do niego całą twarzą. - Dobrze, mam to powiedzieć? Chciałem, żebyś przyjechała, bo zobaczyć ciebie to szczęście.

- Nawet kiedy tańczę z Philipem Rule?

- To tylko przypadek.

- Phil nic dla mnie nie znaczy.

- Wiem.

- Pug, ale my mamy parszywe szczęście, co? - Oczy jej wypełniły się łzami, które nie spłynęły. - Nie mogę siedzieć w Moskwie tylko po to, żeby być w pobliżu. Nie chcesz się ze mną kochać, prawda?

Spojrzał na nią gorąco, gorzko, i odpowiedział: - Nie wolno mi się z tobą kochać. Ani tobie ze mną.

- W takim razie pojedę do New Delhi. Wyjdę za Duncana.

- Jesteś taka młoda. Po co to robisz? Znajdzie się mężczyzna, którego pokochasz.

- Boże wszechmogący, nie ma na to miejsca. Czy nie rozumiesz mnie? Jak wyraźnie mam to powiedzieć? Zainteresowania erotyczne Duncana idą w kierunku ślicznych, młodziutkich dziewczątek, których całe roje szaleją za nim, a mnie to, z grubsza biorąc, zdejmuję kłopot z głowy. On chce mieć panią swego życia, podchodzi do mnie bardzo serdecznie i romantycznie. Myśli, że jestem istotą porywającą i nadzwyczaj dekoracyjną. - Położyła obie dłonie Pugowi na ramionach. - Ty jesteś moją miłością. Uporałabym się z tym, gdybym mogła. Ale nie mogę.

Wzjął ją w ramiona. Słońce przedarło się przez niskie chmury i położyło złotą plamę na ścianie.

- Na miły Bóg, słońce już weszło.

- Po prostu trzymaj mnie w ramionach, Victorze.

Po długim, długim milczeniu odezwał się: - Może w słowach to się nie da tak dobrze wyrazić. Powiedziałaś, że mamy parszywe szczęście. Otóż ja dziękuję Bogu za to, co jest. To jego cudowny dar, co dla ciebie czuję, Pamelo. Zostań przez jakiś czas.

- Tydzień - odpowiedziała Pamela zdławionym głosem. - Postaram się zostać przez tydzień.

- Zostaniesz? Tydzień? To jakby całe życie. Teraz muszę iść i zapakować generała Fitzgeralda do samolotu.

Dotknęła pieszczotliwie jego włosów i brwi, pocałowała go. Wyszedł nie oglądając się. Wpatrywała przez okno, aż drobna, wyprostowana figurka w bieli pojawiła się w polu widzenia i znikła, energicznie krocząc po cichym, słonecznym bulwarze. Po głowie chodziła jej w kółko i w kółko melodia Lili Marlem i zastanawiała się, kiedy Pug się dowie, co dzieje się z jego żoną.

`ty

68

`ty

W dzikim wąwozie, wysoko w Karpatach, wątle światło przesiane przez żółknące liście ukazuje krętą ścieżynkę leśną, może wydeptaną przez myśliwych albo zwierzęta, a może to w ogóle nie ścieżka, tylko światło tak

pada przez drzewa. Kiedy słońce zachodzi i chmury nad głową czerwienieją, po ścieżce tej schodzi w dół grubo opatulona postać, niosąca ciężki pakunek i karabin przewieszony przez ramię. Jest to kobieta drobnej budowy, twarz ma dokładnie owiniętą w grubą, szarą chustę, oddech jej wydobywa się kłębami pary. Mija rozpruty od pioruna pień dębu i znika jak leśny duch, który się zapadł pod ziemię.

Nie jest to leśny duch, ale tak zwana leśna żona, kobieta partyzanckiego dowódcy; zeskoczyła do ziemianki przez otwór tak zamaskowany w krzakach, że gdyby nie rozpruty dąb, sama mogłaby go nie znaleźć w półmroku. Partyzancka dyscyplina nie pozwala na takie zbytki podwładnym, ale dla dowódcy kobieta, która z nim sypia, to symbol jego pozycji, tak samo jak nowy nagan, oddzielna ziemianka i skórzana kurtka. Major Sidor Nikonow ogromnie polubił Bronkę Ginsberg, którą na początku właściwie zgwałcił; nie tylko używa jej ciała, ale także wiele z nią rozmawia i słucha jej opinii. Właściwie czekał na nią z decyzją, czy zastrzelić podejrzanego, który leży związany w ziemiance kuchennej.

Ten człowiek zaklina się, że nie jest szpiclem, tylko żołnierzem Armii Czerwonej, że uciekł z obozu jenieckiego pod Tarnopolem i przyłączył się do oddziału partyzanckiego, który Niemcy później zlikwidowali. Zdołał uciec, powiada, i szedł górami na zachód, żywiąc się korzonkami i jagodami albo tym, co dostał od chłopów. Jego opowieść jest całkiem prawdopodobna, a on sam dostatecznie wychudły i obdarty; ale mówi po rosyjsku z dziwnym akcentem, wygląda, jakby miał ponad sześćdziesiąt lat i nie ma żadnego dowodu.

Bronka Ginsberg idzie mu się przyjrzeć. Skulony na ziemi w kącie ziemianki, bardziej udręczony zapachem gotującego się jada niż tym, że sznury wrzynają mu się w kostki i przeguby, Berel Jastrow rzuca jedno spojrzenie na jej twarz i postanawia zaryzykować.

- Ir zajt a jidische tochter, nejn? - (Jesteście córka żydowska, nie?)
- Richtik. Un wer zajt ir? - (Owszem. A wy kim jesteście?)

Galicyjski dialekt żydowski, twardo brzmiący, rozlega się w jego uszach jak śpiew. Na przenikliwe pytania Bronki udziela już prawdziwych odpowiedzi.

Dwaj brodaci kucharze, mieszający zupę w kotłach, spoglądają na siebie, słysząc żydowski szwargot. Bronka Ginsberg to dla nich stara historia. Dawno temu major wywlókł to stworzenie o wąskich ustach i ostrej twarzy z obozu rodzin żydowskich, wysoko w górach, żeby zajęła się rannymi. Teraz ta przeklęta żydowska suka rządzi tu wszystkim. Ale dobra z niej sanitariuszka i nikt się jej nie czepia. Zresztą Sidor Nikonow zastrzeliłby każdego, kto by na nią krzywo popatrzył.

Kiedy tak szwargoce po żydowsku ze szpiegiem, kucharzy przestaje to interesować. Skoro ten chłop to Żydłak, trudno, żeby był szpiegiem; więc nie wyprowadzą go do lasu na rozstrzał. Już ona tego dopilnuje. Szkoda. Niezła zabawa, jak błagają o litość. Kucharze to ukraińscy chłopci, ściągnięci do oddziału; w kuchennej ziemiance mają ciepło, najedzą się, nie muszą się narażać w czasie wypraw po jedzenie i wysadzania pociągów. Nie cierpią Bronki Ginsberg, ale wolą nie wchodzić jej w drogę.

Dlaczego, pyta Bronka Jastrowa, nie powiedział prawdę tym, którzy go złapali? Partyzanci wiedzą o masowych grobach; po co wymyślał tę bajkę o Tarnopolu? On spogląda na kucharzy i odpowiada, że ona chyba wie, jak zdradzieckie bywają te zapadłe ostępy na Ukrainie, jeszcze gorzej niż na Litwie. Banderowcy równie dobrze mogą zabić Żyda, jak nakarmić go i puścić w dalszą drogę. Ukraińcy w Oświęcimiu jako strażnicy zaliczali się do najgorszych. Więc wymyślił tę historię. W innych oddziałach partyzanckich wierzyli mu i dawali jeść. Dlaczego tutaj go związali jak psa?

Bronka Ginsberg wyjaśnia, że oddział rosyjskich żołnierzy, renegatów, dowodzony przez Niemców, tydzień temu przekradł się do wąwozu, aby

zniszczyć grupę Nikonowa. Jeden z nich oszukał Szwabów i dał znać partyzantom. Więc urządzili zasadzkę, wytlukli prawie wszystkich i od tej pory wyłapują tych, co przeżyli. Jastrow miał szczęście, powiada, że go nie zabili na miejscu.

Berel zostaje rozwiązany i nakarmiony. Później w ziemiance dowództwa powtarza swoją historię po rosyjsku; przesłuchują go major Nikonow i oficer polityczny, towarzysz Połczenko, zasuszony i z czarnymi zębami. Bronka Ginsberg siedzi przy nich i szyje. Oficerowie każą Benowi wypruć z podszewki jego płaszcz cienkie aluminiowe rurki z filmami. Przyglądają się im przy lampie naftowej, gdy rozpoczyna się nadawana z Moskwy wieczorna audycja Centralnego Sztabu Partyzanckiego. Odkładają rurki z filmami, żeby posłuchać. Z drewnianego pudełka, przez świst i skrzek, wydobywają się charkotliwie nie szyfrowane komunikaty i rozkazy, kierowane do różnych oddziałów, oznaczonych kryptonimami; a także radosne doniesienia o zwycięstwie na zachód od już odzyskanego Charkowa, o nalotach bombowych na Niemcy i o kapitulacji Włoch.

Wracają do sporu o Berla. Oficer polityczny jest za tym, żeby filmy odesłać do Moskwy najbliższym samolotem, który dostarcza im amunicji, a Żyda puścić wolno. Major Nikonow jest temu przeciwny; filmy przepadną gdzieś po drodze albo nikt nie będzie wiedział, o co w nich chodzi. Jeżeli filmy polecą do Moskwy, to Żyda należy wysłać razem z nimi.

Major nie cacka się z Połczenką. Politrucy w oddziałach partyzanckich to utrapienie. Większość tych oddziałów składa się z żołnierzy Armii Czerwonej, którzy zostali odcięci na tyłach wroga i poszli do lasu, aby przeżyć. Napadają na nieprzyjacielskie jednostki lub na posterunki żandarmerii, ażeby zdobyć jedzenie, broń i amunicję, albo mszcząc się za chłopów, ukaranych za pomaganie im. Lecz bohaterskie opowieści o partyzantach to po większej części propagandowa fikcja; ci ludzie na ogół zamienili się w leśne zwierzęta, dbające przede wszystkim o to, żeby przeżyć. Oczywiście nie odpowiada to Moskwie; i dlatego takich jak Połczenko przerzuca się drogą powietrzną do lasów partyzanckich, aby pobudzali do działania i pilnowali, czy rozkazy Centralnego Sztabu są wykonywane.

Tak się składa, że oddział Nikonowa jest akurat dzielny i przedsiębiorczy; ma spore osiągnięcia w sabotowaniu niemieckiego transportu. Sam Nikonow jest zawodowym oficerem Armii Czerwonej, który zawczasu myśli o swojej przyszłości, gdy losy wojny się odwrócą. Lecz Karpaty są daleko od Moskwy, Armia Czerwona zaś daleko od Karpat. Sowiecka biurokracja, której przedstawicielem jest czarnozęby, niewiele znaczy; tu rządzi Nikonow. Zauważa to Berel Jastrow, z niepokojem przysłuchując się ich rozmowie. Spierający się z dowódcą Połczenko robi to grzecznie, niemalże z uniżonością.

Bronka Ginsberg podnosi oczy znad szycia: - Obaj wygadujecie głupstwa. Po co się nim zajmować? Co on dla nas znaczy? Czy Moskwa prosiła o niego albo jego filmy? Wysłać go do obozu Lewina! Tam go nakarmią, a potem niech idzie do Pragi, czy do samego diabła. Jeżeli jego kontakt w Pradze ma dojść do Amerykanów, to może w New York Timesie napiszą o bohaterskim oddziale Sidora Nikonowa. Nie? - Zwraca się do Berla. - Nie powiedziałaśbyś dobrego słowa o majorze Nikonowie? I jego partyzanckim oddziale, który wysadza szwabskie pociągi i mosty po całej zachodniej Ukrainie?

- Przedostaną się do Pragi - mówi Berel - i Amerykanie dowiedzą się o brygadzie partyzanckiej Nikonowa.

Oddział majora Nikonowa to nie żadna brygada; wszystkiego czterystu ludzi, luźno związanych pod dowództwem Nikonowa. Podoba mu się ta wypowiedź.

- Dobrze, zabierz go jutro do Lewina - mówi do Bronki. - Weź muła. Ten człowiek ledwie żyje.

- Och, da radę wciągnąć swoje cielsko pod górę, nic się nie martw. Politrak krzywi się z niesmakiem, potrząsa głową i spluwa na ziemię.

Żydzi doktora Lewina, zbiegli z ostatniej masakry w Żytomierzu, przycupnęli w zrujnowanym obozie myśliwskim nad małym jeziorciem, niedaleko granicy słowackiej. Cieśle już od dawna ponaprawiali ciekące dachy zaniedbanych domków i głównego budynku, połatali ściany, zrobili okiennice, sklecili prymitywne meble i stworzyli mieszkalne schronienie dla tych, co przeżyli z może osiemdziesięciu rodzin, a których liczba znacznie zmalała od mrozu, głodu i chorób w czasie ich długiego marszu na zachód. Sidor Nikonow najechał tych Żydów, kiedy się tutaj pojawili, zabrał im większość jedzenia i broni, uprowadził też Bronkę. Po tym, jak ją zgwałcił, Bronka oświadczyła mu, że ludzie Lewina to rzemieślnicy, których dlatego Niemcy oszczędzili w Żytomierzu: elektrycy, cieśle, kowale, mechanicy, jeden rusznikarz, piekarz, zegarmistrz i tak dalej. Od tej pory partyzanci dostarczali Żydom jedzenia, odzieży, broni i amunicji - bardzo niewiele, ale dosyć, ażeby mogli przeżyć i obronić się przed napastnikami - w zamian za to Żydzi obsługiwali ich maszyny, wymyślali nowe rodzaje broni, robili prymitywne granaty, naprawiali im prądnice i urządzenia sygnalizacyjne. Okazali się bardzo użyteczni, jak batalion służby technicznej.

Spółka ta opłacała się jednym i drugim.

Pewnego razu, kiedy patrol SS, kierując się doniesieniem jakiegoś antysemitę z dołu, z podgórza, wspinał się w góry, aby wygarnąć Żydów, Nikonow ich ostrzegł. Rozpłynęli się w lasach, zabierając dzieci, starców i chorych. Niemcy zastali pusty obóz. Jeszcze byli zajęci rabowaniem wszystkiego, co można było zabrać, kiedy zaskoczyli ich ludzie Nikonowa i wszystkich wytłukli. Odtąd Niemcy już nie zapuszczali się tu w poszukiwaniu Żydów. Z drugiej strony, kiedy Nikonow się wypuścił, aby napaść na niemiecki transport wojskowy, banda ukraińskich renegatów natknęła się na jego ziemianki i po krótkiej, zajadłej walce z wartownikami podpaliła jego skład broni. Płonął przez kilka godzin i został po nim stos pokręconych, rozpalonych do czerwoności luf karabinowych. Żydzi wyprostowali te lufy, naprawili zamki, dorobili nowe kolby i z powrotem zaopatrzyli arsenał Nikonowa w tę broń, której można było poniekąd używać, zanim udało mu się zdobyć nowy jej zapas.

Takie historie Bronka Ginsberg opowiada Benowi, gdy wspinają się po górskiej ścieżce. - Sidor Nikonow to całkiem niezły człowiek, jak na goja - stwierdza z westchnieniem. - Nie taka dzika bestia, jak niektórzy. Ale mój dziadek był rabinem w Briańsku. Mój ojciec był prezesem organizacji syjonistów w Żytomierzu. A spójrz na mnie! Leśna żona, co? Dziwka Iwana Iwanowicza.

Jastrow mówi: - Jesteś eszet chail.

Idąca przed nim po ścieżce Bronka ogląda się na niego, jej ogorzała twarz się rumieni, oczy jej zwilgotniały. Eszet chail w Księdze Przypowieści Salomona znaczy "kobieta dzielna", największa pochwała religijna Żydówki, jaka istnieje.

O późnej godzinie tej nocy, w kręgu rady w obozie, jedyną kobietą jest Bronka Ginsberg. Pozostałe twarze wokół ognia, oprócz wygolonego doktora, są brodate, proste i posępne. - Powiedz im o łańcuchach - mówi Bronka. - I o psach. Niechaj sobie wyobrażą to wszystko.

Jastrow mówi do rady zarządzającej grupą doktora Lewina, która zasiadła wokół dużego, kamiennego kominka, gdzie płoną wielkie polana. Jej podpowiadanie pomaga mu. Bo pada ze zmęczenia po tej długiej wspinaczce, najadłszy się chleba i zupy.

Opowiada, jak to Żydzi u Blobela musieli pracować w łańcuchach od czasu, jak jego przyjaciel, wyrwawszy się, złapał pistolet maszynowy i zastrzelił kilku strażników z SS. Odliczono co czwartego w komandzie i powieszono ich; resztę łączono w grupy robocze, skuwając ich łańcuchami za szyje, do tego

każdy miał na kostkach u nóg kajdany. Liczbę psów podwojono.

Mimo to jego grupa przygotowywała się do ucieczki przez wiele miesięcy. Czekali na zbieg dwóch koniecznych warunków: rzeka w pobliżu i ciężka ulewa. Przez wszystkie te miesiące pracowali nad swoimi łańcuchami za pomocą śrubokrętów, kluczy, oskardów i innych narzędzi, wykradanych z odzieży umarłych. Bez względu na to, jak byli chorzy, pobici, przerażeni, wszyscy wiedzieli, że czas na ich zastrzelenie i spalenie już dawno minął, więc nawet i najsłabsi z nich byli gotowi do podjęcia tej próby.

Okazji dostarczył im urwisty brzeg nad Seretem i burza, która wybuchła tuż przed zachodem słońca, w lasach pod Tarnopolem. Dopiero co podpalono tysiąc trupów spiętrzonych na dwóch rusztowaniach, z drewnem i olejem odpadowym. Oberwanie chmury sprawiło, że gęste, mroczne chmury śmierdzącego dymu buchnęły na SS-manów, którzy cofnęli się wraz ze swoimi psami. W dymie i ulewie grupa Jastrowa zrzuciła swe łańcuchy, rozproszyła się w lasach i ruszyła w kierunku rzeki. Złaząc i osuwając się po urwisku Jastrow usłyszał psy, krzyki, wystrzały i wrzaski; ale dotarł do wody i zanurzył się w niej. Dał się unieść prądowi daleko w dół rzeki, wreszcie po ciemku wyczołgał się na przeciwny brzeg. Następnego ranka, brnąc po omacku przez gąszcz ociekającego deszczem lasu, trafił na dwóch innych zbiegów, polskich Żydów, którzy kierowali się do swych miast rodzinnych w nadziei, że tam znajdą jadło i schronienie. Co do reszty, spodziewa się, że może połowa z nich zdołała uciec, ale już ich nie spotkał.

- Masz jeszcze te filmy? - pyta go doktor Lewin, czarnowłosa mężczyzna po trzydziestce, z okrągłą twarzą, ubrany w połatany mundur Wehrmachtu. Okulary bez oprawki i łagodny uśmiech nadają mu wygląd raczej miejskiego intelektualisty niż przywódcy zgromadzonych przy ogniu straceńców. Według Bronki jest ginekologiem i dentystą. W górskich osadach i wsiach na równinie chłopcy lubią doktora Lewina: przyjeżdża on z bardzo daleka, żeby leczyć ich chorych.

- Tak, mam.

- Pozwolisz, żeby Efraim je wywołał? - Lewin wskazuje kciukiem na mężczyznę z długim nosem i rudymi bokobrodami, które jeżą mu się na całej twarzy. - Efraim to nasz specjalista od fotografii. A także profesor fizyki. Wtedy będziemy je mogli obejrzieć.

- Dobrze.

- W porządku. Kiedy się wzmocnisz, zostaniesz wysłany do ludzi, którzy cię przeprowadzą przez granicę.

Mężczyzna z rudymi bokobrodami pyta: - Czy na zdjęciach są krematoria?

- Nie wiem.

- Kto je robił? I czym?

- W Oświęcimiu są tysiące aparatów fotograficznych. I góry filmów. - Zmęczony Berel odpowiada słabym głosem. - Oświęcim to największa skarbnica na świecie, jest tam wszystko, z czego tylko dało się ograbić naszych umarłych. Dziewczęta żydowskie siedzą w trzydziestu wielkich magazynach i sortują tę zdobycz. Wszystko to ma pojechać do Niemiec, ale SS-mani mnóstwo kradną. My też kradniemy. Jest tam bardzo dobre podziemie czeskie. Z tych Czechów są dobrzy Żydzi. Twardzi i trzymają się razem. To oni skradli aparaty i silny. Oni zrobili zdjęcia. - Berel Jastrow jest tak zmęczony, że kiedy mówi, oczy mu się zamykają, już na wpół usypia i przez sen widzi długie rzędy stajni w Oświęcimiu, w śniegu rozjarzonym od reflektorów, pochylonych Żydów ociężałe drepczących w pasiakach i wielkie magazyny "Kanady" z łupem zwalonym przed nimi na stosy, przykryte ośnieżonymi plandekami, a w dali ciemne kominy zionące ogniem i czarnym dymem.

Słyszy, jak doktor Lewin mówi: - Dajcie mu odpocząć. Niech prześpi się u Efraima.

Berel od wielu tygodni nie leżał w łóżku. Siennik i podarty koc na grubo skleconej, trzypiętrowej pryczy to błogość i luksus. Śpi i śpi bez końca.

Kiedy się budzi, stara kobieta przynosi mu zupy i chleba. Je i znowu zasypia. Po dwóch takich dniach jest już na nogach, w południe kąpie się w jezioru, kiedy słońce podgrzało lodowatą wodę, a potem przechadza się po obozie, ubrany w zimowy mundur Wehrmachtu, który dostał od Efraima. Cóż to za dziwnie pokojowa sceneria, to skupisko górskich domków nad jeziorem, wśród jesienno brązowiejących szczytów. Postrzępiona odzież suszy się w słońcu, kobiety szorują, szyją, gotują i plotkują, mężczyźni w małych warsztatach pracują w chrobocie pił, brzęku i stukaniu młotków, kowal rozpala w kuźni, a małe dzieci się temu przypatrują. Starsze dzieci chóralnie mamrocą na szkolnych zajęciach pod gołym niebem: Pismo Święte, matematyka, historia syjonizmu, nawet i Talmud. Książek jest niewiele, ołówków i papieru w ogóle nie ma; nauka odbywa się przez chóralne powtarzanie na głos po żydowsku. Obdarci dzieci o chudych policzkach wyglądają tu na równie znudzone i udręczone jak w każdej innej szkole i jak wszędzie, tak i tutaj, niektóre chyłkiem wyżywają się w psotach. Chłopcy uczący się Talmudu siedzą wokół wielkiego tomiska i niektórzy z nich czytają na głos tekst widziany do góry nogami.

Obozu strzegą młodzi mężczyźni i kobiety z karabinami. Efraim mówi Benowi, że strażę zaopatrzone w radio czuwają daleko niżej, na drózkach i przełęczach. Ich obozu nie da się zaskoczyć. Uzbrojeni strażnicy sami sobie poradzą z wężącymi szpiegami lub niewielkimi grupkami, gdyby jednak nadeszło jakieś poważne zagrożenie, muszą zawiadomić Nikonowa. Z młodych ludzi co najlepsi odeszli. Chcą się pomścić za mordy w Żytomierzu; niektórzy z nich przyłączyli się do sławnego oddziału partyzanckiego Kowpaka, inni do tego, którym dowodzi legendarny Żyd, wuj Mojsze. Doktor Lewin zgodził się na ich odejście.

W ciągu tygodnia, który Berel tu spędza, słyszy całe morze opowieści, przeważnie grozę budzących, niekiedy bohaterskich, czasami śmiesznych, jakie przechodzą z ust do ust po żydowskim telegrafii leśnym. On także ma o czym opowiadać. Tym sposobem, snując pewnego wieczora przy kolacji wspomnienia ze swego pobytu wśród pierwszych partyzantów żydowskich pod Mińskiem, dowiaduje się, że jego własny syn żyje! Nie ma co do tego wątpliwości. Chudy, przyszczaty młodzieniec z przepaską na oku, który służył u Kowpaka, zanim go na wpół oślepił niemiecki granat, przez wiele miesięcy maszerował po Ukrainie z Mendlem Jastrowem. Okazuje się więc, że Mendel nie tylko żyje, ale jest partyzantem - spokojny Mendel, ten arcyreligijny chłopak z jeszywy - i że synowa z dzieckiem, jak ostatnio słyszał ten młodzieniec, ukrywają się w gospodarstwie chłopskim pod Wołożynem.

To pierwsza wiadomość, jaką Berel usłyszał o swej rodzinie przez dwa lata wędrowek i obozów. Przez wszystkie te zelżywości, męki i głód, jakie go przygniatały, nigdy nie stracił do końca nadziei, że wszystko to się odwróci. Przyjął te wiadomości spokojnie, ale był to dla niego jakby sygnał, że najciemniejsza część tej ciemnej nocy może już zaczyna się kończyć. Poczul się lepiej i gotów ruszać dalej do Pragi.

W noc poprzedzającą jego odejście, w wielkim pokoju głównego budynku, Efraim urządza dla wybranych spośród dorosłych pokaz przezroczy: są to wywołane filmy Berla, skopiowane na większym formacie i rzucane na prześcieradło, szare od starości i prania, za pomocą prymitywnego projektora oświetlonego lampą łukową, zmajstrowaną z dwóch laseczek węgla, wydobytych z baterii. To zaimprovizowane oświetlenie drga i migoce, przez co krew mrozące w żyłach przezrocza są jakby ożywione. Nagie kobiety wydają się drzeć, kiedy idą z dziećmi do komór gazowych; więźniowie, którzy pod nadzorem SS-manów wyłamują trupom złote zęby, jakby się natężali z wysiłku; ponad długą, otwartą jamą, gdzie płoną ogromne rzędy ludzkich ciał i Sonderkommando hakami do mięsa zwlekają następne, dym kłębi się i faluje. Niektóre zdjęcia są zbyt zamazane, aby wiele na nich rozpoznać, lecz pozostałe opowiadają o Oświęcimiu w całej miażdżącej prawdzie.

Złe światło sprawia, że sfotografowane dokumenty trudno odczytać. Długa strona z księgi rachunkowej wykazuje kilkaset śmierci na "atak serca" w jednym dniu; spisy inwentaryzacyjne klejnotów, złota, futer, waluty, zegarków, lichtarzy, aparatów fotograficznych, wiecznych piór, z wyliczeniem i ceną starannie wypisanymi po niemiecku; sześć stron raportu z eksperymentów medycznych, przeprowadzonych na dwudziestu identycznych bliźniętach, z pomiarami ich reakcji na skrajne gorąco, zimno, porażenie prądem, szybkości zgonu po zastrzykach fenolu i drobiazgową statystyką porównawczą ich anatomii po sekcji. Berel Jastrow nigdy nie widział tych dokumentów ani też nie oglądał sfotografowanych scen. Zbolały i przerażony, pociesza się jednak świadomością, że ten materiał jest tak bezwzględnie i bez żadnej wątpliwości potępiający.

W milczeniu wychodzą ci, którzy to oglądali, z głównego budynku, tylko rada zostaje. Doktor Lewin przez długi czas wpatruje się w ogień. - Berel, mnie znają w tutejszych wioskach. Sam przeprowadzę cię przez granicę. Żydowski partyzanci w Słowacji są dobrze zorganizowani i odstawią cię do Pragi.

`cp2

Pociąg z Pardubic do Pragi jest zatłoczony, korytarze wagonów drugiej klasy nabite stojącymi. Czescy policjanci przedzierają się cierpliwie wzdłuż przedziałów, sprawdzając dokumenty. W tym uległym Protektoracie, zdradzonym w Monachium, wchłoniętym przez Niemcy jeszcze przed wojną, zgniecionym represjami po zamachu na Heydricha, kontrola w pociągach nigdy niczego nie wykrywa. Mimo to kwatera główna Gestapo w Pradze wciąż jej wymaga.

Starszego mężczyznę, zaczytanego w niemieckiej gazecie, wchodzący do przedziału policjant musi szturchnąć, żeby okazał dokumenty. Mężczyzna w roztargnieniu wyciąga sfatygowany portfel, zawierający jego dowody i zezwolenia, i wręcza go policjantowi, nie przerywając lektury. Reinhold Henkle, niemiecki robotnik budowlany z Pardubic, nazwisko panięńskie matki węgierskie, co zgadza się z szeroką, gładko wygoloną, słowiańską twarzą; policjant spogląda na wytarty garnitur i spracowane dłonie pasażera, zwraca mu dokumenty i sięga po następne. Tak wynurza się na powierzchnię Berel Jastrow.

Pociąg pędzi doliną Łaby wzdłuż połyskliwej rzeki, przez ciężkie od owoców sady i winnice, pełne zbieraczy, i najeżone rżyska. Poza tym w przedziale znajdują się gruba starucha o skwaszonym wyrazie twarzy, trzy rozchichotane dziewczyny i młody człowiek w mundurze, kuszący o kulach. Ta konfrontacja z policjantem, którą Berel ćwiczył przez tydzień, przyszła i poszła jak kiepski żart. Przeżywał groteskowe czasy, ale ten przejazd z dzikiego świata grobów masowych i górskich partyzantów do czegoś, co niegdyś uważał za codzienną rzeczywistość - miejsce w jadącym pociągu, dziewczęta w ładnych sukienkach pachnące tanimi perfumami i roześmiane, jego własny krawat, wgięty po środku kapelusz i biała koszula, wpijająca się w szyję - co za szok! Powrót ze świata umarłych wyglądałby trochę podobnie; normalne życie wydaje się drwiną, pracowitą zabawą w udawanie, poza którą ukrywa się straszliwa prawda.

Praga zadziwia go. Znał ją dobrze z podróży w interesach. Uroczyste stare miasto wygląda, jakby nigdy nie było wojny, jakby zapisane w jego umyśle cztery ubiegłe lata były tylko długim, złym snem. Flagi ze swastykami, łopoczące głośno na porywistym wietrze, były w Pradze aż nadto widoczne już w czasach pokoju, kiedy to hitlerowcy domagali się zwrotu Sudetów. Całkiem jak dawniej ulice w popołudniowym słońcu są pełne ludzi, bo mniej więcej o tej porze kończy się praca. Dobrze ubrani, wyglądają na flegmatycznie zadowolonych ze wszystkiego, co jest, wypełniają kawiarnie na chodnikach. Praga jest nawet spokojniejsza teraz niż w tamtych burzliwych dniach, kiedy

Hitler zionął ogniem przeciwko Benesowi. W tłumie na chodnikach Berel nie widzi ani jednej żydowskiej twarzy. To jest nowość. To w Pradze jedyny objaw, że wojna się nie przyśniła.

Wyuczone na pamięć instrukcje podają dodatkowy adres na wypadek, gdyby księgarnia nie istniała; ale oto jest, w krzywej uliczce w dzielnicy Mala Strana.

N. Mastny

Księgarnia i antykwariat

Przy otwarciu drzwi rozlega się dzwonek. Wnętrze jest wypełnione starymi książkami na półkach, w stosach na podłodze, pachnie stęchlizną. Siwowłosa kobieta w szarym fartuchu siedzi przy biurku zavalonym książkami, robiąc znaki na kartach katalogowych. Dobrotliwie podnosi oczy na wchodzącego z uśmiechem, podobnym raczej do skurczu, i coś mówi po czesku.

- Sprechen Sie Deutsch?

- Ja.

- Czy ma pani książki antykwaryczne o filozofii?

- Owszem, i to sporo.

- Czy ma pani Krytykę czystego rozumu Immanuela Kanta?

- Nie jestem pewna. - Mruga do niego. - Proszę mi wybaczyć, ale nie wygląda pan na człowieka, którego interesowałaby taka książka.

- To dla mego syna Ericha. On robi doktorat.

Przyjrząwszy mu się przeciągle i badawczo, kobieta wstaje. - Muszę zapytać męża.

Wychodzi przez zasłonę gdzieś w głąb. Niebawem pojawia się niski, zgarbiony, łysy mężczyzna w podartym swetrze, z zielonym daszkiem nad oczyma, siorbiący z filiżanki. - Proszę mi wybaczyć, właśnie zrobiłem sobie herbaty i jest jeszcze gorąca.

W przeciwieństwie do poprzedniego dialogu nie jest to hasło. Berel nie odpowiada. Mężczyzna grzebie w książkach na półkach, głośno siorbiąc. Wyjmuje sfatygowany tom i zdmuchnąwszy kurz wręcza go Berlowi, otwarty na wyklejce, gdzie wypisano atramentem nazwisko i adres. - Nie powinno się pisać w książkach. - Ta mówi o podróżach po Persji, nazwisko autora jest nic nie znaczące. - To takie świętokradztwo.

- Dziękuję panu, ale nie o to mi chodziło.

Mężczyzna wzrusza ramionami, z obojętną twarzą mamrocze zdawkowe przeproszenie i znika z książką za zasłoną.

Ulica podana w adresie znajduje się po drugiej stronie miasta. Berel dojeżdża tam trolejbusem i mija kilka przecznic, idąc wśród obdartych, czteropiętrowych kamienic. Na domu, którego szukał, przy wejściu na parterze, widnieje szyld dentysty. Dzwoni tam, słyszy brzęczyk i wchodzi. W poczekalni na ławce siedzi dwóch starszych, żałośnie wyglądających mężczyzn. Kobieta o wyglądzie gosposi, w brudnym fartuchu, wychodzi z gabinetu dentysty, skąd słychać jęki i hałas maszyny do borowania.

- Niestety, pan doktor dziś już nie może nikogo przyjąć.

- To nagły wypadek, proszę pani, bardzo bolesny ropień.

- W takim razie proszę poczekać w kolejce.

Czeka prawie godzinę. Kiedy wchodzi do gabinetu, dentysta w białym kitlu, pochlapany krwią, myje ręce przy umywalce. - Proszę usiąść, zaraz się panem zajmę - mówi przez ramię.

- Przysłał mnie tu księgarz, pan Mastny.

Doktor prostuje się i odwraca: czupryna w kolorze piasku, gruba kwadratowa twarz, wielka i mocna szczeka. Przygląda się Berlowi zmrużonymi oczyma i mówi coś po czesku. Berel udziela odpowiedzi, której wyuczył się na pamięć.

- Kim pan jest? - pyta dentysta.

- Przybywam z Oświęcimia.

- Z Oświęcimia? Z filmami?

- Tak.

- O mój Boże. Dawno już uznaliśmy was za nieżyjących. - Doktor nie posiada się z podniecenia. Śmieje się. Chwyta Berla za ramiona. - Spodziewaliśmy się was dwóch.

- Drugi nie żyje. Tu są filmy.

Z poczuciem uroczystego uniesienia Berel wręcza dentyście aluminiowe rurki.

Tej nocy siedzi w kuchni na piętrze z dentystą i jego żoną przy kolacji, składającej się z gotowanych kartofli, suszonych śliwek, chleba i herbaty. Głos go zawodzi, tak dużo mówił i mówił, opowiadając o swej długiej podróży i przygodach, jakie go spotkały po drodze. Zatrzymuje się na opisie tygodnia, który spędził w obozie Lewina i tej wielkiej chwili, gdy usłyszał, że jego syn żyje.

Doktorowa, stawiając na stole kieliszki i butelkę śliwownicy, odzywa się mimochodem do swego męża: - To dziwne nazwisko. Czy ktoś na ostatnim spotkaniu komitetu nie mówił o jakimś Jastrowie, który teraz przebywa w Theresienstadt? Jeden z prominentów?

- To Amerykanin. - Dentysta zbywa tę sprawę gestem. - Jakiś bogaty żydowski pisarz, który dał się złapać we Francji, cholerny idiota. - Zwraca się do Berla: - Którędy przedostał się pan przez granicę? Czy przez Turkę? Berel nie odpowiada.

Dwaj mężczyźni patrzą na siebie. - O co chodzi? - pyta dentysta.

- Aaron Jastrow? W Theresienstadt?

- Zdaje się, że ma na imię Aaron - odpowiada dentysta. - A dlaczego?